

Artykuły  
Biogramy  
Dokumentacja  
Rozmowy  
Wiersze

LUBELSKIE  
KREGLI  
Przed wojną – wojna – po wojnie  
Powroty do Lublina

SCRIPTORES  
OSRODEK  
BRAMA  
GRODZKA  
TEATRNY

40

JULIA HARTWIG

**Adres wydawcy:**

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”  
ul. Grodzka 21, 20-112 Lublin  
www.teatrnn.pl  
teatrnn@tnn.lublin.pl

**Dyrektor Ośrodka:**

Tomasz Pietrasiewicz

**Koncepcja numeru i wybór tekstów:**

Tomasz Pietrasiewicz

**Redakcja:**

Anna Kiszka

**Współpraca redakcyjna:**

Anna Piotrowska

**Redakcja techniczna:**

Anna Chaber  
Barbara Zarosińska

**Korekta:**

Agnieszka Zajdel

**Projekt okładki i strony tytułowej:**

Małgorzata Rybicka  
© Copyright for cover design by Małgorzata Rybicka 2011

**Skład:**

Amadeusz Targoński  
www.targonski.pl

**Druk i oprawa:**

Petit Skład–Druk–Oprawa  
Wojciech Guz i Wspólnicy Spółka Komandytowa  
ul. Tokarska 13, 20-210 Lublin  
www.petit.lublin.pl

Nakład: 1000 egz.

„Scriptores” jest kontynuacją pisma „Scriptores Scholarum. Kwartalnik Uczniów, Nauczycieli oraz Ich Przyjaciół” wydawanego przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” w latach 1994-2000 (nr 4-26).

**Numer dofinansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.**

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego**

**Pochodzenie ilustracji:**

Archiwum Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.  
II LO im. Hetmana Jana Zamoyskiego.  
Krzysztof Pleśniarowicz, *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, Kraków 1983.  
Michał Trachman, *Dwa spotkania*, Lublin 1968.  
WBP im. Hieronima Łopacińskiego.  
Zbiory prywatne: Danuty Bańkowskiej,  
**Julii Hartwig, Ewy Hartwig-Fijałkowskiej,**  
Krystyny Krystosik, Romana Krawczyńskiego,  
Marii Modzelewskiej, Tomasza Miernowskiego,  
Danuty Riabinin, **Ignacego Tokarczyka**  
i rodziny Anny Langfus.

Wszystkie ilustracje są dostępne w Archiwum TNN  
oraz w bibliotece multimedialnej Teatru NN:  
[www.biblioteka.teatrnn.pl](http://www.biblioteka.teatrnn.pl)

To właściwie mój brat nauczył mnie patrzeć na Stare Miasto pod kątem tego, co tutaj jest do utrwalenia, co jest ciekawe, co powinno zostać i co jest przede wszystkim bardzo piękne. Przypominam sobie często nasze spacerunki, kiedy oprowadzał mnie po podwórkach Starego Miasta, które były fantastycznie ciekawe. [...] Edward pokazywał mi Lublin jak gdyby od środka, bo wchodziliśmy na schody, patrzyliśmy, jaki jest widok na podwórko z góry, chodziliśmy po balkonach.

(Fragment wypowiedzi Julii Hartwig ze spaceru po Lublinie w 2006 roku).

Pamiętam bardzo dobrze mieszkanie, w którym mieszkaliśmy po przyjeździe, mieszkanie, w którym się urodziłam, na ulicy Staszica. To ono bardzo skromne. [...] Z mieszkaniem na Staszica kojarzy mi się cudowny zapach. Na wiosnę z akacji, która rosła na podwórku. To zapamiętałam na zawsze. I zapachy z pracowni cukierniczej – fantastyczne zapachy czekolady, lukrów, ciast.

(Fragment historii mówionej Julii Hartwig ze zbiorów Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”).

# Julia Hartwig – lubelskie kręgi

## SPIS TREŚCI

- 5 Tomasz Pietrasiewicz **Wstęp**  
6 **Podziękowania**
- CZĘŚĆ I. Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)**
- 8 **Wstęp do części I**  
9 **„W Słońce” pismo uczniowskie**  
13 **W „Słońce”. Spis zawartości (1928-1939)**  
17 **Julia Hartwig. Między 1921 a 1939**  
23 **Anna Kamieńska. Między 1920 a 1939**  
25 **Jerzy Pleśniarowicz. Między 1920 a 1939**  
29 **Jerzy Pleśniarowicz – Józef Czechowicz**  
31 **Nieformalna grupa poetycka (1939-1946)**  
37 **Julia Hartwig. Między 1939 a 1946**  
41 **Anna Kamieńska. Między 1939 a 1946**  
45 **Jerzy Pleśniarowicz. Między 1939 a 1946**  
49 **Miejsca ważne dla odradzającego się życia literackiego po 1944 roku**  
53 **Kalendarium wydarzeń okresu powojennego związanych z odradzającym się życiem literackim 1944-1945**  
57 **Pierwsze tomiki poetyckie wydane w Lublinie po lipcu 1944 roku**  
59 **Józef Hen Konfrontacja w Lublinie**  
61 **Anna Kamieńska Lublin 1944**  
63 **Powrót do źródeł** Z Anną Kamieńską rozmawia Maria Brzezińska  
67 **Zygmunt Mikulski Lubelscy filomaci**  
69 **Zygmunt Mikulski 492. Wspomnienia gimnazjalisty**  
75 **Zygmunt Mikulski Hartwizanka**  
77 **Mirosław Derecki Wspomnienie o Jerzym Pleśniarowiczu**  
79 **Przemko Maria Grafczyński Kochanek X Muzy. Opowieść rodzinna o Zyguncie Kałużyńskim**  
83 **Anna Kamieńska – notka biograficzna**  
84 **Zygmunt Kałużyński – notka biograficzna**  
85 **Zygmunt Mikulski – notka biograficzna**  
86 **Jerzy Pleśniarowicz – notka biograficzna**  
87 **Igor Sikirycki – notka biograficzna**
- CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady**
- 91 **Wieczór literacki** Z Julią Hartwig rozmawia Maria Brzezińska  
97 **Ciekawość świata** Z Julią Hartwig rozmawia Agata Koss  
107 **Największe szczęście, największy ból** Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski

## Spis treści

- 117 **Tam gdzie mogę ścigam morze** Z poetką Julią Hartwig – rozmawia Wojciech Kass
- 135 **Przyjaźń panińska** Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski
- 139 **Ośmieliłam się otworzyć** Z Julią Hartwig rozmawia Dorota Subbotko
- 149 **Miasto mojego dzieciństwa** Z Julią Hartwig rozmawia Emilia Olechnowicz
- 153 **Niechętnie kończę każdy dzień** Z Julią Hartwig rozmawia Kalina Błażejowska
- 161 Julia Hartwig **Lublin**
- 175 Julia Hartwig **Wierzby – wstęp do albumu**
- 183 Julia Hartwig **Hanka i Anna**
- 187 Julia Hartwig **Fotografia udomowiona**
- 191 Julia Hartwig **Lublin niezapomniany**
- 197 Julia Hartwig **Wspomnienie o Annie Kamińskiej**
- 201 Julia Hartwig **Samotność w Zagładzie**

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy. Związki Julii Hartwig z Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN”

- 205 **Czy warto być poetą?**
- 209 **W poszukiwaniu poezji**
- 217 **Otwarcie Zaułka Hartwigów**
- 219 Julia Hartwig **Radość z Zaułka**
- 225 **Świat jest do opisania**
- 233 **Spacer z Julią Hartwig**
- 237 **Przywrócona Lublinowi**
- 239 Paweł Próchniak **Julia Hartwig: wyczekujące słowo**
- 241 **Obserwuję życie zagłębiona w przeszłości**

### CZĘŚĆ VI. Wiersze

- 263 Julia Hartwig **Powroty**
- 275 Julia Hartwig **Inne wiersze lubelskie**

### CZĘŚĆ V. Varia

- 281 Tadeusz Sobolewski **Ukryta powaga** Rozmowa z Julią Hartwig
- 285 **Poezją mówię wprost** Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski
- 293 **Powaga, piękno, żart** Z Julią Hartwig o nowym tomie jej wierszy  
*Bez pożegnania* rozmawia Jarosław Mikołajewski
- 295 Anna Nasiłowska **Wiara w zadanie**
- 301 Anna Nasiłowska **Epoka Julii Hartwig**
- 305 **Julia Hartwig – notka biograficzna**
- 307 **Julia Hartwig – bibliografia**
- 313 **Bibliografia „Scriptores” nr 40**



## Tomasz Pietrasiewicz

# Wstęp

Julia Hartwig urodziła się 14 sierpnia 1921 roku w Lublinie. Rodzina Hartwigów przybyła do Lublina z Moskwy w 1918 roku. Rok później Ludwik Hartwig (ojciec Julii) otworzył tu zakład fotograficzny. Mimo że Julia w 1940 roku opuściła Lublin, powracając tu jeszcze na krótko po wojnie, rodzinne miasto zawsze było jej bliskie i pozostało miejscem ważnym.

Numer „Scriptores” zatytułowany „Julia Hartwig – lubelskie kręgi” został specjalnie przygotowany na 90. urodziny poetki i jest świadectwem związków, które łączą ją z rodzinnym miastem. Pierwsza część: **Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)** pokazuje lubelski okres w życiu Julii Hartwig, zakończony wyjazdem z Lublina na stałe w roku 1946. W trzecim rozdziale tej części, zatytułowanym **Postscriptum**, został umieszczony wybór artykułów stanowiących jej dopełnienie. W rozdziale drugim: **Julia Hartwig – lubelskie ślady**, możemy znaleźć teksty poetki odnoszące się do Lublina oraz zapisy przeprowadzonych z nią rozmów, w których pojawiają się wspomnienia na temat rodzinnego miasta. Część trzecia: **W kręgu Bramy**, pokazuje związki Julii Hartwig z Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN”. Poetka jest bowiem jedną z tych osób, które mają dla Ośrodka szczególne znaczenie. Jej pierwsze spotkanie autorskie w siedzibie Ośrodka – Bramie Grodzkiej – odbyło się w 1996 roku. W czerwcu 2001 roku Julia Hartwig była

gościem Festiwalu Sztuki „W Kręgu Bramy”, a w roku 2004 odwiedziła rodzinne miasto w związku z otwarciem Zaułka Hartwigów. W czasie kolejnego pobytu Julii Hartwig w Lublinie, w maju 2006 roku, odbyła się promocja przygotowanej w Ośrodku „Brama Grodzka” książki *Zaułek Hartwigów*. Wtedy też mieliśmy okazję uczestniczyć wraz z poetką w niezwykłym spacerze po mieście jej młodości. W roku 2009 przyjazd Julii Hartwig do rodzinnego miasta związany był z nadaniem jej tytułu Honorowego Obywatela Miasta Lublina oraz przyznaniem nagrody Kamień, której wręczenie jest nieodłączną częścią festiwalu Miasto Poezji. Uroczyste przekazanie nagrody odbyło się na scenie Teatru im. J. Osterwy. Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN” specjalnie na tę okazję przygotował tomik lubelskich wierszy Julii Hartwig – w wyborze samej autorki – zatytułowany *Powroty* oraz zaprezentował stronę internetową poświęconą lubelskiemu okresowi życia poetki.

Wiersze z *Powrotów* uzupełnione o inne lubelskie wiersze stanowią część czwartą „Scriptores”.

Wreszcie część piąta: **Varia**, zawiera kilka wybranych tekstów skupionych na analizie twórczości poetki.

Na koniec chciałbym bardzo mocno podkreślić, że „**Scriptores. Julia Hartwig – lubelskie kręgi**” jest wyrazem naszej wielkiej wdzięczności dla poetki za przyjaźń, jaką nas obdarzyła, i naszym sposobem, by jej za nią podziękować.

## Podziękowania

Numer ten nie powstałby, gdyby nie współpraca wielu osób, którym chcielibyśmy w tym miejscu podziękować.

W pierwszej kolejności dziękujemy p. Julii Hartwig za przychyłność dla tego projektu, zgodę na wykorzystanie tekstów oraz dokumentów i zdjęć z prywatnych zbiorów. Następnie p. Annie Piotrowskiej, która koordynowała kontakty z poetką i pomogła nam w przygotowaniu niniejszego numeru.

P. Ewie Hartwig-Fijałkowskiej jesteśmy wdzięczni za zgodę na wykorzystanie, jako ilustracji, lubelskich zdjęć Edwarda Hartwiga.

Serdeczne podziękowania kierujemy do Redakcji „Kresów”, „Kwartalnika Artystycznego”, „Toposu”, „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku” oraz wydawnictwa „Więź” za zgodę na nieodpłatne wykorzystanie artykułów i esejów, które stanowią istotną część niniejszego „Scriptores”. Nie wolno także pominąć samych

autorów: p. Wojciecha Kassa, p. Jarosława Mikołajewskiego, p. Anny Nasiłowskiej i p. Pawła Próchniaka, bez przychyłności których nie moglibyśmy posłużyć się ich tekstami. P. Ewie Dereckiej jesteśmy natomiast wdzięczni za pozwolenie na przedruk artykułu p. Mirosława Dereckiego, poświęconego Jerzemu Pleśniarowiczowi.

Dziękujemy autorkom audycji radiowych: p. Marii Brzezińskiej, p. Barbarze Jurkiewicz i p. Anecie Wójciszyn-Wasil za możliwość wykorzystania ich audycji oraz Radiu Lublin – które jest właścicielem praw do tych audycji – za zgodę na przedrukowanie transkrypcji.

Wreszcie podziękowania kierujemy do wszystkich osób niewymienionych z imienia i funkcji, których pomoc i zaangażowanie pomogły doprowadzić nasz projekt do szczęśliwego finału i przekazać do rąk Czytelników 40. numer „Scriptores” dedykowany p. Julii Hartwig w 90. rocznicę urodzin.

CZĘŚĆ I

Przed wojną – wojna – po wojnie  
(lata 1921-1946)

Pismo „W Słońce” i jego krąg  
Nieformalna grupa poetycka  
Postscriptum

# Wstęp do części I

Jeżeli chcemy opowiedzieć o lubelskich latach Julii Hartwig, nie da się tego zrobić bez przywołania historii ukazującego się w Lublinie w drugiej połowie lat trzydziestych ubiegłego wieku szkolnego pisma „W Słońce” i osób z nim związanych. Pierwszy numer wyszedł w 1928 roku, później pismo ukazywało się nieregularnie, a przestoje w wydawaniu kolejnych numerów trwały czasem kilka lat.

W 1936 roku „W Słońce” zostało wznowione po raz kolejny. Redakcja zgromadziła zdolnych uczniów z lubelskich gimnazjów, m.in. Julię Hartwig z Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, Zygmunta Kałużyńskiego, Zygmunta Mikulskiego i Jerzego Pleśniarowicza z Gimnazjum im. Stanisława Staszica. „W Słońce” stało się miejscem debiutu poetyckiego czternastoletniej Julii Hartwig oraz przestrzenią rozwoju literackich talentów Jerzego Pleśniarowicza.

W 1939 roku wybuchła wojna, która w życiu osób z kręgu „W Słońce” zmieniła wszystko. Niektórzy z nich – jak Julia Hartwig czy Jerzy Pleśniarowicz – wyjechali z Lublina. Prawie wszyscy zaangażowali się w działalność konspiracyjną. Mimo wielu trudności wciąż utrzymywali ze sobą kontakt – starali się spotykać i pisać listy.

W lipcu 1944 roku Lublin został wyswobodzony spod okupacji niemieckiej przez wojska Armii Czerwonej. Do miasta wrócili Jerzy Pleśniarowicz i Julia Hartwig. Na miejscu byli już Zygmunt Kałużyński, Anna Kamieńska, Igor Sikirycki i Zygmunt Mikulski. Znowu zaczęli się spotykać, dyskutować o poezji oraz tym wszystkim, co działo się wokół nich. Na początku 1945 roku ukazała się antologia, w której zamieszczono ich wiersze, a we wstępie nazwano ich „lubelską grupą poetycką”.

Historia kręgu osób zgromadzonych przed wojną wokół „W Słońce”, a po wojnie tworzących nieformalną grupkę poetów złączoną przyjaźnią, wspólnymi przeżyciami i pasją do sztuki kończy się w 1946 roku, z chwilą wyjazdu większości z nich z Lublina. Możemy jednak śmiało powiedzieć, że lubelskie lata – szkoła, wydawanie pisma, wojna, pierwszy okres po wyzwoleniu – ukształtowały wszystkich jej członków bardzo głęboko i wpłynęły na ich dalsze losy.

Dla nas Julia Hartwig jest oczywiście osobą, która w tej opowieści pełni kluczową rolę.

# „W Słońce”

## pismo uczniowskie

Uczniowskie pismo „W Słońce” powstało w Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w roku szkolnym 1928/1929 z inicjatywy nauczyciela tej szkoły, Pawła Gduli. Pomysł podchwycił Józef Łobodowski, który był wtedy uczniem siódmej klasy tego gimnazjum. Ukazało się co najmniej siedem numerów „W Słońce”, ale później pismo upadło. W kolejnych latach było kilkakrotnie reaktywowane – zachowane numery świadczą o dużej nieregularności tych prób. Dopiero w 1936 roku udało się zebrać międzyszkolny zespół redakcyjny, który utrzymał wydawanie „W Słońce” do wybuchu II wojny światowej; w latach 1936-1939 ukazało się w sumie pięć numerów pisma.

### Powstanie „W Słońce” (1928/1929)

**Bolesław Zimmer:** W roku szkolnym 1928/29 ujrzał światło dzienne miesięcznik szkolny „W Słońce”. Był on poświęcony głównie literaturze i sztuce, nauce i życiu szkolnemu. Założycielem i pierwszym redaktorem pisma był poeta lubelski Józef Łobodowski, który jako uczeń siódmej klasy zachęcony na lekcjach przez dra P[awła] Gdulę podjął się pracy redakcyjnej, wypełniając swoimi utworami dział literacki<sup>1</sup>.

**Józef Łobodowski:** O ile sobie przypominam, historia [wydawania pisma] zaczęła się w siódmej klasie [1928/29]. Na lekcjach polskiego odbywały się żywe dyskusje na tematy literackie. Brało się romantyzm – materiału dyskusyjnego było dużo. P. Prof. Gdula, wnioskuje z zainteresowań uczniów, doradził, aby stworzyć szkolne pismo poświęcone literaturze. [...]

Czasopismo przyjęto w innych szkołach z niechęcią i zazdrością [...].

Głównym działem w piśmie była „Literatura i Sztuka”, obok tego kącik radiowy, sportowy i „Życie szkolne”. Dział literacki wypełniałem przeważnie sam. Drukowałem utwory pod pseudonimem „Brodzki”, „Rysz. Niwiński”, „Stanisław C-ski”<sup>2</sup>.

### Tytuł pisma

**Józef Łobodowski:** Tytuł miesięcznika „W Słońce” nie bardzo mi się podobał. Wiele było projektów. Gdula postanowił sprawę załatwić na drodze demokratycznego głosowania i przeszedł ten okropny, moim zdaniem, tytuł. Demokratycznej większości trudno się było sprzeciwić<sup>3</sup>.

### Pierwszy redaktor „W Słońce”

**Józef Łobodowski:** Redagowanie miesięcznika z miejsca narobiło mi zajadłych wrogów, gdyż, ponoszony temperamentem i przekonany o własnych rajcach, nie liczyłem się z niczym i nikim. Pisywałem artykuły na różne tematy, drukowałem wiersze i przekłady. Zacząłem używać pseudonimów, aby moje nazwisko nie powtarzało się za często. Opinie były różne, a najbardziej rozpowszechniona: czy wyrobi się z niego prawdziwy poeta, to dopiero czas pokaże, ale już widać, że będzie z niego eseista i publicysta. Byłem wtedy osiemnastoletnim redaktorem, miałem przed sobą wiele czasu<sup>4</sup>.

### Zawieszenie wydawania „W Słońce”

**Pismo miało problemy finansowe, co skończyło się jego szybkim upadkiem:**

**Bolesław Zimmer:** [Od samego początku] pismo nie dawało dochodów.

<sup>1</sup> Bolesław Zimmer, *Geneza szkoły i jej rozwój 1915-1933*, w: *50 lat Gimnazjum i Liceum im. Jana Zamoyskiego w Lublinie 1915-1965*, red. Bolesław Zimmer, Lublin 1967, s. 36-37.

<sup>2</sup> Jerzy Pleśniarowicz, *Rozmowa z Józefem Łobodowskim*, „W Słońce” 1937, nr 3(4), s. 5.

<sup>3</sup> Tenże, *Wspomnienia lubelskie*, „Kresy” 1991, nr 8, s. 133.

<sup>4</sup> Tamże.



## CZĘŚĆ I. Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)

<sup>5</sup> Bolesław Zimmer, *Geneza szkoły i jej rozwój...*, s. 36-37.

<sup>6</sup> Jerzy Pleśniarowicz, *Rozmowa z Józefem Łobodowskim...*, s. 5.

<sup>7</sup> W międzyczasie ukazało się kilka numerów

Redakcja „W Słońce” na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Pierwsza z lewej idzie Julia Hartwig, ostatni z prawej z tyłu Jerzy Pleśniarowicz. 1936. Zbiory prywatne Julii Hartwig.

Braki finansowe pisma łątano imprezami, ale po dwóch latach przestało wychodzić<sup>5</sup>.

**Józef Łobodowski:** Było ono [„W Słońce”] deficytowe. Niedobory pokrywała szkoła. Raz fundusz pochłonął także jedną moją pensję (przez wakacje pracowałem w telegrafii)<sup>6</sup>.

### Reaktywowanie „W Słońce” w roku 1936

**Bolesław Zimmer:** Ponownie z inicjatywy dra Gduli pismo wznowił samorząd w 1936 roku<sup>7</sup>. Teraz zamierzało ono poruszać zagadnienia społeczne

i rozszerzać dział życia szkolnego. Pismo miało ambicję wyjścia na cały teren młodzieży lubelskiej i liczyło na jej poparcie. [...]

Z inicjatywy redakcji pisma międzyszkolnego „W Słońce” zwołany został w budynku gimnazjum i liceum przy Ogrodowej 30 sierpnia 1936 roku zjazd prasowy. [...] Omówiono utworzenie niezależnego pisma młodzieży. Przyjęto, iż pismem tym jest „W Słońce”, wydawane przez uczniów gimnazjum im. J. Zamoyskiego w Lublinie<sup>8</sup>.

### W kronice szkolnej gimnazjum Zamoyskiego czytamy:

Opiekę nad komitetem redakcyjnym objął ponownie dr Gdula. W kwietniu 1936 numer był gotowy do druku. Do redakcji przystąpiły trzy gimnazja w Lublinie i gimnazjum chełmskie. [...] Komitet redakcyjny „W Słońce” rozpoczął działalność kulturalną. W maju 1936 roku urządzono wieczór artystyczny dla młodzieży [...], w którym wziął udział wybitny poeta lubelski Józef Czechowicz. Wygłosił on prelekcję o sztuce<sup>9</sup>.

### Pierwszy numer reaktywowanego pisma ukazał się w maju 1936 roku. Oto podstawowe informacje ze stopki redakcyjnej:

Redaktor odpowiedzialny[:] Profesor Doktor P. Gdula.

Redaktor nacz.[:] Kokosiński.

Komitet Redakcyjny: A. Bier – 492, Hartwiżanka J. – 493, Łagoda (Chełm) 498, Pleśniarowicz J. 492, Romanowski H. 494, Skoczylas S. 494, Strachówna J. 493. Administrator J. Kogut 494.

Wydawca: Samorząd Uczniów Państw. Gimn. im. Hetm. J. Zamoyskiego w Lublinie.

Adres Redakcji i Administracji – Lublin, Ogrodowa 14 – Gimnazjum Zamoyskiego. „W Słońce” – tel. 25-19. Redakcja przyjmuje: wtorek – środa – sobota 17-18. Rękopisów nie zwraca.

[Druk:] Drukarnia „Narodowa” Leona Milarskiego Lublin Krakowskie Przedmieście nr 78<sup>10</sup>.





## Atmosfera literackiego Lublina

Do reaktywacji „W Słońce” przysłużyła się atmosfera panująca wówczas w literackim Lublinie:

**Tadeusz Kłak:** Rozgłos, jaki towarzyszył twórczości poetyckiej Czechowicza, Łobodowskiego i całej grupy poetów lubelskich, wreszcie legenda postaci Bronisława Ludwika Michalskiego<sup>11</sup> sprawiły, iż zainteresowanie liryką zaczęło się upowszechniać nie tylko w kręgach młodzieży akademickiej, ale i szkół średnich. Pojawiły się nowe tematy literackie, a trybuną najmłodszych pisarzy stało się m.in. międzyszkolne czasopismo „W Słońce”<sup>12</sup>.

**Zygmunt Mikulski:** Było cechą Lublina tych lat, że [...] czuło się w powietrzu elektryczność. [...] Słyszało się o „czwartkach” prowadzonych przez Związek Literatów, w rozmowach pojawiały się nazwiska Arnsztajnowej, Jaworskiego, Bielskiego, Gralewskiego, Madeja, Popławskiego, Podstawki, od czasu do czasu zaznaczała się obecność odwiedzającego Lublin Czechowicza, ale sam sens artystycznego fermentu leżał bardziej w wymiarze zapowiedzi niż spełnień. Zresztą młodsze pokolenie literackie mimo tu i ówdzie rozsianych publikacji (np. Pleśniarowicza w „Pionie”, w „Apelu”, później w formie książkowej wydany *Śpiew pierwszy* u Hoesicka) przeżywało ten czas jako wigilię swoich mających nastąpić manifestacji<sup>13</sup>.

**Julia Hartwig:** Były to moje lata szkolne, więc niewiele okazji do przyglądania się życiu literackiemu Lublina. Ograniczało się ono do wiedzy o licznych towarzystwach regionalnych i kulturalnych, o odczytach w Bibliotece imienia Łopacińskiego i o istnieniu „Reflektora”. Ewenementem było zauważenie na ulicy Józefa Czechowicza czy Józefa Łobodowskiego. Teatr, czasem koncerty, były to miejsca promieniowania dla uczennicy, jaką wówczas byłam<sup>14</sup>.

Atmosferę panującą wśród redaktorów pisma scharakteryzował krótko Zygmunt Mikulski:

Przyjaźnie, lektury, spacer, strofy, asonanse, zachwyty i krytycyzmy. Bo poezja wówczas to było wszystko. Wybór wzoru życia i postępowania, nie tylko dziedziny zainteresowań<sup>15</sup>.

## Jerzy Pleśniarowicz jako lider pisma

Jednym z najbardziej aktywnych redaktorów pisma był Jerzy Pleśniarowicz.

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Obok Kazimierza Kokosińskiego, Stefana Skoczylasa, Igora Sikiryckiego, Alfreda Biera, Wiesława Choińskiego, Julii Hartwig, Jadwigi Strachówny... [...] Jerzy [Pleśniarowicz] był jednym z najbardziej aktywnych autorów.

Numer 1 z maja 1936 roku przyniósł jego „szkolny” debiut: wiersz *Daleko las* (ten tytuł nada zbiorowi swych utworów z lat 1936-1938), jego recenzję z nowej edycji *Poezji* Tarasa Szewczenki, a także jego rozmowę z Kokosińskim o Bronisławie Ludwiku Michalskim, tragicznie zmarłym w 1935 roku poecie z kręgu Czechowicza.

W numerze 3(4) z kwietnia 1937 Pleśniarowicz publikuje wiersz *stąd*, dedykowany Józefowi Czechowiczowi, oraz obszerną *Rozmowę z Józefem Łobodowskim*<sup>16</sup>.

**Potwierdzeniem pozycji Jerzego Pleśniarowicza wśród redaktorów „W Słońce” był jego „dorosły” debiut poetycki w 1937 roku w ważnym warszawskim piśmie „Pion”.**

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Już na rok przed maturą Pleśniarowicz jako jedyny z grupy redaktorów pisma „W Słońce” wkracza do dojrzałego życia literackiego. W jednym z najpoważniejszych wówczas czasopism, stołecznym „Pionie” (nr 41 z 1937 roku), drukuje *balladę o ulanach*<sup>17</sup>.

**Julia Hartwig:** W piśmie tym dużą rolę odegrał Jerzy Pleśniarowicz, postać w ówczesnym środowisku litera-

pisma; udało się ustalić, że w 1933 roku wydano przynajmniej dwa numery, w roku 1934 – przynajmniej jeden numer, w roku 1935 – przynajmniej jeden numer [przyp. Red.].<sup>8</sup> Bolesław Zimmer, *Geneza szkoły i jej rozwój...*, s. 36-37.<sup>9</sup> *Kronika Szkolna Gimnazjum im. Jana Hetmana Zamoyskiego*, wpis pod datą 21 maja 1936.

<sup>10</sup> „W Słońce” 1936, R. 7, nr 1, s. 18. Liczby obok nazwisk oznaczają przedwojenne numery szkół.

<sup>11</sup> Był to lubelski poeta z kręgu Czechowicza, który zginął śmiercią samobójczą w 1935 roku [przyp. Red.].

<sup>12</sup> Tadeusz Kłak, *Poezja lubelska 1918-1939*, w: *Lublin literacki. Szkice i wspomnienia*, red. Waldemar Michalski, Józef Zięba, Lublin 1984, s. 101.

<sup>13</sup> Zygmunt Mikulski, *Tamten Lublin*, Lublin 1975, s. 215.

<sup>14</sup> *Ciekawość świata. Z Julią Hartwig rozmawia Agata Koss*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 102.

<sup>15</sup> Zygmunt Mikulski, *Hartwiżanka*, Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 75.

<sup>16</sup> Krzysztof Pleśniarowicz, *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, Kraków 1993, s. 15.

<sup>17</sup> Tamże, s. 18.

<sup>18</sup> *Ciekawość świata...*  
Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 104.

<sup>19</sup> Zygmunt Mikulski,  
*Moje dzisiejsze wczoraj*,  
w: *Lublin literacki. Szkice i wspomnienia...*, s. 369.

<sup>20</sup> *Wieczór literacki.*  
*Z Julią Hartwig rozmawia Maria Brzezińska.*  
Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 95.

<sup>21</sup> *Ciekawość świata...*  
Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 103.

<sup>22</sup> „W Słońce” 1936, R. 7,  
nr 1, s. 18.

ckim legendarna. On chyba jeden tylko z zespołu redakcyjnego wiedział, co to jest awangarda. I pisywał bardzo awangardowe wiersze w stylu Czechowicza, bardziej jednak idąc za techniką niż za duchem tej poezji. Potem zupełnie zaprzestał pisanie i oddał się pracy społecznej<sup>18</sup>.

### „W Słońce” i Czechowicz

**We wspomnieniach twórców pisma często pojawia się postać Czechowicza.**

**Zygmunt Mikulski:** [Czechowicz] był – można powiedzieć – *per procura* w naszym młodzieżowym gronie obecny za sprawą Pleśniarowicza, który odbył z nim wiele rozmów i nie skąpił nam z nich relacji, w wielu kwestiach przyjmując jego postawę<sup>19</sup>.

**Julia Hartwig:** Jerzy Pleśniarowicz [...] był bardzo zaprzyjaźniony z Józefem Czechowiczem i uważał się jak gdyby za jego ucznia poetyckiego. Pamiętam nawet, że Józef Czechowicz to pismo „W Słońce” czytał i robił znaczki przy zamieszczonych tam wierszach – zaznaczał, co mu się podobało<sup>20</sup>.

### Debiut poetycki Julii Hartwig

**O swoim debiucie poetyckim w piśmie w roku 1936 Julia Hartwig mówi:**

Debiutowałam kilkoma, pożał się Boże, wierszykami. [...] Naprawdę nie było się czym chwalić. Niewiele wiedziałam wówczas o poezji współczesnej i próbowałam pisać, nie mając żadnej niemal kultury literackiej<sup>21</sup>.

### Ważne teksty z pisma „W Słońce”

**Warto wspomnieć o niektórych tekstach zamieszczonych w kolejnych numerach pisma.**

**W pierwszym znajdujemy, wspomniany już, wiersz Jerzego Pleśniarowicza *Daleko las* i wiersz \*\*\* [*Ktoś zgubił słowo «poezja»...*] Julii Hartwig (podpisanej jako Hartwiżanka), który był debiutem poetki. Pojawia się tam również ciekawe ogłoszenie:**

Międzyszkolny Komitet redakcyjny „W Słońce” urządza w drugiej połowie maja TURNIEJ RECYTACYJNY, w którym weźmie udział młodzież lubelska szkół średnich. Słowo wstępne wygłosi znany poeta p. J. Czechowicz<sup>22</sup>.

**W numerze 1(2) z września 1936 roku ukazał się wywiad z Józefem Czechowiczem, przeprowadzony przez J. Strachównę, zatytułowany *O poezji*. W numerze 3(4) z kwietnia 1937 roku znajdujemy rozmowę Jerzego Pleśniarowicza z Józefem Łobodowskim oraz dwa, wydrukowane obok siebie, wiersze: Pleśniarowicza *stąd* i Julii Hartwig *Wiersz muzyczny*. Wiersz Pleśniarowicza jest zapisany „w stylu” Czechowicza i jemu dedykowany. W numerze 4(5) z 1938 roku wydrukowano wiersz Jerzego Pleśniarowicza *Śpiew pierwszy* oraz Julii Hartwig *Samotni ludzie*. W ostatnim numerze czasopisma (5(6) z 1939 roku) ukazała się *Pieśń o zaginionych* Julii Hartwig.**

**Wydawanie „W Słońce” zakończył wybuch II wojny światowej, ale grono twórców pisma pozostało ze sobą w kontakcie. Spotkali się znów po wojnie, jako nieformalna grupa poetycka.**

# W „Słońce”

Spis zawartości (1928–1939)\*

## Nr 1, R. 1 (1 maja 1928)

Józef Łobodowski **Sztuka... Poezja...**

Józef Łobodowski **Dlaczego**

Zygmunt Brodzki **Gejsza**

J. **Trzy śmierci**

Stanisław D-ski **Teatr Narodowy**

Stefan Kunowski **Łowy**

Jan Miklaszewski **Zielono-złote**

J. Ł. **Garść Wspomnień**

KSIĄŻKA. TEATR. KINO

SPORT

Tadeusz Jaworski **Mens sana in corpore sano**

NAUKA

Alfred Maksymowicz **Radjo**

**Życie szkolne**

**Rozrywki umysłowe**

**Od Redakcji**

## Nr 1, R. 3 (marzec-kwiecień 1933)

**Od Redakcji**

P. Zieliński **W Słońce!**

M. Szyszko **Walek z Parchatki**

Kazimierz Lipski **Pragnienie**

Janusz K-cki **O sole mio**

M. Szyszko **Na Wielkanoc**

M. Szyszko **Fryderyk Chopin**

Kazimierz Dalecki **Na Imieniny Komendanta**

Stefan Piotrowski **Praca młodzieży szkolnej w odrodzonym**

**Państwie Polskim**

Wł. J. H. Goldfinger **Daleki Wschód. Przegląd wypadków od 18 IX 1931 r. do 15 II 1933 r.**

\* Uwaga 1: Rozdział zawiera spis zawartości numerów dostępnych w lubelskich bibliotekach: Bibliotece Głównej UMCS (nr 1, R. 1, 1928), bibliotece II LO im. Hetmana Jana Zamoyskiego (nr 1, R. 3, 1933 i nr 2, R. 5, 1935) i WBP im. Hieronima Łopacińskiego. Nie są to jednak wszystkie zachowane egzemplarze w „Słońce”. W Bibliotece Narodowej przechowywane są jeszcze numery 2-7 (R. 1, 1928), nr 1 i 2 (R. 4, 1933) i nr 1, R. 5, 1934.

Uwaga 2: Zapis nazw autorów i tytułów według oryginału. Wersalikami oznaczono działy.

Nr 1, R. 3 (1933)

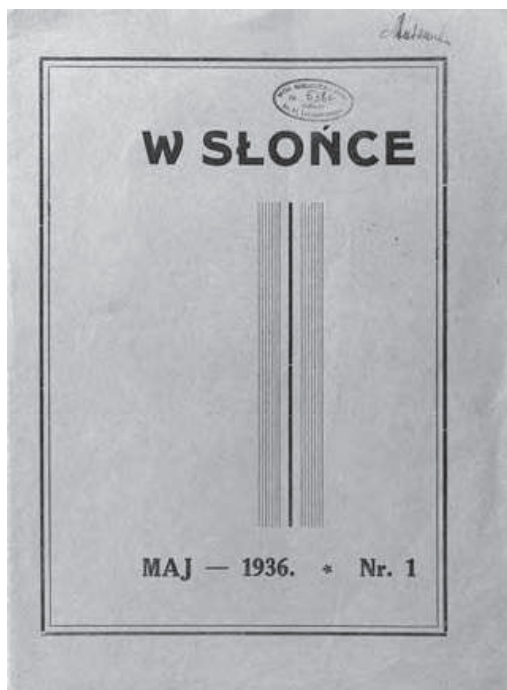






Nr 2, R. 5 (1935)

Nr 1, R. 7 (1936)



Leonard Leśniewicz „Największy barometr świata”  
Janusz Kukucki **Rok 1932 w lotnictwie**  
Piotrowski Stefan **600-na rocznica śmierci Władysława Ło-  
kietka 1833-1933 [sic!]**  
[Piotrowski Stefan] **Rocznica zgonu ś.p. Rene Brun**  
[Piotrowski Stefan] **450-lecie Rafaela**  
ŻYCIE SZKOLNE  
„Czuj duch”  
M. Szyszko **Dygnitarstwa rodzą się jak po deszczu grzyby**  
K. Lipski **Fanatycy sportu**  
Mokrski Marian **Na marginesie**  
St. Pilawa-Pęczalski **Recenzja**  
SPRAWOZDANIA  
OSOBISTE I OGŁOSZENIA

### **Nr 2, R. 5 (marzec 1935)**

Siemion M. **Piłsudski!!!** (wiersz konkursowy)  
Tadeusz Janiszowski St. P. **Polityka wewnętrzna Polski w la-  
tach 1918-1935**  
Piotr Kliman **Myśl i czyn**  
Henryk Łukasik **Istota i cel samowychowania**  
Zb. Król **Samokształcenie (referat o pracy samokształce-  
niowej)**  
T. Małecki **Wychowanie fizyczne**  
H. Łukasik **Młodzież a sprawy gospodarczo-społeczne**  
Kliman PIOTR **Narciarz**  
St. Pęczalski **Idea**  
St. Pęczalski **Peccavi**  
St. Pęczalski **„Ku wolności”? Obrazek z 1983 roku**  
Król Zb., Pęczalski St., Kliman P. **„Erotyk wiosenny”**  
**Z teatru**  
Zb. Sokołowski **Myśli skrzydlate**  
Aleksander Szwed **Młodzież lubelska na wieś!**  
Skoczylas Stefan **Krzczonów**  
St. P. **Wrażenia z wyjazdu zespołu Nr. 4 do Puchaczowa**  
**Odpowiedzi od Redakcji**

### **Nr 1, R. 7 (maj 1936)**

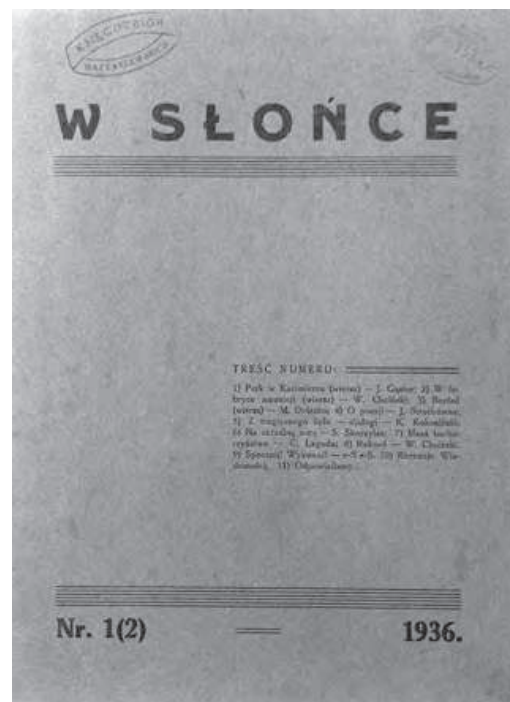
W. Choiński **Bez tytułu**  
Cz. Magierka **Piłsudski u nas**  
K. Kokosiński **Wspomnienia Litaka**  
Czesław Łagoda **Nocne powroty**  
Jerzy Pleśniarowicz **Daleko las**  
Kazimierz Lipski **Sylwetka poetyckiego Lublina**  
Kazimierz Kokosiński i Jerzy Pleśniarowicz **Rozmowa  
o Br. L. Michalskim**  
A. Bier **Wywiad z dyr. Dziewulskim**

## W „Słońce”. Spis zawartości (1928-1939)

S. Kubić **Teatr w Lublinie**  
Włodzimierz Żuk **Przemysł miasta Lublina**  
J. Hartwiżanka \*\*\* (**Ktoś zgubił słowo „poezja”**)  
**Samorzady szkół lubelskich**  
S. Skoczylas **Przegląd prasy**  
RECENZJE  
Pl. **Taras Szewczenko**  
**Odpowiadamy...**

### **Nr 1 (2), R. 8 (wrzesień 1936)**

Ignacy Gąsior **Park w Kazimierzu**  
W. Choiński **W fabryce amunicji**  
M. Doleżko **Bez wład**  
J. Strachówna **O poezji (wywiad z J. Czechowiczem)**  
K. Kokosiński **Z tragicznego łądu – dialogi (fantazja)**  
S. Skoczylas **Na aktualną nutę**  
Czesław Łagoda **Muza barbarzyństwa (Wypad antykino-  
maniowy)**  
W. Choiński **Rekord. Nowela**  
eS. eS **„Spocznij! Wykonać!” (z obozu P. W. w Wólce Pro-  
feckiej)**  
RECENZJE. WIADOMOŚCI  
**Muzyka**  
**Teatr**  
**Literatura**  
**Odpowiadamy...**



Nr 1(2), R. 8 (1936)

### **Nr 3 (4), R. 9 (kwiecień 1937)**

[Od Redakcji]  
Jerzy Pleśniarowicz **stąd**  
Hartwiżanka J. **Wiersz muzyczny**  
Jerzy Pleśniarowicz **Rozmowa z Józefem Łobodowskim**  
Karol Podgórski **Koło teatru pusto...**  
W. Gajewski, S. Skoczylas **Szkoła a światopogląd młodzieży**  
Zazula Mikołaj **Z tragicznego łądu. (Niefantazja)**  
Igor Siekierycki **Pasażerka na gapę**  
Zygmunt Mikulski **O kryteria wychowawcze Związku Har-  
cerstwa Polskiego (artykuł dyskusyjny)**  
j. p. **Wieczór inscenizacji i recytacji zespołowych lubelskich  
szkół średnich**  
RECENZJE. WIADOMOŚCI  
ss **Teatr Wołyński**  
SPORT  
**M.K.S. W Lublinie**  
Jerzy Pleśniarowicz **Odpowiedzi...**

Nr 3(4), R. 9 (1937)





Nr 4(5), R. 10 (1938)

### **Nr 4 (5), R. 10 (1938)**

#### **Od Redakcji**

Jerzy Pleśniarowicz **Śpiew pierwszy**

Julia Hartwig **Samotni ludzie**

Z. Mikulski **Pieśń o zwycięzcach**

St. Skoczylas **Odrodzenie wsi**

M. Lermontow **Modlitwa** (tłum. I. Siekierycki)

Halina Rylska **Florencja**

Maryla Pawelcówna **Muzeum poetyczne**

**Rok żałoby w literaturze polskiej**

SPORT

**Pływackie mistrzostwa lubelskich szkół średnich**

KRONIKA SZKOLNA

RECENZJE

J. Pleśniarowicz **Odpowiedzi**



Nr 5(6), R. 11 (1939)

### **Nr 5 (6), R. 11 (1939)**

**1918-1939**

Julia Hartwig **Pieśń o zaginionych**

Igor Siekierycki **Słucz**

Igor Siekierycki **Burza**

Mjr. Lotn. W. Kondratiuk **Młodzieży, damy ci skrzydła!**

Janina Tomaszewska **Jeziora lubelskie nas wołają!**

J. Kociubińska **Kino**

St. Skoczylas **Pieśń ziemi i słońca**

Igor Siekierycki **Tam gdzie powstało przysłowie**

J. Rozmus **Parę słów o polskiej muzyce współczesnej**

Józef Staszyc **Zbudujemy nowy świat**

RECENZJE

KRONIKA SZKOLNA

Igor Siekierycki **Odpowiedzi**



# Julia Hartwig

## Między 1921 a 1939

### Dzieciństwo i atmosfera domu

**Julia Hartwig:** [Hartwigowie] zamieszkali przy ulicy Staszica 2<sup>1</sup>, na facjacie, gdzie zajmowali dwa pokoje z oddzielną ciemnym pokojem dużą kuchnią. [...]

Mieszkanie na Staszica pamiętam mgliście, ale mimo trudności codziennego życia wspominam ten okres jako może najszczęśliwszy dla naszej rodziny. Byliśmy wszyscy razem, moi bracia i siostry chodzili do gimnazjum, a ja chodziłam do szkoły podstawowej mieszczącej się tuż przy Katedrze i pamiętam dotąd, że kiedy rano odprowadzała mnie matka, zachodziła zawsze na pacierz do Katedry, uważając widać, że i w cerkwi, i w kościele jej modlitwa będzie tak samo wysłuchana. Nigdy jako dziecko nie zastanawiałam się nad tym i nie czułam, że moja matka jest Rosjanką. W domu mówiło się wyłącznie po polsku, czego do dziś trochę żałuję, nie znam bowiem dotąd języka rosyjskiego.

Po kilku latach przenieśliśmy się na pierwsze piętro, do trzypokojowego mieszkania ze służbówką, które opuścił dotychczasowy lokator. Materialnie mieliśmy się już lepiej, źródłem utrzymania był zakład fotograficzny przy ulicy Narutowicza, który bardziej przypominał oszklony barak niż atelier [...].

W roku 1931 straciliśmy naszą ukochaną matkę i wiele czasu upłynęło, nim pogodziliśmy się z tym sierectwem. Zamieszkała wówczas z nami babka, matka mojego ojca, Maria z domu Szmidt Hartwigowa, i jej mąż, Andrzej, który był specjalistą od wyrobu mebli. Oboje pochodzili z różnych stron Polski, ona

z Suwalszczyzny, on z Podola. Babka była znakomitą gawędziarką i bajczarką [...]².

\*

Dużo wesołości wprowadzali przyjaciele braci i sióstr, którzy przychodzili do naszego domu. [...] Niezwykła aura otaczała zwłaszcza Edwarda, który był pięknym chłopakiem i kimś w rodzaju playboya, chciał żyć życiem artysty, a pieniędzy wcale nie było w domu za wiele. Potem, kiedy miał już swoją pracownię, tę ze słynnym już drzewem, poznawałam u niego poetów – Czechowicza, Łobodowskiego. Nie śmiałam z nimi rozmawiać, ale uważnie się im przyglądałam. Uderzyła mnie ogromna delikatność Czechowicza, z kolei Łobodowski był zabijaką i ćwiczył boks³.

### Mieszkania rodziny Hartwigów

**Julia Hartwig:** W Lublinie mieszkaliśmy w różnych mieszkaniach, najpierw na Staszica, bardzo wysoko, na najwyższym piętrze – to było bardzo skromne mieszkanie. Rodzice zamieszkali tam po powrocie z Rosji. Pamiętam ludzi, którzy mieszkali koło nas, m.in. takiego kulawego cukiernika, który przechodził zawsze przez znajdujący się obok ciemny korytarz. [...] Potem przenieśliśmy się dwa piętra niżej, to było już mieszkanie ładniejsze, dużo większe, dużo przyjemniejsze. Następnie przenieśliśmy się na Krakowskie Przedmieście. Tuż przed wybuchem wojny zamieszkałam na ulicy Narutowicza 23 [...]⁴.

### Gimnazjum im. Unii Lubelskiej

**Julia Hartwig:** Aktywnym ośrodkiem życia była [...] moja ówczesna szkoła, Gimnazjum imienia Unii Lubelskiej,

<sup>1</sup> Do 1928 roku ulica nazywała się Poczetkowska.

<sup>2</sup> Julia Hartwig, *Radość z Zaułka*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 219.

<sup>3</sup> *Największe szczęście, największy ból. Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 109.

<sup>4</sup> *Wieczór literacki. Z Julią Hartwig rozmawia Maria Brzezińska*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 91.

Szkolna wycieczka do Wilna. Zwiedzanie Nowogródka. Druga z lewej w drugim rzędzie siedzi Julia Hartwig, 1938. Zbiory prywatne Julii Hartwig.



uważane za najlepszą żeńską szkołę średnią w Lublinie. Zabawne, że już w gimnazjum miałam reputację osoby piszącej – o całe niebo na wyrost, bo co ja też tam wówczas pisałam – ale prawdą jest, że cały mój fundament humanistycznych zainteresowań wywodził się właśnie stamtąd, ze szkoły, gdyż na żadne intelektualne wsparcie w domu nie mogłam liczyć, wszyscy byli zajęci własnymi sprawami. Ze szkoły wyniosłam poczucie godności obywatelskiej, co dziś wydaje się zamierzchłym przeżytkiem, i umiejętność współżycia z otoczeniem<sup>5</sup>.

### **I jeszcze jedno jej szkolne wspomnienie:**

W szkolnych latach dużo jeździliśmy z nauczycielką, wnuczką słynnego doktora Tytusa Chałubińskiego – to do Wilna, to do Krzemieńca. Urządzałyśmy z koleżankami grupowe wycieczki z plecakami, zwiedzałyśmy Mazury, Puszczę Białowieską<sup>6</sup>.

### **W innym miejscu wspomina:**

Chodziłam do Gimnazjum im. Unii Lubelskiej i bardzo jestem dumna z tej szkoły. To była wspaniała szkoła, w której wykładali wspaniali profesorowie i naprawdę mam im bardzo wiele do zawdzięczenia<sup>7</sup>.

### **Przyjaźń z Hanką Kamińską**

**Julia Hartwig:** [Lata gimnazjalne] to przede wszystkim [...] wspomnienia o najtrwalszej przyjaźni [z Hanką Kamińską] [...] lat dziecięcych i młodzieńczych. [...]

Odszukałam niedawno w moich papierach adresowane do mnie listy Hanki z lat 1937-1938, a więc tuż sprzed wojny, kiedy obie chodziłyśmy jeszcze do szkół. Jest tych listów kilkanaście i pisane są głównie z Warszawy, albo z Boryszewa i Stawiec, gdzie Hanka miała różnych wujków i stryjów, właścicieli mająteczków ziemskich. [...]

Tę naszą paniąską przyjaźń, udokumentowaną garstką listów, można by uznać za przypadek jeden z wielu, gdyby nie to, że w jej następstwie powstały setki stron zadrukowanego wierszem i prozą papieru, podpisanych nazwiskami dwu dziewcząt, wówczas początkujących poetek z Lublina<sup>8</sup>.

**Julia Hartwig była częstym gościem u Anny Kamińskiej, gdy ta, po przeprowadzce z ulicy Skibińskiego (Bronowice), zamieszkała wraz z matką i siostrami na ulicy Wieniawskiej. Było to w drugiej połowie lat trzydziestych.**

<sup>5</sup> *Ciekawość świata, Z Julią Hartwig rozmawia Agata Koss.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 103.

<sup>6</sup> *Największe szczęście, największy ból...* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 108.

<sup>7</sup> *Wieczór literacki...* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 91.

<sup>8</sup> Julia Hartwig, *Hanka i Anna.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 184.

**Julia Hartwig:** Od kiedy miałyśmy po czternaście lat, pisałyśmy razem z Anią Kamińską. Często u niej bywałam i pokazywałyśmy sobie te pierwsze, pożał się Boże, utwory<sup>9</sup>.

**Wzruszające wspomnienie napisała Julia Hartwig zaraz po śmierci Hanki Kamińskiej w 1986 roku:**

Hanka Kamińska umarła. [...] To jak odkruszona jedna ściana mojego życia: przyjaciółka z dzieciństwa i młodości [...]. Pierwsze wspólne wiersze. Pobytu w Świdniku po śmierci mojej matki. Babka Hanki. Jej matka. Jej siostry<sup>10</sup>.

### **Julia Hartwig w redakcji „W Słońce”**

**Zygmunt Mikulski, przyjaciel poetki z lat młodości, zapamiętał jedno z pierwszych spotkań redakcji „W Słońce”, które odbyło się w 1936 roku:**

Na [...] posiedzeniu [redakcji „W Słońce”] zetknąłem się z osobliwością Lublina: piszącą wiersze czternastoletnią uczennicą gimnazjum Unii Lubelskiej. Było to tym dziwniejsze, że owe czternaście lat legitymowała się warkoczykiem, kokardą i obliczem wyjętym wprost z wierszyka o Czerwonym Kapturku, więc kiedy słyszało się strofy nie wierszyka, ale wiersza, można było samą rzeczywistość posądzić o dobry żart. Coś jak dubbing dorosłego głosu w ustach dziecka. Spotęgowany przez fakt, że dziecię pozwalało sobie z temperamentem swojego wieku wyrokować o organizacji życia literackiego nie tylko na terenie szkół, ale całego miasta. A nazywało się Julia Hartwig<sup>11</sup>.

**W innym tekście Mikulski tak wspomina to redakcyjne spotkanie:**

Raz na zebranie redakcyjne przyszła czternastoletnia dziewczynka. Nazywała się Julia Hartwig. Sensacja. Czternastoletnia i już autorka. Wprawdzie „redaktorzy” mieli co najwyżej po dwa lata więcej, ale w tym wieku różnica dwu lat to dużo. Trochę dziwiło, trochę nadawało smaku oryginalności, że

na zebranie redakcyjne przyszło „dziecko”<sup>12</sup>.

\*

[Po tym spotkaniu zaczęły się] przyjaźnie, lektury, spacer, strofy, asonanse, zachwyty i krytycyzmy. Bo poezja wówczas to było wszystko. Wybór wzoru życia i postępowania, nie tylko dziedziny zainteresowań. A dla Julii wejście w „intelektualny pejzaż” Lublina tak trwałe, że do dzisiejszego dnia łudzące nieprzerwaną ciągłością. W tym wypadku można mówić o „obecności z daleka”<sup>13</sup>.

### **Debiut Julii Hartwig we „W Słońce”**

**Julia Hartwig:** Przed wojną wychodziło w Lublinie pismo międzyszkolne, które się nazywało „W Słońce”. W tym piśmie ogłaszałam pierwsze moje wiersze<sup>14</sup>.

**Julia Hartwig:** Może warto byłoby tu wspomnieć o czasopiśmie „W Słońce”, piśmie międzyszkolnym, gdzie debiutowałam kilkoma, pożał się Boże, wierszykami [mając niespełna piętnaście lat]. [...] Naprawdę nie było się czym chwalić. Niewiele wiedziałam wówczas o poezji współczesnej i próbowałam pisać, nie mając żadnej niemal kultury literackiej<sup>15</sup>.

### **Julia Hartwig i Józef Łobodowski**

**Zygmunt Mikulski zapamiętał spotkanie redakcyjne „W Słońce”, na które został zaproszony Józef Łobodowski:**

Żegnając się z Julią Hartwig, rzucił żartem: „A my z powodu *U przyjaciół* mamy ze sobą na pieńku”. *U przyjaciół* to był Łobodowski tom przekładów z rosyjskiego, o którym Hartwiżanka (wówczas czternastoletnia!) napisała gdzieś kilka uszczypliwych uwag. Gdyby wiedziała, że pisze o książce wkrótce laureata Nagrody Młodych Polskiej Akademii Literatury!<sup>16</sup>

**Julia Hartwig tak wspomina tę swoją recenzję:**

Kiedyś opublikowałam w naszym piśmie recenzję z antologii poetów

<sup>9</sup> *Największe szczęście, największy ból...* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 109.

<sup>10</sup> Julia Hartwig, *Zawsze powroty. Dziennik podróży*, Warszawa 2001, s. 122.

<sup>11</sup> Zygmunt Mikulski, *Tamten Lublin*, Lublin 1975, s. 137.

<sup>12</sup> Tenże, *Hartwiżanka*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 75.

<sup>13</sup> Tamże.

<sup>14</sup> *Wieczór literacki...* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 95.

<sup>15</sup> *Ciekawość świata...* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 102-103.

<sup>16</sup> Zygmunt Mikulski, *Moje dzisiejsze wczoraj*, w: *Lublin literacki 1932-1982. Szkice i wspomnienia*, red. Waldemar Michalski, Józef Zięba, Lublin 1984, s. 368.



<sup>17</sup> *Największe szczęście, największy ból...* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 109.

<sup>18</sup> *Wieczór literacki...* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 95.

<sup>19</sup> *W poszukiwaniu poezji. Spotkanie z Julią Hartwig w kościele św.*

*Ducha w ramach Festiwalu Sztuki „W kręgu Bramy”, 2 czerwca 2001.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 212-213.

<sup>20</sup> Julia Hartwig, *Fotografia udomowiona.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 188.

ukraińskich [rosyjskich – przyp. Red.], którą przygotował Łobodowski, i on wspominał o tej recenzji po wojnie, kiedy już mieszkał w Hiszpanii. Prawdę mówiąc, sama nie wiem, o co się go czepiałam – to był chyba taki dziewczęcy wybryk<sup>17</sup>.

### **Julia Hartwig i Józef Czechowicz**

**Julia Hartwig:** Z pismem tym związany był też Jerzy Pleśniarowicz, który był bardzo zaprzyjaźniony z Józefem Czechowiczem i uważał się jak gdyby za jego ucznia poetyckiego. Pamiętam nawet, że Józef Czechowicz to pismo „W Słońce” czytał i robił takie znaczki przy zamieszczonych tam wierszach – zaznaczał, co mu się podobało. On miał zwyczaj oceniania każdej linijki [...] <sup>18</sup>.

\*

Dla mnie, dla początkującej poetki, bo wtedy już zaczęłam pisać, chociaż drukowałam tylko w szkolnym piśmiku, prawdziwą poetycką wielkością był Józef Czechowicz. Od czasu mojej wczesnej młodości była to dla mnie postać legendarna. I dotąd zachowałam ogromne uwielbienie dla tego wspaniałego poety. [...]



Józef Czechowicz. 1930.  
Zbiory prywatne Tomasza Miernowskiego.

Do zakładu fotograficznego mojego brata przychodził, żeby pokazać mu swoje zdjęcia [...]. Pamiętam, że tam właśnie, w tym pawilonie, miałam okazję przyjrzeć się Czechowiczowi, który był człowiekiem małomównym, nawet trochę powiedziałabym – nieśmiałym, i stojąc zawsze z nieodłączną fajką, rozmawiał z moim bratem – to był taki mój pierwszy z nim kontakt. A drugi związany był z tym, że Czechowicz interesował się młodymi debiutującymi poetami i jeden z moich wierszy dano mu do oceny. Dzisiaj wolałabym zapomnieć o tym wierszu, który był naprawdę bardzo słaby. Ale Czechowicz poważnie się do niego ustosunkował i zrobił coś bardzo ciekawego. Mianowicie, każdą linijkę wiersza oceniał osobno i pisał po prawej stronie: plus albo minus. To mnie bardzo zaskoczyło, bo nigdy nie myślałam, że można oceniać wiersz tak jak gdyby fragmentami.

Tak wyglądały moje spotkania z Czechowiczem<sup>19</sup>.

### **Brat Julii Hartwig – Edward**

**Bardzo ważną osobą w życiu Julii Hartwig był jej brat Edward. Urodził się 1909 roku w Moskwie. W latach dwudziestych uczęszczał do Gimnazjum im. Stanisława Staszica, które wtedy mieściło się przy ulicy Narutowicza 12. W tym też czasie za namową ojca zaczął robić swoje pierwsze zdjęcia.**

**Julia Hartwig:** Już pierwsze jego zdjęcia, te lubelskie, przedwojenne, z lat dwudziestych i trzydziestych, świadczyły o narodzeniu się artysty, o upodobaniach człowieka kochającego światło i mgłę, ukazywały jego przywiązanie do Lublina, którego starożytne piękno utrwał na kliszach, do pejzażu podmiejskiego, z piaszczystymi drogami biegnącymi przez las, do spowitej w mgłę Bystrzycy, którą pokazuje o świcie, kiedy wieśniak poi w niej właśnie konia, zaprzężonego do drabiniastego wozu<sup>20</sup>.



Edward Hartwig. Lata 40. XX w. Fot. Helena Hartwig. Archiwum TNN.

**W roku 1932 Edward Hartwig otworzył swój własny zakład fotograficzny w miejscu, z którego właśnie wyprowadził się jego ojciec Ludwik. Tamte czasy i to wyjątkowe miejsce wspominają we wspólnej rozmowie Julia i Edward Hartwigowie.**

**Julia Hartwig:** [Była to] malownicza, drewniana, bardzo obszerna buda odziedziczona po ojcu, przy ulicy Narutowicza 19 w Lublinie, ze szklanym sufitem i szklaną ścianą zasłanianą szarymi zasłonami. Było to twoje „atelier”.

**Edward Hartwig:** Miała w sobie ta buda jakiś klimat, coś cygańskiego: ni to dom, ni to pracownia, w środku piecyk żelazny, dużo światła – i zawsze pełno znajomych.

**Julia Hartwig:** Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, że ludzie jakby przeczuwali, że próbuje się tam robić coś nowego, coś odmiennego niż w innych pracowniach fotograficznych.

**Edward Hartwig:** Może to i prawda. Od początku okrzyknięto mnie „artystą”. Okazało się jednak, że właśnie „artysta” jest tym człowiekiem, któremu najtrudniej będzie zadowolić klientów. Myślę, że przeciętny fotograf lubelski mniej miał na co dzień kłopotów w swojej pracy niż ja. [...]

**Julia Hartwig:** Do twojego zakładu przychodziło wielu ciekawych ludzi. [...] Pamiętam, że spotkałam raz u ciebie Józefa Czechowicza. Chodziłam jeszcze wówczas do gimnazjum, ale znałam jego wiersze i przyglądałam mu się z prawdziwym nabożeństwem.

**Edward Hartwig:** Tak, Czechowicz wpadał czasem na pogawędkę. Podobnie jak Gralewski, Chomicz, Makarewicz, Witkowski i wielu innych. Fotografowałam go, a i on, zdaje się, przynosił jakieś własne fotograficzne próbki. Nie rozstawał się z fajką, z którą było mu bardzo do twarzy, choć stale mu gasła. Bywali u mnie również malarze lubelscy, niedoszli moi koledzy po palecie, Zenon Kononowicz, którego na pewno pamiętasz, Stanisław Filipiak, Stanisław Karamański z Kazimierza, Stanisław Michalak, Jerzy Pleśniarowicz oraz Zygmunt Kałużyński i Stanisław Gawarecki<sup>21</sup>.

Zrozumienie znajdowałam w kręgu przyjaciół z ówczesnej bohemy artystycznej Lublina. Liczyło się dla mnie to, że oni mnie akceptują. Bliskie więzy łączyły mnie wtedy z malarzem Zygmuntem Gąsiorowskim i poetą Józefem Łobodowskim. [...]

Pamiętam [Józefa Czechowicza] jako skromnego, bardzo sympatycznego

<sup>21</sup> Wywiad z bratem. Julia Hartwig rozmawia z Edwardem Hartwigiem, w: *Zaulek Hartwigów*, Lublin 2006, s. nlb. [21-22].

## CZĘŚĆ I. Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)

<sup>22</sup> Edward Hartwig, *Pracownia na Narutowicza*, tamże, s. nlb. [37].

człowieka. Cichutko mówił, wolno chodził. Przyszedł kiedyś do pracowni na pogawędkę. Trzymał w ręku aparat fotograficzny, dając znak, że mamy podobne zainteresowania. Często rozmawialiśmy o Lublinie, o jego zaniedbanych, biednych przedmieściach. Wielokrotnie przemierzałem i fotografowałem te rejony miasta. To są właśnie zaułki,

torfowiska, wierzby. Fotografie bardzo proste, ale bardzo polskie pejzaże. Pokazywałem Czechowiczowi moje prace. Oglądał i zamyślał się długo nad nimi<sup>22</sup>. **Charakterystycznym elementem w pracowni Edwarda Hartwiga było rosące w niej drzewo (akacja). Jego pień przebijał się przez dach, nad którym unosiła się jego rozłożysta korona.**



# Anna Kamińska

## Między 1920 a 1939

**Anna Kamińska urodziła się w Krasnymstawie 12 kwietnia 1920 roku. Około roku 1925 zamieszkała wraz z rodzicami w Lublinie. Tak wspomina swoje dzieciństwo:**

Byłam zupełnym dzieckiem – chyba miałam cztery czy pięć lat, kiedy przyjechałam z rodzicami do Lublina. Tutaj chodziłam do przedszkola, co wtedy nazywało się ochronką. Potem do szkoły – było to na dawnych Starych Bronowicach. Mieszkaliśmy wtedy na ulicy Skiubińskiej i pamiętam, że mieszkanie było ponure, biedne i ojciec postanowił wybić okno w kierunku parku miejskiego – to okno jeszcze do dzisiaj jest. Dotychczas pamiętam smak zupy w przedszkolu – tak zwanej „dziadowskiej zupy”, czy smak jabłka, które bardzo rzadko miało się w ręku, które pani wносиła w takiej wielkiej misce i dzieciom rozdawała. Może właśnie to sprawiło, że te niektóre przedmioty i rzeczy nabierały dla mnie tym większego znaczenia – jakoś tak się zapisywały głęboko.

Park, mały kościółek, który jest teraz przeniesiony na Kazimierzówkę [mała miejscowość, obecnie na przedmieściach Lublina], szkoła, do której przychodziło się przez tory kolejowe – to była szkoła imienia Marii Konopnickiej. [...] Niektóre klasy uczyły się w takim obskurnym budynku, gdzie właśnie koło torów kolejowych i było to bardzo niebezpieczne, bo myśmy okropnie lubiły z koleżankami biegać po tych drewnianych podkładach pod torami, tak żeby skakać po nich. Druga część tej szkoły mieściła się już za torem kolejowym. Ta dzielnica nazywała się Kośminek. Pamiętam naprawdę okropne warunki tej szkoły i straszne podwórka, gdzie nas wypuszczano na

przerwę. A jednocześnie jest coś takiego rzewnego w tym wspomnieniu ciemnych poranków, kiedy trzeba było zapalać lampę w klasie, bo było ciemno, i pani wносиła kolorowy papier, nożyczki i robiło się wtedy zabawki na choinkę...<sup>1</sup>.

### Gimnazjum im. Unii Lubelskiej

**Anna Kamińska:** Chodziłam [...] do Gimnazjum im. Unii Lubelskiej. Najpierw mieściło się ono na ulicy Kapucyńskiej, a potem zostało przeniesione do dawnego męskiego przy ulicy Narutowicza. Pamiętam łązgowanie po Krakowskim Przedmieściu [...] – chodziło się zawsze w kierunku zachodu słońca [...]<sup>2</sup>.

**Tak wspomina Kamińską z okresu, gdy chodziła do Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, jej szkolna koleżanka Halina Chamerska:**

[Hanka Kamińska była] to też nasza koleżanka, ale ona z nami matury nie zdawała. Zdawała w czasie okupacji dopiero, tajną [...]. [...] potem przeniosła się do Warszawy [...]. Osobiście była niesłychanie ciepła, sympatyczna i koleżeńska<sup>3</sup>.

### Liceum Pedagogiczne (1937-1939)

**W roku 1937 Kamińska rozpoczęła naukę w Liceum Pedagogicznym im. Elizy Orzeszkowej w Warszawie, które ukończyła w 1939 roku. Tak skomentowała to po latach:**

Był to kaprys społecznikarski, jeszcze jeden zapomniany gest spod wpływu Żeromskiego<sup>4</sup>.

**Przyjaźń z Julią Hartwig Najbliższą przyjaciółką Anny Kamińskiej z okresu szkolnego była Julia Hartwig.**

<sup>1</sup> Powrót do źródeł. Z Anną Kamińską rozmawia Maria Brzezińska. Zob. niniejszy *Scriptores*, s. 63.

<sup>2</sup> Tamże.

<sup>3</sup> Halina Chamerska, *Gimnazjum im. Unii Lubelskiej*, nagranie z archiwum Historii Mówionej Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”, 18 marca 2004, [www.tnn.pl/himow\\_fragment.php?idhr=1385](http://www.tnn.pl/himow_fragment.php?idhr=1385) (dostęp: sierpień 2011).

<sup>4</sup> Cyt. za: Zbigniew Chojnowski, *Metamorfozy Anny Kamińskiej*, Olsztyn 1995, s. 24.



Maria Madej, Julia Hartwig i Anna Kamińska na Krakowskim Przedmieściu. Ok. 1935. Fragm. fot. ze s. 110. Zbiory prywatne Julii Hartwig.

**Julia Hartwig:** Od kiedy miałyśmy po czternaście lat, pisałyśmy razem z Anią Kamińską. Często u niej bywałam i pokazywałyśmy sobie te pierwsze, pożał się Boże, utwory<sup>5</sup>.

\*

Tę naszą panięską przyjaźń, udokumentowaną garstką listów, można by uznać za przypadek jeden z wielu, gdyby nie to, że w jej następstwie powstały setki stron zadrukowanego wierszem i prozą papieru, podpisanych nazwiskami dwu dziewcząt, wówczas początkujących poetek z Lublina<sup>6</sup>.

### Matka Anny Kamińskiej

**Julia Hartwig:** A pisząc o Hance, nie sposób nie poświęcić bodaj kilku słów jej matce, która wywarła ogromny wpływ na kształtowanie się jej charakteru. Z zawodu i zamiłowania pracownica socjalna, obdarzona darem surowego współczucia, wyrażającego się nie w słowach, lecz w działaniu, była osobowością zupełnie wyjątkową, obdarzoną niezłomnością moralną i dzielnością. Wdowa, wychowująca cztery córki o wyrazistych indywidualnościach [...] <sup>7</sup>.

### Kamińska i Czechowicz

**Do debiutu poetyckiego Kamińskiej przyczynił się sam Józef Czechowicz, drukując jej wiersz *O wiosnie i o ojczyźnie* w „Płomyczku”**

**nr 32 (1936). Wspomina o tym w liście wysłanym z Warszawy do Antoniego Madeja 14 września 1934 roku:**

Mój drogi! Donoszę Ci, że kilka wierszy [...] Hani Kamińskiej przesłanych do „Płomyczka”, zużytkujemy<sup>8</sup>.

**Kamińska nigdy nie poznała Czechowicza osobiście, ale w kręgu przyjaciół, w którym przebywała, mówiło się o nim:**

**Anna Kamińska:** [...] niestety nie znałam [Czechowicza], który, jak opowiadał Pleśniarowicz, czytał z młodym poetą każdy wers wiersza osobno i stawiał plus lub minus – oceniał niemal każde słowo stojące w linijce wiersza. Tak ważne to było dla niego... Tak ważny był dla niego język poetycki, ale myślę, że w tym szerokim rozumieniu języka, który musi nieść jakieś ważne treści. Nie może być nawet linijki wiersza, która składa się z kilku nieznaczących słów. Tak że te rzeczy właśnie splotły się w język, który stał się moim językiem poetyckim<sup>9</sup>.

### Juvenilia

**Z tym okresem życia Kamińskiej związana jest ciekawa informacja, którą podaje Zofia Zarębianka:**

Warto [...] odnotować, że w spuściźnie Kamińskiej przechowywanej w Muzeum im. J. Czechowicza w Lublinie zachowały się dwa zeszyciki wierszy z lat trzydziestych. Skomponowane przez poetkę jako samodzielne tomiki, opatrzone ilustracjami autorki i „wydane” w liczbie dwóch egzemplarzy w zainicjowanej przez małą Anię Kamińską serii Biblioteki Płomyczka, zeszyciki zawierają dziecięce juvenilia, świadczące o tym, że Kamińska zaczęła „poważnie” myśleć o pisaniu we wczesnym dzieciństwie (osiem, dziewięć lat). Papiery po Kamińskiej zawierają też – tym samym systemem przygotowany – zeszyt wierszy młodzieńczych z lat 1938-1941, także opatrzone ilustracjami. Utwory w tym tomiku są ciekawym świadectwem wpływów drugiej awangardy na poetkę [...] <sup>10</sup>.

<sup>5</sup> *Największe szczęście, największy ból. Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 109.*

<sup>6</sup> Julia Hartwig, *Hanka i Anna*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 185.

<sup>7</sup> Tamże, s. 184.

<sup>8</sup> Cyt. za: Zofia Zarębianka, *Zakorzenia Anny Kamińskiej*, Kraków 1997, s. 24.

<sup>9</sup> *Powrót do źródeł...*

Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 65.

<sup>10</sup> Zofia Zarębianka, *Zakorzenia Anny Kamińskiej...*, s. 25, przyp. 6.

# Jerzy Pleśniarowicz

## Między 1920 a 1939

Jerzy Pleśniarowicz był świetnie zapowiadającym się poetą, którego można uznać za ostatniego przedstawiciela awangardy lubelskiej. Jego zbiór poezji *Śpiew pierwszy* wydany w maju 1939 roku, czyli tuż przed wojną, zamknął wyjątkowy okres w historii lubelskiej poezji. Recenzję z tego tomu pod wiele znaczącym tytułem *Awangarda idzie dalej* zdążył jeszcze napisać i ogłosić (w sierpniu 1939) Józef Czechowicz. Poprzez życiorys Jerzego Pleśniarowicza możemy dowiedzieć się, jak wyglądało życie literackie „młodego” Lublina drugiej połowy lat trzydziestych – środowiska, któremu z powodu wybuchu wojny nie dane było normalnie się rozwinąć.

Jerzy Pleśniarowicz urodził się 7 stycznia 1920 roku w Jekaterynosławiu na Ukrainie. Po wielu perypetiach rodzina Pleśniarowiczów osiedliła się w 1922 roku w Lublinie. W 1926 roku rodzice poety rozwiedli się. Ojciec wyjechał do Warszawy, matka z synem pozostała w Lublinie. Po jakimś czasie wyszła za mąż za lekarza Stefana Cybulskiego, zamieszkując wraz z synem przy ulicy 1 Maja 51/5. Warto zwrócić uwagę na ten adres, bowiem w latach trzydziestych było to miejsce spotkań najmłodszego środowiska literackiego Lublina.

### Szkoła

**Krzysztof Pleśniarowicz:** W 1929 roku [Jerzy] rozpoczął naukę w Gimnazjum Męskim Spółki Cywilnej Szkoły Średniej [zwanej] Szkołą Lubelską. W roku 1931 przeniósł się do trzeciej klasy Państwowego Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Lublinie, gdzie w roku 1938 uzyskał świadectwo maturalne typu humanistycznego<sup>1</sup>.

Podczas nauki w gimnazjum Staszica Jerzy odegrał wśród rówieśników rolę

niezwykłą, o czym [jego koledzy] żywo pamiętali jeszcze po wielu latach. [...]

Wraz z Kałużyńskim i Hanzlem wydawał szkolną gazetkę ścienną [...]. Inicjował dyskusje, wywoływał rodzaj literackiej i polonistycznej rywalizacji [...]<sup>2</sup>.

### „W Słońce”

**W roku 1936 w Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamoyskiego wznowiono szkolne czasopismo „W Słońce”. Pleśniarowicz wszedł do komitetu redakcyjnego.**

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Obok Kazimierza Kokosińskiego, Stefana Skoczyłasa, Igora Sikiryckiego, Alfreda Biera, Wiesława Choińskiego, Julii Hartwig, Jadwigi Strachówny [...] Jerzy [Pleśniarowicz] był jednym z najbardziej aktywnych autorów. Numer 1 z maja 1936 roku przyniósł jego „szkolny” debiut: wiersz *Daleko las* (ten tytuł nada zbiorowi swych utworów z lat 1936-1938), jego recenzję z nowej edycji *Poezji* Tarasa Szewczenki, a także jego rozmowę z Kokosińskim o Bronisławie Ludwiku Michalskim, tragicznie zmarłym w 1933<sup>3</sup> roku poecie z kręgu Czechowicza. W numerze 3(4) z kwietnia 1937 roku Pleśniarowicz publikuje wiersz *stąd*, dedykowany Józefowi Czechowiczowi, oraz obszerną *Rozmowę z Józefem Łobodowskim* [...]<sup>4</sup>.

**Julia Hartwig:** Przed wojną wychodziło w Lublinie pismo międzyszkolne, które nazywało się „W Słońce”. W tym piśmie wydrukowałam nawet pierwsze moje wiersze. Z pismem tym związany był też Jerzy Pleśniarowicz, który był bardzo zaprzyjaźniony z Józefem Czechowiczem i uważał się jak gdyby za jego ucznia poetyckiego<sup>5</sup>.

<sup>1</sup> Krzysztof Pleśniarowicz, *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, Kraków 1993, s. 9.

<sup>2</sup> Tamże, s. 5.

<sup>3</sup> Powinno być 1935 [przyp. Red.].

<sup>4</sup> Tamże, s. 15.

<sup>5</sup> *Wieczór literacki. Z Julią Hartwig rozmawia Maria Brzezińska*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 95.



## CZĘŚĆ I. Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)

<sup>6</sup> Krzysztof Pleśniarowicz, *Jerzego Pleśniarowicza...*, s. 18.

<sup>7</sup> Cyt. za: tenże, s. 18.

<sup>8</sup> Tamże, s. 17.

<sup>9</sup> Tamże, s. 18.

Wiersz *Daleko las* – debiut poetyczny Jerzego Pleśniarowicza, „W Słońce” 1936, R. 7, nr 1, s. 6.

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Już na rok przed maturą Pleśniarowicz jako jedyny z grupy redaktorów pisma „W Słońce” wkracza do dojrzałego życia literackiego. W jednym z najpoważniejszych wówczas czasopism, stołecznym „Pionie” (nr 41 z 1937 roku), drukuje *balladę o ułanach*<sup>6</sup>.

### Poezja ukraińska i Józef Łobodowski

**Zygmunt Kałużyński:** Problem ukraiński był wówczas bardzo drażliwy,

przecież Ukraińcy nie zgadzali się na politykę ówczesnego państwa polskiego i właściwie byli w nieustannej rewolucji. Zadawanie się z nimi było ryzykiem politycznym i życiowym... I nagle Jerzy zaczyna się pasjonować Ukrainą, tłumaczy wiersze ukraińskich poetów, i nawet publikuje je...<sup>7</sup>.

**Opiekunem najmłodszego pokolenia lubelskich poetów był wówczas Józef Łobodowski (a nie, jak się powszechnie sądzi, Czechowicz). Zachęcony przez Łobodowskiego Pleśniarowicz nawiązał kontakt z Kazimierzem Andrzejem Jaworskim, reaktorem chełmskiej „Kameny”.**

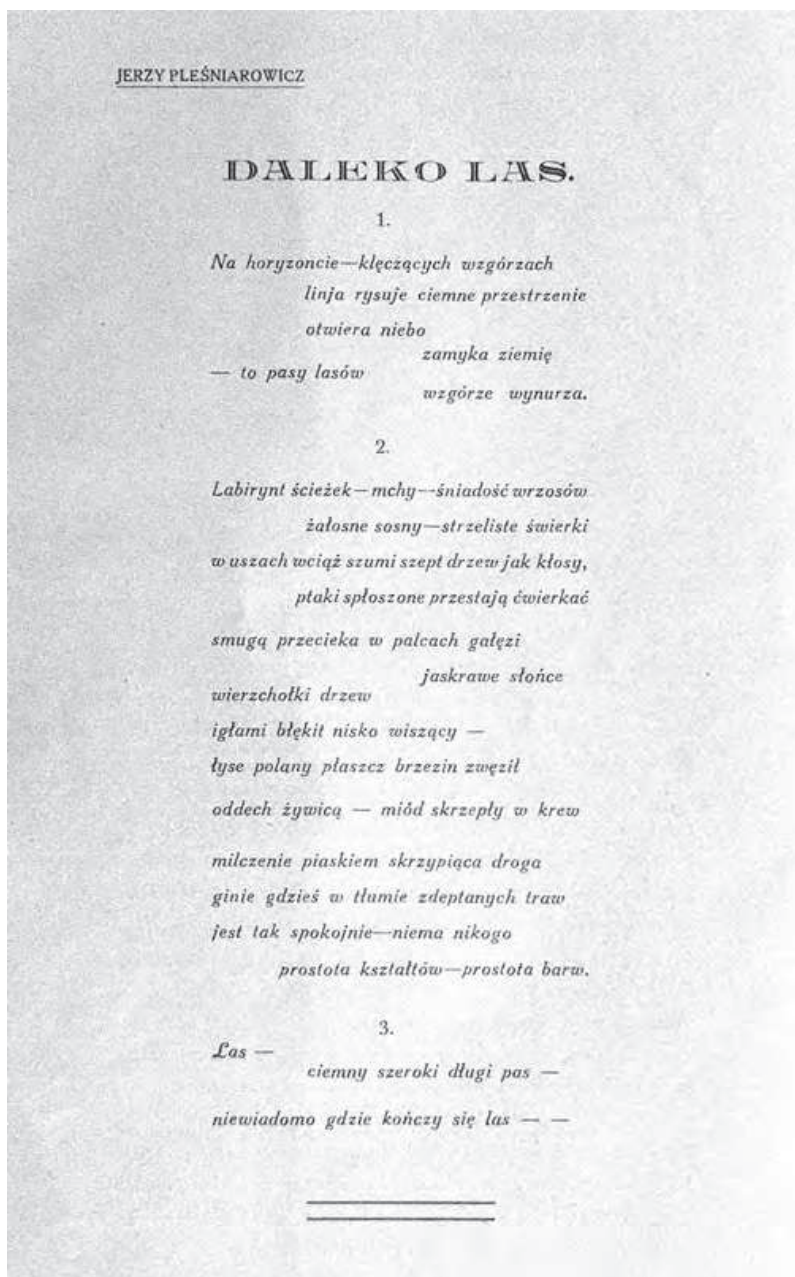
**Krzysztof Pleśniarowicz:** Dzięki tej zachęce w 1938 roku w „Kamenie” ukazały się dwa wiersze Jerzego: *dysonans* (nr 3/4) i *lublin kiedy we mgle* (nr 6).

Łobodowski przyczynił się do debiutu Pleśniarowicza jako tłumacza: zamieścił jego przekład *Kołyśanki* Bohdana Ihora Antonycza w redagowanej przez siebie kolumnie „Literatura i Sztuka” w łuckim tygodniku „Wołyń” (nr 52 z 1937 roku). U Łobodowskiego wydrukował też Pleśniarowicz swój wiersz z *wołynia* oraz przekład *Na prowincji* G. Rodenbacha („Wołyń” nr 16/1938)<sup>8</sup>.

### Literackie zainteresowania Jerzego Pleśniarowicza

**Wspomina kolega szkolny Jerzego Pleśniarowicza, Zygmunt Kałużyński:**

W sytuacji, w jakiej był Lublin – miasto prowincjonalne, które żyło konwencjami – działalność Jerzego polegała na popieraniu tego, co niekonwencjonalne, co było nieznanne, co było nowe – i niejako zaskakiwało bliskich... Już to samo, że Jerzy wziął się do poezji awangardowej, było na owe czasy szalenie śmiałym, ryzykownym krokiem w działalności kulturalnej. Jerzy po prostu szukał pustych miejsc i uważał, że jego misją jest ich wypełnianie. Innym takim pustym miejscem był kontakt z kulturą ukraińską<sup>9</sup>.



## Spotkania w mieszkaniu Pleśniarowicza – wizyta Miłosza

Mieszkanie Pleśniarowicza stało się „najmłodszym” salonem literackim Lublina.

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Bywali [tu] często [...] przyjaciele Jerzego [Pleśniarowicza] ze szkolnej ławy: Zygmunt Kałużyński, Alfred Bier [...], Wiesław Choiński, Jan Żurkowski, Kazimierz Kokosiński... Zaglądali poeci drugiej awangardy. Zachował się list doktorowej Cybulskiej do syna, świeżo upieczonego studenta warszawskiej polonistyki, pisany na kilka miesięcy przed wybuchem wojny:

*Cieszę się, że przyjęcie Twoich gości – wypadło dobrze i że pan Miłosz i pan Czechowicz są tak zadowoleni z pobytu w naszym domu. Staralam się, żeby czuli się swobodnie i chociaż specjalnie nie urządzałam żadnego wystawnego przyjęcia, a raczej wszystko było w domowym zakresie z winem włącznie. Jed-*

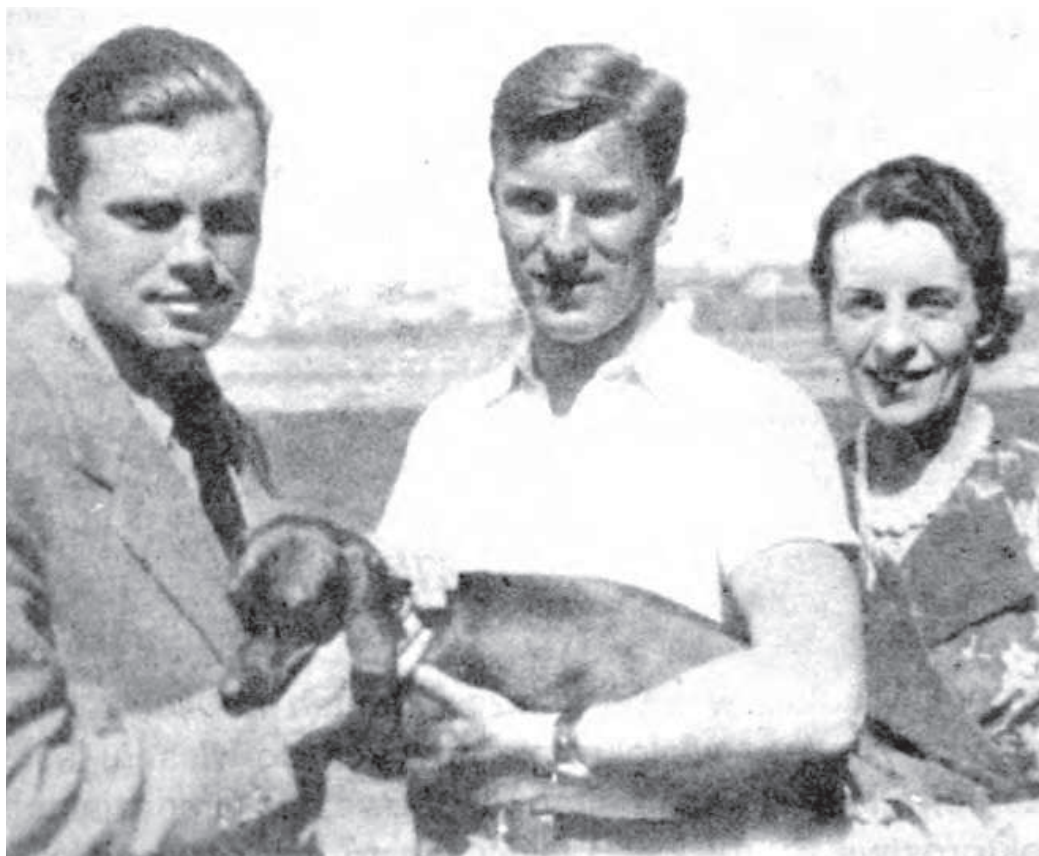
*nak jedli ze smakiem i jak pieszysz nawet to wino mojej roboty przypadło tak do gustu p. Czechowiczowi...*

Z tamtych lat pochodzi też amatorskie zdjęcie, które zrobił na balkonie z mieszkania Cybulskich jeden z kolegów ze „Staszica”, Jan Żurkowski. Obok Czesława Miłosza stoją Jerzy z Matką; Jerzy ma na rękach domowego jamnika, Norę... Miłosz po raz ostatni zatrzymał się w tym mieszkaniu w pierwszych dniach września 1939 roku. Pisał o tym w liście do syna Jerzego, Krzysztofa Pleśniarowicza:

*Znałem Pana Ojca. (...) Poznałem go chyba poprzez Czechowicza, zresztą prawie wszystko lubelskie trafiło do mnie przez niego. We wrześniu 1939 roku byłem przez parę dni w Lublinie, bardzo możliwe, że też w mieszkaniu Dr. Cybulskiego. Nosilem wtedy coś w rodzaju munduru złożonego z przypadkiem dobranych części i szukałem Czechowicza. Gdybym go znalazł, być może podzieliłbym jego los...*

(List z 6 stycznia 1986 roku)<sup>10</sup>.

<sup>10</sup> Tamże, s. 11, 13. Trzykropek w nawiasie okrągłym pochodzi od autora.



Czesław Miłosz, Jerzy Pleśniarowicz (z Norą na rękach) i Józefa Cybulska (matka Jerzego). 1939. Zbiory prywatne Krzysztofa Pleśniarowicza (fot. z książki *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, Kraków 1993).

<sup>11</sup> Józef Czechowicz, *Listy*, oprac. Tadeusz Kłak, Lublin 1977, s. 428.

<sup>12</sup> *Poezja ziemi lubelskiej* (dodatek niedzielny do „Expressu Lubelskiego i Wołyńskiego”) 1939, nr 159, s. nlb. [4].

### **Wieczór poetycki w 1939 roku**

**8 czerwca 1939 roku odbył się w Lublinie wieczór poetycki zorganizowany przez Czechowicza w ramach Dni Lubelszczyzny. Pisze on o tym w liście wysłanym do Kazimierza Andrzeja Jaworskiego z Warszawy 29 czerwca 1939:**

*W dniach od 3 do 11 czerwca są Dni Lubelszczyzny, o czym, jak sądzę, już wiesz.*

*W ramach tych Dni organizują się dwa wieczory poetyckie, czy raczej literackie, w których, mam nadzieję, weźmiesz udział.*

*Załączam program wieczorów [...]»<sup>11</sup>.*

**W programie wieczoru literackiego przewidzianego na 8 czerwca 1939 roku zostało**

**umieszczone nazwisko Jerzego Pleśniarowicza. Było to ostatnie wspólne spotkanie dużej grupy poetów lubelskich, na którym zaprezentowali swoje wiersze: Franciszka Arnsztajnowa, Konrad Bielski, Waław Gralowski, Helena Platta, Władysław Podstawka, Henryk Domiński, Jerzy Pleśniarowicz i Józef Czechowicz. Oto fragment recenzji z tego wieczoru:**

Publiczność szczególnie gorąco oklaskiwała poezję młodego, wielce utalentowanego poety p. Jerzego Pleśniarowicza, którego tom wierszy *Śpiew pierwszy* ukazał się ostatnio na półkach księgarskich, oraz Józefa Czechowicza<sup>12</sup>.



# Jerzy Pleśniarowicz – Józef Czechowicz

Być może początek ich kontaktów związany jest z wystąpieniem Czechowicza w Gimnazjum im. Hetmana Jana Zamoyskiego 21 maja 1936 roku, w czasie którego wygłosił on prelekcję o sztuce. Gimnazjum to było siedzibą redakcji dopiero co wznowionego pisma szkolnego „W Słońce”, które zorganizowało spotkanie z poetą. Przypomnijmy, że pierwszy po wznowieniu numer „W Słońce” wyszedł w maju 1936 roku, a Jerzy Pleśniarowicz był jednym z jego redaktorów.

Kilka dni później, bo 23 maja, odbyło się spotkanie z Czechowiczem w Gimnazjum im. Staszica, gdzie uczył się Jerzy Pleśniarowicz. „Kurier Poranny” (nr 143 z 24 maja 1936 roku) zamieścił o tym spotkaniu następującą informację:

W sali państwowego gimnazjum im. Stanisława Staszica odbędzie się dziś o godz. 18 wieczór artystyczny, w którego programie przewidziane są muzyka i śpiew. Słowo wstępne wygłosi p. Józef Czechowicz<sup>1</sup>.

**Zygmunt Mikulski:** [Czechowicz] był – można powiedzieć – *per procura* w naszym młodzieżowym gronie obecny za sprawą Pleśniarowicza, który odbył z nim wiele rozmów i nie skąpił nam z nich relacji, w wielu kwestiach przyjmując jego postawę<sup>2</sup>.

**Anna Kamińska:** Niestety nie znałam [Czechowicza], który, jak opowiadał Pleśniarowicz, czytał z młodym poetą każdy wers jego wiersza osobno i stawiał plus lub minus – oceniał niemal każde słowo stojące w linijce wiersza. Tak ważne to było dla niego...<sup>3</sup>.

**Czechowicz cenił Pleśniarowicza i wiązał z nim duże nadzieje. W liście do Janusza Różewicza (starszego brata Tadeusza) wysła-**

**nym z Warszawy w dniu 4 grudnia 1937 roku napisał:**

*Jest w rodzinnym moim mieście Lublinie bardzo ciekawy chłopiec 17-letni, Jerzy Pleśniarowicz. Pokładam w nim wielkie nadzieje. Cóż, kiedy nie wiadomo jeszcze, co z tego kwiatuszka wyrośnie<sup>4</sup>.*

**Zaś w liście do Stanisława Czernika wysłanym z Warszawy 25 stycznia 1938 nazwał go „świetnie zapowiadającym się młodym lubliniakiem”<sup>5</sup>.**

## Korespondencja Jerzego Pleśniarowicza z Józefem Czechowiczem

Czechowicz i Pleśniarowicz korespondowali w latach 1937-1938<sup>6</sup>. Pierwszy zachowany list wysłał Czechowicz do Pleśniarowicza 19 listopada 1937 roku z Warszawy. Z treści wynika, że ich znajomość trwała już jakiś czas.

## Pomoc Czechowicza w publikacji tekstów Jerzego Pleśniarowicza

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Kontakt [z Czechowiczem] zaowocował publikacjami w „Pionie” i „Apelu” oraz przygotowywanymi dla Wydawnictwa Hoesicka tomikami: *Arkusz Poetycki* i *Śpiew pierwszy*<sup>7</sup>.

**20 grudnia 1937 roku Czechowicz pisał:**

*Chciałbym (...), aby Pan wydał sześć do siedmiu swoich wierszy w wydawnictwie ARKUSZ POETYCKI, którego prospekt załączam<sup>8</sup>.*

**Dwa kolejne listy Czechowicza z pewnością zachęciły młodego poetę do dalszej pracy. W liście wysłanym z Warszawy w dniu 19 kwietnia 1938 roku Czechowicz pisze:**

*Dwa wiersze, które mi Pan przesłał – dobre i bardzo równe. Byłbym w kłopotcie,*

<sup>1</sup> Józef Czechowicz, *Listy*, oprac. Tadeusz Kłak, Lublin 1977, s. 332, przyp. 7.

<sup>2</sup> Zygmunt Mikulski, *Moje dzisiejsze wczoraj*, w: *Lublin literacki 1932-1982. Szkice i wspomnienia*, red. Waldemar Michalski i Józef Zięba, Lublin 1977, s. 369.

<sup>3</sup> *Powrót do źródeł. Z Anną Kamińską rozmawia Maria Brzezińska*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 65.

<sup>4</sup> Józef Czechowicz, *Listy...*, s. 383.

<sup>5</sup> Tamże, s. 393.

<sup>6</sup> Zachowaną część tej korespondencji przedrukowano w edycji listów Czechowicza, przygotowanej przez Tadeusza Kłaka. Por. przyp. 1.

<sup>7</sup> Krzysztof Pleśniarowicz, *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, Kraków 1993, s. 19. Skrót zaznaczony trzykropkiem w okrągłym nawiasie pochodzi od autora.

<sup>8</sup> Józef Czechowicz, *Listy...*, s. 387.

<sup>9</sup> Tamże, s. 399.

<sup>10</sup> Tamże, s. 403.

<sup>11</sup> Krzysztof Pleśniarowicz, *Jerzego Pleśniarowicza...*, s. 20.

<sup>12</sup> Feliks Araszkievicz, *Ruch literacki w Lubelszczyźnie 1918-1938*.

*Cyfry, daty, tytuły, nazwiska*, w: *Antologia współczesnych poetów lubelskich*, red. Ludwik Zalewski, Lublin 1939, s. 180.

<sup>13</sup> Józef Czechowicz, *Listy...*, s. 409.

<sup>14</sup> Tenże, *Awangarda idzie dalej*, w: *Wyobraźnia stwarzająca. Szkice literackie*, oprac. Tadeusz Kłak, Lublin 1972, s. 274.

<sup>15</sup> Jan Smolarz, *W bibliofilskim kręgu Józefa Czechowicza*, nadbitka z „Rocznika Biblioteki Narodowej”, Warszawa 1986, t. XVII/XVIII, s. 347. Wspomniany tomik jest przechowywany w Muzeum Literackim im. Józefa Czechowicza w Lublinie (nr inw. 46).

*gdyby Pan chciał ode mnie określenia, który z nich lepszy. [...] Jednym z „Arkuszy” ucieszy się Pan lub przerazi. Będzie to bowiem ekstrakt Pańskiego tomu<sup>9</sup>.*

**W liście wysłanym przez Czechowicza z Warszawy w dniu 28 maja 1938 roku czytamy:**

*Winszuję matury oraz postępu w wierszach. Ilekroć Pan przyśle mi swoje nowe rękopisy, czytam je z przyjemnością. W najbliższym „Apelu” będzie wydrukowany Pański wiersz<sup>10</sup>.*

## Nagroda w konkursie polonistycznym

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Razem z maturą [Jerzy] Pleśniarowicz uzyskał I nagrodę w konkursie polonistycznym Polskiej Akademii Literatury, za rozprawkę na temat: *Udowodnić, że literatura polska jest jednym z ciągłych przejawów kulturalnej łączności z Zachodem*<sup>11</sup>.

**Informacje o tej nagrodzie znajdujemy w Antologii współczesnych poetów lubelskich (wydanej w Lublinie w 1939 roku) w tekście Feliksa Araszkievicza pt. Ruch literacki w Lubelszczyźnie 1918-1938:**

Jerzy Pleśniarowicz (nagrodzony na konkursie polonistycznym P.A.L. [Polska Akademia Literatury] dla maturzystów szk. średnich)<sup>12</sup>.

## Wyjazd Jerzego Pleśniarowicza do Warszawy w 1938 roku

Po maturze w roku 1938 Pleśniarowicz przeniósł się do stolicy, gdzie mieszkał i pracował jego ojciec. W liście wysłanym do niego z Warszawy w dniu 10 lipca 1938 roku Czechowicz napisze: „Grono lubliniaków oczekuje Pana”<sup>13</sup>.

## Tomik poezji Jerzego Pleśniarowicza *Śpiew pierwszy*

W maju 1939 roku wydawnictwo F. Hoesicka opublikowało zbiorek wierszy Jerzego Pleśniarowicza *Śpiew pierwszy*. Przygotowywa-

ny również tam *Arkusze poetycki nie zdążył się już ukazać – wybuchła wojna*. W „Kurierze Porannym” z 4 sierpnia 1939 roku została natomiast opublikowana recenzja Czechowicza ze *Śpiewu pierwszego*, zatytułowana *Awangarda idzie dalej* (w maszynopisie tytuł brzmiał: «*Śpiew pierwszy*» J. Pleśniarowicza). Oto fragment tej recenzji:

Tomik wierszy Pleśniarowicza jest niewielki i liczy ledwie 32 strony, a zawiera 15 utworów. Mimo to materiał ten nie jest zbyt skąpy, aby go użyć do analizy i wyprowadzenia pewnych wniosków. [...].

Gdyby się chciało szukać najbliższych Pleśniarowiczowi pokrewieństw poetyckich, należałoby upatrywać je nie w poezji polskiej, lecz w ukraińskiej, a zwłaszcza w Pawle Tyczynie z pierwszego, melodyjnego okresu jego twórczości. O całości sprawy trzeba powiedzieć: udany, piękny debiut<sup>14</sup>.

## Dedykacja dla Józefa Czechowicza

**Jan Smolarz:** Dziewiętnastoletni Jerzy Pleśniarowicz, wtedy student polonistyki UW, w czasie odwiedzin w mieszkaniu Czechowicza przy ulicy Narbutta w Warszawie w dniu 1 czerwca 1939 roku do swej pierwszej [...] publikacji poetyckiej [*Śpiew pierwszy*] wpisał wyznaczenie: „Panu Józefowi Czechowiczowi pierwszemu wśród poetów, do którego utworów przywiązałem się tak bardzo, że wspomnieniami Lublina, wszystkich rozmów, książek, obrazów te wiersze napisane dla młodości i przyjaźni [...]”<sup>15</sup>. **Pamięci Czechowicza poświęcił Pleśniarowicz napisany w czasie okupacji wiersz *pieśń*. W roku 1945 w wychodzącym w Lublinie „Zdroju” w numerze pierwszym z 1 września ukazał się artykuł Pleśniarowicza pt. *Poeta ziemi lubelskiej*. Był to pierwszy tekst w powojennej prasie polskiej dotyczący twórczości Czechowicza.**

# Nieformalna grupa poetycka (1939–1946)

## Wojna

Mimo trwającej wojny twórcy pisma „W Słońce” – Julia Hartwig, Zygmunt Kałużyński, Zygmunt Mikulski, Jerzy Pleśniarowicz, Igor Sikirycki, pozostawali ze sobą w kontakcie. Zygmunt Mikulski: Przyszła okupacja. Życie literackie zeszło na margines [...]. Ale ten margines był [...] ucieczką przed nastrojem katastrofizmu rzeczywistego, podczas gdy poprzedni katastrofizm istniał jako literacki. Pożyczane książki, kartki z wierszami wymieniane między przyjaciółmi były jedynym, więc tym bardziej cennym środkiem intelektualnej komunikacji. Powstała, jak to się dziś mówi, nieformalna grupa<sup>1</sup>.

W roku 1940 do Warszawy na studia na tajnym Uniwersytecie Warszawskim wyjeżdża Julia Hartwig. Rok później Jerzy Pleśniarowicz przenosi się do Nałęczowa. Niemniej członkowie dawnej redakcji pisma „W Słońce” nadal utrzymują ze sobą kontakty. Świadczy o tym m.in. zachowana korespondencja między Kałużyńskim i Pleśniarowiczem.

Krzysztof Pleśniarowicz: Śladem grupowej więzi młodego pokolenia lubelskich poetów są [...] dedykacje wierszy z okupacyjnego tomiku Pleśniarowicza *droga* (1942). Wszystkie utwory autor dedykował „Przyjaźni”, trzy miały ukryte za kryptonimami, imienne dedykacje: *drzwi uchylone* – Z. M. (Zygmuntowi Mikulskiemu), *ballada* – J. H. (Julii Hartwig), *poemat* – Z. K. (Zygmuntowi Kałużyńskiemu)<sup>2</sup>.

## Ostatni okres okupacji

Pod koniec okupacji (wiosną 1944) Julia Hartwig przyjeżdża do swojej przyjaciółki Anny Kamińskiej pod Lublin, uciekając z Warszawy przed gestapo, które zaczęło jej

poszukiwać. Poprzez przyjaźń z Julią Hartwig również Kamińska znalazła się w kręgu dawnych redaktorów „W Słońce”. Z tego okresu zachowały się listy pisane zarówno przez Julię Hartwig, jak i Annę Kamińską do Jerzego Pleśniarowicza przebywającego w tym czasie w Nałęczowie.

Krzysztof Pleśniarowicz: Julia Hartwig tak pisała o dedykowanym jej wierszu Pleśniarowicza *Uwielokrotnieni* przez gwar:

*Drogi Jerzy, moja chęć napisania do Ciebie powinna się przeciągnąć w list bardzo długi. Dziękuję Ci za piękny wiersz. Bardzo jest koncepcjonalny, odwrócony od barwności, jest w nim powaga momentu nagle obciążonego poezją. Oceniam surowość tematu i uczuciową wstrzemięźliwość. [...] Chciałabym przeczytać z Tobą kilka wierszy, pochwyć żywą materię i usłyszeć jak myślisz o tym. Przepisałyśmy Ci z Hanką nowego Przybosia (...).*

[List bez daty]

Hanka – oczywiście Kamińska – dodawała w liście z Kalinówki 17 czerwca 1944 roku:

*(...) Z Warszawy przywiozłam w maju nowy zbiór Przybosia, którego treścią jest usprawiedliwienie poezji wobec wojny jako jedynej próby zwycięstwa. (...) W poezji Przybosia wojna trwała zawsze, przedmioty zwykłe, które u Czechowicza leżały zewnątrz i obojętnie pod oknem na stole – dla Przybosia naładowane były wieczną możliwością wybuchu. Teraz ich treść rzeczywista, użytkowa, uzgodniła się z ich pesymizmem godzącym w człowieka. Ze względu na jakieś idealne poczucie związków ludzkich wobec takiej sztuki, zależy nam*

<sup>1</sup> Zygmunt Mikulski, *Moje dzisiejsze wczoraj*, w: *Lublin literacki 1932-1982. Szkice i wspomnienia*, red. Waldemar Michalski, Józef Zięba, Lublin 1984, s. 369-370.

<sup>2</sup> Krzysztof Pleśniarowicz, *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, Kraków 1993, s. 32-33.



drzwi uchylone

przedmieście uchylone popołudnie drzwi

przedmieście stwarza piosenka i  
koła niewidzialne wozów  
przesypuje przygwar  
wszędzie dzienne sprawy  
ulicą oddaloną o śmiech dzieci  
najmniejsze sylabizuje kroki

popołudnie napina żagle pogody  
mozolnie słońce cienie odmierza ludziom i rzeczom  
a powiew zielony  
zapala szelesty jak usta  
tak lekko  
że dłoń powietrza duża  
zmienia wróble w płatki bure lotu

ceglane domy to umilkłe łuny  
w ogrodach zmierzchu  
w ogrodach  
zsadzonych wykrzyknikami i znakami zapytania

przez uchylone czyżby rzeczywistości drzwi  
kilka promieni prostych  
prowadzi do  
jasności otchłani  
wśród światła świata przygwaru

Wiersz Jerzego Pleśniarowicza *drzwi uchylone* dedykowany Zygmuntovi Mikulskiemu. Z tomu *droga* (1942).

*bardzo, Julii i mnie, na tym, aby poznał Pan te wiersze, jeśli ich Pan jeszcze nie zna. Może będzie jeszcze okazja mówić razem o Przybosiu.*

Tomik Przybosia, o którym piszą obie poetki, zachował się w archiwum Pleśniarowicza. Jest to przepisany ręką Anny Kamieńskiej zbiorek *Póki my żyjemy*, rozpowszechniany wówczas konspiracyjnie, z fałszywym nazwiskiem autora: Juliana Wgłableskiego<sup>3</sup>.

**Tak mówi o tomiku wierszy Przybosia Julia Hartwig:**

Tom Przybosia *Póki my żyjemy* zrobił wtedy na mnie tak wielkie wrażenie. I chociaż był napisany w technice awangardowej, która nie zawsze trafia do każdego czytelnika, to on był jednak bardzo mocnym świadectwem tego czasu<sup>4</sup>.

<sup>3</sup> Tamże, s. 32-33. Trzykropki w nawiasach okrągłych pochodzą od autora.

<sup>4</sup> *Wieczór literacki.*

*Z Julią Hartwig rozmawia Maria Brzezińska.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 95.

<sup>5</sup> Zygmunta Mikulskiego, *Moje dzisiejsze wczoraj...*, s. 370.

<sup>6</sup> Tenże, *Hartwiżanka.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 75-76.

**Po wojnie – Lubelska Grupa Literacka**

Zaraz po zakończeniu wojny dawni redaktorzy pisma „W Słońce” nadal utrzymują ze sobą kontakty. Spotykają się u Hartwiżanki na Narutowicza 23 albo u Kałużyńskiego (w mieszkaniu jego wuja, mecenasa Grafczyńskiego, na ulicy Niecałej 10), by rozmawiać o poezji i sztuce. Wymieniają między sobą przeczytane książki. Tak wspomina ten czas Zygmunta Mikulskiego:

Po wyzwoleniu – Hartwiżanka, Kamieńska, Pleśniarowicz, Kałużyński, Sikirycki i ja – byliśmy traktowani jak lubelska grupa poetycka, mimo że do charakteru grupy w znaczeniu przyjętym w dwudziestolecie było nam jak Sasowi do lasa: żadna wspólnota poetyk, żadna skłonność do zbiorowego manifestu<sup>5</sup>.

\*

Zaraz po wojnie Hartwiżanka nie podjęła żadnej pracy etatowej, za to jej mieszkanie było miejscem ciągłych spotkań młodych lubliniaków: Anny Kamieńskiej, Jerzego Pleśniarowicza i Zygmunta Kałużyńskiego, zaangażowanych nadmiarem problemów, które wybuchły wraz z wyzwoleniem i domagały się rozwiązania. Jakich problemów? W Lublinie zrobiło się gwarno i rojno jak na dworcu, znaleźli się tu nie tylko poeci-kościuszkowcy przybyli wraz z ofensywą ze Wschodu, ale również ci wszyscy skądinąd, których tu objął front wyzwoleniowy, więc „grupa lubelska”, nie istniejąc poprzednio, wówczas została niejako wywołana warunkami otoczenia. Zachodziła również różnica poetyk. „Grupa” znajdowała się wyraźnie na przedłużeniu dwudziestolecia międzywojennego, tam przecież tkwiąc własnymi początkami, więc różnica w stosunku do pisarzy dysponujących doświadczeniem nie okupacyjnym, lecz wojennym była wyraźna. Co zresztą artystycznie wcale nie świadczy na niekorzyść lublinian<sup>6</sup>.

\*

W mieszkaniu Kałużyńskiego [przy ulicy Niecałej 10] [...] znajdowało się

centrum spotkań pokrewnych mu zainteresowaniami intelektualistów. [...] Przychodziło się, gadało, słuchało Kałużyńskiego – o dziwo – całkiem niezłe radzące sobie z klawiaturą fortepianu<sup>7</sup>.

\*

Dla literatów przybyłych z dywizją kościuszkowską byliśmy „formalistami”, „parnasistami” [...] skoro sami podejmowali przede wszystkim tematykę społeczną i patriotyczną, dla nas oni byli schematystami, nie ograniczającymi kwestii ściśle literackich od propagandowej funkcji poezji. [...] Tak więc grupka młodych, mimo tutejszego pochodzenia, stanowiła jakby diasporę, rządzącą się swoimi prawami i nastawioną na zdobycie własnej pozycji w ówczesnym życiu literackim. [...] Osobliwy [był], dziś niespotykany klimat takiej „filareckiej” grupki. Pożyczaliśmy sobie książki, wymieniali napisane wiersze, spieraliśmy się o przyszłość ludzkości. I trwała nieustanna licytacja na orientację, na wznoszenie nowych elementów świadomości. Sensacyjki wydawnicze i czasopiśmiennicze, nowe nazwiska w wierszopisarstwie, śmieszności w dykcji Juliusza Kleina (trochę seplenił, co nie obniżało powagi profesora, o Irzykowskim mówiło się to bez skrępowania, a nawet Boy – nie do wiary, ale tak przekazuje świadectwo słuchaczy – wiele tracił na spotkaniach z audytorium przez piskliwość swojej wymowy) – to było w „kursie” rozmów<sup>8</sup>.

### Spotkanie młodych poetów z Jerzym Putramentem

**W drugiej połowie sierpnia 1944 roku za pośrednictwem Jerzego Pleśniarowicza dochodzi do spotkania młodych lubelskich poetów z Jerzym Putramentem, który był wtedy zastępcą redaktora naczelnego „Rzeczpospolitej”.**

**Zygmunt Mikulski:** [Putrament] mówił, że zwierzałe przez okupację kryteria literackie muszą ustąpić innemu

### ballada

milczy świeca i ciemności sieć  
i chmura potrząsa grzywą z popiołów  
rozstajne drogi to klucze  
oddalenia  
od przeczuć stąpa mgła niżej

milczy świeca nic  
tylko gwaru szczekanie  
zaczajonego w cierpliwych krzakach  
i  
broczy bór

nagle  
okrzyk gwiazdy jedynej  
ostateczny  
pruje świetliste linie obrotów ziemskich

wsparci na własnych cieniach  
oczekują  
wybuchu  
sekund

utopiona twój głos nocy  
budzi  
lwy  
ciszy

inne gwiazdy zdumione spadają w wodę wezbraną

spojrzeniu na literaturę, która ma teraz towarzyszyć pracy i odbudowie. Że zwalczać trzeba przede wszystkim jałowy estetyzm zamykający twórcę w kręgu jego własnej osobowości. Chodząc po pokoju wzdłuż i wszerz, wykladał dalej: „Weźcie pod uwagę, że w wyniku realizacji reform ustrojowych narodzi się nowy czytelnik. Czytelnik wymagający, oczekujący pisarskiego świadectwa spraw, które znajdują się w polu jego zainteresowania. Nie wystarczy już mówić w swoim imieniu. Pisarz ma stać się wyrazicielem zbiorowości i od tego, jak swą rolę przyjmie, zależeć będzie jego pozycja w nowej hierarchii społecznej”. [...] Ta wypowiedź Putramenta w dość dobrze zakonserwowanym kształcie przetrwała przez lata w mojej pamięci. W jakże jaskrawej sprzeczności była do naszego bagażu humanizmu, może

Wiersz Jerzego Pleśniarowicza *ballada* dedykowany Julii Hartwig. Z tomu *droga* (1942).

<sup>7</sup> Tenże, *Lubelscy filomaci*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 68.

<sup>8</sup> Tenże, *Anna Kamieńska*, „Kamena” 1986, nr 12, s. 7.

<sup>9</sup> Cyt. za: Zbigniew Miazga, *Zdarzyło się: Lublin 1944*, Lublin 2004, s. 41.



# Poezje

**JULIA HARTWIG**

## Pejzaże

Od zapachu padliny w zgniłą woń stawów, potem miękkie ścieżki na forsiastej łące z widokiem na wieczorne, fabryczne kominy. Pod ogromnymi słonecznikami ukośna drewniana buda zaryta w wilgotną trawę. Sieliska i wulgarna, nasuwająca konfeczne zaciekawienie nieporobawione wstrętu: dotyczy jej mieszkańców — złodziejskiej cyganerii romantycznej i plugawej. Ale puisto — tylko pies podczłwiży i wyniwały, do obrzydliwej zgody z krajobrazem.

Kiedy zastąpiła nam drogę rzeka — stał już w niej słup słońca zachodni i jaskrawy. W cieniu była rudo-granatowa i zapowiadala duszną i mglistą noc. Jakis potężny i brązowy fort męski bardzo doskonały obrócił ku nam naraz kwadratową prostą twarz. Stojąc tak pod niebem obłocznym, bujnym, żółtawym, zadawał kłam ludzi pomnikom zwycięstwa, nagiej godności zamysłonego gladiatora. Bieglimy prawie, ale statyka obrazów trwała. Krwawość słońca nie zmierzchała a głuchy ból przedmieścia pulsował w naszym szybkim kroku.

**ANNA KAMIENSKA**

## Wiosna 1942

Kiedy ucichną pociągów deszcze ostre jak stal, kiedy odwieje się czaru kurtyna ciężka, wówczas pluskają deszcze, wówczas niech się zaczyna

dzień w okach siatki skowrończej. Teraz jaka noc hasa po dniach wiosennych! Jakże z warg wioski śięga pianę kwiatu — oddech gniewu studzienny.

Teraz oślepną dępy żyta modre od rosy, pięć dymu marz na niebach jak iza.

Dymi przed nim niebiesko ścieżka w chłodzie: Lokomotywa zakrywa go białą gęstą dymu. Wiatr porywistym skrzydłem podnosi przed nim zapadły w kotłnię śpiew skowronka. Spada mu na plecy dźwiękiem perlisty, kształtem i dotykem szeroki i łopoczący jak płaszcz albo żagiel.

Idzie ścieżka w polu. Leży na wietrze, na powietrze, zwartym ciężarem ciała, które posuwa się ku mnie. W nocy ścieżka jest niebieska od księżycy. Wiatr ustal i wysadził go, pasażera na gąs, zaczepiwszy przy najbliższym kamieniu. Idzie więc teraz inaczej. Podkakuje jak nocny konik polny przyciągany co chwila przez księżyc zarobliwie ku górze. Opada i znów odbija się od gliniastej, gętkiej ścieżki.

Ścieżka prowadzi do mnie, a konik polny i żeglarz i nocny podróznik — to mój ukochany. Ścieżka prowadzi do piętrowego domku koło lasu, gdzie siedzę opisując moje wzruszenie. I gdzie mieszczę się, by je zapisać, zanim zagrzebie mały domek bomba prawdziwa od porzyl i wyprowadzi niebieską ścieżkę dymu, po której nikt nie chodzi.

Gdzieś, jakże daleko, zabrząkły sianokosy wonne. Tam zdawało się — ojczyzna.

Teraz po krwawych ghettsach weszły płomienie. Nie ma placu — bo nie wiesz — po kim. Liście jak rozdarte dłonie trzęsą tragicznym urokiem.

Teraz spokojem sejzor leżą scenne przepalące bomb, strzechy w lakrach stoją. O podpalacze jak — my, inicy o wojennych pożogach w kurzu trzefni do kolan.

## Listopad

Falną kreską we mgłę stworzono miasto. Dwa wilgotne pęzle mamy w oczach. Pierścione mgły wszystko okala. Most nawet jest, ucięty w samą topiel parującej wody. Och, ten impet fal mleka belkocącego w blaszankach, ten zatrątny pęd furmanek, gdy konie jakby weszły rozwiewają grzywy, garby okratowanych w chustki bab ciągną uparte. Po deskach bębnią wierzby buraków, drewnianych bulw, listopadowy akord. Gdyby głowy same — nie byłby stałe groźniejszy. To wszystko dobiega ino do mgły, tonie w niej nagłym zaskokiem. Próżno krzyż zdaleka zbliża linię horyzontu, modrzew wygięty przypomina przystulność siola, wierzba dawno wzięta w błąd świat. Wolny wygnaniec miasta i wsi stojąc na moście żaluje furii ataku, której brak sercu, płacząc za rozpaczną energią pędu rozlanego we mgłę; gdy ręce

tekną do zamachu pióra, przejazd kobiecych pleców obejmuje je bólem. Zniknąć na skręcie, jak te plecy nie oglądając się za siebie, jak one atakować do bram i wież miasta, w którym człowiek pewien upuściła właśnie książkę opartą o poręcz fotela i prawe kolano. Stuk książki słyszę poprzez plusk rzeki. Wiem, że nachylenie moje nad poręczą mostu znaczy... Cokolwiek znaczy, zabieram ten pejzaż i narodowy. Jest: dzień — listopada później, rok [ranny] [wojenny]

Śwyt włosami pracujących matek. O miasto, miasto, gdy ty medalion zamku zardzewiały wykopujesz z mgły jestem jedynym odbiorcą siły szturmującej do ciebie. Wiem, że jest bezowoona, próżna, daremna, jak dni, które idą, które mijają.

**JERZY PLESNIAROWICZ**

## Ballada

Żłowieli w ciemność, zaczajeni w ciepłych krzakach chcą przerwać nudzące opowiadanie poigru. Zaczajnik przyklepnął tuż przy torze, błękitniejszą wąską, oddechy drzew, wiatr niespodziewanie szacha i poploch-traw zbiega ze stronnego nasypu. Wsparci na własnych cieniach oczekują wybuchu.

Nagle ostateczny okrzyk gwiazdy sekundą pruje świetliste linie obrotów ziemskich. Inne gwiazdy zdurzone spadają w wodę wzburaną.

**ZBIGNIEW PIOTROWSKI**

## Przemarsz

Lipy w ramiona chude miękko objęły kościół i żołnierzowi żołnierz likrę podawał z bagnetu. Droga biegła przed pieczęią a pod ścianami malwy, której dawno zapomniał, przeleń.

— Nie zapomnisz, ja wrócę — żołnierze śpiewali. [Wyżej]

obłok szary jak płótno zawisł na dzwonnicy. Wiatr płał się w zlocieniacz rzyżych zgnubil szepc swój w przedkich czwórkach konnicy.

Wracały kobiety drogą z konwiami siwego [powietrza], dzieci płowe jak len trwożnie śladły na płotach. Przez czarne szpechy kół świat widać było [naprzestzał] —

zbrudził go kurz apod nóg maszerującej piechoty.

Na drutach jaskółek śpiewne nuty.

Sypał się zimierzch siwą gorczyczą piolunu, osiadał na rzętach płowych, na wargach. Nocą pily dziewczyny. Fytały — ale nocy nie było i wiatr im włosy potargał.

Bo żrenice pełne były milczenia na rzyżkach i księżyc toczyły się nisko w noc... W noc poszli żołnierze i tylko zgubiony na drodze kwiat plomikiem błyskał.

**ZYGMUNT MIKULSKI**

## Niedokończona opowieść

Sierżantom liście lgną do barwy szyneli, jak jęczmie za czasów Warszawianki i wiatr sycony gazem łzawi ze wszystkich pobojowisk. To nie Chopin, nie listopadowe powstanie z powieści czystanej, aż oddr. czerwony krwi końskiej, jak opar legendy uderza w nozdrza.

W olszynie grochowskiej zostały same paleczki z potarganych werbli, i ciągle ktoś na nowo podany w przód dla historii, dla okrzyków, dla bohaterstwa o koło armaty zamkniętej wobec głosu sprawy zaczęła, by coraz wolniej od ziemi ku niebu nieruchomieć.

Generale! Wrony podają takt twoim rozrwanym w przeszłości-wiarusom. Adiantum wśród nocnych ogni przemycają powieść Zeromskiego przez kordon i tylko 'drzewa grają jęczmie epos wielostrunny. Generale...

Zachylałem się dalek przbiegając brudną wczorajszych kul. wysłannik wiatru.

Generale bez orderu istnienia —

To tylko układa okolicę z klepek odgłosu terkot furmanki, którą moja matka jechała na Pragę.

**IGOR SIKIRYCKI**

## Sen kapitana

M. Olejarnikowi

Każda noc odpływała okrętem. Sen na rżnie dnia białej przyskał. Cóż silniej przycygotu tętent Dłoń chłopięcą na wiosłach zaczęła.

Polem z wiosel wyrosły maszty I od morza ląd namgle odbił. Tamten odpływ w pamięci zastępnł, Tamten wieczór do dziś się modli.

Już na skroniach dym z fajki osiadał. Atlantyda wciąż głębiej i bliżej.

Każdy dzień oczom pokład podnosi, Każda noc pochyla się niżej.

Globus kłamał jak portret dziewczyny, Którą wciąż w tajemnicy kochał. Zły rzek obracają turbiny A od przygód śmierć tylko cofa.

Archipelag butelek sen sypiał. Kapitanie! Do końca dopij. Drż na niebie sygnały okrętów Gwiazd, które świat zatopi.

**JÓZEF STACHOWSKI**

## Rozmowy z przyjaciółmi

To tak jakbyś przewracał zlej powieści karty. Wiesz wszystko: kolor oczu, nos, kształt i ciępy [wzrost].

którym smutny bohater uwaga przykuwa, niemiłych faktów koleji, rozdziału pogardy, białe nocy, co leży jak czułe jak śnieg na barki czytelnika, jeśli umie ująć, aż wreszcie światło zgasnie. Wtedy tylko zmory niby letnich, owadów brzęk i rozmów cieniem i widzę chłodne niebo wygięte jak kielich i mgłę tak nieobjęta jak ludzkie cierpienie. I odchodzi od ciebie genialni stratedzy na kształt paw — Przez chwilę niby świętym [piórem]

połą płaszczu zaświecą na poręczy schodów aby zginąć jak gniaz wszelkie źródła wiedzy przed oblicza nieuków; gdzieś kamienie, mury zchlona ich niby bramy cieższych ogrodów. To przyszłość twoja! Ale nigdy gniew, co nieraz bądaj cieżką nitką niby trzmiela bzykaniem w sercu wre nie zima, czoła, bo wiesz dobrze, że wkrótce półród nagich drzew pląkany ich imieniem płótno będą wolać,

że nie zjawia się kiedyś (chyba mocą wcielen w kręgu nowych pokoleń, być może szczęśliw- [szych]).

Jesteś sam. Gwiazdy wchodzą przez okna jak ludzie i żał coraz się wzmagają. Więc myślisz o wictrze, do przewraca twe wnętrze i kopie jak w rudzie, a potem znnowu myślisz o owej powieści, z której gdy zdjąć powierzchnię, co speści jak [rozdzi], aniel prawdy wnet skrzydłem jarzącym szeleści lejąc promienne światło, a promień ten trwa. Lecz jeszcze bardziej ciężko. Wspominasz — daleki, z odległej wyspy z własnego pokoju rękę chmurą wyciągasz, ażeby połączyć i jak wędkę wzrok rzucasz pod nieznane brzozy, gdzie tak wielu przyjaciół już rzędami stoi. Aż wreszcie jakli cień czy powiew piękna przesuwa się po ścianach niby po ekranie... Wtedy znnowu prowadzisz niemądre rozmowy w gronie przyjaciół niemych. I jest mu czekanie, co jak plamię palący, jak miłość surowy.



nawet XIX-wiecznego, do naszych nawyków kulturowych, estetycznych, jakie odziedziczyliśmy po okresie dwudziestolecia<sup>9</sup>.

### **Wspomnienie ze spotkania zanotowała Anna Kamińska:**

Kiedy redakcja pierwszego pisma literackiego „Odrodzenie” była jeszcze pustym pokojem, grupa młodych poetów lubelskich zjawiała się w niej z teczkami swoich wierszy. Przyjął nas kpt. Jerzy Putrament, oglądał, czytał, coś mu wyraźnie się nie podobało, mimo że pomógł nam zorganizować duży, zbiorowy poranek autorski<sup>10</sup>.

**Mimo że uczestnicy spotkania przynieśli ze sobą swoje teksty z nadzieją, że zainteresują nimi znanego poetę – nic takiego się nie stało. Dla Putramenta jedynym celem tej rozmowy było przekonanie ich do pracy dla władzy ludowej.**

Po tym spotkaniu Kamińska i Kałużyński zostali skierowani do mającego powstać tygodnika „Wieś”, Mikulski do radia, Julia Hartwig natomiast nie dostała żadnego przydziału.

### **Poranek autorski – 3 września 1944 roku**

Zaraz na początku września m.in. Julia Hartwig i Anna Kamińska zorganizowały poranek autorski. W informacji o tym spotkaniu sprawozdawca „Rzeczpospolitej” zaznaczył, że po występie Juliana Przybosia, który patronował młodym, swoje utwory przeczytała czwórka poetów, stanowiąca zwartą grupę poetów lubelskich. Byli to: Julia Hartwig, Anna Kamińska, Zygmunt Mikulski i Jerzy Pleśniarowicz.

**Wspomniany poranek autorski miał miejsce w budynku przy ulicy Radziwiłłowskiej. Píše o tym Zygmunt Mikulski:**

Zaraz po wyzwoleniu ten pałacyk został oddany na potrzeby literatów jako ich mieszkania, tam też odbyło się pierwsze inauguracyjne zebranie (zjazd?) reaktywowanego po wojnie Związku Zawodowego Literatów Polskich, a co dla nas ważniejsze, miejsce

zbiorowego poranku autorskiego naszej grupki<sup>11</sup>.

**Anna Kamińska:** Czytaliśmy swoje utwory trochę zarozumiale i butnie. Julian Przyboś, którego tom wierszy wojennych *Póki my żyjemy* znaleźliśmy już w czasie okupacji z ręcznych odpisów – wydawał się z nas dość zadowolony i kiwał głową w pierwszym rzędzie krzesel. Byliśmy i nadal chcieliśmy być jego uczniami. Kształt patriotyzmu, jaki czerpaliśmy z tomu *Póki my żyjemy*, i odpowiedzialność za słowo Przybosia odpowiadały naszym okupacyjnym i inteligenckim kontemplacjom. Najlepszą jednak lekcję w paru słowach podniesionych ku górze tonem zapytania dał nam po zakończeniu poranku Mieczysław Jastrun.

– To piękne, ale czy to moralne pisać tak w chwili obecnej? – zapytał nas przy wyjściu<sup>12</sup>.

**Zofia Zarębianka:** Śladem tego spotkania była kolumna wierszy opublikowanych w „Odrodzeniu” w nr 10/12 z dnia 15 stycznia 1945. Wymienieni poeci uważani byli za zwartą grupę poetycką, choć w świadomości uczestników (Kamińska, Hartwig) stanowili nie tyle ugrupowanie literackie, co grono przyjaciół<sup>13</sup>.

### **O zainteresowaniach poetyckich swojej grupy mówi Anna Kamińska:**

Pisaliśmy wiersze, których opisowy liryzm był podobno ściśle lubelskiego chowu i którego „piękność” zganił od razu po przyjeździe do Lublina Mieczysław Jastrun<sup>14</sup>.

### **Ten krytyczny stosunek Jastruna do lubelskiej młodzieży literackiej potwierdza wspomnienie Józefa Hena:**

A lubelska młodzież literacka? Niech odpowie za mnie Jastrun, który dojrzałym okiem ogarnął rzeczywistość 1944 roku. Oto fragment jego lubelskiego artykułu pt. *Poezja i poetyckość*: „Mieszkańska młodzież literacka, w swojej większości, mimo straszliwie trzeźwiejących lat okupacji hit-

Na sąsiedniej stronie: wiersze m.in. Julii Hartwig, Anny Kamińskiej, Jerzego Pleśniarowicza, Zygmunta Mikulskiego i Igora Sikiryckiego opublikowane w „Odrodzeniu” 1945, nr 10-12, s. 2. Pismo w zbiorach WBP im. Hieronima Łopacińskiego.

<sup>10</sup> Cyt. za: Zygmunt Chojnowski, *Metamorfozy Anny Kamińskiej*, Olsztyn 1995, s. 17.

<sup>11</sup> Zygmunt Mikulski, *Lubelscy filomaci...*, s. 68.

<sup>12</sup> Cyt. za: Zbigniew Chojnowski, *Metamorfozy Anny Kamińskiej...*, s. 17.

<sup>13</sup> Zofia Zarębianka, *Zakorzenia Anny Kamińskiej*, Kraków 1997, s. 25, przyp. 7.

<sup>14</sup> Anna Kamińska, *List z Lublina*, „Wieś” 1948, nr 27.

<sup>15</sup> Józef Hen, *Konfrontacja w Lublinie*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 60.

<sup>16</sup> Zygmunt Mikulski, *Moje dzisiejsze wczoraj...*, s. 370.

<sup>17</sup> Krzysztof Pleśniarowicz, *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, Kraków 1993, s. 33.

<sup>18</sup> *Największe szczęście, największy ból. Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 111.

lerowskiej, nie nauczyła się niczego. Z rozpaczą słucha się dzisiaj – jakby to było zbudzenie z pięcioletniego letargu – tych samych nieskontrolowanych formalistycznych wynurzeń na temat «paseizmu» i «nowatorstwa», zwrotki i wolnego wiersza. Czym żyli? Czym karmili się podczas tych groźnych lat? Karmili się okrucami owego specyficznego baroku pewnego odłamu retorycznej poezji, który nazwałbym «barokiem sanacyjnym», albo w lepszym wypadku tak zwanej awangardy, przejmując jednak z niej nie jej istotne zdobycze, lecz zaledwie kształt zewnętrzny. Istniał w Warszawie odłam liryków mających ambicje pisania wierszy możliwie nieczytelnych, ciemnych ową ciemnością, za którą nie kryje się nic. W trudnych warunkach konspiracji powielano na hektografie poematy ambitnych wierszopisów, które pretendowały do najgorszego z kunsztów: sztuczności i osiągały niewątpliwie jedno: były doskonale izolowane od sytuacji politycznej, dziejowej, ludzkiej – kraju, krwawiącego pod niesłychanym w historii dwóch tysięcy lat terrorem<sup>15</sup>.

### **Wybór wierszy poetów lubelskich**

Zygmunt Mikulski: Złączono nas wspólnymi okładkami, wydając w roku 1945 książeczkę pt. *Wybór wierszy poetów lubelskich*<sup>16</sup>.

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Razem z pozostałymi członkami zwartej grupy lubelskiej (jak pisał po latach Józef Zięba): Hartwig, Kamińską, Mikulskim, a także Zbigniewem Piotrkowskim, Igorem Sikiryckim i Stanisławą Zakrzewską, Pleśniarowicz wystąpił w *Wyborze wierszy poetów lubelskich*, ogłoszonym w Lublinie już po wyzwoleniu, w 1945 roku, pod firmą Związku Zawodowego Literatów Polskich<sup>17</sup>.

**Tak skomentowała ten okres i wspomniany wyżej *Wybór wierszy poetów lubelskich* Julia Hartwig:**

Entuzjazm, owszem, był, ale głównie po stronie pisarzy, którzy przyszli z I Armią, jak Putrament, Ważyk, Pasternak, później Jastrun. Odbywało się coś w rodzaju łapanki na młodych, opublikowano wówczas nasze wiersze w słabiułkiej antologii poetów lubelskich. Mnie jednak trudno było się poddać nastrojom, ponieważ zaraz po wejściu Armii Radzieckiej został aresztowany Edward. Wywieziono go do obozu i zwolniono dopiero po półtora roku. To było bardzo bolesne przeżycie, które mnie wtedy wypełniło prawie bez reszty<sup>18</sup>.

**Bardzo szybko drogi tego „filareckiego” kręgu przyjaciół rozeszły się. Możemy uznać, że wydanie *Wyboru wierszy poetów lubelskich* zakończyło ich bardzo interesująco zapowiadającą się historię.**

# Julia Hartwig

## Między 1939 a 1946

### Zaraz na początku wojny (jesienią 1939) Julia Hartwig wyjeżdża z Lublina.

**Julia Hartwig:** Po raz pierwszy wyjechałam [z Lublina] na dłużej do majątku Struża na tzw. kondycję do państwa Szczepańskich. Czyli byłam domową nauczycielką ich trzech córek. Trwało to pół roku, potem wyjechałam do Warszawy, z inspiracji dyrektorki szkoły, która zaprotegowała mnie na uniwersytet, na tajne komplety<sup>1</sup>.

\*

W pierwszym okresie wojny uczyłam w prywatnym podlubelskim domu, ale też bardzo szybko zaczęłam brać udział w ruchu oporu. Byłam kurierką i dużo jeździłam do Lwowa, do Krakowa, byłam w różnych małych miasteczkach, wszędzie tam, gdzie mnie posyłano. Potem przeniosłam się do Warszawy, ale pracy kurierskiej nie zaniechałam, zaczęłam też chodzić na uniwersytet podziemny. Tak że w tej biedzie i tym ogólnym nieszczęściu toczyło się też życie, pełne jakiejś nadziei i normalności<sup>2</sup>.

### Wyjazd do Warszawy (1940)

**Julia Hartwig:** W roku 1940, po krótkim pobycie na wsi u państwa Szczepańskich, właścicieli niewielkiego majątku Struża, gdzie uczyłam ich trzy córki, wróciłam do Lublina, gdzie dyrektorka mojej szkoły – a było to świetne Gimnazjum Państwowe imienia Unii Lubelskiej – zaproponowała mi studia na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Przystąpiłam na to z wdzięcznością, Lublin nie był już tym samym miastem co niegdyś, co przed wojną. Utworzenie getta, wymordowanie Żydów i zniszczenie Starego Miasta było zbrodnią dokonaną nie

tylko na ludziach, ale i na micie Lublina, na moich własnych wspomnieniach dzieciństwa. Wyjazd do Warszawy budził nadzieje na jakąś odmianę. Zapisalam się na wydział filologii polskiej i wypełniałam równocześnie zadania kurierki Szarych Szeregów<sup>3</sup>.

### Pobyty w Lublinie

**Piotr Wojciechowski zapamiętał Julię Hartwig w czasie jej okupacyjnych pobytów w Lublinie w mieszkaniu Stanisława Magierskiego, akowca, autora słów i melodii partyzanckiej piosenki *Dziś do ciebie przyjść nie mogę*:**

Nie miałem jeszcze sześciu lat, gdy słuchałem prawykonania [*Dziś do ciebie przyjść nie mogę*] w mieszkaniu Magierskich, w domu nr 13 na ulicy Narutowicza. Było tam pierwsze pianino, jakie pamiętam. To w tym mieszkaniu pojawiła się Julia Hartwig, uczennica tajnych kompletów, panienka z imponującymi warkoczami. Była przecież siostrą fotografa, a wszyscy fotografowie zaopatrywali się w aparaty i materiały u Magierskiego, przed wojną w sklepie na Krakowskim Przedmieściu, podczas wojny nielegalnie w mieszkaniu<sup>4</sup>.

### Wyjazd z Warszawy w 1944 roku i pobyt w Kalinówce pod Lublinem

**Tuż przed wybuchem powstania warszawskiego w mieszkaniu poetki zjawilo się gestapo.**

**Julia Hartwig:** Kiedy mi powiedziano o tej wizycie, nie zastanawiałam się długo, tylko wzięłam, co było pod ręką, i wyjechałam. Nie do domu, bo przecież tam by mnie znaleźli najłatwiej, tylko do

<sup>1</sup> *Największe szczęście, największy ból. Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 110.

<sup>2</sup> *Wieczór literacki. Z Julią Hartwig rozmawia Maria Brzezińska.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 94.

<sup>3</sup> Julia Hartwig, *Radość z Zaułka.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 221-222.

<sup>4</sup> Piotr Wojciechowski, *W podróży, „Więź”* 1999, nr 7, s. 87.



Foto-Skład – sklep Jana Magierskiego na rogu Krakowskiego Przedmieścia i ulicy Staszica. Nad wejściem widoczny neon z nazwiskiem właściciela, na elewacji szyld „Foto artykuły”. Na pierwszym planie samochód zniszczony podczas bombardowania Lublina 9 września. 1939. Archiwum TNN.



<sup>5</sup> *Największe szczęście, największy ból...* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 111.

<sup>6</sup> Julia Hartwig, *Zawsze powroty. Dziennik podróży*, Warszawa 2001, s. 122-123.

<sup>7</sup> Anna Kamińska, *Lublin 1944*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 61.

<sup>8</sup> *Największe szczęście, największy ból...* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 111.

<sup>9</sup> *Pięćdziesiątolecie Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego, z Edwardem Hartwigiem – o Lublinie, fotografii i kilku innych sprawach* [rozmawia Zdzisław Toczyński], „Kwartalnik Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie” 1987, R. XVI, s. 15. Artykuł dostępny także w Bibliotece Wirtualnej Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”: biblioteka.teatrnn.pl/dlibra/Content/9211 (dostęp: wrzesień 2011).

<sup>10</sup> *Estetyczna wrażliwość. Z Edwardem Hartwigiem rozmawiają Anna i Andrzej Bernatowie*, „Nowe Książki” 1999, nr 12, s. 6.

<sup>11</sup> *Ciekawość świata. Z Julią Hartwig rozmawia Agata Koss*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 104.

Hanki Kamińskiej pod Lublin, gdzie jej stryj był nadleśniczym. U nich spędziłam ostatnie miesiące okupacji<sup>5</sup>.

**Dzięki powrotowi w okolice rodzinnego miasta Julia Hartwig znowu znalazła się w kręgu swoich dawnych znajomych, z którymi tworzyła przed wojną „W Słońce”.**

### Koniec wojny

**W krótkim wspomnieniu Julia Hartwig opisała to, co się wydarzyło tuż po wkroczeniu żołnierzy radzieckich do Kalinówki:**

Wejście armii rosyjskiej. Nagle pojawiają się żołnierze krążący pomiędzy czerśniami nadleśnictwa. Powrót z Hanką do Lublina. Dymiący Majdanek. Lublin w ogniu, strzały na ulicach. Niemcy wyciągani z piwnic i rozbrajani. Trupy zamordowanych więźniów na Zamku. Potem pierwszy zaciąg do Związku Literatów, wiersze w *Wyborze wierszy poetów lubelskich*<sup>6</sup>.

**A tak zapamiętała te chwile Anna Kamińska:** 25 lipca szłam do Lublina piechotą ze Świdnika. Na torze stał pociąg towarowy, w którym ryczały krowy. Dalej już tor się urywał, zaczynały się wyrwy i leje od bomb. Leżały rozbebeszone trupy koni, a na ulicach Lublina jeszcze słychać było strzelaninę z bram, gdzie ukryli się

Niemcy. Dymił jeszcze czołg na Krakowskim Przedmieściu i w ogóle sytuacja nie była taka prosta i taka bardzo jasna, jak to się wydaje ze wspomnień<sup>7</sup>.

**Julia Hartwig:** Zaczął się nowy etap – Polska Ludowa. I grupa konspiracyjna, której ślubowałam, została zwolniona z przysięgi. [...] Odbывало się wtedy coś w rodzaju łapanki na młodych, opublikowano wówczas nasze wiersze w słabiej antologii poetów lubelskich [*Wybór wierszy poetów lubelskich*, Lublin 1945]. Mnie jednak trudno było się poddać nastrojom, ponieważ zaraz po wejściu Armii Radzieckiej został aresztowany Edward. Wywieziono go do obozu i zwolniono dopiero po półtora roku. To było bardzo bolesne przeżycie, które mnie wtedy wypełniło prawie bez reszty<sup>8</sup>.

### Edward Hartwig

**Pierwsze tygodnie po wyzwoleniu Lublina spod okupacji niemieckiej wspomina brat Julii – Edward:**

Mieszkałam na Wrotkowie, zaraz za cmentarzem. Tam wybudowałam chałupę, cały mój dorobek. Kiedy Lublin został wyzwolony, to na cmentarzu trwały jeszcze walki i byłem odcięty od miasta



przez 4-5 dni. Włamano się do mojej budy. Nie mogłem się zupełnie zebrać. Niepokoilem się o rodzinę w Warszawie, o brata. Jest taka nerwowość, która człowieka zupełnie odrzuca od pracy.

[...] Już w pierwszym roku po wojnie, zdaje się, że w 1945, miałem pierwszą wystawę fotograficzną w Lublinie. Była moja i zbiorowa. To nie była duża wystawa, a raczej to, co się uratowało. Ale była to pierwsza wystawa fotograficzna w wyzwolonej Polsce. Zaraz po wojnie, w Lublinie, w Teatrze Wojska Polskiego u Krasnowieckiego robiłem zdjęcia<sup>9</sup>.

**W roku 1945 Edward został aresztowany wraz z grupą lubelskiej inteligencji przez NKWD i wywieziony do obozu nr 250 w Jogle, w którym spędził dwa lata. Tak to wspomina:** Kiedy mnie wywożono z Lublina, byłem w marnym stanie, gdyż właśnie przeszedłem tyfus i tylko trochę zostałem podleczoney. Ale w tym nieszczęściu tyle miałem szczęścia, że mój los dzielili inni lublinianie, znajomi, ludzie wartościowi. Tak więc byłem wśród ludzi, których obecność dodawała mi siłę psychiczną. Trafiłem do obozu w Jogle<sup>10</sup>.

## KUL

**Julia Hartwig:** Kiedy po wojnie otwarto Katolicki Uniwersytet Lubelski, tam podjęłam przerwane studia. Trwało to jednak niedługo, do czasu, kiedy Uniwersytet Warszawski przeniósł się do Krakowa, dokąd też wkrótce potem pojechałam<sup>11</sup>.



## Wspomnienie Lublina

**Julia Hartwig:** Rzadko wracam do dzieciństwa, chociaż to był szczęśliwy czas [...]. Z czasem jednak dokonała się we mnie jakby mitologizacja Lublina. Stąd m.in. *Elegia lubelska*. Poczułam się winna wobec tego miasta, przepięknego i ciepłego ciepłem kresowej prowincji. Kto się tam wychował, słyszał różne języki, stykał z tradycją rosyjską, ukraińską, żydowską. Kiedy tam powracam, czas dzieciństwa, które spędziłam w tym mieście, wydaje mi się znów go-dzien wskrzeszenia<sup>12</sup>.

Lublin po wyzwoleniu – Brama Krakowska. Na pierwszym planie kierunkowskazy w języku rosyjskim. 1944. Fot. Michał Trachman. Z albumu *Dwa spotkania* (Lublin 1968).

<sup>12</sup> Marek Radziwon, *Z wierszem trzeba poczekać. Rozmowa z Julią Hartwig, poetką, finalistką NIKE 2003*, „Gazeta Wyborcza” 2003, nr 222, s. 14.



# Anna Kamieńska

## Między 1939 a 1946

### Wspomnienia z czasów wojny

**Anna Kamieńska:** Pamiętam [...] wojnę i okupację – to naprawdę bardzo mnie związało z tym miastem [Lublinem], bo tutaj właśnie przeżyłam te ciężkie lata. Tutaj i na wsi pod Lublinem, gdzie uczyłam się sama, zdawałam tajną maturę właśnie w Lublinie w mieszkaniu mojej matki i tutaj sama uczyłam dzieci.

Z samym cmentarzem – ile mam wspomnień! W czasie okupacji na przykład tutaj przychodziliśmy z moją siostrą i z grupką dzieci, które były dożywiane przez tak zwane RGO – przychodziliśmy tutaj na cmentarz wojskowy i ozdabialiśmy mogiłki żołnierskie białoczerwonymi flagami. Wówczas, w czasie okupacji, nie było to czymś najzupełniej bezpiecznym<sup>1</sup>.

### W innym tekście tak wspomina okres okupacji:

Kiedyś wymieniłam w rozmowie z Wacławem [Gralewskim] lubelski adres mojej siostry, gdzie w czasie okupacji zamieszkała moja matka wyrzucona przez Niemców z kolejnych mieszkań. Ulica Bonifraterska, dziś ulica Biernackiego.

– Już wiem – powiedział. – Klucz pod słomianką. Odbywaliśmy tam zebrania lubelskiego sztabu AK.

W ten sposób dowiedziałam się, że mieszkanie mojej matki, ten skromny pokój, gdzie wilgoć w zimie zamarzała na ścianach jak szron i zdrapywało się go nożem, gdzie zdawałam moją konspiracyjną maturę, gdzie mama przechowywała sztandar naszej szkoły, gdzie etapami chroniła dzieci żydowskie, że ten dom był miejscem zbiórki sztabu wojskowego<sup>2</sup>.

**Anna Kamieńska:** Przez długi czas podczas okupacji mieszkałam blisko Majdanka. Więźniom można było co pewien czas dostarczać bochenek chleba. W grypsach przysyłanych przez druty proszono o przysłanie poezji. Chleb piekło się u nas w wiejskim piecu chlebowym. Moja babka umiała zapiekać książki, tak żeby ich nie uszkodzić, w chlebie. W ten sposób udało się, mimo kontroli Niemców, tych którzy niektóre bochenki dźgali nożami, przemycić za druty: *Dziady* Mickiewicza, *Wesele* Wyspiańskiego i tom poezji Słowackiego. Poezja krążyła w obozie – przyszła w chlebie i była potrzebna jak chleb. Tom Przybosa *Póki my żyjemy*, przepisywany już w czasie okupacji na biblikach, był dla nas niemal wyznaniem wiary. Leżąc w bruździe pod bombami, pamiętam, że powtarzałam sobie jak modlitwę werset: „Ziemia nieść mnie będzie w wieczność wokół słońca”. To nieprawda, że *inter arma silent Musae*. Słowo poetyckie potrzebne było w najcięższych chwilach. I wtedy właśnie widać, jak jest naprawdę potrzebne. Choć wówczas też zarysowuje się jak gdyby ostrzej i głębiej rozziw pomiędzy prawdą i tak zwanym pięknem. Potrzebna jest chyba sztuka, która właśnie jest piękna poprzez prawdę i dzięki prawdzie<sup>3</sup>.

### W swoim Notatniku pisała:

Sen o wojnie. Strzelanina na ulicy, tłumy rozbiegających się na wszystkie strony jak w filmach Eisensteina. Wiem, że grozi mi śmierć. Podnoszę w górę mały złoty dzwoneczek w kształcie dziwnego wypukłego półksiężyca i dzwoniąc przechodzę przez środek tego zamętu. [...] Chroniłam na ręku małe dziecko

Na sąsiedniej stronie: podwórze Hotelu Europa zniszczone podczas bombardowania Lublina 9 września 1939. W tym miejscu znajdował się zakład fotograficzny Ludwika Hartwiga. 1939. Archiwum TNN.

<sup>1</sup> Powrót do źródeł. Z Anną Kamieńską rozmawia Maria Brzezińska. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 64.

<sup>2</sup> Anna Kamieńska, *Poeta Wacław*, w: *Lublin literacki 1932-1982. Szkice i wspomnienia*, red. Waldemar Michalski, Józef Zięba, Lublin 1984, s. 222.

<sup>3</sup> *Taż*, *Lublin 1944*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 61-62.



<sup>4</sup> Taż, *Notatnik 1973-1979*, Poznań 1987, s. 192.

<sup>5</sup> *Dzieci żyją dłużej. Z Piotrem Wojciechowskim rozmawia Jarosław Mikołajewski*, „Książki” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 15 września 2005, s. II-III.

<sup>6</sup> Zbigniew Chojnowski, *Metamorfozy Anny Kamieńskiej*, Olsztyn 1995, s. 31, przyp. 38.

<sup>7</sup> Cyt. za: Zofia Zarębianka, *Zakorzenia Anny Kamieńskiej*, Kraków 1997, s. 26. Trzy kropki w nawiasach okrągłych pochodzą od autorki.

<sup>8</sup> Tamże, s. 26-27.

żydowskie, zagładano mu w twarz, martwiłam się, gdzie je ukryję.

Naprzeciwko mnie szedł mężczyzna, Żyd, cały okryty czarnym trykotem razem z twarzą jakby powleczony cieniem śmierci<sup>4</sup>.

### **Pomoc niesiona dzieciom Annę Kamieńską z okresu okupacji dobrze zapamiętał Piotr Wojciechowski:**

Zetknąłem się wtedy [...] [ze] wspaniałą poetką Anną Kamieńską, która też przyczyniła się do wzbogacenia mojej wyobraźni. Kamieńska razem z innymi harcerkami organizowała w Lublinie sierocińce. To były jednocześnie punkty zaopatrzenia partyzantki leśnej w środki opatrunkowe i leki. Do tych sierocińców trafiały często dzieci Zamojszczyzny wyciągnięte przez kolejarzy z transportów, a także wyłuskane z rozmaitych kryjówek dzieci żydowskie. Anna i jej siostry brały udział w organizowaniu tym dzieciom dzieciństwa – dbały o to, by mogły poczuć rodzinne ciepło, by miały książki i oglądały inscenizacje. Robiły cudne ilustracje, rysowały dekoracje, lepily kukiełki. Anna robiła adaptacje tekstów, pisała już własne. Pamiętam jej wspaniały spektakl *Dzieci pana majstra* i do dziś przechowuję sztuczkę napisaną w tych czasach przez Kamieńską, z okładką ozdobioną przez nią lub przez jej siostrę. [...] Kamieńska inscenizowała powitania jesieni czy wiosny i dzięki niej te dzieci, które latami nie widziały trawy, bo strach było wyprowadzić je na ulicę, wiedziały, że w ogóle istnieje łąka. I że po łące chodzi krowa<sup>5</sup>.

### **Teksty Anny Kamieńskiej z okresu okupacji**

**Zbigniew Chojnowski:** Kamieńska [...] w okresie wojny napisała utwór dramatyczny *Gabriel Drozd (sztuka dla dzieci)*, który wystawił w Lublinie zespół Świetlicy R.G.O. około 1943 [roku]. Reżyserowała Maria Kamieńska<sup>6</sup>.

### **O dramacie tym pisze w niedatowanym liście do Kamieńskiej (być może jest to końcowy okres okupacji) Zygmunt Kałużyński:**

*Przeczytałem Pani dramacik z autentyczną satysfakcją (...). Uważam go za nader udaną próbę stworzenia stylu nowego: teatru powszechnego, a jednak poetyckiego, dostępnego dla specyficznej publiczności, a jednak o walorach literackich i ambicjach artystycznych, gdzie myśl moralna, dydaktyczna przybiera się nie w formę, która swą naiwnością podkopuje wiarę w szlachetne, etyczne wskazówki, ale sama przez się, jako forma, jako poezja ma wartości niezależne od tendencji, którą sztuka chce wyrazić. Drozd i ta tutaj historia żołnierska mają właśnie wspólne założenia stylowe, czysto teatralne i uważam te utwory za najlepsze ze wszystkiego, co czytałem Pani pióra, wyjąwszy może kilka wierszy lirycznych, również świeżych, autentycznych i również o pokrewieństwie stylowym (co, powtarzam, jest bodaj najcenniejszą ich cechą – to powinowactwo zamiaru, konsekwencja założenia artystycznego)*<sup>7</sup>.

### **Zofia Zarębianka referuje kolejne akapity listu:**

W dalszej części listu Kałużyński omawia wady sztuki, zalicza do nich przede wszystkim brak psychologicznego pogłębienia postaci oraz zbyt natrętną symboliczność, by ostatecznie podsumować dramaturgiczną próbę Kamieńskiej w następujących słowach: „Utwór Pani wybiega daleko poza poziom sztuczek teatru żołnierskiego, a jest zupełnie nowy w stosunku do posępnych dramatów żołnierskich Büchnera czy ekspresjonistów niemieckich, ukazujących życie żołnierskie od strony pesymizmu, dających ponury obraz życia człowieka zaszczonego przez wojnę (...). Pani dramacik daje pogodę i pocieszenie nie zniekształcając doli żołnierza, a tylko przysłaniając ją symbolem i poezją”<sup>8</sup>.

### **Zofia Zarębianka dodaje jeszcze:**

O dramaturgicznej działalności poetki informuje notka zamieszczona w czaso-



piśmie „Wieś”, nr 1 (29): „W okresie okupacji pisała sztuki teatralne dla dzieci; trzy z nich, m.in. *Jasełka* i *Sceny wiosenne*, były grane przez dzieci dla dzieci ze współudziałem autorki [i jej siostry, Marii – przyp. ZZ], w na pół potajemnych przedstawieniach w Zakładzie Świętego Stanisława w Lublinie...”<sup>9</sup>.

**Pobyt z Julią Hartwig w Kalinówce**  
**Pod koniec okupacji, uciekając z Warszawy, gdzie była poszukiwana przez gestapo, przyjeżdża do Hanka Kamieńskiej Julia Hartwig:**

[...] [wyjechałam] do Hanka Kamieńskiej pod Lublin, gdzie jej stryj był nadleśniczym. U nich spędziłam ostatnie miesiące okupacji. Kiedy wróciliśmy do Lublina, Niemcy już się ewakuowali<sup>10</sup>.

**Dzięki temu spotkaniu Julia Hartwig wciągnęła Kamieńską w krąg swoich znajomych, którzy znali się jeszcze z czasów gimnazjalnych i wspólnie redagowali „W Słońce”. Byli to m.in.: Jerzy Pleśniarowicz, Zygmunt Kałużyński, Igor Sikirycki i Zygmunt Mikulski.**

**Po wojnie**

**Anna Kamieńska:** 25 lipca [1944] szłam do Lublina piechotą ze Świdnika. Na torze stał pociąg towarowy, w którym ryczały krowy. Dalej już tor się urywał,

zaczynały się wyrwy i leje od bomb. Leżały rozbebeszone trupy koni, a na ulicach Lublina jeszcze słyhać było strzelaninę z bram, gdzie ukryli się Niemcy. Dymił jeszcze czołg na Krakowskim Przedmieściu i w ogóle sytuacja nie była taka prosta i taka bardzo jasna, jak to się wydaje ze wspomnień. Kończył się dla nas, dla Lublina, koszmar okupacji i wojny, ale wojna przecież ciągle jeszcze trwała. Jedno jest pewne, że w tych dniach wszyscy mieliśmy jakieś bardzo intensywne poczucie, uczestnictwo w stającej się historii. [...]

Niemal od razu, jak tylko zaczęła w Lublinie wychodzić „Rzeczpospolita”, zgłosiłam się do Jerzego Borejszy i dostałam pracę redaktora stylistycznego w tym piśmie. Wkrótce też razem z przyjaciółmi – Julią Hartwig, Igozem Sikiryckim, Jerzym Pleśniarowiczem, Zygmuntem Kałużyńskim, zgłosiliśmy się do Jerzego Putramenta z teczkami naszych utworów pod pachą i dowiedzieliśmy się tam, że jesteśmy młodymi poetami. Ja na szczęście nigdy w to nie uwierzyłam. Pamiętam jako wielkie przeżycie poznanie pierwszych w życiu wielkich pisarzy: pięknego Jastruna, Przybosia, który spacerował od wczesnego rana po ulicach z uniesioną głową [...]<sup>11</sup>.

<sup>9</sup> Tamże, s. 26, przyp. 8.

<sup>10</sup> *Największe szczęście, największy ból. Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 111.

<sup>11</sup> Anna Kamieńska, *Lublin 1944.* Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 61.



Zniszczona zabudowa przy placu Bernardyńskim (obecnie plac Wolności). 1944. Fot. Jerzy Krystosik (?). Zbiory prywatne Krystyny Krystosik.

<sup>12</sup> Zbigniew Chojnowski, *Metamorfozy Anny Kamińskiej...*, s. 16-17.

<sup>13</sup> Tamże, s. 180.

<sup>14</sup> [Anna Kamińska], *Anna Kamińska. Poetka, pisarka, tłumaczka*, „Sztandar Ludu” 1972, nr 173, s. 5.

**Oddajmy głos krytykowi literackiemu Zbigniewowi Chojnowskiemu:**

Po 22 lipca 1944 roku [Kamińska] znalazła się pod wpływem już nie tylko Przybosa, lecz również Mieczysława Jastruna, Adama Ważyka i innych twórców i działaczy, zaangażowanych w powoływanie instytucji kulturalno-politycznych o orientacji komunistycznej. We wspomnieniach z okresu lubelskiego po 26 lipca 1944, kiedy to zaczęły ukazywać się „Rzeczpospolita”, „Odrodzenie” i „Wieś”, znajdujemy informację o udziale poetki w „pierwszym marksistowskim seminarium Stefana Żółkiewskiego w kwaterze porucznika Joanny Guze”. To wydarzenie i następne temu podobne określają przemianę światopoglądową młodej Kamińskiej, której świadomość kształtowały wcześniej lektury niemarksistowskie: pisma filozoficzne Lukrecjusza, św. Tomasza z Akwinu czy Blaise’a Pascala, a przede wszystkim wyznanie rzymskokatolickie. Wojna mocno zachwiała teizmem przyszłej wybitnej autorki<sup>12</sup>.

**Kamińska współpracowała na początku ze wszystkimi wymienionymi pismami, lecz na stałe związała się z tygodnikiem „Wieś”. Ten okres życia poetki podsumowała najlepiej ona sama w liście wysłanym w dniu 21 października 1946 roku do Józefa Andrzeja Frasika z Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich:**

[...]

*Urodziłam się 12 kwietnia 1920 roku w Krasnymstawie – woj. lubelskie. Ukończyłam gimnazjum w Lublinie i liceum pedagogiczne w Warszawie (2 lata). Obecnie uczęszczam na trzeci rok wydziału humanistycznego Uniwersytetu Lubelskiego (filologia klasyczna). Drukowałam swoje utwory od 1944 roku w czasopiśmie: „Wieś”, „Odrodzenie”, „Kuznica”, „Kamena”, „Zdrój”, „Światło”. Wiersze moje umieszczone były w «Wyborze wierszy poetów lubelskich» wydanym w Lublinie w 1945 roku.*

*Przesyłam koleżeńskie pozdrowienie  
Anna Kamińska*

*Lublin, Bonifraterska 18 m. 7<sup>13</sup>.*

**Lublin – miasto rodzinne**

**Swoje związki z Lublinem Kamińska podsumowała w jednym z artykułów:**

W Lublinie w czasie okupacji zdawałam konspiracyjną maturę. W Lublinie i na Lubelszczyźnie zajmowałam się w latach wojny tajnym nauczaniem. Po wojnie zaczęłam studiować na KUL filologię klasyczną i tu dostałam pierwszą moją pracę w redakcji „Rzeczypospolitej”. W Lublinie debiutowałam wierszami w „Odrodzeniu”. Wspominam też pierwszy wieczór autorski tzw. młodych poetów lubelskich. Występowali tam również: Julia Hartwig, Zygmunt Kałużyński, Jacek Bocheński, Jerzy Pleśniarowicz, Igor Sikirycki, Zygmunt Mikulski. W 1945 roku ukazał się w Lublinie *Wybór wierszy poetów lubelskich* odbity w drukarni Rady Powiatowej w Zamościu. Jest to chyba mój debiut książkowy. W Lublinie wydałam też w roku 1967 zbiór drobnych esejów o poezji, pt. *Jeden z grzechów pięknych*.

Wiele moich opowiadań z tomu *Czasy małego szczęścia* ma za tło Lublin. W całości Lublinowi poświęcona jest moja mała powieść *Rozmowy z prof. Daleczko*, książka dedykowana nauczycielom czasów wojny i konspiracji. Ostatnio wydana moja powieść dla dzieci *Żołnierze i żołnierzyki* dzieje się całkowicie w Lublinie i na Lubelszczyźnie w czasach okupacji. Jest w niej wiele akcentów autobiograficznych.

Czuję się z Lublinem związana nie tylko długim okresem życia i twórczością, ale także postacią mojej matki, która przez wiele lat była czynną działaczką opieki społecznej w Lublinie i na pewno są ludzie, którzy ją jeszcze pamiętają i wspominają. Na niej wzorowana jest postać Pani Marii w moich *Żołnierzach i żołnierzach*<sup>14</sup>.

# Jerzy Pleśniarowicz

## Między 1939 a 1946

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Podczas wojny Pleśniarowicz trafia do Nałęczowa. Kończy tam Szkołę Spółdzielczości Rolniczej im. Z. Chmielewskiego i podejmuje w tejże szkole pracę nauczyciela. Bierze udział w tajnym nauczaniu (wykłada literaturę polską), działa w Batalionach Chłopskich. Należy do konspiracyjnej Lubelskiej Grupy Literackiej<sup>1</sup>.

**Sam Jerzy Pleśniarowicz tak wspomina te lata:** [...] byłem nauczycielem języka polskiego w Szkole Spółdzielczej w Nałęczowie, która legalnie uczyła podczas okupacji jednej godziny polskiej ortografii na tydzień, a nielegalnie – osiem godzin polskiej literatury z *Konradem Wallenrodem* na czele. [...] Właśnie w tej szkole [...] zacząłem dyrygować chórami, prowadzić wieczory recytatorskie, organizować koncerty, gdzie mój starszy kolega Zygmunt Kałużyński [...] akompaniował mojemu koledze Bogdanowi Paprockiemu, gdy ów śpiewał *Arię z kurantem*<sup>2</sup>.

### **Droga – wojenny tomik poetycki Jerzego Pleśniarowicza**

**W roku 1942 w konspiracyjnym obiegu literackim Lublina i Nałęczowa pojawił się nowy tomik Jerzego Pleśniarowicza *droga*.**

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Archiwum poety przechowało unikalny egzemplarz, oczywiście anonimowy, wykonany na maszynie do pisania. [...] Recenzentem *drogi* w podziemiu był Zygmunt Kałużyński. Recenzja nie zachowała się, ale jej założenia przedstawił Kałużyński w liście do Pleśniarowicza z przełomu 1942/1943 roku [...]:

(...) Recenzję z *Twojej «drogi»* (...) już wykończyłem. (...) *Za największą wartość*

(...) *uznałem czystość i konsekwencję Twojej poetycznej idei. Napisałem, że jesteś z tych poetów, których życie osobiste jest nie mniej ważne od tego co tworzy, i że znając Cię, i Twój rozwój dopiero w całości można zrozumieć* (...)<sup>3</sup>.

### **Przyjaźń z Zygmuntem Kałużyńskim**

Pleśniarowicz był z kolei autorem wstępu do konspiracyjnej, również odbitej na maszynie do pisania, burleski filozoficznej *Kałużyńskiego*.

**Zygmunt Mikulski:** Utwór był wytworem fantazji w paradoksalny sposób mający przezwyciężyć grozę tych lat [...], a przedmowę napisał Pleśniarowicz. Dziś jest tak rzadki, że nie należy nawet do rzadkości, ale wtedy odegrał dużą rolę. Z tego przede wszystkim powodu, że operował autentycznymi postaciami z intelektualnego środowiska lubelskiego<sup>4</sup>.

**Wspomniany utwór ukazał się drukiem już po wojnie, w 1946, pod tytułem *Kanikuła – fantazja dramatyczna w 9 scenach*. Jeden z tych egzemplarzy Kałużyński zadedykował Pleśniarowiczowi:**

Jerzemu Pleśniarowiczowi, mojemu najserdeczniejszemu przyjacielowi, który mnie wprowadzał do literatury i był pierwszym krytykiem, komentatorem i ratownikiem, a zarazem osobą tego młodzieńczego dramaciku, w czasach strachu, gdy życzliwość Jego miała wartość stokrotną<sup>5</sup>.

### **Przyjaźń z Julią Hartwig**

**Więzi przedwojennej przyjaźni łączącej Julię Hartwig i Jerzego Pleśniarowicza przetrwały trudny okres okupacji. Potwierdza to wysłany pod koniec okupacji do Jerze-**

<sup>1</sup> Krzysztof Pleśniarowicz, *Nota*, w: Jerzy Pleśniarowicz, *Ballada o ułanach i inne wiersze z lat 1936-1945*, oprac. Krzysztof Pleśniarowicz, Kraków 1987, s. 134.

<sup>2</sup> Cyt. za: tenże, *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, Kraków 1993, s. 28.

<sup>3</sup> Tamże, s. 29, 31. Trzykropki w nawiasach okrągłych pochodzą od autora.

<sup>4</sup> Tamże, s. 32.

<sup>5</sup> Tamże, s. 31.



<sup>6</sup> Tamże, s. 32-33.

<sup>7</sup> Tamże, s. 35.

<sup>8</sup> Cyt. tamże, s. 35.

**go Pleśniarowicza list Julii Hartwig. Pisała w nim o dedykowanym jej przez niego wierszu *Uwielokrotnieni przez gwar*:**

*Drogi Jerzy, moja chęć napisania do Ciebie powinna się przeciągnąć w list bardzo długi. Dziękuję Ci za piękny wiersz. Bardzo jest koncepcjonalny, odwrócony od barwności, jest w nim powaga momentu nagle obciążonego poezją. Oceniam surowość tematu i uczuciową wstrzemięźliwość. (...) Chciałabym przeczytać z Tobą kilka wierszy, pochwyć żywą materię i usłyszeć jak myślisz o tym<sup>6</sup>.*

**Dzięki Julii Hartwig do starego kręgu przyjaciół tworzących kiedyś „W Słońce” dołączyła też jeszcze przed końcem wojny jej serdeczna przyjaciółka Hanka Kamińska.**

## Związek Literatów Polskich

**Jerzy Pleśniarowicz po ujawnieniu się 13 sierpnia w Nałęczowie (odnotował to w sporządzonym własnoręcznie życiorysie) zaangażował się w odradzające się w Lublinie życie literackie, m.in. w tworzenie Związku Literatów Polskich.**

Wiersz Jerzego Pleśniarowicza *Uwielokrotnieni przez gwar* dedykowany Julii Hartwig. Z tomu *droga* (1942).

### Uwielokrotnieni przez gwar

Uwielokrotnieni przez gwar  
stoimy nad brzegiem jeziora, które  
jest dworcem kolejowym.

Kroki dni i kroki nocy.

Chmury wyjęte z książki,  
perony zamiecione ze słów.

Miasto rodzinne  
można by stworzyć jednym okrzykiem  
podziwu,  
gdyby nie jesienny odlot  
spojrzeń.

Podczas, gdy pośpiech  
trzepocze skrzydłami o zmiennej szerokości  
perspektywa  
uroczyście wręcza lokomotywę  
dali  
i tak długo  
powiewasz wzrastającą powieką  
aż staniesz się wyrazem w zbyt długim zdaniu.

**Krzysztof Pleśniarowicz:** [Jerzy Pleśniarowicz] włączył się w Lublinie do prób reaktywowania organizacji pisarzy. Pierwszego września, podczas Walnego Zebrania Związku Zawodowego Literatów Polskich, został wybrany do tymczasowego zarządu (razem z M. Jastrunem, K. Jaworskim, J. Przybosiem, J. Putramentem, J. Wasowskim, A. Ważykiem)<sup>7</sup>.

**Zbigniew Wawaszczak dodaje:**

Z tym okresem życia Pleśniarowicza wiąże się jedna z intrygujących zagadek w jego biografii [...]. Oczekiwano, że zrobi błyskotliwą karierę, jeżeli nie pisarską, to organizacyjną, że będzie piastował kierownicze funkcje w tworzącym się życiu kulturalnym kraju... Owe przewidywania przyjaciół i znajomych nie sprawdziły się, dlaczego tak się stało, pozostanie zagadką<sup>8</sup>.

**O okolicznościach tej sprawy pisze Krzysztof Pleśniarowicz:**

[5 września 1944 roku] Pleśniarowicz pisze do Przybosia dramatyczny, dwuczęściowy list (zachowany w rodzinnym archiwum w podpisanej przez autora maszynowej kopii):

*Julian Przyboś. Prezes Związku Literatów Polskich w Lublinie*

*Komunikuję o rezygnacji ze stanowiska członka Tymczasowego Zarządu [Związku] Literatów Polskich. Decyzję moją uzasadniają względy natury społecznej i osobistej. Gotów jestem przyjąć wszelkie konsekwencje związane z zajęтым obecnie stanowiskiem.*

*Łączę wyrazy szacunku*

*Jerzy Pleśniarowicz.*

*Nałęczów, 5 września 1944 r.*

*Julian Przyboś. Poeta*

*Załączam w prywatnej formie (dla Pana) komentarz do listu.*

*W dotychczasowej działalności społecznej, studenckiej i nauczycielskiej zdecydowanie zwalczałem totalizm, faszyzm, antysemityzm. Pragnę w dalszym ciągu zachować to stanowisko wszechstronnej demokracji. Głęboko jednak przeżywszy*



wypadki ostatnich dni, nie mogę przyjąć projektowanej organizacji kultury i sztuki. Ponieważ nie reprezentuję jednocześnie określonego dorobku literackiego, przeto nie czuję się na siłach reprezentować grupy lubelskiej. Dość dramatyczny ton wypowiedzi i decyzja nie dotyczą głębokiego szacunku dla społecznego i artystycznego nurtu poezji Pana, a także prawdziwej sympatii i zaufania dla Jego Osoby. Podobnie traktuję pozostałych pisarzy. Uściski dłoni

Jerzy Pleśniarowicz

Nałęczów, dnia 5 września 1944 r.<sup>9</sup>

## Druk pierwszych tomików poezji (1944/1945)

**Krzysztof Pleśniarowicz:** 30 października 1944 roku [Jerzy] Pleśniarowicz ostatecznie opuścił Nałęczów. Podjął pracę w resorcie kultury i sztuki PKWN, jako referent prasowy, ale wytrwał na tym stanowisku jedynie do końca grudnia. [...] Nie będąc już w Tymczasowym Zarządzie ZZLP, na prośbę Juliana Przybosia nadzorował na przełomie 1944 i 1945 roku druk pierwszych tomików poetyckich Polski Lubelskiej: *Póki my żyjemy* Przybosia, *Godzina strzeżona* Jastruna, *Wojna i wiosna* Putramenta, *Serce granatu* Ważyka, wreszcie *Wybór wierszy poetów lubelskich...* Skromne książeczki wydawano „z zasiłku Resortu Kultury i Sztuki” aż w Zamościu, dokąd Pleśniarowicz jeździł z związku z przeciążeniem lubelskich drukarni<sup>10</sup>.

**Zygmunt Mikulski:** Zbiór wierszy [Przybosia] *Póki my żyjemy* stał się pierwszą chronologiczną książką w ludowej Polsce. Że książką – przesada, dokładniej – zeszytem. [...] Drugą publikacją książkową było Adama Ważyka *Serce granatu*, trzecią Mieczysława Jastruna *Godzina strzeżona*, czwartą Jerzego Putramenta *Wojna i wiosna*. [...] Żaden z czterech opublikowanych tekstów nie powstał w dniach wyzwolenia. Zbiór Przybosia krążył w podziemiu pod pseudonimem Juliana Wgłableskie-

go, Ważyka i Putramenta były wydrukowane w Moskwie nakładem Związku Patriotów Polskich. Jastruna powstał za okupacji, co się da wyczuć na podstawie samej lektury przynoszącej ciemną nastrojową tonację<sup>11</sup>.

**Anna Kamińska:** Wiersze te wyszły w Lublinie w śmiesznych pomarańczowych broszurkach nakładem Związku Literatów Polskich<sup>12</sup>.

**Zbigniew Chojnowski:** Przypomnianymi tu wydawnictwami są: Przybosia *Póki my żyjemy* (konspiracyjne edycje pod pseudonimami Lesław Leski i Bolesław Skieten); Jastruna *Godzina strzeżona*; Ważyka *Serce granatu* (pierwsze wydanie w Moskwie 1943); Putramenta *Wojna i wiosna*. Wszystkie tomiki opublikowano w 1944 – jako ich kontynuację należy potraktować, wydany także przez ZZLP, *Wybór wierszy poetów lubelskich* (Lublin 1945)<sup>13</sup>.

**Wybór wierszy poetów lubelskich** Wlubelskiej Bibliotece im. Heronima Łopacińskiego zachowała się wspomniana antologia wydana w Lublinie przez Związek Zawodowy Literatów Polskich. Z noty *Od Wydawnictwa dowiadujemy się, że „Julia Hartwig, Anna Kamińska, Zygmunt Mikulski, Zbigniew Piotrowski, Jerzy Pleśniarowicz tworzyli na terenie Lublina niejako grupę poetycką związaną wspólnymi upodobaniami poetyckimi”.* Jest w tym egzemplarzu tomiku dedykacja wpisana ręką Julii Hartwig: „Panu Józefowi Nikodemowi Kłossowskiemu z serdecznym uściskiem dłoni Julia Hartwig, Jerzy Pleśniarowicz. Lublin 1945”.

**Zygmunt Mikulski:** Złączono nas wspólnymi okładkami, wydając w roku 1945 książeczkę pt. *Wybór wierszy poetów lubelskich*. Książeczkę, bo techniczne możliwości na więcej nie pozwalały<sup>14</sup>.

## Lubelski Klub Literacki

**Ważny okres w życiu Jerzego Pleśniarowicza stanowiło jego zaangażowanie się w działalność Lubelskiego Klubu Literackiego. Tak opisuje to Krzysztof Pleśniarowicz:**

<sup>9</sup> Tamże, s. 35-36.

<sup>10</sup> Tamże, s. 36-38.

<sup>11</sup> Zygmunt Mikulski, *Przeszło Krakowskim*, „Sztandar Ludu” 1985, nr 167, s. 4-5.

<sup>12</sup> Cyt. za: Zbigniew Chojnowski, *Metamorfozy Anny Kamińskiej*, Olsztyn 1995, s. 17.

<sup>13</sup> Tamże, przyp. 11.

<sup>14</sup> Zygmunt Mikulski, *Moje dzisiejsze wczoraj*, w: *Lublin literacki 1932-1982. Szkice i wspomnienia*, red. Waldemar Michalski i Józef Zięba, Lublin 1984, s. 370.

<sup>15</sup> Krzysztof Pleśniarowicz, *Jerzego Pleśniarowicza...*, s. 38-39.

<sup>16</sup> Tamże.

<sup>17</sup> Stanisław Jaworski, *Topielec z rzeki snu*, w: Jerzy Pleśniarowicz, *Ballada o ułanach...*, s. 11-12.

Lubelski Klub Literacki powołano 18 lutego 1945 roku. Pleśniarowicz został wybrany do komitetu organizacyjnego Klubu – obok prof. Juliusza Kleinerera, Marii Bechczyc-Rudnickiej, Igora Sikiryckiego i Heleny Platty. Brał udział w stałych śródach literackich i „porankach niedzielnych” Klubu, pisał w prasie lubelskiej eseje o bohaterach tych spotkań, m.in. Juliuszu Kleinerze, Janie Parandowskim i Aleksandrze Rymkiewiczu. Jego działania wspominał Tadeusz Domański, drugi – po Janie NAGRABIECKIM – kierownik organizacyjny Klubu: „Jednym z moich najbliższych przyjaciół z uniwersytetu i Klubu Literackiego był Jerzy Pleśniarowicz, aktywny w prasie, w radiu, w życiu społecznym i artystycznym Lublina, którego uważaliśmy jednak przede wszystkim z literata... Hojnie rozdawał swój czas, swe myśli i spostrzeżenia. Był to typ człowieka wyjątkowo towarzyskiego, współżyjącego z ludźmi w stałych, codziennych kontaktach, prawdziwego humanisty, dla którego wszystko było ciekawe i godne uwagi... Nieraz spotykamy ludzi sympatycznych. Ale Jerzy Pleśniarowicz był kimś wyjątkowym, swego rodzaju fenomenem, którego uprzejmość, kurtuazja, posuwane nie raz do zaskakującej przesady, uczyniły osobą ogromnie popularną w całym mieście, prawdziwym ulubieńcem Lublina”<sup>15</sup>.

### **Koniec Lubelskiej Grupy Literackiej**

**Krzysztof Pleśniarowicz:** Wówczas przestała już istnieć Lubelska Grupa

Literacka... W związku z wyzwoleniem dalszych ziem polskich Lublin opuścili Kałużyński, Hartwig, Kamieńska. Bezsukutecznie namawiali Jerzego, by poszedł ich śladem i skorzystał z możliwości kariery w nowych centrach tworzonej urzędowo kultury. Świadczą o tym zachowane listy, kierowane z Łodzi do Lublina przez trójkę okupacyjnych przyjaciół. Ale tam są również wyrazy zrozumienia dla odmiennej postawy; Kamieńska tak napisała w grudniu 1945 roku:

*W ogóle Jerzy, bez egzaltacji pragnę Ci wyrazić właśnie teraz z Łodzi uznanie dla Twojej postawy umysłowej i społecznej. Czy dziwi Cię to, że właśnie po przyjeździe tu i rozpatrzeniu się tak na zewnątrz w życiu literackim i ideologicznym Łodzi – odczuwam większą solidarność z pewną, niewątpliwie prowincjonalną (nie pejoratywnie) uczciwością małego, mniej ambitnego środowiska. Oczywiście lubelskie źródła są niegłębokie, ale ostaje się tam Twoja szlachetność i niezłomność myślowa*<sup>16</sup>.

**Po wojnie Pleśniarowicz nie powrócił już do twórczości poetyckiej. Tak skomentował to krytyk literacki Stanisław Jaworski:**

Możemy snuć tylko przypuszczenia, dlaczego poeta zamilkł po wojnie. Może jego wczesna dojrzałość była jak fajerwerk, który szybko się wypalił? A może, po prostu, w zawierusze wojennej, gdzie tyłu jego rówieśników straciło życie, muza jego stopniowo milkła, by już więcej nie wrócić?<sup>17</sup>

# Miejsca ważne dla odradzającego się życia literackiego po 1944 roku

## Krakowskie Przedmieście 62 – siedziba „Rzeczpospolitej” i „Odrodzenia”

**Zygmunt Mikulski:** Dwa były ośrodki życia w Lublinie. Polityczny na Spokojnej [...] 4, gdzie mieścił się PKWN, i prasowy na Krakowskim Przedmieściu 62, gdzie były „Rzeczpospolita”, „Odrodzenie”, „Wieś”, radio i Polpress. [...]

Kto znalazł się na Krakowskim, a chciał odetchnąć poezją, [...] szedł do „Odrodzenia”. Prawie zawsze można tam było spotkać Juliana Przybosa, Adama Ważyka, Mieczysława Jastruna, a póź-

niej i Zbigniewa Bieńkowskiego, który nawet dał się „uetatowić” i został tej redakcji sekretarzem<sup>1</sup>.

\*

Widywało się przy „Odrodzeniu” [...] Artura Sandauera, Stanisława Jerzego Leca, Ryszarda Matuszewskiego, Leona Pasternaka, Ignacego Witza, Jerzego Zarubę, Stanisława Piętaka, nawet Tadeusza Peipera, a z rdzennie lubelskich Annę Kamieńską, Julię Hartwig, Zygmunta Kałużyńskiego, Zbigniewa Piotrowskiego, Jerzego Pleśniarowicza, Igora Sikiryckiego. Już samo wyliczanie nazwisk

<sup>1</sup> Zygmunt Mikulski, *Przeszło Krakowskim*, „Sztandar Ludu” 1985, nr 167, s. 4-5.

Krakowskie Przedmieście 62 – Pałac Morskich. Po II wojnie światowej siedziba „Rzeczpospolitej” i „Odrodzenia”. 2011. Fot. Piotr Sztajdel. Archiwum TNN.





## CZĘŚĆ I. Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)

Radziwiłłowska – widok współczesny. Po II wojnie światowej znajdowała się tu willa, w której działał Związek Literatów Polskich. 2011. Fot. Piotr Sztajdel. Archiwum TNN.



wyказuje znaczny „rozrzut stylistyczny” i różnorodność postaw artystycznych w tamtejszej społeczności ludzi pióra<sup>2</sup>.

### Radziwiłłowska 9 – miejsce tymczasowego zamieszkania literatów

**Zygmunt Mikulski:** Zebranie inauguracyjne [Związku Zawodowego Literatów Polskich w dniu 1 września 1944 roku] odbyło się w dziś już nieistniejącym budynku przy ulicy Radziwiłłowskiej [...], który nosił za okupacji nazwę Haus der NSDAP. Nawet interesujący pod względem tzw. wystroju wnętrza. Świeczniki, boazerie itp.<sup>3</sup>

**Zofia Bystrzycka:** Zjechało się z okolic trochę literatów, zamieszkali na Radziwiłłowskiej w willi, zajętej poprzednio na niemieckie kasyno oficerskie. Założono stołówkę, członkowie Redakcji „Rzeczypospolitej” też znaleźli tam pomieszczenie. Jedliśmy przy wspólnym, długim stole, mieszkaliśmy w pokojach przylegających do jadalni [...]<sup>4</sup>.

**Jerzy Putrament:** Każdy kto trafił do Lublina, natychmiast udawał się na Radziwiłłowską 9. Dostawał tam jedzenie, lokował się na jakimś wolnym właśnie

łóżku i nie musiał składać podań, wysiadywać w przedpokojach, czynić innych stu rzeczy, naprawdę niekoniecznych dla twórczości.

Domek na Radziwiłłowskiej był za Niemców klubem urzędniczym. Teraz na górze, w kilku pokojach, mieszkali wszyscy związani z literaturą, a przebywający podówczas w Lublinie. Oczywiście, nie starczyło dla każdego z osobna pokoiów, dlatego w jednym zrobiono taki sobie internacik w stylu Uniłowskiego<sup>5</sup>.

**Anatol Mikułko:** Zajęliśmy lokal bodaj po niemieckim kasynie oficerskim przy ulicy Radziwiłłowskiej. W porównaniu do poprzedniego pomieszczenia – był to pałac. Tarasy, werandy, olbrzymia sala pod własną stołówkę, garaż. Wnet i tu zaczęło być ciasno. Z falą nowych przybyszów ściągali literaci, artyści. Gdzie się lokować? Oczywiście na Radziwiłłowskiej. Przyjechał Jastrun, Żółkiewski itd. Jacyś skromni i cisi. Tylko u kpt. Ważyka nonszalancko, w miarę energicznego kroku, zataczał duże łuki przytroczony do pasa olbrzymi nagan. Nie pasował on jakoś do figury poety, ale niebawem przekonaliśmy się, że Ważyk

<sup>2</sup> Tamże.

<sup>3</sup> Tenże, *Przyszło z Lipcem*, „Sztandar Ludu” 1983, nr 166, s. 4-5.

<sup>4</sup> Zofia Bystrzycka, *A zaczęło się tak*, w: *W stolecznym Lublinie*, red. Maria Bechczyc-Rudnicka, Lublin 1959, s. 47.

<sup>5</sup> Jerzy Putrament, *Nie-ma bitwa*, tamże, s. 90.



strzelać umie i to w chwilach najbardziej nieoczekiwanych<sup>6</sup>.

**Jan Huszcza:** Pracowało się w gmachu przy Krakowskim Przedmieściu, mieszkało się zaś przy Radziwiłłowskiej. Kto tylko miał coś wspólnego ze sprawami kultury i sztuki, to albo tam mieszkał, albo tam bywał na pogawędkach [...]<sup>7</sup>.

\*

1 września 1944 zostaje reaktywowany Związek Literatów Polskich. Obrady, odbywające się w tymże domu przy Radziwiłłowskiej, poprzedza minuta milczenia, poświęcona pamięci zabitych, zamordowanych i zmarłych pisarzy.

Do zarządu Związku m.in. wchodzi: Mieczysław Jastrun, Julian Przyboś, Kazimierz Andrzej Jaworski, nieżyjący już Józef Wasowski<sup>8</sup>.

**Zygmunt Mikulski:** A przechodziło się koło – też trudno uwierzyć – drewnianego płotu. Taki sielski, georgiczny obrazek niedaleko od śródmieścia, na rogu Niecałej [...] i Radziwiłłowskiej [...]. Najzwyczajniejsze (już zlikwidowane) drewniane kołki odgradzające dość zapuszczony sadek, a właściwie ugorek, na którym znajdował się ładny (niepotrzebnie zburzony) pałacyk, mieszczący za okupacji Haus der NSDAP. Zaraz po wyzwoleniu ten pałacyk został oddany na potrzeby literatów jako ich mieszkania, tam też odbyło się pierwsze inauguracyjne zebranie (zjazd?) reaktywowanego po wojnie Związku Zawodowego Literatów Polskich, a co dla nas ważniejsze, miejsce zbiorowego poranku autorskiego naszej grupy<sup>9</sup>.

### Niecała 10 – mieszkanie Zygmunta Kałużyńskiego

**Zygmunt Mikulski:** W mieszkaniu Kałużyńskiego [...] [przy ulicy Niecałej 10] znajdowało się centrum spotkań pokrewnych mu zainteresowaniami intelektualistów. [...] Przychodziło się, gadało, słuchało Kałużyńskiego – o dziwo – całkiem niezłe radzącego sobie z klawiaturą fortepianu<sup>10</sup>.



### Narutowicza 23 – mieszkanie Julii Hartwig

**Zygmunt Mikulski:** Zaraz po wojnie Hartwiżanka nie podjęła żadnej pracy etatowej, za to jej mieszkanie [ulica Narutowicza 23] było miejscem ciągłych spotkań młodych lubliniaków: Anny Kamińskiej, Jerzego Pleśniarowicza i Zygmunta Kałużyńskiego, zaaferowanych nadmiarem problemów, które wybuchły wraz z wyzwoleniem i domagały się rozwiązania<sup>11</sup>.

\*

Ci lubelscy [młodzi literaci] najczęściej zbierali się w mieszkaniu Julii Hartwig. Uważano nas za grupę w znaczeniu poetyckim, chociaż to nie była prawda, nie łączyła nas wspólnota artystycznych

Ulica Niecała 10 – kamienica, w której mieszkał Zygmunt Kałużyński. Było to miejsce spotkań młodych intelektualistów. 2011. Fot. Piotr Sztajdel. Archiwum TNN.

<sup>6</sup> Anatol Mikułko, *Pierwsza polska gazeta*, tamże, s. 95.

<sup>7</sup> Jan Huszcza, *Dom przy Radziwiłłowskiej*, tamże, s. 114.

<sup>8</sup> Tamże, s. 116.

<sup>9</sup> Zygmunt Mikulski, *Lubelscy filomaci*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 68.

<sup>10</sup> Tamże.

<sup>11</sup> Tenże, *Hartwiżanka*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 75.

## CZĘŚĆ I. Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)

Ulica Narutowicza 23 – kamienica, w której mieszkała Julia Hartwig. Miejsce spotkań młodych lubelskich pisarzy i poetów. 2011. Fot. Piotr Sztajdel. Archiwum TNN.



<sup>12</sup> Tenże, *Przyszło z Lipcem*, „Sztandar Ludu”, nr 166, s. 4-5.

przekonań. Byliśmy grupą w znaczeniu geograficznym. Ale dodatkowo zjednoczoną przez „opozycję” wobec kanonu literatury oficjalnej. Na czym ta „opozycja” polegała? Na różnicy życiowych doświadczeń. Nie mieliśmy tych przeżyć, co przez Związek Patriotów Polskich,

obóz w Sielcach i Dywizję Kościuszkowską przybyli ze Wschodu; wyznaczany przez nas rodzaj poetyki leżał na przedłużeniu stylistyk międzywojennego dwudziestolecia, więc „grupa” zrządzeniem losu zyskała dodatkową na zewnątrz spistość<sup>12</sup>.

# Kalendarium wydarzeń

## okresu powojennego związanych z odradzającym się życiem literackim

### 1944-1945

#### 12 sierpnia 1944

### Powstanie Związku Zawodowego Literatów Polskich z siedzibą w Lublinie

**Tadeusz Chabros:** W lokalu przy ulicy Radziwiłłowskiej 9 [...] odbyło się zebranie organizacyjne literatów. Na zebraniu obecni byli literaci lubelscy, warszawscy, lwowscy, wileńscy oraz pisarze z Chełma, Lubartowa, Nałęczowa. Zebranie zagaił kierownik Resortu Kultury i Sztuki PKWN, W. Rzymowski. Postanowiono powołać do życia Związek Zawodowy Literatów Polskich z tymczasową siedzibą w Lublinie. Wybrano Komitet Organizacyjny<sup>1</sup>.

**Kazimierz Andrzej Jaworski:** A wkrótce potem Lublin i pierwsze zebranie literatów, na którym przewodniczył Rzymowski. Z boleścią obliczamy straty wojenne – iluż to pracowników pióra zgładziło barbarzyństwo hitlerowskie! Zabrakło wśród nas lubliniaków – Arnsztajnowej, Czechowicza, Domińskiego, Podstawki. Zginęli: Boy, Hollender, Górska, Schulz, Hulewiczowie i tylu, tylu innych. A iluż los jest nieznanym! Na sali garstka lubliniaków i ci, co przybyli z Wojskiem Polskim ze Związku Radzieckiego. Radzimy o przyszłej pracy. Zapada uchwała wydawania tygodnika literackiego „Odrodzenie”. Ciężko będzie wypełnić luki, ale życie kulturalne musi się rozwijać<sup>2</sup>.

#### 20 sierpnia 1944

### Wieczór literacki *Poezja polska 1939-1944*

**Tadeusz Chabros:** W Teatrze Miejskim staraniem Komitetu Organizacyjnego

Związku Zawodowego Literatów Polskich odbył się wieczór literacki *Poezja polska 1939-1944*. Wiersze Stanisława Balińskiego, Władysława Broniewskiego, Zofii Bystrzyckiej, Józefa Czechowicza, Jana Huszczy, Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, Stanisława Jerzego Leca, Leona Pasternaka, Jerzego Putramenta, Antoniego Słonimskiego, Elżbiety Szemplińskiej, Lucjana Szenwalda, Juliana Tuwima i Stanisławy Zakrzewskiej recytowali autorzy oraz aktorzy Teatru Miejskiego i Teatru 1 Armii Wojska Polskiego. Dochód z wieczoru przeznaczony został na Fundusz Organizacyjny Związku Zawodowego Literatów Polskich oraz na szpital ewakuacyjny 1 Armii Wojska Polskiego w Lublinie<sup>3</sup>.

**Anna Kamińska:** Żywą literaturę jeszcze przed ukazaniem się „Odrodzenia”, redagowanego przez Karola Kuryluka, dali Lublinowi pisarze w wielkim poranku autorskim [*Poezja polska 1939-1944*] w Teatrze Miejskim. W czasie okupacji nikt z Polaków tu nie bywał – miejsce głucho niby zaklejone woskiem. Poeci – przeważnie w mundurach, sami czytali wiersze: Ważyk, Putrament, Pasternak, Lec i inni<sup>4</sup>.

**Zygmunt Mikulski:** Kierownik Resortu Kultury i Sztuki PKWN, Wincenty Rzymowski, otwierając zbiorowy poranek poetycki [*Poezja polska 1939-1944*] w Teatrze (wówczas) Miejskim, zacytował łacińskie powiedzonko *inter arma silent Musae* (na wojnie muzy milczą) przeciwstawił mu ówczesną rzeczywistość, w której istotnie muzy przechadzały się między katiuszami, zwiadami, kompaniami<sup>5</sup>.

<sup>1</sup> Tadeusz Chabros, *Kronika wydarzeń w Lublinie 21 VII 1944 – 1 II 1945*, Lublin 1974, s. 34.

<sup>2</sup> Kazimierz Andrzej Jaworski, *Na początku był Chełm*, w: *W stołecznym Lublinie*, red. Maria Bechczyc-Rudnicka, Lublin 1959, s. 28-29.

<sup>3</sup> Tadeusz Chabros, *Kronika wydarzeń w Lublinie...*, s. 42-43.

<sup>4</sup> Cyt. za: Zbigniew Chojnowski, *Metamorfozy Anny Kamińskiej*, Olsztyn 1995, s. 17.

<sup>5</sup> Zygmunt Mikulski, *Przeszło Krakowskim*, „Sztandar Ludu” 1985, nr 167, s. 4.



### **1 września 1944** **Pierwsze inauguracyjne** **zebranie Związku Zawodowego** **Literatów Polskich**

**Tadeusz Chabros:** W lokalu przy ulicy Radziwiłłowskiej odbyło się zebranie organizacyjne Związku Zawodowego Literatów Polskich. Zebranie zagał kierownik Resortu Kultury i Sztuki PKWN, Wincenty Rzymowski, nawiązując w swoim wystąpieniu do dnia wybuchu wojny i początku tragedii wrześniowej. Przemówienia powitalne wygłosili przedstawiciele Wojska Polskiego, związków zawodowych oraz przedstawicielstwa rządu ZSRR przy PKWN. O działalności poszczególnych ośrodków literackich w czasie okupacji mówili: Mieczysław Jastrun i Janusz Minkiewicz o Warszawie, Jerzy Pleśniarowicz o Lublinie, Anatol Mikułko o Wilnie, Karol Kuryluk o Lwowie, Adam Ważyk o twórczości na emigracji w ZSRR, Leon Pasternak o twórczości literatów w Armii Polskiej w ZSRR, Stanisław Jerzy Lec o twórczości poetyckiej w oddziałach partyzanckich, Stanisława Zakrzewska o twórcach niezrzeszonych. Odczyt na temat literatury w Polsce Odrodzonej wygłosił Jerzy Putrament. Na zakończenie obrad zebrani wysłali list do Prezydium Związku Pisarzy Radzieckich z pozdrowieniami dla pisarzy Kraju Rad<sup>6</sup>. **Zygmunt Mikulski:** Nie obyło się i bez pewnych efektów humorystycznych. Mianowicie pewien prelegent „wytypowany” ze strony młodzieżowej literatury chłopskiej wygłosił referat tak naszpikowany niezrozumiałymi zwrotami, że na dobrą sprawę nikt niczego nie zrozumiał, a Ważyk w czasie prelekcji wychynął na zaplecze dać upust swojemu wybuchowi śmiechu.

Ale cóż. Związek został *redivivus*, automatycznie grono lubelskich literatów – bo kogóż innego z autochtonów było szukać na tym kawałku Polski – doznało nobilitacji przyjęcia w skład ZZLP, później odbył się obiad dla wszystkich

uczestników inauguracyjnego zebrania, co było dla nas awansem równym przyjęciu do Polskiej Akademii Literatury<sup>7</sup>.

### **3 września 1944** **Pierwszy numer tygodnika** **literackiego „Odrodzenie”**

#### **Poranek młodych poetów** **lubelskich**

**Tadeusz Chabros:** W lokalu przy ulicy Radziwiłłowskiej 9 odbył się poranek młodych poetów lubelskich: Jacka Bocheńskiego, Julii Hartwig, Anny Kamińskiej, Zygmunta Mikulskiego, Zbigniewa Piotrowskiego, Jerzego Pleśniarowicza, Igora Sikiryckiego, Stanisławy Zakrzewskiej, Przemysława Zielińskiego. Słowo wstępne wygłosił Jerzy Pleśniarowicz. W poranku wziął również udział Julian Przyboś, który odczytał kilka swoich wierszy<sup>8</sup>.

### **Październik 1944** **Pierwsza wystawa plastyków** **lubelskich w Muzeum** **Lubelskim**

Okładkę do katalogu zaprojektował Henryk Tomaszewski.

### **29 października 1944** **Poranek literacki** **z Julianem Przybosiem**

Związek Zawodowy Artystów Plastyków zorganizował na Wystawie Prac Malarskich i Rysunków w gmachu Muzeum Lubelskiego przy ulicy Narutowicza 4 poranek literacki, na którym swoje utwory czytał Julian Przyboś.

### **23 listopada 1944** **Spotkanie działaczy kultury**

**Tadeusz Chabros:** Staraniem Związku Literatów Polskich w lokalu kawiarni plastyków odbyło się spotkanie działaczy kulturalnych. W czasie spotkania dyskutowano na temat prądów w sztuce przed rokiem 1939. W dyskusji zabrali głos m.in.: J. Przyboś, J. Putrament, M. Jastrun, J. Wasowski, Z. Kałużyński, S. Teisseyre,

<sup>6</sup> Tadeusz Chabros, *Kronika wydarzeń w Lublinie...*, s. 51.

<sup>7</sup> Zygmunt Mikulski, *Przyszło z Lipcem*, „Sztandar Ludu” 1983, nr 166, s. 4-5.

<sup>8</sup> Tadeusz Chabros, *Kronika wydarzeń w Lublinie...*, s. 53.



A. Rafałowski i J. Krajewski. W imieniu Resortu Kultury i Sztuki przemawiał zastępca kierownika Resortu, J.K. Wende<sup>9</sup>.

### **1 grudnia 1944** **Pierwsze tomiki poetyckie**

Tadeusz Chabros: „Rzeczpospolita” doniosła, że dzięki subwencji Resortu Kultury i Sztuki, Związek Literatów Polskich wydał cztery tomiki poetyckie: J. Przyborsia *Póki my żyjemy*, M. Jastruna *Godzina strzeżona*, J. Putramenta *Wojna i wiosna* oraz A. Ważyka *Serce granatu*<sup>10</sup>.

**Styczeń 1945**  
**Wybór wierszy poetów lubelskich**  
W styczniu 1945 roku ukazała się pierwsza powojenna antologia poezji lubelskiej. We wstępie napisano:

Julia Hartwig, Anna Kamieńska, Zygmunt Mikulski, Zbigniew Piotrowski, Jerzy Pleśniarowicz tworzyli na terenie Lublina niejako grupę poetycką związaną wspólnymi upodobaniami poetyckimi.

### **1 lutego 1945** **Ostatni – 32 (176) numer** **„Rzeczpospolitej” wydany** **w Lublinie**

W kolejnych numerach pisma jako miejsce wydania podawano cztery miasta: Warszawę, Łódź, Kraków i Lublin.

### **18 lutego 1945** **Powstanie Lubelskiego Klubu** **Literackiego**

<sup>9</sup> Tamże, s. 112.

<sup>10</sup> Tamże, s. 121.

JULIAN PRZYBOS

PÓKI MY ŻYJEMY

LUBLIN 1944

ZWIĄZEK ZAWODOWY LITERATÓW POLSKICH

JERZY PUTRAMENT

WOJNA I WIOSNA

LUBLIN 1944

ZWIĄZEK ZAWODOWY LITERATÓW POLSKICH

ADAM WAŻYK

SERCE GRANATU

LUBLIN 1944

ZWIĄZEK ZAWODOWY LITERATÓW POLSKICH

MIECZYŚLAW JASTRUN

GODZINA  
STRZEŻONA

LUBLIN 1944

ZWIĄZEK ZAWODOWY LITERATÓW POLSKICH

# Pierwsze tomiki poetyckie wydane w Lublinie po lipcu 1944 roku

## Wspomina Zygmunt Mikulski:

Zaczęły wychodzić książki. Oczywiście zbiory wierszy, bo na początek jeszcze nie było mowy o innych rodzajach literatury. Poezja jest najszybsza, bo najkrótsza. Więc Przyboscia *Póki my żyjemy*, Ważyka *Serce granatu*, Jastruna *Godzina strzeżona*, Putramenta *Wojna i wiosna*. Z zarozumiałości mogę dodać, że piątą książką w wyzwolonej Polsce był *Wybór wierszy poetów lubelskich*<sup>1</sup>.

\*

Zbiór wierszy [Przyboscia] *Póki my żyjemy* stał się pierwszą chronologiczną książką w ludowej Polsce. Że książką – przesada, dokładniej – zeszytem. [...] Drugą publikacją książkową było Adama Ważyka *Serce granatu*, trzecią Mieczysława Jastruna *Godzina strzeżona*, czwartą Jerzego Putramenta *Wojna i wiosna*. [...] Żaden z czterech opublikowanych tekstów nie powstał w dniach wyzwolenia. Zbiór Przyboscia krążył w podziemiu pod pseudonimem Juliana Wgłableskiego, Ważyka i Putramenta były wydrukowane w Moskwie nakładem Związku Patriotów Polskich. Jastruna powstał za okupacji, co się da wyczuć na podstawie samej lektury przynoszącej ciemną nastrojową tonację<sup>2</sup>.

**Zbigniew Chojnowski:** Przypomnianymi tu wydawnictwami są: Przyboscia *Póki my żyjemy* (konspiracyjne edycje pod pseudonimami Lesław Leski i Bolesław Skieten); Jastruna *Godzina strzeżona*; Ważyka *Serce granatu* (pierwsze wydanie w Moskwie 1943); Putramenta *Wojna i wiosna*. Wszystkie tomiki opublikowano w 1944 – jako ich kontynuację należy potraktować, wydany także przez

ZZLP, *Wybór wierszy poetów lubelskich* (Lublin 1945)<sup>3</sup>.

**Wspomniane tuż powojenne tomiki wierszy drukowane były w Zamościu, a ich wydanie nadzorował Jerzy Pleśniarowicz:**

**Krzysztof Pleśniarowicz:** [...] na prośbę Juliana Przyboscia nadzorował na przełomie 1944 i 1945 roku druk pierwszych tomików poetyckich Polski Lubelskiej [...]. Skromne książeczki wydawano „z zasiłku Resortu Kultury i Sztuki” aż w Zamościu, dokąd Pleśniarowicz jeździł z związku z przeciążeniem lubelskich drukarni<sup>4</sup>.

**Tak zapamiętała te tomiki wierszy Anna Kamińska:**

Wiersze te wyszły w Lublinie w śmiesznych pomarańczowych broszurkach nakładem Związku Literatów Polskich<sup>5</sup>.

## *Wybór wierszy poetów lubelskich*

**W lubelskiej Bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego zachował się *Wybór wierszy poetów lubelskich* wydany w Lublinie w 1945 roku przez Związek Zawodowy Literatów Polskich. Jest w tym egzemplarzu tomiku dedykacja wpisana ręką Julii Hartwig: „Panu Józefowi Nikodemowi Kłossowskiemu z serdecznym uściskiem dłoni Julia Hartwig, Jerzy Pleśniarowicz. Lublin 1945”.**

**Zygmunt Mikulski:** [...] złączono nas wspólnymi okładkami, wydając w roku 1945 książeczkę *Wybór wierszy poetów lubelskich*. Książeczkę, bo techniczne możliwości na więcej nie pozwalały<sup>6</sup>.

**Zbigniew Chojnowski:** Ze wstępu *Od Wydawnictwa* dowiadujemy się, że „Julia Hartwig, Anna Kamińska, Zygmunt Mikulski, Zbigniew Piotrowski, Jerzy Pleśniarowicz tworzyli na terenie Lublina niejako grupę poetycką związaną wspólnymi upodobaniami poetyckimi<sup>7</sup>.

Na sąsiedniej stronie: okładki czterech pierwszych tomików poezji wydanych po II wojnie. Tomik *Póki my żyjemy* w Archiwum TNN, pozostałe w zbiorach WBP im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.

<sup>1</sup> Zygmunt Mikulski, *Przyszło z Lipcem*, „Sztandar Ludu” 1983, nr 166, s. 4-5.

<sup>2</sup> Tenże, *Przeszło Krakowskim*, „Sztandar Ludu” 1985, nr 167, s. 5.

<sup>3</sup> Zbigniew Chojnowski, *Metamorfozy Anny Kamińskiej*, Olsztyn 1995, s. 17, przyp. 11.

<sup>4</sup> Krzysztof Pleśniarowicz, *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, Kraków 1993, s. 37-38.

<sup>5</sup> Cyt. za: Zbigniew Chojnowski, *Metamorfozy Anny Kamińskiej...*, s. 17, przyp. 11.

<sup>6</sup> Zygmunt Mikulski, *Moje dzisiejsze wczoraj*, w: *Lublin literacki 1932-1982. Szkice i wspomnienia*, red. Waldemar Michalski, Józef Zięba, Lublin 1984, s. 370.

<sup>7</sup> Zbigniew Chojnowski, *Metamorfozy Anny Kamińskiej...*, s. 17, przyp. 11.

WYBÓR WIERSZY  
POETÓW LUBELSKICH

L U B L I N 1 9 4 5

ZWIĄZEK ZAWODOWY LITERATÓW POLSKICH



# Postscriptum

Józef Hen

## Konfrontacja w Lublinie\*

Do lubelskich swoich notatek zaglądam niechętnie. Nie podoba mi się ich autor: naiwny, egzaltowany chłopak. Wiele z tych papierzyk zniszczyłem. Okazało się bowiem, jak to nieraz bywa, że w tym historycznym okresie zapisywałem nie to, co najważniejsze. Ręka notowała co innego – i pamięć co innego... Pamięć wybiera lepiej. [...]

Byłem bardzo blisko wszystkiego, co się wówczas działo w Lublinie literackim. Blisko – choć nie w środku. W mundurze szeregowca, w trzewikach i owijaczach, przyglądałem się z protekcji Borejszy inauguracyjnemu posiedzeniu Związku Literatów. Otworzył je dyskretnie Rzymowski, zaznaczając, że na sali zebrali się przecież ludzie, którzy szczególnie rozumieją cenę słowa. Stanowiło to potwierdzenie jednego z moich najsilniejszych doświadczeń wojennych: że słowa nie wolno dewaluować, że musi ono zawierać maksimum tej treści, którą chcemy wyrazić.

Sądzę, że nie byłem w swoich wrażeniach – zarówno słusznych jak i niesłusznych – osamotniony. [...] Przyboś napisał gdzieś, że nie wystarczy powiedzieć „dziwne”, żeby się w tę „dziwność” uwierzyło, należy ją raczej pokazać – a myśmy czuli dziwność „dziwnego”, ciężar i powierzchnię każdego słowa.

Rzuciliśmy się od razu w wir działania. Każdy z nas prawie był wówczas „borejszą”, chociaż na inną skalę. Przypominam sobie pierwsze dni Centralnego Domu Żołnierza, Polskiego Radia, Głosu Ludu, inauguracyjne zjazdy PPS i SL, pierwsze stołówki i pierwsze przedstawienia teatralne, kapitalną kreację Woszczerowicza w *Dożywociu*, Paster-

naka redagującego „Stańczyka” w klatce schodowej. Pracowało się bez wytchnienia, pośpiesznie, „na kolanie”, bez „sprawozdawczości”, w dzień i w nocy, bez narzekań – pracowało się dla tego, co nastąpi.

Błogosławiona „tymczasowość” lubelska! Plecak był całym majątkiem. Nikt jeszcze nie myślał o mieszkaniu, antykach, porcelanie, modzie, wczasach, delikatesach, brzuchu. Miesiące, które upłynęły od 22 lipca do 17 stycznia – były czasem opętańczej, pełnej poświęcenia pracy. Działanie – to była największa namiętność. [...]

„Odrodzenie” czytałem z mieszanymi uczuciami. Publicystyka była nieraz świetna. Nic dziwnego: nagromadziło się mnóstwo myśli, wystarczyło je głośno wypowiedzieć. Ale gdzie wielka proza? Pisarze byli – tylko wydaje się, że musieli na nowo uczyć się mówić.

W Lublinie wolno było być tylko realistą. Tylko pisać jasno, prosto, wielkimi syntezami. Wszystko inne nie miało sensu. Kraj przeżył ogromną tragedię – i mówienie o tym przy równoczesnym zabawianiu się kuglarstwem słownym, byłoby głupim okrucieństwem. Prostoty trzeba się jednak długo uczyć. Dochodzi się do niej po latach doświadczeń, już po przejściu przez młodopolszczyznę, ekspresjonizm, ferdydurkizm, psychologizm. Jest ona celem ostatecznym, staje u końca drogi – jak u Lwa Tołstoja.

A lubelska młodzież literacka? Niech odpowie za mnie Jastrun, który dojrzałym okiem ogarnął rzeczywistość 1944 roku. Oto fragment jego lubelskiego artykułu pt. *Poezja i poetyczność*:

\* Fragmenty artykułu z „Przeglądu Kulturalnego” 1955, nr 29, s. 3, 11.

Na sąsiedniej stronie: okładka *Wyboru wierszy poetów lubelskich* (Lublin 1945). Zbiory WBP im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.



Winieta pisma „Odrodzenie” 1945, nr 10-12. Pismo w zbiorach WBP im. Hieronima Łopacińskiego.

„Mieszczańska młodzież literacka, w swojej większości, mimo straszliwie trzeźwiejących lat okupacji hitlerowskiej, nie nauczyła się niczego. Z rozpaczą słucha się dzisiaj – jakby to było zbudzenie z pięcioletniego letargu – tych samych dyskusji czysto formalistycznych, tych samych nieskontrolowanych wynurzeń na temat «paseizmu» i «nowatorstwa», zwrotki i wolnego wiersza. Czym żyli? Czym karmili się podczas tych groźnych lat? Karmili się okruchami owego specyficznego baroku pewnego odłamu retorycznej poezji, który nazwałbym «barokiem sanacyjnym», albo w lepszym wypadku tak zwanej awangardy, przejmując jednak z niej nie jej istotne zdobycze, lecz zaledwie kształt zewnętrzny. Istniał w Warszawie odłamek liryków mających ambicje pisania wierszy możliwie nie-

czytelnych, ciemnych ową ciemnością, za którą nie kryje się nic. W trudnych warunkach konspiracji powielano na hektografie poematy ambitnych wierszopisów, które pretendowały do najgorszego z kunsztów: sztuczności i osiągały niewątpliwie jedno: były doskonale izolowane od sytuacji politycznej, dziejowej, ludzkiej – kraju, krwawiącego pod niesłychanym w historii dwóch tysięcy lat terrorem”. [...]

Jedno – myślałem sobie – jest zadanie literatury: zwalczać zło. Po tej wojnie – zło widziałem wyraźnie. Ale jak je zwalczać? Jakimi narzędziami literackimi się posługiwać? Trzeba było dokonać na użytek własny rewizji światowej literatury. Pomagały w tym wynurzenia innych, takie jak ów artykuł Jastruna w „Odrodzeniu”. Przede wszystkim jednak decydowała – lektura. [...]

## Anna Kamińska **Lublin 1944\***

25 lipca szłam do Lublina piechotą ze Świdnika. Na torze stał pociąg towarowy, w którym ryczały krowy. Dalej już tor się urywał, zaczynały się wyrwy i leje od bomb. Leżały rozbebeszone trupy koni, a na ulicach Lublina jeszcze słyhać było strzelaninę z bram, gdzie ukryli się Niemcy. Dymił jeszcze czołg na Krakowskim Przedmieściu i w ogóle sytuacja nie była taka prosta i taka bardzo jasna, jak to się wydaje ze wspomnień. Kończył się dla nas, dla Lublina, koszmar okupacji i wojny, ale wojna przecież ciągle jeszcze trwała. Jedno jest pewne, że w tych dniach wszyscy mieliśmy jakieś bardzo intensywne poczucie, uczestnictwo w stającej się historii. I tak jak zawsze miesza się wielkość historii z jakąś małością i trywialnością.

Niemal od razu, jak tylko zaczęła w Lublinie wychodzić „Rzeczpospolita”, zgłosiłam się do Jerzego Borejszy i dostałam pracę redaktora stylistycznego w tym piśmie. Wkrótce też razem z przyjaciółmi – Julią Hartwig, Igorem Sikiryckim, Jerzym Pleśniarowiczem, Zygmuntem Kałużyńskim, zgłosiliśmy się do Jerzego Putramenta z teczkami naszych utworów pod pachą i dowiedzieliśmy się tam, że jesteśmy młodymi poetami. Ja na szczęście nigdy w to nie uwierzyłam. Pamiętam jako wielkie przeżycie poznanie pierwszych w życiu wielkich pisarzy: pięknego Jastruna, Przybosia, który spacerował od wczesnego rana po ulicach z uniesioną głową, Putrament w mundurze – był niezwykle opiekuńczy. I kiedyś na Krakowskim Przedmieściu obronił mnie i Julię Hartwig przed agresywnością Jana Aleksan-

dra Króla, który zaatakował nas, ostro żądając napisania wierszowanych haseł o reformie rolnej, i zwracał się do nas per „obywatelko”, prawda, bo taki był styl nowej rewolucji. I Putrament powiedział wtedy: „Odczep się! To nie są żadne obywatelki tylko panie...”. Stopniowo poznawałam innych pisarzy: Pasternaka, Leca, który bardzo elegancki zjawił się w mundurze – podobno prosto z lasu, przybył też płomienny jeszcze Peiper, z walizką mitycznych swoich rękopisów. Jerzy Kuryluk wydrukował w „Odrodzeniu” mój pierwszy wiersz. Ożga-Michalski zjawił się w aureoli partyzanta i w sławie ludowego poety na beczce samogonu. W teatrze słuchaliśmy ze wzruszeniem programu poetyckiego, chyba reżyserowanego przez Krasnowickiego, w nim młodzieńską Ryszardę Hanin. Putrament grzmiał wtedy ze sceny swój wiersz *Toast*. Potem pamiętam *Dożywocie* z Jackiem Goszczerowiczem w roli Łapki.

To kronika. Ale jaki jest sens tych dni dla nas jako pisarzy? Przez długi czas podczas okupacji mieszkałam blisko Majdanka. Więźniom można było co pewien czas dostarczać bochenek chleba. W grypsach przysyłanych przez druty proszono o przysłanie poezji. Chleb piekło się u nas w wiejskim piecu chlebowym. Moja babka umiała zapiekać książki, tak żeby ich nie uszkodzić, w chlebie. W ten sposób udało się, mimo kontroli Niemców, tych którzy niektóre bochenki dźgali nożami, przemyścić za druty: *Dziady* Mickiewicza, *Wesele* Wyspiańskiego i tom poezji Słowackiego. Poezja krążyła w obozie – przyszła w chlebie i była potrzebna jak chleb.

\* Fragment audycji radiowej *Lublin słowem malowany* Barbary Jurkiewicz i Krystyny Kotowicz, Radio Lublin, 5 września 1974. Dziękujemy Autorkom i Radiu Lublin za zgodę na wykorzystanie transkrypcji.



## CZĘŚĆ I. Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)

Dziewczyna w mundurze czyta „Rzeczpospolitą”. Lublin, Krakowskie Przedmieście na wysokości Hotelu Europa. 1944. Fot. Michał Trachman. Z albumu *Dwa spotkania* (Lublin 1968).



Tom Przybosia *Póki my żyjemy*, przepisywany już w czasie okupacji na bibułkach, był dla nas niemal wyznaniem wiary. Leżąc w brudzie pod bombami, pamiętam, że powtarzałam sobie jak modlitwę werset: „Ziemia nieść mnie będzie w wieczność wokół słońca”. To nieprawda, że *inter arma silent Musae*. Słowo poetyckie potrzebne było w najcięższych chwilach. I wtedy właśnie widać, jak jest naprawdę potrzebne. Choć wówczas też zarysowuje się jak gdyby ostrzej i głębiej rozziw pomiędzy prawdą i tak zwanym pięknem. Potrzebna jest chyba sztuka, która właśnie jest piękna poprzez prawdę i dzięki prawdzie. Wspaniałe te pierwsze tomy poetów wydane w Lublinie, do których

potem jeszcze pod względem ważności zaliczyłabym także *Ocalenie Miłosa*, to było wielkie przeżycie. Wojnę właściwie przeżywało się w całkowitej izolacji i samotności. I chciało się wiedzieć, jak przeżywali to inni, i szukało się w nowych tomach, w nowych książkach, prawdy o tych czasach.

Czasami chodzimy sfrustrowani jako pisarze, nawet zastanawiamy się, komu to wszystko potrzebne – wiersze, opowiadania, powieści. Kiedy dzieje się wielka historia albo kiedy ludzie chcą mieć po prostu telewizor, samochód i święty spokój. Ale wtedy powracam do sensu tamtych dni. I uprzytomniam sobie, że jeśli nawet literatura czasem nie jest potrzebna, to jest zawsze konieczna.

# Powrót do źródeł

Z Anną Kamięnską rozmawia Maria Brzezińska\*

[...] **Anna Kamięnska:** Zastanawiam się niekiedy – czym jest poezja? Jest bardzo wiele definicji, ale wszystkie one wydają się albo zbyt ciasne, albo kompromitują się z czasem i tak myślę teraz, że można by określić poezję jako sprawę powrotu. Bo poezja jest powracaniem – wbrew czasowi, który nas niesie, powracaniem do swojego źródła, do rzeczy pierwszych, do przeżyć pierwszych, do siebie samej, czystej, nieskażonej, do trudnej prostoty i prawdy. Dlatego, że rzeczy poznawane po raz pierwszy były właśnie prawdziwymi rzeczami, dlatego myślę, że klucz do każdej poezji – tak jak klucz do każdego ludzkiego życia – jest w jego dzieciństwie.

Byłam zupełnym dzieckiem – chyba miałam cztery czy pięć lat, kiedy przyjechałam z rodzicami do Lublina. Tutaj chodziłam do przedszkola, co wtedy nazywało się ochronką. Potem do szkoły – było to na dawnych Starych Bronowicach. Mieszkaliśmy wtedy na ulicy Skibińskiej i pamiętam, że mieszkanie było ponure, biedne i ojciec postanowił wybić okno w kierunku parku miejskiego – to okno jeszcze do dzisiaj jest. Dotychczas pamiętam smak zupy w przedszkolu – tak zwanej „dziadowskiej zupy”, czy smak jabłka, które bardzo rzadko miało się w ręku, które pani wносиła w takiej wielkiej misce i dzieciom rozdawała. Może właśnie to sprawiło, że te niektóre przedmioty i rzeczy nabierały dla mnie tym większego znaczenia – jakoś tak się zapisywały głęboko.

Park, mały kościółek, który jest teraz przeniesiony na Kazimierzówkę, szkoła, do której przychodziło się przez tory

kolejowe – to była szkoła imienia Marii Konopnickiej, ale nie ta, która teraz jest – taka wielka i piękna szkoła. Ona była w dwóch miejscach wtedy. Niektóre klasy uczyły się w takim obskurnym budynku, gdzieś właśnie koło torów kolejowych i było to bardzo niebezpieczne, bo myśmy okropnie lubiły z koleżankami biegać po tych drewnianych podkładach pod torami, tak żeby skakać po nich. Druga część tej szkoły mieściła się już za torem kolejowym. Ta dzielnica nazywała się Kośminek. Pamiętam naprawdę okropne warunki tej szkoły i straszne podwórka, gdzie nas wypuszczano na przerwę. A jednocześnie jest coś rzewnego w tym wspomnieniu ciemnych poranków, kiedy trzeba było zapalać lampę w klasie, bo było ciemno, i pani wносиła kolorowy papier, nożyczki i robiło się wtedy zabawki na choinkę...

Przedszkole jest bardzo ważne, naprawdę ważne dla człowieka. Dałam temu wyraz w wielu moich książkach. W powieści *Rozmowy z profesorem Daleczko*, w wielu wierszach i w kilku moich powieściach pisanych dla dzieci, a więc w *Żołnierzach i żołnierzkach* i w dwóch takich książkach, które są może mniej znane, bo jakoś szybko się rozeszły, to są dwa tomy o małej Mariannie. Jest to książka właściwie trochę autobiograficzna i opisuje takie trudne, dosyć biedne dzieciństwo dziewczynki właśnie na Bronowicach. [...]

Później chodziłam tutaj do Gimnazjum imienia Unii Lubelskiej. Najpierw mieściło się ono na ulicy Kapucyńskiej, a potem zostało przeniesione do dawnego gimnazjum męskiego przy ulicy Narutowicza. Pamiętam łążęgowanie

\* Fragment audycji radiowej *Powrót do źródeł* Marii Brzezińskiej, Radio Lublin, 19 października 1981. Dziękujemy Autorce i Radiu Lublin za zgodę na wykorzystanie transkrypcji.

## CZĘŚĆ I. Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)

po Krakowskim Przedmieściu, tak jak to dzisiaj młodzież też na pewno robi – chodziło się zawsze w kierunku zachodu słońca, prawda?

**Maria Brzezińska:** Tak, tak, aż do alei Racławickich...

**Anna Kamińska:** Pamiętam Stare Miasto, no i wojnę, i okupację – to naprawdę bardzo mnie związało z tym miastem, bo tutaj właśnie przeżyłam te ciężkie lata. Tutaj i na wsi pod Lublinem, gdzie uczyłam się sama, zdawałam tajną maturę właśnie w Lublinie, w mieszkaniu mojej matki i tutaj uczyłam też dzieci.

Z samym cmentarzem na Lipowej – ile mam wspomnień! W czasie okupacji przychodziliśmy tutaj z moją siostrą i z grupką dzieci, które były dożywiane przez tak zwane RGO – przychodziliśmy tutaj na cmentarz wojskowy

i ozdabialiśmy mogiłki żołnierskie biało-czerwonymi flagami. Wówczas, w czasie okupacji, nie było to czymś najzupełniej bezpiecznym. Tutaj właśnie na tym cmentarzu jest grób Józefa Czechowicza, tak że wszystko to mnie bardzo wzrusza i jest moje.

**Maria Brzezińska:** Zaczęliśmy mówić właśnie o okresie okupacji i tu chciałabym się zatrzymać chwilę dłużej nad książką – to już pani powiedziałam, że to jest moja ukochana książka – *Rozmowy z profesorem Daleczko*. Poświęciła ją pani właśnie nauczycielom czasów wojny i okupacji. Czy to się też działo w Lublinie?

**Anna Kamińska:** Na pewno jest to książka w dużej mierze autobiograficzna, to znaczy jej bohater jest mężczyzną – młodym człowiekiem, nie wymieniam prawdziwego nazwiska tego profesora,

Uczennice pierwszej klasy Gimnazjum im. Unii Lubelskiej. W pierwszym rzędzie siedzą: Julia Hartwig (pierwsza z lewej, ucięta), obok Danuta Podobińska (obecnie Riabinin) i Hanna Kamińska (pierwsza z prawej). Rok szkolny 1931/1932. Zbiory prywatne Danuty Riabinin.





nazywam go „profesorem Daleczko”, podczas gdy on się nazywał inaczej. Jego prototypem był profesor Mieczysław Popławski z KUL-u. I właśnie u niego zaczęłam się uczyć greki w czasie okupacji. Prawdą jest, że to ja właśnie jeździłam na rowerze w deszcz, zawieruchę, z narażeniem często na wielkie niebezpieczeństwo ze Świdnika do Lublina na te lekcje greki, na wspólne czytanie jakichś historyków łacińskich. Wszystko to dzieje się wśród grozy okupacyjnej, niedaleko Majdanka, niedaleko Zamku, gdzie było tylu więźniów politycznych i pośród łapanek na ulicach. A tutaj siedzi student z profesorem i rozmawiają na temat literatury, poezji greckiej i łacińskiej, na temat historii...

**Maria Brzezińska:** Sprzed tysiącleci, prawda?

**Anna Kamińska:** Tak, i to zdawałoby się, że to jest absolutny kontrast, tymczasem właśnie to było potrzebne, było jakimś przechowywaniem tej kultury, w której człowiek może uzyskać wolność – innego rzędu wolność, prawda? [...]

Dzisiaj też bardzo dużo jest młodzi, która uczy się z zapalem, ale nauka nie jest dla nich tym, czym była dla nas w czasie okupacji, kiedy była po prostu jakimś schronieniem, jakimś szukaniem azylu życiowego w tych trudnych czasach.

**Maria Brzezińska:** Kontakt z kulturą antyczną, rozmiłowanie w tej kulturze jest ciągle w pani poezji, w pani twórczości obecne.

**Anna Kamińska:** To zostało z pewnością jako pewien nurt, może nie taki, żeby były jakieś bezpośrednie nawiązania do wątków i motywów antycznych, ale pozostało chyba jako pewne dążenie do porządku, ładu, wewnętrznego jakiegoś takiego uspokojenia. To dosyć dziwnie i może zabawnie, bo to wszystko spotkało się u mnie z wpływami awangardy literackiej, Przybosia czy Czechowicza. Awangarda, szeroko rozumiana, jest jakimś rozwichrzeniem języka literackie-

go i wyobraźni. Tymczasem u mnie, wręcz przeciwnie, była to dążność do wielkiej precyzji językowej, do przekonania o ważności każdego słowa i jego miejsca w utworze literackim. Wspomniałam o Czechowiczu, którego niestety nie znałam i który, jak opowiadał Pleśniarowicz, czytał z młodym poetą każdy wers jego wiersza osobno i stawiał plus lub minus – oceniał niemal każde słowo stojące w linijce wiersza. Tak ważne to było dla niego... Tak ważny był dla niego język poetycki, ale myślę, że w tym szerokim rozumieniu języka, który musi nieść jakieś ważne treści. Nie może być nawet linijki wiersza, która składa się z kilku nieznaczących słów. Tak że te rzeczy właśnie splotły się w język, który stał się moim językiem poetyckim. [...]

**Maria Brzezińska:** Chciałam jeszcze zapytać o pierwszy rok po wojnie w Lublinie.

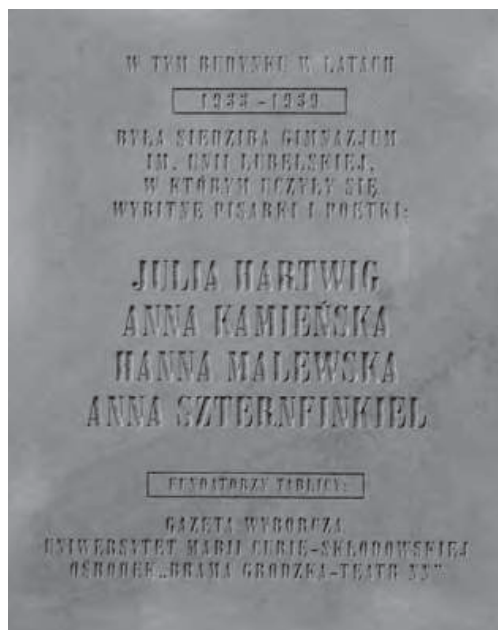
**Anna Kamińska:** To jest dla mnie bardzo ważny rok związany z Lublinem, bo tutaj zaczęłam studiować – najpierw na KUL-u filologię klasyczną. Tutaj też zaczęłam pracować – w redakcji „Rzeczpospolitej” u Jerzego Borejszy. Kiedy redakcja „Rzeczpospolitej” wraz z przesunięciem się frontu opuściła Lublin, przez pewien okres pracowałam – śmiech powiedzieć – jako redaktor techniczny „Kameny”. Tutaj też debiutowałam jako poetka w „Odrodzeniu”, wychodzącym jeszcze w Lublinie, tu poznałam prawdziwych pisarzy – Przybosia, Jastruna, Parandowskiego, który był moim profesorem na KUL-u, znakomitego filologa – Kleinera, przejściowo też tutaj wykładającego. Tak więc poznałam tu wielu ludzi i to wszystko związane jest z Lublinem.

**Maria Brzezińska:** A jak pani pamięta wieczór młodych poetów z tamtego okresu?

**Anna Kamińska:** Ten wieczór oczywiście był dla nas bardzo ważny. Trochę nas tutaj kreowano – tych kilku młodych poetów mieszkających w Lublinie

## CZĘŚĆ I. Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)

Tablica wmurowana w ścianę dawnego Gimnazjum im. Unii Lubelskiej (obecnie budynek Wydziału Pedagogiki UMCS). 2006. Fot. Joanna Zętar. Archiwum TNN.



kreowano na grupę. Myśmy nigdy nie byli grupą, po prostu byliśmy przyjaciółmi, czytaliśmy sobie nawzajem swoje wiersze, swoje utwory. Ja nawet pisałam w tym okresie sztuki sceniczne, które oceniał Zygmunt Kałużyński i niezjący już Jerzy Pleśniarowicz. Ileż to było rozmów na te tematy...

Nie była to więc jakaś formalna grupa, ale takie zaprzyjaźnione środowisko i jako ta grupa poetów lubelskich mieliśmy swój wspólny wieczór. Nie powiem, żeby ten pierwszy poetycki wieczór był dla nas jakimś wielkim sukcesem, dlatego że nasza poezja spotkała się z surową krytyką. Przede wszystkim z krytyką Mieczysława Jastruna. On był zdumiony, że myśmy tutaj, tuż pod bokiem Majdanaka, pisali wiersze zupełnie niezwiązane z otaczającą nas rzeczywistością. Bo my raczej szliśmy tropami Czechowicza, szukaliśmy jakichś spraw dotyczących sensu życia właśnie wtedy, kiedy tutaj działo się coś tak strasznego. Może przyzwyczaiła się do tego ta nasza młodość i uciekanie od grozy wojny w jakiś inny świat – świat poezji. W Lublinie został

też wydany nasz zbiorowy tomik *Wiersze młodych poetów lubelskich*, który mogę traktować jako swój debiut książkowy. Tam są wiersze mojej bliskiej przyjaciółki Julii Hartwig, wiersze Jerzego Pleśniarowicza, Zygmunta Mikulskiego i jeszcze kilku innych osób.

**Maria Brzezińska:** I to już wyszło w [19]45...

**Anna Kamińska:** To wyszło w [19]45... Więc ile to lat? Nawet boję się policzyć... [...]

Na przełomie [194]7 i [194]8 wyjechałam do Warszawy i pracowałam w czasopiśmie „Wieś”. To było pismo redagowane przez Jana Aleksandra Króla, a przeznaczone dla wiejskiej inteligencji. I ono przez pewien czas stanowiło nawet pewną taką konkurencję, w każdym razie partnera dialogu, dla „Kuźnicy”. Tam debiutowali niemal wszyscy dzisiaj ważni krytycy literaccy. A potem, kiedy redakcja „Wsi” przeniosła się z Łodzi do Warszawy – było to w [19]49 roku, ja też przyjechałam do Warszawy...

**Maria Brzezińska:** Myślę, że za każdym razem, kiedy przyjeżdża pani, już teraz będąc od lat mieszkanką Warszawy, że za każdym razem przywozi pani pewne wspomnienia, ale i odbiera nowe wrażenia, prawda?

**Anna Kamińska:** Tak, Lublin dzisiejszy to już nie jest ten Lublin, który ja znam, który się wpisał we mnie jako Lublin mojego dzieciństwa i wczesnej młodości. On się tak rozrósł, tak rozwinął, powstało mnóstwo nowych osiedli, zabudował się aż niemal właśnie do Świdnika, gdzie dawniej przecież była tylko wieś. Kiedyś, wracając z Zamościa, wysiadłam z autobusu w jakiejś zupełnie nieznannej mi dzielnicy. Było tak, jakbym znalazła się w jakimś obcym mieście – musiałam zawstydzona pytać ludzi, jak mogę się dostać do śródmieścia Lublina.

## Zygmunt Mikulski

# Lubelscy filomaci\*

Jeśli „Reflektor” otrzymał tak zaszczytne miejsce w pamięci lublinian, coś koło tego powinno się należeć pewnej grupie literackiej, która istniała tu w połowie lat czterdziestych. Nie była to grupa w profesjonalnym tego słowa znaczeniu, jej członków nie łączyła wspólnota postaw artystycznych, czyli tzw. credo, jak to miało miejsce – *toutes proportions gardées* – w wypadku warszawskiego „Skamandra” czy krakowskiej Awangardy we wczesnych latach trzydziestych. Łączyło to samo miejsce zamieszkania i trochę wspólnych okoliczności z lat szkolnych. Wymieńmy: Julia Hartwig, Anna Kamińska, Jerzy Pleśniarowicz i niżej podpisany. Można jeszcze dodać Zygmunta Kałużyńskiego, który chętnie stawał w szranki we wszelkich sporach intelektualnych – co mu zostało do dziś – ale pisaniem „pięknym” się nie oszpecał, więc figurował w tej grupie na zasadzie trochę outsidera, trochę przekornego diabła, choć ze wszystkimi był w ścisłych koleżeńskich związkach. Można jeszcze dodać pół Igora Sikiryckiego, a to dlatego, że przez koleje losu do tego grona należał tylko połowicznie.

A więc jest rok [19]45-6, jeszcze perspektywa powodzenia przez zamieszkanie w Warszawie nie wessała wszystkich aspirantów, grupka – jak zwykle młodzi – poszukuje sposobów zrealizowania się literackiego, w kategoriach trwalszych niż wzajemna wymiana przez siebie napisanych wierszy. I kto wie, czy to oczekiwanie, to wysokie mierzenie perspektywy nie było najcenniejszym okresem życiorysów. Jest to czas, kiedy siebie samego się widzi w obszarze niedokonań, a więc w tej obszerniejszej

przestrzeni, w której jest więcej miejsca wprawdzie tylko na nadzieje, ale za to jakże jutrzenne i obiecujące.

Zwróciliśmy się do redakcji „Życia Lubelskiego” z propozycją redagowania literackiego dodatku. Naczelny redaktor Hipolit Bolesławski odniósł się do tego z wielką rezerwą, słusznie nie widząc w przedsięwzięciu nie tylko zysków finansowych, ale jego samowystarczalności. Jednakże naczelni redaktorzy zazwyczaj mają żony, a pani Zofia Bolesławska miała nie tylko męża, ale i hobby mecenasowania młodym, a szczególnie powodowania czegoś, co nieoczekiwanie wyskakuje jak diabełek z pudełka. W ten sposób pojawiła się strona gazety z naszymi tekstami. Już tam dowodnie widać, jaką byliśmy grupą: żadnego podobieństwa poetyk, jeśliby szukać dla nas wzorów, to skala objęłaby nazwiska od Przybosia do Staffa. Jedna stroniczka, ale to już dawało jako taką satysfakcję, szczególnie przy forsowanej na siłę nadziei owej systematycznie wychodzącej kolumny. To się jednak nie stało, realistyczne i arytmetycznie słuszne stanowisko męża pani Zofii dało się ukołysać tylko raz.

Co do Kałużyńskiego, pominąłem pewien fakt. Dla konsekwencji jego rysunku. Napisałem mianowicie, że ten intelektualista, erudyta, chodząca encyklopedia (termin Irzykowskiego: klerk) nie splamił się tekstem z dziedziny twórczości oryginalnej. Otóż, kiedyś tak. Napisał utwór sceniczny, który nazwał burleska (nie pamiętam już jaka: filozoficzna? obyczajowa?), zatytułowany początkowo *Fryzjerzy w walce z Psią Gwiazdą*, następnie *Kanikuła*. Utwór był nawet wystawiony w Łodzi, a także wydany

\* „Sztandar Ludu” 1986, nr 195, s. 4.



książkowo. Sceny są tam ujęte groteskowo i surrealistycznie, ale co szczególnie: postaci dramatu, czyli *dramatis personae*, to my, z jego najbliższego otoczenia, wchodzący w skład grupy. Jakże osobliwe było ujrzeć siebie widzianego z zewnątrz, w „zobiektywizowanym” obrazie autora. Mówię „zobiektywizowanym”, bo chodzi przecież o utrafienie sylwetki mimo fantastyczności akcji, a daję cudzysłów, bo z zamiaru to była humoreska i karykatura. Ale nawet w tym drugim wypadku adres do autentyku był konieczny, więc stanowiło to jakiś przyczynek do zbiorowego samopoznania.

Takie były „gry i zabawy” młodych czterdzieści lat temu. A jakie są dziś? Dyskoteka, czyli upragnione bicie po głowie decybelami jak największymi aż do całkowitego zaniku świadomości, gonitwy po ulicy bez powodu i w jakimś dziwnym podnieceniu z potrącaniem przechodniów, całowanie się i przytulanki w miejscach publicznych, co jest tym dziwniejsze, że z utratą intymności ginie cały smak tego zajęcia. A czy z rozmów młodych wpadnie do ucha czasem coś z dziedziny myśli, piękna, moralności? To po cóż – nie przeciwdziałając temu – występujemy przeciw warunkom sprzyjającym powstawaniu technokratycznego społeczeństwa?

W mieszkaniu Kałużyńskiego (w krótkim czasie dwie zmiany nazwy ulicy: Niecała, Wyszyńskiego, Sławińskiego) znajdowało się centrum spotkań pokrewnych mu zainteresowaniami intelektualistów. Bywał tam często – dziś już nie lublinianin – magister (z pewnością już profesor) etnologii Jan Kowalczyk, trochę mniej często Jan Kogut (postać rdzennie i do dziś lubelska). Głównie, oczywiście, męska część grupki. Przychodziło się, gadało, słuchało Kałużyńskiego – o dziwo – całkiem nieźle radzącego sobie z klawiaturą fortepianu. A przechodziło się koło – też trudno uwierzyć – drewnianego płotu. Taki sielski georgiczny obrazek niedaleko

od śródmieścia, na rogu Niecałej (dziś Sławińskiego) i Radziwiłłowskiej (dziś Dymitrowa). Najzwyczajniejsze (już zlikwidowane) drewniane kołki odgradzające dość zapuszczony sadek, a właściwie ugorek, na którym znajdował się ładny (niepotrzebnie zburzony) pałacyk, mieszczący za okupacji Haus der NSDAP. Zaraz po wyzwoleniu ten pałacyk został oddany na potrzeby literatów jako ich mieszkania, tam też odbyło się pierwsze inauguracyjne zebranie (zjazd?) reaktywowanego po wojnie Związku Zawodowego Literatów Polskich, a co dla nas ważniejsze, miejsce zbiorowego poranku autorskiego naszej grupki.

Ale ta atmosfera. Typowo filomacka. Hartwiżanka to jeszcze nie autorka *Apollinaire'a*, Kamińska to nie postać z centrum literackiej sceny warszawskiej. Kałużyński to nie czołowy filmolog i czołowy *enfant terrible* polskiej krytyki, więc pragnienie skrzydeł jako jeszcze nie zaspokojone tym bardziej rozpierało jaźnie. Ile marzeń i projektów, bynajmniej nie sprecyzowanych, bo w oparciu o takie realia, przesuwano się w wypowiedziach i niedomówieniach. W końcu ten ciąg ku Warszawie zwyciężył – dla tych, którzy mu ulegli, z dodatnim skutkiem – ale zanim grupka się całkiem zwarszawiła i w wypadku jednego zkrakowiła, by później zrzeszowieć, była aktywnym czynnikiem życia umysłowego w naszym mieście. Tak, z tego czasu nie pozostawiła po sobie żadnego (prócz wierszy w „Życiu Lubelskim”) śladu, ale... Ale przecież – strzełę aż tak wysoko – Sokrates całkiem niczego nie napisał, a przeszedł do historii filozofii na jednym z czołowych miejsc.

Ale cóż, że się z Lublina wyprowadzili, niektórzy aż w zaświaty. Jeszcze ani razu mi się nie zdarzyło – kiedykolwiek przechodziłem ulicą 1 Maja, Kunickiego, Narutowicza, Sławińskiego czy Biernackiego – nie uprzytomnić sobie postaci kogoś z naszej grupy, kto na danej ulicy mieszkał.

Zygmunt Mikulski

## 492. Wspomnienia gimnazjalisty\*

Skąd ten numer w tytule? Taki miało Państwowe Gimnazjum im. Stanisława Staszica po reformie szkolnictwa, dokładnie nie pamiętam, w pierwszych latach trzydziestych. Nosiliśmy go na tarczach mundurów. Pan profesor Jan Dobrzański ułatwił nam zapamiętanie daty odkrycia Ameryki, podając, że jest o równie tysiąc większa od numeru „Staszica”.

To było jednak już w nowej – obecnej – siedzibie gimnazjum przy Alejach Racławickich 26. Poprzednia była na Narutowicza 12. Kto dziś pamięta, że ta ulica nazywała się Namiestnikowską?

Zacząłem tam chodzić – sam już nie wierzę – w roku 1929. Dla mnie rok szkolny zaczął się... zmianą czapki. Przed moim przyjęciem do szkoły nosiło się czapki koloru amarantowego i taką mi zafundowano na rozpoczęcie roku, tymczasem zaraz na początku ten amarant zmieniono na błękit, tak więc poprzednią czapkę miałem tylko dla fasonu przed lustrem. Ale próżno starałbym się o opisanie awansu, którego doznałem jako „gimnazjalista”. Już nie chodziło o sam szczebel wyżej w edukacji. Zostałem wprowadzony w świat mi nieznaną, nie zawaham się powiedzieć, że wprost tajemniczą, leżącą gdzieś powyżej dotychczasowych doświadczeń uczniowskich, otwierającą jakiś nieokreślony sezam kultury, wiedzy, stylu życia. W szkole powszechnej jeden nauczyciel był od wszystkich arytmetyk, przyrody, języków polskich, tu od każdego przedmiotu był inny. A nawet i oni się zmieniali, czyli trzeba było modyfikować uczniowski sposób postępowania, bo osobowość wykładowcy, jego nawyki

i obyczaj nie są tu bez znaczenia. Czuję jednak, że tych trochę wiadomości, jakie zyskuję w trakcie nauki, to zaledwie wstęp, przedsmak prawdziwej wiedzy, która – do licha – nie wiadomo, czy będzie kiedyś mi dostępna.

Ba, a uczniowie klas wyższych? Jeśli na dużej przerwie ktoś z nauczycieli, spacerując po dziedzińcu, prowadził rozmowy z siódmo-, ósmoklasistami, traktowało się ich jako tak wyawan-sowanych, że nawet tytuł „kolega” nie był do przyjęcia. Chętnie mówiłoby się „pan”. Bo z profesorem rozmawiać niemal jak równy z równym, to jakim zaszobem wiedzy trzeba było dysponować? Nawet tych – już nie rozmów – dyskusji, debat, rozpraw się nie podsłuchiwało.

Z pewnością ani słowa nie dałoby się zrozumieć. Gdybym te nazwiska wówczas znał, byłbym przekonany, że to Kartezjusze, Kanty i Schopenhauery!

No tak, ten dziedzińczyk (zdrobnienie, oczywiście, pochodzi z pozycji dzisiejszych, wówczas ani się nie śniło takie spostonowanie) był też miejscem rekreacji, odsapu od koniugacji, deklinacji, dwutlenków węgla, siatek Mollweidgo i Merkatora. Cała kilkunastoletnia ruchliwość przez trzy kwadransy krępowana w sali szkolnej tutaj doznawała rozprężenia i zgody na swobodę. No więc byli „Tatarzy”, „Kozacy”, „kowboje” i „bandziory”, każdy przed następnymi lekcjami chciał się wyaktorzyć na zapas. Szczególnie odnosiło się to do Zygmunta Kałużyńskiego, który już wówczas, nawet w zajęciach ludycznych, wykazywał skłonność intelektualisty, czyli „odszcwieńca” od normy. Mianowicie zaangażowawszy kilku kolegów, od-

\* „Kamena” 1986, nr 19, s. 4-5.

## CZĘŚĆ I. Przed wojną – wojna – po wojnie (lata 1921-1946)

grywał sceny z lektur szkolnych, tekst literacki przekładając na żywy obraz.

Te teatralne adaptacje były wzbogacone inwencją reżysera, znacznie wykraczającą poza tekst zasadniczy, ale nie inna mogła być zabawa Kałużyńskiego, który trochę później wykazywał zainteresowanie dla teatru w nieinfantylnym stopniu. Że w końcu stał się krytykiem filmowym, było zaskoczeniem. Jakby miotacz zgłoszony do rzutu dyskiem pojawił się na boisku, ale stanął do skoku o tyczce. W Kałużyńskim – co zresztą zostało zauważone nie tylko przeze mnie – istniał ten dziwny miszmasz erudycji, inteligencji, nawet powagi (uczył się bardzo dobrze) z upodobaniami chłopackowatymi, realizowanymi ku zaskoczeniu otoczenia. Montesquieu w krótkich spodenkach. Co zresztą zostało mu do dziś. W swoim żywiole jest jako *enfant terrible* krytyki, publicystyki, polemiki. Taki był. Dowcipny, docinający, wyprzedzający atak.

Dyrektorem był wówczas Zygmunt Kukulski. Chromy, chodził z laską zakończoną gumową nasadką, jego przeje-

ście szkolnym korytarzem słyszało się jako trzytakt. Jedyne z dyrektorów (zresztą krótko za mojej w szkole obecności nim był), którego nie widziałem na lekcji nawet na zastępstwie nieobecnego nauczyciela. Dziwne. Kiedy później z jego nazwiskiem spotkałem się jako organizatora życia naukowego, wydawcy, osoby zajmującej ważne miejsce w kulturalnym środowisku Lublina, nie mogłem sobie jednego z drugim zestawzić. Kukulski był dla mnie wyłącznie dyrektorem szkoły, a nie żadnym prezesem towarzystwa, kimś wykazującym aktywność poza terenem prowadzonego przez siebie „Staszica”. Musiał być jednak na widoku, skoro Czechowicz uwzględnił go w swojej facecjonistycznej książeczce zawierającej fikcyjne lubelskie nowości wydawnicze. Oto z jakim anonsem:

„Kukulski Z. dr. Pisma wszystkie napisane i nienapisane. Wydane przez Pestalozziego. Tom jeden, rozmiaru i mr. kubiczny. Str. 1000000. Polecone dla wszystkich bez wyjątku. (Warto nabyć.) Lublin 1931”.



Uczniowie Gimnazjum im. Stanisława Staszica wraz z nauczycielem Wacławem Kołodziejskim. W drugim rzędzie pierwszy z lewej stoi Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



Mówię, że go na lekcji nigdy nie widziałem, w przeciwieństwie do następnego dyrektora, Wojciechowskiego (imienia nie pamiętam, nie mylić jednak ze Stefanem, geografem), który był bardzo krótko, a uczył mnie łaciny. Początków. Ta łacina, legendarny postrach niższych klas („Czekajcie, od czwartej będzie łacina”), w podaniu Wojciechowskiego była wprost miłą i łatwą bajeczką. Nic z tego koszmaru, którym straszono młodszych chyba dla podniesienia własnego autorytetu.

W tym samym budynku co szkoła znajdował się sąd. Jaki? Nigdy nie widziałem. Wiem tylko, że ciągle na udry mieliśmy z jego woźnym. A mieliśmy na skutek tego, że ze szkoły można było wyjść przez westybul sądu (nie wiem, dlaczego choćby zamknięciem drzwi nie oddzielono tych dwu instytucji) i często – więcej zresztą dla fantazji i oryginalności, niż dla praktyki – tamtędy chodziliśmy. To budziło protesty woźnego, którego chyba i osobista powaga jako stróża tamtego porządku cierpiała na tym, że kilku łapserdaków lekce sobie waży rygor jurydycznej instytucji.

Jakimś trafem – co zresztą nie sprzyja młodości? – znaleźliśmy się w posiadaniu pomniejszych lusterek. Reklamówki Wedla, czy coś takiego. Miały tę właściwość, że bardzo dokładnie odbijały światło razem z narysowanym na nich wzorem. Rysunek albo napis – oczywiście na lusterku w negatywie. Można sobie wyobrazić, jak nieskrępowane wynikały stąd efekty. Taki „zajaczek” trwał niedługo, w każdej chwili mógł być zgaszony, a przede wszystkim nie było wiadomo, skąd pochodzi. Nie, nie żadne obscena, ale swobodna gra tych słonecznych placków światła na murze dawała – jakżeby nie – sporo satysfakcji. Tyle, co druciane łamigłówek. Zawsze po lekcjach trafiał się magik, który przy bramie sprzedawał takie hokus-pokus, polegające na znalezieniu sposobu rozłączenia dwóch części konstrukcyjki bez

naruszenia drutu. Kasztanie do dziś stojący przed bramą, zaświadczy o prawdziwości tych słów!

W czerwcu 1933 roku „Staszic” został przeniesiony do własnego budynku w Alejach Racławickich. Dlaczego tak na krótko przed końcem roku, a nie z początkiem następnego? Podobno skończył się okres dzierżawy wynajmowanego budynku, a zostać te kilka tygodni dłużej znaczyło rozpocząć nowy okres wynajmu, co się finansowo szkole nie opłacało, tak więc zasiedlenie nastąpiło przed wykończeniem nowego gmachu. Osobliwa sceneria. Parkiet jeszcze nie położony, chodziło się po betonie, między piętami dziury (na rury centralnego ogrzewania?), drzwi bez klamek, o zamknięciu mowy nie ma.

A w ogóle sam budynek wówczas za miastem, niemal na pustkowiu; tony orkiestry prowadzącej kolumnę uczniów w pierwszym dniu szkolnego roku wsiąkały w ten pusty przestwór zwiewane przez wiatr. Dziwnie to wyglądało. Byliśmy prawie wiejską szkołą. I to nasilenie edukacji w miejscu, gdzie raczej Kasia powinna pasać gąski. Ale oczywiście miało to swoje dodatnie strony. Przede wszystkim stan przestrzennego posiadania. Boisko, bieżnia, skocznia. Na Narutowicza było to bardzo skąpe, ściśnięte murami prawie śródmieścia, tutaj aż wołać Wergiliusza z jego *Georgikami*.

Ale gimnazjum wówczas to nie był tylko zakład dydaktyczny, przedsiębiorstwo do przekładania wiadomości z podręczników i wykładów w uczniowskie głowy. Było to swoiste pedagogium z założenia i z upodobania nauczycieli kształcące wielorako, rozwijające wszystkie strony osobowości młodego człowieka. Nie kończyło się na dzwunku zamykającym lekcje. Odprowadzając profesora do pokoju nauczycielskiego, prowadziło się z nim rozmowy niekoniernie w ścisłym przedmiocie lekcji, również w oparciu o lekturę ponadobo-

wiązkową, co przy orientacji ucznia, jeśli większej niż przeciętna, nie odbywało się bez satysfakcji i pedagoga.

W tym sensie nie mogło nie być kilku profesorów, którzy wywarli wpływ na kształtowanie się mojej osobowości, nawet w wymiarze pozaszkolnym. Już nie byłem uczniem, a uznanie i szacunek dla nich odzywały się we mnie przy każdej wywołującej to okoliczności. Może nawet trochę i strach, jakbym jeszcze, już po maturze, mógł być przez któregoś z nich wywołany do tablicy.

Ludwik Zengteller. Nie mnie wystawiać cenzurki profesorom, choćby najbardziej dziękczynne, ale trafność tego spojrzenia wstecz wymaga przytoczenia pewnych danych. Wykładał język francuski, niemiecki i propedeutykę filozofii. Horyzont umysłowy niezwykle szeroki, żaden skład wiedzy obszerny a martwy. Czy jest do pomyslenia, żeby wykładowca o takiej specjalizacji zastąpił np. nieobecnego polonistę i poprowadził lekcję w sposób szczególnie interesujący? Zengteller to potrafił. Może nie wyszłoby tak na temat dwusiarczku węgla i równania kwadratowego, ale w problemach humanistycznych był niemal biblioteką. Wiem, że w czasach swojej wczesnej młodości miał coś z „Zielonym balonikiem”; później u Boya w *Znaszli ten kraj?* przeczytałem, że ktoś z tego balonikowego grona wylał jajecznicę na ścianę, i że z pewnością była to sprawka „Ludwisia”. Specjalnie podkreślam czas wczesnej młodości bohatera tej jajecznicy, by nie łączyć ekscesu z niezwykle charakterem umysłowości dojrzałego doktora filozofii.

Janina Pliszczyńska była nie tylko rozmiłowaną wielbicieleką kultury antycznej, nie tylko posiadaczką obszernej w tym względzie wiedzy, ale również niezwykle fortunnym dydaktykiem. Pod jej wpływem klasa doznała naukowego awansu, łacina przestała być zmorą, stała się nawet terenem rywalizacji między

niektórymi uczniami. „Gniotła?”. Tak, ale ile z tego „gniecienia” do dziś zostało w pamięci uczniów na temat składowi *cum narrativum* czy perypetii Tezeusza. No, nie chcę wyolbrzymiać, nie tak wiele, ale jeśli nawet jedna dziesiąta tego, co kursowało na lekcjach filologii klasycznej – tak pani doktor nazywała swój przedmiot nauczania, taki napis figurował na drzwiach jej sali wykładowej – to wystarczająco świadczy o skuteczności jej wykładów i wymagań.

A Jan Dobrzański? Chyba nikt z profesorów nie miał większego autorytetu u uczniów. Wiadomo, że żadna klasa to nie przesadnie zdyscyplinowany zespół, trochę ukradkowych figli należało nawet do reguły tego zakonu, ale nic takiego nie miało miejsca na lekcjach historii. Wcale nie przez jakąś administracyjną presję ze strony wykładowcy. Wystarczyło, że był, a czuło się, że nie wypada schodzić na pozycję zachowań się niedorośliwych, nawet tych tolerowanych, tych konwencjonalnych, tych widzianych przez palce. Miał niezwykle takt pedagogiczny i to zobowiązywało kilkudziesięciu młokosów do odpowiedzi tym samym stylem postępowania. Nie mam doświadczeń z terenu UMCS, bo nie byłem jego studentem, ale nie wyobrażam sobie, żeby doktor Dobrzański nie dał się poznać z tej strony jako rektor tej uczelni.

Czesław Zalewski prowadził lekcje gimnastyki. Umiał propagować kulturę fizyczną. Pod jego kierownictwem lekkoatletyczna reprezentacja „Staszica” zyskała pierwsze miejsce w rozgrywkach międzyszkolnych z taką przewagą, że mogliśmy wydać mecz wszystkim pozostałym szkołom Lublina z całkiem realnym widokiem na wygraną.

Wiem, że zabrzmiał to paradoksalnie, ale muszę dodać, że znajdowałem się w klasie, w której zespół uczniowski wywarł na moje zainteresowania nie mniejszy wpływ niż grono nauczycielskie. Przynajmniej dzięki Jerzemu



Pleśniarowiczowi. Zetknąłem się z nim wcześniej, jeszcze w starym budynku szkoły i od razu zauważyłem jego intelektualną inność w stosunku do „szarej masy” sztubackiej. Już dla dwunastolatka obraz nie był obrazem, ale – jeśli przedstawiał widok wsi – pejzażem. Szczegół drobny, ale jakże charakterystyczny. Później z Pleśniarowiczem spotkałem się ponownie, już w nowym budynku. Był „naczelnym redaktorem” szkolnej gazetki ściennej, do której pisywali również Zygmunt Kałużyński i Witold Hanzel, dziś zupełnie nieznanymi, przedwcześnie zmarłymi, niezwykle oryginalnymi poetami. Tak w tej grupce, łącznie

jeszcze z Wiesławem Choińskim (późniejszy ojciec Krzysztofa, autora sztuk dramatycznych), przeżywaliśmy młodzińczo *Sturm und Drangperiode*.

I dziś, kiedy przechodzę Alejami Racławickimi koło I Liceum im. Stanisława Staszica, nie mogę oprzeć się chęci, by dłuższe spojrzenie umieścić na frontonie tego budynku w złudnej nadziei dosłyszenia jeszcze jakiegoś echa tych jakże pamiętnych czasów. A także przypomnieć sobie wiersz Tuwima *Nauka* czytany przez nas wtedy, z apostrofą do Pana Boga:

„Proszę, zostaw mnie na drugie życie,  
Jak na drugi rok w tej samej klasie”

Widok na Aleje Racławickie. W centrum na drugim planie widoczny nowy budynek Gimnazjum im. Stanisława Staszica. Ok. 1942. Zbiory prywatne Romana Krawczyńskiego.



### **Julia Hartwig w Lublinie 18 maja 1978 roku**

Tego dnia w Muzeum Józefa Czechowicza odbyło się spotkanie z poetką. Na zaproszeniu czytamy: „Muzeum Okręgowe Oddział J. Czechowicza, Lubelski Oddział ZLP, Dom Książki i Stowarzyszenie Księgarzy Polskich w Lublinie zapraszają na wieczór autorski Julii Hartwig 18 maja 1978 r., godz. 18-ta w lokalu Muzeum J. Czechowicza w Lublinie, ul. Narutowicza 10”.

Spotkaniu towarzyszyła wystawa książek Julii Hartwig, którą można było zwiedzać w dniach 18 maja – 5 czerwca 1978.

Dokumentacja tego wieczoru – wspomniane zaproszenie i kilkanaście zdjęć autorstwa Józefa Zięby – jest przechowywana w zbiorach Muzeum Literackiego im. Józefa Czechowicza.



## Zygmunt Mikulski Hartwizanka\*

Obecność nieobecnego poety. Czym ona się mierzy? Jego zainteresowaniem osobistym? Miejscem w twórczości zajmowanym przez miejsce geograficzne? Częstotliwością odwiedzin? Zawodzi teoria. W wypadku Julii Hartwig zachodzi ten fenomen, że ani zbyt często Lublina nie odwiedza, ani go zbyt wiele w jej pisarstwie nie znajdziemy, a to nazwisko nie sposób odłączyć od zjawisk zawartych w określeniu „poetycki Lublin”. Zagadnienie dla jakiejś neurologii odczuć literackich. Bo przecież owa „lubelskość” Hartwizanki nie wynika z chęci „rewindykowania” jej przez nasze miasto ani z faktu, że biografia poetki rzeczywiście zawiera Gimnazjum Unii Lubelskiej jako jej szkołę średnią, ulicę Narutowicza jako jej miejsce zamieszkania.

„Lubelski” – mówimy o Czechowiczu. No tak. Tu przecież trzydzieści lat (z małym epizodem słobódkowskim) mieszkał. Tu pracował jako korektor, dziennikarz, nauczyciel. A przede wszystkim – o Lublinie pisał. *Stare kamienie* (osobliwe w jednym tomie sąsiedztwo dwu nie tylko różnych, ale i sprzecznych poetyk, jako że między Czechowiczem a Arnsztajnową można położyć jedno jedyne *iunctim* – znajomość osobistą), cykl *provincia noc*. (Dodajmy nawiasem „na wieży furgotał blaszany kogucik”, to wers zaczynający jeden z najsłabszych wierszy Czechowicza, ale zgoda, że jak ulą pasuje na okoliczność honorową). Jeżeli Czechowiczowi przypięto – trafną zresztą – etykietkę „poeta prowincji”, to właśnie dlatego, że prowincjonalny wówczas Lublin walnie się do tego przyczynił, takiej poetyckiej tonacji rezonans stwarzając.

Inaczej z Julią Hartwig. Widzenie jej osoby w związku z naszym miastem wynika stąd, że ów pierwszy, zapowiadający okres jej młodości tu upłynął, wszystko następne wówczas karząc osnuć mgłą niesprawdzalnych przewidywań. Historia zdecydowała inaczej i Hartwizanka wyjechała, ale Lublin „nie przyjął tego do wiadomości”. Jej tutejszą nieobecność uznał za stan tymczasowy. Więc co najwyżej możemy mówić, że absencja się co nieco przeciąga.

Wychodziło kiedyś – lata trzydzieste – w Lublinie młodzieżowe pismo „W Słońce”. (Powinien by się znaleźć ktoś, kto by o tym napisał jakiś artykuł). Raz na zebranie redakcyjne przyszła czternastoletnia dziewczynka. Nazywała się Julia Hartwig. Sensacja. Czternastoletnia i już autorka. Wprawdzie „redaktorzy” mieli co najwyżej po dwa lata więcej, ale w tym wieku różnica dwu lat to dużo. Trochę dziwiło, trochę nadawało smaku oryginalności, że na zebranie redakcyjne przyszło „dziecko”. I zaczęło się. Przyjaźnie, lektury, spacer, strofy, asonanse, zachwyty i krytycyzmy. Bo poezja wówczas to było wszystko. Wybór wzoru życia i postępowania, nie tylko dziedziny zainteresowań. A dla Julii wejście w „intelektualny pejzaż” Lublina tak trwałe, że do dzisiejszego dnia łudzące nieprzerwaną ciągłością. W tym wypadku można mówić o „obecności z daleka”.

Zaraz po wojnie Hartwizanka nie podjęła żadnej pracy etatowej, za to jej mieszkanie było miejscem ciągłych spotkań młodych lubliniaków: Anny Kamieńskiej, Jerzego Pleśniarowicza i Zygmunta Kałużyńskiego, zaferowanych nadmiarem

\* „Kamena” 1978, nr 12, s. 5.

Julia Hartwig. Zbiory prywatne Julii Hartwig.



problemów, które wybuchły wraz z wyzwoleniem i domagały się rozwiązania. Jakich problemów? W Lublinie zrobiło się gwarno i rojno jak na dworcu, znaleźli się tu nie tylko poeci-kościuszkowcy przybyli wraz z ofensywą ze Wschodu, ale również ci wszyscy skądinąd, których tu objął front wyzwoleniczy, więc „grupa lubelska”, nie istniejąc poprzednio, wówczas została niejako wywołana warunkami otoczenia. Zachodziła również różnica poetyk. „Grupa” znajdowała się wyraźnie na przedłużeniu dwudziestolecia międzywojennego, tam przecież tkwiąc własnymi początkami, więc różnica w stosunku do pisarzy dysponujących doświadczeniem nie okupacyjnym, lecz wojennym była wyraźna. Co zresztą artystycznie wcale nie świadczy na niekorzyść lublinian. Powtórzenie owej prologaty nastąpiło koło roku 1956, przynosząc wiele ciekawych rezultatów nie tylko w poezji, ale w prozie.

W serii wieczorów autorskich w Muzeum Czechowicza (tak udatnie organizowanych przez dyr. Józefa Wiesława Ziębę) Julia Hartwig spotkała się z czytelnikami dnia 18 maja 1978 roku. Czy przedtem spotkała się z czternastoletnią dziewczynką? Jeżeli tak, co miały sobie do powiedzenia? Bo oważ nosicielka war-

koczyków, już wówczas rezonerka i sawantka, z pewnością nie pozostała bez słowa wobec autorki *Pożegnań, Czuwania*, monografii o Apollinaire i Nerwalu. Nie tylko święty Augustyn miał swoje *soliloquia*. Co więc z dawnych jesieni, zapatrzeń, szelestów gazety czytanej pod pokojową lampą weszło do poezji dorosłej Hartwizanki? Chyba niemało.

I z pewnością nie będzie ujmy, jeśli powiemy, że ta poezja stylistycznie nie ewoluuje. To samo da się powiedzieć o wierszu Leśmiana, Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, wspomnianego już Czechowicza. Na odwrót: próbowanie wielu konwencji mające rzekomo doprowadzić do „wzbogacenia stylistycznego wachlarza” świadczy o niezdecydowaniu, a nawet braku aprobaty dla raz obranego kierunku. „Poznać pióro” – to kwalifikacja dodatnia. Tylko tak ma się je własne.

A jak by je scharakteryzować? Potrzeba mówić o zauroczeniu urodą zwykłego życia, rzeczy drobnych, nie bez wyczulenia na ogólne zagadnienia ludzkiej egzystencji. Ale cóż z tego, że potrzeba. Kropnęliśmy w ten sposób nawet nie jeszcze jeden, ale ten sam kanoniczny banał możliwy do przysycia każdej poezji. Niektóre omówienia nawet na czymś takim poprzestają. Niech im pójdzie na zdrowie. Jeśli wiersz ma być definicją świata, jakże uporać się z krytyczno-literacką formułką jako definicją wiersza? To pierwsze zawsze będzie obszerniejsze. Więc wynikałoby z tego, że krytyka jest niemożliwa? Owszem, bywały takie opinie. Że najlepszą krytyką jest przedłużenie, podchwycenie stylu. Pastisz. Świadectwo wiernego przyjęcia.

Poeta pisze świat, pisze siebie. Oba zjawiska dzieją się w czasie. Postanowienie nadążenia im jest czymś w rodzaju heroizmu. Nie bez kozery poeci sami akcentują pojęcia takie jak „międzysłowie”, „śródsłowie”, a nawet „metasłowo”. Bo wiedzą, że niezależnie od celności, od – paradoksie – zupełności wyrazu świat zawsze wyłoni coś, czego może dotknąć tylko zdumienie.



Przemko Maria Grafczyński

# Kochanek X Muzy

## Opowieść rodzinna o Zygmuncie Kałużyńskim\*

Największy polski krytyk filmowy. Przeogromna wiedza połączona z pasją, doskonałym piórem i talentem oratorskim. Cięty dowcip, niepowtarzalny styl. Mimo niekonwencjonalnej powierzchowności i manier, a może właśnie dlatego, prawdziwy geniusz medialny. Zygmunt Kałużyński, nasz krajan, skończyłby teraz, gdyby żył, 86 lat.

### Urzędnicy, palestra, kamienicznicy

Urodził się 11 grudnia 1918 roku w Lublinie, dokładnie: w kamienicy przy ulicy Namiestnikowskiej 30. Obecnie jest to róg Narutowicza i Mościckiego.

Gdy Kałużyński 30 września tego roku zmarł, przez prasę ogólnopolską i lubelską przetoczyła się fala artykułów, w których nawypisywano kosmicznych bzdur. A to był pastuchem krów w Łęcznej, gdzie, jak podają mylnie pewne źródła, miał przyjść na świat i gdzie to ponoć proponowano mu nawet honorowe obywatelstwo, a to że rodzina przywędrowała z dalekich Kresów, że był sierotą i cierpiał biedę. Pisano też, że ukończył Liceum im. Zamoyskiego w Lublinie, z którym akurat nie miał nic wspólnego. Raz służył w Armii Krajowej, innym razem w Batalionach Chłopskich, że już o pomniejszych głupstwach nie wspomnę.

Spróbujmy zatem spojrzeć wstecz na przodków Kałużyńskiego. Rodzina z linii ojcowskiej pochodziła z Warszawy. Pradziadek Jan Kałużyński pełnił stanowisko radcy rządu gubernialnego lubelskiego, dziadek Karol Kałużyński był w Lublinie rejentem, wchodził też w skład Rady Opiekuńczej Prywatnego

Męskiego Gimnazjum im. Stefana Batoro (tzw. Szkoły Lubelskiej).

Matka Zygmunta – Helena Kałużyńska z Grafczyńskich była dość znaną pianistką i nauczycielką muzyki, dziadek Teodor Wincenty Grafczyński był urzędnikiem państwowym. Ożenił się z Michaliną z domu Sobolewską, której z kolei rodzice Józef i Katarzyna (*de domo* Ołdakowska – pochodzenia litewskiego) Sobolewscy posiadali fabrykę i szereg kamienic – można więc nazwać ich kamienicznikami. Inny pradziadek Zygmunta – Alfons Grafczyński był przedsiębiorcą i mieszkał w Krakowie. Ożenił się z Florentyną Lempke (pochodzenia szwedzkiego) i jeden jego syn (wspomniany wyżej urzędnik Teodor) zamieszkał w Lublinie, natomiast drugi syn – Antoni Telesfor (stryjeczny dziadek Zygmunta) przejął po ojcu i prowadził Hurtowy Skład Masła przy ulicy Stachowskiego 25 w Krakowie. No i na koniec: młodszy brat Heleny Kałużyńskiej – Tadeusz Grafczyński, ten właśnie wuj, którego Zygmunt często w swoich książkach i artykułach wspominał, był wziętym adwokatem.

### Plotkarz i blagier

Z takiej to „biednej” rodziny pochodził słynny Zygmunt. Trudno dociec, dlaczego sam niejednokrotnie wmawiał ludziom to „biedniackie” pochodzenie. Może chciał usprawiedliwić swoje socjalistyczne poglądy, którymi zresztą „zaraził się” właśnie od wuja Tadeusza. Obaj, nawiasem mówiąc, nigdy do żadnej partii nie należeli.

We wstępie do niedawno wydanej książki *Do czytania pod prysznicem*.

\* „Magazyn” (dodatek do „Kuriera Lubelskiego”) 24 grudnia 2004, s. 4-5. Skróty w nawiasach okrągłych pochodzą od autora.

*Znalezione w osobistej szufladzie* Kałużyński napisał: „Uprawiam plotkarstwo i blagę. Proszę nie brać zbyt serio pod uwagę tego, co piszę”. I tu niewątpliwie miał rację. Oto np. w bardzo obszernym i osobistym wywiadzie, którego udzielił Dariuszowi Zaborkowi, opublikowanym w „Dużym Formacie” 11 września 2003 roku, czytamy:

- „– A rodzice?
- Nie żyli. Jestem sierotą.
- Ile miał Pan wtedy lat, gdy umarli?
- Mały byłem, dziesięć lat, gdy matka zmarła (...).
- A tata?
- Umarł jeszcze wcześniej”.

Otóż Helena Kałużyńska zmarła 22 czerwca 1931 roku, gdy Zygmunt miał lat blisko trzynaście. Mieszkali wówczas przy ulicy Niecałej 10, gdzie wuj Tadeusz prowadził kancelarię adwokacką. Natomiast ojciec Zygmunta – Jan Kałużyński został rozstrzelany przez Niemców w Chełmie we wrześniu 1939 roku. Jan i Helena rozstali się, gdy Zygmunt miał dwa lata, więc praktycznie ojca nie znał i nigdy nie utrzymywał z nim kontaktów. Mówiąc zatem w wywiadzie o ojcu: „Umarł jeszcze wcześniej”, miał zapewne na myśli, że dla niego „nie żył”.

Tak więc od roku 1931 wychowywali Zygmunta matka i wuj. Nie był zatem całkowitym sierotą. Ukończył w 1936 roku Gimnazjum im. Staszica w Lublinie. Czasami wyjeżdżał na wakacje na wieś, m.in. do zaprzyjaźnionej rodziny rejenta Wąsowskiego w Łęcznej, gdzie mógł oczywiście pasać krowy, tyle że nie jako „profesjonalny” pastuch. Opowiadał mi też, że bywał w Łęcznej tuż po wyzwoleniu, by douczać rolników na tzw. chłopskich uniwersytetach, no i stąd wzięła się Łęczna, która może nie-zbyt mile utkwiała mu w pamięci.

### **Lublin miasto debiutów**

Po ukończeniu gimnazjum studiował prawo w Warszawie. Wybuchła wojna, przez co musiał studia przerwać i chyba

mu to wyszło na dobre, bowiem zawodu prawniczego wysoko sobie nie cenił. Wojnę przeżył w Lublinie. Wuj Tadeusz zatrudnił go (niejako fikcyjnie) jako kancelistę w swojej kancelarii, gdzie oficjalnie pracował do 31 grudnia 1944 roku. Wuj starał się go po prostu w ten sposób chronić przed okupantami. Zmobilizowany nie został, gdyż nie miał odpowiedniego przygotowania. Przeszedł jedynie, będąc w gimnazjum, tzw. przysposobienie wojskowe w latach szkolnych 1933-34 i 1934-35. Nigdy nie był ani w AK, ani w BCh. Jak sam mi opowiadał, kilkakrotnie pomagał AK-owcom przy wyprowadzaniu ludzi z Lublina. Wspomina też o tym w książce *Do czytania pod prysznicem*.

Przyjrzyjmy się teraz debiutom Kałużyńskiego. Otóż jak na ówczesne warunki (wojna jeszcze trwała), bardzo szybko zorganizowano pierwsze pismo kulturalno-oświatowe „Odrodzenie”. Numer pierwszy ukazał się w objętości czterech stron już 3 września 1944 roku. Około ćwierć numeru wypełnił Zygmunt dwoma artykułami – i to były jego debiutanckie teksty – *Odradza się życie kulturalne. Wieczór literacki w Teatrze Miejskim w Lublinie* oraz *Zapolska na scenie lubelskiej*. W tym ostatnim autor pisał: „Ujrzeliśmy bowiem przedstawienie tęgie, trzymające się kupy, które przypomniało nam tradycję polskiej komedii realistycznej (chodzi oczywiście o *Moralność pani Dulskiej* – przyp. mój), a wspomnienie owego dobrego, krwistego teatru po pięciu latach kulturalnej nicości dało nam wzruszenie, za które wdzięczni jesteście artyście”.

Redakcja „Odrodzenia” mieściła się przy Krakowskim Przedmieściu 62. Tam też powstało czasopismo – efemeryda „Gontyna” z podtytułem: *Literatura – Teatr – Malarstwo – Muzyka*, którego jedyny numer ukazał się w grudniu 1944 roku. I tu Kałużyński zamieścił kolejną recenzję: «*Jeńcy*» *Lucjana Rydla. Druga z kolei sztuka wystawiona przez*

*Teatr Miejski w oswobodzonym Lublinie.* Artykuł zilustrowano dwiema fotografiami autorstwa Edwarda Hartwiga. Na jednej z nich... Kałużyński w roli Wolfircka. I to był kolejny debiut Zygmunta, tym razem na scenie. Jak można było grać i jednocześnie pisać recenzję? Zygmunta wybrnął bardzo sprytnie: opisał cały zespół, o sobie w ogóle nie wspominając. Spotkał „Gontynę” los marny, bo choć była prawie bibliofilsko, jak na owe czasy, wydana, trójbarwną okładkę projektował znany artysta Władysław Filipiak, to okazało się, że redaktor naczelna Cytia Tatrowid była za okupacji współpracownicą hitlerowskiej gadzinówki „Nowy Głos Lubelski”. No i tak „Gontyna” padła.

Debiutował też Zygmunt jako pianista. Odziedziczył te zdolności oraz koncertowy fortepian po matce Helenie. Akompaniował na nim tuż po wojnie słynnemu dziś tenorowi Bogdanowi Paprockiemu, z którym razem uczęszczali do gimnazjum. Zdaje się, że był ten lubelski występ pierwszym koncertem w wyzwolonej Polsce.

### Perła publicystyczna

Pierwszą wydaną książką Kałużyńskiego była *Kanikuła. Fantazja dramatyczna w 9 scenach* (Łódź 1946). Leży przede mną egzemplarz tej pozycji. Na stronie przedtytułowej odręczna dedykacja: „Mojemu kochanemu Wujowi, wychowawcy i opiekunowi, który zrobił ze mnie człowieka, ofiaruję tę pierwszą moją pracę. Zygmunt Kałużyński, Lublin, 20 sierpnia 46 r.”. *Kanikuła* przeszła raczej bez echa, furorę zrobiła dopiero *Podróż na Zachód* (Warszawa 1953, 1954, 1956 – trzy wydania w ciągu czterech lat!), opublikowana już po studiach w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Łodzi (u Leona Schillera) i po pobycie we Francji.

Mało kto też wie i nie napotkałem w żadnej z not biograficznych, że Kałużyński zaistniał również jako tłumacz. Przełożył i opracował *Dziennik Szembeka. Dokument polityki sanacyjnej*. Pozycja ta ukazała się w wydawnictwie Książka i Wiedza (Warszawa 1954).

Nie będę tu z braku miejsca rozpisawał się o twórczości Kałużyńskiego,



Widok na ulicę Niecałą, przy której znajdował się dom Zygmunta Kałużyńskiego (czwarta kamienica po lewej). 2006. Fot. Wioletta Wejman. Archiwum TNN.



zarówno tej gazetowej (pisał do wielu pism), jak i książkowej, gdyż są to informacje ogólnie dostępne i znane. Równie popularne były jego występy w telewizji. Na jubileuszowym X festiwalu filmowym „Lato Filmów” w Kazimierzu Dolnym 6 sierpnia br. wyświetlono film z Kałużyńskim w roli głównej *Pół życia w ciemnościach* wyreżyserowany przez Jana Sosińskiego i Tomasza Raczkę. Namiot filmowy wprawdzie pełen nie był, za to brawa były gromkie.

### **Amerykańska żona**

Wróćmy jeszcze do prywatnej sfery życia. Zygmunt wcale nie był, jak to niektórzy o nim powiadali, kobieciarzem. Miał dwie żony. Pierwszą była Julia Hartwig, sławna dziś poetka, siostra znakomitego fotografa Edwarda Hartwiga i prof. dr. hab. medycyny Walentego Hartwiga (obaj już nie żyją). Rodzina Hartwigów mieszkała przed wojną po nieparzystej stronie Namiestnikowskiej (dziś Narutowicza). Niedawno odsłonięto w Lublinie tablicę: Zaułek Hartwigów. Drugą żoną Zygmunta była amerykańska aktorka Eleanor Griswold. Po rozwodzie z Kałużyńskim wyszła za mąż za znanego reżysera Aleksandra Forda (m.in. *Krzyżacy*) i wyjechali oboje w 1969 roku do USA. Ford zmarł w 1980 roku.

Spoczął Zygmunt Kałużyński na wojсковych Powązkach. Dziwne, ale na pogrzebie ze znanych reżyserów i aktorów zauważyłem jedynie Maję Komorowską. Musieli widać silnie Zygmunta nie lubić za krytyczne wobec wielu teksty. Nie zmieni to faktu, że był największym krytykiem filmowym i prędko drugi taki się nie objawi.

### **Kałużyński – filozof**

Na zakończenie wymienionej wyżej już dwukrotnie książki przytacza Kałużyński opinię wygłoszoną do niego przez Mieczysława F. Rakowskiego, wówczas naczelnego redaktora „Polityki”, w której to Zygmunt pracował od 1957 roku: „Wie pan, redaktorze Kałużyński, pan to raczej powinien zostać prawnikiem”. Faktycznie był niedokończonym prawnikiem i wuj adwokat bardzo chciał, by skończył prawo i przejął po nim kancelarię. Ale i wuj, i Rakowski nie mieli racji.

Gdy się analizuje teksty Zygmunta, jasno widać, że minął się z powołaniem. Powinien był zostać... filozofem!

PS Oprócz wymienionych w tekście książek i czasopism, korzystałem głównie z archiwum rodzinnego.

# Anna Kamińska

## notka biograficzna

Urodziła się 12 kwietnia 1920 roku w Krasnymstawie. Lata młodości spędziła w Lublinie i u dziadków w podlubelskim Świdniku. Ojciec Anny zmarł wczesnie, wychowaniem czterech córek zajmowała się matka (pracownik społeczny) i babka. Anna uczęszczała do szkoły powszechnej w Lublinie i Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, gdzie poznała Julię Hartwig, która została w tym czasie jej najbliższą przyjaciółką.

Od 1937 roku uczyła się w Liceum Pedagogicznym w Warszawie. W czasie okupacji hitlerowskiej przebywała w Lublinie i w podlubelskich wsiach, naukę kontynuowała na tajnych kompletach. Maturę zdała w konspiracyjnym liceum humanistycznym w Lublinie, następnie samodzielnie studiowała polonistykę na konspiracyjnym Uniwersytecie Warszawskim. Po wojnie studiowała filologię klasyczną – początkowo na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, później na Uniwersytecie Łódzkim.

Debiutowała w 1936 roku w „Płomyczku”, gdzie, dzięki pomocy Józefa Czechowicza, zostały wydrukowane dwa

jej wiersze. Pierwsze utwory po wojnie ukazały się w „Odrodzeniu” w 1944 roku. Zawodowo związana była z tygodnikami „Wieś” (lata 1946-1953) i „Nowa Kultura” (lata 1950-1963) oraz miesięcznikiem „Twórczość” (od 1968 roku). W połowie lat pięćdziesiątych zaczęła pisać utwory dla dzieci i młodzieży, które drukowała m.in. w „Płomyczku” i „Świerszczyku”. Zajmowała się ponadto tłumaczeniami literatury rosyjskiej i redagowaniem książek. Była autorką kilkudziesięciu tomików wierszy, kilku zbiorów opowiadań, powieści, esejów i kilkunastu książek dla dzieci, wydała również *Notatnik* (dziennik z lat 1965-1979).

W 1948 roku poślubiła poetę i tłumacza Jana Śpiewaka. Mieli dwóch synów: Jana Leona i Pawła. Śmierć męża w 1967 roku była dla poetki ogromnym ciosem, po czasie zaowocowała jednak wzmożonym zainteresowaniem wiarą i zaangażowaniem w działalność Kościoła katolickiego. W latach siedemdziesiątych odżyły także jej związki z Lubelszczyzną, którą opuściła po wojnie.

Zmarła w roku 1986 w Warszawie.

# Zygmunt Kałużyński

## notka biograficzna

Zygmunt Kałużyński urodził się 11 grudnia 1918 roku w Lublinie. Pochodził z zamożnej rodziny mieszczańskiej. Ojciec opuścił rodzinę, gdy Zygmunt miał dwa lata, matka zmarła w 1931 roku – od tego momentu wychowywał go wuj Tadeusz Grafczyński. W 1928 roku Kałużyński rozpoczął naukę w Państwowym Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Lublinie. Był wybitnie zdolny; pełnił funkcję prezesa szkolnego klubu literacko-naukowego, należał do harcerstwa.

Po zdaniu matury w 1936 roku rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. Równolegle uczęszczał na Wydział Reżyserii Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej, gdzie był uczniem Leona Schillera. Przerwał studia w momencie wybuchu II wojny światowej. Okupację niemiecką przeżył w Lublinie, pracując w kancelarii adwokackiej swojego wuja.

Po oswobodzeniu Lublina zaangażował się w działalność kulturalno-oświatową. Związał się z redakcją pisma „Odrodzenie”, w którym debiutował jako publicysta; często zamieszczał recenzje z pierwszych po wojnie przedstawień granych w lubelskim Teatrze Miejskim. W 1946 roku podjął przerwane studia, tym razem w Łodzi w Wyż-

szej Szkole Teatralnej. W Łodzi wydał w 1946 roku swą pierwszą książkę *Kanikuła. Fantazja dramatyczna w 9 scenach*. Popularność przyniosła mu druga jego książka *Podróż na Zachód* (Warszawa 1953).

W 1947 roku, po ukończeniu studiów wyjechał do Paryża, gdzie sprzedawał prasę i pisywał do polonijnych wydawnictw. Do Polski wrócił w 1952 roku. Był dwukrotnie żonaty: z Julią Hartwig i amerykańską aktorką Eleanor Griswold (oba małżeństwa rozpadły się).

Zygmunt Kałużyński przez całe życie współpracował z tygodnikiem „Polityka”, był krytykiem filmowym, autorem wielu książek, w tym tomu wspomnień *Do czytania pod prysznicem, czyli znalezione w osobistej szufladzie* (2004). Wraz z Tomaszem Raczkim w latach 1990-2000 prowadził w Telewizji Polskiej Program *Perły z lamusa*. Niekonwencjonalne zachowanie, śmiałe opinie, kontrowersyjne poglądy i cięty język przysparzały mu zarówno wielu sympatyków, jak i wrogów.

W roku 2003 powstał film dokumentalny *Zygmunt Kałużyński. Pół życia w ciemnościach* w reżyserii Jana Sosińskiego.

Zmarł w 2004 roku w Warszawie.



# Zygmunt Mikulski

## notka biograficzna

Urodził się 25 lipca 1920 roku w miejscowości Smogorzew koło Kozienic.

W 1938 roku zdał maturę w Państwowym Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Lublinie. W szkole należał do harcerstwa i był wyróżniającym się sportowcem. W starszych klasach zbliżył się do środowiska intelektualnej młodzieży – Zygmunta Kałużyńskiego, Witolda Hanzla i Jerzego Pieśniarowicza. Po maturze zaczął studiować filozofię na KUL, jednak musiał przerwać studia z powodu wybuchu wojny. W 1944 roku, po wyzwoleniu Lublina, dostał pracę w Polskim Radiu. W 1945 roku wrócił na studia filozoficzne i ukończył je w 1948 roku. W tym czasie współpracował z czaso-

pismem „Stańczyk”, dziennikami „Gazeta Lubelska” i „Rzeczpospolita”. Od 1947 roku przez dwa lata był redaktorem „Życia Lubelskiego”, a od 1949 roku pracował w „Sztandarze Ludu” jako redaktor techniczny, a następnie dziennikarz. W latach 1956-1972 redagował tygodniowy dodatek kulturalny do „Sztandaru Ludu” pt. „Kultura i Życie”. Od 1963 roku był związany z „Kameną”.

Zygmunt Mikulski debiutował w 1937 roku, publikując wiersz w tygodniku „Sport Szkolny”. Jest autorem kilku tomików poetyckich oraz wspomnień z okresu przedwojennego *Tamten Lublin* (1975).

Zmarł 11 lutego 1998 roku w Lublinie.

# Jerzy Pleśniarowicz

## notka biograficzna

Urodził się 7 stycznia 1920 roku w Jekaterynosławiu na Ukrainie.

W latach 1931-1938 uczęszczał do Państwowego Gimnazjum im. Stanisława Staszica w Lublinie. Po maturze rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Warszawskim i włączył się w życie literackie stolicy. W okresie okupacji pracował w Powiatowej Spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Lublinie, następnie objął posadę nauczyciela języka polskiego w Szkole Spółdzielczości Rolniczej w Nałęczowie. Działał w Batalionach Chłopskich. Po wyzwoleniu wrócił do Lublina, od października 1944 roku pracował w Departamencie Kultury i Sztuki PKWN oraz w redakcji literackiej Polskiego Radia, ponadto w Szkole Instruktorów Teatrów Amatorskich oraz w Teatrze im. Juliusza Osterwy jako asystent reżysera.

W 1950 roku przeniósł się do Krakowa, gdzie zajmował się reżyserią teatralną, jednocześnie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim kończył rozpoczętą przed wojną polonistykę – dyplom uzyskał w 1952 roku. W tym samym czasie przeprowadził się do Rzeszowa i związał się z Teatrem Zie-

mi Rzeszowskiej im. Wandy Siemaszkowej, gdzie do emerytury pełnił funkcję kierownika literackiego.

W latach 1962-1972 należał do redakcji tygodnika „Kamena”, współpracował również z rzeszowskim miesięcznikiem „Profile” i „Kwartalnikiem Rzeszowskim”. Założył rzeszowski oddział Związku Literatów Polskich.

Jako poeta debiutował w 1937 roku na łamach „Pionu”. Od 1936 roku działał jako redaktor i publicysta w międzywojennym czasopiśmie „W Słońce”. W 1938 roku zdobył I nagrodę w konkursie polonistycznym dla maturzystów zorganizowanym przez Polską Akademię Literatury. W roku 1939 wydał swój debiutancki (i ostatni) tomik poetycki *Śpiew pierwszy*.

Był reżyserem sztuk teatralnych, twórcą adaptacji i tłumaczem (z ukraińskiego, słowackiego i czeskiego). Napisał *Kartki z dziejów rzeszowskiego teatru*, które wydano pośmiertnie, podobnie jak rozproszone wiersze zebrane przez jego syna w tomie *Ballada o ulanach i inne wiersze z lat 1936-1945*.

Zmarł 13 stycznia 1978 roku w Rzeszowie.

# Igor Sikirycki

## notka biograficzna

Urodził się 31 lipca 1920 roku w Brześciu nad Bugiem. Był synem naczelnika telegrafu brzeskiego i bibliotekarki. W 1926 roku wraz z rodziną przeprowadził się do Lublina.

Uczył się w szkole powszechnej, następnie w gimnazjum; należał do komitetu redakcyjnego międzyszkolnego pisma „W słońce”. W Lublinie zastał go wybuch II wojny światowej. W czasie okupacji walczył w szeregach Armii Krajowej. Po wyzwoleniu Lublina otrzymał skierowanie do pracy w Polskim Radiu w charakterze sprawozdawcy frontowego oraz spikera radiowego.

Debiutował w czasie wojny wierszami o tematyce wojennej, z których kilka sta-

ło się pieśniami partyzanckimi. Po wojnie, oprócz poezji, pisał też bajki i wiersze dla dzieci, utwory satyryczne, skecze dla teatru i powieści dla młodzieży. Przełożył gruziński poemat *Witeź w tygrysiej skórze* (1960).

Był społecznikiem, przez długi czas pełnił funkcję radnego Rady Narodowej miasta Łodzi. Działał w Krajowym Komitecie Obrońców Pokoju, w Zarządzie Polskiej Sekcji Międzynarodowego Komitetu ds. Literatury dla Dzieci i Młodzieży przy UNESCO i w łódzkim Towarzystwie Przyjaciół Dzieci.

Zmarł 2 stycznia 1985 roku w Łodzi.





CZĘŚĆ II

# Julia Hartwig – lubelskie ślady

Rozmowy

Teksty



# Wieczór literacki

Z Julią Hartwig rozmawia Maria Brzezińska\*

**Julia Hartwig:** W Lublinie mieszkaliśmy w różnych mieszkaniach, najpierw na Staszica, bardzo wysoko, na najwyższym piętrze – to było bardzo skromne mieszkanie. Rodzice zamieszkali tam zaraz po powrocie z Rosji. Pamiętam ludzi, którzy mieszkali koło nas, m.in. takiego kulawego cukiernika, który przechodził zawsze przez znajdujący się obok ciemny korytarz. Pamiętam też wielu życzliwych ludzi, którzy zachodzili do nas, by nam pomóc w okresie, który był dla nas bardzo trudny, na samym początku, kiedy zamieszkaliśmy w Lublinie. Te wspomnienia są bardzo odległe, ja wtedy byłam rzeczywiście małym dzie-

ckiem. To był też okres pierwszych lalek, takiego spotkania ze światem poprzez dom, w którym byli ojciec i matka i gdzie byłam otoczona rodzeństwem, dużo zresztą ode mnie starszym. Oni już wtedy byli w szkołach średnich, a nawet na uniwersytecie. Potem przenieśliśmy się dwa piętra niżej, to było już mieszkanie ładniejsze, dużo większe, dużo przyjemniejsze. Następnie przenieśliśmy się na Krakowskie Przedmieście. Tuż przed wybuchem wojny zamieszkałam na ulicy Narutowicza 23, gdzie dotąd mieszka moja siostra.

Chodziłam do Gimnazjum im. Unii Lubelskiej i bardzo jestem dumna z tej

\* Fragment audycji Marii Brzezińskiej *Wieczór literacki*, Radio Lublin, 31 października 1983 roku. Dziękujemy Autorce i Radiu Lublin za zgodę na wykorzystanie transkrypcji.

Rodzina Hartwigów. Od lewej: Ludwik (ojciec), Helena, Edward, Zofia, Walenty, Julia i Maria (matka). Ok. 1922. Zbiory prywatne Julii Hartwig.



## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

szkoły. To była wspaniała szkoła, w której wykładali wspaniali profesorowie i naprawdę mam im bardzo wiele do zawdzięczenia. Była tam bardzo dobra polonistka – pani Kurszewska, była znakomita geografka – pani Chałubińska, związana rodzinnie z doktorem Chałubińskim, była wspaniała nauczycielka fizyki, pani Woszczerowicz, siostra Woszczerowicza, tego wybitnego aktora. Była również wspaniała dyrektorka, pani Mally, dzięki której mogłam zacząć moje studia na uniwersytecie podziemnym. To ona umożliwiła mi pierwszy kontakt z tym uniwersytetem i zachęciła mnie, żeby pojechać do Warszawy. To właśnie wtedy porzuciłam Lublin, to był w moim życiu taki jak gdyby przełom, bo od tego czasu już jestem w Warsza-

Julia Hartwig i Edward Hartwig na placu Litewskim, lata 30. XX w. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



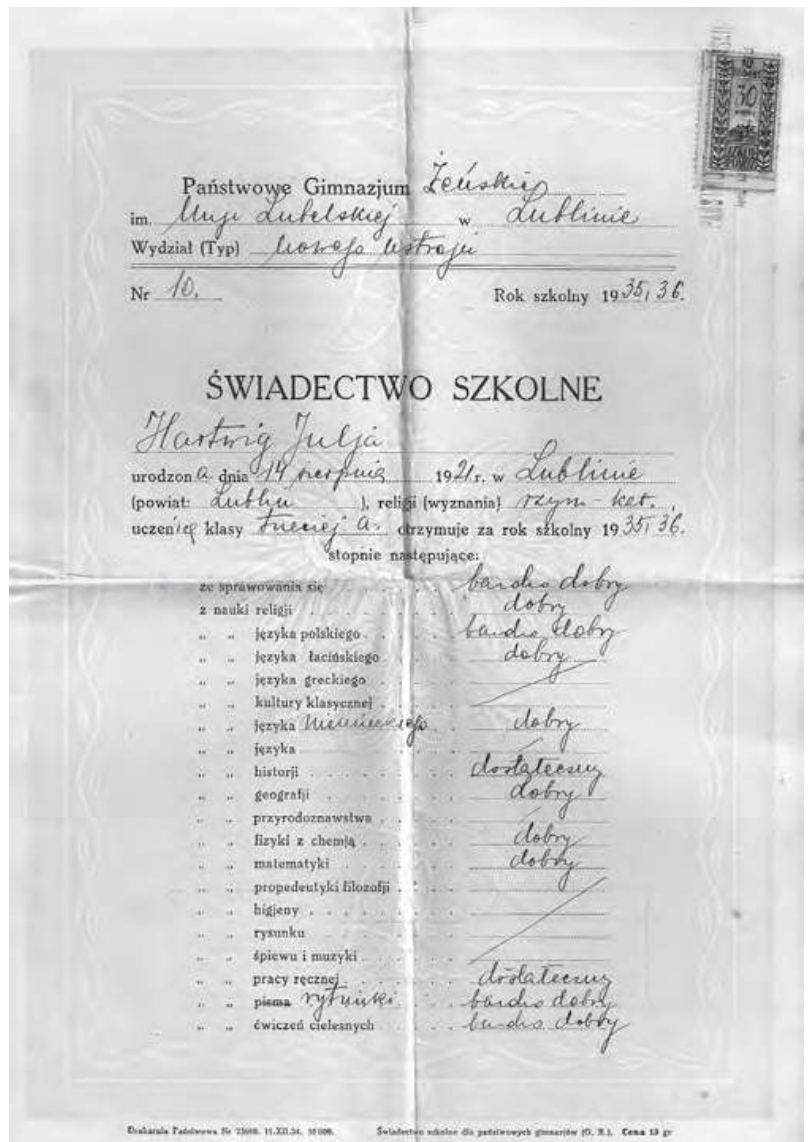
wie i dotąd tam mieszkam, i nie przewiduję, żebym zmieniła swoje miejsce zamieszkania.

Więź pamięci z dzieciństwem zawsze wzmaga się w nas w miarę upływu lat i staje się najsilniejsza w wieku starszym, o tym zresztą wszyscy piszą. Napisałam nawet taki jeden wiersz o pamięci, który mówi, że najsilniej pamięta się okres dzieciństwa w latach późniejszych. Nie należałam nigdy do tych poetów, którzy w okresie młodości pisali o miejscu, w którym mieszkają; przeciwnie, przez przekorę jak gdyby od tego uciekałam. Ale teraz bardzo wyraźnie czuję potrzebę zadokumentowania tych moich związków z rodzinnym miastem. W miarę jak o tym myślę, to widzę, jak duży wpływ miał Lublin na mnie, jakie to było piękne miasto. Jak się żyje w takim miejscu, to się tego nie docenia. To tak jak być na co dzień z jakimś wspaniałym człowiekiem – dopiero potem, z odległości, widzi się, jaka jest jego wartość. Lublin był naprawdę znakomitym ośrodkiem kulturalnym, w którym można było spotkać wielu wspaniałych ludzi. Z okresu powojennego dobrze zapamiętałam dyrektora Muzeum Lubelskiego, pana Wiktora Ziółkowskiego. To był naprawdę człowiek bezinteresowny, tak wspaniały animator sztuki. Przyjaźnił się z grafikami, interesował się folklorem, czytywał chyba wszystko, co ukazywało się w druku. Do tego stopnia, że nawet jako człowiek bardzo już stary, naprawdę niemal wiekowy, potrafił przychodzić do mojego brata fotografika, żeby przynosić mu wycinki z prasy, w których była jakaś wzmianka o mnie czy jakiś mój wiersz. To był człowiek, który gromadził wszystkie skarby, które dotyczyły Lubelszczyzny. On zresztą nie jest wyjątkiem, znam więcej takich ludzi zapalonych, którzy zbierają wszystko, co dotyczy tych, którzy się urodzili w Lublinie, i znajdują bardzo wiele nazwisk lubliniaków sławnych w przeszłości.



Z bratem bardzo często gawędzi-  
my na tematy lubelskie. Pisałam nawet  
z wielką przyjemnością wstępy do jego  
albumów lubelskich. Jestem zwłaszcza  
wielką admiratorką jego lubelskich pej-  
zaży. Wydaje mi się, że on jest naprawdę  
prawdziwym poetą pejzażu polskiego.  
Nie trzeba go było uczyć miłości do  
Lublina, bo on jako młody chłopiec już  
świetnie znał Lublin i kochał go – co wi-  
dać w jego zdjęciach. Te zdjęcia mają już  
dzisiaj wartość archiwalną. To jest wspa-  
niały dokument starego Lublina i jego  
okolic, które są po prostu zachwycają-  
ce. Zawsze marzę, żeby spędzić tu na  
Lubelszczyźnie wakacje, ale nie bardzo  
jest gdzie i coraz trudniej, ze względu na  
brak czasu, jest teraz pojechać tak sobie,  
po prostu, żeby spędzić wakacje. Ale to  
jest naprawdę cudowna kraina. Tak bo-  
gata, taka żywa, taka pełna jakichś sta-  
rych melodii. Język jest tam tak piękny,  
polszczyzna jest taka cudowna. [...]

Często się zastanawiałam nad tym, co  
mój dom mi dał. Rodzice byli bardzo za-  
jęci. Mimo że byli wielkimi miłośnikami  
teatru, opery i muzyki, to nikt z nas nie  
poszedł w tym kierunku, po prostu nie  
miał żadnych zdolności ku temu. Do-  
chodzę do wniosku, że najważniejsze,  
co zawdzięczam mojej rodzinie i atmo-  
sferze domowej, to jest chyba tolerancja.  
Właśnie tolerancję w życiu najbardziej  
cenię i szanuję, wydaje mi się, że to jest  
to, co dzieci powinny wnosić z domu.  
U nas było to może nawet trochę przy-  
padkowe. Mianowicie, moja matka była  
prawosławna, mój ojciec był katolikiem  
i poza pewnymi oporami babki, która  
była katoliczką, nie pamiętam żadnych  
sporów na ten temat. Równie dobrze  
mogłam być w kościele na nabożeń-  
stwie, jak i z matką w cerkwi podczas  
prawosławnych uroczystości. Zresztą tu  
nie chodzi tylko o rodzinę, ale również  
o Lublin, który był miejscem spotka-  
nia różnych kultur i różnych środowisk.  
W Lublinie przed wojną było dużo  
mniejszości narodowych. I stanowiło to



takie niezwykle bogactwo Lublina. Była  
więc duża społeczność żydowska, była  
społeczność rosyjska i białoruska. Każda  
z nich wносиła jakieś wartości w życie  
miasta. Ludzie bardzo często łączyli się  
między sobą, tak więc te społeczności  
nie były tak bardzo oddzielone, jak by  
się mogło wydawać. Oczywiście tak też  
było, ale zawsze istniała możliwość ja-  
kiegoś kontaktu, jeśli się chciało. To się  
bardzo mocno odcisnęło na charakterze  
Lublina. Lublin był naprawdę jakimś ta-  
kim odwzorowaniem wielokulturowe-  
go bogactwa całej Polski. Oczywiście  
wiązały się z tym też różne problemy  
polityczne, o tym nie wspominam, bo  
mówię tylko o samej kulturze, która na

Świadectwo Julii Har-  
twig z roku szkolnego  
1935/1936. Zbiory prywat-  
ne Julii Hartwig.

# W SŁOŃCE

Czasopismo młodzieży lubelskich szkół średnich.

Winieta „W Słońce” – pierwszego numeru po wznowieniu w 1936 roku. Pismo w zbiorach WBP im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.

pewno dzięki temu była bardziej bogata niż kultura jednorodna. Właśnie w takim różnorodnym środowisku człowiek uczy się tolerancji. [...]

W pierwszym okresie wojny uczyłam w prywatnym podlubelskim domu, ale też bardzo szybko zaczęłam brać udział w ruchu oporu. Byłam kurierką i dużo jeździłam do Lwowa, do Krakowa, byłam w różnych małych miasteczkach, wszędzie tam, gdzie mnie posyłano. Potem przeniosłam się do Warszawy, ale pracy kurierskiej nie zaniechałam, zaczęłam też chodzić na uniwersytet podziemny. Tak że w tej biedzie i tym ogólnym nieszczęściu toczyło się też życie, pełne jakiejś nadziei i normalności. Powstanie w Warszawie uniwersytetu podziemnego było czymś zupełnie niezwykłym. Aż trudno pojąć, jak to się stało, że właściwie wszyscy znaczący profesorowie zaangażowali się do pracy na tym uniwersytecie. Studiowałam filologię polską i filozofię i miałam naprawdę wspaniałych profesorów – jak profesor Kotarbiński, profesor Tatarkiewicz, profesor Krzyżanowski, profesor Szmydtowa. Byli to ludzie niebywale wybitni, bardzo życzliwi i nie muszę mówić jak bardzo narażający się. Początkowo uczyliśmy się po kilka osób – w małych grupach, i mieliśmy wykłady w różnych domach, zawsze pod innym adresem. Kilka miesięcy przed powstaniem mieliśmy wykłady w szkole, w technikum, co wiązało się z naprawdę wielką odwagą

studentów i profesorów, bo te wszystkie grupy przychodziły tak jakby do szkoły. Siedzieliśmy w ławkach i słuchaliśmy wykładów. Poza tym kilkakrotnie miałam okazję brać udział, jako słuchaczka, w wieczorach literackich, które były organizowane w Warszawie. Pamiętam taki bardzo wzruszający poranek w jakimś wielkim mieszkaniu, gdzie czytali swoje wiersze Iwaszkiewicz i Piętał. Przypominam sobie, że wtedy na ulicy pokazywano mi różnych pisarzy, z którymi teraz jestem zaprzyjaźniona. To byli ludzie, na których patrzyłam jak gdyby z dołu mojego studenckiego bytu. W ten sposób po raz pierwszy zobaczyłam Czesława Miłosza, a kiedy indziej Jerzego Andrzejewskiego. Pamiętam nawet, jak widziałam ich kiedyś na Nowym Świecie razem, bo w tym okresie między nimi była bardzo wielka przyjaźń. [...]

Życie w czasie wojny było tak przerażające, że ja osobiście nie czułam się na siłach, żeby dać temu świadectwo w swoich wierszach. Bardzo często nad tym bolałam. Z jednej strony był mój taki intymny dosyć temperament twórczy, z drugiej strony poczucie tego, że nie czuję się na siłach, żeby to w sensie literackim ogarnąć, i nie tylko literackim. A przecież trzeba było dać temu, co się działo, jakiś bardzo potężny wyraz. Dlatego osobiście jestem bardzo wdzięczna tym poetom, którzy to umieli zrobić, na przykład Miłoszowi. W jego wierszach, które dotyczą tego okresu, znalazło to

wspaniały wyraz. Mimo że część z nich jest też jak gdyby ucieczką – bo po prostu było nie do zniesienia, żeby tą tematyką bezustannie się zajmować. Również tom Przybosia *Póki my żyjemy* zrobił wtedy na mnie tak wielkie wrażenie. I chociaż był napisany w technice awangardowej, która nie zawsze trafia do każdego czytelnika, to on był jednak bardzo mocnym świadectwem tego czasu. [...]

**Maria Brzezińska:** Po wojnie ukazał się w 1945 roku tomik poezji młodych poetów lubelskich i było w nim między innymi kilka pani wierszy. Tam były też wiersze Anny Kamińskiej, Jerzego Pleśniarowicza, Zygmunta Mikulskiego...

**Julia Hartwig:** Żeby zrozumieć, skąd wzięło się to wydawnictwo, trzeba się cofnąć do lat trzydziestych. Przed wojną wychodziło w Lublinie pismo międzyszkolne, które nazywało się „W Słońce”. W tym piśmie wydrukowałam nawet pierwsze moje wiersze. Z pismem tym związany był też Jerzy Pleśniarowicz, który był bardzo zaprzyjaźniony z Józefem Czechowiczem i uważał się jak gdyby za jego ucznia poetyckiego. Pamiętam nawet, że Józef Czechowicz to pismo „W Słońce” czytał i robił znaczki przy zamieszczonych tam wierszach – zaznaczał, co mu się podobało. On miał zwyczaj oceniania każdej linijki wiersza, kiedyś już o tym mówiłam, bo to naprawdę jest dla mnie bardzo ciekawe. Tak na przykład pozaznaczał jeden z moich wierszy, który też był w tym piśmie. Ktoś mu je zaniósł i on porobił tam znaki: plusy i minusy. Już nawet nie pamiętam, ile tam było tych plusów, a ile minusów. Czechowicz uważał, że każdy wiersz, każda jego linijka powinna mieć swoją wartość autonomiczną, samą w sobie jako jednostka, zanim połączy się w całość. I to jest bardzo mądre, że nie może być takich pustych miejsc w wierszu. W tym periodyku także pisywał Zygmunt Mikulski. Nie pamiętam natomiast, czy jakieś wiersze w nim publikowała Anna Ka-

mieńska, w każdym razie ona również z Lublinem była bardzo silnie związana, więc było zupełnie usprawiedliwione, że w tym powojennym tomiku znalazły się jej wiersze. W tej dosyć przygodnej antologii ukazało się po kilka naszych wierszy, to była zresztą jedna z pierwszych powojennych publikacji w Polsce. Wtedy ukazał się w tej serii – takiej malutkiej, jak pani może pamiętać – tom Przybosia zatytułowany *Póki my żyjemy* i tom Ważyka *Serce granatu*.

**Maria Brzezińska:** I Jastruna ukazał się tomik, i Putramenta, cztery w sumie. Było to w 1944 roku jeszcze, a w 1945 roku ukazał się ten wybór młodych poetów lubelskich, z którym – jak słyszałam – był związany nawet w teatrze taki poranek literacki...

**Julia Hartwig:** Rzeczywiście tak było i pani mi to teraz przypominała, bo ja tego dobrze nawet nie pamiętałam. Była chyba wtedy jeszcze na tym poranku związana z Lublinem pani Helena Platt i pani Zakrzewska. To był okres, kiedy Lublin spełniał rolę stolicy, nie tylko tymczasowej stolicy politycznej, administracyjnej, ale także rolę stolicy kulturalnej. I w Lublinie można było wtedy zobaczyć wielu pisarzy z jeszcze przedwojenną renomą, którzy byli rzeczywiście znani i znakomici. Pamiętam z tego okresu wyprawę po Stanisława Piętaka do jego wsi rodzinnej, w rejony jeszcze zajęte przez Niemców. Przypominam sobie Parandowskiego, który był przez jakiś czas wykładowcą na KUL-u i ja nawet chodziłam na jego wykłady; wtedy wykładał tam także prof. Kleiner, który potem przeniósł się do Krakowa.

Po wojnie drukowałam w „Odrodzeniu”, drukowałam w „Kuźnicy”, ale tom wierszy wydałam bardzo późno, jakoś nie miałam ochoty, ciągle mi się wydawało, że jestem niegotowa do tego. Przy każdym tomie mam takie skrupuły. Teraz troszeczkę to się zmieniło i wiem, że jak mam pewną ilość wierszy, które zostały wydrukowane, to trzeba zamknąć



oczy i dać je do wydawnictwa. A ten pierwszy tom wydawałam z ogromnym trudem i zrobiłam selekcję ogromnie surową, tak że bardzo dużo wierszy, tych publikowanych w czasopismach, nie weszło do tego tomu. Teraz nawet nie bardzo pamiętam, co w nim było.

Nigdy nie byłam osobą, która miała pewność, że będzie pisać wiersze. A kiedy zaczęłam to robić, to pomyślałam, że może przyjść taki moment, że nie będę potrafiła już napisać żadnego wiersza i że nie doświadczę już łaski jego napisania. Po latach wszystko się zmieniło i teraz wydaje mi się, że jak gdyby całe moje istnienie w środku jest na to nastawione i uczulone na to, co jest materią poetycką. Dlatego też mam teraz w domu dużo

więcej niż kiedyś notatek, takich zapisów poetyckich, błysków. One często przydają mi się do innych rzeczy. To są takie refleksje, czasem jakies dosyć zmysłowe wrażenia, coś co zapamiętałam z rozmowy, co poruszyło nagle moją wyobraźnię. Zdarza się nawet, że przy przeglądaniu jakiejś książki naukowej uderza mnie jakaś myśl, która jest bardzo poetycka, bo przecież te dwie dziedziny – nauka i poezja, są często tak blisko siebie. Tak właśnie rodzi się wiersz. Trudno to precyzyjnie określić, ale kiedy pisze się już jakiś czas, to bardzo dobrze się wie, co jest wierszem, a co nie jest. W pierwszym momencie można się mylić, bo to, co w jakimś impulsie jest rzucone na papier, okazuje się potem nic nie warte.



# Ciekawość świata

Z Julią Hartwig rozmawia Agata Koss\*

**Agata Koss:** W wielu tekstach zarówno poetyckich, jak i prozatorskich przywołuje pani rozmaite krajobrazy, poznane nie tylko dzięki bezpośredniemu kontaktowi, ale i poprzez świadectwo tych, którzy na nie patrzyli przed nami.

**Julia Hartwig:** To uczucie, którego nieraz doznaję: patrzymy na krajobraz nie tylko własnymi oczami, patrzymy także przez pryzmat tych, którzy tu byli kiedyś, a my czujemy ich obecność i łączność z nimi. Bo jeśli tkwi w nas naturalna i bardzo zresztą silna chęć oderwania się, odwrotu od przeszłości, to jest to także potrzeba zachowania wierności wobec tych, którzy odeszli. Tworzy to nasze poczucie zakorzenienia. Żywym źródłem kontemplacji było dla mnie zawsze malarstwo. Otóż będąc kiedyś w Holandii, zauważyłam ze zdumieniem, że w rykach przechodniów mijanych na ulicach rozpoznaję ludzi portretowanych przed wiekami przez wielkich mistrzów. Co upodabnia się do czego: sztuka do życia czy życie do sztuki? To pytanie nie nowe, lecz pojawiające się w takich chwilach.

**Agata Koss:** Ale pierwszy zagraniczny wyjazd to nie była przecież podróż do Holandii, ale kilkuletnie stypendium do Francji.

**Julia Hartwig:** Rzeczywiście, w '47 roku otrzymałam stypendium francuskiego rządu. Zupełnie jak z nieba, bez żadnych zasług, bo w całym dorobku miałam za ledwie garstkę wierszy wydrukowanych w „Odrodzeniu” i „Kuźnicy”, dla której przygotowywałam też materiały do kroniki francuskiej. No i jeszcze kilka tłumaczeń do antologii Ważyka.

W Paryżu spędziłam wówczas trzy lata. Od roku 1947 do 1950. Zetknięcie

się z tym miastem było czymś oszałamiającym dla młodej dziewczyny, która nigdy jeszcze nie była za granicą. Pamiętam, jak uboga była Francja lat czterdziestych. Jak uboga i zarazem o ile sympatyczniejsza od tej zamożnej Francji, którą odwiedzałam po latach. Podczas kiedy wyjeżdżałam z kraju, gdzie jedzenia było jeszcze w bród, we Francji reglamentowano najbardziej podstawowe produkty: chleb, masło, ser, wino. Z kolei kiedy powracałam do Polski w roku 1950, sytuacja była wręcz odwrotna. Nigdy się tak nie wymarzałam, jak owego lutego w Paryżu. Hotelik był nieopalany, w kawiarni zamawiało się gorący viandox, taki rodzaj bulionu z kostki, a dla rozgrzewki doprawiało się ten viandox kroplą alkoholu.

Ale też ta biedna i zimna Francja tętniła życiem. Był to okres szalejącego egzystencjalizmu. I nie trzeba było szczególnej zażyłości z paryskim światem, by tę egzystencjalistyczną modę zauważyć. Bo to była moda, a nie tylko ruch obejmujący wąską grupę intelektualistów. Egzystencjalizm kształtował styl życia, wygląd ulic, nastrój kafejek i kabaretów, gdzie kwitło życie artystyczne. Równie burzliwe dysputy toczono na uniwersytetach. Pamiętam taką dysputę między André Bretonem i Tristanem Tzarą, która skończyłaby się bójką, gdyby nie rozdzielono zapalczywych dyskutantów. Ten nowy ruch nie potrafił jednak zagłuszyć ech niedawnej przeszłości. W prasie toczyły się polemiki na temat udziału rozmaitych ugrupowań ideowych w Ruchu Oporu, poezja okresu Résistance, bardzo bogata

\* „Kresy” 1997, nr 29, s. 111-118. Dziękujemy Redakcji „Kresów” za zgodę na przedruk.

## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

Julia Hartwig. 2006. Fot.  
Joanna Zętar. Archiwum  
TNN.



we Francji, wciąż cieszyła się ogromną popularnością.

**Agata Koss:** Była pani zdumiona taką ożywioną dyskusją, której nie można było zaobserwować w Polsce?

**Julia Hartwig:** Jakiegokolwiek porównania nie byłyby tutaj na miejscu. Wyjechałam wówczas z kraju, w którym toczyła się jakby ukryta wojna domowa, bardzo gwałtowna, często krwawa. Gazety zadrukowane były oskarżeniami, donosami, brutalnymi hałasami. Więzienia wypełnione dawnymi AK-owcami, krwawiła granica południowo-wschodnia. A w czasopiśmie literackich toczyły się boje o jakiś wymyślony kształt literatury, jakiej domagali się tak zwani „pryszczaci”, zwalczający do upadłego wszystko to, co pozostało z literatury przedwojennej. Nie wiem, czy ataków takich uniknął którykolwiek z twórców o wielkim nazwisku: Iwaszkiewicz, Nałkowska, Gałczyński, nawet Dąbrowska nie ostali się przed nimi. Trudno więc tu mówić o jakimkolwiek zastoju. Ale jeszcze trudniej byłoby mówić o normalnym,

rozwijającym się życiu umysłowym czy artystycznym.

**Agata Koss:** Do Francji powracała pani jeszcze kilkakrotnie. Czego nauczyło panią spotkanie z tym krajem?

**Julia Hartwig:** Poszanowania ciągłości w kulturze i dyscypliny. Tam też ukształtowana została moja wrażliwość estetyczna, w muzeach i bibliotekach. Dawnych mistrzów nauczyłam się nie oddzielać przepaścią od współczesnych, miałam też czas, by poznać do głębi poetów, których kocham. Szczególnie tych z kręgu Apollinaire’a. Dzięki ówczesnym lekturom mogłam potem tłumaczyć Maxa Jacoba, Cendrarsa i Reverdy’ego. I myślę, że spotkania te rzutują w jakiś sposób i na moją twórczość. Choć trudno by tu wskazać na jakiś wpływ bezpośredni.

**Agata Koss:** No właśnie. Jak znajomość literatury i kultury francuskiej wymodelowała pani pisarstwo?

**Julia Hartwig:** Myślę, że najdalej idącym wnioskiem z tej „lekcji francuskiego” był uprawiany przeze mnie konsekwentnie w pewnym okresie poemat prozą. Jest

to forma największym chyba powodzeniem ciesząca się we Francji i dziś wydaje mi się, że, być może, mieszczą się w niej najlepiej, choć nie w pełni; bowiem pewne treści poetyckie – nie waham się użyć słowa „treści” wobec poezji – wymagają struktury swobodniejszej, nie tak pełnej rygoru.

Jednak charakter moich poematów prozą – a zbiorek *Chwila postoju* składa się z nich wyłącznie – jest całkowicie swojski, mój własny, nic z francuszczyzną nie mający wspólnego. Na próżno by się tam doszukiwać pogłosów Baudelaire’a, Maxa Jacoba, Aloysiusa Bertranda czy Paula Reverdy’ego, mistrzów tego gatunku (nie mówiąc o Rimbaudzie). Przez swoje częste odniesienia do natury, która w poezji francuskiej odgrywa mniejszą rolę niż w polskiej, można by zestawiać je z poematami prozą René Chara, ale tylko pod tym względem. Proza poetycka Chara jest nasycona metaforą, gęsta od niej, zaś moje prozy poetyckie dążą do prostoty i jasności, czasem nawet jakby na przekór sobie.

**Agata Koss:** Chyba równie ważne było spotkanie z Ameryką i amerykańską kulturą?

**Julia Hartwig:** Nastąpiło ono nie bez oporów. Negatywny obraz Ameryki, ten stereotypowy, przypisujący Ameryce niedowartościowanie kultury, znacznie zaważył na mojej początkowej wręcz niechęci do osobistej konfrontacji z tym krajem. Zwyciężyła jednak nieposkromiona ciekawość nowości, która mnie w tych latach cechowała. A następnie pokonały mój opór doświadczenia pozytywne: trudno było odmówić Amerykanom ich umiejętności współżycia obywatelskiego i sympatycznie manifestowanej – pomimo nieco konwencjonalnej powierzchowności – życzliwości wobec siebie nawzajem i wobec przybyszów z innego kontynentu. Tam też dopiero, na miejscu, odkryłam dla siebie poezję ame-

rykańską. Przekonałam się też o jej związkach z poezją francuską – myślę o Stevensie, Eliocie, Poundzie, a nawet Ginsbergu – i nauczyłam się cenić ją za to, że niezależnie od jakichkolwiek wpływów, anglosaskich czy francuskich, potrafiła otworzyć sobie własne drogi, stworzyć własny idiom (myślę o Williamie Carlosie Williamsie), przez co stała się rozpoznawalna na świecie. To odkrycie sprawiło, że postanowiliśmy z Arturem Międzyrzeckim przygotować antologię poezji amerykańskiej, która ukazała się w 1992 roku nakładem wydawnictwa Reprint-Res Publica. Była to jedna z pierwszych takich antologii, po której zalała nas fala tłumaczeń z poezji amerykańskiej (nie muszę tu mówić o zasługach Stanisława Barańczaka). Bardzo wiele wierszy zamieszczonych w antologii tłumaczyliśmy sami.

**Agata Koss:** A skoro mowa o przekładach poezji amerykańskiej, to trzeba chyba wspomnieć o wpływie, jaki te przekłady miały i mają na współczesną poezję polską.

**Julia Hartwig:** Zawsze nurtował mnie problem wpływów poezji tłumaczonej, nie tylko amerykańskiej, na poezję naszą. Myślę tu o wpływach, nie naśladownictwie, a to, rzecz jasna, dwie zupełnie inne sprawy. Te wpływy mogą wyrażać się w różny sposób. Bo co to znaczy, tak naprawdę, wpływ poezji amerykańskiej? Czym jest wpływ Williamsa, czy może Delmore Schwartz, Lowella lub Karla Shapiro? Każdy z nich to odrębna indywidualność i tylko o wpływie jednej indywidualności na drugą można, na dobrą sprawę, mówić w poezji. Choć nie przeczę, że jest coś ze wspólnego ducha w tej tak zróżnicowanej przestrzeni poetyckiej, co pozwala, nie tylko ze względu na formalną przynależność państwową czy terytorialną, nazwać wszystkich tych poetów amerykańskimi. Bo, nie odchodząc daleko, zważywszy na podobieństwo języka, amerykański to przecież nie

to samo co angielski. Czytając nieznanego poetę angielskiego i amerykańskiego, z dużym prawdopodobieństwem odgadnąć można ich przynależność kulturową do Anglii czy Ameryki. Oczywiście jest to bardzo ryzykowna próba uogólnienia, wzięwszy pod uwagę zmianę klimatu, jakiej dokonał Auden na rzecz Ameryki czy Eliot na rzecz Anglii.

Z poetów ostatnio tłumaczonych najsilniejszy może wpływ wywarł na młodą poezję O'Hara. I choć niektórzy ganią Podsiadłę za zbytne spokrewnienie z O'Harą, to wydaje mi się, że natrafiły tu na siebie podobne temperameny poetyckie, i że rezultaty Podsiadły są godne uwagi, choć Podsiadło jest poetą osadzonym w tle natury, i tym przypomina również Snydera, zaś O'Hara to poeta wielkiego miasta, Nowego Jorku. Do o'haryzmu przyznaje się też Darek Foks, który opublikował niedawno wiersz świadomie wzorowany na wierszu O'Hary *Dzień w którym zmarła Lady Day*.

Można by tu jeszcze mówić o związkach Andrzeja Sosnowskiego z Ashberym i ashberowskim zafascynowaniu Zadury, ale o tym już kiedyś wspomiano. Nie podejmuję się szerszej analizy tego zjawiska. Mogę jednak powiedzieć jedno: amerykańska poezja z pewnością wzbogaciła naszych poetów, wniosła nowy ton i rozszerzyła pole poetyckiego widzenia.

Dla mnie osobiście największym odkryciem ostatnich lat były wiersze Tomasza Hardy'ego w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka (Hardy to oczywiście poeta angielski). Ciekawe, że kiedy w PEN Clubie poproszono Brodskiego, by przeczytał wiersz któregoś ze swoich ulubionych poetów anglojęzycznych, Brodski zapytał publiczność, kogo by wolała: Hardy'ego czy Frosta. I na moją prośbę przeczytał Hardy'ego.

**Agata Koss:** A amerykańskie ślady w pani wierszach?

**Julia Hartwig:** Byłoby nienaturalne, gdyby kilkuletni pobyt w Stanach nie odbił się na tym, co piszę. Chociażby na tematyce, na wchłonięciu i ukazaniu innego otoczenia, innego krajobrazu, innego rodzaju zanurzenia w rzeczywistości. W Ameryce napisałam cykl wskazujący wyraźnie na miejsce powstania tych wierszy, zatytułowany *Americana*. Znalazły się tam wiersze świadczące o zafascynowaniu odmiennością miejsca, choć nadal przesycone tą samą melancholią, jaka towarzyszy nam na wszystkich drogach świata. Obok tych bardzo osobistych wierszy powstały także wiersze, do których bodźcem i bezpośrednim impulsem była kronika wypadków, zaczerpnięta z gazet amerykańskich. Myślę o *Pianoli pana Knoxa*, *Minnie Robinson*, *Gomezie na dachu* czy wierszu *Pan Porter się upił*. Są to pierwsze chyba u nas wiersze, które powstały z natchnienia gazetą, na domiar obcojęzyczną, i rzucające jakiś snop światła na tak odmienne od naszego miejsce na ziemi, jakim jest Ameryka.

**Agata Koss:** Literackim owocem spotkania z kulturą francuską i amerykańską są nie tylko tłumaczenia, wpływy, o których pani wspomniała, ale także książki prozatorskie, monografie Apollinaire'a i Nerval'a oraz *Dziennik amerykański*. Anna Nasiłowska w eseju *Poezja jako sposób poznania* napisała między innymi o pani prozie, że jest dowodem, iż poezja może istnieć poza wierszem, nie jest bowiem wyłącznie formą.

**Julia Hartwig:** Od dawna noszę przekonanie, że poezja objawia się w najróżniejszych gatunkach tworzenia; choćby w filmach Felliniego i Bergmana, że promieniuje poprzez materię malarską, że jest niezbywalną częścią niektórych form muzycznych, że w sposób naturalny emanuje z twórczości niektórych prozaików.

Rzeczywiście *Dziennik amerykański* to zapis częściowo liryczny, ale bardzo



mocno trzymający się faktów i ziemi. I może dlatego liryczny, bo jeszcze na domiar przesycony poczuciem niezwykłości tego amerykańskiego wydarzenia, tego pobytu spędzonego w gronie najbliższych, a więc bez owych rozdzierających nostalgii, które zazwyczaj towarzyszą samotnym wypadom w nieznanie.

Łączy się z tym uczucie wdzięczności, że pobyt amerykański stał się okazją do odświeżenia wrażliwości i uzyskania nowego horyzontu widzenia, odmiennego od dotychczasowego europocentryzmu. Jest to jedyna moja książka, która w tak pełny sposób opisuje życie codzienne, domowe, zawiera echa czytanych książek i czasopism, sygnalizuje problem feminizmu, opisuje moją fascynację Emily Dickinson (nie była jeszcze tłumaczona tak szeroko), daje wgląd w życie środowiska uniwersyteckiego. Jest w niej wiele intymności. Nie brak też i opisów natury, tak wspaniałej i różnorodnej na tym rozległym kontynencie. Mimo ostrzeżenia Brodskiego, że możemy już dać spokój faunie i florze. Ale przyroda, natura jest wciąż obecna w naszej, polskiej poezji, choć jednym z ulubionych tematów poezji młodych ostatnich lat stało się eksponowanie szarego – i z zamiaru tak pokazanego – życia na prowincji. To nie ja to tak nazywam, to oni sami sugerują.

**Agata Koss:** Ale przecież i pani nie unika pisania nie tyle o szarości życia, ile o sprzecznościach, których świat jest pełen.

**Julia Hartwig:** Można te sprzeczności i zatajać, można je opisywać. Myślałam, tak mi się wydawało do pewnego czasu, że tych sprzeczności nie dostrzegam. Ale czułość, z jaką patrzę na świat, nie byłaby pełna, czy też lepiej powiedzieć: nie byłaby prawdziwa, gdybym zapomniała o słowach Sartre'a, który napisał, że ten, kto akceptuje życie, jest rodzajem łajdaka, zaś ten, kto je odrzuca, zasługuje na miano bękart. Nie ma tu dobrego wyjścia i każdy, kto z rozumną uwagą

przygląda się życiu, musi zrozumieć, jak patowa jest ta sytuacja. Zachwyt miesza się tu z grozą i przerażeniem. Wahamy się między akceptacją piękna świata, czasem wręcz frenetyczną, a odrzuceniem. Poczucie chaosu i niemożności zrozumienia sensów istnienia bywa niejednokrotnie uzasadnieniem wyboru sztuki jako środka ucieczki, próby uporządkowania lub bodaj wyrażania naszych stanów. Ale już sama próba zapisu powoduje niejedną rozterkę. Banalność mowy jest przecież przeszkodą nie do usunięcia. Użycie mowy ciemnej i jasnej staje się często decyzją dramatyczną. Język ciemny wydaje się lepiej odtwarzać stan umysłu i ducha, z kolei potrzeba języka jasnego tłumaczy się koniecznością komunikatywności naszego przesłania. Ciemne – to chaos, który wtargnął w strukturę myśli i wiersza, jasne – to niezadowolający nas wysiłek uporządkowania tego, co, jak się wydaje, uporządkowane być nie może.

**Agata Koss:** A zatem wierzy pani, że sztuka daje możliwość ucieczki przed chaosem?

**Julia Hartwig:** Mam taką wiarę, ale ona co krok ulega zachwianiu. Przecież życie w pewnym sensie jest wielkim krachem, bo kończy się śmiercią. I tyle jest w nim elementów, które nie podlegają naszej woli, tyle nieprzewidywalnego, które nie zawsze jest błogosławieństwem nieba. Ale sztuka może być katapultą, może odsyłać do treści metafizycznych, może prowadzić do rzucenia światła na tajemnicę życia.

**Agata Koss:** Mówiliśmy wiele o pani podróżach. Skoncentrujmy się teraz na miejscu urodzenia: pochodzi pani z Lublina.

**Julia Hartwig:** Muszę ze wstydem przyznać, że stosunkowo mało go wspominałam, ale tylko dlatego, że nie ma we mnie namiętności wspomnienia, zwłaszcza czasów dzieciństwa i młodości. Tamto istnienie jest zbyt dalekie, tak odmienne, że nie znajduję z nim porozumienia.

## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

Liczy się to, co zaczyna moją wczesną dorosłość: własna świadomość uzyskiwana stopniowo, jakieś podobieństwo do tego, czym jestem dzisiaj, i do czego mogę się przyznać.

Z Lublina najgłębiej pamiętam Stare Miasto. Jego tajemniczość, w dużej mierze wynikająca z tego, że zamieszkiwała je biedota żydowska o zamkniętej obyczajowości. A także dlatego, że Stare Miasto było tak piękne architektonicznie, takie naprawdę stare i urodziwe, oddzielone dwiema wielkimi wieżami od reszty miasta, w gruncie rzeczy nieciekawego w swojej ruchliwej krzątaninie. Tak, Stare Miasto jest tym, co w mojej pamięci wciąż żyje, jest obrazem na zawsze zatrzymanym pod powiekami. Temu światu oddał sprawiedliwość wzruszenia Józef Czechowicz. I dziś, czytując jego *Stare kamienie*, utwierdzam w sobie poetycki obraz, który już częściowo stał się także mój. Stare Miasto to moja prywatna Pompeja; po zaginionych ludziach pozostały tylko resztki wciąż coraz bardziej marniejących murów.

**Agata Koss:** A czy jakieś wspomnienia dotyczą literackiego Lublina?

**Julia Hartwig:** Były to moje lata szkolne, więc niewiele okazji do przyglądania się życiu literackiemu Lublina. Ograniczało się ono do wiedzy o licznych towarzystwach regionalnych i kulturalnych, o odczytach w Bibliotece imienia Łopacińskiego i o istnieniu „Reflektora”. Ewenementem było zauważenie na ulicy Józefa Czechowicza czy Józefa Łobodowskiego. Teatr, czasem koncerty, były to miejsca promieniowania dla uczennicy, jaką wówczas byłam. Może warto byłoby tu wspomnieć o czasopiśmie „W Słońce”, piśmie międzyszkolnym, gdzie debiutowałam kilkoma, pozał się Boże, wierszykami. Aktywnym ośrodkiem życia była też moja ówczesna szkoła, Gimnazjum imienia Unii Lubelskiej, uważane za najlepszą żeńską szkołę średnią w Lublinie. Zabawne, że już w gimnazjum miałam reputację osoby piszącej – o całe niebo na wyrost, bo co ja też tam wówczas pisałam – ale prawdą jest, że cały mój fundament humanistycznych zainteresowań wywodzi



Brama Zastrana. 1942. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



się właśnie stamtąd, ze szkoły, gdyż na żadne intelektualne wsparcie w domu nie mogłam liczyć, wszyscy byli zajęci własnymi sprawami. Ze szkoły wyniosłam poczucie godności obywatelskiej, co dziś wydaje się zamierzchłym przeżytkiem, i umiejętność współżycia z otoczeniem.

**Agata Koss:** Zarówno jedno, jak i drugie pogłębiła pani zapewne w czasie zajęć na podziemnym uniwersytecie?

**Julia Hartwig:** Był to niezwykle uniwersytet. Kontakt z nim nawiązałam za pośrednictwem dyrektorki mojej szkoły, pani Mally. Wyjechałam, żeby zamieszkać pod wskazanym mi adresem, spełniając zarazem obowiązki kuriera i jeżdżąc po Polsce. Uczyliśmy się w małych, kilkunastoosobowych grupach, które zbierały się w domach profesorów i studentów. Słuchałam tam wykładów i uczyłam się na seminaria wielkich polskich profesorów: Tadeusza Kotarbińskiego, Władysława Tatarkiewicza, Zofii Szmydtowej, Marii Ossowskiej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zna-

lałam się w tej samej grupie co Klemens Szaniawski, Jerzy Pelc i Jan Białostocki. Na seminaria profesora Krzyżanowskiego uczęszczali w tym samym czasie i byli w naszym komplecie Zdzisław Stroiński i Tadeusz Gajcy. Nasi profesorowie uczyli nas nie tylko swojej specjalności, ale swym zachowaniem i postawą dawali przykład nie byle jakiej odwagi: za nauczanie pod okupacją hitlerowską groziła kara śmierci. Nigdy też nie zapomnę chwili, gdy dowiedzieliśmy się, że jeden z kompletów, socjologiczny, został przez Niemców rozstrzelany.

**Agata Koss:** Z Warszawy jednak powróciła pani do Lublina.

**Julia Hartwig:** Na czas krótki. Było to na wiosnę, przed wybuchem powstania warszawskiego. Na wiadomość o tym, że w moim warszawskim mieszkaniu zjawiono się pod moją nieobecność gestapo, uciekłam do Lublina, a potem pod Lublin, gdzie przez jakiś czas mieszkałam w domu nadleśniczego, wuja Hanka Kamieńskiej, z którą zaprzyjaźniona byłam od dzieciństwa, dzieląc się z nią

Przedstawienie *Wianuszek kwiatuśków* przygotowane przez uczennice Gimnazjum im. Unii Lubelskiej. Julia Hartwig gra rolę profesora. Rok szkolny 1932/1933. Fot. Ludwik Hartwig. Zbiory prywatne Danuty Riabinin.



pierwszymi próbami literackimi. Kiedy po wojnie otwarto Katolicki Uniwersytet Lubelski, tam podjęłam przerwane studia. Trwało to jednak niedługo, do czasu, kiedy Uniwersytet Warszawski przeniósł się do Krakowa, dokąd też wkrótce potem pojechałam. Z Krakowa przeniosłam się do Łodzi, gdzie zaczęłam wspomnianą współpracę z pismami literackimi i właściwie tam zadebiutowałam naprawdę.

**Agata Koss:** Tłumaczenia uznaje pani za swój właściwy debiut?

**Julia Hartwig:** Tłumaczenia były tylko pracą dodatkową. W „Kuźnicy” ukazała się mała kolumna moich wierszy ze zdjęciem i w ten sposób, jakby już z „podniesioną przyłbicą”, zostałam przedstawiona swoim pierwszym czy-

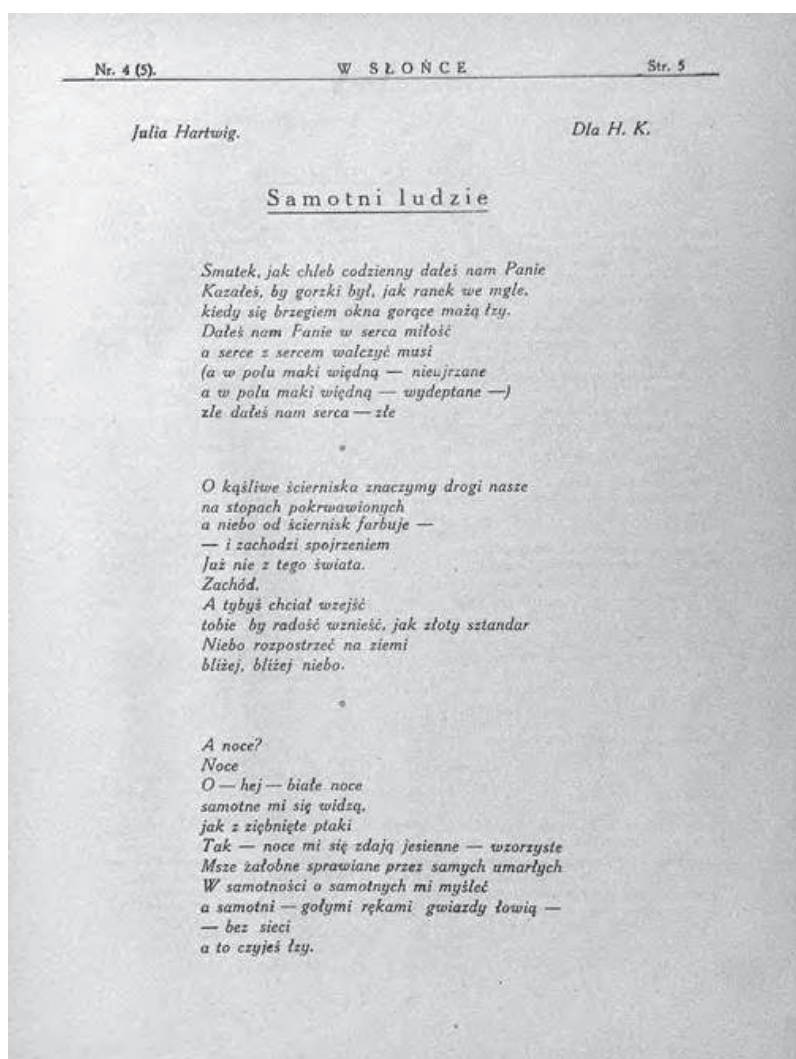
telnikom. Wspomniałam już o swoim szkolnym debiucie w piśmie lubelskim „W Słońce”. Naprawdę nie było się czym chwalić. Niewiele wiedziałam wówczas o poezji współczesnej i próbowałam pisać, nie mając żadnej niemal kultury literackiej. W piśmie tym dużą rolę odegrał Jerzy Pleśniarowicz, postać w ówczesnym środowisku literackim legendarna. On chyba jeden tylko z zespołu redakcyjnego wiedział, co to jest awangarda. I pisywał bardzo awangardowe wiersze w stylu Czechowicza, bardziej jednak idąc za techniką niż za duchem tej poezji. Potem zupełnie zaprzestał pisanie i oddał się pracy społecznej. Umarł przedwcześnie, ostatnie lata spędził w Rzeszowie, gdzie również, jak słyszałam, cieszył się dużym autorytetem. Był to jeden z tych ludzi, których żywiołem i przeznaczeniem jest prowincja, ta prowincja bardziej wymarzona niż rzeczywista, miejsce, gdzie wiele jest czasu na lekturę i pisanie. Był człowiekiem o rzadko spotykanej delikatności manier i uczuć.

**Agata Koss:** Ze względu na debiut książkowy identyfikowana jest pani z pokoleniem '56.

**Julia Hartwig:** Tak, debiutowałam tomem wierszy stosunkowo późno. Po powrocie z Francji osiadłam w Warszawie, tłumaczyłam, pisywałam recenzje do „Odrodzenia” i „Nowin Literackich”. Długo wstrzymywałam się z wydaniem tomiku, aż wreszcie, nakłaniana przez przyjaciół i wciąż z maszynopisu niezadowolona, wydałam swój pierwszy zbiorek zatytułowany *Pożegnanie* w roku 1956 w „Czytelniku”. Do zbiorku tego nigdy nie weszły wiersze drukowane poprzednio w czasopiśmie literackich, w każdym razie niewiele z nich tam weszło. Potem nastąpiła długa przerwa, zaś poczynawszy od roku 1989 zaczęłam wydawać już dość regularnie, choć nigdy zbyt często.

**Agata Koss:** I mimo tego charakterystycznego roku debiutu nawet w obrę-

Wiersz Julii Hartwig *Samotni ludzie* opublikowany w piśmie „W Słońce” 1938, R. 10, nr 4(5), s. 5. Pismo w zbiorach WBP im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.





bie swego pokolenia jest pani uważana za poetkę osobną. Czy owa osobność, do której przyznaje się pani, oznacza także nieuczestniczenie w tak zwanym życiu literackim?

**Julia Hartwig:** Tak nie można powiedzieć. Oczywiście moje zainteresowanie życiem literackim i moja aktywność w nim kształtowały się bardzo różnie. Kiedy w roku '50 wróciłam do kraju, nie byłam ani trochę zainteresowana uczestnictwem w życiu literackim i od poczynań Związku Literatów trzymałam się z daleka. W sposób dość szczególnie ukształtowały się też moje przyjaźnie literackie. Nie miałam żadnych bliskich kontaktów z aktywnym wówczas pokoleniem „pryszczatych”, bardziej ciekawiły mnie spotkania ze starszą generacją pisarzy. Podczas pobytu w Paryżu zaprzyjaźniłam się z Jerzym Zagórskim, ówczesnym attaché kulturalnym w tamtejszej ambasadzie, a był on istną kopalnią wiadomości o wileńskich Żagarach i człowiekiem pełnym nieoczekiwanych błysków humoru i inteligencji, w których było też czasem coś niemal dzikiego. Zaprzyjaźniłam się również z Gałczyńskim i gotowa byłam mu wiele wybaczyć za jego urzekający i spontaniczny talent poetycki, tak surowo gromiony przez Ważyka i Jastruna. Z Ważykiem łączyły mnie zainteresowania poezją francuską, a zwłaszcza Apollinaire’em. Bywałam też z różnych okazji u Iwaszkiewiczów w Stawisku. Nie mówiąc już o zapoczątkowanej w tamtych latach i trwającej aż do ich śmierci przyjaźni z Antonim i Janiną Słonimskimi. Rozpoczęła się też wówczas moja współpraca z „Tygodnikiem Powszechnym” i trwająca po dzień dzisiejszy przyjaźń z Jerzym Turowiczem, którą się niezmiernie chlubię.

**Agata Koss:** Ale przecież ta aktywność wzrastała, żeby wspomnieć lata osiemdziesiąte, prace w Stowarzyszeniu Pisarzy i PEN Clubie.

**Julia Hartwig:** Napięcia, jakie towarzyszyły działalności dawnego Związ-

ku Literatów w latach osiemdziesiątych, zachęciły mnie do udziału w pracach Zarządu, dając nadzieję na rozszerzenie swobody wypowiedzi i ujawnienie się różnorodności postaw. Byłam członkiem Prezydium ostatniego „solidarnościowego” Zarządu Głównego przed rozwiązaniem Związku, przetrwałam wraz z kolegami z Zarządu stan wojenny, w którym nie zaprzestaliśmy działalności, tym razem nieoficjalnej, a nawet tajnej, zostałam wraz z całym dawnym Zarządem ponownie wybrana po odwołaniu stanu wojennego i zawarciu Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wówczas to Artur Międzyrzecki ogłosił w piśmie „Solidarność” głośny artykuł *Kto odwoła stan wojenny w kulturze*. Do dziś jestem wiceprezesem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, choć jest to niewesoły i dość jałowy okres w życiu naszych stowarzyszeń. W ubiegłych latach nie ograniczałam się zresztą do działalności w organizacjach literackich: byłam między innymi członkiem Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie aż do czasu, gdy grupa inicjatywna opuściła ten Komitet po słynnym posiedzeniu, na którym Wałęsa zachował się obraźliwie wobec Turowicza.

Co zaś do mojej „osobności” w sensie czysto poetyckim: tak, to prawda. Nie poczuwałam się nigdy do współuczestniczenia w żadnej grupie. Wydaje mi się, i tak to kiedyś określił Jerzy Zagórski, że przez czas dłuższy byłam czymś w rodzaju poetki poetów. To znaczy, że mogłam oczekiwać, iż opublikowane przeze mnie utwory przeczytają inni poeci. Dopiero *Obcowanie* i *Czułość* zdobyły mi szersze grono czytelników. Nie mam tylko szczęścia do antologii, gdzie raz po raz mnie pomijano.

Przy okazji powiem, że należę do tych poetów, którzy z zainteresowaniem czytają innych i że zazwyczaj zaczynam lekturę czasopism od zamieszczonych tam wierszy; nie zawsze co prawda, ku mojej satysfakcji. Nieobce mi jest też to,

co dzieje się wśród pokolenia młodych poetów. Mam też nadzieję, że w przeciwieństwie do swoich poprzedników z Nowej Fali, ci najmłodszy jak najmniej będą przywiązywać wagę do pokoleniowych etykietek.

**Agata Koss:** A skoro mówi pani o etykietkach, to coraz częściej za Przybylskim określa się pani twórczość mianem klasycyzującej. Maria Janion o twórczości pani i zmarłego Małżonka, Artura Międzyrzeckiego, powiedziała, że państwa poezja to poezja, która „trzyma formę”.

**Julia Hartwig:** A mnie się wydaje, że coraz rzadziej określa się moją poezję mianem klasycyzującej. Pierwszy zrewidował to wyobrażenie o niej, ten schemat, powiedziałabym, Stanisław Barańczak. A to z okazji ukazania się *Obcowania*, któremu poświęcił obszerny esej w „Zeszytach Literackich”. Jak na klasycyzność znajduje się zbyt wiele niepokoju w moich wierszach, zbyt dużo nurtujących je aluzji do współczesności, choć bywa to zakamuflowane, a wiersze, które można by nazwać „politycznymi”, takie jak *Rzecz o aniołach w chwili zdawaloby się najmniej na to odpowiedniej* czy *Ależ tak, Jesteśmy dla Ciebie, Kto powiedział, Napiętnowanie jesienią*, mają wymowę raczej moralną niż polityczną, choć u mnie wychodzi to na jedno.

Zresztą terminu „klasycyzm” używa się tu, zależnie od chęci, raz jako przyganę, to znów pochwałę. Jeśli jednak klasycyzować to tyle co poszukiwać jasności i harmonii, to na pewno takie dążenie w mojej poezji jest. Być może zaważył tu również mój stosunek do natury, w której moja poezja szuka uspokojenia.

**Agata Koss:** Mówiła pani o swojej działalności, aktywności w życiu literackim, wspominała pani również o swojej pasji czytania, zapoznawania się ze wszystkim tym, co funkcjonuje na literackim rynku. Jak ocenia pani polską poezję współczesną?

**Julia Hartwig:** Wydaje mi się, że w chwili obecnej jest ona w pełnym rozkwicie. Żyją jeszcze jej mistrzowie – choć odeszło już pokolenie skamandrytów – pojawia się wiele nowych i godnych uwagi nazwisk, również, a nawet zwłaszcza poza Warszawą. Mam nadzieję, że ci nowo wstępujący poeci nie będą już szukali schronienia w grupach poetyckich i wybiorą własną drogę doskonalenia się na własny rachunek. Może tylko jednego szkoda, że tak bardzo zapatrzeni są w siebie, w ulotną chwilę własnej egzystencji, nie szukając porozumienia z resztą świata i z przeszłością, stoją niejako na lotnych piaskach.

# Tam gdzie mogę ścigam morze

Z poetką Julią Hartwig – rozmawia Wojciech Kass\*

**Wojciech Kass:** Urodziła się pani w okresie międzywojennym. Czy jako młoda osoba konotowała pani młodoliterackie zjawiska w Polsce, które potem nazwane zostały okresami drugiej awangardy i apokalipsy?

**Julia Hartwig:** Moje wejście w świat literatury, dokładnie mówiąc poezji, które pozwoliło mi na osiągnięcie własnej samoświadomości, odbyło się dość późno, właściwie dopiero w czasie okupacji. Były to pełne grozy lata, a przecież bardzo dużo wówczas czytałam, zresztą głównie prozę. Kończyłam gimnazjum w Lublinie, który był miastem dwóch poetów: Józefa Czechowicza i Józefa Łobodowskiego. Różniło ich prawie wszystko: osobowość, temperament, poetyka. Łobodowski prowadził awanturiczny styl życia. Czechowicz, którego poezję odkryłam dla siebie dopiero w latach okupacji, był spokojny, opanowany, nie wchodził nikomu w drogę. Pamiętam, że miałyśmy z Anną Kamieńską jego tomiki przepisywane odręcznie. Moja fascynacja poezją Czechowicza trwa do dzisiaj. Wspominam z lat szkolnych osobę Jerzego Pleśniarowicza. On jeden znał poezję współczesną, wiedział coś o awangardzie, znał Czechowicza, naśladował go, wydał nawet tomik „pod Czechowicza”. Już podczas wojny dostałam od niego jakieś pismo literackie, gdzie były opublikowane utwory Reverdy’ego, potem ważnego dla mnie poety francuskiego. Wówczas też zetknęłam się z wierszami Juliana Przybosia. One też były ważne, choć z biegiem lat mój stosunek do tego poety oziębł, nadal jednak cenię zwłaszcza jego wiersze przedwojenne, *Równa-*

*nie serca*. Myślę, że osobiste zetknięcie się z poetą ma wpływ na odbiór jego twórczości. Musiało upłynąć wiele lat, musiałam dojrzeć, aby nauczyć się te sprawy oddzielać – postawę poety od jego poezji. Więc dużo czytałam, pisałam niewiele. Okres, kiedy uprzytomniłam sobie, że pisanie stanie się ważnym, nieodłącznym elementem mojego życia, nastąpił później. Pierwszy okres wojny częściowo spędziłam w Lublinie, częściowo na wsi, ucząc troje dzieci państwa Szczepańskich w majątku Struża. Ten okres wiejski z dala od miasta pełnego Niemców był rodzajem wytchnienia, życie toczyło się w miarę normalnie. Do Warszawy wyjechałam z inicjatywy moich nauczycielek z Lublina. Za to, że mogłam podjąć studia na podziemnym uniwersytecie, do dziś jestem im wdzięczna. Studiowałam polonistykę. Chodziłam na wykłady profesorów Ossowskiej, Tatarkiewicz, Krzyżanowskiego, Kotarbińskiego. Do pamięci o nich odwoływałam się nieraz w moim późniejszym życiu. Mieszkałam w trudnych warunkach, w małym nieogrzewanym pokoiku, spałam na sienniku wypchanym słomą. Ten pokój przypominający składzik mebli był częścią większego mieszkania. Jego lokatorzy raczej od siebie stronili, nie utrzymywali ze sobą stosunków towarzyskich. Przypuszczam, że wielu z nich zaangażowanych było w działalność konspiracyjną. Pamiętam panią wychodzącą na ulicę tylko w żałobnym welonie. Być może obawiała się, że zdradzą ją jej semickie rysy? Gdy jako tako przywykłam do Warszawy, także przystąpiłam do ruchu oporu. Byłam kurierką w czasie

\* „Topos” 2004, nr 3/4, s. 9-26. Dziękujemy Redakcji „Toposu” za zgodę na przedruk.

Julia Hartwig. Fot. Ludwik Hartwig (?). Zbiory prywatne Julii Hartwig.



studiów i niejednokrotnie wyjeżdżałam poza miasto.

**Wojciech Kass:** Czy zetknęła się pani wówczas z jakimiś poetami choćby z kręgu „Sztuki i Narodu”?

**Julia Hartwig:** W trakcie studiów spotkałam Gajcego i Strońskiego, ale prosię sobie wyobrazić, nie miałam wówczas pojęcia, że są poetami i redagują pismo. O tym dowiedziałam się dopiero, gdy zmuszona byłam uciekać z Warszawy przed gestapo. Gajcy i Stroński najmniej przejmowali się tym całym podziemnym uniwersum i nieregularnie pojawiali się na wykładach. Stanowili duet, ale byli zupełnie różnymi ludźmi. Podobnie jak Łobodowski i Czechowicz w Lublinie. Kiedy dałam im do przeczytania moje utwory, Gajcy obruszył się: tutaj nie ma nic o wojnie, jak można tak pisać! Stroński mnie bronił, może dlatego, że sam pisał podobne wiersze – kojące, spokojne, zdystansowane, i przeważnie poematy. Gajcy był młodzieńcem, który nieustannie z kimś się spierał. Podczas dyskusji na zajęciach u profesora Krzyżanowskiego skarżył się na klasyków. Krytykował *Trylogię* i *Pana Tadeusza*, wnosił dużo życia w nasze zajęcia.

**Wojciech Kass:** Zbigniew Herbert pod koniec życia ustalił swój kanon poetów, w którym wyniósł Karpińskiego nad Krasickiego, Słowackiego nad Mickiewicza, no właśnie – także Gajcego nad Baczyńskiego.

**Julia Hartwig:** O tyle to rozumiem, że Gajcy był bardzo samodzielnym poetą, podczas gdy wpływ Słowackiego jest w poezji Baczyńskiego bardzo widoczny. Nie wiem, jak to się dzieje, ale autor *Elegii o chłopcu polskim* wciąż jest bardziej rozpoznany i udomowiony w świadomości czytelników poezji niż Gajcy. Profesor Kazimierz Wyka uważał Baczyńskiego za geniusza. Lecz on należał do tych profesorów, którzy potrafili traktować poezję entuzjastycznie.

**Wojciech Kass:** A wracając do okupacji. Dokąd pani uciekła przed gestapo?

**Julia Hartwig:** Schroniłam się w nadleśnictwie, którym kierował stryj Anny Kamińskiej, niedaleko od Lublina.

**Wojciech Kass:** Kamińska była pani koleżanką szkolną?

**Julia Hartwig:** Przyjaźń z nią przetrwała do czasów pookupacyjnych. Potem nasze drogi się rozeszły. Anna zaangażowała się w życie polityczne, zajmowała się problemami ludowymi, w końcu odnalazła się w nurcie religijnym i teologicznym. Religia stała się treścią jej życia. Zapraszana była do seminariów duchownych, gdzie wygłaszała teologiczne wykłady, czasem czytała swoje wiersze.

**Wojciech Kass:** Ciepło i z sentymentem pisze pani o niej w dzienniku *Zawsze powroty*.

**Julia Hartwig:** Nie zapomina się takich przyjaźni z okresu szkolnego. Była moją poetycką przyjaciółką, tworzyłyśmy coś w rodzaju małej, dziewczęco-pensjonarskiej wspólnoty. Razem uświadomiłyśmy sobie, że możemy pisać, czytałyśmy nawzajem swoje wiersze. Jeszcze bardzo młodzieńcze, nieciekawe, w które wkładało się jednak wiele ze swego życia, zwłaszcza uczuciowego. Najgor-



sze w tych początkowych wierszach jest właśnie to, że tak często wynikają z nastrojów, z jakiejś mgławicy. Żadnego konkretnego. Gdy sięgam czasami po moje wczesne wiersze, zastanawiam się, o czym one właściwie są. To samo widzę w przysyłanych mi przez młodych poetów tomikach. Ocena takich wierszy jest bardzo trudna. Pyta się mnie często, jaki jest mój stosunek do młodych poetów. Co tu można powiedzieć? Nie udzielam więc rad ani nie oceniam.

**Wojciech Kass:** Zadebiutowała pani w wieku 35 lat tomikiem wierszy *Pożegnania* w 1956 roku. Jest pani zatem poetką późnego debiutu. Co na to wpłynęło?

**Julia Hartwig:** W Lublinie w 1944 roku okazywano zainteresowanie młodymi poetami, zauważano ich obecność. Zaczęłam drukować w „Odrodzeniu”. Potem pojechałam do Krakowa, gdzie na jakiś czas przeniósł się warszawski uniwersytet podziemny. W 1945 roku moje wiersze ukazały się w antologii poezji lubelskiej i to właściwie był mój debiut książkowy. Zajrzawszy do niej ostatnio, stwierdziłam ze zdumieniem, że opublikowałam tam trzy wiersze prozą, a nie miałam wówczas pojęcia o XIX- i XX-wiecznej wielkiej tradycji tej formy, zwłaszcza w literaturze francuskiej. Związek Literatów Polskich jeszcze się nie reaktywował i na gwałt rekrutowano młodych poetów i pisarzy. Dlatego tak wielu z nas znalazło się w lubelskiej antologii: Anna Kamieńska, Zygmunt Mikulski, Jerzy Pleśniarowicz. Utwory tam opublikowane były takie „domowe”, jeszcze nieśmiałe, chudziutkie.

**Wojciech Kass:** Lublin, Warszawa, Kraków, a potem zdaje się był jeszcze krótki okres łódzki. To tam po raz pierwszy w 1946 roku zetknęła się pani z Gałczyńskim bodajże w mieszkaniu Jerzego Zaruby.

**Julia Hartwig:** W Łodzi pisałam dla „Kuźnicy” stałe kroniki z francuskiej prasy literackiej. Już wtedy nasilała się ingerencja polityki w życie artystycz-

ne. Chociaż „Kuźnica” była rodzajem „awangardy” myśli marksistowskiej, to jednak zespół starał się pewne wartości kultury ocalać. Z drugiej strony na łamach pisma prowadzono ohydne kampanie przeciwko takim twórcom, jak Iwaszkiewicz czy Nałkowska. W 1947 roku dostałam stypendium rządu francuskiego i pozostałam w Paryżu przez trzy lata.

**Wojciech Kass:** Stypendium, które było dobroczynnym zrządzeniem losu.

**Julia Hartwig:** Zadecydował o nim przypadek, jak to często w życiu bywa. Ówczesna minister oświaty, pani Krasowska, zwróciła się do Stefana Żółkiewskiego z prośbą o radę, kogo wysłać na stypendium do Francji. Wtedy właśnie Żółkiewski zapytał mnie, czy nie chciałabym z takiego stypendium skorzystać. Choć bardzo mnie ta propozycja zaskoczyła, natychmiast się zgodziłam. Już wtedy zajmowałam się trochę sprawami francuskimi, w 1946 roku Adam Ważyk zaprosił mnie do współpracy przy redagowaniu *Antologii poezji francuskiej*. Przetłumaczyłam dla niego utwory Cendrarsa, Jacoba i jeszcze kilku



Julia Hartwig. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Julii Hartwig.

Julia Hartwig, 2006. Fragm.  
fot. Joanny Zętar. Archi-  
wum TNN.



autorów. Były to moje pierwsze próby translatorskie poezji. Recenzując antologię, Czesław Miłosz pochwalił przekład *W sercu świata* Cendrarsa. Później wspólnie z Ważykiem wydaliśmy wybory przekładów poezji Cendrarsa i Maxa Jacoba. Był to wspaniały tłumacz, choć i jemu zdarzały się niepowodzenia. Pamiętam jeden z wieczorów w Związku Literatów Polskich, kiedy Ważyk czytał fragmenty przełożonego przez siebie *Eugeniusza Oniegina* Puszkina. Tuwim po prostu wyszydził ten przekład. Niemniej poezję francuską i Horacego tłumaczył znakomicie.

**Wojciech Kass:** Czy jako dwudziestokilkuletnia osoba, bez specjalnych referencji nie czuła się pani w Paryżu samotna?

**Julia Hartwig:** Drugą osobą, która otrzymała równocześnie stypendium, była Joanna Guze. Dopiero tam nauczyła się dobrze francuskiego, a została przecież później jedną z najlepszych naszych tłumaczek z francuskiego, przełożyła Chateaubrianda i Camusa. Do Paryża pojechała także grupa stypendystów z innych dziedzin, nie utrzymywałam z nimi jednak kontaktów.

W stolicy Francji wychodziła wówczas polska gazeta, było polskie radio, gdzie trochę dorabiałam, pisząc słuchowiska. Stypendium, choć szalenie skromne, wystarczało na jako takie przeżycie. Samotności nie odczuwałam nawet przez chwilę. Całe dni i wieczory spędzałam poza hotelikiem, w muzeach, bibliotekach, ciągle między ludźmi, spacerując po paryskich uliczkach, przesiadując w kawiarenkach.

**Wojciech Kass:** A czy spotkała się pani w ambasadzie z Miłoszem?

**Julia Hartwig:** Spotkałam się i doskonale to pamiętam. To był ostatni rok we Francji, który spędziłam jako pracownik ambasady. Kiedy skończyło mi się stypendium, chciałam przedłużyć pobyt i Mirosław Żuławski zaproponował mi stanowisko referenta kulturalnego. Praca ta pozostawiła mi przykre wspomnienia. Panowała zimna wojna, co wpływało na atmosferę w ambasadzie, gdzie zatrudniani byli urzędnicy o przygotowaniu partyjnym. Pracy nie miałam zbyt dużo, głównie zajmowałam się sprawami stypendystów, ale trzeba było godziny urzędowania odsiedzieć. Najmilsze były spotkania z ludźmi, którzy bywali w ambasadzie, kompozytorami, stypendystami. W tym okresie właśnie Miłosz przyjechał z Ameryki i wpadł, żeby się przywitać. Poznałam go już wcześniej, w Warszawie, podczas okupacji. Miłosz usiadł na chwilę i poprosił o szklankę wody. Kiedy mu ją przyniosłam, zapytał: a gdzie lód? W tym błahym na pozór zdarzeniu nastąpiło zabawne zetknięcie powojennej Francji i Ameryki. Miłosz zażyłe przyjaźnił się z Nelą Micińską, tłumaczką *Pani Bovary*, siostrą Bolesława Micińskiego, ciotką Anny Micińskiej, która w Polsce zajmowała się dorobkiem Witkiewicza. Nela, bardzo miła i czarująca osoba, była potem lektorką w Grenoble. Z nią, Miłoszem i Putramentem spędziliśmy wieczór w takim klubie egzystencjalistów, gdzie występowała Juliette

Gréco. Podczas tej kolacji Putrament wręcz adorował Miłosza, uważał go za największego polskiego poetę. Odnosiłam wrażenie, że literaturą i filozofią pasjonują się dosłownie tłumy. Każdy młody człowiek wiedział, co to jest egzystencjalizm, i nosił czarny golf. W Paryżu poznałam kilku pisarzy francuskich, głównie orientacji lewicowej, którzy szaleli wówczas na punkcie Związku Radzieckiego i komunizmu.

**Wojciech Kass:** Do Polski moda na egzystencjalizm przyszła po dwudziestu latach.

**Julia Hartwig:** I to jako echo, podczas gdy wówczas było się w samym środku tego wiru. We Francji było wtedy dość ubogo, ale może właśnie dlatego – przyjemnie. Niezamożny Francuz staje się mniej pyszny, bardziej otwarty. A poza tym z jakim rozmachem rozwijała się sztuka. Rozkwitały teatry, nigdy nie obejrzałam tylu spektakli, co podczas tamtego pobytu. Poznałam klasykę francuską w najlepszej obsadzie. A przede wszystkim historię filmu. Chodziłam na wszystkie niemal seanse do archiwum filmowego, oglądałam filmy stare i nowe, klasykę i awangardę. W ciągu tych trzech lat w błyskawicznym skrócie dokonała się moja inicjacja w kulturę.

**Wojciech Kass:** W Polsce nie byłoby to możliwe?

**Julia Hartwig:** Tutaj nastąpiła raczej inicjacja w historię i to coraz bardziej przynębiająca. Gdy wróciłam w okropnym dla kraju 1950 roku, panowała w nim rozpaczliwa szarzyzna. Nazajutrz po przyjeździe przeczytałam pierwszą gazetę, a dominowały w niej relacje z procesów politycznych. Trudno było żyć w tej dusznej i niebezpiecznej atmosferze. Czekając na przydział mieszkania, zamieszkałam w Oborach. W pałacu było wtedy pusto, Dom Pracy Twórczej nie rozwinął jeszcze działalności, ale mieszkał tam również Peiper. Jadaliśmy razem śniadania, opowiadał wiele ciekawych rzeczy. Akurat pisał rozprawę o tańcu.

Nie wiem, czy ukazała się kiedykolwiek w druku. W pierwszym trzydziestoleciu po wojnie Peiper miał jeszcze wielu wielbicieli wśród poetów. Należał do nich Ryszard Krynicki, który cenił rozprawy teoretyczne Peipera, a zapewne i wiersze, te strofy „rozkwitające”.

**Wojciech Kass:** Jest rok 1956, ukazują się pani *Pożegnania*. Wróćmy do mojego pytania – co zadecydowało o tak późnym debiucie?

**Julia Hartwig:** Był to rok odwilży, powiało nadzieją. Ekspłodowało poczucie wolności. Ujście znalazło wszystko to, co nagromadziło się przez lata stalinowskie. Prasa zaczęła pisać prawdę, publikowano poetów, którzy zaczęli wyciągać z szuflad swoje wiersze. Zanim ukazał się mój tomik, miałam już trochę wyrobione nazwisko, publikowałam w różnych czasopismach, w „Nowinach Literackich”, w „Odrodzeniu”. Rozpoznawano moje wiersze, mało kto wtedy pisał długim wersem.

**Wojciech Kass:** Każdy poeta ma swój oddech. Pisze tak, jak oddycha. Inna rzecz, że frazę należy ciągnąć tak długo, jak się da, jeśli tylko ma się taką możliwość. To jak fraza w klasycznej muzy-



Julia Hartwig, 2006. Framm. fot. Ignacego Tokarczyka. Zbiory prywatne autora.



## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

ce. Najdłużej chyba wyciągał ją Mozart. Nierzadko ta jego ostatnia nuta jak dymek unosi się ku niebu.

**Julia Hartwig:** Wracając do tego oddechu: pamiętam recenzję Głowińskiego z *Pożegnań*. Pisał w niej, że w moim tomiku są różne wiersze, ale wydaje się, że poetka pozostanie przy długiej frazie. W tym przypadku był jasnowidzem, bo długa fraza nadal dominuje w mojej poezji. Przyznam, że nawet w 1956 roku nie czułam się gotowa do wydania książki poetyckiej. Niedostatecznie podobało mi się to, co dotychczas napisałam. Dlatego też tomik ten nie zawierał nawet połowy tego, co pub-

Julia Hartwig z siostrą Zofią. Lata 30. XX w. Zbiory prywatne Julii Hartwig.



likowałam w „Kuźnicy” i „Odrodzeniu”. Ostatecznie przekonał mnie Jerzy Lisowski pracujący wówczas w Czytelniku. Powiedział: masz wydać tom, daj mi swoje wiersze, bo nie wiadomo, na co czekasz. Zdarzało się, że między jedną a drugą książką poetycką była bardzo długa, raz nawet siedmioletnia przerwa. Kiedy niedawno ponownie zajrzałam do *Pożegnań*, stwierdziłam, że są tam wiersze, których dzisiaj nie muszę się wstydić. Część z nich powstała po przyjeździe na świat mojej córeczki. Były to chyba najczulsze wiersze, jakie kiedykolwiek napisałam. Oprócz czułości przewija się przez nie żart, dowcip.

**Wojciech Kass:** Ktoś napisał o *Pożegnaniach*, że dostrzega w nich, iż poetka Julia Hartwig stawia sobie wysoko poprzeczkę i mierzy najwyżej.

**Julia Hartwig:** To bardzo pochlebne, tylko nie wiem, czy wypowiedziane w tamtym okresie, czy też z dzisiejszego punktu widzenia.

**Wojciech Kass:** Z dzisiejszego.

**Julia Hartwig:** Ano właśnie. Z *Pożegnań* najbardziej sobie cenię recenzję Jerzego Kwiatkowskiego. Ten krytyk naprawdę wiedział, czym jest poezja, i umiał o niej pisać. U nas obecnie z krytyką jest dość kiepsko i nie mam o niej najlepszego zdania, ale nie mogę także narzekać, moje książki zawsze były sygnalizowane.

**Wojciech Kass:** Po mistrzowsku opanovała pani trudną formę poetycką – wiersz prozą. Nie jest on za mocno ugruntowany w polskiej tradycji. Czy zainteresowanie poezją francuską sprawiło, że postanowiła pani zmagać się z tym gatunkiem? Chyba jednak nie, bo przecież już w 1945 roku ukazała się pani proza poetycka we wspomnianej antologii poezji lubelskiej. Zatem nie podeszła ona do pani z zewnątrz, była raczej wewnętrzną potrzebą.

**Julia Hartwig:** Sprzeciwiałam się, gdy mówiono, że twórczo związana jestem z tradycją poezji francuskiej. Owszem, jest mi ona bliska, ale nie odnoszę wra-



żenia, aby jej wpływy widać było w mojej poezji. Jestem zdania, że wszystko, co do tej pory przetłumaczyłam, jakoś na mnie wpłynęło, uświadomiło mi nieskończoność poezji i jej niewyczerpane możliwości. Im więcej czyta się dobrych poetów, tym skromniej myślimy o naszym poetyckim „ja”, otwiera się szersza perspektywa. Bo czegoś dzisiaj można nauczyć się z *Kwiatów zła* Baudelaire’a, a jak wiele ze *Splinu paryskiego*, który wydaje się utworem bardzo współczesnym. Z próz poetyckich Jacoba dowiedziałam się, jakie są możliwości użycia w poezji żartu, ironii, ile w niej miejsca na przewrotność. W utworach Jacoba nic do końca nie jest jasne, a niedopowiedzenie jest nieodłączne od poezji. Tak powstały, tak starałam się ułożyć *Błyski*, w których pewne ustępy, pewne zdania, moje własne lub cudze, nie podają żadnego rozwiązania. Zapraszają do myślenia i są zarazem wynikiem zwątpienia. Nie przekonuje mnie w poezji potrzeba stawiania kropki nad „i”.

Chciałabym podkreślić, że poetycka proza jest formą, którą niejako sama w sobie odkryłam i mimo że na początku była dziełem przypadku, kształtowałam ją potem świadomie. Wiem, że jest to forma trudna, może dlatego, że bardzo pojemna i usytuować w niej można całą gamę niuansów, od tonacji żartobliwo--ironicznych do powagi, a nawet paradoksu. To są jej potencjalne możliwości, choć z pewnością sama nie wszystkie je wykorzystuję. Forma ta z zasady jest statyczna i trzeba nieco wyobraźni, aby wykrzesać z niej napięcie, dzianie się, przenikanie, cały ten ruch świadczący o jej żywotności. Statyczność, płaskość obrazowania są dla niej zabójcze.

**Wojciech Kass:** Czy wiersz prozą nie wynikał u pani z potrzeby formy bardziej pojemnej, która „nie byłaby za nadto prozą, za nadto poezją”? Czy aby nie podążała pani tą drogą wcześniej, zanim

Miłosz napisał o tej tęsknocie w swojej *Ars poetice*?

**Julia Hartwig:** To prawda, dla mnie formuła Miłosza nie była niczym nowym. Od dawna pisałam swoje wiersze prozą, które są czymś pośrednim pomiędzy prozą i poezją. Nawet poeci, których tłumaczyłam, świadczą o tym dobitnie, choćby Jacob, Reverdy. Taka formuła bardzo mi odpowiada.

**Wojciech Kass:** W jakim momencie postanowiła pani napisać książki biograficzne, a zarazem poważne studia literackie o Apollinaire i de Nervalu?

**Julia Hartwig:** Zapewne pomysły te narastały we mnie. Nie były jakimś chwilowym objawieniem. Z pewnością nie zadecydował o nich pierwszy pobyt we Francji, może drugi czy trzeci... Interesowała mnie szczególnie poezja przełomu XIX i XX wieku. Nieomal codziennie, tak jak się chodzi do pracy, odwiedzałam Bibliothèque nationale, czytałam, studiowałam, szukałam niepublikowanych dotąd dokumentów dotyczących ich życia i twórczości, relacji ich współczesnych. Najbardziej przyciągnął moją uwagę Apollinaire, który był przywódcą całej grupy artystów, poetów i pisarzy na styku wieków. Osobowość ciekawa, budząca sympatię; w sposób naturalny przełożyło się to na moje zainteresowanie jego twórczością. Nie bez znaczenia był fakt, że poeta ten był z pochodzenia Polakiem. Apollinaire miał ogromne wycucie współczesności, umiejętnie, poprzez erudycję łączył znaki tradycji z otaczającą rzeczywistością. Zafascynowało mnie jego oddanie sprawom przyjaciół malarzy. Pisał o nich w pismach codziennych i tygodnikach, narażając się na gwałtowne reakcje – zarówno impresjoniści, kubiści, jak i surrealiści byli początkowo przedmiotem kpiny. Myślę, że recepcja sztuki początku XX wieku wiele mu zawdzięcza, w jakimś sensie złożył okup za sztukę i malarstwo tamtego okresu. Wiedzę miał bardzo rozległą, w jego poezji znaleźć można

## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

wiele tajemniczych i subtelnych odniesień do początków religii. Bliski jest mi ten sojusz poezji i malarstwa, które bywa źródłem moich przeżyć nie tylko estetycznych, ale i poetyckich. Wiele wierszy poświęciłam malarzom i ich obrazom.

**Wojciech Kass:** Sytuuje to panią w grupie twórców, dla których malarstwo było niepoślednią inspiracją: Herbert, Jeleński, Miłosz, w pewnym sensie Zagajewski. Czy ktoś panią uczył patrzeć na obrazy? Czy tego w ogóle można się nauczyć?

**Julia Hartwig:** Z pewnością tak. Nie miałam zielonego pojęcia o malarstwie, dopóki nie wyjechałam do Francji, a potem do Włoch, Londynu, Wiednia. Moje pobyty w większych miastach Europy zaczynałam od wizyt w muzeach i galeriach. Ciekawi mnie zarówno forma obrazu, jak i jego tematyka. Nie mogę się zgodzić z formułą, że wszystko jedno, czy namalujemy głowę Chrystusa, czy główkę kapusty, byleby obraz był dobrze namalowany, bo tematyka stanowi rów-

nież o urokach obrazu. Saskia siedząca na kolanach Rembrandta to nie tylko wspinały obraz, ale też wspinała opowieść, podobnie jak pejzaże letnie i zimowe Breughla zaludnione postaciami wieśniaków. Mój brat lekarz po jednej z wizyt w galerii powiedział, że mógłby na podstawie niektórych portretów powiedzieć, na co chorowali przedstawieni na nich ludzie. Ten punkt widzenia zdumiał mnie, a jednocześnie rozbawił. W sztuce malarskiej tkwi również element poezji. Gdy oglądam obraz, odnoszę wrażenie, że wchodzę do niego, uczestniczę w nim, w anegdocie, którą opowiada, w tajemnych związkach między postaciami. Z upływem lat nauczyłam się również oceniać jakość malarstwa, odróżniać stopień doskonałości artysty.

**Wojciech Kass:** Na własny użytek dzielę poetów na poetów ucha i poetów oka. Wydaje mi się, że pani jest poetką oka. Zagarnia nim pani pejzaż, jego fragmenty, elementy, szczegóły. Niejako odkładają się one na siatkówce pani oka.

**Julia Hartwig:** Wiele moich wierszy rozpoczyna się od zatrzymania na czymś spojrzenia. Jeśli mnie coś zafrapuje, coś szczególnie dotknie, powstaje notatka, albo cały wiersz. Nawet jeśli tego, co mnie uderzyło, początkowo nie rozumiem. Niektóre z moich wierszy są po prostu dziękczynieniem za to, że mamy tę wspinałą zdolność widzenia. Zapewne podział, który pan wprowadził, jest mi bliższy niż rozróżnienie na poetów kultury i natury, bardzo według mnie sztuczny, choć pomocny. To tak jak ustalanie granic między życiem a poezją. Między nimi nie ma jakiejś istotnej przepaści, to tylko pozory. Jedno drugie się uzupełnia, choć czemu innemu służy. Często wbrew mnie samej tak zwane życie chce wtargnąć do moich wierszy. Ostatnio prześlada mnie myśl, że wiersze, które dotąd napisałam, nie są pełnym obrazem mojego istnienia, ale zapewne nie mnie jedną to gnębi.

Julia Hartwig, 2006. Fot. Joanna Zętar. Archiwum TNN.



**Wojciech Kass:** Być może poeta to system tajemniczych filtrów. Pewne rzeczy przez nie przechodzą, inne pozostają w ukryciu.

**Julia Hartwig:** Składałam to na karb pewnych ograniczeń poetyckich. Poeta naprawdę wspaniała, jakiego sobie wyobrażam, potrafiłby wszystko zawrzeć w wierszu, a jednocześnie nadać temu piękną formę. W tym ograniczeniu, o którym powiedziałam, odgrywają może rolę względy estetyczne. Po prostu piękno jest łatwiejsze do opisanego, natomiast uczucia negatywne są nieprzyjemne. Nieprzyjemnie jest mówić źle o innych i tego słuchać, nieprzyjemnie jest patrzeć na brzydkie rzeczy i być nimi epatowanym. Sztuka więc od tego stroni i być może na tym również polega jej racja bytu. Na jej potrzeby wybieramy to co najlepsze, najważniejsze i najpiękniejsze.

**Wojciech Kass:** Mamy wielu poetów, którzy dopuścili do swojej poezji egzystencjalny rozkład, destrukcję, upadek, a jednocześnie znaleźli na to własną, piękną formę poetycką.

**Julia Hartwig:** Tak, to prawda. Zapewne myśli pan, między innymi, o Grochowiaku i tak zwanych turpistach, których tym mianem ochrzcił Przyboś.

**Wojciech Kass:** Czytając dziennik *Zawsze powroty*, zauważyłem, że pani uwagę pochłania nie tylko krajobraz żywiołów i architektury, obrazy, lektura, muzea, w jakimś sensie historia, portrety twórców, ale także kloszardzi, ten margines życia, ludzie podziemia, mieszkańcy ciemnych, niebezpiecznych przejść i tuneli paryskich. Nie dotyczy to tylko dziennika, portretuje ich pani w swoich wierszach, także amerykańskich.

**Julia Hartwig:** Piotr Matywiecki kiedyś powiedział, że po lekturze moich wierszy odnosi wrażenie, jakbym zazdrościła kloszardom. Ma trochę racji, gdyż rzeczywiście zazdroścę im niezależności. Rezygnują z banałów codzien-

nego dnia, naszych pustawych często rozmów, do niczego się nie zmuszają i nikt ich do niczego nie zmusza. To, co powiem, może trącić anarchią, ale czasem śni mi się, że coś takiego byłoby możliwe. Przeszkodą dla takiego życia byłaby cała moja ogłada cywilizacyjna, pragnienie wzięcia prysznic, celebrowanie śniadania, czyli to wszystko, co stanowi o normalnym, mieszczańskim życiu, bo w końcu większość nas takie prowadzi. W jednym z moich wierszy jest taki obraz – ludzie przechodzą koło leżącego kloszarda, spieszą się, prawie biegną, pachną wodą kolońską, a jego to w ogóle nie obchodzi. Ten cały bezładny i zarazem bezradny ruch go nie dotyczy. Kloszard jest wyodrębniony ze społeczności, zależy tylko sam od siebie, z drugiej strony wiadomo jednak, że od samych siebie zależymy tylko w pewnym stopniu. Najbardziej ciekawią mnie ci, którzy świadomie wybrali takie życie, mniej tacy, którzy zostali do niego zmuszeni przez utratę pracy, mieszkania, rodziny. Poznałam we Francji pewnego kloszarda, niezwykle dowcipnego, który kiedyś był profesorem uniwersytetu. Rzucił karierę, wygodne życie i zadomowił się na ulicy. On i jego współtowarzysze przyjmują swój los z dobrą wiarą, nie ubolewają, nie psioczą, nie utyskują. Owszem, skarżą się czasami, że nie mają co jeść, ale nie na sam tryb życia. Być może nie trzeba doprowadzać do tak ekstremalnych sytuacji, być może podobny stopień wolności moglibyśmy osiągnąć w warunkach, w których żyjemy, ale my wybieramy wygodniejszą drogę.

**Wojciech Kass:** Wróćmy jeszcze do Nerval. Umknął on nam na drodze dygresji.

**Julia Hartwig:** Nad książką o tym twórcy pracowałam siedem lat. Tadeusz Różewicz, który wiedział, że tak długo ją piszę, czy też szykuję do druku, ostrzegwał, żebym uważała, by jej nie przenosić, tak jak przenosi się ciężę. Kiedy zajmo-

wałam się surrealistami, napotykałam raz po raz na jego nazwisko. Oni uważali Nervalą za jednego z swoich patronów. Bardziej chyba ze względu na okresowe ataki obłądzenia, na które cierpiał, niż na jego pisarstwo – cudowne, tak po francusku perliste, logiczne, pięknie prowadzone. Dla surrealistów osoby obłąkane były trochę święte, bo według nich sen i obłąd to te momenty, kiedy świadomość jest przyćmiona, sprzyjają więc niczym nie ograniczonej twórczości. U Apollinaire’a natrafiłam na takie zdanie: „mój brat serdeczny, de Nerval”. Nie ukrywam, że zaskoczyło mnie to. Skąd u autora *Alkoholi* poczucie braterstwa z odległym romantykiem. Weszłam więc nieco w świat romantyzmu francuskiego i romantyków niemieckich. Do dzisiaj z całej literatury niemieckiej ciągnę mnie najbardziej Novalis i Hölderlin. Urzekły mnie prozy Nervalą: *Córy ognia*, *Sylwia*, a przede wszystkim *Aurelia* – opowieść o ukochanej zmarłej, która ukazywała mu się w różnych wcieleniach, w przepięknej scenerii jakiejś dziwnej roślinności. Te wizyjne, a jednocześnie bardzo realistyczne opisy zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Kiedy ukazała się moja książka, Nerval był w Polsce prawie nieznaną i tak pozostało do dziś. Byłam w tym czasie z rodziną w USA, nikt wówczas tą książką nie zajął się poważnie, przeszła niemal bez echa. Zainteresowali się nią natomiast pisarze, na przykład Adolf Rudnicki powiedział mi, że Nerval leży na stoliku przy jego łóżku. Książka o Nervalu ma inny charakter niż ta o Apollinaire, jest bardziej mroczna. Uważa się ją za biografię uczoną, ale jednocześnie literacką. Rzadko te dwie kategorie udaje się połączyć.

**Wojciech Kass:** Wrażenie uczoności płynie stąd, że przedstawiła w niej pani dotychczasowy stan badań i studiów dotyczących tego małego romantyka.

**Julia Hartwig:** Przygotowania do wydania tej książki zajęły mi tyle czasu dlatego, że nie mogłam oderwać się od

dokumentacji, taka była ciekawa i bogata. Okazało się, że do lat sześćdziesiątych XX wieku nie było znaczącego francuskiego pisarza, który nie pisałby o Nervalu. Odnosiłam wrażenie, że łączę się z gronem wyśmienitych ludzi, których Nerval porywał i fascynował. Był to nietuzinkowy człowiek, pełen skromności, uciekający od ludzi, a jednocześnie cieszący się przyjaźnią największych jego epoki. Jestem dla niego pełna czułości: drobny, kruchy, noszący się skromnie, we wciąż przykrych ubraniach. Ciepły wobec świata niósł przecież w sobie ogromne cierpienie. Nervalą naprawdę kochano, nic więc dziwnego, że Apollinaire uznał go za swojego serdecznego brata.

**Wojciech Kass:** Apollinaire’a też kochali współcześni.

**Julia Hartwig:** Uznali go za swojego przywódcę i towarzysza drogi. Nerval istniał bardziej w cieniu, ale obaj byli towarzyszy, a równocześnie osobni i niezależni.

**Wojciech Kass:** Czy zgodzi się pani ze mną, że istnieje coś takiego jak duch poezji, który wciela się w poszczególnych ludzi, plemiona, narody. Dominował on we Francji przez blisko półtora wieku, potem wyniósł się stamtąd i przeniósł gdzie indziej. Czyż nie między innymi do Ameryki, z którą po raz pierwszy zetknęła się pani w 1970 roku?

**Julia Hartwig:** O moim wyjeździe do Ameryki zdecydował przypadek, ale to ciekawe, że akurat taki. Rok 1968 w Polsce tak nas zbrzydził, że postanowiliśmy z mężem wyjechać na jakiś czas z kraju. Przyjaciel Artura, poeta Gyula Illyés, zaproponował, byśmy przyjechali do Puszczy. Artur mógł też skorzystać ze stypendium Schumana i wyjechać do Francji. Równocześnie nadeszło zaproszenie do Iowa na Międzynarodowy Program Pisarzy, z którego następnie korzystało wielu polskich pisarzy – Bieńkowski, Strykowski, Szczepański. Ta propozycja i nas zainteresowała. Po-



myśleliśmy, że Iowa jest daleko i podróż na drugi kontynent będzie najciekawsza. Najpierw wyjechał Artur, ja z córką pół roku czekałam na paszport. Przeżywalismy z mężem istną mękę, bo zwłaszcza Artur nie lubił mieszkać sam i to jeszcze gdzie, na drugim kontynencie. Czułam się zawsze Europejką i odnosiłam się do tego wyjazdu z rezerwą. Na cóż mi Ameryka? – myślałam. Dopiero tam zrozumiałam, jak bardzo się myliłam i jak nieprawdziwe są nasze wyobrażenia o tym kraju i jego mieszkańcach. W końcu amerykańska elita wykształcona jest na wzorach europejskich. Poczesne grono wybitnych pisarzy i artystów amerykańskich mieszkało i podróżowało po Europie. Francja była tym miejscem, gdzie uczyli się nowej sztuki, a potem przetwarzali te doświadczenia na amerykańskie realia. Zaczęłam czytać literaturę, a zwłaszcza poezję amerykańską, którą dotąd znałam bardzo pobieżnie. Ten okres zaowocował dopiero później, w kraju. Niemniej ta czteroletnia przerwa dobrze nam zrobiła. Zyskaliśmy nowe doświadczenia, znajomych, przyjaciół. A po powrocie powstały chyba najlepsze rzeczy, jakie w ogóle napisaliśmy. Artur czuł się w Ameryce gorzej niż ja. Tęsknił do Warszawy, środowiska, przyjaciół, ta rozłąka była dla niego bardzo bolesna. Wciąż interesował się tym, co działo się w Polsce, miał chwile załamania, co rusz namawiał do powrotu. Pamiętam jednak moment, kiedy zawahaliśmy się, czy nie zostać. Czekala na nas tam, na miejscu, praca, wygodne życie. Córka rozpoczęła studia i nie miała najmniejszej ochoty ich przerywać. My jednak wróciliśmy i nigdy tego nie żałowałam. Córka została.

**Wojciech Kass:** Owocem państwa kilkakrotnego pobytu w Ameryce była antologia poezji amerykańskiej *Opiewam nowoczesnego człowieka*, która ukazała się w 1992 roku i od razu stała się bardzo ważnym wydarzeniem literackim.



**Julia Hartwig:** Ciężko nad nią pracowaliśmy. Gromadziliśmy książki w wielkich pakach i wysyłaliśmy je na nasz adres do Polski. Najpierw chcieliśmy wydać antologię tylko i wyłącznie naszych ulubionych poetów. Potem zmieniliśmy zdanie, stwierdziwszy, że poezja amerykańska jest w Polsce tak mało znana, a jednocześnie tak różnorodna, że należało jednak przedstawić przekrój wszystkich dobrych i uznanych poetów, także tych, których mniej lubimy. Nasza antologia nabrała więc większego rozmachu i przerosła nasze pierwotne zamierzenia. Zamykają ją wiersze Simica, z pochodzenia Jugosłowianina,

Julia Hartwig. Lata 30. XX w.  
Zbiory prywatne Julii Hartwig.

który należy dziś do ścisłej czołówki poetów amerykańskich; tłumaczył go Barańczak.

**Wojciech Kass:** Ten wywiad więc jest okazją, aby dowiedzieć się, którzy z tłumaczonych przez państwa poetów stanowili ten pierwotny krąg ulubionych.

**Julia Hartwig:** Z pewnością moim ukochanym poetą jest William Carlos Williams. Dzisiaj przygotowany mam cały tom przekładów jego wierszy. Jest on poetą idiomu amerykańskiego i niewymuszonej prostoty, poprzez tę prostotę czuję z nim bliską więź. Mogę powiedzieć, że widzi on to, co zapewne sama zobaczyłabym i wniosła do wiersza, gdybym była na jego miejscu. Nawet po ilościowych proporcjach w antologii widać, że przetłumaczyliśmy i zamieściliśmy w niej bardzo dużo jego wierszy. Znakomitym poetą, właściwie już klasykiem, jest Robert Frost. Uczeń kończący gimnazjum w USA zna przynajmniej jeden jego wiersz na pamięć. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że jest to poezja bukoliczna, a tymczasem tkwi w niej potężny, choć ukryty ładunek tragizmu. Obok Audena Frost był także ulubionym poetą Josifa Brodskiego. Na trzecim miejscu wymieniłabym Whitmana. Mam poczucie, że jest on bardzo współczesny i wszyscy w jakimś sensie od niego pochodzimy, nawet jeśli mało go znamy. Nie czuję natomiast bliskiego pokrewieństwa z Emily Dickinson. Mimo to szanuję ją i poświęciłam jej sporo miejsca w swoim dzienniku amerykańskim, a także w *Zawsze powroty*. Nadzwyczaj bliska jest mi Elizabeth Bishop i bardzo się ucieszyłam, że Barańczak tak wspaniale ją przetłumaczył. Mało znanym, a zasługującym na uwagę poetą jest Theodore Roethke. To poezja szczegółu, gęsta, pisana długim wersem. Miał okresy szaleństwa, często przebywał w szpitalach psychiatrycznych. Powiedział zdanie, które bardzo do mnie przemówiło: kto wie, czy człowiek szalony nie jest mądrzejszy

od normalnego, więcej bowiem widzi i czuje.

**Wojciech Kass:** W tej galerii ulubionych przez panią poetów amerykańskich brakuje mi Roberta Lowella i pozostałych ze szkoły konfesyjnej.

**Julia Hartwig:** Bo jestem jej niechętna. Najbardziej spośród nich cenię Johna Berrymana, a poezję Anne Sexton i Sylvii Plath uważam za zbyt histeryczną, choć zwłaszcza Sylvia Plath jest poetką świetną i zarazem przerażającą. Niewątpliwie są to wybitni poeci, ale konfesyjność jest niezgodna z moim usposobieniem, upodobaniem i z obroną przeze mnie drogą poetycką.

**Wojciech Kass:** Francja, Ameryka... Nie pociągała pani nigdy Rosja? Nie chodzi mi o geografię, tylko kulturę.

**Julia Hartwig:** Mój stosunek do Rosji jest skomplikowany. Znaczenie ma tutaj mój rodowód, gdyż moja matka była Rosjanką. Mimo to nigdy nie mówiłam po rosyjsku, czego dziś bardzo żałuję. Wielu poetów, choćby Miłosz, Tuwim, Wat, a nawet Witkacy, miało wyraziste powody, by czuć więź z kulturą rosyjską. Dla mnie jednak jest to inna planeta, z inną temperaturą, nastrojami, a nawet ludźmi. Choć Mandelsztam, Brodski...

**Wojciech Kass:** Właśnie, Brodski...

**Julia Hartwig:** Nie tylko poeta, ale genialny eseista. Miał ogromną wiedzę, mimo że był samoukiem. Jako nastolatek porzucił gimnazjum i więcej tam nie wrócił. To samouctwo, czytanie, rozległa erudycja przypominają mi trochę bohatera mojej książki, Apollinaire'a, choć żyli i pisali w innym czasie i w diametralnie różnych warunkach. Gdy czytam eseje Brodskiego, dosłownie w każdym zdaniu znajduję myśl, nad którą warto poważnie się zastanowić, gęstość tych esejów nie ma sobie równych. Jednocześnie emanuje z nich autentyzm doświadczenia, prawdziwość, żadnej minoderii, żadnego uwodzenia.

**Wojciech Kass:** Wierzył, że poezja potrafi przemieniać ludzi, wykrzesać



z nich dobro. Poeta to szaman, egzorcysta, co też widać w niezwykłym wręcz czytaniu wierszy przez Brodskiego. Ten zaśpiew, zaklęcie...

**Julia Hartwig:** Rzeczywiście miał poczucie mocy. To jeden z ostatnich, który czuł się poetą-prorokiem. Odwrotnie niż jego mistrz, Auden, w którym z biegiem czasu narastały wątpliwości, i w rezultacie uznał, że poezja nie ma żadnego wpływu ani na historię, ani na rzeczywistość.

**Wojciech Kass:** Odnoszę wrażenie, że ma pani również dystans do poezji niemieckiej.

**Julia Hartwig:** To prawda, poza kilkoma poetami. Mój stosunek do niej być może ma związek z językiem, który wskutek okupacji zupełnie porzuciłam. Po wojnie byłam tak przewrażliwiona, że nie potrafiłam ani posługiwać się nim, ani go słuchać, co nie było mądre choćby ze względu na literaturę.

**Wojciech Kass:** Ani Benn, ani Celan, ani Rilke?

**Julia Hartwig:** Hölderlin, Novalis, oczywiście. Rilkego cenię, ale na pewno nie dosyć.

**Wojciech Kass:** Drażni panią nadmierna ekspresja w poezji?

**Julia Hartwig:** Wszystko zależy od tego, jak jest ona zrobiona, ale generalnie tak. Dlatego też z dużym chłodem odnoszę się do ekspresjonizmu niemieckiego, co wynika z mojego stosunku do sztuki, bo w ogóle ekspresjonizm jest mi obcy.

**Wojciech Kass:** Może chodzi o zbytne epatowanie sobą, zawężanie oglądu świata do własnego „ja”?

**Julia Hartwig:** Najbardziej pociąga mnie sztuka, w której artysta ma wyraźny dystans do samego siebie. Czasami wydaje mi się, że jej najwyższy wymiar osiąga się przez pewien rodzaj emocjonalnego chłodu. Ale oczywiście sztuka jest bardzo pojemna i jest w niej miejsce dla wylewności uczuć, powiedzmy konfesyjności. Istnieją też takie zamiary poetyckie, by myśli dać najmocniejszy

wyraz, na jaki możemy się zdobyć. Geniuszom się to zazwyczaj udaje, choćby Mickiewiczowi w *Wielkiej Improwizacji*. Czego jednak naprawdę nie cierpię w poezji, to eklektyzmu. Uważam to za wielki grzech, nawet jeśli dotyczy uznanych poetów. Przygnębiające jest to, że przeciętny odbiorca poezji nie zdaje sobie sprawy z eklektycznych zabiegów, po prostu nie dociera do źródeł czytanego utworu. Rozumiem jednak rolę cytatu, cytat odgrywa w wierszu rolę podbudowującą lub raczej wnoszącą coś zupełnie nowego, co otwiera perspektywę wiersza i potęguje znaczenia.

Julia Hartwig, 2006. Fot. Ignacy Tokarczyk. Zbiory prywatne autora.



Julia Hartwig z siostrą czyta książkę. Lata 20. XX w. Zbiory prywatne Julii Hartwig.



**Wojciech Kass:** Może bardziej chodzi o imitację niż eklektyzm?

**Julia Hartwig:** Właściwie to pan nazwał, chodzi o imitację, która często wynika z oczarowania, gdyż czyjaś poezja zachwyca i chce się ją przenieść do własnego wiersza. Jednak to jest najgorszy sposób na napisanie czegokolwiek własnego. Dotyczy zewnętrznej strony poezji. Wróć znowu do niewyrobionego czytelnika, który nie zna poezji, ale chce w niej znaleźć coś dla siebie i trafi mu się akurat taki niedobry, imitacyjny tomik. Zrazi się, już więcej do wierszy nie wróci. Jesteśmy zasypywani złą poezją, z czym trudno walczyć, skoro ludzie mają potrzebę pisania i wydawania. Staram się być powściągliwa, jeśli chodzi o ocenę, zwłaszcza poezji najmłodszych, bo nigdy nie wiadomo, w jakim kierunku ona się potoczy albo kiedy się urwie. Unikam również zbyt daleko idącej absolutyzacji w ocenach, lecz trzeba pamiętać, że w sztuce istnieje, chyba najbardziej w sztuce, wyrazista hierarchia. Nauczyłam się znajdować takie miejsca w swoich niechęciach, gdzie mogą być

one przełamane. Niestety, jest to cnota, którą nabywa się z wiekiem. W ogóle nauczyłam się lubić o wiele więcej niż przedtem. A więc odwrotnie niż to się zdarza niektórym ludziom, którzy pod koniec życia niemal wszystko od siebie odsuwają.

**Wojciech Kass:** Związki poetów mają swoją, choć niedługą, tradycję: Hugh i Plath, Filipowicz – Szymborska, Jastrun – Buczkówna, Jankowski – Ferenc, Śpiewak – Kamieńska, także Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki. Jak to jest, gdy zwiąże się ze sobą dwóch poetów? Zafrapował mnie ustęp w dzienniku *Zawsze powroty* o tym, jak szukali państwo we Francji mieszkania, w którym zmieściłyby się koniecznie dwa biurka.

**Julia Hartwig:** Prowadziłam z mężem zwyczajny, normalny dom. Nie było w nim nic ze świątyni poezji. W każdym razie żadnych celebracji. Sztuka, poezja była tak naturalnym pokarmem, że nie trzeba było o niej mówić. Nie czytaliśmy na głos wierszy, nawet własne utwory nie zawsze sobie pokazywaliśmy. Bywało tak, że poznawaliśmy je dopie-



ro w druku. Co do biurka – uważam, że każdy powinien mieć swoje, bo poeta musi mieć swoje stałe miejsce do pracy. A czasem trzeba coś zapisać bardzo szybko.

**Wojciech Kass:** Racja. Prozaik może poczekać, bo jest „maratończykiem”.

Poeta „biegnie na setkę”, jest sprinterem.

**Julia Hartwig:** Znamy to. Ileż razy denerwuję się, gdy nie mogę znaleźć długopisu, bo zanim go odszukam, myśl wietrzeje, utlenia się. *Błyski* powstały dlatego, że zapisywałam wszystko, co we mnie zapączkowało, ale nie dojrzało. Wracając jednak do małżeństwa, to codzienne trudności, uciążliwe drobiazgi nie przytłaczały nas, oboje wiedzieliśmy, czego tak naprawdę chcemy. Chcieliśmy po prostu pisać. Co jest bardzo ważne w małżeństwie? Wspólna hierarchia wartości, a ta była zagwarantowana. Prowadziliśmy ożywione życie, ludzie byli bliżej siebie, spotykali się przy różnych okazjach, a i bez okazji. Przynajmniej raz na tydzień widzieliśmy się na kolacji z przyjaciółmi, codziennie do siebie dzwoniliśmy. Do grona naszych najbliższych należeli Słonimski, Strykowski, Kijowski, nie mówiąc już o Jerzym Turowiczu, który wizyty w Warszawie rozpoczął od kolacji w naszym domu; z biegiem czasu stało się to tradycją. Niektórzy z tych przyjaciół należeli do starszej generacji, co za różnica! Życi byliśmy z Woroszyłskimi, Brandysami, Braunami, ci ostatni odwiedzili nas kiedyś z Ameryce. Artur był bardzo towarzyski i powszechnie lubiany, miał poczucie humoru, celną replikę, umiejętność opowiadania i rzadką sztukę żartu. Umiał zawiązywać przyjaźnie, był w przyjaźni wierny i lojalny.

**Wojciech Kass:** Pani mąż należał do najbardziej ustosunkowanych międzynarodowo osób, miał przyjaciół dosłownie na całym świecie.

**Julia Hartwig:** To prawda. Często wyjeżdżał w świat jako prezes PEN Clubu. Mnie również zdarzyło się kilka razy

towarzyszyć mu na tych międzynarodowych konferencjach. Wielokrotnie byłam zdumiona, kiedy ludzie rzucali mu się w ramiona z okrzykiem: Artur! Ludzie garnęli się do nas, bo był ciepłym i życzliwym człowiekiem. Mieli poczucie bezpieczeństwa, wiedzieli, że nie spotka ich żaden afront.

**Wojciech Kass:** Mówiliśmy o pani ulubionych poetach amerykańskich. A jak jest z polskimi? Którzy z naszych XX-wiecznych poetów wywarli na pani największe wrażenie?

**Julia Hartwig:** Bez wahania na pierwszym miejscu postawiłabym Miłosza. Nie tylko jego poezję, eseistykę, tłumaczenia, ale tę pełnię, która znalazła dla siebie tyle form ujścia. Miłosz osiągnął to, co jest bardzo rzadkie w poezji – opisał świat i siebie. Wiemy dokładnie, kim jest i skąd pochodzi, jaki jest jego charakter, jakie są jego lektury. Wyznaje nam nawet swoje grzechy, przyznaje się do pychy i innych ciemnych stron, których nikomu z nas nie brak. Bywa nieprzyjemny, kapryśny, również w ocenach, ale nie boi się tego. Pokazuje swój temperament i zamiłowania, nawet słabostki. Jednocześnie wciąż w tej poezji jest tajemnica. W moim przekonaniu najbardziej uzewnętrzniła się ona w tomie *To*, w którym Miłosz sięga bardzo wysoko prostymi środkami. Ta książka wywarła wrażenie, jej odbiór był w pewnym sensie powszechny, jeśli w ogóle da się mówić o powszechności poezji.

**Wojciech Kass:** A inni?

**Julia Hartwig:** Mówiłam już o Czechowiczu. Przyciąga mnie melodia, nastrój, intymność tej poezji, zwłaszcza jego wiersze poświęcone matce są niezwykle piękne.

**Wojciech Kass:** Czy ze skamandrytów by kogoś pani wybrała? Ich wiersze najbardziej trafiły „pod strzechy”, ale czy mogą dzisiaj inspirować innych poetów?

**Julia Hartwig:** Ze skamandrytów wybrałabym raczej poszczególne wiersze, które mi się podobają. Zwłaszcza z ostat-

nich tomów Iwaszkiewicza. Skamandryci przez dwadzieścia lat międzywojnia otoczeni byli glorią, było wtedy więcej czytelników poezji niż kiedykolwiek, a wiersze skamandryckie nie są trudne. Byli faworytami publiczności, także poprzez swoją działalność kabaretową.

**Wojciech Kass:** A kto po Miłoszu i Czechowiczu?

**Julia Hartwig:** Bardzo sobie cenię poezję Aleksandra Wata. Jest niezwykle odważna, sięga wszędzie tam, gdzie poeta sięgnąć zechce, w metafizykę, demonologię, filozofię. Ujmują mnie jego wiersze pejzażowe, z okresu, kiedy mieszkał we Francji. Miałam zresztą okazję poznać go osobiście. Umysł dialektyczny, pełen zagadek, fascynujący. *Czarne świecidła* wciąż zbyt mało są znane. Oczywiście nie sposób pominąć jego eseistyki. *Mój wiek*, rozmowy z Miłoszem, jeśli chodzi o doniosłość wizerunku epoki dorównują pamiętnikom Mandelsztamowej. Niemala w tym zasługa samego Miłosza, który tej książce poświęcił wiele czasu i trudu. Nie wiem, czy *Mój wiek* uzyskałby taką intelektualną głębię, gdyby rozmówcą Wata był bierny słuchacz. Miłosz, co potwierdza jego *Dwudziestolecie...*, był znakomicie zorientowany w dziejach tego krótkiego okresu naszej niepodległości. To byłyby ta trójka ważnych dla mnie poetów.

**Wojciech Kass:** Nie ma w tym kręgu Szymborskiej, bo że nie ma Różewicza, to dla mnie oczywiste.

**Julia Hartwig:** Różewicza nie sposób pominąć, mówiąc o współczesnej poezji polskiej, zaś Szymborską uważam w poezji za mistrzynię. Jej poetyka ma takie cechy, które w poezji polskiej rzadko się ujawniają, więcej, nie mają tradycji. Poczucie paradoksu, specyficznego, intelektualnego humoru, ironia i ogromna kultura, wiedza. A także ukryta w tej poezji jakaś niekoniecznie budująca prawda o człowieku.

**Wojciech Kass:** To trochę taka poezja mózgowa.

**Julia Hartwig:** Poparta znajomością nauk biologicznych, jak mówi Czesław Miłosz. Jej twórczość znajduje się na antypodach mojego pisania, ale to niewątpliwie poetka wspaniała.

**Wojciech Kass:** Niektórzy poeci, mówię o tych wielkich, po śmierci przechodzą rodzaj czyścica. Nie wiem, jakie czynniki wpływają na to, że albo tam pozostają, albo można ich stamtąd wymodlić. Kto z polskich poetów według pani znajduje się obecnie w czyścicu, a zasługuje na to, by nie być zapomnianym?

**Julia Hartwig:** Niewątpliwie należy do nich Jerzy Liebert, który bardzo młodo zmarł. Ten poeta miał swoją chwilę, ale dziś mało kto o nim wspomina. Wciąż namawiam „Więź”, jak dotąd bezskutecznie, by wydała wybór jego wierszy. Liebert był trochę jakby doczepiony do skamandrytów, ale oprócz przyjaźni nic go z nimi nie łączyło, a już na pewno nie poezja. Powoli, tak mi się wydaje, z czyścica wychodzi Iwaszkiewicz. W jego poezji odnajduję wiele rzeczy, które do mnie przemawiają. Był znakomicie obeznany z muzyką, malarstwem, miał rozległe lektury. I ta jego niebywała zdolność pisania wierszy, które są często wyrazem chwili nagłego wzruszenia. Powstawały jakby jednym machnięciem pióra. Pozostaje jeszcze problem Jastruna, który jest w bardzo głębokim czyścicu.

**Wojciech Kass:** Adam Ważyk jest chyba też zapomnianym poetą.

**Julia Hartwig:** Dobrze, że padło to nazwisko, bo to rzeczywiście świetny poeta. Poeta, który zawsze wiedział, co zamierza napisać. Wiem, że Miłosz cenił sobie bardzo twórczość Ważyka.

**Wojciech Kass:** Ważyk w latach pięćdziesiątych powiedział do Miłosza: jesteś ostatnim polskim poetą. Niestety, w tych latach swoim zachowaniem sam sobie poważnie zaszkodził.

**Julia Hartwig:** Motywy postępowania polskich intelektualistów w tym okresie są trudne do wyjaśnienia. Wszyscy oni mówią jednym głosem, że zwariowali.



Julia Hartwig, 2009. Fot. Joanna Zętar. Archiwum TNN.

**Wojciech Kass:** Gustaw Herling-Grudziński, który przyjaźnił się z Arturem Międzyrzeckim w II Korpusie generała Andersa i razem przeszli szlak bojowy, w *Dziennikach pisanych nocą* dobitnie stwierdzał, że powodowały nimi strach, pycha, chęć zysku.

**Julia Hartwig:** Wobec Herlinga-Grudzińskiego mam bardzo mieszane uczucia, choć miał on dla mnie wiele przyjaźni, co rzecz utrudnia. Z niepokojem śledziłam to, co pisał o Polsce, o jej sprawach, o ludziach. Ustawiał się w pozycji człowieka nieskazitelnie szlachetnego. Był nieprzejednany w ocenie ludzi, niczego nie wybaczał. Podobnie zachował się Herbert w wywiadzie udzielonym Trznadłowi do *Hańby domowej*. „Ja” Herlinga natrętnie powracało zwłaszcza w jego dziennikach. To jego „ja” wciąż wyczulone na opinie o nim wydawców, recenzentów, pisarzy. Cytowanie obcych opinii na swój temat, zwłaszcza pochlebnych, jest zawsze dość ryzykowne.

**Wojciech Kass:** Herling czuł się chyba we Włoszech bardzo samotny i cierpiał na niedosyt pochwał czy nagród.

**Julia Hartwig:** Tak tłumaczono jego zachowanie, ale ten uraz powinien być się

trochę załagodzić. Mało kto doczekał się takich wiatów co Herling, kiedy po pół wieku przyjechał do Polski. Był to wjazd triumfalny, podobnie jak Miłosza w 1981 roku. Zaczęto wydawać jego dzieła zebrane. Oddanego sobie krytyka i przyjaciela znalazł we Włodzimierzu Boleckim. Obok jego książek, w tym książki-wywiadu, ukazały się książki-wywiady Sawickiej i włoskiej dziennikarki Marrone. A jednak w dziennikach z lat dziewięćdziesiątych odnajdujemy te same pretensje. Wolałabym, aby było tego mniej, lecz nie ma ideałów. Proszę zauważyć, że prócz ustępów w dziennikach fabuła żadnej z jego książek nie rozgrywa się w Polsce, zawsze we Włoszech. Z polskim tematem nigdy się nie zmierzył. A jednak książki jego zyskały sobie wielką popularność.

**Wojciech Kass:** Herlingowskie i Herbertowskie „tak” lub „nie” przywołuje jednak perspektywę postaw moralnie wzorcowych. Jeśli nawet bezkompromisowe „tak” lub „nie” jest niemożliwe w historii, polityce, życiu codziennym, to warto jednak pamiętać, że taka postawa istnieje i że bywają sytuacje, w których warto się do niej odnieść.

**Julia Hartwig:** Całkowicie podzielam pańskie zdanie.

**Wojciech Kass:** W tym numerze „Toposu” znajdują się wypowiedzi, analizy, szkice poświęcone pani poezji, dlatego też pozwalam sobie zadawać pytania niekoniecznie związane z pani twórczością. Nie mogę jednak oprzeć się, co mnie osobiście bardzo frapuje, aby zapytać o żywoły w pani poezji, a zwłaszcza o morze, które niejako wlewa się do wierszy, przelewa przez nie. Oceany we Francji i Ameryce, Bałtyk w Sopocie.

**Julia Hartwig:** Słuszne pytanie. Tam gdzie tylko mogę w moim życiu – ścigam morze. Nad morzem odzyskuję równowagę wewnętrzną. Odbija się to w moich wierszach. Mówią one o spokoju. Morze zastępuje mi buddyjską medytację.

**Wojciech Kass:** Woli pani morze północne czy południowe?

**Julia Hartwig:** Zdecydowanie północne, z tymi jego chmurami, czasem naprawdę groźnymi, z tą jego zmiennością, która sprawia, że nie jest tak nudnie radosne jak morza południowe. Kocham i podziwiam kulturę śródziemnomorską, ale morze północne bliższe jest stanom wewnętrznym człowieka.

**Wojciech Kass:** Jest więc pani poetką północy z pewną tęsknotą do południa. Czy nie tak?

**Julia Hartwig:** Tak to można określić. Zazdroszczę Włochom i Francuzom przyrody, słońca, feerii kolorów, barw, zapachów, a jednak nie zamieniłabym się z nimi. Kiedy przebywam za granicą, początkowo żyję tamtejszą rzeczywistością, ale potem dochodzę do wniosku, że nie są to moje sprawy. Stwierdzam – dosyć tej rozłąki z domem. Oni mają swoje problemy, inne kłopoty, czym innym żyją, nie ma tam dla mnie miejsca i tak im jestem zbędna, że trzeba wrócić do domu, na swoje miejsce i tego miejsca pilnować.

**Wojciech Kass:** Sopot nie odwraca się od morza. Dlatego chyba rozumiem, dlaczego tak często pani do niego przyjeżdża.

**Julia Hartwig:** Wyjazdy do Sopotu od lat są moją stałą pozycją w kalendarzu, której za nic bym nie zdradziła. W Sopocie spędzam zazwyczaj część czerwca. Jest już w miarę ciepło i nie ma zbyt wielu turystów. Odbywam więc spokojne spacer, zawsze z książką i notatnikiem. Wieczorami coś piszę lub tłumaczę, czytam, odrabiam lektury zaniedbane w Warszawie. Ale spacer i przesiadywanie nad morzem to główny cel moich wypraw do Sopotu.

**Wojciech Kass:** Dziękuję za rozmowę.



# Miasto mojego dzieciństwa

Z Julią Hartwig rozmawia Emilia Olechnowicz\*

**Gustaw Herling-Grudziński napisał mi kiedyś, że nie mamy Wilna, ale mamy Lublin.**

**Emilia Olechnowicz:** Pisała pani: „Miasto rodzinne pod niebem / jak zatopione na dnie jeziora”. Chciałabym zapytać o utracone miasto dzieciństwa, o Lublin, którego nie ma.

**Julia Hartwig:** Jestem bardzo przywiązana do Lublina, ale to przywiązanie ma różne etapy. Po wojnie bardzo długo nie miałam odwagi pojechać do Lublina, mimo że tam mieszkała nadal część mojej rodziny i na cmentarzu mam pochowanych moich bliskich.

Bałam się widoku miasta, przede wszystkim Starego Miasta, tego, że ono jest zmienione, pozbawione swojego charakterystycznego wyglądu, zapachu. Kiedyś wiedziałam, że jeśli pobiegnę w sobotę na Stare Miasto, zobaczę zapalone świece w oknach. A w Boże Ciało wiadomo było, że będzie szła jedna z najokazalszych procesji katolickich i wówczas Żydzi znikają z ulic, przesiadują w domu, nie ze strachu – ponieważ, o ile ja pamiętam, nigdy nie było takich problemów w Lublinie – ale z poczucia dyskrecji. Bardzo ważnym elementem religii żydowskiej jest zachowanie odrębności, więc wszelka interwencja z zewnątrz była niemożliwa i niepożądana. Lublin był miastem pogranicznym, w którym spotykały się religie, języki. Na ulicy słyszało się białoruski, rosyjski i oczywiście jidysz, bo żyła w Lublinie ogromna diaspora żydowska, która nagle została unicestwiona.

Stosunkowo późno pojechałam do Lublina i wielką w tym rolę odegrała „Brama Grodzka – Teatr NN”. Zaproszono mnie na wieczór autorski, któ-

ry w zasadzie nie odbiegał od innych, mimo że to było spotkanie w mieście mojego dzieciństwa. Wydawało mi się, że już nigdy nie odzyskam wspomnienia miasta, w którym się urodziłam. Tak się nie stało. Stare Miasto ubrało się w inną tradycję, zaczęło żyć innym życiem: życiem architektury, życiem nastroju, jaki panuje na ulicach, życiem ludzi, którzy tam mieszkają. A Lublin jest miastem z jednej strony wielonarodowym

\* „Tygodnik Powszechny” 2011, nr 25, s. 39. Dziękujemy Redakcji „Tygodnika” za zgodę na przedruk.

Julia Hartwig na lubelskim Starym Mieście pod Bramą Krakowską. Na zdjęciu również Tomasz Pietrasiewicz i Anna Pajdzińska. 2006. Fot. Joanna Zętar. Archiwum TNN.



## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

i wielowyznaniowym, a z drugiej strony – miastem młodzięży. To bardzo charakterystyczne dla tego miasta. Są tam uniwersytety: KUL, UMCS i mnóstwo studiującej młodzięży, która mieszka wprawdzie w nowych osiedlach, ale ciągnie ją na Stare Miasto. A Stare Miasto jest tak urodziwe i tak przytulne! Nie hulają tam żadne wiatry, można usiąść w jakiejś kawiarni i siedzieć do późnej nocy. W księżycowe noce Lublin staje się Lublinem z poezji Józefa Czechowicza i wówczas naprawdę ma się poczucie, że obcuje się z miastem poetyckim. To bardzo rzadkie, nie zawsze się tak zdarza.

**Emilia Olechnowicz:** Lublin na fotografiach Edwarda Hartwiga jest miastem w poetycki sposób odrealnionym. Jakie obrazy wyświełają się w pani pamięci, kiedy myśli pani o Lublinie?

**Julia Hartwig:** Na pewno Rynek Starego Miasta, ulica prowadząca przez Bramę Grodzką ku przedmieściom i ku Zamkowi, który przechodził różne koleje i nawet, w okresie okupacji, był niemieckim więzieniem, może się też pochwalić cudownymi freskami. Stare Miasto usytuowane jest spadziście, z jednej strony opada ku ulicy idącej

dołem, jak gdyby wąwozem. Tam znajduje się mały klasztor, gdzie czasem korzystam z noclegu w pokojach gościnnych prowadzonych przez siostry. Stamtąd rozciąga się widok daleko na lubelskie okolice. Teraz powstało jeszcze jedno miejsce, za które jestem szczególnie wdzięczna: tak zwany Zaułek Hartwigów, który przyznało nam miasto – i muszę powiedzieć, że to dla mnie bardzo wzruszające, bo rzadko można znaleźć się jeszcze za życia w nazwie ulicy. Oczywiście, nie ja tu jestem osobą główną, bo to miejsce poświęcono mojej rodzinie, może przede wszystkim mojemu bratu, który był fotografem, piewą Lublina.

**Emilia Olechnowicz:** Lubelskim Bułhakiem.

**Julia Hartwig:** Tak. Zwłaszcza że uważał Bułhaka za swojego mistrza.

**Emilia Olechnowicz:** Zaułki wileńskie fotografowane przez Jana Bułhaka i zaułki lubelskie fotografowane przez Edwarda Hartwiga są szczególnymi miejscami, które mają moc przechowywania wspomnień, ale podlegają też działaniu czasu. Pani w wierszu *Powrót do domu dzieciństwa* pisze: „Wszystko jest jak było. Nic nie jest jak było”.

Stare Miasto w Lublinie.  
Ok. 1954. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



**Julia Hartwig:** Tak, z pozoru wszystko to jest. Nawet jeśli trochę zrujnowane, to jednak istnieje, cały zarys Starego Miasta jest niezmienny – ale nie można go już porównać z tym, co było, ponieważ tyle życia i tyle krwi wypłynęło z tego miasta. Trzeba jakby zaadaptować je na nowo, zakochać się w nim na nowo; co się bez trudu udaje.

Gustaw Herling-Grudziński napisał mi kiedyś, że nie mamy Wilna, ale mamy Lublin. Bardzo mnie to wzruszyło i ucieszyło, bo choć oczywiście nie można tych miast porównać w sensie ważności i znaczenia, jednak Herling-Grudziński nobilitował w ten sposób Lublin.

**Emilia Olechnowicz:** Dlaczego Lublin zasługuje na miano Europejskiej Stolicy Kultury?

**Julia Hartwig:** Myślę, że ważnym kryterium oceny i wyboru miasta jest nie tyl-

ko to, czym ono jest, ale także to, jakie ma perspektywy rozwoju. I nie chodzi tu wcale o rozwój technologiczny, ale przede wszystkim o rozwój kulturalny. Od pewnego już czasu Lublin stał się ośrodkiem bardzo żywym. Wielka w tym zasługa uniwersytetów, ale także działalności obywatelskiej. Działają tam ośrodki sztuki tworzone i prowadzone przez samych mieszkańców miasta. Jednym z nich jest „Brama Grodzka”, kultywująca historię Lublina i dbająca o jego poetycką duszę, której piewcą był Józef Czechowicz. To tworzy bardzo dobrą aurę tego miasta i na pewno jest szansą dla Lublina. Dlatego byłoby cudownie, gdyby został Europejską Stolicą Kultury. Gdyby się tak stało, naprawdę nie musielibyśmy się wstydzić. Dlatego bardzo życzę, aby mój Lublin został taką stolicą.







# Niechętnie kończę każdy dzień

Z Julią Hartwig rozmawia Kalina Błażejowska\*

**Wpół do pierwszej w nocy zmuszam się do odłożenia pracy, żeby nie mieć zmarnowanego poranka. Bo jak za późno wstanę, to mam wyrzuty sumienia. Ale któż nie cierpi z powodu wyrzutów sumienia?**

**Kalina Błażejowska:** Kiedy wydawnictwo Sic! zleciło pani napisanie autobiografii, zamiast niej opublikowała pani swoje dzienniki z podróży. Pani bardzo lubi autobiografię, dlaczego nie chciała pani napisać własnej?

**Julia Hartwig:** Ja ją nawet zaczęłam i sporo napisałam, ale byłam bardzo niezadowolona z efektów. To było za mało żywe. Pomyślałam więc, że dam dziennik, który jest prawdziwym odzwierciedleniem życia codziennego. Zwłaszcza że był to dziennik urozmaicony, bo opisywał wyjazdy zagraniczne. Nowe wrażenia, nowych ludzi, spotkania z przyjaciółmi – Brandysami, Jeleńskim, Giedroyciem, kontakt z „Kulturą”, słowem: bardzo bogate życie. Z kolei mój ostatni dziennik, który teraz wyjdzie w Wydawnictwie Literackim, ma inny charakter. Jest w nim o wiele więcej uwag o lekturach, więcej refleksji, w miejsce wrażeń z podróży. Zaczęłam go pisać kilka lat temu, trochę pod wpływem rozmowy z Piotrem Sommerem: „Napisałaś dziennik amerykański, czemu nie napiszesz dziennika polskiego?”. Bardzo mnie to zastanowiło. Zgodziłam się, chociaż nie potrafię prowadzić dziennika szczegółowego z wyliczeniami, gdzie byłam i co robiłam, nie wydaje mi się to ciekawe. Zwłaszcza że w późniejszym wieku ma się stosunkowo mniej do opisania.

**Kalina Błażejowska:** Od czego pani zaczęła tamtą autobiografię?

**Julia Hartwig:** To jest dobre pytanie... Zaczynałam tak, jak się na ogół zaczy-

na: od miejsca, w którym się urodziłam, czyli Lublina. Natomiast w tym moim nowym dzienniku piszę takie przekorne zdanie, że nie zaczynam od Lublina, gdzie się urodziłam, ale od Paryża, gdzie się ukształtowało moje wyobrażenie o kulturze i sztuce.

**Kalina Błażejowska:** Proszę jednak zacząć od czasów lubelskich.

**Julia Hartwig:** Pani mnie skłania do mówienia czegoś, o czym bardzo mówić nie lubię. Nie dlatego, że nie lubię tego okresu; po prostu nie lubię go wspominać, nie wydaje się dla mnie ciekawy i znaczący, ale prawdopodobnie nie mam racji.

Więc urodziłam się w Lublinie 14 sierpnia 1921 roku. Ojciec był Polakiem, fotografem, matka Rosjanką. Pojawili się w Lublinie z powodu okoliczności historycznych – uciekali przed rewolucją bolszewicką. W Rosji byli ludźmi zamożnymi, kiedy przyjechali do Lublina, musieli zaczynać od niczego. Mieszkaliśmy w dwóch pokojach z kuchnią, co było stanowczo zbyt skromnie jak na to, że byłam piątą osobą z rodzeństwa. Urodziłam się późno, prawdopodobnie już się mnie nie spodziewano. Ten okres zapamiętałam bardzo dobrze, bo byliśmy wszyscy razem – rodzice, ja i czworo dorastających dzieci, czyli moje rodzeństwo. Był to okres szczęśliwego życia rodzinnego, w którym formowała się osobowość młodych ludzi, w tym dwu o nieprzeciętnych talentach. Myślę o bracie Walentym, późniejszym znanym profesorem medycyny, twórcy

\* „Tygodnik Powszechny” 2011, nr 33, s. 36-38. Dziękujemy Redakcji „Tygodnika” za zgodę na przedruk.

Na sąsiedniej stronie: widok na Zamek Lubelski. Fot. Edward Hartwig. Lata 30. XX w. Archiwum TNN.

## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

polskiej endokrynologii, i o Edwardzie, który był znakomitym fotografikiem, sławą międzynarodową. Miałam z nim bliski kontakt, pisałam do jego albumów wstępy. Zresztą dotąd lubię fotografię, ale sama nigdy nie fotografowałam, bo od wczesnego dzieciństwa za dużo było tej fotografii w rodzinie.

Kiedy matka odprowadzała mnie do szkoły, zatrzymywałyśmy się zawsze w katedrze, gdzie chciała się pomodlić. W ogóle nie brała pod uwagę sprawy różnicy między prawosławiem a katolicyzmem. Modliła się tam, gdzie chciała, a w ogóle modliła się rzadko, zbyt była na to zajęta. W mojej rodzinie nie było jakiegoś szczególnego przewodni-

Rodzeństwo Hartwigów:  
na dole Julia i Zofia, powyżej  
Walenty i Edward. Zbiory  
prywatne Julii Hartwig.



ctwa życia katolickiego. Raczej mówiło się o życiu przyzwoitym, uczciwym, i te wskazówki w nas wsiąkły na dobre.

Straciłam matkę, kiedy miałam dziewięć lat. Popełniła samobójstwo. Niewątpliwie powodem była ogromna nostalgia, tęsknota za krajem i rodziną. Matka nie tylko była oddalona od rodziny, ale także nie mogła się z nią komunikować, żadne jej listy do Rosji nie dochodziły. Żyła, nie czując oparcia w bliskich. Zachowałam o niej bardzo dobre wspomnienie, była osobą mądrą, spokojną, uważną, nigdy nie podnosiła głosu, ale miała autorytet, potrafiła zawsze dać sobie radę, zwłaszcza że piątka dzieci to nie żarty.

**Kalina Błazejowska:** Jak dziecko rozumie samobójstwo?

**Julia Hartwig:** Trudne pytanie. Poczucie osamotnienia jest bardzo silne. Może rzutuje to na terażniejszość, ale wydaje mi się, że w jakiś sposób współczując jej, rozumiałam to, co się stało. Nigdy nie było we mnie tego odruchu: „dlaczego ja? dlaczego nas zostawiłaś? przecież byliśmy dziećmi!”. A może wynika to z mojego późniejszego przekonania, że w życiu kierujemy się pewną koniecznością wewnętrzną? I w tym przypadku tak się stało, że koniec był tragiczny... Oczywiście bardzo nie lubiałam, kiedy przypomniano mi, że nie mam matki, ale to się zdarzało rzadko.

**Kalina Błazejowska:** Wcześniej się pani wyprowadziła z domu. Miała pani silną potrzebę niezależności, samodzielności?

**Julia Hartwig:** To mi się zachowało od dzieciństwa. Zawsze wyobrażałam sobie, że chcę żyć samodzielnie. Więzy rodzinne były dla mnie trochę krępujące, mimo mojego wielkiego przywiązania. Może dlatego, że to, co było dla mnie takie ciekawe, czyli sprawy lektur i wierszy, nikogo w rodzinie tak bardzo nie interesowało.

Najbliższe zrozumienie nastąpiło w momencie, kiedy się zaprzyjaźniły-

śmy z Anną Kamińską. To była wieloletnia przyjaźń, w dzieciństwie bardzo ważna, później słabnąca wskutek okoliczności życia. Na wakacje jeździłam do [jej] dziadków pod Lublinem, z tą rodziną byłam bardzo związana i wiele jej zawdzięczam – zwłaszcza z tego czasu, kiedy czułam się jakoś wydziedziczona, bo rodzeństwo wyjechało, a ojciec ożenił się po raz drugi. Więc po pierwsze moja wyprawka była spowodowana potrzebą niezależności, która jest cechą charakteru i została mi do dzisiaj. Po drugie, mój dom był już właściwie zastępczy, mimo że miałam dobre stosunki z drugą żoną mojego ojca. Ale już nie chciałam tam być.

W czasie okupacji najpierw wyjechałam do majątku państwa Szczepańskich, gdzie uczyłam trójkę dzieci przez parę miesięcy, a potem dyrektorka Gimnazjum im. Unii Lubelskiej, które ukończyłam w 1939 roku, zaproponowała mi wyjazd do Warszawy i zapisanie się na uniwersytet. Byłam jedyną wyróżnioną w taki sposób. Oczywiście przystałam na to z radością i do czasu powstania spędziłam okupację w Warszawie. Chodziłam na wykłady, poznałam Gajcego i Chmurę na wykładach prof. Krzyżanowskiego. Chodziliśmy tam we trójkę, te zespoły były bardzo małe ze względu na bezpieczeństwo.

**Kalina Błazejowska:** Jak pani trafiła do Szarych Szeregów?

**Julia Hartwig:** To było jeszcze w Lublinie, od razu na początku okupacji. Miałyśmy bardzo dzielną drużynową, potem aresztowaną przez Niemców, która w drylu trochę wojskowym ustawiła nas w szeregu na szkolnym podwórku, gdzie złożyliśmy przysięgę. W Warszawie studiowałam i pełniłam zadania kurierskie, wiele jeździłam po Polsce w czasie okupacji. Podróżowanie było wtedy trudne i ryzykowne, szmuglowano mięso i żywność, tłok, zapach wódki. Zawsze brałam jakąś chustkę na głowę, żeby się nie wyróżniać spośród tych, którzy jecha-

li. Kiedyś przesłałam do Lublina paczkę z instrumentami chirurgicznymi, co było bardzo nieostrożne. Pewnego dnia, kiedy wróciłam z wykładów, moja gospodyni powiedziała: „Było po panią gestapo. Chyba musi pani wyjeżdżać”. Chwyciłam tylko jakieś dokumenty i tak jak stałam wyjechałam z Warszawy. Nie było sensu wracać do domu, bo to było pierwsze miejsce, gdzie mogli mnie szukać. Zamieszkałam w leśniczówce u stryja Anny Kamińskiej. Tam spędziłam resztę wojny i wobec tego nie wzięłam udziału w powstaniu.

**Kalina Błazejowska:** Żałowała pani tego kiedyś?

**Julia Hartwig:** Trudno powiedzieć, że żałowałam. To było przeżycie prawdopodobnie tak straszne, z nadzieją i bez nadziei... Chociaż wtedy pewnie patrzyłam na to inaczej. W każdym razie na pewno nie było tak, żebym bardzo żałowała. Nie. A teraz, kiedy często myślę o powstaniu warszawskim jako o tej strasznej hekatombie...

**Kalina Błazejowska:** Po wojnie wróciła pani do Lublina?

**Julia Hartwig:** Tak, i to był początek moich stosunków z instytucją Polski Ludowej. Z Rosji wtedy przyjechali pisarze, którzy się znaleźli w wojsku radzieckim, przede wszystkim Putrament i Ważyk, i zaczęli organizować Związek Literatów. W Lublinie była grupka młodzieży piszącej, do której należałam ja, Anna Kamińska, Jacek Bocheński i Stanisława Zakrzewska. Od razu nas wciągnięto do pracy, wtedy ludzie piszący i trochę myślący byli bardzo potrzebni. Zadebiutowałam nieco później w „Odrodzeniu”, a potem w „Kuźnicy” wydrukowano moje wiersze ze zdjęciem, co dla debiutantki było miłym wyróżnieniem. Wydano wtedy tej grupce lubelskiej antologię poezji. Ostatnio wzięłam do ręki tę książeczkę i zdumiałam się: już wtedy pisałam poematy prozą, przez niewielu tylko poetów u nas uprawiane.



**Kalina Błażejowska:** Kiedy pani poznała Zygmunta Kałużyńskiego?

**Julia Hartwig:** Jeszcze w Lublinie podczas okupacji. On był z nas najstarszy, chociaż niedużo, bo dwa lata. Był to człowiek, który się naprawdę zetknął ze sztuką, to było w nim najbardziej interesujące. Był uczniem Schillera i nauczył nas szanować Schillera. Prowadził coś w rodzaju kursu na temat teatru i opery, grał też trochę na fortepianie i nawet żądał, żeby do tego śpiewać. To było bardzo dobre wprowadzenie. Był człowiekiem ciekawym, choć kontrowersyjnym. Pobraliśmy się w 1947 roku w Łodzi, ale nasz związek był nie bardzo pomyślny.

**Kalina Błażejowska:** To krótkie małżeństwo było czymś więcej niż pomyłką?

**Julia Hartwig:** To była pomyłka zupełnie zasadnicza. Nie było żadnej możliwości porozumienia się, poza jakimiś sprawami intelektualnymi, tylko one istniały. Ja się na to nie skarżę, bo mi to nawet odpowiada, ale w związku małżeńskim to była trudność. Zygmunt był bardzo nielubiany w środowisku, miał wielkie zalety umysłowe, ale często zrażał ludzi do siebie. Mówiąc szczerze, to nie był człowiek stworzony do małżeństwa. Trzeba było wówczas zostać w partnerstwie, a potem się rozejść spokojnie, bez zawracania głowy. Odkąd wyjechałam do Paryża, wszystko się zmieniło – już było po tym związku.

**Kalina Błażejowska:** Paryż w 1947 roku – jakie to było wrażenie?

**Julia Hartwig:** Pojechałam na stypendium rządu francuskiego razem z Joanną Guze, która została moją przyjaciółką do ostatnich lat. Od pierwszego momentu było to wrażenie wielkiego święta. Oszłomienie. Chociaż byłam na to jakos przygotowana, ponieważ kiedy podczas okupacji inni uczyli się angielskiego, ja uczyłam się francuskiego. Wiedziałam po co. We Francji właściwie czułam się jak u siebie. Nie tylko ze względu na znajomość języka, ale także otwartość na świat, jaka mnie cechuje.

Jestem bardzo uważna w oglądaniu świata, przynajmniej tak mi się wydaje. Kiedyś nawet pani Katarzyna Janowska spytała mnie w wywiadzie: „Czy panią ktoś uczył uważności?”. Odpowiedziałam: „Nie wiem, czy się można nauczyć uważności, albo się ją ma, albo się nie ma, ale na pewno trzeba ją kultywować. Nie wolno zaniedbywać reszty świata poza nami”. W Paryżu życie miałam bardzo ożywione. Joanna jako wielbicielka muzyki stawała dzielnie w ogonkach, żeby nam kupić bilety na koncerty sławnych wirtuozów. Oglądałyśmy wszystkie sztuki teatralne, jakie wtedy szły, a był to wspaniały teatr. Poza tym, cóż, codzienne przedstawienie paryskiej ulicy. Lubiłam siadać przy kawie i patrzeć na przechodzących ludzi.

Pierwszeństwo miały jednak moje zobowiązania: dostałam stypendium, żeby poznawać poezję francuską XIX i XX wieku. Robiłam to z ochotą, bo od dawna marzyłam o takich studiach nad poezją. Przez całe życie szłam tym śladem. Udało mi się dostać kartę wstępu w Bibliothèque Nationale, trzeba było tylko przychodzić wcześniej, żeby dostać wyznaczone miejsce. Więc, co jest niezgodne z moją wcale nie poranną naturą, codziennie o dziewiątej już tam byłam i pracowałam do obiadu. Zaliczam to do najlepszych godzin mojego życia. Ogromnie ciekawa była obserwacja ludzi czytających, od młodzieńców przerzucających się nowościami do brodatych starców przeglądających ogromne foliały. Do tego wielka wygoda, że zamawia się książki, a ktoś je przynosi do stolika, i to szybko. To było wspaniałe.

**Kalina Błażejowska:** Bardzo podobnie swoje wizyty w Bibliotece Narodowej opisywała Simone de Beauvoir. Czy pani ją kiedyś spotkała?

**Julia Hartwig:** Widziałam ją wielokrotnie, podobnie jak Sartre'a, kiedy bywali w Café de Flore. Ale miałam też wyjątkową okazję poznać ich, kiedy byli w Polsce.



Przy takich wizytach powoływano ludzi, którzy mówią po francusku, czyli Artura Międzyrzeckiego i mnie, żebyśmy oprowadzili ich po Starym Mieście. Pamiętam, że po kolacji w restauracji poszliśmy do Brandysów, był też z nami Leszek Kołakowski z Tamarą, czyli w sumie cztery pary. Uczestniczyłam wtedy w czymś, co rzadko komu mogło się przydarzyć, a mianowicie w dyskusji ideologicznej między Kołakowskim a Sartre'em. To było fascynujące, skończyło się późną nocą. Miałam więc okazję, żeby się de Beauvoir i Sartre'owi przyjrzeć. Ona była niewątpliwie osobą górującą nad nim w sensie codziennym, nawet się śmiał, że mu wykreśla przymiotniki, co zresztą można uważać za zdrowe. Mieli dobry stosunek do siebie, na pewno miłosny, ale też taki kumpelski, sympatyczny.

**Kalina Błazejowska:** W Paryżu poznała pani Ksawerego Pruszyńskiego. Co było w nim takiego, żeby się od razu zakochać?

**Julia Hartwig:** To był człowiek, który od pierwszego momentu zagarniał drugą osobę, jeśli tylko tego zapragnął, a w tym przypadku tak było. Ta fascynacja była dla mnie ogromna, pierwszy raz spotkałam człowieka, który miał tak żywy stosunek do ludzi i świata, tak był bezpośredni, tak nie krył tego, co mówi. A mówił piękną polszczyzną, przyjemnie było go słuchać. Ale to raczej on starał się mnie słuchać, ciągle chciał się czegoś o mnie dowiedzieć. Dla niego to było wydarzenie niecodzienne, ze względu na różnicę wieku, nie taką znowu przerażającą, ale zawsze – czternaście lat. Wydawało mi się, że byłam przy nim taka młodziutka, do tego wyglądałam jeszcze młodziej: był trochę stremowany, czy to uchodzi.

Chętnie mówił o tym, co przeżył, gdzie był. Pamiętam jego wspomnienia z wojny domowej w Hiszpanii, to mnie wtedy bardzo interesowało. Dzielił się ze mną tym, co pisał, a wtedy pisał książkę o Mickiewiczu. Trudno o nim opowiedzieć,

bo to była osobowość tak wyjątkowa, tak rzadka... Bardzo wielu ludzi spotkałam, i to wielu świetnych, ale nigdy tego rodzaju człowieka. Człowieka, który jest trochę dzieckiem, a równocześnie ma ogromną wiedzę i sprawność umysłową, a także gotowość polityczną i umiejętność trwania przy swoich poglądach. On nigdy swoich poglądów się nie wyrzekł. Trochę to jego urządowanie było niewygodne [Pruszyński był ambasadorem w Holandii – przyp. KB], ale był na tym stanowisku bardzo odpowiednim człowiekiem. Zresztą odwiedzałam go w Hadze kilkakrotnie, spędzałam z nim i jego dziećmi Boże Narodzenie.

**Kalina Błazejowska:** Wraca pani do Polski w 1950 roku. I co pani widzi?

**Julia Hartwig:** Strach. Groza. Jest początek zimy, wita mnie mróz, deszcze, chłapa, błoto, od razu zły wstęp. Przyjeżdżam z wolnego kraju, gdzie nie ma cenzury. I pierwsze tygodnie takiego oszołomienia, czytania gazet, również „Trybuny Ludu”. Do dzisiaj jestem pilną czytelniczką gazet, zawsze staram się być na bieżąco w życiu społecznym. No więc procesy, zastra-



Julia Hartwig. Zbiory prywatne Julii Hartwig.

szanie, ludzie milczą, boją się. Atmosfera okropna. Wtedy nie miałam mieszkania, na początku zatrzymałam się u Joanny Guze, ale bardzo szybko przeniosłam się do Obór, które wtedy jeszcze nie funkcjonowały jako dom pracy twórczej. Tam spędziłam przeszło pół roku.

Jedynym wspomnieniem dobre i ciekawe z tego okresu – że w Oborach mieszkał wtedy Tadeusz Peiper; byliśmy sami we dwójkę w tym domu. Widywaliśmy się na obiedzie, często jedliśmy w milczeniu, ale od czasu do czasu on się odzywał i opowiadał o tym, co robi. A robił coś, co mnie zawsze zdumiewało: historię tańca. To był oryginał, jakich mało, mówiąc o czymś, co go zajmowało, wpadał w pasję, a z gniewem potrafił także wyrzekać, że „banda Kotta” go prześladowa. Trudno było z tym dyskutować, bo to nie są rzeczy do dyskusji. Ale napełniał mnie wielkim szacunkiem, zwłaszcza ta jego zapamiętałość w pracy.

**Kalina Błażejowska:** W Oborach czeka pani na Ksawerego Pruszyńskiego. Ma przyjechać w czerwcu. Dowiaduje się pani, że po drodze rozbił się samochodem. Miał być ślub, jest pogrzeb. Jak się wychodzi z takiego doświadczenia? Czy w ogóle da się wyjść?

**Julia Hartwig:** To było bardzo długotrwałe. Wielka obolałość. Na szczęście dostałam wtedy mieszkanie w Warszawie, więc mogłam wyjechać z Obór. No cóż, zabrałam się do pracy. Nie mogę opowiadać o swoich nastrojach, bo to było zupełne załamanie życia... Właściwie nie chciało się nic planować, ale trzeba było jakoś trwać albo pożegnać się z życiem, były tylko dwie możliwości. Trwało lata, przez kilka lat praktycznie nie uczestniczyłam w życiu społecznym, żyłam samotnie. Mało pisałam, żadnych wierszy, głównie tłumaczyłam. Po połowie z Ireną Krzywicką przekładałam powieść *Aragona*, która nazywała się *Komuniści*, żeby było zabawniej.

**Kalina Błażejowska:** To był własny wybór, żeby nie pisać, ale tłumaczyć, czy to

był wybór konieczny, sposób na uniknięcie socrealizmu?

**Julia Hartwig:** Po prostu – poezja mnie wtedy opuściła, trzeba było coś robić, wiedziałam, że z tłumaczeń się utrzymam, a jak i co będę pisała, to się okaże. Nigdy nie chciałam pisać prozy, a wiersze przychodzą z rzadka. Miałam więc wybór tylko między lekturą a tłumaczeniami. I nie żałuję, że tak długo robiłam tłumaczenia. Wydałam przecież kilka tomów poezji francuskiej i amerykańskiej. Tłumaczenie było moim hobby, bardzo to lubiłam, bo lubiłam poetów, których przekładałam.

**Kalina Błażejowska:** Pamięta pani z tego czasu jakieś szczególne zebrania Związku Literatów, posiedzenia, narady?

**Julia Hartwig:** To często były koszmary. Po prostu koszmary, dlatego że tam dochodzili do głosu na ogół ludzie najgłupszy i najbardziej wciągnięci partyjnie. Oni chcieli dowodzić, a reszta miała słuchać. Ważyk prowadził kurs marksizmu i pamiętam, jak Dygat powiedział w pewnym momencie coś bardzo, jak na Dygata, zabawnego: że on jednak ma ciągle kłopoty ze zrozumieniem marksizmu. A przecież on w ogóle nie powinien się tym zajmować, bo go to nic nie obchodziło. Ludzie byli wciągnięci do czegoś, co było przymusem. Przymus w tym czasie odgrywał ogromną rolę.

**Kalina Błażejowska:** Czy z tego okresu jest coś, czego by się pani wstydziła, czego by pani wołała nie napisać albo nie zrobić?

**Julia Hartwig:** Wstyd się przyznać, ale chyba nie. Chyba nie. Nawet mówiono o mnie: „O, ta to ma charakter, wydała pierwszy tomik dopiero w 1956 roku”. Tymczasem to był przypadek, nie wydałam go dlatego, że było swobodniej, tylko dlatego, że wyduszone ze mnie ten tomik. Ciągle się bałam, że te wiersze nie są dostatecznie dobre, i w końcu Jerzy Lisowski powiedział: „Teraz już mi to daj, teraz już musisz to wydać”...



Julia Hartwig, 2006. Fot. Łukasz Kowalski. Archiwum TNN.

Opowiem pani jeszcze coś, co chyba potwierdza, że się nie mylę w mojej ocenie. W czasie jakiegoś towarzyskiego spotkania w Łodzi stałam w grupce ludzi, ktoś do mnie podszedł i spytał: „A czy pani by się nie zapisała do partii?”. Obok stał Żółkiewski, który wiadomo kim był, ale potrafił też być wielkim przyjacielem, i powiedział: „Ooo, zaczynają strzelać do cywilów”. Było wiadomo, że moje wejście do partii byłoby bez sensu. Już nie mówiąc o tym, że byłoby obrzydliwe. A tymczasem cóż, życie jakoś wracało do normy, chciało się czy nie chciało...

Właśnie w 1950 roku, o czym zresztą nie wiedziałam, do Polski wrócił Artur Międzyrzecki z żoną. Wtedy w ogóle się nie stykaliśmy, dopiero potem połączyły nas sprawy literackie i pobraliśmy się w 1954 roku. Uważam to moje małżeństwo za bardzo udane, wspaniałe. Bardzo rzadko może się zdarzyć, że spotka się człowieka, który ma te same poglądy, tym samym się zajmuje i to samo jest mu bliskie.

**Kalina Błażejowska:** Wspólna praca, życie we dwoje w komitywie intelektualnej i twórczej, to jest ideał małżeństwa?

**Julia Hartwig:** Dla mnie to jest ideał. Ideał, dlatego że nasza praca nie przeszkadzała nam żyć. Czasem opowiadało, że to taki poetycki dom, a przecież o poezji się u nas prawie nie mówiło, chyba że pojawił się jakiś problem z nią związany. Żadnego rozprawiania o sztuce. Kiedy spotyka się dwoje ludzi inteligentnych, a pochlebiam sobie, że tak było, to tych dwoje doskonale potrafi utrzymać równowagę między codziennością a sztuką. Na głupstwa szkoda im czasu. Wspominam cały ten bardzo długi okres naszego wspólnego życia jako rzecz wspaniałą. Rozstawaliśmy się często, bo albo ja przyjeżdżałam do Obór, żeby pracować, albo Artur, i te krótkie rozstania jeszcze bardziej utwierdzały nasz związek. Wracaliśmy tacy stęsknieni do tego, żeby ze sobą porozmawiać, że naprawdę warto było wyjeżdżać.

**Kalina Błażejowska:** Państwo pracowali razem, ale osobno. Staraliście się zachować samodzielność.

**Julia Hartwig:** Tak. Pracowaliśmy w osobnych pokojach do późna w nocy. Również teraz praca to główne moje zajęcie. Dostyc późno wstaję, ale wstaję, myję się i od razu siadam do biurka. Po-

tem robię sobie przerwę na różne rzeczy i wracam do pracy w nocy. Bardzo lubię pracować nocą.

**Kalina Błażejowska:** Praca to najważniejsza rzecz w życiu?

**Julia Hartwig:** Tak bym nie powiedziała. Jest najważniejsza spośród zajęć, jest właściwie pionem życia. Oczywiście uczucie jest na bardzo ważnym, zapewne pierwszym miejscu, nie mogę tego omiąć. Ale bez pracy nie wyobrażam sobie istnienia, byłoby puste... Praca umysłowa jest wyniszczająca i wzbogacająca zarazem. Kiedy wydaję nową książkę, brakuje mi czasu na zrobienie wszystkiego, dzień jest za krótki. Nawet dzisiaj z trudem kończę dzień. Wpół do pierwszej w nocy zmuszam się do odłożenia pracy, żeby nie mieć zmarnowanego poranka. Bo jak za późno wstanę, to mam wyrzuty sumienia. Ale któż nie cierpi z powodu wyrzutów sumienia?

**Kalina Błażejowska:** Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych była pani w Polsce. Angażowała się pani w przemiany?

**Julia Hartwig:** Byłam w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie. Mielismy zebrania na Żytniej, czasem w kościele, jeździliśmy też do Gdańska, nieszczęsny ksiądz Jankowski przyjmował nas wówczas żołnierską grochówką... Niczego specjalnego nie dokonałam, po prostu wspierałam wszystkie apele, starałam się pomóc moim przyjaciołom, którzy stale byli w kłopotach. Łącznie z Adamem Michnikiem, którego znam od lat. Często bywał aresztowany na jedną noc na Wilczej, a gdy go wypuszczali, zachodzili do nas, bo mieszkaliśmy obok.

**Kalina Błażejowska:** Ma pani za sobą dużo trudnych doświadczeń: samobójstwo matki, tragiczną śmierć Ksawerego Pruszyńskiego, śmierć Artura Międzyrzeckiego. Jak się pani udało ocalić tę przychylność do świata, uważność i czułość, z których jest pani znana?

**Julia Hartwig:** Zadatki tego musiałam zapewne mieć w sobie. Człowiek docho-

dzi do – trudno to nazwać mądrością – ale do własnego poglądu, że jedyne, co można w życiu codziennym uzyskać, to być wyrozumiałym dla innych. Oczywiście to jest sprawa charakteru, której nie potrafię wyjaśnić. Dziwią mnie ludzie, którzy są zapiekli i trudni bez wyraźnego powodu. A jeśli chodzi o nieszczęścia, które mnie dotknęły... Niech pani zobaczy, tu na okładce moich wierszy wybranych jest kawałek Miłosza, w którym sformułował odpowiedź na pani pytanie. Proszę przeczytać ostatnie zdanie.

**Kalina Błażejowska:** „Jej życie, które tak ukazało się w jej poezji, było pełne nieszczęść i klęsk, ale znalazła sposób, żeby mówić o tym jakby okólnie, poprzez nazywanie zjawiających się przed oczami obrazów. Jej głos jest równy: nie ścisza się do szeptu ani nie nasila się do krzyku”.

**Julia Hartwig:** No właśnie. On tak siebie zapytał, jak pani mnie zapytała. A z czego to płynie, nie wiadomo, człowiek także się tego uczy. To wielkie szczęście, osiągnąć taki stan, kiedy nie ma się pretensji do świata. Jeżeli mam jakieś pretensje, to muszę mieć je do siebie, nie ma wyjścia.

**Kalina Błażejowska:** Jedyne człowiek jest odpowiedzialny za swoje życie?

**Julia Hartwig:** Oczywiście odpowiedzialne są też okoliczności – historia, która nam płata figle, okoliczności życiowe, które nas pozbawiają ludzi, czynią wokół nas pustkę. Uważam, że pisanie jest moim ratunkiem. Nie dlatego piszę, żeby się ratować: piszę, bo chcę, ale równocześnie znajduję w tym jakiś sens życia. Myślę, że wiele zła płynie z tego, że ludzie nie znajdują sensu życia i nie można im go podsunąć.

**Kalina Błażejowska:** Jeżeli pani jednak napisała autobiografię, to jak by się kończyła? Dobrze?

**Julia Hartwig:** To by było bardzo pogodne zakończenie. Uważam moje życie za spełnione. Nie dlatego, że nie dotknęło mnie nic złego, ale ponieważ wszystko, co przeżyłam, w jakimś sensie było wspaniałe.



## Julia Hartwig Lublin\*

Nie był nigdy Lublin dostojną stolicą Rzeczypospolitej jak Kraków, nie zrodził się z jednego śmiałego projektu utalentowanego architekta jak Zamość, a przecież należy do najpiękniejszych miast w naszym kraju, do miast o zabytkowej architekturze i szacownych tradycjach. Uroda jego wywarła też wielki wpływ na artystów, którym dane było zetknąć się z tym pełnym uroku miastem. Opiewali je poeci, utrwalił czar jego malarze. Nie pozostała też nieczuła na jego wdzięki kamera fotografika. Album, który przekazujemy dziś naszym czytelnikom, powstał w ciągu wielu lat współżycia z Lublinem, z umiłowania jego malowniczych kamienic i zaułków, tak odmiennych o każdej porze dnia, o każdej porze roku. Z powszednich dni, deszczowych, słonecznych czy zasypanych śniegiem, z odbywanych przez długie lata wędrówek wzdłuż znanych ulic pozostał na zawsze w pamięci widok domów i przechodniów śpieszących rano do pracy; gwar niedzielnego tłumu w pięknym miejskim Ogródzie Saskim, wśród bujnych drzew i krętych alejek, gorączkowy rozgwar dni targowych na ulicy Świętoduskiej; pulsujące odmiennym niż śródmieście rytmem życie przedmieść. Tak rok po roku powstawał bogaty zbiór zdjęć lubelskich. Zwłaszcza z ulubionych zakątków Starego Miasta, odwiedzanych najchętniej wczesnym rankiem, kiedy po zamglonych ulicach odbywają nieśmiałą przechadzkę jedynie pierwsze promienie ukazującego się słońca. Długo nieodnawiane mury kamieniczek widoczne na tych zdjęciach lśnią w pierwszym słońcu całą gamą chropo-

watości, w przepastnych bramach czai się jeszcze nocny mrok.

Niezapomniane jesienne poranki lubelskie... Kamieniczki ulicy Olejnej toną w złotej mgłę unoszącej się z łąk nadbystrzyckich. Plac Farny, pokryty zwiędłymi liśćmi, robi wrażenie wielkiego okna, z którego rozciąga się szeroki widok na okolice przyzamkowe. Wczesny przechodzień nierzadko natknąć się mógł o tej porze na malarza pracującego pilnie przy rozstawionych sztalugach; bywało, że tak zatopionego w pracy potrąciła lekko pyskiem szkapą ciągnąca wózek ze śmieciami, że zagapił się na barwny szkic obrazu stróż o sumiastym wąsie, leniwie drapiący miotłą jezdnię pod staromiejską bramą, że furknęła obok spódnica mleczarki roznoszącej w bańkach mleko. Lubelskie poranne mgły, lubelskie noce księżycowe, udziwniające swym blaskiem gzym-sy starożytnych kamienic i fantastycznie sfalowane bruki, znalazły w artystach lubelskich wielu swoich piewców. Gdziekolwiek sięgnąć, nie tylko w tomikach poezji i albumach grafiki lubelskiej, ale nawet w starych księgach i pamiętnikach, wszędzie znaleźć można zdania świadczące o uroku, jaki wywierać musiało to miasto na przybyszów.

Stare ryciny i stare obrazy świadczą, jak bardzo uzasadnione były te zachwyty współczesnych. Na sztychu Hogenberga z 1618 roku zamieszczonym w księdze Jerzego Brauna *Civitates orbis terrarum* ukazuje się nam Lublin jako wspaniałe miasto, gęsto zabudowane domami, nad którymi górują strzeliste wieżycy kościołów i bram miejskich; podobnie imponująco przedstawia się ono na za-

\* Wstęp do albumu *Lublin*, fot. i oprac. Edward Hartwig, Warszawa 1956, s. 5-17.

chowanych do dziś obrazach, z których jeden, z 1719 roku, wyobraża pożar Lublina, drugi – wjazd do miasta w roku 1826 namiestnika Józefa Zajączka. Malarze wieku XIX i XX utrwalali widoki Lublina w drobniejszych, bardziej intymnych fragmentach. Najczęściej ze Starego Miasta. Wśród sławniejszych autorów wyliczyć tu możemy obrazy Aleksandra Gierymskiego, tekę lubelską L[eona] Wyczółkowskiego, rysunek Bramy Krakowskiej [Aleksandra] Orłowskiego, rysunki A[dama] Lerue, litografie i rysunki J[ana Kantego] Gumowskiego. Malarzy współczesnych, których pociągały tematy lubelskie, nie sposób wyliczyć, tak było ich wielu.

Odrębną rolę w utrwalaniu zmiennego wizerunku tego miasta odgrywa fotografia. Dzięki niej ukazuje nam ono tysiąc swoich twarzy, niezafałszowanych i wiernych. Spróbujmy, idąc ulicami Lublina, wskrzesić jego dzieje, rozsmakować się w jego urodzie, przypomnieć zmienne jego losy, tak często wspólne z losami innych miast polskich.

\* \* \*

Zacznijmy od Krakowskiej Bramy, jednej z najtypowszych budowli Lublina. Jej wyniosła i mocna sylwetka stała się symbolem miasta również dla tych wszystkich, którym nie zdarzyło się nigdy do niego zawitać. Dla tych, którzy znają je tylko z widokówek i prospektów turystycznych, brama ta jest ciekawym zabytkiem średniowiecznego budownictwa. Zbudowana za czasów Kazimierza Wielkiego, uległa przebudowie w wieku XV i XVII, wtedy też otrzymała barokowy hełm, do dziś zachowany.

Przez Bramę Krakowską, stanowiącą niegdyś część obwarowania, wchodzimy na Stare Miasto, które stanowi jedną z najpiękniej zachowanych zabytkowych dzielnic w Polsce. Leży ono na malowniczym wzgórzu o stromych zboczach spadających ku zielonej dolinie Bystrzy-

cy. Z kwadratowego rynku znajdującego się w centrum Starego Miasta idziemy ulicą Grodzką w stronę Zamku odbudowanego w XIX wieku w stylu neogotyckim z ruin renesansowej budowli i przeznaczonego przez rząd Królestwa Kongresowego na więzienie. Ze wzgórza staromiejskiego, dokładniej – z placu Ku Farze, i ze wzniesienia zamkowego otwiera się szeroki widok na miasto i okolice. Widać stąd szerokie przestrzenie łąk i bujne, zielone ogrody ukryte wśród cienistych drzew owocowych, za ogrodami ciągną się różnobarwne placyki ogródków działkowych z łatanymi papą daszkami budek, dalej znów łąki. Na horyzoncie wyraźnie odcinają się trzy szare graniastosłupy elektrowni, kominy i ciężki blok osiedla mieszkaniowego na Bronowicach. Wędrując dalej wzrokiem po widnokregu, natrafimy na sylwetkę największej w Polsce fabryki samochodów ciężarowych – dumę nowego Lublina, i nowoczesne budynki drugiej elektrowni. Naprzeciw Zamku piętrzy się wysoko sklepione wzgórze Starego Miasta, tak gęsto zabudowane, że na pierwszy rzut oka wygląda jak masyw jednego, bogato uformowanego gmachu. Potem dopiero, przenosząc wzrok po ostrym zboczu powyżej krętej linii Podwala musującego bujną zielenią sadów, rozróżniamy białą ścianę obronnego niegdyś klasztoru Dominikanów z wieżą uwieńczoną zaśnieżonym hełmem, dalej czub Bramy Trynitarzkiej i kryte czerwoną dachówką i blachą dachy domów. Niżej, u stóp tych domów i u stóp Zamku jaśniej dziś gładka płyta placu zebrani, obramowana półkolem nowo wzniesionego osiedla mieszkaniowego.

Ten, kto znał Lublin przedwojenny, stanąłby zdumiony, znalazłszy się tam dziś znowu: w 1954 rozpoczęto prace nad gruntowną rekonstrukcją zniszczonych zabytków starego Lublina; znaczna część ukończona została w lipcu 1954, w dziesiątą rocznicę PKWN i Manifestu Lipcowego.

Trudne i odpowiedzialne zadanie odbudowy powierzone zostało zespołowi generalnego projektanta, profesora Kuźmy. Był to ten sam zespół, który opracował projekt odbudowy warszawskiej Starówki. Tym razem zadanie, które zostało mu powierzone, różniło się zasadniczo od poprzedniego: szło tu nie o rekonstrukcję od podstaw, o odbudowę całej nieistniejącej, bo doszczętnie wyniszczonej przez wojnę dzielnicy, nie o wskrzeszenie dawnej architektury w pierwotnym jej kształcie, ale o dokonanie równie trudnego może dzieła: szło o rekonstrukcję istniejącej, żywej, ale karygodnie przez lat dziesiątki zaniedbywanej zabytkowej architektury; o przywrócenie kamieniczkom Starego Miasta ich dawnego piękna, o rekonstrukcję klatek schodowych, krużganków, bram, otworów okiennych i dachów, o doprowadzenie wreszcie domów do stanu lepszej „mieszkalności”. Wiele tych kamienic ulegało w ciągu wieków kilkakrotnej przebudowie, toteż konserwatorom starego Lublina nie raz zdarzyło się odkryć na budynkach renesansowych pozostałość łuku gotyckiego, wcześniejszy portal, obramienie okienne, a nawet wątek murów z XIV czy XV wieku tuż obok domu z bujnymi barokowymi ozdobami lub kamieniczki w stylu klasycystycznym. A przecież to tak odmienne stylem sąsiedztwo nikogo nie razi, przeciwnie, wskazuje na swobodny rytm narastania historii i zmiennych ludzkich umiłowań.

Projektantom szło o wydobycie w całej jasności i wyrazistości średnio-wiecznego założenia urbanistycznego Lublina. Projekt profesora Kuźmy nie ograniczał się zresztą do zabiegów oczyszczająco-kosmetycznych. W niektórych dziedzinach planowano daleko idące, śmiało zmiany. Dotyczyły one zwłaszcza otoczenia Zamku i powiązania go ze Starym Miastem. Po usunięciu gruzów z dawnego Podzamcza teren otaczający Zamek miał zostać znacz-



nie obniżony i wyrównany, co pozwoliło na uwytatnienie malowniczości jego położenia i wzgórze staromiejskiego. Klamrę spinającą Stare Miasto z Zamkiem utworzył wiadukt przeprowadzony między wzgórzem zamkowym i Bramą Grodzką. Wiadukt ten przypominać miał o dawnym moście zwodowym. U stóp Zamku powstał wielki plac zebrań, zamknięty od zachodu blokami nowego osiedla, które w przyszłości rozbudowane zostanie do głównego traktu ulicy Stalingradzkiej. Obok wyznaczono śmiałą linię przelotu nowej, nieistniejącej dotąd, lubelskiej trasy W–Z.

Nakreślona w ten sposób kompozycja nigdy w tym kształcie właściwie nie istniała, nawiązuje ona jednak do bardzo dawnego układu starego miasta. Wydobywa centralne ośrodki architektoniczne, wokół których skupia się życie dzielnicy i wiąże je ze sobą w przejrzysty i logiczny sposób.

Przewidywano poza tym przeprowadzenie robót porządkowych w obrębie Bramy Krakowskiej i Grodzkiej wraz

Prace remontowe na Podzamczu, budowa nowej ulicy Zamkowej. 1954. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.





Prace porządkowe przed Zamkiem Lubelskim. 1954. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.

ze starym rynkiem i odbudową zniszczonych podczas wojny kamieniczek. Projekt ten, obliczony na wykonanie w ciągu kilku zaledwie miesięcy, wymagał olbrzymiego wysiłku od ludzi, którym przypadł w udziale zaszczytny trud przebudowy Lublina. Od solidarnego, zgodnego biegu współpracy między projektantami i wykonawcami zawisło wykonanie na czas pięknego planu. Planu, który był zresztą zaledwie częścią projektowanej odnowy Lublina. Nie szło przecież tylko o to, by nadać miastu zewnętrzny tylko blask i polor. Architektura ta, zacna i szacowna, kryła w sobie, jak wspomnieliśmy, wiele zacofanych urządzeń sanitarnych: około sześćdziesiąt procent mieszkań w Lublinie nie posiadało urządzeń kanalizacyjnych i wodociągowych! Architekci postanowili rozszerzyć podwórka, wpuścić do domów więcej światła, zapewnić ich mieszkańcom wygodniejsze życie.

Wiosną 1954 roku prace przy odbudowie Lublina wezbrały gwałtownie na sile: cieplejsze już dni i zbliżający się ter-

min 22 lipca – dzień, w którym miano już w odbudowanym mieście uroczystie obchodzić dziesiątą rocznicę PKWN – podwajały w ludziach zapał i siły. Ze wszystkich stron Polski zjechały zespoły tynkarzy, murarzy i cieśli. Przyjezdni mieszkali, gdzie się dało, nie wybredzając, świadomi ciężkich zadań, jakie ich czekają i konieczności zmobilizowania wszystkich dostępnych sił i talentów. Na poszczególnych odcinkach placu budowy pojawiły się transparenty z napisami: „Załogi budowlane Świdnika, Poznania, Szczecina, Kalisza śpieszą z pomocą Lublinowi”. Rozpoczęła się rywalizacja między załogami przybyłymi z różnych miast. Do pracy stawano często przed świtem, rozbudzając się z nocnego otumanienia żartami i pokrzykiwaniem. Nocą do późna paliły się na rusztowaniach światła ostrych żarówek. Gdzieś spod dachów dobiegał gwizd tynkarzy jak wołanie nocnych ptaków, objając się o rozgwieżdżone niebo. A noce bywały jeszcze często przejmujące chłodem i szron osiadał na gałęziach drzew nagich, czarnych, nieokrytych liśćmi.

Okres ten był dla Lublina jednym z najciekawszych w jego historii. Życie codzienne Starówki nabrało niezwykłej intensywności, każdy dzień znaczył się nowym dokonaniem, nowym zwycięstwem nad czasem. Niemałe też to były osiągnięcia. Plan Zamku uległ zasadniczym zmianom: usunięto budynek administracji więziennej wznoszący się dotąd pod bramą wejściową, rozebrano kuchnię i łazienkę zajmującą środek dziedzińca. Do Zamku poprowadzono szerokie jasne schody. Na wewnętrznej ścianie, od podwórza, zaprojektowano loggie, pięknie urozmaicające dotychczasową monotonię ścian, wewnątrz podzielono na szeregi sal przeznaczonych na czytelnice, muzeum, sale koncertowe, świetlice. W najstarszej części Zamku, to jest w donżonie i kaplicy gotyckiej pod wezwaniem św. Trójcy, rozpoczęto prace konserwatorskie. W kaplicy tej znajduje



się najpiękniejsze dzieło malarstwa średniowiecznego na Lubelszczyźnie: są to freski wykonane na zamówienie Władysława Jagiełły przez malarza ruskiego Andrzeja. Freski te, utrzymane w ciemnym, lecz intensywnym kolorycie, łączą w ciekawy sposób elementy bizantyjskie z łacińskimi. Sklepienie kaplicy wspiera się na jedynym ośmiobocznym filarze. Całe to niewielkie, lecz harmonijne wnętrze, skryte w grubych i mrocznych zamkowych murach, wywiera niezapomniane wrażenie. Malowidła ściennie, pokryte niegdyś w barbarzyński sposób tynkiem, odkryto w 1889 roku, a odsłonięto je i zrekonstruowano w latach 1917-18. Obecnie prowadzone są ponownie prace nad zachowaniem tego rzadkiego i wybitnego zabytku architektury i malarstwa.

Zamek lubelski ulegał w swych dziejach wielokrotnej przebudowie. W czasach Królestwa Kongresowego, jak już wspomnieliśmy, na miejscu ruin dawnego zamku królewskiego wzniesiono więzienie. Tu, wśród wielu więźniów politycznych przebywał długi czas Marian Buczek, który w pamięci współtowarzyszy pozostawił wspomnienie człowieka umiającego w najtrudniejszych sytuacjach znaleźć drogę do ludzi i służyć im radą, podyktowaną doświadczeniem lat spędzonych w celi. Tu było miejsce hitlerowskiej kaźni i krwawej masakry więźniów dokonanej przez Niemców tuż przed ucieczką z Lublina, na kilka godzin przed wejściem I Armii i wojsk radzieckich. Obecnie Zamek lubelski przekształcony został na Dom Kultury.

Wykonanie polichromii Starego Miasta powierzono zespołowi artystów lubelskich i warszawskich, których część brała udział, z dużym sukcesem, w wykonaniu polichromii na warszawskiej Starówce. Lublin, po Warszawie i Gdańsku, to trzecia wielka próba stworzenia polichromii wielkiej całości architektonicznej; z tą jednak różnicą, że zarówno w Warszawie, jak i Gdańsku szło

o domy rekonstruowane bardziej lub mniej wiernie według dawnych, zburzonych podczas wojny zabytków, w Lublinie zaś malarze mieli do czynienia na ogół z architekturą zabytkową, której trzeba było nadać taką szatę plastyczną, która, nawiązując do dawnej tradycji, stanowiłaby równocześnie odbicie żywego do niej stosunku współczesnego artysty.

Kamienice na rynku lubelskim były niegdyś barwnie zdobione, wzmianki o tym znaleźć można w pamiętnikach historycznych i literaturze staropolskiej, dokładnych jednak opisów brak.

Lubelski projekt polichromii Starego Miasta obejmował Rynek i ulicę Grodzką, plac Farny i najbliższe otoczenie Bramy Grodzkiej od strony Zamku. Przed wojną Lublin odnawiany już był przez artystów plastyków. Ówczesny projekt polichromii obejmował tylko Rynek i domy przy ulicy Grodzkiej; koloryt Rynku utrzymany był w tonach ciężkich i jaskrawych, robił wrażenie ponure, nie przystawał jakby do kamienic, nie zdołał też pozyskać sobie serc mieszkańców Lublina. Tym razem projekt oparto na zupełnie innej gamie kolorystycznej, na żółciach i bielach. W tonach ciepłych, kremowych i żółtych, poprzecinanych gdzieniegdzie silniejszymi akcentami fioletu i zieleni utrzymany jest Rynek. Ulica Grodzka, główna arteria Starego Miasta łącząca Rynek z Zamkiem, zabudowana przeważnie kamieniczkami pochodzącymi z XVI i XVII wieku, jaśniej szaroniebieskawymi bielami. Domy te ozdobione zostały po raz pierwszy zastosowaną w Lublinie, niezwykle udatną techniką reliefu, ciętego na jednobarwnym tynku, przez co uzyskano bardzo subtelne efekty delikatnie załamującego się światła.

Bogatej architekturze Rynku, który pamięta czasy wspaniałego rozkwitu miasta w epoce renesansu i baroku, przystoi ten złotogłów barw, bogactwo dekoracji, śmiałe ornamenty i ceramicz-



Wykonywanie malowideł na elewacji kamienicy. 1954. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.

ne ozdoby. Po co ujmować wspaniałości i bogactwa kamienicy Złotników, kamienicy pod Lewkami, domom, w których odbywały się biesiady mieszczańskie, uświetnione najwspanialszymi winami wschodu i południa, gdzie ówczesne damy zjawiały się odziane w aksamity i futra, posługiwały się przedmiotami wykonanymi zręcznymi rękami rzemieślnika nie tylko polskiego, ale i włoskiego, francuskiego czy niemieckiego, zasiadały na ławach przykrytych dywanami z Persji. Wspomnienie ówczesnych targów, jarmarków, „które nie miały sobie nigdzie wówczas równych”, wspomnienie nauk i rozkwitłej nad podziw sztuki musiało znaleźć swój wyraz w architekturze. Do rozwoju tego miasta przyczynił się w dużej mierze Trybunał Koronny, najwyższa instancja sądowa dla Małopolski. W okresie jego urzędowania, to jest od wczesnej wiosny do zimy, do Lublina zjeżdżała gromadnie na rozprawy zarówno magnateria, jak i drobna szlachta. Magnaci mieszkali podczas sesji Trybunału w pałacach do

dziś zachowanych przy ulicy Królewskiej, drobniejsza szlachta w zajazdach lub domach prywatnych w okolicy Rynku. Przy ulicy Grodzkiej zamieszkiwali przeważnie członkowie sądownictwa lubelskiego. Obrady Trybunału odbywały się w gmachu stojącym do dziś pośrodku Rynku. Budynek ten, początkowo wzniesiony jako ratusz miejski, ulegał wielokrotnej przebudowie. Obecną swoją postać zawdzięcza architektowi Merliniemu, który przebudował go w XVIII wieku w stylu klasycystycznym.

Tych dostojnych wspomnień nie było potrzeby zacierać, przeciwnie, tu gdzie wieki późniejsze przegnały ich ślady, należało je na powrót wskrzesić. I tak wszystkie kamieniczki pochodzące z epoki renesansu odbudowane zostały w całym dawnym blasku: otrzymały one piękne attyki i bogatą polichromię. Domy pochodzenia późniejszego utrzymano w skromniejszym stylu. Np. u szczytu kamienicy znajdującej się na rogu ulicy Grodzkiej i Rynku dobudowano śmiało i wyraziste łuki attyk, które uwieńczyły ją jak najwspanialsza korona, dodając całej sylwetce lekkości i polotu.

Rynek, zarówno w barwie, jak i rysunku architektonicznym nasuwa przypomnienie Lublina z okresu Odrodzenia, „miasta wspaniałego i wesołego”, gdzie co krok przybysz natknąć się mógł na gospodę czy winiarnię oznaczoną wiechą słomianą, zielonym wieńcem lub krzyżem czerwonym, znakami, które oznaczały gatunki napojów, jakimi częstowano gości – piwa, wina czy miodu. Często z gospód tych dobiegała muzyka, odgłosy śpiewów i tańca. Dudniły basy, piskały skrzypki, raz słuchano ich z uwagą, to znów wodzono się za łby, nie zważając na rytm biegnącej melodii. Ci sami biesiadnicy w niedzielę udawali się zapewne na uroczystą mszę, być może do pobliskiego, nieistniejącego dziś kościoła świętego Michała, już wówczas sędziwego, do tego kościoła,

gdzie około połowy XV stulecia pełnili funkcje organistów słynni muzycy, najpierw Jakub z Lublina, potem Mikołaj Lubelczyk. I zapewne nawet przez głowę im nie przeszło, że wiele tańców, jakie tańczą, i pieśni, jakie śpiewają, czy to *Zakłutam się tarniem*, czy *Idzie szewczyk po ulicy*, spisze potem autor słynnej tabulatury Jan z Lublina, przynoszący po dzień dzisiejszy chlubę swemu rodzinemu miastu.

W Rynku, pod numerem 8, w piwnicy domu Lubomelskich, naznaczonym herbem tej rodziny, zachowała się jedna z takich winiarni: ciekawe freski widoczne na ścianach świadczą o wysokim poziomie ówczesnej sztuki dekoracyjnej, zaś napisy łacińskie i niemieckie – o szumnej wesołości tego przybytku, któremu patronowali zgodnie Bachus i Wenus.

Do przeszłości Lublina z owej epoki nawiązali plastycy, zdobiąc scenami figuralnymi kamienicę Żaków, Rzemiosł, Muzyczną i Strażaków, dom Kochanowskiego i Modrzewskiego. Troskliwa ręka konserwatora odnowiła z pietyzmem te szczegóły architektoniczne, które utrzymały się do naszych czasów w swej dawnej postaci: tak było z kamienicą Sobieskich, odznaczającą się niezwykle bogatą i oryginalną dekoracją rzeźbiarską. Swobodna ręka barokowego artysty nagromadziła tu rządy kariatyd, maskaronów, medalionów i amorków. „Cała ta bogata ornamentyka jest po prostu nadzwyczajna w swej naiwności i rubasności form, a jednak ma w sobie wiele fantazji twórczej, tak, iż mimo nieudolnej roboty, są nam te rzeźby swojskie” – pisał o tej kamienicy jeden z historyków sztuki. W domu tym zatrzymywał się Jan III Sobieski podczas swych pobytów w Lublinie. Tu mieszkali jako jeńcy wojenni car Wasyl Szujski i jego bracia, tu wreszcie stawali: król szwedzki Karol XII i car Piotr Wielki.

Gdyby na wieczór jeden zaludnić Rynek lubelski najsławniejszymi postacia-

mi, które z tym miastem były związane lub tylko się przez nie przewinęły, jak niezwykle i barwne ujrzelibyśmy widowisko! Oto Jan Kochanowski przemawia w sprawie swego szwagra, zamordowanego przez Turków w wyprawie poselskiej. Słucha wieszczka i ulubieńca muz z szacunkiem Trybunał Lubelski – gdy nagle ten pada bez zmysłów, rażony atakiem apopleksji. Pogrzeb, który, jak twierdzi jeden z naszych historyków, sprawiono poecie w Lublinie, przekraczał wspaniałością wszystko, co tu widywano. Szli za trumną najprzedniejsi obywatele kraju, Jan Zamojski, kanclerz Opaliński, szedł Trzeciecki i Klonowicz, autor *Żalów nagrobnych* po tragicznie zmarłym, na czele zaś pochodu kroczyć miał sam król, Stefan Batory.

Nim Jan Kochanowski dokonał żywota w Lubelskim Trybunale, przyniósł już sławę temu miastu inny pisarz, znany z dowcipu, z poczucia godności narodowej i „rogatej duszy” – Biernat z Lublina, który pobierał tu nauki w szkole parafialnej, a potem pomagał Piotrowi Kallimachowi w prowadzeniu korespondencji; on to pierwszy torował ścieżki literackiej polskiej mowie przed Janem z Czarnolasu. Warto też wspomnieć o Jakubie Lubelczyku, tłumaczu *Psałterza Dawidowego* i przyjacielu Reja. A i Mikołaj Rej do majątków swych położonych w Lubelskiem jadąc, po drodze Lublin niejednokrotnie odwiedzać musiał. A Klonowicz? Ów zacny i szlachetny Acernus, jedna z najpiękniejszych postaci starego Lublina. Pracowity, niełatwy i wzruszający żywot tego pisarza związany jest ścisłymi więzami z tym miastem. Tu przywędrował on ze Lwowa, pełniąc zrazu funkcję pisarza urzędu wójtowskiego, potem został ławnikiem, wójtem, wreszcie burmistrzem. W ciągu dwudziestu kilku lat przeszedł przez całą hierarchię miejskich urzędów, nie zaznawszy wielu radości, nieszczęśliwy w pożyciu domowym, zwalczany przez duchowieństwo i szlachtę, której nad-



## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

użycia śmiało wytykał, ulubiony przez ubogą ludność, z którą wiele miał do czynienia w swej pracy, m.in. jako sędzia do spraw żydowskich. Jest on autorem dzieł, w których niejedna stronica poświęcona została sprawom ówczesnego ludu. Znakomity ten pisarz zakończył życie w przytułku, w ramionach samarytan, budząc po wieczne czasy swym biednym zgonem zamyślenie, współczucie i żal potomnych.

Dom Klonowicza, mieszczący się w Rynku pod numerem 2, należy do najciekawszych: tu mieści się jedyny zachowany w Lublinie dziedzińczyk arkadowy, jakby żywcem przeniesiony z dawnych czasów. Na fasadzie domu, obok portretów Reja, Biernata z Lublina i Wincentego Pola, znajduje się również wizerunek Klonowicza.

Skoro już mowa o sędziowskich obowiązkach Klonowicza, wspomnijmy, że w epoce tej Lublin stanowi ośrodek oświaty i kultury żydowskiej: tu w XVI i XVII wieku odbywały się w czasie

jarmarków synody Wielkopolski, Małopolski, Rusi Czerwonej i Ukrainy, tu powstała pierwsza w Polsce szkoła talmudyczna, tu założono w epoce Odrodzenia jedną z pierwszych drukarni żydowskich, zasłużoną w historii druckarstwa.

Osobny rozdział należy się Trybunaleowi Lubelskiemu.

Pisarzy, co się w Lublinie, w Trybunale Lubelskim o swoje dobra prawowali, można by wyliczyć wielu: przebywał tu czas jakiś Wacław Potocki, któremu Elżbieta Tarłowa wytoczyła proces o arianizm; lubelskie, to przecież jeden z najczynniejszych ośrodków ruchu ariańskiego. Oprócz dwóch zborów lubelskich istniały zbory również w Lewartowie (obecnie Lubartowem zwanym), Piaskach, Milanowie i Siedliskach. Żywa jest jeszcze w Lubelszczyźnie tradycja związana z arianami. Niejedna tutejsza opowieść ludowa nawiązuje do ich życia i tragicznego końca, a miejsca po zburzonych zborach otoczone są często tajemniczą legendą.

Zatrzymywał się tu również w sprawach majątkowych Kochowski. Słynnym opisaniem Lubelskiego Trybunału w *Doświadczyńskim* zasłużył się temu miastu najelegantszy z biskupów i pisarzy epoki stanisławowskiej, Ignacy Krasicki. Mieszkał czas długi w Lublinie Kajetan Koźmian, na którego pamiętniki jeszcze powoływać się będziemy, otarł się o Lublin Feliński, przyjaciel Koźmiana, nie ominął również „koziego grodu” Julian Ursyn Niemcewicz, zapalony poza pisarstwem podróżnik i skrzętny opisywacz wszystkiego, co dane mu było w bogatym i urozmaiconym życiu na własne oczy obejrzeć. W Lublinie też uczęszczał do szkoły J[ózef] I[gnacy] Kraszewski, urodził się tu Wincenty Pol, który zresztą ani jednego utworu swemu rodzinnemu miastu nie poświęcił. Obie kamienice, jedna, w której urodził się Pol, druga, w której przez czas jakiś mieszkał późniejszy niestrudzony pisarz

Odbudowa attyki na kamienicy przy Rynku. 1954. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.





historyczny J[ózef] I[gnacy] Kraszewski, noszą pamiątkowe tablice.

Wspomina również Lublin – choć z uzasadnionymi przez los żałami – Narcyza Żmichowska, która tu za działalność w organizacji spiskowej osadzona została jesienią 1845 roku w klasztorze karmelitanek, gdzie przebywała przez dwa lata i cztery miesiące: „Lublin śliczny z każdej strony widnokręgu, gdzie tylko na pół wiorsty od niego staniesz, to pejzażyk do Meyera *Universum*, ale we środku szkaradny, bo mi z niego wyjechać nie wolno”.

Wybucho II wojna światowa, następuje czarna noc okupacji hitlerowskiej. Pod Lublinem powstaje potworny obóz koncentracyjny Majdanek, w którym znajduje śmierć blisko milion niewinnych ofiar faszyzmu. Okupant wysiedla i wysadza w powietrze całą dzielnicę Podzamcze, nad którego martwym usypiskiem wznosi się samotnie złowieszczą sylwetą zamkowego więzienia.

Po pięciu latach okaleczone i zdzięsiątkowane miasto doczekało się wreszcie chwili wyzwolenia. Dnia 20 lipca 1944 roku wojska radzieckie sforsowały Bug. Wraz z oddziałami radzieckimi wkroczyły na Lubelszczyznę oddziały I Armii Wojska Polskiego. W Lublinie, w gmachu przy ulicy Spokojnej znalazł swą siedzibę Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Stąd rozeszła się wieść o ogłoszonym w Chełmie Manifestie Lipcowym, który zmienić miał podstawy ustrojowe naszego kraju, oddając ziemię w ręce chłopu, fabryki w ręce robotników. W lubelskiej siedzibie PKWN zaczęły tworzyć się i rozwijać załączki naszego aparatu państwowego. Tędy przepływały w ciągu dnia setki ludzi, tutaj zwracano się w najróżnorodniejszych sprawach, od najbardziej osobistych do takich, które zaważyć mogły na losach setek obywateli. Gorączkowy nastrój tych pierwszych, mrówczo pracowitych tygodni, atmosfera dziejowej doniosłości wydarzeń przenikają-

ca wszystko dokoła, zapotrzebowanie na ludzi zdolnych, dzielnych, pełnych inicjatywy splatają się dziś w jedno bogate i niepowtarzalne we wspomnieniu wzruszenie. Ze wszystkich stron kraju ściągają do Lublina tłumy przybyszów, często obdartych, zarośniętych i wychudzonych, którzy z lasów, z ukrycia lub miejsc kaźni hitlerowskiej dążyli tu, pragnąc na własne oczy sprawdzić zasłyszane z dala, jakże upragnione wieści. Chętnych do pracy nie brakowało. Wiara w przyszłość i szczery patriotyzm stanowiły najwyższy nakaz i potrzebę tych dni. Ludzie z najróżniejszych miast i środowisk mieszkali i pracowali w niezwykle serdecznej ze sobą bliskości. Najodmienniejsze sprawy: wielkich zamierzeń gospodarczych, kultury, komunikacji, transportu i szkolnictwa, omawiane były w gorących dyskusjach niemal jednym tchem. Wszyscy interesowali się wszystkim, fachowcy byli w wyjątkowej cenie, ludzie dobrej woli witani byli w każdej dziedzinie z równą radością. Za pierwszą gazetą zatytułowaną „Rzeczpospolita”, w której pierwszym numerze, datowanym w Chełmie 23 lipca 1944 roku ukazał się *Manifest* – począł wychodzić pierwszy tygodnik literacki „Odrodzenie”. W teatrze lubelskim zespół I Armii wystawił po raz pierwszy polskie sztuki Wyspiańskiego, Zapolskiej. Nowe życie rozszumiało się wezbraną falą. O tych dniach pisze w swoich wspomnieniach Jerzy Putrament:

„Przez pierwsze pół roku Polski jej sercem był Lublin. Przez pierwszych parę tygodni sercem Lublina była ulica Spokojna. Trzypiętrowy, nie większy od przeciętnego gimnazjum dom. Tam było wszystko – cały rząd, czyli po ówczesnemu Pekawuen, wszystkie «resorty», czyli ministerstwa, wszyscy «kierownicy resortów», czyli ministrowie. I jeszcze wiele innych urzędów. Bardzo osobliwie to wyglądało. Rozrost aparatu odbywał się w niesłychanym tempie. Są

takie stadia rozwoju embrionu, kiedy komórki dzielą się kilka razy na minutę. Z resortów wyłaniały się departamenty, z departamentów – wydziały, z wydziałów – referaty, z referatów – sekcje. Improwizowano na skalę dotąd niespotykaną. Potok zwykłych ludzi wdzierał się przez drzwi jeszcze bez przepustek, na chybił trafił, stamtąd zaś wychodzili już stateczni urzędnicy”.

Jako pierwsza siedziba nowego ludowego państwa nawiązał Lublin do swych dawnych tradycji postępowych. Ziemia ta pamięta przecież działalność reformatorską Stanisława Staszica, *Złotą Księżeczkę* Piotra Ściegiennego, bohaterskie boje Stanisława Brzózki, rozstrzelanego przez carski pluton egzekucyjny. Chlubną tę przeszłość mają w pamięci rewolucyjni działacze kierujący w roku 1905 ruchem młodego lubelskiego proletariatu. W styczniu owego roku robotnicy Lublina zastrajkowali na znak protestu przeciw krwawej masakrze w Petersburgu, w czerwcu odbył się w Lublinie strajk powszechny w imię solidarności z bojownikami łódzkich barykad. Strajki odbyły się również w lipcu i grudniu. Rewolucyjne wrzenie zataczało coraz szersze kręgi nie tylko wśród proletariatu miejskiego, ale i wśród robotników rolnych. Lubelskie manifestacje robotników kończyły się zazwyczaj pochodem na grób księdza Ściegiennego, wielkiego patrioty i bojownika o wolność, organizatora niedoszedłego do skutku powstania chłopów w 1844 roku. Na jednej z takich manifestacji roku 1905 znalazł się również, w uczniowskim jeszcze ubraniu, Bolesław Bierut, który przez długie lata mieszkał, pracował i działał w Lublinie.

W listopadzie 1918 roku robotnicy lubelscy pod wodzą SDKPiL i PPS-Lewicy utworzyli pierwszą na wyzwolonej ziemi polskiej Radę Delegatów Robotniczych. Jednym z pierwszych dekretów Rady Lubelskiej był dekret o ośmiogodzinnym dniu pracy. Nie pozostawała

w tyle i wieś lubelska: za przykładem robotników Lublina fornale i biedota wiejska w całej Lubelszczyźnie tworzą wówczas komitety folwarczne, silne zwłaszcza w powiatach zamojskim, lubartowskim, krasnostawskim i puławskim. W ślad za strajkami miejskimi następują strajki rolne: w pierwszych dniach stycznia 1919 roku strajkuje tysiąc pięćset folwarków. Co czas jakiś zjeżdża na wieś żandarmeria dla zastraszenia organizujących się robotników rolnych; aresztowania, a nawet zabójstwa działaczy rewolucyjnych są na porządku dziennym.

Nazwiska wymienionych ludzi znaczą bieg wieków. Mija epoka bujnego rozkwitu, jaki przeżywał Lublin w stuleciu XVI i częściowo XVII, nadchodzą lata klęsk, spustoszeń szwedzkich i upadku. Podobny zresztą los stał się udziałem innych miast polskich. Niezwykle ciekawym dokumentem z tej epoki, kiedy to Lublin jeszcze nie całkiem zapomniiał o dawnym dostatku i rozgwarze, a równocześnie popadał już w coraz posępniejsze opuszczenie – są pamiętniki Kajetana Koźmiana. Ten okres wahań i wzdragania się przed osunięciem w całkowite ubóstwo, jaki przeżywa w owej epoce błyszczące niegdyś miasto, znajduje w tych pamiętnikach swoje znakomite zwierciadło. Ponieważ jest to jeden z nielicznych tak barwnych dokumentów z życia Lublina, warto o nim przypomnieć. Pisze więc najpierw Koźmian, z pewnością nieco przesadzając, że „pozyskać wtedy opinią Lublina było to pozyskać opinią całej Polski” i dalej: „podówczas cała prawie Polska mieszkała w Lublinie dla interesów prawnych i zabaw w tym mieście przy trybunałach” – ale zaraz obok następuje takie opisanie:

„Lublin nie przedstawiał się podówczas w takiej jak jest teraz postaci: nosił on na sobie smutne i nienaprawione jeszcze ślady dwóch wojen szwedzkich, rosyjskiej i ostatniej świeżej konfederacji

barskiej. Po trzykroć spalony i spustoszony, w większej połowie swego dawnego stanu był napełniony sterczącymi i opalonymi murami, lub zepsuty gruzami i słabo się z nich dźwigał. Krakowskie Przedmieście od strony Świętoduskiej ledwie jeden dom wielki w całości, kamienicą Tomasza Węgrzyna zwany, zachowało; małe kamieniczki o dwóch lub trzech oknach z facjatami na jedno piętro murowanymi i z tyłu z drewnianymi zabudowaniami, w gęstych przez rudery przerwach stanowiły jedną stroną ulicy, na przeciwnej połączy ten sam obraz. Zaczynał ulicę od krakowskiego wjazdu dom nowy drewniany Rojewskich, na kształt dworu, zajezdny, a kończyły ku bramie krakowskiej kamienice opustoszałe i okopciałe. Na Korcach za pojezuickimi gmachami jeden tylko dom wyreperowano Gizowskiego Węgrzyna. Ulica Grodzka w podobnie nędznym stanie. W samym rynku, na wszystkich czterech połączeniach kamienice po większej części puste, lub w gruzach, oprócz pięknych kamienic Makarewiczów, Stefanowskiego, handlujących winem, starożytniej struktury kamienicy Zdziarskich i odbudowanej Nosadynich, reszta domów niemieszkalnych, lub tylko mieszkalnych na dole. Gmachy, które pałacami nazywano, Radziwiłłowski, pod Reformatami, Sapieżyński naprzeciw kolegium pojezuickiego, Sanguszowski naprzeciw Wizytek gmach, większa liczba klasztorów w części tylko zamieszkałe. Co mówić o bramie krakowskiej, żydowskiej: i bramy, i mieszkania na nich zwaliskiem groziły. A kiedy chrześcijańskie ulice i rynek były w tak opłakanym stanie, łatwo sobie wyobrazić, czym było przedmieście żydowskie i cała jego ulica, jedna od Tatar, druga od spalonego i opustoszałego zamku prowadząca, przy którym dom lichy mieścił archiwum grodzkie, skład obywatelskich majątków, bo ziemskie i trybunalskie w dominikańskim klasztorze jako w komornym spoczywało...

Prócz rynku żadna ulica nie znała bruku. Od ulicy Pojezuickiej nie można się było dostać suchą nogą do ratusza. Trzeba się było na koniu babrać i zabryzgiwać, bo pojazdem dla kałów i bojaźni przewrotów poruszać się było niebezpiecznie... Żadnej policji w mieście, żadnej straży od ognia i żadnych narzędzi, chociaż był magistrat, który się w lichej kamienicy własnej na kapitalnej ulicy mieścił, a starosta lubelski miał obowiązek czuwania nad porządkiem i bezpieczeństwem... Stanisław August, jadąc do Wiśniowca przez Lublin, znalazł zakazane przez siebie bramy tryumfalne, a nim się dobrał do ratusza, z landarą uwiązał w błocie przed bramą Świętoduską, że go nawet cugi marszałka Olizara wyciągnąć nie mogły, aż zaprzęgano woły.

Żadna ulica nie miała latarni, ledwie przed ratuszem dwie się tylko paliły. Idąc pieszo ubożsi nosili latarki ze świeczkami... Noszono buty safianowe, żółte, czerwone lub zielone, a trzeba było w nich po błocie deptać i suknie jedwabne zaszargiwać. Za pojazda-

Prace remontowe na Rynku, widok z ulicy Grodzkiej. 1954. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.





mi zwykle stawało dwóch lokajów lub hajduków z zapalonymi pochodniami, przed pieszymi służący nosił płonąca pochodnię, otrząsali je o rogi kamienic lub uderzali nimi w drewniane bariery dla lepszego rozjaśnienia. Kawały rozpalonej smoły długo potem gorzały na ulicy, stąd dym i para. To jedno było światło, które ciemne, błotniste i po części drewnianymi domami poprzecinane ulice oświecało – między cuda policzyć należy, że się kiedy pożar nie wszczął.

Dopiero Kajetan Hryniewiecki, wprzód kasztelan kamieniecki, a potem wojewoda lubelski, mąż prawy, nieskazany i czynny wielką usilnością, wytrwałością i pracą wydobył te opuszczone i nieszczęśliwe miasto z rozwalin, z popiołów i błota. On też stanął na czele komisji boni ordinis...”

Być może owa działalność komisji „boni ordinis”, czyli komisji porządkowej, okazała się błogosławiona w skutkach, ale nie na długo. Lublin tak podupada stopniowo w ciągu następnego wieku, że w pierwszych latach XIX stulecia liczy zaledwie około siedem tysięcy mieszkańców. O dawnym jego znaczeniu pamięta już tylko historia. Dopiero wraz z początkami rozwoju przemysłowego, kiedy ludność wiejska poczyna ściągać z okolicy do miasta, Lublin powoli dźwiga się z długotrwałego upadku. Powstają tu liczne warsztaty rzemieślnicze, przekształcające się często w drobne fabryczki, poczyna rozwijać się przemysł spożywczy. Lublin obrasta w drobne cegielnie, w cukrownie i garbarnie. Nie zapominajmy, że jest to miasto leżące na jednej z najurodzajniejszych wyżyn Polski. Możliwości wynikające z tak korzystnego położenia Lublin wykorzystuje w nieznacznym tylko stopniu. Perspektywy rozwoju ekonomicznego zarysowują się dość nikle, a jedyne większe inwestycje miejskie, takie jak gazownia czy rzeźnia, powstają przy udziale kapitału zagranicznego.

Niechlubne tradycje pacyfikacji wiejskich podtrzymuje rząd Polski sanacyjnej. Pacyfikacje gromady Żuków w powiecie hrubieszowskim, w gromadzie Iłowiec, Hajowniki, Suchodębie, Skierbierzów i wielu innych przeszły do mrocznej historii tych lat: więzienie lubelskie nigdy nie było dość obszerne, by pomieścić tych wszystkich, którzy słowem i czynem domagali się społecznej sprawiedliwości, walczyli o ideę socjalizmu. Okupacja hitlerowska nie zahamowała tej walki, połączonej ze zbrojnymi wystąpieniami przeciw wrogowi. Setki ludzi zginęły dla przyszłości umiłowanego kraju. Ci, którzy przetrwali, budują go dziś w trudzie i poświęceniu.

\* \* \*

Lublin powojenny to miasto o dużej przyszłości. Dzięki założeniu Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej uważane jest za jeden z najbardziej aktywnych ośrodków życia naukowego w Polsce. Równocześnie zaś staje się ono ważnym centrum przemysłowym.

Przed wojną typowym dla Lublina zjawiskiem były, obok kilku większych fabryk, setki drobnych warsztatów wytwórczych i niewielkie fabryczki, sterzące wysokimi kominami w niebo lub ukryte w głębi bram: jakaś fabryka octu wypełniająca okolice Bramy Trynitarńskiej ostrym, kręcącym w nosie zapachem, fabryka wód mineralnych i słodyczy, destylarnia wódek, browar; z większych – garbarnie, wytwórnie wyrobów młynarskich, cegielnie i znana lubelska fabryka wag. Mimo że warsztatów tych było mrowie, nie mogły one zapewnić pracy tysiącom bezrobotnych (w Lublinie i woj. lubelskim około 40 tysięcy robotników i ponad 200 tysięcy chłopów pozostawało bez pracy w ciągu sześciu miesięcy w roku). Podobnie Katolicki Uniwersytet, żyjący z darowizn, nie mógł pomieścić młodzieży pragnącej zdobyć wyższe wykształcenie. Perspektywy rozwojowe



ówczesnego Lublina przedstawiały się dość martwo, nie zakrojono na większą skalę żadnego planu, który by uruchomić mógł niewykorzystane rezerwy ludzkie i przemysłowe. Dziś w Lublinie powstała największa w Polsce fabryka samochodów ciężarowych, po raz pierwszy w historii polskiego przemysłu produkująca ciężarówki o nośności pięciu ton; drugim poważnym obiektem wybudowanym w Lublinie w ciągu dziesięciolecia jest wytwórnia sprzętu komunikacyjnego, produkująca m.in. urządzenia dla nietypowych wozów osobowych i ciężarowych, części zamienne do traktorów oraz sprzęt mechaniczny dla rolnictwa. Rozbudowana została również z małej fabryczki, obecnie największa w Polsce Fabryka Miar i Wąg. Te trzy wymienione zakłady zatrudniają więcej robotników niż cały przemysł województwa lubelskiego w roku 1938. Wystarczy przypomnieć, że w roku 1938 Lublin zużywał zaledwie niecały jeden procent energii elektrycznej produkowanej w Polsce. Dziś dla potrzeb przemysłu i odbudowujących się miast trzeba było wybudować dwie nowe elektrownie.

Cztery nowe uczelnie, które powstały tu po wojnie: Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej, Akademia Medyczna, Wyższa Szkoła Rolnicza i Szkoła Inżynierska zasilają stale fabryki i instytucje społecznej użyteczności nowymi fachowcami, a ponieważ z warsztatów i placów budowy napływają wciąż nowi ludzie pragnący uzyskać specjalizację naukową, dokonuje się w ten sposób stała i obustronna wymiana między warsztatami pracy i nauki.

Lublin cierpiał przed wojną na głód mieszkaniowy. Bolączka ta zwiększyła się jeszcze po wojnie, zarówno w wyniku zniszczeń wojennych i długotrwałego braku remontów, jak i rozbudowy przemysłu. W ciągu dziesięciolecia wzniesiono nowe osiedla robotnicze dla około 20 tysięcy ludzi i rozpoczęto budowę nowego miasteczka uniwersyteckiego



(przewiduje się, że w przyszłości znajdzie tu pomieszczenie 10 tysięcy studiującej młodzieży).

Dzisiejszy Lublin liczy około 130 tysięcy mieszkańców, z których około 35 tysięcy zatrudnionych jest w miejscowym przemyśle. Plan generalny przewiduje, że od roku 1970 Lublin będzie miastem liczącym około 250 tysięcy mieszkańców, z dziewięcioma nowymi osiedlami mieszkaniowymi, w których powstanie czterdzieści nowych przedszkoli, sześćdziesiąt dwie nowe szkoły podstawowe, dwadzieścia zawodowych, osiem szpitali, setki sklepów i warsztatów mechanicznych; założony zostanie 100-hektarowy park ludowy, 125-hektarowy teren sportowy i wiele innych urządzeń.

\* \* \*

Tak oto, w bardzo pobieżnym skrócie wyglądają osiągnięcia i plany gospodarcze nowego Lublina. Na nieożywionych dotąd krańcach miasta, na cichych

Widok na Zamek Lubelski po ukończeniu prac na Podzamczu. 1954. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.

i pozbawionych charakteru przedmieściach powstają dziś nowe zakłady przemysłowe i osiedla. Lublin rozrasta się coraz bardziej, coraz bardziej oddalają się jego granice od piastowskiej kolebki – Starego Miasta. Ale piękna ta dzielnica pozostała nadal oczkiem w głowie mieszkańców Lublina. Nic w tym dziwnego. Ile bowiem pozostało w zniszczonej Europie takich uroczych średniowiecznych uliczek, jak biegnąca wzdłuż dawnego muru miejskiego ulica Szambelańska w Lublinie? Ile jest jeszcze takich dziedzińczyków z arkadami i podwórzy z drewnianymi balkonami porośniętymi wokół dzikim winem?

Kiedy więc już napatrzycie się do woli na panoramę Lublina, na kontu-

ry jego domów i wież rysujących się delikatnie na tle nieba, rozpocznijcie wędrówkę po jego zaułkach, po starych bramach domów, po zabytkowych kościołach, po uroczych skwerkach. Zajrzyjcie do Ogrodu Miejskiego zapraszającego szumem starych drzew, w których cieniu kryją się ławeczki z widokiem na szerokie trawniki rozciągające się po falistych pagórkach. Zajrzyjcie do Muzeum Lubelskiego i do czytelnicy przy Bibliotece im. Hieronima Łopacińskiego, w której znaleźć można niejedną ciekawy dokument z dziejów tego miasta. Powędrujcie szlakami starego i nowego Lublina, a z pewnością nie pożałujecie tego. Miasto to bowiem warte jest naszej miłości.

## Julia Hartwig

# Wierzby – wstęp do albumu\*

Ze wszystkich tematów, jakie podejmuje w swojej twórczości, pejzaż polski wydaje się tematem najulubieńszym, wkłada weń tyleż serca, co artystycznej i technicznej wiedzy.

Od utrwalania tego pejzażu rozpoczął swoje fotografowanie. Wieś lubelska, nadbystrzyckie łąki w grubej, porannej mgle, pożłobione koleinami drogi obsadzone drzewami i piaszczyste ścieżki niknące za pagórkiem, przecinki leśne, przestrzenie zbóż w południowym słońcu, porośnięte trawą pobocza gór rozbiegane kępami rumianków, lśniące łachy wiślane w blaskach zachodu, wśród dramatycznie zwichrzonych chmur, cienkie gałązki zarośli ledwo budzące się do życia na wilgotnym przedwiośniu – to ulubione wówczas przez niego tematy. Czy tylko wówczas?

Album, który miłośnicy fotografii Edwarda Hartwiga otrzymują dzisiaj, wskazuje, że umiłowanie natury towarzyszyło mu w całej jego drodze artystycznej. Nigdzie też, ani wśród harmonijnie ukształtowanych parków i ogrodów Europy, tak przecież urzekających i zarazem bliskich dzięki wspólnej tradycji stylów, ani wśród bujnej roślinności egzotycznych krajów, które zwiedza w swoich licznych wojażach, nie czuje się tak dobrze jak na swoich szlakach Lubelszczyzny, Sandomierskiego, Mazowsza czy Podkarpacia. Od dzieciństwa znane, a sztuką fotograficzną uwiecznione widoki, składają się na archiwum dziesiątków tysięcy zdjęć, stanowiących nieporównywalną z niczym w bogactwie i różnorodności suitę polskiej ziemi i jej zgrzebnego często pejzażu, podniesionego przez artystę

na wyżyny przepychu wprost królewskiego. I wydaje się, że właśnie w tym rodzimym pejzażu dochodzi do głosu pełnia osobowości Hartwiga, że widzenie natury staje się najwyższym sprawdzianem jego twórczości, tak przecież bujnej i różnorodnej.

Edward Hartwig nigdy nie szukał doskonałości w ograniczeniu. Ani formalnym, ani tematycznym. Formalnie eksperymentował zawsze, ale tyle tylko, ile wymagało nowoczesne widzenie świata i poczucie łączności z dążeniami współczesnych twórców.

Tematycznie – rzucał się bez wahania w każdą nadarzającą się przygodę wizualną, nie stawiając sobie żadnych barier ograniczających, idąc zawsze za tym, co go urzekło. Nigdy nie gonił za nowością programowo, choć też od niej nie stronił. Żyjąc jak każdy z nas, zarówno w żywiole natury jak kultury, z niestrudzoną ciekawością, jaka go cechuje, stara się w swojej sztuce stworzyć możliwie pełny obraz zastanego i tworzącego się świata. Wieczności i niezmienności poszukuje w naturze, w tych jej okolicach i zakątkach, które zachowały jeszcze swój pierwotny charakter i piękno, mimo zmian, czasem nieuniknionych, bo podyktowanych wymaganiami postępu, niekiedy bezmyślnych i wynikających z braku pietyzmu dla rodzinnej schedy.

Fotografia Edwarda Hartwiga nie ma jednak nic wspólnego ani z systematycznym utrwalaniem na zdjęciach swoich zabytków, ani z programowym obfotografowywaniem wybranych okolic Polski dla celów dokumentacyjnych. Jego zdjęcia to swobodnie prowadzony pamiętnik z wypraw artysty, w którym

\* Edward Hartwig, *Wierzby. Album fotograficzny*, Warszawa 1989, s. nlb. [2-38]. Tytuł pochodzi od Redakcji „Scriptores”.

z ogromną finezją pokazuje on obraz ziemi bliskiej nam wszystkim, choć zbyt mało znanej, byśmy potrafili docenić wszystkie jej uroki. Zachwyt artysty udziela się odbiorcy w sposób najbardziej bezpośredni, romantyczność tych zdjęć, jak określają to niektórzy, łączy się z komunikatywnością uczucia i formy.

Bywa, że tu, gdzie rozciągał się szeroki obszar łąk widocznych na zdjęciu sprzed lat, wybudowano nową linię kolejową, lotnisko lub fabrykę, że malowniczą dolinę, którą podziwiamy w archiwum Hartwiga, zamieniono od tego czasu w zalew wodny. Niejedna okolica, niedawno jeszcze odległa od cywilizacji i ruchu turystycznego, cicha dotąd i sielska, stanowiąca temat jego artystycznych impresji, stała się następnie celem masowych wycieczek i hałaśliwych biwaków. Niejedna chałupa pod strzechą, ogrodzona płotem z wierzbowej łożyny lub z ozdobnie przykrajanych desek, niejedna sędziwa stodoła, przyciągająca wzrok swoimi proporcjami, znikły dziś bez śladu; nie mówiąc już o zaoranych alejach starych drzew, które wytrzebiono, i malowniczych skarpach dolin rzecznych, stanowiących niegdyś schronienie dla ptactwa i drobnej zwierzyny. Tak więc, choć ich autor nie zakładał sobie takiego celu, zdjęcia nabierają z czasem wartości dokumentu, natura bowiem zmienia się, podobnie jak wszystko dokoła nas.

Przykładem takiego zdjęcia, które po latach nabrało wartości niejako historycznej, jest jeden z przedwojennych pejzaży Hartwiga, zaliczany do jego okresu retro – bo nazwą tą, odnoszącą się do sztuki końca ubiegłego wieku i początków nowego stulecia, określa się czasem zjawiska artystyczne noszące cechy stylu nieodległego w czasie, ale już przybliżonego i „niemodnego”. Zdjęcie to przedstawia okolice Lublina w porannej mgłę, z której wyłaniają się, na drodze wysadzonej wierzbnami, kobiety w chustkach, niosące do miasta bańki z mle-

kiem w zarzuconych na plecy lnianych płachtach. Fotogram ten, pokazywany na wystawach klasyków naszej fotografii, podobnie jak cała seria „zmiękczonej” krajobrazów Hartwiga z tego okresu, ma przede wszystkim wartość artystyczną. Ale dostarcza nam również dodatkowej informacji o przedwojennej kulturze materialnej i obyczajowości wsi lubelskiej. Bo kto widuje dzisiaj kobiety dźwigające w ten sposób mleko do miasta? I gdzie spotyka się jeszcze lniane płachty, tkane ręcznie na domowym warsztacie? Może czasem gdzieś w rejonach północno-wschodnich, ale dziś są to raczej tkaniny ozdobne, narzuty lub chodniki. Używane teraz na wsi płachty i prześcieradła są już niemal wyłącznie pochodzenia fabrycznego.

W krajobrazach fotografowanych przez Hartwiga spotykamy jednak rzadko ludzi. Owszem, pojawiają się czasem, jako sztafaż, ludzie i zwierzęta. Jakby po to, żeby przypomnieć nam o ich związkach ze światem przyrody. Nie stanowią jednak nigdy centrum artystycznego widzenia. Pejzaże te żyją własnym, odrębnym życiem, jak gdyby podpatrzonym z ukrycia; ziemia zdaje się tu oddychać radością istnienia, cała oddana pracy wzrostu i skrzepianiu sił żywotnych swoich roślin i drzew, suwerenna w porozumiewaniu się z żywiołem powietrza, chmur, wiatru i deszczu, wystawiona na śnieżne zawieje i upalny żar letni. Hartwig nie zadowala się ukazaniem wyszukanych fragmentów lub prezentowaniem tak zwanych „ciekawych ujęć”. Jest wierny obrazowi, który ma przed oczami, stara się pokazać naturę w całym jej bogactwie, z zachłannością, która odpowiada zachłanności samej natury. Fotografia Hartwiga jest jakby odpowiedzią serca i wzruszenia na wyzwanie tego nieogarnionego piękna, które się przed nami roztacza. Ukazuje w swoich zdjęciach wszystko, co nam bliskie: świat drzew i lasów, łąk, rzek i rzeczulek, szerokie śniegowe połacie



kryjące zaspane po okna chałupy, świat rozlewisk, w których odbija się jesienią mdły zarys słonecznej tarczy lub połykających zimnym światłem tuż przed zmierzchem pogodnego dnia, świat łagodnie sfalowanych wzniesień Pogórza, z kępami krzewów i stadami pasących się owiec. Do świata tego artysta powraca bezustannie, szukając w nim harmonii i elementarnej prawdy, tak trudnej do odkrycia w świecie miejskiej gorączki i maskujących konwencji ludzkiego współżycia. Natura sprawia, że do głosu dopuszczone zostają niezmiernie zasoby liryzmu i romantycznych umiłowani. Pejzaże Hartwiga stanowią niejednokrotnie rodzaj czarownic feerii, zwłaszcza kiedy nadaje im ów srebrzysty koloryt, dzięki któremu materia drzew i krzewów staje się jakby z włosów aniel-

skich utkana, stanowiąc rodzaj niezwyklej naturalnej dekoracji.

Pokazać krajobraz polski tak, by ogarnąć go w całej jego różnorodności, od Tatr po Bałtyk, od zielonego i czarnego Śląska po śpiewną Białostoczną i surowy urok Bieszczadów – to rzecz prawie niemożliwa, jeśli uniknąć chęmy powierzchowności i dowolnych wyborów. Próby takiej dokonał już zresztą kiedyś w albumie *Moja ziemia*, który jest jedynym bodaj u nas autorskim albumem fotograficznym poświęconym wyłącznie pejzażowi. Bo książkę *Pieniny* poświęcił jednej już tylko z okolic Polski, które sobie szczególnie upodobał. Tym razem intuicja podyktowała Hartwigowi wyjście ujmujące w swojej prostocie i zarazem oryginalności: postanowił pokazać Polskę poprzez

Wiejskie kobiety w drodze do miasta. Lata 20./30. XX w. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



jej drzewa, a nawet jeszcze wężiej: poprzez najbliżej i najserdeczniej związaną z charakterem rodzimego pejzażu – naszą pocziwą, pospolitą wierzbę. Czy mu się to udało? To już oceni każdy z nas z osobna. Jedno jest pewne, ten wąski z pozoru temat wyprowadził go na wszystkie polskie drogi i pola, na północ i południe, na zachód i wschód Polski, bo nie ma – poza najwyższymi Tatrami – w Polsce miejsca, gdzie nie napotkalibyśmy tego drzewa, mającego dziesiątki odmian, a w każdej odmianie – tysiące własnych postaci. Bo żadne chyba inne drzewo nie przybiera tylu i tak ciekawych kształtów jak wierzba, nie nosi tylu cech indywidualnych.

Wiele jest elementów, które decydują o jakości pejzażu: ukształtowanie powierzchni, gatunek ziemi i jej barwa, trawy, krzewy i kwiaty, wody rzek, przepływających bystro w jarach lub rozlewne; a także nad tą ziemią niebo skłębione chmurami lub czyste; wszystko to składa się na krajobraz. Ale ostateczny charakter nadają mu drzewa. Mickiewiczowskie „rodzinne drzewa”. Kiedy stoją samotnie na polach niczym zatrzymani w wędrówce pielgrzymi albo jak obejmująca się ramionami grupa taneczna, tworząc młody gaj. Albo jak trudny do przeniknięcia tłum; kiedy tłoczą się w ciemnej masie boru. O krajobrazie stanowi wszystko co żyje i rośnie, rozwija się i kwitnie, ale drzewa sprawują nad nim straż, są najtrwalszym uczestnikiem tego nieograniczonego misterium natury, dopóki nie obali ich wiatr czy burza albo nie uszkodzi ludzka ręka. Drzewo łączy ziemię z niebem, jego stojąca postawa najbardziej przypomina człowieka, nawet jego kształt ma w sobie coś ludzkiego. Kiedy idziemy przez pustkowie, spotkanie z drzewem jest spotkaniem braterskim. Drzewa zadrzewiają okolice, podobnie jak ludzie ziemię zaludniają. Ze wszystkiego też, co istnieje na ziemi, człowiek najchętniej porównuje się do drzewa. Przypisuje

drzewu charakter, obdarza je duszą. Jest bowiem w drzewie szlachetność postawy, dzielność w cierpliwym znoszeniu chłodów i huraganów przypominająca wytrwałość ludzką na przeciwności losu, co sprawia, że tak często wspominają o drzewach poeci, że od wieków służą one za figurę retoryczną mówcom i kaznodziejom. Mają też one poczesne miejsce w symbolice ludowej, w ludowych pieśniach i gadkach.

Niegdyś były drzewa przedmiotem kultu, bóstwami lub pośrednikami boskich mocy. I, podobnie jak bóstwom, przypisywano im osobowość i charakter, dobre lub złe intencje. Za drzewo najdostojniejsze uchodził od niepamiętnych czasów dąb, drzewo święte druidów i starożytnych Greków, czczony też w świętych gajach Słowian. Majestatyczny olbrzym, dobrotliwy w czas pogody i siejący postrach, kiedy błyskawice biły w niego podczas burzy. Czcią otaczano również lipę, drzewo zgody i domowego bezpieczeństwa. A także świerk i jodłę, pod którą sny były prorocze. I życzliwy ludziom jesion z jaworem. W najstarszych opowieściach, w mitach różnorodnych kultur występują drzewa towarzyszące wierzeniom ludzkości: drzewa prorokujące, wyrokujące o losie poszczególnych ludzi i zbiorowości.

Człowiek żyje z drzewami za pan brat, a jednak czuje przed nimi tajemniczy respekt. Sadzi je też nie tylko dla licznych pożytków i nie tylko dla ich urody, lecz także z racji wyższych, nie mających ani charakteru praktycznego, ani estetycznego. Sadzić drzewo – to jakby przedłużać własne życie. „Nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las” – mówi przysłowie. W wielu krajach świata panuje tradycja sadzenia drzew dla upamiętnienia i uświęcenia ważnych wydarzeń życia domowego lub publicznego. Wybiera się w tym celu gatunki najbardziej okazałe i długowieczne: dąb, platan, baobab, cedr lub sekwoję, zależnie od szerokości geograficznej.



Podróżując po świecie, poznajemy nie tylko nowych ludzi i nowe obyczaje – również nowe gatunki drzew. Krajobraz Włoch, znanych z popularnej pieśni jako kraj „gdzie cytryna dojrzewa”, kojarzy się nam również z wystrzelającym w niebo cyprysem o ciemnej zieleni i z parasolowatą pinią; brzoza uchodzi za drzewo typowe dla krajobrazu rosyjskiego: z Paryża pamięta się głównie łaciate platany nad Sekwaną; drzewa oliwkowe nadają charakter krajobrazowi greckiemu; pejzażyści angielscy, podobnie jak holenderscy, z upodobaniem umieszczają na swoich obrazach stare, rozłożyste dęby wznoszące się wśród pól i na wrzosiśkach.

A z naszych drzew – klonów, jesionów, sosen, wierzb i topoli – które uznać by można za najbardziej typowe?

Edward Hartwig uznał za takie wierzbę i nie jest w tym przekonaniu odosobniony. Być może tylko lipa, ta z fraszki Kochanowskiego, zadomowiona w naszej pamięci dwuwierszem „Gościu, siądź pod mym liściem i odpocznij sobie” – mogłaby tu walczyć z wierzbą o pierwszeństwo. Ale lipa staje się u nas ostatnio drzewem coraz rzadszym, coraz mniej na wsi i w mieście alej i ulic wysadzanych lipami o słodko pachnących kwiatach, wokół których unoszą się z brzękiem roje pszczół, coraz mniej też lip przy wiejskich domostwach. Gdy tymczasem wierzba wciąż jeszcze towarzyszy nam wiernie, być może dzięki swoim skromnym potrzebom i łatwej adaptacji. Jest nad morzem, zwłaszcza na Żuławach, i w górach, aż po górny regiel – nawet na wydmach, gdzie

Chata, okolice Lublina. Lata 20./30. XX w. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

przybiera postać płożącą. Jej znajome kształty spotykamy nad brzegami rzek i na mokradłach, są wierzb dziesiątki odmian, a wszystkie rozpoznawalne, jak członkowie licznej rodziny o silnie zarysowanych wspólnych cechach: jest wierzba piaskowa i wiciowa, siwa i lapońska, są wreszcie gatunki dekoracyjne wierzb płączących i kulistych, i wiele jeszcze, których nie sposób tu wymienić. Pospolitość tego drzewa sprawiła, że stało się nam bliskie. Wystarczy wełknąć w ziemię patyk wierzbowy, a możemy być niemal pewni, że pokryje się on na wiosnę zielenią. Uważana kiedyś za drzewo płodności, czczona była wierzba i strojona w kwiaty przez kobiety pragnące potomstwa. Podobnie jak lipa była drzewem opiekuńczym starych rodów lub klanów.

Wierzby, okolice Lublina. Lata 20./30. XX w. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



Wyobrazenie o wierzbie jako o drzewie bardzo polskim towarzyszy nam od dzieciństwa. Nie tylko spotykamy je przy każdej niemal drodze, ale jej fantastyczne kształty dodają niesamowitości ilustracjom do baśni ludowych znajdujących się w dziecięcej biblioteczce: tu ktoś ukrył skarb w wierzbowej dziupli, tam znów diabeł usadowił się na jej czubie i straszy zapóźnionego przechodnia podczas pełni; co zaś jeszcze dziwniejsze, bywa, że diabeł ten nazywa się Rokita, rokita zaś to nic innego jak nazwa jednej z odmian wierzb.

Jak z tego widać, niesamowite postaci przybierane przez to drzewo sprawiły, że ludowa wyobraźnia od bardzo dawnych czasów włączyła wierzby w krąg guseł i nieczystych duchów. Jest bowiem w wierzbach różnorodność kształtów i postur ogromna: jedna przygarbiona, z rozczochraną koroną liści, jak stara wiedźma-zamawiaczka, inna jak zreumatyzowana starucha o powykręcanych członkach, z pokraccznymi naroślami wzdłuż chropowatego pnia, jeszcze inna z dziuplą na przestrzał, jak jednooki cyklop, niechętny światu, i znów inna – pusta górą, jak tuba z kory, z której rozlega się nocą pohukiwanie sowy, nie mówiąc już o tej, która wyrwiona kiedyś przez burzę, rośnie teraz głową zaryta w ziemię, z korzeniami sterczącymi w niebo, igrając sobie z naturalnego porządku.

Kiedy znakomity autor plakatów, Tadeusz Trepcowski, szukał symboli obrazowych, które najbliższe byłyby muzyce Chopina, umieścił nad rzędem czarno-białych klawiszy fortepianu – szereg wierzb przydrożnych. Z wierzbą też połączył postać Chopina twórca pomnika patronującego Łazienkom. Jest bowiem jakaś niewątpliwa bliskość tych drzew z Chopinowskimi mazurkami, z ich zadumą i skocznością, z mazowiecką ziemią, której melancholijną monotonię ozywają swoimi człekopodobnymi sylwetkami. Ze wspomnień mgieł,



jakie wokół tych wierzb snują się raniem i wieczorem, kiedy parują pobliskie łąki, rodzi się to uczucie rzewności przybierające postać muzycznej i poetyckiej nostalgii. „Zielone przy drogach wierzby i topole” wspomina Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*, o „wierzby opłakaniej wodzie” mówi w *Godzinie myśli* Słowacki. Z poetycką apostrofą zwraca się do wierzby Teofil Lenartowicz:

Witam cię, drzewo ty najmniej cenione.  
Piasków Mazowsza jedyna ozdobo!  
Na pustej wydmie wraz się schodzę  
z tobą,  
nad wodą, w polu i przed wiejską sienią!

Bo też najwięcej jest jej na Mazowszu.  
Ale poeta Kazimierz Laskowski czyni  
jej dom szerszym, nobilituje ją, uznając  
za znak rozpoznawczy dla Polski całej:

Tyś widział gaje stepowych czereśni.  
Widziałeś laurem spowite skały,  
Mnie dość! Gdzie polem powiewa  
wierzbina.  
Wiem, że się Polska kończy lub zaczyna.

Widzi w niej też niemego świadka  
polskiej historii, kiedy zapytuje: „Czy  
są na świecie pieśni / silniejsze od tych  
wierzbnych szlochów / Na naszych drogach:  
Raszyn, Wola, Grochów!”. I za słowami  
tymi widzimy zaraz pola bitew  
powstańczych i pobojuwiska, nad który-

mi pochylają się z miłosiernym szumem  
wierzby, i widzimy judymowską rozdartą  
sosnę i nurt wiernych rzek, cały ten  
tak polski pejzaż, który artyści na zawsze  
związali w naszej świadomości z historią  
i jej bohaterami.

Nie czynimy jednak z wierzby wyłącznie  
płaczki żałobnej i osmętnicy. Jej  
zadziwiająca siła żywotna i moc odradzenia  
się, jej skromne potrzeby i odporność  
czynią ją podobną do pełnego  
żywotności ludu, który tę ziemię wraz  
z nią zamieszkuje. Ona pierwsza wita  
wiosnę, zakwitając srebrnymi baziami,  
kiedy śnieg leży jeszcze na polach  
i wiosna wydaje się tak daleka, że niemal  
nierzeczywista. Zrywamy więc wierzbowe  
baze, żeby cieszyć się nadzieją,  
którą nam zwiastuje. Te kwitnące gałązki  
osypane „kotkami” są nie tylko zapowiedzią  
odejścia zimy, ale także naszą  
palmą pokoju na Palmową Niedzielę.  
Związana z obrzędem wielkanocnym,  
malowana na kartkach świątecznych  
i zawieszana na ścianie palma wierzbową  
stanowi piękny symbol odradzenia się  
w radości.

Z wierzby wycinał kiedyś pastuszek  
fujarkę. I jej melodyjny głos niósł się  
daleko polem, na przemian tęskny, to  
znów skoczny. Dziś nie ma już pastuszków  
z fujarkami. Tylko wiatr gra ciągle  
w ruchliwych, wąskich listkach wierzby,  
towarzyszącej nam z serdeczną wytrwałością.



## Julia Hartwig Hanka i Anna\*

Obszernego wyboru wierszy Anny Kamieńskiej w tak zwanej złotej serii PIW-u dokonał ksiądz Jan Twardowski, którego posłowie do tej książki ukazało się niedawno w dodatku literackim do „Rzeczpospolitej”. Tekst ten jest świadectwem przyjaźni łączącej księdza Twardowskiego z Anną, nawiązanej podczas choroby i po śmierci męża poetki, Jana Śpiewaka.

Przygnieciona utratą człowieka najbliższego, Anna Kamieńska stanęła wobec pytań ostatecznych, na które – jak zwierza się w swoich *Notatnikach* – nie potrafiła sama odpowiedzieć. W księdze Twardowskim znajduje przyjaźń i zrozumienie. Wiele z nim przebywa i poszukiwania jej powoli, ale coraz bardziej zdecydowanie kierują się ku wierze, w której, po okresie dociekań i wątpliwości, znajduje trwałe oparcie. Coraz częściej zaczynają się pojawiać w jej twórczości wiersze o charakterze religijnym. Bunt i niezgoda na utratę tego, co jej najdroższe, ustępuje powoli miejsca zrozumieniu religijnego sensu cierpienia. W wierszach z *Białego rękopisu* i *Herodów* ból wydziedziczenia ze szczęścia odsłonięty jest z otwartością niespotykaną dotąd we współczesnej poezji polskiej.

Dla mnie rocznica śmierci Anny Kamieńskiej to przede wszystkim przywołanie wspomnienia o najtrwalszej przyjaźni moich lat dziecięcych i młodości. Z trudem dopuszczam świadomość, że więź tak silnie nas łącząca w latach przedwojennych i podczas okupacji niemieckiej, niemal całkowicie rozluźniła się w latach dojrzałości, kiedy rozłączyły nas odmienne związki ludzkie, odmienne środowiska, w których

się obracaliśmy. Nie wpłynął na to żaden wyraźny fakt, żaden konflikt, ale do dawnej bliskości nie było już powrotu.

Anna była niewątpliwie typem wyznawczym; zrazu pełna wahań i wątpliwości, z chwilą kiedy znalazła twardy grunt, na którym można się było oprzeć, trzymała się go nieustępliwie, oddając się raz przyjętej sprawie z surowością przypominającą regułę zakonną. Pierwszym etapem takiego zaangażowania była jej działalność w piśmie poświęconym problematyce ludowej. W Lublinie, w 1944 roku, związała się z redakcją tygodnika „Więś”, którego zadaniem było propagowanie reformy rolnej. Zagłębiła się wówczas w literaturze poświęconej tej tematyce i ogłosiła we „Wsi” wiele rozpraw i artykułów. Po wyjeździe z Lublina wiedzę uzyskaną jeszcze przed wojną w Liceum Pedagogicznym uzupełniła studiami z filologii klasycznej na Uniwersytecie Łódzkim, co pozwoliło jej następnie tłumaczyć poetów starożytnych. Poświęciła się teraz niemal bez reszty literaturze. Pisała nie tylko wiersze, ale także eseje, książki dla dzieci, tłumaczyła wiersze z różnych języków, między innymi z bułgarskiego i rosyjskiego, nauczyła się nawet hebrajskiego, żeby tłumaczyć Psalmy; w ostatnich latach tematyka religijna i teologiczna zaczęła górować w jej zainteresowaniach, co znajduje wyraz w jej twórczości. Wkrótce też stała się autorytetem w tej dziedzinie, zapraszano ją na odczyty nawet do seminariów duchownych, a kardynał Józef Glemp, uczestniczący w uroczystościach pogrzebowych, nazwał ją w swojej homilii „prorokinią Anną”. Kiedy to piszę, nie mogę wprost

\* Ze zbioru *Pisane przy oknie*, Warszawa 2004, s. 42-46. Dziękujemy wydawnictwu „Więź” za zgodę na przedruk.

Na sąsiedniej stronie: drzewa nad wodą, okolice Lublina. Lata 30. XX w. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

utożsamiać tych dwóch postaci: kilkunastoletniej Hanki, z którą spędzałam wakacje w domu jej dziadka, w Świdniku, i tej nieznannej mi „prorokini”.

Odszukałam niedawno w moich papierach adresowane do mnie listy Hanki z lat 1937-1938, a więc tuż sprzed wojny, kiedy obie chodziłyśmy jeszcze do szkół. Jest tych listów kilkanaście i pisane są głównie z Warszawy, albo z Boryszewa i Stawiec, gdzie Hanka miała różnych wujków i stryjów, właścicieli mająteczków ziemskich. W listach tych, w których opisuje stosunki panujące w szkole, rozrywki wiejskie, żniwa i dożynki, powraca często motyw poszukiwania wiary i płynące z jej braku poczucie niemocy wewnętrznej. W jednym z nich opisuje swoją wizytę z matką w Laskach.

A pisząc o Hance, nie sposób nie poświęcić bodaj kilku słów jej matce, która wywarła ogromny wpływ na kształtowanie się jej charakteru. Z zawodu i zamiłowania pracownica socjalna, obdarzona darem surowego współczucia, wyrażającego się nie w słowach, lecz w działaniu, była osobowością zupełnie wyjątko-

wą, obdarzoną niezłomnością moralną i dzielnością. Wdowa, wychowująca cztery córki o wyrazistych indywidualnościach, szczerze bolała nad kłopotami z wiarą, które trapiły jej poetycko utalentowane dziecko.

Postać matki powraca w wielu wierszach Anny Kamieńskiej. Zawsze ukazana jest ona z najwyższą miłością i podziwem, jako wzór absolutny. A mimo to trwał między nimi niekończący się spór, matka toczyła nieustanną walkę o duszę swojego dziecka. Pamiętam dotąd, jak ta próba sił zadziwiła właśnie mnie, pozbawioną matki od dziewiątego roku życia, rosnącą bez żadnej niemal kontroli, zawsze z ufnością, że sam los jakoś mnie poprowadzi. Młodzieńcze udręki, których echo powraca w ówczesnych listach Hanki, napotykały z mojej strony – co również znalazło wyraz w jej listach – pełne pokrzepienia riposty, których źródła nie wiadomo dziś, gdzie szukać: w niefrasobliwości? W instynkcie samozachowawczym? A może po prostu Anna potrafiła drążyć głębiej, stawiając pytania, które mnie wówczas nie przychodziły do głowy.

Spotkanie absolwentek Gimnazjum im. Unii Lubelskiej. Na zdjęciu m.in. Maria Chorążanka – obecnie Modzelewska (druga z lewej), Anna Kamieńska (druga z prawej) i Julia Hartwig (pierwsza z prawej). Lata 60. XX w. Zbiory prywatne Danuty Bańkowskiej.





Jeden z odnalezionych listów wydaje mi się szczególnie znaczący, zapowiada bowiem już tę Annę, w którą młoda dziewczyna miała się przeobrazić. Jest to list z opisem jej wizyty, wraz z matką, w Laskach: „Nie miałam pojęcia o Laskach, gdy tu jechałam. Ale to mnie od razu uderzyło. Jak potem zobaczyłam, nie byłoby Lasek, gdyby nie wiara. Siostry przychodzą do kaplicy po nowe siły do pracy. [...] Nie napisałam ci jeszcze, że w Laskach jest dom rekolekcyjny. Tam przyjeżdżają najlepsi mówcy i najmądrzejsi księża, którzy prowadzą rekolekcje. Każda osoba dostaje celkę dla siebie i tam przebywa cały czas w samotności. Właśnie odbywały się i teraz takie rekolekcje. Podobno już wiele osób nawróciło się tutaj. Gdybym i ja!”

Dziś, czytając te słowa: „Gdybym i ja!”, widzę wyraźnie, że przez wszystkie lata chłodu wobec wiary, grunt na jej przyjęcie był w Annie jakby przygotowany. Chciała tego. Czekala na to. I trzeba było dopiero takiego doświadczenia jak śmierć, która nawiedziła jej dom, by powoli dorosła do czekającego ją zadania. Dalszy ustęp jej listu, cytata z broszury wydanej w Laskach, uderza bliskością refleksji, do jakiej miała dojść sama kilka dziesiątków lat później, kiedy przyszła na nią chwila próby: „W świetle Wiary cierpienie przestaje być czymś przypadkowym, jakąś niezasłużoną krzywdą wyrządzoną człowiekowi, ale nabiera znaczenia głębokiej mistycznej tajemnicy. Przyjęte dobrze, jako wypełnienie nauki Krzyża, którą głosił Chrystus Pan, staje się źródłem postępu duchowego człowieka, a co za tym idzie źródłem jedynego szczęścia. Przyjęte źle – będzie

istotnie klęską dla niego i początkiem jego zguby”. Fragment ten znalazł się w liście Hanka z 1938 roku. W jej *Notatniku* zaś, pisany kilka dziesiątków lat później, czytamy zdanie, cytowane zresztą przez księdza Twardowskiego: „Szukałam męża, a znalazłam Boga”. Taka była jej odpowiedź, po kilkudziesięciu latach, na naukę o cierpieniu wy czytana w broszurze z Lasek.

Wszystko, co tu napisałam, wydawać się może nazbyt intymne jak na doraźną publikację. Gdyby nie to, że i wiersze Anny Kamieńskiej, i oba *Notatniki* – (1965-72) i (1973-79) – są tak otwarte w swoich wyznaniach, że niejako usprawiedliwiają te rozważania. Wydaje mi się zresztą, że wiele z tego, co napisano o Annie Kamieńskiej, często grzeszyło schematyzmem, a i ja zapewne nie potrafiłabym powiedzieć o niej tyle, ile jej się z pewnością należy. Wyraźny jest jednak dla mnie jej obraz z lat dziecińczych i młodzieńczych. Hanka rysuje mi się zawsze na tle swojej rodziny, sióstr, więcej mi niż bliskich, jej matki, wobec której czułam serdeczny respekt, i wspaniałej babki, szczupłej pani w białym żabocie, obdarzonej niecodziennym poczuciem humoru, którą łączyło z Hanką jakieś ciche porozumienie. Tę naszą paniąską przyjaźń, udokumentowaną garstką listów, można by uznać za przypadek jeden z wielu, gdyby nie to, że w jej następstwie powstały setki stron zadrukowanego wierszem i prozą papieru, podpisanych nazwiskami dwu dziewcząt, wówczas początkujących poetek z Lublina.

Wrzesień 2001



## Julia Hartwig

# Fotografia udomowiona\*

Nikt w naszej rodzinie nie znosił fotografii. Nikt poza ojcem, który zajmował się nią nie tylko dla zarobku, ale z upodobania. Tak, mogę powiedzieć, że właściwie nienawidziliśmy fotografii. My, pięcioro dzieci Ludwika Hartwiga, szanowanego obywatela miasta Lublina, który obfotografował pokolenia lubliniaków od niemowlęctwa do wieku sędziwego. Zajmował się fotografowaniem, dopóki mu sił starczyło i dożył wieku sędziwego, podobnie jak jego syn Edward, który zmarł niedawno, mając dziewięćdziesiąt cztery lata.

Obaj moi bracia, będąc w wieku szkolnym, nie cierpieli fotografii, ponieważ poza obowiązkami szkolnymi – a byli wówczas obaj uczniami gimnazjum – musieli pomagać ojcu, który zlecał im co rano płukanie skopiowanych przez niego nocą odbitek pod lodowatą często wodą z kranu, znajdującego się na podwórku naszego lubelskiego domu przy ulicy Staszica, a potem, kiedy wracali ze szkoły, zatrudniał ich do segregowania zdjęć i wkładania ich do kopert. Obowiązki te skracały znacznie czas przewidziany na kopanie piłki na boisku, co było w tym czasie ich ulubioną rozrywką.

Również naszej matce nieoszczędzone były zajęcia związane z zawodem ojca. Do jej zadań należało retuszowanie klisz, bo wtedy jeszcze zdjęcia się retuszowało. Oszczędzało jej to, co prawda, trudów gospodarskich, ale na pewno wolałaby zajmować się domem, nad którym czuwała, jak pamiętam, bez zbytniego zapału wynajęta w tym celu „gospośia”.

Nie znosiliśmy fotografii, bo była panią naszego życia, z niej utrzymywała

się rodzina po ucieczce moich rodziców z Rosji w 1918 roku i osiedleniu się w Lublinie, który miał być początkowo jedynie etapem w drodze do stolicy, a stał się miejscem naszego stałego pobytu. Fotografia utrzymywała nas, ale tak skromnie, że nie potrafiliśmy być jej za to wdzięczni, zwłaszcza że rodzice i moi bracia i siostry, którzy urodzili się i wczesne dzieciństwo spędzili w Moskwie, pamiętali czasy, kiedy w domu było wszystkiego w bród, a ojca, który był właścicielem dwóch zakładów, stać było na piękny dom i powóz. Tamtejsza Moskwa to był blask, szum, życie dostatnie, opera i teatry. A cóż Lublin? A jednak, kiedy rodzice przekroczyli granicę polską, mój ojciec kazał dzieciom klęknąć i ucałować ziemię, na której szczęśliwie udało się im wszystkim schronić.

Jak więc wytłumaczyć sobie fakt, że brat mój, Edward, w latach trzydziestych młodziemiec urzekającej piękności, gustujący w rozrywkach i koleżeńskich spotkaniach, zafascynowany malarstwem i snobujący się na życie malarzkiej cyganerii Lublina i Kazimierza, umierając w sędziwym wieku, doczekał się takiego uznania jako mistrz polskiej fotografii i że dzięki sztuce fotograficznej, której tak nienawidził za młodu, zdobył sobie sławę międzynarodową, odznaczenia, nagrody i medale? Myślę, że gdyby ktoś próbował wyrzucić mu w młodości podobną przyszłość, on uznałby to za niestosowny żart. A jednak tak się stało. To, przed czym tak uciekał w latach chłopięcych, okazało się nieoczekiwanie przedmiotem jego miłości, pasji, trudu, często nawet poświęcenia. Pokochał tę znenawidzoną

\* Ze zbioru *Pisane przy oknie*, Warszawa 2004, s. 166-169. Dziękujemy wydawnictwu „Więź” za zgodę na przedruk.

Na sąsiedniej stronie:  
Edward Hartwig. 1980. Fot.  
Paweł Pierściński. Zbiory  
prywatne Ewy Hartwig-  
Fijałkowskiej.





Edward, Maria i Walenty Hartwigowie przed rodzinnym zakładem fotograficznym. Fot. Ludwik Hartwig. Zbiory prywatne Julii Hartwig.

w dzieciństwie fotografię miłością namiętną, na nią przeniósł swoje zawiedzione malarskie ambicje.

Już pierwsze jego zdjęcia, te lubelskie, przedwojenne, z lat dwudziestych i trzydziestych, świadczyły o narodzeniu się artysty, o upodobaniach człowieka kochającego światło i mgłę, ukazywały jego przywiązanie do Lublina, którego starożytne piękno utrwałał na kliszach, do pejzażu podmiejskiego, z piaszczystymi drogami biegnącymi przez las, do spowitej w mgłę Bystrzycy, którą pokazuje o świcie, kiedy wieśniak poi w niej właśnie konia, zaprzężonego do drabiniastego wozu. Wczesnym rankiem zatrzymuje się z aparatem przy okutanej w chusty stróżce, zamiatającej wierzbową miotłą ulicę pod Bramą Żółtą, przyciągając jego wzrok dwie smukłe Cyganki palące papierosy w bramie o gotyckim sklepieniu, zagląda do kościoła Dominikanów na Starym Mieście i dostrzega w nim zakonnika klęczącego na posadzce w smudze padającego z okna światła.

Byłam zaledwie uczennicą, kiedy powstawały te zdjęcia, przypominające malarskie obrazy, ale zachwycały mnie już wówczas. Kiedy pisanie stało się już moim zawodem, mogłam dać wyraz mojemu podziwowi dla sztuki brata, pisząc wstępy do jego albumów, i robiłam to zawsze z przekonaniem, że przyłączam się do dzieła, które warte jest mojej wiernej asysty. Nasłuchiwałam się przy tej okazji dziesiątków opowieści z opisem niecodziennych perypetii tego zachłannego poszukiwacza fotograficznego tematu. Opowiadał mi o swoich wyprawach w stronę Motycza czy Końskowoli, o wielokrotnych podróżach do Kazimierza, które odbywał przed laty furmanką, siedząc na workach wypchnych słomą, w przygodnym towarzystwie. Widząc odsłaniający się nowy pejzaż, który go zaciekał, zeskakiwał z wozu, by go sfotografować, a kiedy reszta podróżujących niecierpliwiła się, rezygnował z jazdy i resztę drogi odbywał pieszo. Kochał ludzi, kochał



rodzinę, ale najwierniejszym jego towarzyszem był aparat.

Co do mnie – nigdy nie fotografowałam, nie czułam takiej potrzeby. Widać przetrwała we mnie zachowana z dzieciństwa niechęć do tego zawodu, który stał się dla mnie symbolem przymusu. A przecież wiedziałam, że również nasz ojciec, podobnie jak w wieku dojrzałym Edward, kochał swój zawód, i choć nie zasłużył na miano artysty, był dobrym zawodowcem. Pracował często po nocach i dotąd pamiętam dobiegający z ciemni, gdzie kopiował, melodyjny jego gwizd, odtwarzający melodie arii operowych, bo teatr i operę kochał na równi z klasykami literatury rosyjskiej. Te dziecinne wspomnienia nie przeszkodziły mi w późniejszych latach w obcowaniu z dziełami sztuki fotograficznej, a nawet w zdobyciu o niej pewnej wiedzy. Zdziwił mnie poziom wspaniałej fotografii amerykańskiej, pilnie wertowałam albumy Cartier-Bressona, w których tak wierny wyraz

znajduje powszednie życie paryskich uliczek i małych kafejek, gdzie przy kontuarze przesiadują nad kieliszkiem wina przygodni goście, podziwiałam jego mistrzowskie zdjęcia oddające nudę i zarazem zaciszność prowincjonalnych miasteczek.

Mój brat uważnie śledził osiągnięcia swoich wielkich kolegów, nie ustając zarazem w poszukiwaniu nowych dróg swojej własnej twórczości. Byliśmy dumni, że znalazł się wśród dziesięciu największych fotografików świata. Myślałam, że i jemu sprawiało to satysfakcję. Ale nadal i wciąż, mimo tak zaawansowanego wieku, najważniejsze było oko i wrażliwość. Jego córka Ewa – zarażona przez niego również bakcylem fotografowania – opowiada, że kiedy pewnego dnia, już w ostatnich miesiącach jego życia, wyprowadziła ojca na spacer, nagle zatrzymał się i wykrzyknął: Spójrz, jakie wspaniałe światło! Masz aparat?

Grudzień 2003



## Julia Hartwig **Lublin niezapomniany\***

Kochamy miasto rodzinne za wspomnienia naszego dzieciństwa i młodości. Minęły dziesiątki lat, a ja wciąż oglądam dziecinnymi oczami skwer na placu Litewskim i nieprzeżyty w swoim ogromie dla dziecięcych nóg Ogród Sasaki, zachwycają mnie wyczyszczone do blasku litery na Hotelu Europejskim, wdycham mocny zapach mielonej kawy, dolatujący z eleganckich sklepów kolonialnych w pobliżu kościoła Kapucy-

nów, czuję na języku niezapomniany smak czekoladowych ciastek od Sema-denięgo, mam w uszach zgiełk panujący w dni targowe na Świętoduskiej i urzeka mnie wspomnienie ożywionego ruchu w okolicy ulicy Lubartowskiej, gdzie kupcy żydowscy w czarnych kapeluszach i w chałatach namawiają przechodniów do odwiedzenia ich ciasnych sklepików, pełnych wszelkiego handlowego dobra.

\* Wstęp do albumu Edwarda Hartwiga, *Lublin i okolice. Wspomnienie*, Lublin 2004, s. nlb. [5-8].

Stare podwórko. 1929. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



Wracam myślą do najelegantszej części Lublina, do Krakowskiego Przedmieścia, od Bramy Krakowskiej po imponujący gmach Izby Przemysłowców Lubelskich i kawiarnię Rutkowskiego, gdzie chodniki wypełniał tłum przechodniów najrozmaitszego pochodzenia społecznego; wystarczył jeden rzut oka, by domyślić się, skąd kto pochodzi i czym się zajmuje, każdy bowiem ubierał się i prowadził odpowiednio do swego stanu i pochodzenia. Zamożny ziemianin, zjeżdżający do Lublina ze swego majątku, by załatwić interesy lub zabawić się w słynnej z dobrej kuchni Lubliniance, mijał się na chodniku z ubogim, lecz schludnie ubranym majstrem murarskim lub malarzem pokojowym; hałaśliwe grupki młodzieży w czapkach gimnazjalnych i studenckich wyprzedzały spieszonym krokiem statecznie postępującego przybysza ze wsi, ubranego w burą sukmanę i samodziiałowe pasiaste spodnie; czasem prześliznął się między nimi brodaty przechodzień w lisiej czapce i długim płaszczu. Jeśli komuś udało się pochwycić urywki dobiegających rozmów, usłyszał język jędrny, bogaty i barwny, bez cienia prześladowanej nas dziś na ulicach wulgarności, nierzadko z przymieszką białoruską, ukraińską czy żydowską.

Wystarczyło z kolei przekroczyć granicę Bramy Krakowskiej, by zagłębić się w całkowicie odmienny i zawsze tajemniczy – może wskutek tego, że tak zanurzony w historii – świat Starego Miasta, oddychający własnym, odrębnym życiem, jak gdyby odgradzały go nadal od nowszych dzielnic mury obronne, od dawna już przecież nie istniejące. Bo Stare Miasto pielęgnuje swoją odmienność i niezależnie od tego, co dzieje się poza nim, stanowi jakby osobne centrum, żyjące samo dla siebie. Któż zresztą zaprzeczy, że jest to najczcigodniejsza część Lublina, mówiąca o dawnej jego powadze i zamożności, o umiłowaniu sztuki przez patrycjat i mieszczaństwo

minionych wieków, fundatorów tutejszych kamienic, klasztorów i kościołów, wyniosłych bram strzegących dostępu do miasta, Ratusza i Zamku. To im, ich dbałości o piękno zawdzięczamy urodę kamienic w Rynku, często zwieńczonych attykami, tak typowymi dla lubelskiego renesansu i zdobnymi w sgraffita i rzeźby, których fragmentarycznym, zachowanym do dziś przykładem jest kamieniczka Pod Lwami.

Ten, kto nie zadowolając się podziwianiem fasad i portali, wśród których trafiają się renesansowe i gotyckie, zajrzy za bramy domów, znajdzie niejednokrotnie obiekty równie godne podziwu: głębokie sienie wejściowe z gotyckimi sklepieniami i piętrowe krużganki, obiegające wokół dziedzińca. Warto też spenetrować piwnice, czasem nawet trzykondygnacyjne, jak w kamienicy Lubomelskich, gdzie niegdyś mieściła się winiarnia i gdzie dotąd zachowały się renesansowe freski o tematyce świeckiej, a nawet frywolnej, przedstawiające obok motywów roślinnych sceny zachęcające do korzystania z uciech wina i miłości, którym patronuje postać Wenus. Wino z pewnością podawano na miejscu, płatną miłość zaś, w tanim wydaniu, znaleźć można było tuż obok, bo za Bramą Rybną, gdzie krył się prowadzony przez miejskiego kata dom publiczny, utrzymujący się tu przez czas dłuższy, mimo bliskiego sąsiedztwa z klasztorem i kościołem Dominikanów na ulicy Złotej. Kościół ten i klasztor to najpiękniejsze chyba z zabytków sakralnych Lublina, gotyk i renesans współżyją tu w zgodnej harmonii. Okolice, o których mówimy, a zwłaszcza ulica Grodzka i Podzamcze, zamieszkałe były w czasach międzywojennych przez biedotę polską i żydowską, prowadzącą często handel uliczny, co nadawało tej części miasta swoisty charakter.

Z perspektywy lat ta właśnie okolica budzi wspomnienia najbardziej pobudzające wyobraźnię, najbardziej ma-



larskie, a przecież jakby przesłonięte mgłą tajemnicy i nostalgii. Podobną – być może – mgłą, jaka cechuje wiele lubelskich zdjęć Hartwiga. Pamięć przywraca tamte dni, przed oczami przesuwają się sceny i obrazy dziś już nie do powtórzenia: o wczesnym ranku zakutana w chustkę stróżka zamiata brzoźową miotłą rozelśnioną w pierwszych promieniach jezdnię, wozem zaprzęgniętym w chudego konia wiezie senny woźnica węgiel, który wysypie zaraz na chodnik przy piwnicznym okienku, odzywają się dzwony w kościele dominikańskim i w Katedrze, w dzień świąteczny przejdzie ulicami staromiejskimi powolnym krokiem uroczysta procesja i rozniesie się nabożny śpiew.

Z nadejściem zmierzchu zapalają się latarnie, z piekarni dolatuje zapach świeżego chleba i placków z cebulą, w dni szabasu w oknach wielu domów zapalają się świece.

Współżycie wielu odmiennych kultur, języków i wyznań sprawiło, że Lublin stał się jakby przedsionkiem kresów, które przez swą różnorodność językową i religijną tak wzbogaciły polską kulturę. Obok licznych klasztorów i kościołów wznosiły się tu cerkwie i bożnice, ośrodkiem wyższych studiów był nie tylko Katolicki Uniwersytet Lubelski, ale i Wyższa Szkoła Rabinacka. Ta właśnie różnorodność sprawia, że Lublin jest tak bliski mojemu sercu.

Na atmosferę lubelskiego Starego Miasta szczególnie wrażliwi byli poeci i malarze. Józef Czechowicz poświęcił mu – wraz z Franciszką Arnsztajnową – zbiór zatytułowany *Stare kamienie*, wiążąc w ten sposób na zawsze swoje nazwisko z Lublinem. Nie brakło zresztą temu miastu szczęścia do wielkich ludzi. W jednym z domów na ulicy Grodzkiej urodził się pieśniarz polskiej ziemi Sebastian Klonowicz, uhonorowany przez miasto wyborem na rajcę miejskiego, a następnie na burmistrza. Mieszkańcami Lublina



byli okresowo Józef Ignacy Kraszewski i Andrzej Strug, który urodził się w Lublinie, Bolesław Prus zaś i Aleksander Świętochowski ukończyli gimnazjum lubelskie, mieszczące się w tym samym gmachu, który w okresie międzywojennym zajmowały kolejno dwa wyróżniające się wysokim poziomem nauki gimnazja państwowe: męskie, imienia Stanisława Staszica, i żeńskie – Unii Lubelskiej. Czyż absolwenci tych szkół – a mnie właśnie zdarzyło się kończyć Unię – nie mogą być dumni z tak znakomitych poprzedników? Warto również wspomnieć o Henryku Wieniawskim, związanym z Lublinem przez zamieszkującą tu rodzinę, którą często odwiedzał.

Urodę swoją zawdzięcza Lublin niezwyczajnie malowniczemu położeniu na rozległych wzgórzach. Zmusiło to budowniczych do przystosowania ukła-

Ulica Szambelańska – widok z Bramy Krakowskiej. Ok. 1938. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.

## CZĘŚĆ II. Julia Hartwig – lubelskie ślady

du ulic do spadków i wzniesień terenu, wpłynęło na nieregularny kształt Rynku. Malarzom bardzo przypadły do gustu te pełne fantazji zaułki staromiejskie z prześwitami na zabytkową architekturę, toteż często spotkać ich było można z pędzlem w ręku, przed rozstawionym na chodniku blejtramek. Lublin międzywojenny skupiał zresztą liczne grono miłośników tego miasta, nie tylko malarzy i poetów, ale po prostu ludzi zakochanych w tym mieście. Należał do nich również Edward Hartwig, któremu udało się w fotografii utrwalić dla przyszłości wygląd i atmosferę Lublina. Jego zdjęcia, powstające z motywów czysto artystycznych, nabrały charakteru dokumentu dzisiaj, kiedy Starówka wciąż jeszcze nie podźwignęła się w pełni z katastrofy wojennej i zaniedbań mi-

nionych lat, a całkowity brak ludności żydowskiej w tej części miasta po dramacie Holocaustu sprawił, że odmienił się jej wygląd i atmosfera.

Edward Hartwig nie ograniczał się do penetrowania uroków miasta, wyprawał się też chętnie w okolice Lublina, na Wieniawę, Wrotków, Rury, dzielnice gęsto dziś zabudowane, a wówczas noszące jeszcze charakter wiejski i bukoliczny. Obecnie po tych sielskich pejzażach pozostało już tylko odległe wspomnienie. Ulubioną porą, jaką wybierał sobie na wyprawę z aparatem, były zazwyczaj poranki, te najwcześniejsze, zaraz po świcie, kiedy drogą prowadzącą przez podmiejski las podążały do miasta wiejskie kobiety, z bańkami mleka zawieszonymi w lnianą chustę przewieszoną przez plecy i kiedy na Szambelańskiej

Kwiaty obrastające płot, okolice Lublina. Lata 20./30. XX w. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.





i na Olejnej można było napotkać tylko przebiegającego szybko chodnikiem kota, a ciszę poranną przerywały jedynie gołębie pogruchujące nad kałużami, pozostawionymi przez nocny deszcz lub miejskie polewaczki. Słońce zaczynało dopiero wędrówkę po murach, rzucając na ulice długie cienie, a nad doliną Bystrzycy unosiła się poranna mgła.

Okres lubelski, bo tak można by nazwać tych kilkanaście lat twórczych artysty przed jego przeprowadzką do Warszawy, cechują zdjęcia miękkie, romantyczne, przekształcające rzeczywistość w rodzaj wizji łagodnej, trochę melancholijnej, ale pełnej świeżości. Zakres tematów interesujących Hartwiga poszerza się w miarę upływu czasu: zagląda teraz do małych fabryczek i warsztatów rzemieślniczych, robi studia portretowe, zafascynowany nowymi ludźmi i halami maszyn. Można też śmiało powiedzieć, że stał się jednym z odkrywców tematu pracy w fotografii.

Twórczość młodego wówczas fotografa zaczynała stawać się sławna w małym światku Lublina i szybko przekroczyła jego granice. W pracowni Hartwiga bywają artyści i amatorzy fotografii: pojawia się Józef Czechowicz ze swoją nieodłączną fajką i poeta Józef Łobodowski. („To oni pierwsi wtajemniczyli mnie w to, czym była awangarda” – wyznaje Hartwig). Wiernie towarzyszy jego poszukiwaniom artystycznym znany w Lublinie miłośnik sztuki, uczeń Wyczółkowskiego – Wiktor Ziółkowski. Pojawia się czasem redaktor „Reflektora” Wacław Gralewski.

Ówczesna pracownia Hartwiga przedstawiała się naprawdę niebanalnie. Był to rodzaj drewnianej budy, nakrytej szklanym dachem, gdzie dopływ dziennego światła regulowany był za pomocą kija, przesuwającego parcie zasłony po rozciągniętym pod oszkleniem drucie. Niezwykłości dodawał wewnątrz objęty ścianami pień starej akacji, której korona, przebijając dach, swobodnie

pięła się w górę, obsypując wiosną podwórze pachnącymi kwiatami. Pracownię ogrzewał żelazny piecyk, taki sam jak na zdjęciu Hartwiga ukazującym malarnię Zenona Kononowicza.

Można powiedzieć śmiało, że ludzkie uznanie i szczęśliwa wena, połączone z nieustanną potrzebą twórczą i pracowitością, towarzyszyły Hartwigowi od początku. Znany i popularny w Lublinie, wcześniej zaczął publikować swoje zdjęcia w czasopiśmie i wysyłać je na wystawy. Nie da się to, oczywiście, porównać z rozgłosem, jaki zdobył sobie po wojnie, ale już w okresie międzywojennym miał swoje miejsce wśród wybijających się fotografików. Jego zdjęcia z Lublina i innych okolic Polski znalazły się na wielkiej Wystawie Fotografii Ojczyźnej zorganizowanej w Warszawie w roku 1939, tuż przed wybuchem wojny. Stanowiły one wybór najpiękniejszych zdjęć pejzażowych, wykonanych przez niego w latach trzydziestych, a więc w okresie, który w działalności Edwarda Hartwiga stanowi rozdział zamknięty i jednolity w stylu.

A niewiele brakowało, by zdjęcia te zginęły na zawsze. Nie zdążono ich zwrócić właścicielowi w zamieszaniu wojennym, a szansa odzyskania ich podczas okupacji niemieckiej równała się zeru. Jednak odzyskał je, i to w sposób graniczący z cudem. Pewnego dnia, na długo po zakończeniu wojny, zgłosiła się do Stowarzyszenia Fotografików pewna pani, o nieznanym do dziś nazwisku, z prośbą, by przekazano przyniesioną przez nią paczkę Edwardowi Hartwigowi. W paczce znajdowały się starannie przechowane w doskonałym stanie zdjęcia z Wystawy Fotografii Ojczyźnej. Można sobie wyobrazić zdumienie i radość odbiorcy.

Nie był to jednak koniec perypetii. Jakiś dziwny pech prześladował te pogodne, zastygłe w swojej łagodnej urodzie pejzaże i sceny miejskie: na kilka dni przed planowaną w Zachęcie wystawą

zdjęcia giną po raz drugi, pozostawione w taksówce przez roztargnionego gońca wiozącego paczkę. Pojawiły się apele w radiu i w prasie, bez żadnego echa. I nagle, w przeddzień wernisażu, znów pojawia się, tym razem w drzwiach warszawskiego mieszkania Hartwiga, jakaś młoda osoba i wręcza mu zgubę znalezioną przez przypadkowych pasażerów, do których dotarł sygnał o poszukiwaniach.

Losy zaginionej dwukrotnie i odnalezionej w tak niezwykłych okolicznościach teki zdjęć Starego Lublina potoczyły się od tego czasu już bez przeszkód. Objechały dziesiątki wystaw w kraju i za granicą, znajdując wszędzie swoich wielbicieli.

Eksponowano je po raz wtóry w Zachęcie w roku 1975 wraz z fotografiami

pochodzącymi z lat późniejszych, a następnie w Kazimierzu Dolnym w roku 1984. Z kolei pojechały do Hamburga, skąd odbyły drogę do Houston w Stanach Zjednoczonych, gdzie wystawiono je najpierw w galerii prywatnej, a następnie w tamtejszym muzeum z okazji święta fotografii światowej (1990). Po powrocie zza oceanu znalazły się na zbiorowej wystawie autorskiej Edwarda Hartwiga (1990), skąd przekazano je na wystawę w Lozannie i Amsterdamie.

Można by zapytać o tajemnicę żywotności tych zdjęć, którym z racji ich wieku należałoby się już, być może, spokojny odpoczynek. Ale nic takiego im z pewnością nie grozi, przeciwnie, wciąż przykuwają naszą uwagę i poszukiwane są przez wystawców i amatorów.



Julia Hartwig

## Wspomnienie o Annie Kamieńskiej\*

Moje wspomnienia są najbardziej prywatne, jakie sobie można wyobrazić. To są wspomnienia z lat młodości, bardzo wczesnej młodości i mojej przyjaźni z Anną Kamieńską. Ja się nie wdaję w żadną analizę ani jej poezji, ani tego, co robiła, zatrzymuję się na latach, które dobrze znam, które są mi bardzo bliskie i ciągle żywe.

Najbliższą moją przyjaciółką w lubelskich latach gimnazjalnych była Anna Kamieńska. Często bywałam u Hanki, która mieszkała ze swoją matką, babką i trzema siostrami w niedużej kamienicy przy ulicy Wieniawskiej. Był to prawdziwy babski dom, wypełniony młodymi dziewczętami całkowicie od siebie różnymi. Nadawała mu ciepła wspaniała babka – szczupła pani z siwymi włosami, ubierająca się w czarne suknie, zawsze z białym żabotem, pełna pobłażliwości dla swoich wnuczek i obdarzona niecodziennym zmysłem humoru. Liczną tę gromadkę utrzymywała z trudem matka Hanki – opiekun socjalny, społecznik z zamiłowania, osoba wielkiej mądrości i wrażliwości, zajęta bezustannie kłopotami i udrękami swoich podopiecznych, o których często opowiadała w domu. Wychowanie córek brała bardzo serio, a gromadka ta odznaczała się niecodziennie trudnymi charakterami.

Najbardziej otwartą walkę, przy całej miłości, jaką niewątpliwie do niej czuła, prowadziła z matką Hanka, przeżywająca wówczas kryzys religijny. Ten nieustanny bój dwóch osobowości miał w sobie posmak czegoś heroicznego i prowadzony był z ostateczną powagą. Bunt córki dotyczył zresztą nie tylko spraw religijnych, ale i norm, samego

życia, miłości, macierzyństwa, autorytetów świeckich. Był to klasyczny kryzys światopoglądowy, połączony z odmową współpracy. Nie aprobując samej siebie, również ze względu na swoją tuszę, nad którą niewątpliwie bolała, nie przyjmowała do wiadomości niczego, co mogłoby służyć jej ciału lub go dotyczyć. Nie aprobowała, jak gdyby, samej siebie. Trzeba było z nią walczyć, by zażyła jakiegokolwiek lekarstwo, nie zgadzała się, by ją fotografowano. Nie waham się wyrazić przypuszczenia, że pełna akceptacja własnego istnienia pojawiła się w niej dopiero z chwilą spotkania z Janem Śpiewakiem, z którym stworzyli oddaną sobie aż do końca parę.

Moja ówczesna beztroska w sprawach religijnych i światopoglądowych nie przeszkadzała w naszej przyjaźni, która doskonale mieściła się w ramach codzienności domowej i szkolnej, z jedną tajemniczą wypustką – na przekazywanie sobie nawzajem pierwszych prób poetyckich. W domu na Wieniawskiej

\* Wypowiedź na sesji *In memoriam* – w 20. rocznicę śmierci Anny Kamieńskiej, 12-13 maja 2006 roku w Muzeum im. Józefa Czechowicza. Nagranie: Dominika Majuk. Materiały archiwalne Ośrodka. Tytuł tekstu pochodzi od Redakcji „Scriptores”.

Publiczność zgromadzona na Zamku Lubelskim na sesji poświęconej Annie Kamieńskiej. 2006. Archiwum TNN.



bywałam niemal co dzień. Spędzałam tam długie godziny, nierzadko biorąc również udział w posiłkach, co – jak dziś myślę – było z mojej strony lekkomyślne, bo dosyć tam już było gąb do wykarwienia. I gdyby mi pozwolono, zapewne chętnie bym tam spędzała nie tylko dni, ale i noce. Lubiłam i prawie kochałam te wszystkie istoty, które zresztą odpłacały mi pięknym za nadobne, co sprawiało, że czułam się pośród nich jak w domu. Ze zdumieniem uprzytamniam sobie dzisiaj, że byłam tam czymś w rodzaju „rozweselacza” – moje figle i żarty sprawiały, że dziewczęta często się śmiały, choć zastawałam je nieraz w kwaśnych humorach być może po prostu dlatego, że takie nagromadzenie w jednym domu dojrzewających dziewczyn z [krwi i] kości stwarzało zbyt wysokie ciśnienie.

Hanka często zapraszała mnie do Świdnika, do domu swego dziadka, ojca nieżyjącego ojca, dostojnego pana z sumiastymi wąsami, którego po latach, kiedy był już bardzo stary i chory, odwiedzała regularnie w jego mieszkanku lubelskim. Dom w Świdniku – nieduża, ale bardzo ładna willa z tarasem, oranżerią i ogródkiem, robił wrażenie luksusu po mieszkaniu na Wieniawskiej. Na górce, w pokoiku obok oranżerii, przesiadywałyśmy, pisząc lub czytając wiersze, w czym ja okazywałam się stanowczo mniej pilna i wytrwała. Reszta dnia upływała nam na spacerach, rozmowach i słuchaniu gry na fortepianie Krysi – jednej z sióstr, nazywanej przez Hankę „moją piękną siostrą”. Krysia została po wojnie aktorką, wyszła za mąż za reżysera Ludwika René.

Inteligentna, z poczuciem humoru babka, dziadek – dogładający róż, dojeżdżająca na niedzielę troskliwa matka, gromadka dziewcząt o wyraziście zarysowanych charakterach, bliska przyjaciółka obok – cóż mogło mi się wówczas przydarzyć lepszego niż taka okresowa adopcja. Nie dorastałam chyba wówczas do dramatycznych „weltszmerców”, jakie

przeżywała w bólach dojrzałości Hanka, ale ona wybaczała mi to, o czym świadczy choćby zachowany przeze mnie plik listów od niej, pisanych głównie w latach, kiedy chodziła do liceum pedagogicznego w Warszawie i gdy pociągać ją zaczęła filologia klasyczna.

Okupacja niemiecka sprawiła, że widywałyśmy się coraz rzadziej. Najpierw przebywałam w majątku państwa Szczepańskich, w Struży, gdzie uczyłam trójkę ich córek, potem wyjechałam do Warszawy, na studia podziemne w Uniwersytecie Warszawskim, na polonistykę. Moimi profesorami byli: Juliusz Krękowski, Zofia Szmydtowa, Witold Doroszewski, Władysław Tatarkiewicz i Tadeusz Kotarbiński. Wydarzeniem czasów okupacji godnym zapamiętania była wizyta u Czesława Miłosza w jego mieszkaniu w Alejach Niepodległości. Zawiozłam mu tam wiersze Hanki Kamińskiej i moje. Adres wskazała mi Hanka, która знаła żonę Czesława Miłosza, jeszcze jako żonę swego wuja – Eugeniusza Cękałskiego – awangardowego reżysera filmowego, z którym pani Janina się rozwiodła. Trop był więc jakby rodzinny – była kawa i ciasteczka. Pokazała się pani domu – szczupła blondynka o delikatnej urodzie. Miłosz opisał tę wizytę w jednym ze swoich wierszy, ale mówi tam o dwóch młodziutkich poetkach, które go odwiedziły – pomyłka lub *licentia poetica*. Tak czy inaczej reprezentowałam obie osoby.

Po powrocie z Hanką do Lublina, w dniu kiedy miasto uwalniało się od resztek Niemców i wchodziło pod panowanie Sowietów, życie zaczęło przybierać znów pozory normalności. Ludzie byli zagubieni, nie wiedzieli, co począć i jak się zachować. W mojej rodzinie aresztowano i wywieziono do łagru mojego brata Edwarda. Niepokoiły nas powstańcze losy drugiego brata, pracującego przez cały okres powstania w Szpitalu Dzieciątka Jezus.



Prelegenci sesji wspomnieniowej o Annie Kamieńskiej, m.in. Julia Hartwig (druga z lewej), ks. Wacław Oszejka (obok), ks. Alfred Wierzbicki (stoi), Paweł Śpiewak (trzeci z prawej) i Józef Zięba (pierwszy z prawej). 2006. Archiwum TNN.

Tymczasem w Lublinie zaczęło wychodzić pismo codzienne, zaczęło się mówić o tygodniku literackim. Pisarzy było w Lublinie niewiele, próbowano ich zewsząd ściągnąć – Parandowskiego, Piętaka. Pamiętam z tamtych czasów Ważyka, Pasternaka i Putramenta – wszystkich w mundurach. Jak już wspomniałam w innym miejscu, grupę młodych – Hankę Kamieńską, Jacka Bocheńskiego, Igora Sikiryckiego, Stanisławę Zakrzewską i mnie – uznano za cenny w tych warunkach narybek literacki. Powstało wówczas społeczno-literackie pismo „Wieś”, którego redaktor naczelny – Jan Aleksander Król, wyróżniał się szczególną energią w pozyskiwaniu sobie młodych współpracowników. Pisał do „Wsi” Zygmunt Kałużyński, w redakcji znalazła się też Anna Kamieńska, która wkrótce wstąpiła do Stronnictwa Ludowego. Co do mnie – to zamieściłam we „Wsi” kilka wierszy, ale przede wszystkim zapisałam się tymczasowo na Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Jedną z tajemnic natury Hanki była, jak mi się zdaje, potrzeba wyznawczości. Szukała całopalenia. Pięknym tego przykładem był jej żarliwy w późnym wieku katolicyzm, który znalazł również

swoje odbicie w tym, co pisała. Kiedy z Lublina poprzez Kraków przenieśliśmy się do Łodzi, pojawiła się tam również Hanka, która od razu znalazła zatrudnienie w tym zagłębiu pisarskim, odgrywającym chwilowo rolę centrum po całkowitym wyburzeniu przez Niemców Warszawy. Po moim wyjeździe na początku roku 1947 na stypendium do Paryża prowadziłyśmy przez jakiś czas korespondencję, która się wreszcie urwała, ale wciąż wymieniałyśmy jakieś kartki, również po moim powrocie do Polski. Hanka wyszła za męża za Jana Śpiewaka, urodziła dwóch synów – Janka i Pawła. Przez całe życie drżała o ich bezpieczeństwo i zdrowie. Młodszy Janek ciężko chorował na serce. Już jako człowiek dorosły przeżył pomyślnie operację serca, ale wkrótce potem zmarł. Był jednym z redaktorów pisma „Powściągliwość i Praca”. Paweł jest dziś profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, znanym i cenionym publicystą.

Pozycja literacka Hanki stawała się coraz mocniejsza. Wydawała tomy wierszy, jej nazwisko stało się znane. Po śmierci swego męża – Jana Śpiewaka – wydała piękny tom poświęcony jego pamięci. W „Twórczości” objęła po nim dział poetycki. Jej praca redakcyjna bu-



<sup>1</sup> Josif Brodski, *Potęga żywiółów*, „Zeszyty Literackie” 1996, nr 3, s. 98 [przyp. Red.].

działa czasem kontrowersje. Pamiętam, jak Jerzy Zagórski, doświadczony poeta, żagarysta, skarżył się kiedyś, że Anna po otrzymaniu jego utworów zaproponowała mu poprawki w którejś ze strof. No – osoba taka z prawdziwym charakterem. Z każdym rokiem zacieśniają się jej związki z katolicyzmem. Staje się poetką katolicką, tematyka religijna zaczyna przeważać w jej wierszach, tłumaczy Psalmy, św. Tomasza à Kempis, wybrane księgi Starego Testamentu, uczy się hebrajskiego. Jest niebywale pracowita, wydaje liczne książki dla dzieci, które są chętnie czytane. Publikuje w wydawnictwach katolickich, m.in. we „W Drodze” ojców dominikanów. Bierze udział w wieczorach kultury chrześcijańskiej, jeździ na odczyty do seminariów duchownych, bywa na konferencjach w klasztorach, staje się czymś w rodzaju kobiecego biskupa. Znana jest katolickim czytelnikom „Tygodnika Powszechnego”. Pod koniec życia wydaje dwie piękne książki notatek dotyczących jej lektur i życia duchowego.

Tymczasem jej zdrowie staje się coraz gorsze. Nie dba o siebie, źle jada, przepracowuje się. Zdawałoby się, że prowadzi żywot samotniczy, a przecież wiele się udzielała i ma grono przyjaciół, których chętnie odwiedza. Choć widywaliśmy się rzadko, zawsze zaliczała mnie i Artura Międzyrzeckiego do swoich bliskich. Kiedy Janek Śpiewak był w szpitalu na Tamce, zadzwoniła do mnie, żebym go z nią odwiedziła i rozmówiła się z opiekującymi się nim lekarzami. Nie miała sił, by zrobić to sama.

Bardzo przeżywała ataki na siebie, których jej pod koniec życia, ze względu na odwagę jej przekonań, nie szczędzono. Zaatakowana grubiańsko w piśmie „Literatura”, ciężko to odczuła, zadając sobie daremny trud korygowania zafałszowanych cytatów. Wszystko to nie mogło mieć dobrego wpływu na jej zdrowie.

Dowiedziałam się o jej śmierci, będąc w Paryżu, od księdza Zenona Modzelewskiego, który zaprosił ją na spotkanie do pallotyńskiego Centre du Dialogue. Jej pogrzeb odbył się w Warszawie przy licznej asyście księży. Kazanie wygłosił prymas Glemp, było to w maju 1986 roku. Niestety, ja wtedy w Polsce byłam nieobecna.

Czesław Miłosz poświęcił Annie Kamińskiej wiersz, w którym nie przyznaje jej wysokiej rangi poetyckiej, ale wygłasza pochwałę jej życia w otoczeniu bliskich, w łączności z przyrodą. Niektórzy uznali jego ocenę za zbyt ostrą, krzywdzącą, ale każda ocena ma w sobie ziarno okrucieństwa. Pojęcie „poety katolickiego” nie od dzisiaj wprawiało mnie w niepokój. Sztuka – zawsze niepewna, poszukująca, często zrewoltowana, z trudem przyjmuje na siebie posłanie religijne, wymagające pełnego oddania. Napotkałam w eseju Josifa Brodskiego zatytułowanym *Potęga żywiółów* zastanawiające słowa, które zapewne nie wszystkim się spodobają, ale mają związek z tą refleksją. Pisz on: „Być pisarzem oznacza być protestantem. Albo mówiąc najogólniej – posługiwać się protestancką koncepcją człowieka. Podczas gdy w prawosławiu rosyjskim lub rzymskim katolicyzmie człowiek jest sądzony przez Wszemocnego albo jego Kościół, w protestantyzmie pisarz poddaje sam siebie odpowiednikom sądu ostatecznego. Czyniąc tak, jest daleko bardziej bezlitosny wobec siebie niż bóstwo, czy nawet Kościół, bo zna siebie lepiej (tak myśli) niż każde z nich i jest nieskłonny lub, ściślej, niezdolny do przebaczenia”<sup>1</sup>.

Mimo tych wszystkich zastrzeżeń warto przypomnieć o jednym, że uczucie religijne, wiara w niepojęte, które jest u początku i u końca, przenika w sposób nieunikniony wszystko, co nazwać można poezją. Świadczy o tym twórczość Anny Kamińskiej.



## Julia Hartwig **Samotność w Zagładzie\***

Anna Langfus jest pisarką francuską nagrodzoną w roku 1962 prestiżową Nagrodą Goncourtów za książkę zatytułowaną *Les bagages de sable* (*Bagaż z piasku*). Urodziła się w 1920 roku w Polsce, w Lublinie. Była z pochodzenia Polką, polską Żydówką, pochodziła z zamożnej rodziny i mieszkała na dobrze mi znanej ulicy Lubartowskiej, w dzielnicy zamieszkannej głównie przez ludność żydowską.

Była więc lublinianką, podobnie jak ja, i podobnie jak ja uczęszczała do państwowego gimnazjum imienia Unii Lubelskiej, które ukończyła nieco wcześniej ode mnie. Zapewne wielokrotnie mijałam ją na przerwach, w korytarzu szkolnym, albo latem na boisku, nigdy jednak jej nie poznałam. Nazwisko Anny Langfus widnieje na tablicy wmurowanej w ścianę budynku naszego gimnazjum, obok nazwiska Anny Kamińskiej i mojego. Drugiego stycznia 2008 roku odbyła się uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej wyłącznie jej poświęconej, na domu, gdzie mieszkała.

Akcja książki *Skazana na życie* rozgrywa się w Polsce, pod okupacją niemiecką, kiedy to los każdego schwytanego przez gestapo Żyda był z góry przesądzony. Wypadki w niej opisane zaczerpnięte są najpewniej z przeżyć samej autorki. Dzieje tej młodej kobiety, której nieoszczędzona była żadna z udręk ściganej ofiary, budzą na przemian zgrozę i podziw dla jej niewyczerpanej siły żywotnej, dla jej inteligencji, która pozwalała wyjść z sytuacji zdawałoby się beznadziejnych, dla pogardy, jaką darzyła swoich prześladowców.

Bieg wydarzeń i przeżycia z nimi związane opisane są z dokładnością wprost bolesną. Tej prześladowanej ją pamięci autorka nie może i nie chce się wyzbyć. Przenosimy się bowiem w sytuacje ostateczne, nie do wykreślenia, na które reszta świata jest obojętna, gorzej: w obliczu których często jest wroga.

Widzimy tę młodą kobietę na ulicach getta, gdzie trupy leżące na ulicy nie przeszkadzają bogatym bawić się do upadłego w restauracjach dla wybranych, oglądamy kryjówki, w których kryje się jej rodzina przed Niemcami, czytamy o ucieczce z getta i kolejnych schronieniach w „aryjskich” domach.

I tu zaczyna się najboleśniejsza może dla polskiego czytelnika część opowieści. Losy Anny Langfus rzadko uzależ-

\* Wstęp do książki Anny Langfus *Skazana na życie*, Warszawa 2008, s. 5-6.



Anna Langfus. Lata 30. XX w. Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne rodziny Anny Langfus.

nione są od dobrej woli ludzi, do których się zwraca o pomoc, częściej od pieńędzy, jakich w zamian żądają. Szmalcownicy i donosiciele pojawiają się raz po raz na kartach tej książki. Podłość, fałsz, chytrość i podstęp towarzyszą nieustannie jej drodze. Dołącza się do tego strach, zagrożenie i bezdomność. Ucieczka, nieustająca ucieczka.

Bohaterka książki Anny Langfus, jak już wspomniałam, jest młodą i piękną kobietą, jej rysy nie zdradzają pochodzenia. Pozwala jej to wychodzić na ulicę i obcować z ludźmi, inaczej niż jej rodzinie, która musi ukrywać się w schowkach i na strychu aż do chwili, kiedy zarówno ojciec, jak i matka giną rozstrzelani. Rozstrzelany zostanie również jej mąż, z którym do jego śmierci dzieliła solidarnie kryjówkę. Ta względna swoboda podarowana przez wygląd pozwoliła jej przez czas jakiś służyć organizacji podziemnej jako tajny posłaniec.

Ale uroda w połączeniu z bezdomnością narażają ją często na sytuacje

groźne i dwuznaczne, wystawiając na potępienie lub wzgardę otoczenia. Jeden z epizodów jej życia opiera się na bardzo delikatnie zarysowanej pomocy, jakiej udziela bohaterce niemiecki oficer. Paradoksalnie jest to jeden z niewielu przykładów szlachetności, jaki spotykamy w tej opowieści. Autorka wystawia bowiem w swojej książce przynębiające świadectwo nie tylko okrutnemu czasowi wojny i zagłady, ale i codziennej ludzkiej niegodziwości. Czy uwierzyła by wówczas, że byli też w kraju ludzie ofiarni, którzy ratowali podobnych do niej tułaczy z narażeniem życia?

Anna Langfus w roku 1947 wyjechała z Polski. Osiedliła się we Francji, została pisarką francuską. Być może podczas wojny i tam spotkałby ją nie lepszy los. Ale uciekła stąd od strasznych wspomnień.

Kiedy dzisiaj wskrzeszamy jej pamięć, zapisując w marmurze jej imię, robimy to zarówno dla niej, jak i dla nas samych. Tablica na ulicy Lubartowskiej w Lublinie ma wartość symboliczną.

CZĘŚĆ III

W kręgu Bramy

Związki Julii Hartwig  
z Ośrodkiem „Brama Grodzka – Teatr NN”

1996

2004

2006

2009





## Czy warto być poetą?\*

Spotkanie z Julią Hartwig w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”  
26 kwietnia 1996

**Renata Rzepecka:** Serdecznie witam państwa na spotkaniu i przedstawiam naszego dzisiejszego gościa, panią Julię Hartwig – poetkę, tłumaczkę poezji francuskiej i amerykańskiej, wiceprezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członka PEN Clubu, współautorkę jednej z pierwszych antologii poezji amerykańskiej. Witam panią.

Na początek prosimy posłuchać wiersza *Ja wspomnień tych się boję*<sup>1</sup>.

**Renata Rzepecka:** Pani Julio, dzisiejsza rozmowa jeszcze przed spotkaniem pokazała mi, że myślałam się w interpretacji tego wiersza. Myślałam, że inspirowała się w nim pani Chagalliem. Byłam też przekonana, że to jest wiersz autobiograficzny. Pani powiedziała, że nie całkiem.

**Julia Hartwig:** To jest wiersz nie o mnie, ale ponieważ pisząc wiersze, na ogół identyfikujemy się z postacią, która mówi, jest to wiersz, który do mnie przynależy. Są też w nim na pewno elementy chagallowskie – i kwiaty, i fruwanie – ale to nie jest napisane dlatego, że wpłynął na mnie Chagall. Raczej dlatego, że to jest o miasteczku żydowskim. A może o takiej dzielnicy miasta, jaka kiedyś tutaj była, w tym miejscu, gdzie jesteśmy w tej chwili<sup>2</sup>, gdzie jest i cerkiew, i kościół, i były domy modlitwy żydowskiej? To jest opowieść dziewczyny, która zginęła i która spotyka się ze swoim ukochanym w miejscu nieokreślonym, ale jak gdyby rzeczywistym. To jest wiersz, który naprawdę powinien być odczytany w tym miejscu.

**Renata Rzepecka:** Jesteśmy przecież w Bramie Grodzkiej, Bramie Żydowskiej.

**Julia Hartwig:** Tak. Właśnie tak. Moje wspomnienia lubelskie są bardzo bogate. Tutaj przeżyłam całe moje dzieciństwo, tu chodziłam do szkoły, tu skończyłam Gimnazjum Unii Lubelskiej, w '39 roku zdałam maturę i zaraz wybuchła wojna, której początek spędziłam w Lublinie. Potem mieszkałam już w Warszawie, studiowałam na uniwersytecie konspiracyjnym i byłam kurierem. Moje wspomnienia z dzieciństwa są jak wspomnienia każdego dziecka, bardzo różne. To nigdy nie jest zupełna sielanka. Mnie się wydaje, że wbrew pozorom dzieciństwo jest okresem bardzo trudnym, że ono niesie za sobą bardzo dużo problemów, które nie są ujawniane, które nie są wypowiedziane do końca. Dotyczy to zwłaszcza dziecka wrażliwego, a myślę, że w jakimś sensie byłam takim dzieckiem.

Dotąd pamiętam czar wielu miejsc, mimo że to miasto uległo brutalnemu zniszczeniu. Szczególnie gdy chodzę po Starym Mieście, to powracają do mnie wszystkie te wspomnienia. Ta część miasta była bardzo odrębna, w jakimś sensie egzotyczna, bo zamieszkała głównie przez biednych Żydów. Tu nawet zapachy były szczególne i było słyhać inne dźwięki ulicy. I to było zupełnie naturalne, bo mieszkająca tu ludność żydowska mówiła tylko w swoim języku, w jidysz. Kiedy wchodziło się tutaj bezpośrednio ze Śródmieścia, wyglądało to, jak gdyby się przychodziło z zupełnie innej części miasta. Bo Śródmieście to był naprawdę odmienny Lublin, gdzie widać było blichtr innego życia. Zjeżdżali tu bardzo zamożni ziemianie i urządzali przyjęcia w Hotelu Europejskim. Na ulicy czu-

\* Materiał archiwalne Ośrodka.

<sup>1</sup> Wiersz na s. 277.

<sup>2</sup> Chodzi o nieistniejącą dzielnicę żydowską, do której Brama Grodzka – gdzie odbywa się spotkanie – była kiedyś przejściem [przyp. Red.].

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

ło się zapachy sklepów delikatesowych, rozchodził się zapach kawy.

**Renata Rzepecka:** Chciałabym spytać o ważną przyjaźń z tego okresu – przyjaźń z panią Anną Kamińską. Czy można to określić słowami Ani z Zielonego Wzgórza „braterstwo dusz”? Jak to się stało, że panie się zaprzyjaźniły?

**Julia Hartwig:** Można to tak nazwać, chociaż na Anię z Zielonego Wzgórza nie powoływałabym się tutaj. To była przyjaźń, tak mi się zdaje, najpierw taka bardzo dziecięca, a potem bardzo poważna. Ona przetrwała bardzo dużo lat trudnych i polegała nie tylko na zwierzeniach okresu dojrzewania, które może były nawet trochę śmieszne i trochę smutne, trochę łzawe i trochę liryczne.

Tak się złożyło, że dom Anny Kamińskiej to był dom pięciu kobiet – czterech córek i matki, która była pracownicą społeczną, bardzo oddaną, bardzo zadaną i szlachetną osobą – nie było tam ojca. Z kolei ja nie miałam matki. To było takie jakby uzupełnienie się do-

mów. Z tym, że ja byłam osobą, która o wiele więcej miała z tego korzyści. Po prostu dlatego, że w swoim domu byłam jak gdyby sama – moje rodzeństwo, moi bracia i siostry byli znacznie starsi ode mnie. Ta przyjaźń, która była początkowo przyjaźnią dziewczynek, przerodziła się w przyjaźń dwóch osób piszących od bardzo wczesnych lat. Miałyśmy po kilkanaście lat i już wtedy grzeszyłyśmy pisaniem wierszy, które były z punktu widzenia literackiego bardzo słabe, ale wymieniałymy te wiersze. Dla mnie to jest bardzo wzruszające wspomnienie, ponieważ myślę, że były to błahy incydent, gdybyśmy nie poświęciły naszego życia pisaniu.

**Renata Rzepecka:** Pani Julio, w takim razie mam dla pani niespodziankę. Skoro pani powiedziała już o wspólnym pisaniu, o tych pierwszych wierszach, to chciałam i pani, i państwu coś pokazać. Mam nadzieję, że będzie to miła niespodzianka. Mianowicie, czy pamięta pani to piśmanko?

Studniówka. Julia Hartwig jest w drugim rzędzie na środku. 1939. Zbiory prywatne Julii Hartwig.



**Julia Hartwig:** Tak, oczywiście. To nadzwyczajne, że pani zdobyła to pismo. Ono nazywa się „W Słońce” i było pismem szkolnym. Tutaj, w Lublinie, debiutowałam w tym właśnie piśmie. Nie było ono wybitne, ale za to bardzo sympatyczne i praca przy nim stanowiła okazję, żeby spotykali się ze sobą młodzi ludzie, którzy w szkole interesowali się literaturą. Ja byłam wśród nich najmłodsza. Zachowałam wspaniałe wspomnienia związane ze „W Słońce”. Bardzo dziękuję za to przypomnienie.

**Renata Rzepecka:** Z tego, co pani mówi, wynika, że nie była pani w szkole grzeczną, układną dziewczynką, pilnie się uczącą i nierobiącą nic poza tym. Jak to wyglądało?

**Julia Hartwig:** Nie byłam jakąś szczególnie wojowniczo nastawioną uczennicą, ale też zajmowało mnie dużo rzeczy poza szkołą. Myślę, że każdego coś jeszcze interesuje poza lekcjami – jednego sport, drugiego śpiew – a mnie akurat pasjonowała literatura. To jest może dziwne, bo takie zainteresowanie tak bardzo często się nie zdarza.

**Renata Rzepecka:** Ale pani kiedyś wspomniała, że jeżeli była przygotowywana jakaś akademia, to mówiono: „O, Julka tutaj coś potrafi”.

**Julia Hartwig:** Tak. Bo ja akurat, na moje nieszczęście, recytowałam i... także byłam uważana za osobę piszącą. Chociaż wtedy wybierałam się na medycynę. Ale ogólnie było wiadomo, że ja coś tam piszę. To jest troszkę śmieszne, jak ja to wspominam, ale tak to było.

**Renata Rzepecka:** Czy w takim razie studia polonistyczne to jest efekt świadomej decyzji, kontynuacji tych zainteresowań?

**Julia Hartwig:** Tak, niewątpliwie. Już wtedy, kiedy zdałam maturę, zrozumiałam, że te moje pomysły z medycyną są takie judymowskie, wynikają z wyobrażeń o tym, że każdy powinien się przyczynić do pomocy ludziom, którzy są chorzy czy biedni. Tyle, że doszłam

do wniosku, iż każdy powinien robić to, do czego popycha go skłonność i co potrafi robić. Wobec tego zdecydowałam, że idę na polonistykę, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o literaturze.

**Renata Rzepecka:** Wpierw zaczęła pani studiować na KUL-u, a później przeniosła się pani na Uniwersytet Warszawski, tak?

**Julia Hartwig:** Troszkę inaczej. Mianowicie, w czasie okupacji był podziemny Uniwersytet Warszawski, na który mnie skierowano, oczywiście przy zachowaniu wszelkich ostrożności. Nauka na uniwersytecie podziemnym była bardzo niebezpieczna. Zdarzyło się nawet, że jeden z kompletów – komplet socjologii – został wystrzelany w całości na wykładzie. Tak więc najpierw chodziłam na ten uniwersytet, potem było powstanie [warszawskie], więc uniwersytet przestał funkcjonować. W Lublinie znalazłam się z powrotem w 1944 roku, bo musiałam uciekać z Warszawy przed gestapo. Dlatego nie było mnie tam w czasie powstania. I kiedy po wyzwoleniu Lublina zaczął tu działać KUL, to przez kilka miesięcy byłam tam studentką, ponieważ chciałam coś studiować i nie tracić czasu. Gdy Uniwersytet Warszawski przeniósł się do Krakowa, to ja pojechałam w ślad za nim.

**Renata Rzepecka:** Czyli wyjazd z Lublina to nie była ucieczka z prowincji, tylko po prostu chęć kształcenia się?

**Julia Hartwig:** To na pewno nie była ucieczka. Tak się złożyło, że wyjechałam studiować na Uniwersytet Warszawski, a potem już tak zostało.

**Renata Rzepecka:** Pani Julio, niedługo po tym wyjeżdża pani dużo dalej, bo aż do Francji. Jak to się stało? Przecież wtedy nie było wcale tak prosto wyjechać z Polski, a jeszcze w dodatku na stypendium rządu francuskiego.

**Julia Hartwig:** Sama się temu dziwię, jak to się stało. Pomogło to, że ja już wtedy pisałam kroniki z pism francuskich i publikowałam je, mimo że moja

znajomość francuskiego nie była jeszcze najlepsza. Rozmawiano przy mnie o tym, że są trzy stypendia do Francji i zastanawiano się, kogo tam wysłać, kto umie po francusku. Wtedy ktoś się spytał: „Może ty byś chciała pojechać?”

To był rzeczywiście zupełny przypadek. Pojechałam. Wydaje mi się, że dla kształtowania moich wyobrażeń o literaturze, i w ogóle o świecie, okres, który spędziłam we Francji, był dla mnie niezwykle ważny.



# W poszukiwaniu poezji

Spotkanie z Julią Hartwig w kościele św. Ducha w Lublinie  
w ramach Festiwalu Sztuki „W Kręgu Bramy”

2 czerwca 2001\*

**Ks. Mieczysław Puzewicz:** [Jestem rektorem] tego kościoła i przypadł mi w udziale zaszczyt, podobnie jak w dniach poprzednich, powitać [państwa] na Festiwalu Sztuki „W Kręgu Bramy”, na tym kilkudniowym festiwalu słowa. [Przedstawiam] bohaterkę dnia dzisiejszego – panią Julię Hartwig, wybitną polską poetkę, którą bardzo serdecznie witamy. Cieszę się ogromnie, że możemy gościć ją w Lublinie. Osobiście wyrażam radość, że w świątyni pod wezwaniem Ducha Świętego, który na pewno ma dużo wspólnego z natchnieniem poetyckim, mogę gościć tak wybitną postać polskiej poezji. To spotkanie poprowadzi pani Agata Koss z Radia Lublin, którą też witam.

**Agata Koss:** Na początek chciałabym opowiedzieć o mojej ogromnej sympatii do Julii Hartwig i jej poezji. Najpierw, rzecz jasna, poznałam poezję. Nie będę oczywiście opowiadać o kolejnych tomikach – od pierwszego, zatytułowanego *Pożegnania*, z roku [19]56, poprzez na przykład *Dwoistość* – to rok [19]71 – olśniewające dla mnie *Obcowanie* z roku [19]87 czy ostatnio wydany tomik *Zobaczone*. Zaproponuję za to państwu spotkanie z dwoma wierszami, w których znajduję to, co w poezji Julii Hartwig – moim zdaniem – wzrusza i zachwyca najbardziej. Pierwszy nosi tytuł *Gdzie są melodie*. Oto jego fragment: „Gdzie są melodie, po prostu melodie? / Kiedyś czerpano je jak wodę ze strumieni / budzono nimi i przy nich zasypiano [...]”. Tytułowe pytanie: „gdzie są melodie?” staje się pytaniem o świat oparty na klasycznych normach piękna i prostoty i płynącej z nich radości.

Ale to tylko powierzchowna interpretacja, [która] uprawnia do [stawiania] kolejnych kroków. Otóż pytanie o melodie, „które czerpano jak wodę ze strumieni”, to przyznanie się do poczucia spustoszenia świata, życia w czasie upadku – przede wszystkim systemu wartości – przyznanie się do poczucia życia na ziemi, [gdzie] łączność z kulturą, z której się wywodzimy, została przerwana; a przecież to normy zbudowane w przeszłości dają możliwość opanowania chaosu. Co zatem po poecie w tym czasie marnym? Takie pytanie znajdujemy w utworach Julii Hartwig. W wierszu *Jest i tym* czytamy: „Sztuka jest zaklaniem istnienia / żeby przetrwało / ale jej przestrzeń rozciąga się na niewidzialne / I jest inteligencją która żywiły skłócone / zjednuje podobieństwem / Jest rzeczą dzielną / bo szuka nieśmiertelności / będąc – jak wszystko – śmiertelną”<sup>1</sup>. W świecie niegdyś utrzymanym przez normy, w tym także autorytet religii, teraz to poezja – sztuka w ogóle – porządkuje chaos i nadaje światu rytm. Wypełnia lukę po wszystkich wartościach, kiedyś, wydawało się, nieśmiertelnych. Artysta zatem, pragnąc przynależności do ludzkiej gromady, jest jednocześnie wyobcowany. Musi widzieć, słyszeć, rozumieć więcej niż inni i musi być wolny, by w poszukiwaniu doskonałości godzić sprzeczności i nadawać rzeczom właściwe imiona.

Ryszard Przybylski zaliczył Julię Hartwig do grona klasycystów. I jakkolwiek by ten termin rozumieć, kiedy przypominał sobie stwierdzenie Przybylskiego, zadaję pytanie: czym stałoby się nasze życie w świecie trudnym do

\* Nagranie: Aneta Wójciszyn-Wasil (Radio Lublin). Dziękujemy Autorce i Radiu Lublin za zgodę na wykorzystanie transkrypcji.

<sup>1</sup> Z tomu *Czułość* (1992). Ten i kolejne przypisy pochodzą od Redakcji „Scriptores”.

ogarnięcia i myślą, i uczuciem, gdybyśmy nie napotykali tych, którzy godzą sprzeczności i nadają rzeczom właściwe imiona?

Ale nie tylko dlatego lubię twórczość Julii Hartwig. Przecież są to nie tylko wiersze, lecz także bogata eseistyka. W swoich esejach artystka przywołuje rozmaite krajobrazy: polskie, amerykańskie, francuskie. Poznaje je nie tylko dzięki bezpośredniemu kontaktowi, także poprzez świadectwo tych, którzy patrzyli na nie przed nami. Jest w tym spojrzeniu na świat i czułość, i ciekawość. W *Dzienniku amerykańskim* początkowa obcość, jaką Europejczyk odczuwa w tym innym świecie, zamienia się w zachwyt nad cudzym, lecz pięknym krajobrazem. I w końcu we wdzięczność za możliwość odświeżenia perspektywy. Z tymi nowymi wrażeniami stary europejski świat będzie można odkrywać na nowo. Powtarzam – zachwyt i czułość kierują ciekawym wzrokiem Julii Hartwig. To ta ciekawość – między innymi rzecz jasna – sprawiła, że poetka zajęła się tłumaczeniami Francuzów i Amerykanów. Dlatego lubię twórczość Julii Hartwig.

Dlaczego lubię ją samą? Niech za odpowiedź starczy takie wspomnienie: proszę sobie wyobrazić nieopierzoną, początkującą dziennikareczkę, zdeprymowaną już na wejściu swoim spóź-

nieniem, bo zapomniała o korkach na zatłoczonych, hałaśliwych ulicach Warszawy. Trema rośnie, gdy staje oko w oko ze znaną poetką – kobietą dystyngowaną i wytworną. Dziennikareczka czuje się zakłopotana i coraz bardziej malutka. I nagle w okno pukają gołąbki. Pani Julia z ciepłym uśmiechem tłumaczy: „Proszę o jedzenie, codziennie je karmię”. To jedno zdanie sprawia, że dziennikareczka zaczyna czuć się jak w domu.

Najnowszy tom esejów, zapisów z dalekich francuskich i amerykańskich podróży Julii Hartwig, nosi tytuł *Zawsze powroty*. Julia Hartwig – lublinianka, wróciła dzisiaj do miasta swojego urodzenia. Jest mi ogromnie miło, pani Julio, powiedzieć: witamy w domu!

**Julia Hartwig:** Bardzo dziękuję za to ciepłe przemówienie. Chciałam przywitać państwa i powiedzieć, że ogromnie się cieszę, że mogłam przyjechać do Lublina, że zostałam tu zaproszona. Kamienice tego miasta przypominają mi tak wiele z mojego dzieciństwa, że za każdym razem to przeżycie jest jak gdyby odnowione. Myślę, że będziemy miały okazję jeszcze o tym porozmawiać, a teraz, jeżeli państwo pozwolą, no bo cóż jest wart poeta bez przeczytania swoich wierszy, proszę posłuchać kilku, a potem będziemy mogli przeprowadzić rozmowę.

### Nad Dziejami Apostolskimi<sup>2</sup>

Odjęty nam został niepokój oczekiwania  
trochę soli na język garstka wody z chrzcielnicy  
i oto jesteśmy w gronie wybranych  
Co raz dane – przyjęliśmy i komu osądzać czyśmy letni w wierze  
czy tak już w niej zadowoleni jak małżonkowie żyjący pod jednym dachem  
od dziesiątków lat i nieskłonni do zdziwień  
Ale ci pierwsi? Ten setnik rzymski, który bez wahania  
dał się ochrzcić z całą rodziną  
ten napotkany przez Filipa rzezaniec etiopski  
który wysłuchawszy jego nauk powiedział kiedy zbliżali się do rzeki:  
Cóż przeszkadza bym został ochrzczony?  
Wszyscy w obliczu wiary nowej która szła na nich  
jak fala młodego oceanu jak światło rzucone o niezwykłej porze

<sup>2</sup> Z tomu *Zobaczone* (1999).

O słodczy pierwszy agap chrześcijańskich  
o uniesienia łyż wiary i tęskne wyczekiwanie na nauczycieli  
przybywających z daleka na statkach miotanych burzami  
i wędrujących pieszo wśród wrogich okrzyków i latających w powietrzu kamieni  
O miłości wspólna mimo podejrzeń i oskarżeń  
bez których nie może się obejść ludzki rodzaj  
O początku obdarowany łaską dotknięcia  
nie skażony bezwolnością i łatwym dziedziczeniem

### **Dusza**<sup>3</sup>

Przez całe życie wie że jest nieśmiertelna  
działając w śmiertelnym ciele  
Ciałem myśli i czuje bywa poważna i żartobliwa  
ciałem dotyk kocha i patrzy  
i szaleje i krzyczy i boli ją i nienawidzi  
Jakże będzie to czynić pozbawiona ciała  
Kiedy myślimy o tej która odeszła  
też oblekamy ją w ciało  
mówiąc: spotkamy się wkrótce  
i staramy się utrzymać ją przy sobie  
choć zawsze pragnęła mieć więcej przestrzeni

### **Echo**<sup>4</sup>

Iść ulicami płacząc cierpieć być szczęśliwym  
kto stępił w tej maszynie ostrza tak boleśnie  
była pora miłości jak poranek świeża  
ukryci w sanktuarium pięknej znów Europy  
przed okiem nienawiści pogardy i zdrady  
chodzili ulicami szczęśliwi i wolni  
na wielkich pustych placach tańczyli swą miłość  
stare domy z brwią gniewną były im przyjazne  
sprzyjało ciepło kawiarni jasne światła ulic  
i bezdomność ich była wszystkim oczywista  
kiedy szli z dłonią w dłoń złączeni jak rzeka  
i była ta bezdomność bolesna i słodka  
jak krew wyszana z serdecznego palca  
osobni i złączeni dwa kontury twarzy  
zachodzące na siebie jak podwójne zdjęcie  
nigdy śmiech nie był lekki tak ni ból tak rzadki  
mieszkali jedno w drugim nie dbając co będzie  
bardziej pewni wieczności niż dnia jutrzejszego  
tylko nocą niepokój ścisnął ich za gardło  
i zasypiali tęskniąc nawet we śnie  
odnajdując się razem na rozległych łąkach  
wśród skał niezwykłych z płócien mistrzów Padwy i Florencji  
Dziś obojga ich nie ma Umarli czy żywi  
czy to ważne Ich miłość bezdomna jak kiedyś  
błąka się po ulicach jak biedna wariatka  
i wykrzykuje słowa okrutne i śmieszne

<sup>3</sup> Z tomu *Zobaczone* (1999).

<sup>4</sup> Z tomu *Czułość* (1992).

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

<sup>5</sup> Z tomu *Czulość* (1992).

#### Zraniony<sup>5</sup>

O pełnia niewyciężona pełnia lata  
tryumfująca a tak żałobna tak bliska śmierci  
ukazująca zenit i kres  
zanim jeszcze wszystko stanie się oczywiste

Dojrzałe lato szydzi z nas  
przepychem i owocowaniem  
trzymając jeszcze nóż w ukryciu  
ze snu nas budzi niepokój spadających gwiazd

Bo trwanie pełni jest najkruchsze  
i dzień zraniony będzie właśnie w godzinie tryumfu  
a kiedy padło ostrzeżenie  
na próżno chciałbyś udawać niewiedzę

Lecz o poranku lato takie bywa młode  
O lato jak ty słońcem oświetlasz ten ceglany mur  
i jak lekko prowadzisz cię codzienną drogą  
I noc jest taka czysta jak lustro jak czarne szkło  
O lato pokaż mi swój drugi brzeg  
mnie która kocham cię miłością czystą  
pokaż mi brzeg twój bezdrzewny bezskalny  
bym uwierzyła bym się nauczyła  
widzieć co nie istnieje by tam gdzie mnie nie ma

[*Odwiedziny* – ostatni wiersz przeczytany przez poetkę – przedrukowany na s. 271.]  
(Oklaski)

**Julia Hartwig:** Dziękuję bardzo, dziękuję!

**Agata Koss:** Rozpocznijmy rozmowę. Wilczym prawem – przyznam sobie na początku głos. Pani Julio, już wspomniała pani troszeczkę o Lublinie swojej młodości. Gdybyśmy mogli poprosić, aby pani roztoczyła przed nami czar ulic, które już teraz wyglądają trochę inaczej, albo ulic, których na przykład już nie ma. Jak wyglądał pan Lublin?

**Julia Hartwig:** Tamten Lublin wyglądał inaczej, ale Stare Miasto właściwie się zachowało, mimo że przeszło tyle ciężkich prób historii. Wciąż ma ono swój wspaniały i dla mnie niezapomniany urok, który idzie za mną, jak gdyby przez całe życie. To, co jest mi najbliższe z Lublina, to właśnie pamięć Starego Miasta, mimo że nigdy tam nie miesz-

kałam. Mieszkałam w Śródmieściu, początkowo na ulicy Staszica, później na ulicy Narutowicza, gdzie też chodziłam do gimnazjum Unii Lubelskiej. Miałam wspaniałą szkołę, wspaniałych profesorów. Pozwolę sobie przypomnieć, że moją nauczycielką geografii była pani Chałubińska – wnuczka doktora Chałubińskiego, odkrywcy Zakopanego, że moją nauczycielką łaciny była pani Pliszczyńska, uczennica profesora Zielińskiego, znakomitego znawcy klasycyzmu. A jeszcze może taka ciekawostka, jeżeli państwo słyszeli o wspaniałym aktorze, który się nazywał Jacek Woszczerowicz, to jego siostra była moją nauczycielką fizyki.

Zapamiętałam też Lublin jako miasto, które miało bardzo żywe życie kulturalne. Tutaj wychodziło przecież pismo



„Reflektor”, tutaj mieszkali znakomici poeci – Józef Czechowicz i Józef Łobodowski. Dla mnie, dla początkującej poetki, bo wtedy już zaczęłam pisać, chociaż drukowałam tylko w szkolnym pisemku, prawdziwą poetycką wielkością był Józef Czechowicz. Od czasu mojej wczesnej młodości była to dla mnie postać legendarna. I dotąd zachowałam ogromne uwielbienie dla tego wspaniałego poety. Zachowały się wspomnienia o nim jako człowieku łagodnym, koleżeńskim i niezawistnym, doskonale wiedzącym, czego chce dokonać i pozbawionym przesadnych ambicji. Te bardzo piękne cechy przywołują, wspominając Czechowicza, jego przyjaciele, między innymi Czesław Miłosz, który bardzo jego poezję szanuje i ceni.

Wracając do pytania o przedwojenny Lublin, trzeba powiedzieć więcej o Starym Mieście. To miejsce miało piękną architekturę i było też dla mnie czymś bardzo tajemniczym. Lublin nie miał jeszcze wtedy dobrego oświetlenia. Jeśli w czasie pełni księżyca stało się na Rynku, to był on oświetlony tylko księżycem i robiło to bardzo wielkie wrażenie. Na Starym Mieście mieszkała głównie społeczność żydowska, która była stosunkowo mało nam znana i prawie niedostępna. Budziło to we mnie ogromne zaciekawienie i jakąś taką sympatię i tęsknotę do tego, żeby do nich się w jakiś sposób zbliżyć.

**Agata Koss:** Wspomniała pani o Józefie Czechowiczu. Czy były jakieś spotkania?

**Julia Hartwig:** Mnie było trudno nawet marzyć o tym. Jeżeli pani tak mówi o tej dziennikarce, która stała się dojrzałą i znaną dziennikarką, to gdy przywołuję tamte czasy – wspominam je jako pensjonarka, która w ogóle nie mogła marzyć o tym, żeby rozmawiać z Czechowiczem. Ale jednak zdarzyła mi się pewna historia z nim związana. Mój ojciec od chwili zamieszkania w Lublinie miał zakład fotograficzny i wychował sobie następcę, którym był Edward Har-

twig – jego syn, a mój brat. Był on dobrze znanym w Lublinie, znakomitym artystą fotografikiem, który zawsze starał się być w awangardzie artystycznej. Skończył wtedy studia graficzne w Wiedniu, wrócił i brał żywy udział w życiu inteligencji lubelskiej. Jego zakład fotograficzny był też miejscem spotkań lubelskich artystów. Był to bardzo skromny pawilon, cały oszklony, który znajdował się na Narutowicza i którego dziś już nie ma. To był rodzaj jak gdyby ogromniej budy, w której dokonywały się różne cuda fotograficzne. [Edward] lubił bardzo pomagać ludziom, którzy po amatorsku fotografowali. Fotografia nie była wtedy jeszcze tak rozpowszechniona i aparaty nie były jeszcze tak znakomite jak dzisiaj. Do zakładu fotograficznego mojego brata przychodził, żeby pokazać mu swoje zdjęcia, między innymi Józef Czechowicz. Jest nawet taki powojenny tomik poezji Czechowicza *Poemat o mieście Lublinie*, który został ozdobiony zdjęciami Lublina zrobionymi przez poetę. Pamiętam, że tam właśnie, w tym pawilonie, miałam okazję przyjrzeć się Czechowiczowi, który był człowiekiem małym, nawet trochę powiedziałyby – nieśmiałym, i stojąc zawsze z nieodłączną fajką, rozmawiał z moim bratem – to był taki mój pierwszy z nim kontakt. A drugi związany był z tym, że Czechowicz interesował się młodymi debiutującymi poetami i jeden z moich wierszy dano mu do oceny. Dzisiaj wolałabym zapomnieć o tym wierszu, który był naprawdę bardzo słaby. Ale Czechowicz poważnie się do niego ustosunkował i zrobił coś bardzo ciekawego. Mianowicie, każdą linijkę wiersza oceniał osobno i pisał po prawej stronie: plus albo minus. To mnie bardzo zaskoczyło, bo nigdy nie myślałam, że można oceniać wiersz tak jak gdyby fragmentami. Tak wyglądały moje spotkania z Czechowiczem.

**Głos z sali:** Chciałam zapytać o relacje między panią i Anną Kamieńską, która

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

też przecież jest lublinianką. Czy Anna Kamińska chodziła do Unii? I czy panie kontaktowały się w Lublinie? Czy później może w Warszawie?

**Julia Hartwig:** Bardzo chętnie pani odpowiem na to pytanie, ponieważ Anna Kamińska była moją najbliższą przyjaciółką właściwie od wczesnej młodości, a nawet od dzieciństwa. W tym czasie ja już byłam bez matki. Dom Anny Kamińskiej był domem, w którym znalazłam wspaniałe ciepło rodzinne. Owszem – [Anna] chodziła jakiś czas do Unii, po czym wyjechała do Studium Pedagogicznego do Warszawy. Najbliższe więzy łączyły nas w okresie szkolnym, a potem w okresie okupacji, kiedy musiałam uciekać z Warszawy, bo ścigało mnie gestapo. Wtedy schroniłam się pod Lublinem, gdzie Anna Kamińska miała stryja – leśniczego, tak że tam przetrwałam przez jakiś czas. Ona jest oczywiście znaną państwu poetką, która nie ograni-

czała się tylko do pisania wierszy. Tłumaczyła także poetów łacińskich, Psalmy, była ogromnie pracowita. Pisała również książki dla dzieci, które są wciąż czytane i bardzo lubiane. Bardzo dziękuję pani za to pytanie, bo myślę, że tutaj należało wspomnieć o Annie Kamińskiej, która znaczną część życia spędziła w Lublinie. Urodziła się co prawda w Krasnymstawie, ale tutaj mieszkała.

**Agata Koss:** Bardzo proszę, czekamy na pytania, można pytać nie tylko o Lublin. Zachęcam do takich i innych pytań. Bardzo proszę...

**Głos z sali:** Pani nawiązała do tradycji rodzinnych – fotograficznych. Są poeci, którzy raczej słyszą i są poeci, którzy raczej widzą. Chciałem zapytać – czy pani, pochodząc z tej fotograficznej rodziny, raczej widzi wiersz czy raczej go słyszy? Nie chodzi mi o te wiersze, które są już napisane, które my już możemy przeczytać, bo to nasza sprawa, żeby odnaleźć

Agata Koss (prowadząca spotkanie) i Julia Hartwig, 2001. Fot. Maria Kubiszyn. Archiwum TNN.



odpowiedź na to pytanie. Mnie chodzi o ten moment, zanim się one jeszcze urodzą, jak są jeszcze w pani, czy pani je widzi, czy pani je słyszy?

**Julia Hartwig:** Bardzo dziękuję, to jest bardzo dobre pytanie i pan trafił w samo sedno mojej twórczości. Mój ostatni tomik nazywa się *Zobaczone*. Oczywiście to ma swoje znaczenie. „Zobaczone” oznacza, że to, co ja widzę, jest dla mnie bardzo ważne. Do tego stopnia ważne, że – tak mi się wydaje czasem – oglądanie, patrzenie jest takim zmysłem, który mi zastępuje wszystkie inne. Bardzo kocham muzykę i słucham jej często, ale to właśnie patrzenie jest dla mnie przewodnikiem. Nie tylko w życiu, ale także w malarstwie, ponieważ ja bardzo żywo interesuję się malarstwem i gdziekolwiek mam okazję oglądać wystawy, robię to. Zwróciło na to uwagę dwoje znakomitych dziennikarzy, którzy rozmawiali ze mną w programie telewizyjnym *Rozmowy pod koniec wieku*. Pierwsze pytanie, które padło, było sformułowane w sposób bardzo szczególny, mianowicie spytali mnie: „Czy można nauczyć się patrzeć?”. I to mnie postawiło wobec pewnego problemu, bo ja myślę, że z jednej strony w jakiś sposób jest to wrodzone, dlatego że wynika z mojej uwagi dla ludzi, z mojej uwagi dla pejzażu, z chęci przyglądania się wszystkiemu – nie wstydę się tego powiedzieć – z pewnej życzliwości wobec świata. Ale równocześnie myślę, że można nauczyć się widzieć. Są ludzie, którzy idą ulicą i nie widzą, co się wokół nich dzieje, nie widzą ani drzew, ani kwiatów. Myślę, że z pewnością mogliby się nauczyć to widzieć.

**Agata Koss:** Powiedziała pani o patrzeniu. Czego panią nauczyła francuska lekcja patrzenia? I amerykańska?

**Julia Hartwig:** To jest troszkę bardziej skomplikowane. Do Francji wyjechałam jako osoba młoda – to był przypadek, że dostałam stypendium od rządu francuskiego. Byłam jeszcze nieukształto-

wana, to było moje pierwsze zetknięcie się z kulturą Zachodu i tam oczywiście chłonełam oczami wszystko, co widziałam. Chodziłam do wszystkich muzeów i przede wszystkim czytałam w bibliotece, a jak wiadomo w bibliotece patrzy się wzrokiem i nie można słuchać. Oczywiście pani nie chodzi tylko o patrzenie. To było takie pierwsze wprowadzenie do kultury francuskiej, która mnie jak gdyby ukształtowała. I do tego stopnia, że właściwie wyznaczyła dalszy bieg moich prac. Mianowicie, napisałam dwie monografie – monografię Apollinaire’a i monografię Gérarda de Nerval’a – dwóch bardzo znaczących poetów. Tłumaczyłam poetów francuskich, ale głównie Apollinaire’a. Tomy tych tłumaczeń ukazały się pod moją redakcją.

Ten pierwszy wyjazd do Francji – i późniejsze wyjazdy – były bardzo owocne. Dziennik, o którym pani wspominała i który teraz wyszedł: *Zawsze powroty*, jest dziennikiem prowadzonym przeze mnie we Francji i w Nowym Jorku. Bo w następnym etapie mojego życia spędziłam kilka lat w Nowym Jorku. Nie muszę państwu mówić, że to był szok; nazywa się to „szokiem kulturowym”. Tak się złożyło, że mieszkaliśmy razem z mężem w miasteczkach uniwersyteckich, więc miałam to szczęście, że często – tak mi się wydaje – stykałam się z ludźmi naprawdę ciekawymi, myślącymi, tworzącymi, więc może pod tym względem mój kontakt z Ameryką był mniej typowy niż ludzi, którzy przyjeżdżają tylko po to, żeby coś obejrzeć i przejść się po mieście. Poza tym, kiedy się mieszka kilka lat w jakimś kraju, to naprawdę dobrze poznaje się jego obyczaje, poznaje się także jego problemy. Wyjechałam tam w roku [19]70, to było po roku [19]68, który był bardzo okrutny w Polsce, bardzo trudny do przeżycia. Efektem tego wyjazdu było to, że napisałam *Dziennik amerykański*, gdzie dość dokładnie jest opisane życie całej na-



### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

Eugeniusz Rudnik wręczając kwiaty Julii Hartwig. 2001. Fot. Maria Kubiszyn. Archiwum TNN.



szej rodziny – bo byliśmy tam również z córką. Zredagowaliśmy także razem z moim mężem – Arturem Międzyrzeczkim, antologię poezji amerykańskiej, która się ukazała w Polsce. Takie były korzyści z tych wyjazdów.

**Agata Koss:** A czy to ta lekcja francuskiego sprawiła, że mówi się bardzo często o pani poezji – Przybylski zaczął to tak klasyfikować – jako o poezji zaliczanej do nurtu klasycyzującego? I czy pani zgadza się z tą opinią?

**Julia Hartwig:** Najpierw się ucieszyłam, że on tak napisał, ale potem doszłam do wniosku, że właściwie to tak chyba nie jest, że nie jest to poezja klasycyzująca. Ona ma za duży kontakt jak gdyby z życiem, żeby nazwać ją „klasycyzującą”. Znalazłam nawet pewne echo tego mojego poglądu w recenzji Stanisława Barańczaka, w której bardzo stanowczo zaprotestował przeciwko takiej klasyfikacji. Uważał, że ta poezja zanadto wchodzi we współczesność, żeby móc ją nazwać „klasyczną”.

**Agata Koss:** Jeszcze pan Eugeniusz Rudnik chciałby coś powiedzieć, proszę.

**Eugeniusz Rudnik:** Dziękuję pani. Ośmieliłem się dać pani kwiaty, dlatego że pani jest piękna, tak jak pani poezja, cieszę się bardzo, dziękuję za cudowne słowo, dziękuję pani za spotkanie, cieszę się również z tego, że pani ma tak dużo wspaniałych koleżanek ze swego gimnazjum.

**Julia Hartwig:** Ja także się cieszę. (Oklaski)

**Agata Koss:** *Zawsze powroty* to jest świeża – użyję tego sformułowania – książka pani Julii Hartwig. Ja szczególnie polecam państwu uwagę *Dziennik podróży*, ale mówię [o najnowszej książce], ponieważ ten tytuł jest ujmujący – *Zawsze powroty*...

Mam nadzieję, pani Julio, że naprawdę czuła się pani wśród swoich koleżanek, pasjonatów pani twórczości i wielbicieli pani osoby jak w domu. Bardzo dziękuję w imieniu wszystkich za to spotkanie i zapraszam – w imieniu wszystkich – do Lublina jak najczęściej!

**Julia Hartwig:** Bardzo państwu dziękuję, że państwo przyszli i cierpliwie wysłuchali wszystkiego do końca!



# Otwarcie Zaułka Hartwigów

5 listopada 2004

Pobyt Julii Hartwig w Lublinie w dniu 5 listopada 2004 roku związany był z wyjątkową uroczystością. Poetka wraz z najbliższą rodziną uczestniczyła w otwarciu Zaułka Hartwigów – tak nazwano schody łączące plac Rybny z ulicą Kowalską. Tego wieczora na mapie Lublina pojawiło się nowe miejsce, w trwały sposób przypominające o związkach rodziny Hartwigów z miastem.

Po otwarciu Zaułka w Trybunale Koronnym odbyło się uroczyste przekazanie Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” negatywów Edwarda Hartwiga przedstawiających Lublin.

Otwarcia Zaułka towarzyszyło ukazanie się nowego albumu Edwarda Hartwiga *Lublin i okolice. Wspomnienie*.

Zdjęcia z uroczystości otwarcia Zaułka Hartwigów (1 i 2), przekazania do Ośrodka negatywów Edwarda Hartwiga (3) i promocji albumu *Lublin i okolice. Wspomnienie* (4). 2004. Fot. Krzysztof Wojteczko. Archiwum TNN.

(1)



(2)



(3)



(4)







## Julia Hartwig

# Radość z Zaułka\*

Kim są ci Hartwigowie, którym przypisany został piękny zaułek łączący ulicę Kowalską z placem Rybnym w Lublinie? Nazwę ulicy nosi zazwyczaj jedna osoba, wybrana i uznana za godną tego wyróżnienia. A tu mowa jakby o rodzinie, spróbujmy więc o rodzinie Hartwigów coś więcej powiedzieć.

Kiedy przybyli do Lublina w roku 1918, uciekając przed rewolucją w Rosji, było ich sześcioro: Ludwik, fotograf z zawodu, jego żona, Maria Biriukow, Rosjanka urodzona w Moskwie, i ich czworo dzieci, Edward, Walenty, Zofia i Helena. W roku 1921 dołączyła do tej gromadki urodzona już w Lublinie, najmłodsza córka, Julia. Zamieszkali przy ulicy Staszica 2, na facjatce, gdzie zajmowali dwa pokoje z oddzielną ciemnym korytarem dużą kuchnią. Początki musiały być niełatwe. Zwłaszcza po dostatnim życiu w Moskwie, gdzie im niczego nie brakowało. Ojciec znalazł się w stolicy Rosji w 1909 roku jako przedstawiciel łódzkiej firmy fotograficznej J. Tyra-spolski. Następnie założył dwa własne zakłady, ciesząc się powodzeniem. Wielu Polaków znajdowało wówczas dobre warunki pracy w Rosji, byli wśród nich ludzie najróżniejszych zawodów. Tak zwana Kongresówka utrzymywała ożywione stosunki handlowe ze swoim wschodnim sąsiadem. Rewolucja październikowa zmieniła wszystko. Polacy uciekali stamtąd do ojczyzny i wracając, całowali ojczystą ziemię. Tak było i z naszą rodziną.

Mieszkanie na Staszica pamiętam mgliście, ale mimo trudności codziennego życia wspominam ten okres jako może najszczęśliwszy dla naszej rodzi-

ny. Byliśmy wszyscy razem, moi bracia i siostry chodzili do gimnazjum, ja chodziłam do szkoły podstawowej mieszczącej się tuż przy Katedrze i pamiętam dotąd, że kiedy rano odprowadzała mnie matka, zachodziła zawsze na pacierz do Katedry, uważając widać, że i w cerkwi, i w kościele jej modlitwa będzie tak samo wysłuchana. Nigdy jako dziecko nie zastanawiałam się nad tym i nie czułam, że moja matka jest Rosjanką. W domu mówiło się wyłącznie po polsku, czego do dziś trochę żałuję, nie znam bowiem dotąd języka rosyjskiego.

Po kilku latach przenieśliśmy się na pierwsze piętro, do trzypokojowego mieszkania ze służbówką, które opuścił dotychczasowy lokator. Materialnie mieliśmy się już lepiej. Źródłem utrzymania był zakład fotograficzny przy ulicy Narutowicza, który bardziej przypominał oszklony barak niż atelier, ale zbudowany był z punktu widzenia zawodowego celowo. Dziś, sięgając w przeszłość, podziwiać muszę energię mojego ojca i jego umiejętność współżycia z ludźmi, dzięki czemu zajął poczesne miejsce w życiu ówczesnego Lublina. Był szanowanym obywatelem i z pewnością najbardziej popularnym fotografem w mieście, do dziś jeszcze spotykam ludzi, którzy przechowują dotąd zdjęcia rodzinne wykonane przez mojego ojca. Tak czy inaczej, nazwisko jego związało się z latami międzywojennego Lublina.

Był fotografem uniwersalnym. Robił zdjęcia w pracowni i zdjęcia grupowe, jeździł do szkół, na zjazdy, fotografował ważne wydarzenia w mieście. Reklamując swoją firmę, używał pieczętki: „Fotograf uniwersytetu lubelskiego i teatru

\* *Zaułek Hartwigów*,  
Lublin 2006, s. nlb.  
[5-18].

Na sąsiedniej stronie: Zaułek Hartwigów. 2006.  
Fot. Joanna Zętar. Archiwum TNN.

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

lubelskiego”. Jego namiętnością był teatr, z zamiłowaniem robił też zdjęcia teatralne, a nie było to zadanie łatwe, zwłaszcza, że zdjęcia robiło się zazwyczaj po zakończeniu przedstawienia i w tym celu trzeba było raz jeszcze ustawiać dekoracje. Pracę utrudniał niezwykle ciężki sprzęt, duży aparat, statyw, szklane klisze w drewnianych kasetach. Przybory te pomagali mu dźwigać obaj moi bracia, których zadaniem było, również rankami, przed pójściem do szkoły, płukanie odbitek i przycinanie ich do odpowiedniego formatu. Nic więc dziwnego, że nikt z mojego rodzeństwa nie zdradzał ochoty do wyboru podobnego zawodu. Wiele godzin musiał ojciec też spędzać na pracy w ciemni i jego palce zabarwione były zawsze śladami kwasów.

Choć zajęty był czasem do późnej nocy, kochał swój zawód i wykonywał go z prawdziwym zamiłowaniem. Łatwo nawiązywał kontakt ze swoimi klientami, chętnie też udzielał porad młodym adeptom fotografii amatorskiej, która nie była

jeszcze ani tak rozpowszechniona, ani tak zautomatyzowana jak dziś. Pamiętam też, że z otchłani ciemni dobiegał mnie często jego melodyjny gwizd, będący wspomnieniem jakiejś arii operowej lub zapamiętanej z koncertu melodii, co świadczyło w sposób oczywisty, że humor mu w pracy sprzyja.

Kiedy mój brat, Edward, początkowo studiujący malarstwo, zaczął pod kierunkiem ojca fotografować, on z kolei przejął pracownię na Narutowicza, która stała się wkrótce miejscem spotkań bohemy i ludzi zainteresowanych fotografią artystyczną. W roku 1935 brat mój wyjechał na studia do Wiednia, by udoskonalić swoją wiedzę w dziedzinie fotografii. Trafił do Instytutu Graficznego, gdzie studiował pod kierunkiem znakomitego profesora, Rudolfa Koppitza, który wrócił właśnie z pobytu w Stanach Zjednoczonych. Podczas pobytu Edwarda w Wiedniu zakład prowadziła jego żona, Helena (z domu Jagiełło), i zdjęcia jej cieszyły się dużym powodzeniem u klientów; niektóre z jej prac artystycz-



Zaułek Hartwigów – tablica z nazwą. 2010. Fot. Joanna Żętar. Archiwum TNN.



nych znalazły się również, okazjonalnie, na kilku wystawach.

Pobyt wiedeński utwierdził Edwarda Hartwiga w przekonaniu, że fotografia jest dziedziną godną nazwy sztuki i że on sam ma w niej wiele do powiedzenia. Odstąpiwszy swoją pracownię synowi, ojciec otworzył zakład na tyłach Hotelu Europejskiego na Krakowskim Przedmieściu i tam też zamieszkaliśmy. W rozmowie, jaka cytowana jest na dalszych stronach tej książeczki, Edward przypomina ludzi, z którymi przyjaźnił się w czasach przedwojennych i mówi o swoich kontaktach z życiem artystycznym ówczesnego Lublina.

W roku 1931 straciliśmy naszą ukochaną matkę i wiele czasu upłynęło, nim pogodziliśmy się z tym sieroctwem. Zamieszkała wówczas z nami babka, matka mojego ojca, Maria z domu Szmidt Hartwigowa, i jej mąż, Andrzej, który był specjalistą od wyrobu mebli. Oboje pochodzili z różnych stron Polski, ona z Suwalszczyzny, on z Podola. Babka była znakomitą gawędziarką i bajczarką, o czym Edward wspomina w jednym ze swoich wywiadów. Moje rodzeństwo zaczęło teraz powoli opuszczać dom, najstarszy brat założył rodzinę, Walenty ukończył chlubnie studia medyczne na Uniwersytecie Warszawskim i ożenił się, do Warszawy przeniosła się siostra, Helena, gdzie zapisała się do słynnej szkoły pielęgniarstwa imienia Florencji Nightingale. Zofia wyszła za mąż, po czym oboje z mężem, poduczeni w fach przez ojca, założyli zakład w Lubartowie, gdzie zresztą wiodło im się nie najlepiej. Wrócili więc znów do Lublina, gdzie pozostali już oboje do końca życia, pomagając ojcu i opiekując się nim podczas długotrwałej choroby, która na kilka lat przykuła go do łóżka.

W czasie bombardowania Lublina, zaraz w pierwszych dniach września 1939 roku, tuż po wybuchu wojny, bomba trafiła w dom na Krakowskim Przedmieściu, gdzie mieścił się zakład

ojca. On sam cudem ocalał, jednak całe archiwum fotograficzne, włącznie z kliszami brata, wśród których znaczną część stanowiły zdjęcia Lublina i Kazimierza, uległo wówczas zniszczeniu. Wtedy właśnie ojciec mój przeniósł się na ulicę Świętoduską<sup>1</sup>.

W momencie wybuchu wojny Edward miał już znaczny dorobek artystyczny, fotografował w każdej wolniejszej chwili, wykonał całą serię zdjęć portretowych i krajobrazowych, zwłaszcza z Lublina i okolic. Zdjęcia te, obok walarów artystycznych, mają dziś nieocenioną wartość dokumentalną. Na Ogólnopolskiej Wystawie Krajobrazu w Warszawie, zorganizowanej w 1939 roku, wystawił około czterdziestu prac przedstawiających krajobrazy z różnych stron Polski. Jego nazwisko stało się znane nie tylko w Lublinie, ale i w całym kraju.

Podczas okupacji niemieckiej, zarówno mój brat Walenty, jak i ja, braliśmy udział w konspiracji. Edward zapewne też był w tę działalność wmieszany, bowiem tuż po wejściu armii rosyjskiej do Lublina natychmiast go aresztowano wraz z całą grupą inteligencji lubelskiej i wywieziono do obozu Jogła, na północy Rosji, skąd szczęśliwie wrócił, po półtorarocznym pobycie, w 1946 roku. Nasza siostra, Helena, w zawierusze wojennej znalazła się w Niemczech, wyszła za mąż i w Niemczech pozostała. Jej mąż, Helmut Pattberg, był właścicielem fabryki włókienniczej.

Najdokładniej oczywiście znam własne losy. W roku 1940, po krótkim pobycie na wsi u państwa Szczepańskich, właścicieli niewielkiego majątku Struża, gdzie uczyłam ich trzy córeczki, wróciłam do Lublina, gdzie dyrektorka mojej szkoły – a było to świetne Gimnazjum Państwowe imienia Unii Lubelskiej – zaproponowała mi studia na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Przystałam na to z wdzięcznością, Lublin nie był już tym samym miastem co niegdyś, co przed wojną. Utworzenie getta, wymor-

<sup>1</sup> Powinno być: Kapucyńska. Ten i kolejne przypisy pochodzą od Redakcji „Scriptores”.

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

dowanie Żydów i zniszczenie Starego Miasta było zbrodnią dokonaną nie tylko na ludziach, ale i na micie Lublina, na moich własnych wspomnieniach dzieciństwa. Wyjazd do Warszawy budził nadzieje na jakąś odmianę. Zapisałam się na wydział filologii polskiej i wypełniałam równocześnie zadania kurierki Szarych Szeregów. Miałam szczęście studiować u profesorów tak świetnych jak Julian Krzyżanowski, Witold Doroszewski, Władysław Tatarkiewicz, Tadeusz Kotarbiński czy docent Zofia Szmydtowa. Uczęszczając na wykłady profesora Krzyżanowskiego, poznałam dwóch młodych poetów, Tadeusza Gajcego i Zdzisława Stroińskiego, piszącego pod pseudonimem Chmura. Niestety, nie zdążyłam już zawrzeć bliższej z nimi znajomości, bo pewnego dnia, wiosną 1944 roku, podczas mojej nieobecności pojawiło się w moim warszawskim mieszkaniu gestapo. Uciekłam więc z Warszawy i ukryłam się w nadleśnictwie Świdnik, gdzie nadleśniczym był

Zaulek Hartwigów. 1954.  
Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



stryj Anny Kamieńskiej, mojej przyjaciółki z lat szkolnych. Obie, na wieść o wkroczeniu armii rosyjskiej, powróciłyśmy pieszo do Lublina. Wtedy to właśnie aresztowano mojego brata, Edwarda. Rodzina niespokojna była też o los drugiego brata, Walentego, który pracował przez cały czas powstania w Warszawie, w Szpitalu Dzieciątka Jezus, na Nowogrodzkiej. Na szczęście przeżył ten okres cały i zdrowy. W jakiś czas po powrocie z obozu Edward powziął myśl o przeprowadzce do Warszawy. W zburzonej kamienicy przy Alejach Jerozolimskich zbudował na drugim piętrze pracownię i mieszkanie, a w roku 1951 przeniósł się do stolicy wraz z żoną i dwiema córkami. Tutaj rozpoczął się nowy etap jego pracy i tu zaczęła się jego, można tak śmiało powiedzieć, nie tylko polska, ale też europejska kariera.

Odtąd towarzyszyło mu już nieprzerwane pasmo sukcesów, które osiągał nieustającym wysiłkiem artystycznym. Brał udział w dziesiątkach, jeśli nie setkach, wystaw krajowych i międzynarodowych, we wszystkich stolicach świata. Wydał liczne albumy, m.in.: *Ziemię rodzinną*, *Lublin*, *Łazienki*, *Fotografikę* (którą zakupiły również wydawnictwa zagraniczne), *Moją ziemię*, *Akropol*, *Pieniny*, *Kraków*, *Warszawę*, *Wariacje fotograficzne*, *Kulisy teatru*, *Wierzby*, *Halny*, *Kazimierz Dolny nad Wisłą*, *Spotkanie z Chopinem* i *Żelazową Wolę* (trzy ostatnie albumy wykonał wraz z córką, Ewą Hartwig-Fijałkowską). Kilka z tych albumów opatrzonych jest moimi wstępami. Jego wystawy odbywały się m.in. w Paryżu, Londynie, Wiedniu, w Houston (gdzie zakupiono jego fotogramy do muzeum), w Atenach i we wszystkich większych miastach polskich. Jest to jakby nieustanny festiwal jego sztuki. Nigdy nie pozwalał sobie na odpoczynek, ale, poszukując wciąż nowych rozwiązań, potrafił zachować własny, rozpoznawalny styl. Zadziwił młodych fotografików swoją wynalaz-

czością, nigdy jednak nie zgadzał się, by poszukiwania jego nazywać eksperymentami. To słowo wydawało mu się zbyt techniczne, miał do fotografii stosunek, który można by nazwać miłośnym. Jak niewielu innych artystów, zdążył zaznać jeszcze smaku sławy, los obdarował go życiem długim i niemal do końca twórczym. Jeśli ktoś z naszej rodziny zasłużył sobie najbardziej na ochrzczenie naszym nazwiskiem tego przepięknego zaułka z symbolicznymi niejako schodami pnącymi się w górę, to w pierwszym rzędzie wymienić tu trzeba jego, portrecistę Lublina.

Dobre słowo należy się z tej okazji również ojcu, którego największą może zasługą było to, że nakłonił swego syna, Edwarda, do wyboru tej, a nie innej drogi i przygotował go do niej. Godna uwagi była też jego rzemieślnicza i ludzka solidność. W polskiej encyklopedii znalazła się jednak nie głowa rodu, ale troje z jego dzieci: Edward, Walenty i Julia. Drugim, po Edwardzie, był Walenty, profesor medycyny, znakomity diagnosta, zwany też „ojcem endokrynologii polskiej”, medycyna nasza zawdzięcza mu bowiem pierwsze kroki w tej stosunkowo młodej wówczas nauce. Wkrótce po jego śmierci, która nastąpiła w 1991 roku, powstała fundacja jego imienia, mająca na celu pogłębianie wiedzy endokrynologicznej. Był człowiekiem prawym i powszechnie poważanym w swoim środowisku, wielkiej przy tym skromności.

Obaj bracia nie byli bezpotomni. Córka Edwarda, Ewa, choć z wykształcenia stomatolog, zwróciła się jednak do fotografii, towarzysząc w wielu wyprawach swemu ojcu, którym zajmowała się w ostatnich latach, kiedy owdowiał. Wydała też z nim wspólnie trzy albumy – o czym wspomnieliśmy – i miała indywidualną wystawę fotograficzną. Jej mąż, Andrzej, jest ekonomistą. Druga córka, Danuta, towarzyszyła ojcu raczej rodzinie, jej mąż, Antoni Saulewicz,



jest prawnikiem. Jako głowa rodziny doczekał się Edward dwóch wnuków i trzech prawnuczek. Po Walentym Hartwigu żadna z córek nie przejęła zamiłowania do medycyny. Obie to zapalone humanistki. Jolanta Hartwig-Sosnowska jest scenarzystką filmową i autorką książek dla dzieci, jej mąż, Janusz Sosnowski, to znany scenograf filmowy i teatralny, wykładowca w Łódzkiej Szkole Filmowej. Druga córka, Elżbieta, pracowała przez wiele lat w radio, w dziale dziecięcym i szkolnym; adaptowała też słuchowiska. Ich związki z ojcem były

Zaułek Hartwigów. 1970.  
Fot. Edward Hartwig. Zbiory prywatne Ewy Hartwig-Fijałkowskiej.



<sup>2</sup> ...opiewam nowocześniego człowieka. *Antologia poezji amerykańskiej. Wiersze amerykańskie od Poego, Whitmana i Emily Dickinson do poetów dzisiejszych*, wybór i oprac. Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki, Warszawa 1992.

<sup>3</sup> Są to m.in.: *Pierwsze przygody Poziomki*, Warszawa 1961 i 1967; *Pan Nobo. Dalsze przygody Poziomki*, Warszawa 1964 i 1967; *Wielki pościg*, Warszawa 1969; *Zguba Michalka*, Warszawa 1969; *Bajki zza kurtyny. Sztuki dla teatru dziecięcego*, Warszawa 1972.

<sup>4</sup> *Nowe przekłady*, Kraków 1973; *Poeta zamordowany*, Kraków 1966, 1976, 1993; *Wiersze miłosne*, Warszawa 1992; *Piosenka niekochanego i inne wiersze*, Kraków 1994.

<sup>5</sup> *Ja to ktoś inny. Korespondencja Artura Rimbaud*, Warszawa 1970.

<sup>6</sup> *Dziennik amerykański*, Warszawa 1980.

<sup>7</sup> *Apollinaire*, Warszawa 1962, 1964, 1972, 2010.

<sup>8</sup> *Gérard de Nerval*, Warszawa 1972.

bardzo bliskie. Matką obu córek była Krystyna, z domu Kostecka.

Jeśli mam już dodać do tej encyklopedycznej trójki i siebie, to w błyskawicznym skrócie spróbuję podać najważniejsze fakty ze swojego życia. Zadebiutowałam, mając niespełna piętnaście lat, w międzyszkolnym piśmie literackim „W Słońce”, które wychodziło w Lublinie. Po opisanym już wyżej okresie okupacyjnym kontynuowałam studia uniwersyteckie przez czas krótki na KUL-u, po czym powróciłam na Uniwersytet Warszawski, który po powstaniu znalazł schronienie w Krakowie. W roku 1947 otrzymałam stypendium rządu francuskiego i wyjechałam do Paryża, gdzie przebywałam przez trzy lata, studiując literaturę francuską. Przez ostatnie miesiące pobytu paryskiego pracowałam w attachacie kulturalnym Ambasady Polskiej. W roku 1950 wyszłam za mąż za poetę, prozaika i esyście, Artura Międzyrzeckiego. W roku 1955 urodziła się nam córka, Daniela. W roku 1970 wyjechaliśmy wraz z córką do Stanów Zjednoczonych, gdzie mój wykładał historię europejskiej poezji współczesnej na prywatnym uniwersytecie w Des Moines, a następnie na Nowojorskim Uniwersytecie Stanowym w Stony Brook na Long Island. W tym czasie prowadziłam przez jeden semestr w Des Moines wykłady z tzw. *creative writing*, czyli sztuki pisania, i wygłosiłam kilka odczytów o literaturze polskiej na Uniwersytecie w Ottawie.

Po powrocie do kraju w roku 1974 kontynuowaliśmy pracę pisarską i opublikowaliśmy liczne zbiory poezji własnej i tłumaczonej z innych języków, a także eseje i prozę. Wydaliśmy wspólnie antologię poezji amerykańskiej<sup>2</sup>, kilka książek dla dzieci<sup>3</sup>, tom[*y*] tłumaczeń wierszy

i prozy Guillaume'a Apollinaire'a<sup>4</sup>, a także *Listy Rimbauda*<sup>5</sup>. Za ogłoszone tłumaczenia otrzymaliśmy kilka nagród indywidualnych i kilka wspólnych, polskich, amerykańskich, austriackich i francuskich. Poza poezją ogłosiłam również *Dziennik amerykański*<sup>6</sup> z pobytu w Stanach i dzienniki podróży – *Zawsze powroty*, monografię Apollinaire'a<sup>7</sup> i *Gérarda de Nerval*<sup>8</sup>. Wśród moich wierszy nie mogły się nie znaleźć również strofy poświęcone rodzinnemu miastu.

Nasza córka ukończyła studia filozoficzne na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku. Przez kilka lat wykładała na uniwersytetach nowojorskich, ostatnio uczy w szkole, również w Nowym Jorku. Jej mąż, Keth Lehtinen, Amerykanin, z pochodzenia Fin, zajmuje się budownictwem wewnątrz i konserwacją drewna (ostatnio w muzeum Fricka).

Oboje z Edwardem przeżywaliśmy chwile prawdziwej radości, kiedy okazywało się, że nasze prace, prowadzone na dwóch tak różnych polach, spotykają się ze zrozumieniem i sympatią, a nawet są nagradzane, w kraju i zagranicą. Wśród licznych wyróżnień najbardziej może cenił sobie Edward srebrny medal miasta Paryża i Medal Zasłużonych dla Lublina. To, co nas łączyło, to poczucie wdzięczności, że trud nasz nie idzie na marne, że ktoś go dostrzega i czerpie z naszej sztuki pociechę czy zadowolenie artystyczne. Nie możemy się skarżyć na zapomnienie lub brak uznania. Ale z pewnością najpiękniejsza jest ta chwila, kiedy satysfakcji udzielają nam ludzie związani z tym, co nam bliskie, z naszym rodzinnym miastem. Dlatego z taką radością cała nasza rodzina przyjęła ten dar, jakim było nazwanie Zaułka Hartwigów w Lublinie.



# Świat jest do opisania

Spotkanie z Julią Hartwig w III Liceum Ogólnokształcącym im. Unii Lubelskiej w Lublinie

11 maja 2006\*

**Maria Brzezińska:** Moje pierwsze pytanie będzie dotyczyło początków, pierwszych prób literackich. Pani mówiła, że one były jeszcze w szkole. Chciałam też prosić o przypomnienie tej pierwszej oceny pani wierszy przez Czechowicza, który kontaktował się z młodymi poetami. I jak on to zrobił w przypadku pani tekstu. I także pytanie, jaki moment w swoim życiu uważa pani za debiut, za wkroczenie na drogę literacką?

**Julia Hartwig:** Szkoła, do której chodziłam – Gimnazjum im. Unii Lubelskiej – była świetna, po prostu miałyśmy znakomitych profesorów, których do dzisiaj pamiętam. Kiedy tylko mogę, to tę szkołę wspominam i wspominam także profesorów, którzy nas uczyli. Już w szkole coś zaczęłam pisać, nie da się tego ukryć. Redagowałam gazetkę szkolną i pierwsze swoje wiersze umieszczałam w tej gazetce i oczywiście trudno to było trzymać w tajemnicy. Miałam nawet takie różne przezwiska, zresztą miłe, związane z tym, że publikowałam wiersze. Również moja polonistka była osobą, która bardzo mnie popychała ku drodze literackiej. Mimo że ja sama wtedy o tym nie myślałam, bo byłam zarażona Judymem i takim pomysłem o misji – medycynie. To były czasy przedwojenne i byliśmy naprawdę wychowywani w sposób bardzo obywatelski, do ofiarnego życia dla kraju. Potem okazało się, że to rzeczywiście przydało się w czasie okupacji. Szkoła nie tylko nas uczyła, lecz także dawała nam wzorce postaw wobec życia, wobec społeczeństwa. Uczyła nas nie tego, żeby żądać czegoś od kraju, ale pokazywała nasze obowiązki wobec niego. Szkoła przed-

wojenna, która wychowywała obywatelsko, równocześnie wychowywała swoich uczniów w duchu tolerancji – to znaczy dawała im różne możliwości do wyboru. To jest pochwała – szkoła pozwalała wybierać. To jest właśnie to, co jest wielką zaletą każdego wychowania – przygotować młodego człowieka do tego, żeby umiał wybrać.

Pytała pani o Czechowicza. Otóż Józef Czechowicz nie był na tyle ryzykantem, żeby zajmować się młodą poezją. Ja to mówię z osobistego doświadczenia – bo to naprawdę nie jest łatwa rzecz – dostaje się tomiki poetyckie młodych poetów, każdy z nich by chciał, żeby napisać coś o tych wierszach. Oczywiście oczekuje dobrej opinii, czeka, że się go zachęci do dalszego pisania. Nie bardzo można to zrobić – odpowiedzial-

\* Nagranie: Marek Nawratowicz. Materiały archiwalne Ośrodka. Tytuł pochodzi od Redakcji „Scriptores”.



Budynek LO im. Unii Lubelskiej, 2006. Fot. Joanna Zętar. Archiwum TNN.

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

ność jest za wielka. Jeżeli się komuś od razu wytrąci pióro z ręki – to być może – zniechęci się kogoś, kto jest bardzo utalentowany. Jeżeli natomiast kogoś się zachęci, to będzie pisał wiersze do końca życia i będzie rozczarowany, bo okaże się, że nie potrafi pisać. Tak że [ja] staram się unikać ocen wierszy. Ale taką bardzo swoją własną drogę spojrzenia na wiersz pokazał mi Józef Czechowicz na przykładzie analizy właśnie mojego wiersza. Ten wiersz ukazał się w piśmie szkolnym „W Słońce” – ktoś zaniósł je Czechowiczowi i poprosił, żeby wypowiedział się o zamieszczonych tam wierszach. Kiedy otrzymałam to pismo z powrotem, zobaczyłam, że mój wiersz jest w bardzo dziwny sposób obnotowany. Mianowicie, przy każdym wersie był plus albo minus. Więc każda linijka była oznakowana plusem albo minusem. Pierwszy raz z czymś takim się zetknęłam, byłam bardzo tym zdziwiona, ale zrozumiałam, o co chodzi. Otóż, to była taka nauka, że wiersz jest całością, ale też każdy jego wers jest odpowiedzialny za siebie i mimo tego, że jest częścią większej całości, to powinien mieć swój własny rozwój,

swoją własną logikę i powinien brzmieć samodzielnie. Czechowicz, analizując mój wiersz, uznał, że niektóre z wersów, na szczęście nie wszystkie, ale niektóre, były – jak gdyby – nie spełnione do końca. I to była dla mnie bardzo głęboka i trudna nauka. Muszę powiedzieć, że wiele wierszy poetów nawet już dojrzałych nie spełnia tych warunków. Czechowicz był człowiekiem, który miał wielką dyscyplinę poetycką. Poza tym, że doskonale wiedział, co chce napisać i co chce powiedzieć, dobrze wiedział, jak chce to zrobić. I pisał swoje wiersze z ogromnym pietyzmem.

Tak że w ten właśnie sposób dokonała się ocena mojego wiersza przez Czechowicza.

**Maria Brzezińska:** Wróć jeszcze do debiutu. Czy to było w tym szkolnym piśmie „W Słońce”?

**Julia Hartwig:** Tak, tak właśnie. Chociaż nie bardzo wiem, co uznać za debiut. Pierwsze moje wiersze ukazały się wydrukowane właśnie w tym szkolnym piśmie. Można je było nawet kupić. Więc teoretycznie zadebiutowałam, mając piętnaście lat – byłam wtedy w zespole redakcyjnym „W Słońce”.



Julia Hartwig i prowadzący spotkanie: ks. Alfred Wierzbicki i Maria Brzezińska. 2006. Fot. Ignacy Tokarczyk. Zbiory prywatne autora.

Ten zespół – mniej więcej wiekowo ważył się od piętnastu do siedemnastu lat – to była młodzież z lubelskich szkół. Jak dzisiaj to oglądam, myślę sobie, że niewielu młodych ludzi chciałoby teraz poświęcić swój czas i pracę, żeby takie pismo wydawać. To wymaga naprawdę dużego wysiłku, nie tylko indywidualnego, ale też zespołowego. Drugą sytuacją, którą można uznać za debiut, jest *Antologia poetów lubelskich*, która ukazała się w Lublinie na początku 1945 roku i wydał ją Związek Literatów Polskich. Tam się znalazły wiersze młodych poetów z Lublina, między innymi: Anny Kamińskiej, pani Zakrzewskiej, Igora Sikiryckiego; i także moje wiersze tam były. Po [19]45 roku drukowałam w różnych pismach krajowych, między innymi w „Odrodzeniu”. Natomiast debiut prawdziwy, książkowy, to był tomik, który nazywał się *Pożegnania*, w którym były tylko moje wiersze i za który jestem naprawdę odpowiedzialna. On ukazał się w [19]56 roku – czyli stosunkowo późno.

**Ks. Alfred Wierzbicki:** To nie koniec pytań. Pozostaną jeszcze przy szkole. Napisała pani poruszający wiersz o koleżankach – Żydówkach. Pani wspomina te koleżanki, wspomina pani też nauczycielkę łaciny. Najpierw chciałbym zapytać, czy to była pani Niemirska-Pliszczyńska?

**Julia Hartwig:** Tak, tak, pani Pliszczyńska...

**Ks. Alfred Wierzbicki:** Ja ją znałem i to jest...

**Julia Hartwig:** ...wspomniała nauczycielka!

**Ks. Alfred Wierzbicki:** ...wspomniała nauczycielka, później wybitny profesor – filolog Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Ale chcę wrócić właśnie do tych koleżanek żydowskich. Chciałbym zapytać, czy to były jakieś bliskie przyjaźnie, czy młodzież polska przyjaźniła się z młodzieżą żydowską? Czy dziewczyny polskie przyjaźniły się z dziewczynami żydowskimi? Z wiersza wynika – że tak.

**Julia Hartwig:** W ogóle nie było takiego problemu w mojej szkole. Nikt właściwie się nie interesował, czy ktoś jest z pochodzenia Polakiem, czy pochodzenia żydowskiego. Jedyna różnica to była taka – jak wspomniałam w wierszu – że one na lekcje religii nie chodziły, miały swoje lekcje religii. To były przemiłe dziewczyny i bardzo lubiane w klasie, bardzo dobrze się uczące, bardzo pilne. W naszej szkole na pewno nie odczuwały żadnych przykrości związanych ze swoim pochodzeniem. To jest nawet straszne pomyśleć, że mogłoby coś takiego się zdarzyć.

**Ks. Alfred Wierzbicki:** Książka *Zaułek Hartwigów* niesie wiele wspomnień. Jak pani gdzieś pisze, że „to co było, jest i nie ma tego” – to przede wszystkim nie ma w Lublinie miasta żydowskiego. Natomiast książka ocala pewne szczegóły – i to jest najbardziej wzruszające – bo cóż my możemy ocalić? Ja chciałem zapytać, czy pani ma jakieś żywe wspomnienia tej rzeczywistości, która odeszła w niebyt?

**Julia Hartwig:** Nigdy nie mieszkałam na Starym Mieście, mieszkałam na Narutowicza, na Staszica, w Śródmieściu, w tym nowszym Lublinie. Ale każdy wypadek na Stare Miasto był dla mnie czymś bardzo ważnym. Po prostu tam wchodziło się w zupełnie inną atmosferę. Kiedy się przekroczyło Bramę Krakowską, otwierał się przed nami zupełnie inny świat. To wspomnienie zachowałam do dzisiaj, mimo że, niestety, nie ma już żydowskich mieszkańców Starego Miasta. Jest tam coś takiego w powietrzu – w ogóle Stare Miasto wytwarza taką atmosferę – że chce się tam być, że chce się tam wrócić, że się podziwia to miejsce. Już same ściany tych starych kamienic jak gdyby chcą nam powiedzieć, jak przepiękny jest Lublin. Tak się złożyło, że w czasie tej wizyty trafiłam na naprawdę piękną wiosenną pogodę, kiedy wszystko się już rozwinęło. Wczoraj było tak



słonecznie, potem wieczorem był księżyc, można było obejrzeć Stare Miasto w blasku księżyca, obejść małe uliczki, pójść na Szambelańską i w inne miejsca. To jest naprawdę niezwykle miasto... Nie mogę powiedzieć, że jest niedocenione, ale za mało się o nim wie... Trzeba więcej rozgłaszać piękno Lublina. Ludzie, którzy przyjeżdżają obejrzeć to miasto, wyjeżdżają stąd z poczuciem, że jeszcze tu wróca. Tym razem lata, kiedy tutaj mieszkałam, odżyły we mnie bardzo radośnie, a nie zawsze tak było. Bo po okresie Zagłady niechętnie przyjeżdżałam do Lublina. Nastąpiła wtedy taka zmiana miasta, zmiana jego atmosfery, że nie mogłam się z tym pogodzić. Czas mija i tak to jest, że dzisiaj muszę na to patrzeć z perspektywy historycznej – nie mam innego wyjścia. Ale mój stosunek do Lublina jest zawsze taki sam.

**Ks. Alfred Wierzbicki:** I jeszcze jedna refleksja. Książka *Zaułek Hartwigów* opowiada o Lublinie, ale poprzez pryzmat jednej rodziny – dziejów jednej rodziny. W historii każdego miasta [charakterystyczne] jest to, że składa się ona z takich właśnie historii rodzinnych. Ogromnie poruszająca jest historia pani mamy. Wspomnienie matki wraca nie tylko w wierszu, ale także w jednym z tekstów prozą. Mnie najbardziej poruszyło to, co się wydaje tak – powiedziałbym – bardzo nowoczesne, a i podziwu godne u tej kobiety, która tu przyjechała z Rosji... Pani wspomina gdzieś, że chodziła pani z matką do cerkwi w dzieciństwie – to jest w wierszu, ale w prozie jest także wspomnienie, że matka odprowadzała panią do szkoły i wtedy zachodziła do Katedry. I dla niej – w zasadzie nie było różnicy, czy się idzie do cerkwi, czy się idzie do Katedry. Więc rzeczywiście, jest to świadectwo bardzo eklektycznego, prawdziwego i głębokiego chrześcijaństwa. Jest w tym wszystkim też jakiś straszny cień odejścia mamy, jest bardzo tragiczny ton w tym wspomnieniu matki.

**Julia Hartwig:** Do tego już nic nie można dodać... Mogłabym co najwyżej jeszcze powiedzieć, że atmosfera panująca w moim domu pod tym względem – pomogła mi. Po prostu wykształciła we mnie poczucie, że należy szanować każdą religię. Musimy się liczyć z tym, że ludzie mają różne poglądy – tego też mnie nauczyła. To nawet nie jest tolerancja, bo tolerancja to jest coś o wiele mniej..., to jest pewne takie zrozumienie dla drugiej osoby... Z pewnością właśnie matce zawdzięczam i to, że nigdy nie byłam w jakiś fanatyczny sposób pouczana. W naszym domu religijność nigdy nie była żadnym przymusem, tylko rozwijała się w jakiś naturalny sposób.

**Ks. Alfred Wierzbicki:** W jednym z pani tomów jest wiersz, który wyraża pewną spontaniczną radość w momencie spotkania, gdzieś na ulicy nowojorskiej, chasydów. I tak sobie pomyślałem – jest to cudowny wiersz, który chyba łączy dwa kontynenty; rzeczywiście przestrzeń tego wiersza jest kolosalna. Pomyślałem, że żal, iż ten wiersz się nie znalazł w książce *Zaułek Hartwigów*. Ktoś, kto przed wojną widział Żydów w chałatach w Lublinie, mógł tak właśnie zareagować... Pani chyba nie ukrywa swoich łez wzruszenia. Więc jeśli miałbym jakiś dezyderat, to jeżeli książka będzie wydawana raz jeszcze, bardzo prosiłbym włączyć ten wiersz, który daje szerszą perspektywę. Ale nie wiem, co autorka na to?

**Julia Hartwig:** No tak... Autorka w ogóle nie miała przy tej książce wiele do powiedzenia... Po prostu skorzystano z jej tekstów i nie miałam żadnych zastrzeżeń co do tego. Myślę, że ksiądz profesor ma wielką rację, mówiąc, że ilekroć widziałam w Nowym Jorku, na Brooklynie zwłaszcza, tam gdzie najczęściej przemieszkiwałam, ludzi w chałatach, zresztą bardzo ładnych, eleganckich, to zawsze wspominałam żydowski Lublin. To było moje nieodłączne wspomnienie tamtego przedwojennego miasta z jego





Uczestnicy spotkania  
w III LO. 2006. Fot. Joanna  
Zętar. Archiwum TNN.

żydowskimi mieszkańcami, których zapamiętałam z Lublina. To było moje jedno wielkie doświadczenie życiowe związane z Lublinem, które towarzyszyło mi wszędzie, gdzie się ruszyłam. Na przykład na lotnisku – czasem spotykałam kogoś bardzo egzotycznego, z długą brodą, w czarnym kapeluszu, w długim płaszczu – i to mi zaraz przypominało Lublin. Tak że Lublin wiąże się dla mnie z bardzo wieloma wspomnieniami i wracał do mnie w różnych, nawet niespodziewanych momentach.

**Maria Brzezińska:** Cieszymy się bardzo obecnością pani dzisiaj. Będzie pani także w Lublinie jutro, kiedy będziemy wspominać pani przyjaciółkę – znakomitą poetkę – Annę Kamińską, również absolwentkę liceum Unii Lubelskiej. I wydaje mi się, że bez tego wątku to spotkanie nie mogłoby się odbyć. Proszę opowiedzieć o Annie, o waszej młodszej przyjaźni.

**Julia Hartwig:** Więc najpierw chciałam tylko sprostować, że Anna Kamińska nie była absolwentką Unii, tylko długo chodziła do tej szkoły – do momentu, kiedy przeszliśmy do liceum. Wtedy ona wyjechała do Warszawy, po-

nieważ postanowiła zrobić seminarium nauczycielskie. Ale to już była wówczas dziewczyna prawie dorosła, która sama decydowała o swoim losie. Między nami były bardzo silne więzy, to była najbliższa moja przyjaciółka od wczesnych lat szkolnych. Muszę powiedzieć jeszcze o jej rodzinie. Jutro będę miała okazję to wspominać i wyrazić swoją wdzięczność dla niej. Jej rodzina była takim miejscem, gdzie ja zawsze znajdowałam, w jakimś sensie, schronienie. Ponieważ dosyć wcześnie utraciłam matkę – miałam wtedy pięć lat, taki pobyt w domu, gdzie były trzy córki, matka i właśnie moja przyjaciółka, na domiar pisząca wiersze – podobnie jak ja – to było wielkie szczęście mojego późnego dzieciństwa. Ta przyjaźń przetrwała bardzo wiele lat. Oczywiście z czasem – tak zawsze bywa ze stosunkami nawet z najbliższymi – ona troszeczkę osłabła. Byłyśmy w różnych środowiskach, ja też sporo czasu spędzałam poza Polską, ale więzi między nami były zawsze bardzo bliskie. To była osoba bardzo niezwykła, bardzo pracowita, bardzo utalentowana. Jej droga życiowa była nie taka łatwa i od pewnego momentu bardzo mocno

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

związana z religią, do której początkowo miała wielkie zastrzeżenia.

**Maria Brzezińska:** Bardzo dziękuję. Kolejnym pytaniem zaskoczę panią. Chciałabym zapytać panią o męża – Artura Międzyrzeckiego... Proszę opowiedzieć, jak wyglądała państwa przyjaźń literacka i małżeńska, ludzka. Miałam szczęście w końcu lat siedemdziesiątych, jako młody redaktor Radia Lublin, być gościem państwa... Pamiętam, że drzwi mi otworzył pan Artur... To było na Marszałkowskiej, gdzieś wysoko w wieżowcu... Byłam gościem państwa – i zostałam bardzo serdecznie przyjęta. W czasie tego spotkania nagrałam audycję – ona oczywiście jest w archiwum, ale zapamiętałam państwa razem... Dlatego otwieram ten temat...

**Julia Hartwig:** Pani nas zastała razem i bardzo wielu ludzi nas zawsze łączyło razem, po pierwsze dlatego, że byliśmy małżeństwem i byliśmy – jak to się mówi – bardzo dobrym małżeństwem, ale także dlatego, że byliśmy małżeństwem takim może niecodziennym, tak można by to określić. Bo poeta i poetka żyli w tym samym domu. To, zdawać by się mogło, jest bardzo trudne. Kilka razy mnie pytano, czy była na przykład między nami jakaś rywalizacja? Taka sprawa w ogóle nie stawała na porządku dziennym... Nawet, powiem szczerze, o literaturze – mimo żeśmy się nią oboje zajmowali – nasze rozmowy były raczej krótkie, dotyczyły bardziej sprawozdań z tego, co robimy. Nigdy nie było tak, żebyśmy się uważali za parę wybranych poetów, którzy mają być wysoko w obłokach i żyć troszkę inaczej niż normalni ludzie...

**Maria Brzezińska:** Mieszkanie to państwu ułatwiało, bo to było gdzieś na dziesiątym czy dwunastym piętrze...

**Julia Hartwig:** Ta rzecz chyba nam to ułatwiała (śmiech). Nasz przypadek jest dosyć rzadki, chociaż w środowisku literackim zdarzały się małżeństwa poetów i poetek...

**Maria Brzezińska:** Anna Kamińska i Jan Śpiewak, prawda?

**Julia Hartwig:** Anna Kamińska i Śpiewak, potem Jastrun i Mieczysława Buczkówna, więc byli tacy... O ile wiem, to były małżeństwa na ogół bardzo dobre, tak że – jak widać – problem konkurencji nie wchodził w grę. Bardzo pożyteczne i bardzo dobre dla takiego małżeństwa jest jakieś obopólne zrozumienie dla tego, czym się zajmujemy. Nawet jeśli ktoś siedzi do rana przy stole, to ma prawo siedzieć, bo to znaczy, że chce coś napisać ważnego.

**Ks. Alfred Wierzbicki:** Chciałabym jeszcze zapytać o Józefa Łobodowskiego – czy pani z nim się zetknęła w okresie swojej młodości w Lublinie?

**Julia Hartwig:** Ja się z nim zetknęłam, ale bardzo niewiele razy. On także – podobnie jak Czechowicz – był zainteresowany pismem „W Słońce”, w którym ukazywały się również recenzje... Nawet osobiście byłam wmieszana w „afery” z moją recenzją o tłumaczeniach Łobodowskiego z języka rosyjskiego, które skrytykowałam. I on mi to kiedyś wypomniał... Czechowicz i Łobodowski to były dwa najbardziej odmienne typy poetów, jakie można spotkać w życiu. Czechowicz był człowiekiem wielkiej harmonii, spokoju, łagodności, natomiast Łobodowski ćwiczył boks, a także często nadużywał trunków. Można go było nawet czasem spotkać na ulicy w jakiejś bójce – bo był bardzo zadzierny. Po wojnie pracował w Radiu Madryt, gdzie prowadził dział polityczny, bardzo antykomunistyczny, bardzo ostry, a pamiętam, że kiedy mieszkał w Lublinie, to uważało się go za...

**Ks. Alfred Wierzbicki:** Za lewicowca go uważano!

**Julia Hartwig:** Tak!

**Ks. Alfred Wierzbicki:** W poezji jego jest bardzo dużo tej „lewicowości”.

**Julia Hartwig:** Rzeczywiście, w jego poezji są elementy rewolucyjne. Tak że mieliśmy w Lublinie dużą barwność, je-

śli chodzi o przekrój charakterologiczny poetów.

**Ks. Alfred Wierzbicki:** O Łobodowskim wspominałem także dlatego, że jest to dzisiaj niemal zapomniany poeta. Stąd pomyślałem, że jest okazja zapytać o niego kogoś, kto go widział... i kto pamięta cały koloryt osobowości Łobodowskiego...

**Julia Hartwig:** Mogłabym jeszcze dodać, że nad osobą Łobodowskiego zastanawiało się wielu ludzi. Między innymi Jerzy Turowicz, który był naszym przyjacielem domowym, zapytał mnie: „A co sądzisz o poezji Łobodowskiego?”. Bo Turowicz miał właśnie takie poczucie, że to jest poeta zapomniany i że trzeba go wydać. To jest najbardziej ciekawe, że właśnie redaktor „Tygodnika Powszechnego”, który zasadniczo powinien niechętnie patrzeć na Łobodowskiego, zastanawiał się nad wydaniem jego wierszy.

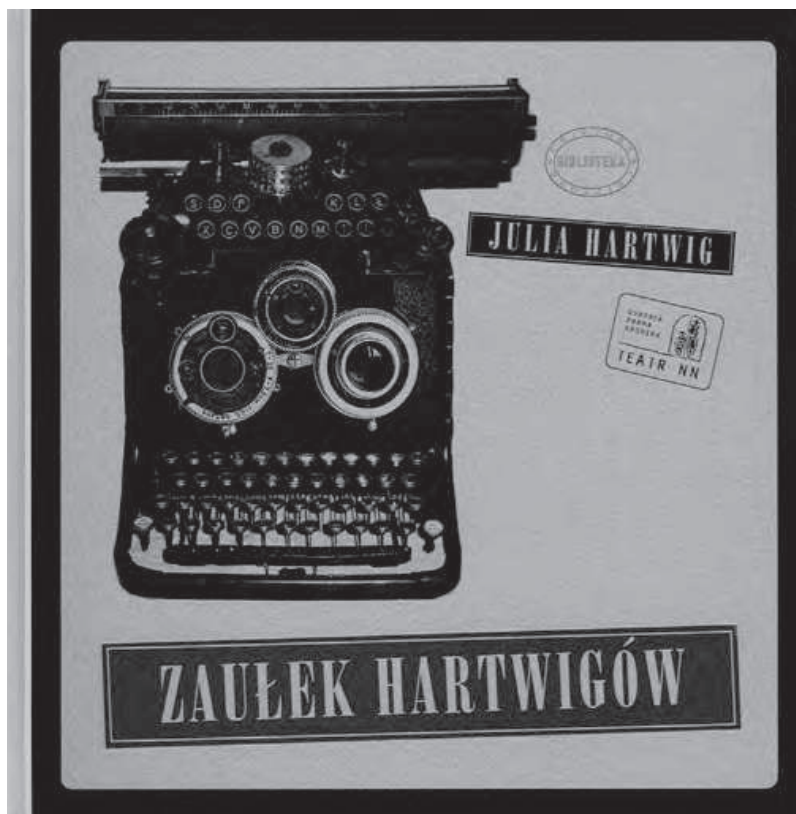
**Maria Brzezińska:** Z mojej strony ostatnie już pytanie. Myślę, że to pytanie będzie takim „pytaniem pomostowym” do czytania wierszy, bowiem dotyczy ono istoty poezji pani Julii Hartwig.

Ja sobie zapisałam najpierw takie zdanie: „Wpływ oczu na sprawność ręki poety” – czyli przetwarzanie obrazów na fakturę poetycką i potrzeba zdobywania obrazów. Pani o tym mówiła, pisała i to się potem odczytuje w tekstach – że pani kocha malarstwo, że ogląda pani bardzo dużo, gdziekolwiek byli państwo na świecie. Ale nie tylko malarstwo, bo także naturalne widoki, zabytki, martwe natury, które powstają na targu. Poeta się posługuje słowami – a okazuje się, że żyje, karmi się, wcale nie tylko słowami. Że nawet w sposób istotny musi się karmić obrazami i muzyką.

**Julia Hartwig:** Nic do tego dodać nie mogę – mogę się tylko zgodzić, że tak jest...

**Maria Brzezińska:** To wobec tego – prosimy o wiersze.

**Julia Hartwig:** Państwo muszą mieć jeszcze cierpliwość, żeby dwóch wier-



szy wysłuchać... Jeden jest związany z Lublinem – znajdą go państwo w tej książeczce *Zaulek Hartwigów*. To należy się dzisiaj Lublinowi, żeby uczcić tę książkę. Tytuł tego wiersza brzmi *Elegia lubelska*. Zaczyna się od takiej jakby dedykacji samej sobie...<sup>1</sup>

Ten drugi wiersz – mieliśmy teraz rocznicę zwycięstwa – to jest wiersz, który ma tytuł *Victoria*<sup>2</sup>.

**Ks. Alfred Wierzbicki:** Na koniec poprosimy jeszcze o rady dla młodych poetów.

**Julia Hartwig:** Ja już wielokrotnie o tym mówiłam, wstydzę się po prostu jeszcze raz z tym narzucać. Po prostu młodym poetom radzę przede wszystkim, żeby zdobywali kulturę literacką, żeby czytali dużo, żeby doskonale poznali poezję polską i poezję zagraniczną, od tego się można bardzo wiele nauczyć, to jest bardzo dobra szkoła – potwierdzam obojętnie, że tak jest... Więc z jednej strony – kultura literacka, z drugiej – także wrażliwość na świat – żeby nie tracili tej wrażliwości, żeby nie tracili wrażliwości

Okładka *Zaulek Hartwigów* (Lublin 2006). Projekt: Małgorzata Rybicka. Archiwum TNN.

<sup>1</sup> Wiersz na s. 263.

<sup>2</sup> Wiersz na s. 271.

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

na ludzi, na naturę, żeby starali się utrzymać bliski kontakt z naturą i z ludźmi, i zawsze wtedy będą jak gdyby przygotowani do tego, żeby napisać wiersz. Jeżeli oczywiście starczy im talentu, bo w jakiś sposób talent jest u samej podstawy. Niestety, trzeba go mieć. Albo się go ma – albo się go nie ma. Poza tym myślę, że bardzo pożądana jest tutaj skromność, tak jak w każdym innym zawodzie. Nie należy wyobrażać sobie od razu, że się jest poetą, że się napisze coś dobrego. Trzeba być cierpliwym i wytrwałym. Jeżeli ktoś chce być poetą, jeżeli ktoś chce być pisarzem, to niech wie, że musi być

przygotowany na trudne próby, że po pierwsze – może być niezrozumiany, po drugie – może mu się nie udać. To wszystko trzeba wziąć w rachubę. Trzeba wiedzieć, że to jest zawód bardzo trudny, który zajmuje naprawdę całą głowę i właściwie nigdy nas myśl o pisaniu nie opuszcza. Co wcale nie znaczy, że nie potrafimy chodzić po ziemi i normalnie robić zakupy, kupować marchewkę, świeży chleb czy ciasto. Tu chodzi też o taką ciągłą świadomość tego, że świat jest do opisania, że my sami jesteśmy do opisania i jeżeli ta świadomość towarzyszy poecie, to mogą z tego być dobre wyniki.



# Spacer z Julią Hartwig

Lubelskie miejsca związane z rodziną Hartwigów

Kochamy miasto rodzinne za wspomnienia naszego dzieciństwa i młodości. Minęły dziesiątki lat, a ja wciąż oglądam dziecinnymi oczami skwer na placu Litewskim i nieprzebyty w swoim ogromie dla dziecięcych nóg Ogród Saski, zachwycają mnie wyczyszczone do blasku litery na Hotelu Europejskim, wdycham mocny zapach mielonej kawy, dolatujący z eleganckich sklepów kolonialnych w pobliżu kościoła Kapucynów, czuję na języku niezapomniany smak czekoladowych ciastek od Semadeniego, mam w uszach zgiełk panujący w dni targowe na Świętoduskiej i urzeka mnie wspomnienie ożywionego ruchu w okolicy ulicy Lubartowskiej [...]. (Julia Hartwig, *Lublin niezapomniany*. Zob. niniejszy „Scriptores”, s. 191).



1. Latarnia Pamięci. Fot. Ignacy Tokarczyk.
2. Brama Grodzka. Fot. Ignacy Tokarczyk.
3. Ulica Grodzka. Fot. Joanna Zętar.
4. Plac Po Farze. Fot. Joanna Zętar.
5. Rynek. Fot. Ignacy Tokarczyk.
6. Brama Grodzka. Fot. Ignacy Tokarczyk.
7. Początek ulicy Koziej. Fot. Joanna Zętar.
8. Plac Wolności (spotkanie z uczniami III LO). Fot. Joanna Zętar.
9. Ulica Narutowicza. Fot. Joanna Zętar.
10. Odsłonięcie tablicy. Fot. Ignacy Tokarczyk.







7



8



9



10



11



12



13

1 **Latarnia Pamięci**

2 **Brama Grodzka**

**Ulica Grodzka**

3 **Plac Po Farze**

4 **Rynek**

**Ulica Bramowa**

5 **Brama Krakowska**

**Ulica Kozia**

**Ulica Bernardyńska**

6 **Plac Wolności**

7 **NARUTOWICZA 12**

OBECNIE: budynek Wydziału Pedagogiki UMCS.

DAWNIEJ: Gimnazjum im. Unii Lubelskiej – szkoła średnia Julii Hartwig (a także Anny Kamieńskiej, Anny Malewskiej i Anny Szternfinkiel [Langfus]).

8 **NARUTOWICZA 23**

DAWNIEJ: drugie mieszkanie rodziny Hartwigów – przeprowadzili się tu z ulicy Staszica. Pod nowym adresem odbywały się m.in. spotkania redakcji „W Słońce”, a po II wojnie światowej spotkania młodych poetów i pisarzy tworzących nieformalną grupę poetycką: Jerzego Pleśniarowicza, Anny Kamieńskiej, Zygmunta Mikulskiego, Zygmunta Kałużyńskiego, Igora Sikiryckiego i innych.

9 **PEOWIAKÓW 2**

OBECNIE: restauracja Kresowa.

DAWNIEJ: pierwszy zakład fotograficzny Ludwika Hartwiga – drewniana przybudówka z przeszklonym dachem i ścianami. Wewnątrz budynku rosła akacja, której nie wolno było wyciąć – jej gałęzie wyrastały ponad dach.

10 **KAPUCYŃSKA 2**

OBECNIE: drogeria.

DAWNIEJ: tymczasowy zakład fotograficzny Ludwika Hartwiga – przeniesiony z Hotelu Europa zniszczonego w czasie bombardowania Lublina we wrześniu 1939 roku.

**Skrzyżowanie ulicy Krakowskie Przedmieście i Staszica**

11 **STASZICA 2**

DAWNIEJ: pierwsze mieszkanie rodziny Hartwigów.

12 **PODWÓRKO HOTELU EUROPA**

DAWNIEJ: drugi zakład fotograficzny Ludwika Hartwiga – przeniesiony z „budy” przy ulicy Peowiaków, która stała się atelier jego syna Edwarda.

**Krakowskie Przedmieście**

**Wzdłuż Hotelu Europa do Pałacu Czartoryskich**

**Ulica Staszica**

**Ulica Świętoduska**

**Ulica Kowalska**

13 **ZAŁĘK HARTWIGÓW**

DAWNIEJ: schody zbudowane w 1874 roku w celu połączenia ulicy Kowalskiej i placu Rybnego.

OBECNIE: miejsce upamiętniające związki rodziny Hartwigów z Lublinem; ustanowione w 2004 roku z inicjatywy Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.

14 **Plac Rybny**

**Ulica Ku Farze**



11



12



13



14



15



16



17



18



19



20

- 11. Ulica Narutowicza. Fot. Ignacy Tokarczyk.
- 12. Brama Narutowicza 23. Fot. Joanna Zętar.
- 13. Podwórko Narutowicza 23. Fot. Ignacy Tokarczyk.
- 14. Podwórko Narutowicza 23. Fot. Ignacy Tokarczyk.
- 15. Ulica Staszica 2. Fot. Piotr Sztajdel.
- 16. Podwórko Hotelu Europa. Fot. Joanna Zętar.
- 17. Drzwi do kamienicy Staszica 2. Fot. Piotr Sztajdel.
- 18. Hotel Europa. Fot. Piotr Sztajdel.
- 19. Ulica Staszica. Fot. Joanna Zętar.
- 20. Ulica Staszica (przy Świętoduskiej). Fot. Ignacy Tokarczyk.
- 21. Ulica Kowalska. Fot. Ignacy Tokarczyk.
- 22. Zaulek Hartwigów. Fot. Ignacy Tokarczyk.
- 23. Plac Rybny. Fot. Joanna Zętar.
- 24. Ulica Ku Farze. Fot. Ignacy Tokarczyk.



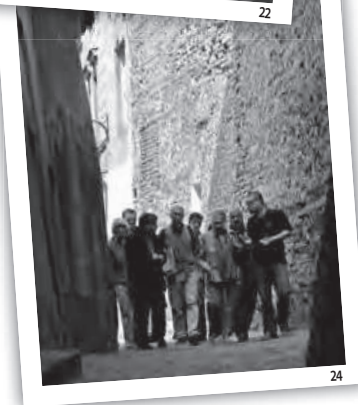
21



22



23



24



## Przywrócona Lublinowi\*

Wypowiedź Julii Hartwig podczas uroczystości nadania Honorowego Obywatelstwa Miasta Lublina 26 października 2009

Przede wszystkim dzień dobry państwu. Bardzo dziękuję, że państwo przyszli na uroczystość dla mnie tak piękną i ważną. Obywatelstwo Honorowe daje się bardzo rzadko, daje się w bardzo szczególnych przypadkach. Czuję się teraz przywrócona Lublinowi, dlatego że obywatelstwo od miasta rodzinnego jest to coś bardzo szczególnego. Jest to jak gdyby powtórne związanie z rodzinnym miastem na późniejszym etapie życia. To Honorowe Obywatelstwo bardzo mnie wzrusza. Jestem nim bardzo zaszczycona i sprawiło mi ono naprawdę wielką radość. Bardzo jestem wdzięczna także za to, że jedną z ulic Lublina oddali państwo we władanie rodziny Hartwigów.

Mam teraz ogromnie miłą okazję, żeby podziękować także za zainteresowanie i za podziw dla sztuki mojego brata – Edwarda Hartwiga. Obchodziliście państwo stulecie jego urodzin i wiem, że były tu zorganizowane piękne wystawy. Bardzo, bardzo dziękuję.

Chciałabym również podziękować za tomik moich wierszy przygotowany przez Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”. Ten mały tomik jest naprawdę pięknie wydany i są tam tylko wiersze poświęcone Lublinowi. Okazuje się, że jest tego całkiem sporo.

Więc cieszę się, bo właściwie mogło mnie to ominąć, że otrzymuję tak zaszczytne Obywatelstwo Honorowe Miasta Lublina. Bardzo serdecznie państwu dziękuję.

\* Tytuł pochodzi od Redakcji „Scriptores”. Materiały archiwalne Ośrodka.



Julia Hartwig podczas uroczystości nadania Honorowego Obywatelstwa Miasta Lublina. 2009. Fot. Piotr Sztajdel. Archiwum TNN.



Paweł Próchniak

## Julia Hartwig: wyczekujące słowo\*

### 1.

Julia Hartwig pisze wiersze mądre, uważne, dyskretne. Jest ostrożna i oszczędna. Nie wyostrza dramatycznych tonów. Nie szuka efektów. Pisze wiersze wierne poruszeniom serca, wierne scenom i obrazom – ulotnym, żyjącym tylko w rozbłysku. Te poruszenia wrażliwości są poruszeniami świata. Przydają rzeczom i zdarzeniom istnienia. Uczą je trwać. Nam otwierają oczy na to, co zacierają się i znika. Stroją słuch, by potrafił rozpoznać „Wśród ciemnego milczenia sosen – krzyk młodzieńskich nawołujących się brzoź”.

### 2.

Poezja Julii Hartwig trwa przy życiu. Pozwala dostrzec, jak bardzo jest ono bujne i niespożyte, z jaką siłą zagarnia wszystko, co jest. Jak krzewi się w miejscach najbardziej nawet jałowych, w szczelinach, pęknięciach, w otwartych ranach. Ten nurt życia – unosi, porzywa, fascynuje. Ale spojrzenie poetki na nim nie poprzestaje. Julia Hartwig patrzy też na miejsca puste. Widzi, jak zablizniają się. Jak ich żywy puls – niknie, zamiera, ustaje. Jak zalewa je nurt innego życia i postępująca tuż za nim – niepamięć.

\* Laudacja przygotowana na okoliczność przyznania Julii Hartwig nagrody Kamień, wygłoszona na festiwalu Miasto Poezji 2009, a później na spotkaniu z poetką w Teatrze im. Juliusza Osterwy, 26 października 2009. Dziękujemy Autorowi za zgodę na przedruk.

Nagroda Kamień. 2009. Fragn. fot. Piotra Sztajdla. Archiwum TNN.





## CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

### 3.

Tej niszczącej fali sprzeciwia się poeta. Temu, co utonęło w wezbranych wodach, zapadło się w odmęt śmierci, uległo zniszczeniu, zetlało w oddechu zagłady, temu, co nie ma siły trwać, co nie potrafi już być – pozwala żyć wiersz. W jego świetle to, czego nie ma, odsłania się oczom niczym zastygła w bursztynie kropla innego powietrza –

Głos łacinniczki był jakby trochę ostrzejszy, kiedy się do nich zwracała.

(Nigdy po imieniu)

Miriam była zawsze doskonale przygotowana,

Reginka słabsza, ale poprawna.

Trzymały się razem

i razem wychodziły z klasy przed lekcją religii.

Ostatni raz spotkałyśmy się niespodziewanie u wylotu Lubartowskiej,

na granicy świeżo utworzonego getta.

Stały tam onieśmiałe jakby przydarzyło im się coś wstydliwego.

### 4.

Taki wiersz jest jak kamień. Jest – nagrobną stelą. Trwa. Stawia opór zniszcze-

niu, sprzeciwia się ostatecznej zagładzie. Taki wiersz pielęgnuje kruchość istnienia. I pielęgnuje nadzieję – rodzaj pewności, że istnienie czyste i bujne powróci do nas –

Nie będzie zgłiszczy ani ruin  
wszystko zachowane tak jak przed zagładą  
w świetle i rozkwicie

Ten rozkwitający blask przywraca niewinność, ustanawia na nowo niezmaczone trwanie pierwszych dni stworzenia. To o nich poetka mówi: „Tak będzie”. I pozwala nam zobaczyć, że już zmierzają tutaj, że już ku nam „wychodzą (...) z przeszłości jak panny z kagankami oliwy”. W ten sposób wraca ta czysta chwila, kiedy nie wiedzieliśmy – co spełnić się może

a co na zawsze

będzie odebrane

O tej chwili, o jej rozbłysku – pamiętaj wiersze. I czekają na jej powrót – cicho i spokojnie niczym kamienie leżące na dnie górskiej rzeki.

# Obserwuję życie zagłębiona w przeszłości

Spotkanie w Teatrze im. Juliusza Osterwy  
26 października 2009\*

**Andrzej Franaszek:** Dobry wieczór państwu. Jaka ładna i jaka bardzo zdyscyplinowana czasowo, przynajmniej jak do tej pory, jest to uroczystość. Nazywam się Andrzej Franaszek, pracuję w „Tygodniku Powszechnym” i będę miał zaszczyt przeprowadzić krótką rozmowę z panią Julią Hartwig. Ale najpierw to, co najważniejsze w ciągu tego wieczoru, czyli oczywiście czytanie przez poetkę swoich wierszy. Pani Julio, oddaję głos.

**Julia Hartwig:** Przede wszystkim chciałabym państwa powitać. Bardzo się

cieszę, że spotkaliśmy się tutaj w Lublinie i że państwo tak licznie przyszli na dzisiejszy wieczór, który jest dla mnie wielką uroczystością ze względu na okoliczności, jakie mu towarzyszą. To znaczy zostałam zaliczona w poczet honorowych obywateli miasta Lublina, co jest dla mnie wielkim zaszczytem i sprawiło mi ogromną radość. Teraz chciałabym sobie pozwolić przeczytać państwu wiersze, bo taką sporą gromadkę wierszy przygotowałam, z różnych epok, z różnych czasów.

\* Fragmenty spotkania z Julią Hartwig z okazji wręczenia nagrody Kamień w ramach festiwalu Miasto Poezji 2009. Nagranie: Marek Nawratowicz. Materiały archiwalne Ośrodka. Tytuł pochodzi od Redakcji „Scriptores”.

Publiczność w Teatrze im. Juliusza Osterwy, 2009. Fot. Robert Sawa. Archiwum TNN.



## CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

<sup>1</sup> Z tomu *Obcowanie* (1987). Ten i kolejne przypisy pochodzą od Redakcji „Scriptores”.

<sup>2</sup> Z tomu *Nim opatrzy się zieleń* (1995).

<sup>3</sup> Z tomu *Czułość* (1992).

### **Napiętnowanie jesieni<sup>1</sup>**

Jesień to nie melancholia to wściekłość  
co rok powtarzana próba końca  
Wyprute wnętrzości ziemi  
na wierzchu buraki kartofle i brukiew  
co kryło się przed światem wydane jest na łup człowieka  
woda ze stawów spuszczone ławice karpi wyrzucone na brzeg  
drzewom urywa głowy wiatr gną się zmierzwiłone nieprzytomnie  
i aż do horyzontu zapach ziemi mdły i miłosny  
rozszerza nozdrza koniom  
ciągnącym fury wyładowane jak wozy wygnańcze  
Zdarte przemocą z drzew liście budzą żal tak gwałtowny  
że chciałoby się gnać razem z nimi  
z tym wszystkim co odchodzi a próbowało żyć  
w nadziei nieśmiertelności  
Pożary czerwieni brązowe wybuchy dębów  
i deszcz poganiający wszystko co spotyka w marszu  
Naprzód wygnańcy Naprzód  
Tłumy zapędzane pod dachy  
ostatnie zwierzęta szukające zimowego schronu przed chłodem  
a potem mgły spadające kurtyna za kurtyną  
zbiełały horyzont złudnych gór z których samobójczy skok  
uczynimy wraz z listopadem  
prosto w grudniową noc

### **Przygrywka<sup>2</sup>**

Szurnęło suchymi liśćmi  
zwiąło je między złożone skrzydła białych krzeseł  
i włoska muzyka pogody zmiękła w pół taktu  
Zahuczało ciemnym szaleństwem na klasycznym niebie  
Pamiętasz? Deszcze zmyły pamięć żeby nie bolało  
wiatr zmieszał słowa by nic nie zostało  
A jednak to skomlenie Biedne małe szczenię  
Szurnęło suchymi liśćmi

### **Jest i tym<sup>3</sup>**

Sztuka jest zaklinaniem istnienia  
żeby przetrwało  
ale jej przestrzeń rozciąga się na niewidzialne  
I jest inteligencją która żywiły skłócone  
zjednuje podobieństwem  
Jest rzeczą dzielną  
bo szuka nieśmiertelności  
będąc – jak wszystko – śmiertelną



### Po omacku<sup>4</sup>

Najpiękniejsze jest to co jeszcze nieskończone  
Niebo pełne gwiazd niezapisane jeszcze przez astronomów  
szkic Leonarda i urwana wzruszeniem piosenka  
Ołówek pędzel zawieszony w powietrzu

<sup>4</sup> Z tomu *Bez pożegnania* (2001).

<sup>5</sup> Jw.

<sup>6</sup> Z tomu *Wolne ręce* (1969).

### Victoria<sup>5</sup>

Dlaczego nie tańczyłam na Polach Elizejskich  
kiedy tłum wiwatował na cześć końca wojny?  
Dlaczego to nie ja rzuciłam się w ramiona temu marynarzowi  
który schodząc z trapu z płóciennym workiem na ramieniu  
biegł ku mnie przepychając się przez rozgorączkowany tłum  
gdy z wszystkich megafonów dobiegały już  
rozszałałe dźwięki bebopa  
na przemian z Marsylianką i hymnem Boże strzeż Królowej?

Dlaczego nie rozbiłam butelki szampana  
w pobliżu ich obu ubranych jeszcze w angielskie mundury  
i nie przeczuwających że kiedyś stanę u końca ich drogi?

Dlaczego pisane mi było żebym na głównej ulicy Lublina  
na widok wchodzących oddziałów z czerwonymi gwiazdami  
płakała z radości że nie usłyszę już znieawidzonego Raus! i Halt!  
i z szarpającego żalu że jest to cena za utracone marzenie  
o triumfalnym wjeździe bohatera na białym koniu  
i o powrocie tych którzy podwójnie oszukani  
tu już wracać nie chcieli

Stanęliśmy więc – ci co się zachowali –  
na ulicach obróconej w pustynię Warszawy  
i dziś po latach odnajdujemy tam siebie  
trudnych do rozpoznania  
na wyblakłych taśmach starych kronik filmowych

### \*\*\* [Pod tą wyspą...]<sup>6</sup>

Pod tą wyspą jest inna wyspa, może jeszcze piękniejsza.  
Ku niej płynie uśmiechnięta pływaczka, łącząc błyskawicznym łukiem skałę, powietrze i wodę.  
Chciałabym widzieć cię ze wszystkich stron, stworze, fragmencie, zawierucho,  
wspaniały obłądnie jasnego umysłu.

## CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

<sup>7</sup> Z tomu *Bez pożegnania* (2001).

<sup>8</sup> Z tomu *Jasne niejasne* (2009).

<sup>9</sup> Z tomu *Zobaczone* (1999).

### **Przyzwolenie<sup>7</sup>**

Oduczyliśmy się śpiewać

Oduczyliśmy się płakać

Płakali przy powitaniu Zan i Domeyko  
w strumieniu łez anielskich stał po kolana Słowacki  
Płakali obejmując się pierwsi chrześcijanie  
nie wstydzili się łez ewangeliści  
ani święty Piotr

Płacz Jeruzalem!

Płaczcie nad rzekami Babilonu!

Polwały się łzy me czyste rześiste

O męskie łzy  
w uniesieniu i zachwycie miłości  
w zapierającym dech przeczuciu  
że nie dana nam będzie wieczność obcowania

### **Via Condotti<sup>8</sup>**

Siedzieli obaj tu

w kawiarni Greco

Turowicz i Miłosz

Turowicz znał wiersze Miłosza na pamięć

A Miłosz wiedział: Taki nigdy nie będę

Na ścianie kawiarni wisi zdjęcie poety

Kto to jest? pytają amatorzy kawy

A my wiemy że byli tu obaj

opisani w wierszu „Café Greco”

Bywali tu przed nimi spiskowcy i poeci

Norwid Casanova Stendhal Byron Goethe

Wracali z Forum Romanum

i z rozedrganej upałem Ostii

Żebyś siedział tu nie wiem jak długo

nie wymyślisz jak to upamiętnić

Wypij swoją kawę zapłać

i wróć na via Condotti

### **Remanent<sup>9</sup>**

I wszystko straci cenę jak na posezonowej wyprzedży

lekkie suknie bo skończyło się lato

zimowe szuby peleryny jesienne

gumowe buty bo minęły deszcze

## Obserwuję życie zagłębiona w przeszłości

banknoty obce które już wyszły z obiegu  
telegramy: Przyjeżdżam! w których bije serce  
i te które listonosz doręcza ci z trwogą  
wycinki z gazet których sensu nie rozumiesz  
listy których zostawić nie pragniesz nikomu  
te kłopotliwe resztki ta sterta pamiątek  
czekających na oko ciekawskie płomienia

<sup>10</sup> Z tomu *Nie ma odpowiedzi* (2001). Wiersz z 1998 roku.

<sup>11</sup> Z tomu *Nim opatrzy się zieleń* (1995).

Teraz przeczytam państwu wiersz, który się łączy z moim pobytem w Ameryce. To jest taki wiersz żartobliwy, tak że mam nadzieję, że po tych troszkę refleksyjnych takich wierszach trochę państwo odetchną.

### **W podróży**<sup>10</sup>

Ogromne niebo nad Nowym Jorkiem  
Ale nikt nie patrzy na niebo  
Zaśmieconą ulicą Brooklynu idzie ciężarna dziewczyna  
i ciężarna kobieta  
cała ulica ciężarnych kobiet i dziewcząt  
Ulicą Brooklynu pełną straganów  
idzie swingujący Murzyn  
za nim drugi swingujący Murzyn  
cała ulica swingujących Murzynów  
Na chodniku Brooklynu wyładowuje towar  
wesoły hiszpański szofer  
cała ulica wesołych hiszpańskich szoferów  
Ulicą Brooklynu idzie z rozwianą brodą  
w czarnym kapeluszu i białych pończochach  
młody chasyd nie widzący nikogo ani niczego  
za nim stary chasyd gwałtownie gestykułujący  
cała ulica młodych chasydów nie widzących nikogo ani niczego  
i starych chasydów gwałtownie gestykułujących  
Pod zbiornikiem na śmieci bezdomny przepasany sznurkiem  
w wełnianej czapce na głowie zajada całkiem apetycznego sandwicza  
obok inny bezdomny patrzy na jego sandwicza łakomym okiem  
cała ulica bezdomnych z sandwiczem  
cała ulica bezdomnych popatrujących na sandwicza łakomym okiem  
ulicą Brooklynu idzie rozglądając się dokoła  
cudzoziemka przybyła z Polski w odwiedziny do córki  
cała ulica cudzoziemek z Polski przybyłych w odwiedziny do córki

### **Przemija postać tego świata**<sup>11</sup>

Zawsze chcieli wiedzieć  
co z tą świadomością się stanie.  
„Zmarli święci nie wiedzą co czynią żywi,  
nawet tego co czynią ich własne dzieci”  
powiedział święty Augustyn.



## CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

<sup>12</sup> Z tomu *To wróci* (2007).

<sup>13</sup> Z tomu *Czułość* (1992).

Okrutne rozdzielenie.  
Skąd więc tyle w nas pewności,  
że przebywają wśród nas umarli.  
Nędza naszego stanu nie jest pociągająca.  
Kto raz odszedł, nie zapragnie wrócić.  
Ale my nie umiemy sobie wyobrazić nic szczęśliwszego  
nad ten świat, który kurczowo trzymamy w objęciach.

### **Blues**<sup>12</sup>

Zanim jeszcze  
Przeczytaj jednak tę przypowieść  
O tak  
Przeczytaj

I nie zapomnij wrócić tam gdzie  
O tak  
nie zapomnij tam wrócić

Spróbuj zrozumieć to czego wówczas  
o tak  
spróbuj zrozumieć

I nie zaniedbaj zniszczyć tego  
co wiesz  
O tak  
nie zaniedbaj

I posłuchaj tego kwartetu  
co wtedy  
O tak  
posłuchaj

bo to przychodzi tak niespodziewanie  
to przychodzi  
o tak  
tak niespodziewanie

### **Z głową odwróconą**<sup>13</sup>

Kiedy już wszystko minie, kiedy nacieszę się już tym, co mnie tak raduje, że jest i trwa, chciałabym być posągiem patrzącym w morze, bez imienia, bez nazwy, stojącym z głową odwróconą od wszystkiego co nudzi i trapi.

Za plecami mieć ciemność, przed sobą rozświetlone niebo, ruchliwe światła na wodzie, na kamiennej twarzy czuć południowe ciepło.

### Bezczas<sup>14</sup>

Wytrzymać tydzień  
wytrzymać rok  
wytrzymać trzydzieści a potem siedemdziesiąt lat

Ale były lata których nikt nie liczył  
królewskie  
kiedy bawiliśmy się pod starymi dębami  
i wieczność była przy nas

**Andrzej Franaszek:** Czy te lata, których nikt nie liczy i kiedy wieczność jest przy nas, to są lata szczęśliwe, lata dzieciństwa na przykład?

**Julia Hartwig:** Tak, z perspektywy to są lata szczęśliwe. Ale oczywiście dzieciństwo ma także swoje szczęścia i nieszczęścia. I czasem te nieszczęścia wydają się bardzo duże. Ja jednak wspominam dzieciństwo dobrze, mimo że spotkała mnie wtedy wielka strata. Kiedy miałam dziewięć lat, straciłam matkę. Ale mimo to pamiętam siebie jako małą dziewczynę bardzo żywą, bardzo zainteresowaną wszystkim, co się dzieje, i właściwie zadowoloną z tego, co ją spotyka.

**Andrzej Franaszek:** W takim razie, zostając właśnie przy rodzinie pani no i przy Lublinie, można byłoby zapytać o to, że kiedy śledzi się pani dorobek – a jest to dorobek olbrzymi, bo chociaż przede wszystkim mówimy o książkach poetyckich, to także o przekładach, a więc czasie i aktywności, którą pani poświęciła innym poetom, przekładając z francuskiego i angielskiego, następnie o książkach monograficznych poświęconych znów innym poetom, a więc takiej stałej aktywności – i kiedy czyta się wspomnienia pani o ojcu, o jego niezwykłej energetyczności, kiedy mówi pani, że był... ba, miał więcej tej energii niż cała piątka dzieci razem wziętych, a więc można byłoby zapytać, czy czuje się pani spadkobierczynią swojego taty pod tym względem?

**Julia Hartwig:** Ja absolutnie nie mam takiej siły żywotnej, jaką on reprezen-

tował. Właściwie z natury jestem cała troszkę skupiona do wewnątrz. Ale jestem też bardzo ciekawa wszystkiego, co się dzieje, nie lubię być bierna w życiu, lubię wiedzieć o wszystkim, co się [wokół mnie] rozgrywa. Więc może ta druga część mojej osobowości w jakimś sensie jest odziedziczona po ojcu.

**Andrzej Franaszek:** A pani tata potrafił rzeczywiście zatrzymać pochod pierwszomajowy, żeby zrobić zdjęcie uczestnikom?<sup>15</sup>

**Julia Hartwig:** Tak. Tak. To był fakt, który komentowano w mieście potem, bo nikt nie przypuszczał, że pochod pierwszomajowy można zatrzymać. Proszę pamiętać, to było przed wojną, także inne znaczenie miał ten pochod. Proszę sobie wyobrazić fotografika, który ustawił sobie stół i na tym stole aparat, wtedy też nakrywało się głowę takim sukniem. Stojąc przy tym stole, właściwie dyrygował tłumem. Cały pochod został sfotografowany w znakomity sposób, można było później na fotografii rozróżnić każdego uczestnika, po czym ruszyli dalej.

**Andrzej Franaszek:** Być może nie wszyscy z państwa wiedzą, jaka była historia Ludwika Hartwiga, który najpierw był przedstawicielem firmy fotograficznej w Moskwie, założył tam bodaj dwa zakłady fotograficzne, ożenił się z Rosjanką, tam urodziła się czwórka dzieci – dwóch braci i dwie siostry – i po rewolucji po 1917 roku ta rodzina oczywiście musiała uciekać i tak trafiła do Lublina. Podobno ojciec kazał dzieciom

<sup>14</sup> Z tomu *Bez pożegnania* (2004).

<sup>15</sup> Istnieje opowieść o tym, jak w latach trzydziestych Ludwik Hartwig zatrzymał cały pochod pierwszomajowy, żeby zrobić dobre zdjęcia jego uczestnikom.

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

Tomasz Pietrasiewicz wręcza Julii Hartwig nagrodę Kamień. Na zdjęciu także Andrzej Franaszek. 2009. Fot. Piotr Sztajdel. Archiwum TNN.



pocałować ziemię po przekroczeniu granicy Polski.

**Julia Hartwig:** One często wspominały tę chwilę.

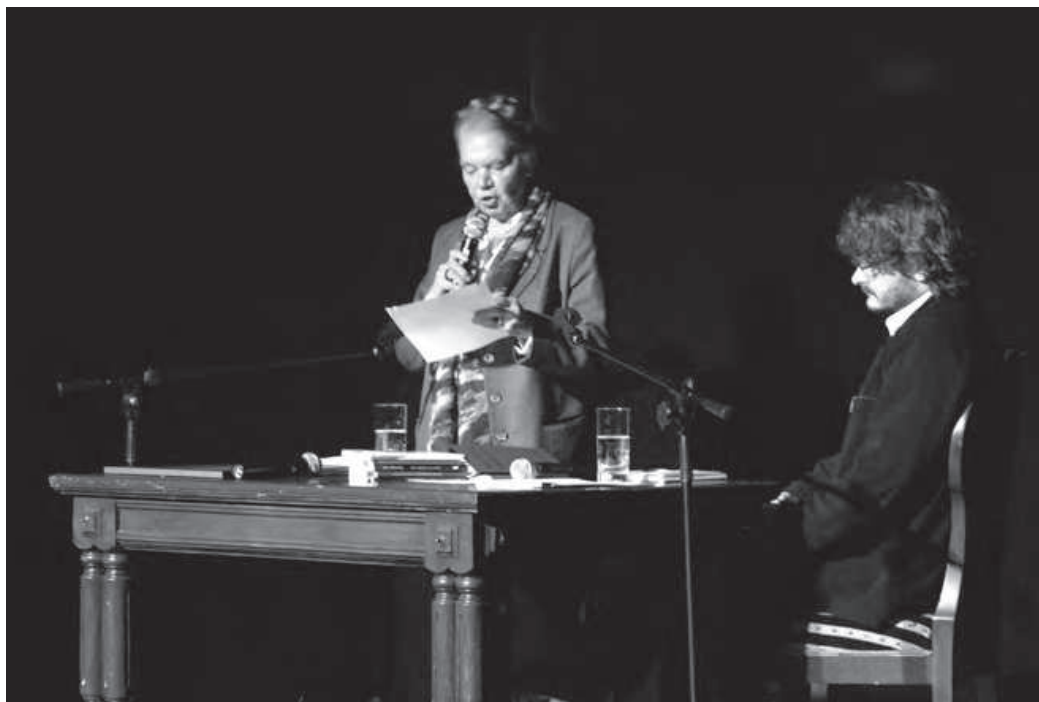
**Andrzej Franaszek:** Najmłodsza z tego rodzeństwa, czyli Julia Hartwig siedząca tutaj dzisiaj, urodziła się już w Lublinie, jako jedyna zresztą właśnie z tego pokolenia tej rodziny. Ale wspomina pani parokrotnie, zarówno w jednym z wierszy, jak i w którymś z tekstów publicystycznych, że w dzieciństwie pani nienawidziła fotografii.

**Julia Hartwig:** Muszę powiedzieć, że takiej przypadkowej, amatorskiej fotografii do dzisiaj bardzo nie lubię. A na prawdziwą fotografię nawrócił mnie mój własny brat, którego zdjęcia bardzo cenię. Ja sama jestem jak najdalsza od robienia zdjęć, natomiast bardzo się interesuję fotografią. Jak są wystawy fotograficzne, to zawsze chodzę na nie. Zauważyłam, że ogromnie wzrosło zainteresowanie tymi wystawami, czasem nawet jest większe niż obrazami.

**Andrzej Franaszek:** Jeśli dobrze rozumiem, to pani starsze rodzeństwo musiało w dzieciństwie pomagać ojcu w ciemni. Płukać odbitki czy, tak jak

mama, retuszować klisze i na tej zasadzie pierwszą reakcją było właśnie odrzucenie fotografii. I pani brat Edward Hartwig, znany artysta fotograf, dochodził dłuższą nieco drogą do fotografii, prawda?

**Julia Hartwig:** On także nie znosił fotografii, ponieważ obaj z moim bratem Walentym (następnie profesorem medycyny), wtedy jako chłopcy, musieli przemywać fotografie, trzeba było do tego kilka kąpiel. Przyglądałam się temu – wszystkie odbitki musiały być płukane bardzo dokładnie. Ręce im marzły, bo oni to robili na dworze, w domu nie było takiej możliwości. Tak więc Edward, który został potem słynnym fotografikiem, właściwie gdyby mu wtedy powiedzieć: „Masz zostać fotografem”, to chyba naprawdę złapałby się za głowę i nigdy by tego nie chciał. A potem, kiedy porzucił malarstwo, okazało się, że pokochał fotografię. Do tego stopnia, że był człowiekiem, który w ogóle nie rozstawał się z aparatem i potrafił wstawać przed świtem, żeby sfotografować mgły nad Lublinem i nad jego okolicami albo kobiety niosące przez polną drogę bańki z mlekiem



Julia Hartwig czyta swoje wiersze. Obok siedzi Andrzej Franaszek. 2009. Fot. Piotr Sztajdel. Archiwum TNN.

na plecach – bo kiedyś takie bańki się nosiło. Były one umieszczone w płachcie z lnianego materiału i zawiązane pod brodą. Ja te fotografie ogromnie lubię. Wydaje mi się, że ten cykl lubelski jest jednym z jego najwspanialszych cykli, chociaż nie był wtedy jeszcze tak mistrzowski jak potem. I one są jak... wiersze... te zdjęcia są poetyckie i bardzo, bardzo je cenię.

**Andrzej Franaszek:** W jednym wspomnieniu o bracie – bardzo pięknym zresztą – pani wspomina, że podczas ostatnich już swoich spacerów pod koniec życia jeszcze widział i zwracał uwagę na to, jak piękne jest światło, i pytał się, chyba córki, czy ma ze sobą aparat fotograficzny, prawda?

**Julia Hartwig:** Tak, bo już sam nie był zdolny robić zdjęć. Był bardzo wiekowy.

**Andrzej Franaszek:** To jest ciekawe, że pani zaczęła się, że tak powiem, mylić, mówiąc wiersze i zdjęcia – bo to działa w dwie strony, fotografie pani brata są poetyckie, ale też pani wiersze często pochwytywają świat widzialny, są zakotwiczone w jakimś obrazie. To jest taka poezja, którą ja zresztą bardzo cenię i cieszy mnie to prywatnie, że ona jest ciekawa

tego świata dookoła, nie jest na przykład tylko zanurzona w słowie. Czy jest jakiś tutaj właśnie rodzaj powinowactwa między panią a pani bratem?

**Julia Hartwig:** Myśmy się bardzo dobrze rozumieli, mimo że mój brat chyba mniej czytał moje wiersze niż ja oglądałam jego zdjęcia – ale to uważałam za zupełnie naturalne. Powinowactwem było to, że oboje byliśmy bardzo zagłębieni w naturę. Widać to w moich wczesnych wierszach, a potem w jakimś sensie to niknie. Edward był człowiekiem, który naprawdę znał każdy skrawek ziemi, na którym mieszkał i po którym chodził. I to mi bardzo imponowało. Ja mam podobną skłonność, bardzo dużo rzeczy widzę, może nawet czasem widzę za dużo. Zawsze się dziwię, jak przechodzimy obok czegoś ciekawego, a ja jestem w towarzystwie – i ta osoba, która jest ze mną, w ogóle tego nie widzi. Świat jest bardzo źle obserwowany, ponieważ jest bardzo bogaty, ale naprawdę warto patrzeć. Kiedyś jakiś architekt mnie pouczył: „Jak pani jest w jakimś sławnym mieście, to proszę patrzeć w górę na kamienice, bo tam są zawsze bardzo ciekawe rzeczy”. To jest prawda, rzeczy-



### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

Na sąsiedniej stronie: rozmowa Julii Hartwig i Andrzeja Franaszka. 2009. Fot. Robert Sawa. Archiwum TNN.

wiecie te zwieńczenia kamienic wszędzie są inne i bardzo ciekawe.

**Andrzej Franaszek:** A czy to była rodzina o takich oczywistych ambicjach artystycznych? Wiemy o dwóch jej przedstawicielach dość dużo, czyli o pani i o pani bracie Edwardzie. Nieco mniej o drugim z braci, lekarzu. Były jeszcze dwie siostry. Wspomina pani w jednym z wierszy o ojcu, który, ku wdzięczności dzieci, nie poświęcał im przesadnie dużo czasu i nie przeszkadzał im się rozwijać. Ale właśnie, czy ten rozwój w kierunku artystycznym był naturalny dla państwa wtedy?

**Julia Hartwig:** Moja rodzina nie miała nic wspólnego ze sztuką. W naszym domu w ogóle nie mówiło się o sztuce, ale były w nim czasopisma i książki. Tylko tyle. Dla każdego z nas kontakt ze sztuką był indywidualną sprawą. Każde z nas doszło w życiu do tego, do czego doszło, własną wrażliwością, własnym odbiorem świata. Być może zawdzięczamy to w dużej mierze temu, że ojciec tak bardzo nie chciał kierować naszym życiem i że mieliśmy troszkę rozumu w głowie, przynajmniej tyle, żeby wiedzieć, że chcemy robić to, co lubimy. I każde z nas szukało własnej drogi. Okazało się to bardzo trafne i wszystkim to polecam.

**Andrzej Franaszek:** A co się stało z pozostałym rodzeństwem – z bratem Walentym i dwiema siostrami? O jednej z nich przynajmniej napisała pani wiersz: o jej umieraniu, z takim bardzo przejmującym obrazem na końcu. Ale czy może nam pani po prostu powiedzieć coś o nich?

**Julia Hartwig:** Braćmi ja się chwaleb, a siostry wspominam czule. Można by się chwalić ich zaletami osobowymi, ich prawością, którą wszyscy wynieśliśmy z pewnością z domu i to w dużej mierze dzięki mojej matce, bo ojciec nigdy nie miał czasu. Jedna z moich sióstr skończyła Szkołę Florence Nightingale – taką wspaniałą szkołę pielęgniarską, która

była w Warszawie – i została pielęgniarką. Miała zamiar kształcić się wyżej, ale to się nie udało. Wyszła za męża za pana, który mieszkał w Łodzi i był Niemcem. To miało okropne dla niej konsekwencje, ponieważ kiedy Niemcy wkroczyli do Polski, ona właściwie nie miała żadnego wyjścia, tylko musiała wyjechać z tym mężem poza granicę. Tak że miała dosyć dramatyczne życie, bardzo jej współczułam. Dla nas to było także bolesne. A druga siostra, to była ta, która pełniła jak gdyby rolę mamy dla mnie, która się starała o to, żebym miała zawsze czysty fartuszek do szkoły czy nowe buty, jeśli stare się zdarły. Mam dla niej ogromnie dużo wdzięczności, ale ona nie miała żadnych szczególnych zamiłowań. Wyszła za męża i oboje z mężem właściwie żyli w skromnych warunkach.

**Andrzej Franaszek:** Kiedy przeglądałem teraz kilka pani książek, to zauważyłem powracający czasem motyw, że być może ktoś nie jest obdarzony talentem, ale zostanie po nim dobra pamięć, że będzie zapamiętany jako człowiek przyzwoity. O drugim z braci powie pani, że „był dobrym diagnostą, ale tak naprawdę wolę, żeby została po nim dobra pamięć”.

Mam poczucie, że mówiąc o takich cechach, też się zbliżamy w gruncie rzeczy do pani poezji. Jest w niej takie poczucie umiaru, godności, [pani wiersze] nie epatują ekspresją, lecz są nieraz osobistym doświadczeniem. Czy niektóre właśnie tego rodzaju cechy są wyniesione z domowej, powiedzmy, kindersztuby, albo z czasu, w którym pani dojrzewiała, czy ze środowiska?

**Julia Hartwig:** Mnie się wydaje, że w dużej mierze zawdzięczam to mojej rodzinie. Ale także wynika to z pewnej takiej jak gdyby obserwacji życia, która rozwija się w dziecku samotnym. Rodzeństwo wyjechało, bo były duże różnice wieku między nami – oni robili studia, a ja zostałam sama w domu.

Zmusiło mnie to do szukania dobrych przykładów, na których można było się oprzeć. Myślę też, że jest to sprawą temperamentu i osobowości.

**Andrzej Franaszek:** Jest też, tak mi się wydaje, cechą pani twórczości pewien rodzaj dyskrecji, a w każdym razie zupełny brak ekshibicjonizmu czy chęci do koncentracji [uwagi] na samej sobie. Ja mam przyjemność czytać pani twórczość od dość dawna, a zupełnie niedawno dowiedziałem się o tym, jak musiała być bolesna pani dziecięca historia z odejściem matki. No właśnie, co znaczyła z kolei matka, już nie mówię o tej tragedii, bo jest to zbyt osobisty temat na taką rozmowę, ale matka, która była Rosjanką, która prowadziła panią do cerkwi albo na spotkania, na herbatki u popa? Zwykle, mówiąc o miastach kresowych, takich jak Lublin czy jak Wilno, mówimy o ich wielokulturowości, łatwo nam powiedzieć, że na przykład uczyły tolerancji, a czy rzeczywiście tak było? Czym dla dziecka była ta wielobarwność świata wokół?

**Julia Hartwig:** To było bardzo ważne. Tutaj składałam jak gdyby hołd pamięci mojej mamie, bo w moim domu rzeczywiście matka uważała, że pójść do cerkwi czy pójść do katolickiego kościoła – to jest to samo. I ja nabrałam także takiego przekonania. Także tutaj o żadnym szowinizmie nie może być mowy, w ogóle nie jestem zdolna do tego rodzaju uczuć. Natomiast sam Lublin był – tak jak cała Polska – wielokulturowy. Już nie mamy tej Polski jagiellońskiej, składającej się z wielu narodowości, które przygarnęliśmy albo które u nas się rozwijały. Ale to wszystko było kiedyś w Lublinie. Było dużo Ukraińców, Białorusinów, Żydów i oni wszyscy prowadzili swoje własne życie. Ja nie pamiętam żadnych burd, na przykład antysemickich, w Lublinie. Nie wiem, może byłam za mała, żeby coś o tym wiedzieć. Ale wyniosłam z tego właśnie miasta rodzaj wrażliwości na innych. Tak więc dzięki



<sup>16</sup> Rozmowę Julii Hartwig i Andrzeja Franaszka poprzedziła prezentacja internetowych zasobów Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN” dotyczących poetki. Przygotowała ją Joanna Zętar.

temu, że w Lublinie była taka różnorodność narodowościowa, wyniosłam już od dziecka coś, co jest bezcenne, bo nie muszę się tego uczyć tak jak niektórzy. Chodzi tu o przekonanie, że możemy wszyscy współżyć ze sobą, i jeszcze o to – chociaż zabrzmiało to trochę patetycznie – że trzeba mieć świadomość tego, iż szowinizm jest ogromnym złem, jest ogromną przeszkodą w ogarnięciu przez nas świata. To wszystko daje jedynie tolerancja, chociaż nawet i to jest za mało. Tu potrzebna jest empatia. Porzucenie obawy, że inny to jest ktoś obcy i tak odmienny od nas, że nie możemy się z nim zaprzyjaźnić. Jest bardzo ważne, żeby pamiętać, że obcy naprawdę jest naszym bratem.

**Andrzej Franaszek:** Naszym bliźnim, prawda? No właśnie.

Oczywiście nie chcę, żeby pani teraz rekonstruowała ten spacer po Lublinie, który, jak się dowiedzieliśmy, możemy poznać dzięki Internetowi<sup>16</sup>, ale gdyby wymienić jakieś najważniejsze punkty dziecięcej, i młodzieńczej potem, mapy, bo przecież pani zdawała maturę jeszcze w Lublinie, tuż przed wojną. Jak wygląda zapamiętana przez panią mapa najważniejszych punktów Lublina?

**Julia Hartwig:** Ja mieszkałam początkowo na ulicy Staszica, następnie przy ulicy Narutowicza, czyli cały czas w Śródmieściu, w samym centrum Lublina. To się oczywiście odbijało jakoś na mojej znajomości miasta – na przykład Kalinowszczyzna i te inne dzielnice, które teraz się bardzo rozwinęły, właściwie są mi zupełnie nieznane, podobnie jak dzielnica uniwersytecka, teraz fantastycznie rozbudowana. Najlepiej pamiętam oczywiście okolice gimnazjum, to znaczy ulicę Narutowicza, bo Gimnazjum im. Unii Lubelskiej tam się mieściło.

Dla mnie to gimnazjum było czymś bardzo bliskim. To była przede wszystkim świetna szkoła. Ja się tak bardzo nie przejmowałam nauką, ale muszę

powiedzieć, że zawsze miałam przyzwoite stopnie, jakoś tak się składało. Prowadziłam też gazetkę szkolną, poza tym należałam do redakcji czasopisma „W Słońce”, a miałam wtedy dopiero piętnaście lat.

Pamiętam, jak po Krakowskim Przedmieściu w niedzielę wychodziło się spacerować – ludzie się ubierali odświętnie i szli na Krakowskie. Dalej był już Ogród Saski – miejsce, gdzie uczyłam się do matury. Od czasu do czasu chodziliśmy na cmentarz lubelski, na którym już wtedy była pochowana moja matka. Ten cmentarz jest czymś bardzo wzruszającym, bo znajduje się tam bardzo dużo starych pomników. Trzeba wszystko zrobić, aby je odświeżyć, żeby je zachować.

No i Stare Miasto. Właściwie wielka fascynacja mojego dzieciństwa to Stare Miasto. To było właśnie to miejsce, które pobrzmiwało tak różnorodnymi językami.

**Andrzej Franaszek:** Czesław Miłosz wspominał z kolei Wilno swojego dzieciństwa także przez zaułki i ulice żydowskie, taką niesamowitą barwność małych sklepików, restauracyjek, jakichś knajpek żydowskich, gdzie wyskakiwali – jeszcze być może jako uczniowie gimnazjum – na kieliszek wódki i śledzia, albo coś tam jeszcze. Ale też w tym, jak on to zapamiętał, była taka ciepła międzyludzkość, taka bliskość kontaktów. Mam wrażenie, że jak pani wspomina swój Lublin teraz, ale też oczywiście w tych tekstach, które pani o tym napisała, pojawia się podobny nieco odcień – że jest to miasto bulwaru czy deptaka, po którym się spaceruje, Ogrodu Saskiego, ale też jest to – może nawet ciekawsze – miasto takich zaułków, gdzie się to życie kotłuje, wylewa na ulicę.

**Julia Hartwig:** Z całą pewnością. Stare Miasto miało bardzo bogate życie, które nie zawsze było dostępne dla przechodnia. Tam są wspaniałe podwórka, do których wprowadzał mnie

mój brat, który je fotografował. Kiedyś wziął mnie i powiedział: „Ja ci pokażę lubelskie podwórka”. Rzeczywiście one były fantastyczne. Taką typową cechą tych starych kamienic, nawet kamienicy, w której ja mieszkałam na Narutowicza 19, są wewnętrzne balkony dookoła budynku, od strony podwórka. Te balkony są oszalałymi, bo przypominają raczej coś południowego, mimo że z tamtymi miejscami nie mają nic wspólnego.

**Andrzej Franaszek:** Trochę rozwieszono prania na sznurkach i już czujemy się jak w Palermo. Tak. W tym szkolnym czasopiśmie, o którym pani wspomniała, do którego redakcji pani weszła, pani debiutowała, prawda? Tam się ukazał pani pierwszy wiersz? Czy o tym wierszu, czy w ogóle, o tym, co pani wtedy pisała, mówił coś Józef Czechowicz?

**Julia Hartwig:** Nie myślę, żeby się bardzo zajmował moją poezją, ale pewna rzecz dowodziła, że on się jednak interesował młodą poezją. Jeden z moich wierszy ogłoszonych w piśmie „W Słońce” Czechowicz przeczytał i poddał go analizie, która do dzisiaj jest dla mnie ważna. Mianowicie przy każdym wersie, a wiersz ma wiele wersów, linijek, przy każdej linijce stawiał minus albo plus. Plus oznaczał, że to jest w tym wierszu potrzebne i to jest dobrze powiedziane, natomiast minus mówił albo „zrezygnuj z tego”, albo też „popraw to”, a być może „w ogóle nie trzeba tego dawać”. To była wspaniała nauka, choć on nawet ze mną nie rozmawiał, tylko przekazano mi ten numer pisma z tak pozaznaczanym moim wierszem, żebym go zobaczyła. Bardzo sobie to cenię.

**Andrzej Franaszek:** No, lekcja od mistrza, prawda? Ale zdała pani maturę, a potem z biografii dowiadujemy się o tajnych kompletach na Uniwersytecie Warszawskim. Co się stało? Dlaczego pani znalazła się w Warszawie?

**Julia Hartwig:** Nie mogę tego ukryć, że byłam uczennicą wyróżniającą się

w szkole, może po prostu dlatego, że zaczęłam już pisać wiersze...

**Andrzej Franaszek:** Już trudno, teraz można się przyznać, bezpieczny dystans.

**Julia Hartwig:** Rzeczywiście (śmieje się). To teraz już nic nie znaczy. Mieliśmy znakomitych profesorów, którzy starali się jak gdyby dbać o nas, choć nie było to takie łatwe w czasie okupacji. Naszej dyrektorce z Unii Lubelskiej, pani Mally, zawdzięczam to, że zaczęłam studiować na kompletach podziemnych na uniwersytecie w Warszawie. Ona mnie zaprosiła do siebie i zapytała wprost: „Czy chciałabyś rozpocząć studia uniwersyteckie?”. Oczywiście bardzo chciałam, tak że powiedziała mi: „To w takim razie ja ci to ułatwię. I nawet znajdziemy dla ciebie lokum” – bo to nie było wcale takie proste, nie każdy mógł się tam dostać. To było bardzo szlachetne, bardzo piękne z jej strony. Ja natychmiast z tej propozycji skorzystałam. Bardzo szybko wyjechałam do Warszawy i zaczęłam uczyć się na wykłady wielu znakomych profesorów.

**Andrzej Franaszek:** Jest w którymś z wierszy takie wspomnienie o pani bracie, który się panią opiekował, gdy zobaczył, że w mieszkaniu, w którym pani mieszka, jest tylko goły siennik i garnek takiej zaschłej kaszy z wbitą weń łyżką...

**Julia Hartwig:** Dokładnie tak było. Nie miałam wtedy praktycznie żadnych warunków do przeżycia. Chciałam studiować, ale nie bardzo miałam za co. Na szczęście mój brat był lekarzem, prowadził normalny dom i zaczął mnie od czasu do czasu zapraszać na obiady – tak bardzo ta kasza z patykiem go przerażała, bo nawet łyżki wtedy jeszcze nie miałam... Obaj bracia pomogli mi wtedy, wynajęli pokój, tak że mieszkałam przyzwyczajenie. I jadałam rodzinne obiady, to było już zupełnie co innego.

**Andrzej Franaszek:** W jednym z wierszy Miłosza jest takie wspomnienie, właśnie taki obraz z czasów okupacji,



### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy



kiedy on razem z żoną Janką mieszkają bodaj na końcu Alei Jerozolimskich, na ówczesnych peryferiach, i przybywają do niego z wizytą dwie poetki z Lublina – Julia Hartwig i jeżeli teraz nie przekłamuję, ale chyba nie, Anna Kamińska. Czy pani zapamiętała tę wizytę wtedy? **Julia Hartwig:** Bardzo dobrze. Oczywiście dla mnie to było wielkie przeżycie. Pierwszy raz miałam zobaczyć Miłosza, z którym się potem zaprzyjaźniłam. Tak moje życie się obracało, że najpierw niektórych ludzi chciałam poznać, a potem się z nimi przyjaźniłam. Trzeba przeżyć spory szmat czasu, żeby przejść przez te wszystkie fazy jak gdyby zapoznawania się i zaprzyjaźnienia się.

Co do naszej wizyty, to Miłosz się pomylił, bo u niego nie byłam ja z Anną Kamińską, tylko byłam ja sama, ale miałam ze sobą wiersze Anny Kamińskiej. Myślę, że on to tak specjalnie napisał, może chciał dać znać, że chodzi mu o dwie osoby, ponieważ jego ówczesna żona – pani Cękalska, była ciotką Anny Kamińskiej. Więc jak gdyby była między nimi zażyłość. Dlatego on jej poświęcił sporo czasu i potem nawet ocenił jej wiersze. Niektórzy uważają, że bardzo niesprawiedliwie. Miłosz uznał, że nie może zostać doskonałą poetką, ponieważ nie była zdolna pojąć nieprawości świata.

**Andrzej Franaszek:** Tak dobra osoba nie może pisać doskonałych wierszy – taka jest wymowa tego.

**Julia Hartwig:** Oznacza to, że nie zna wszystkich podstępów – to on tak powiedział – jakich literatura używa. Ale to nie jest ważne, bo ta wizyta była – jest – prawdziwa i w jakimś sensie dwie osoby z niej zapamiętał, natomiast fizycznie była u niego tylko jedna.

**Andrzej Franaszek:** W pani wierszach też czasem wraca taki motyw – to jest też to, o czym mówiliśmy przed chwilą przy okazji rodziny – taki motyw ważenia szal. Co jest ważniejsze: czy jest ważny talent, czy też ważniejsze jest dobro.

Mówiąc już tak trochę patetycznie, czy talent musi być okupiony jakiegoś rodzaju bolesnością osobistą, skazą. Taki rodzaj refleksji napotyka się u pani parokrotnie, prawda?

**Julia Hartwig:** Tak. Mi się wydaje, że ja ten niepokój w jakimś sensie uładziłam, to znaczy po prostu zdałam się na to, co jest. Jeżeli możesz pomóc, to przede wszystkim pomóż. Jeżeli masz możliwość pomóc komuś, kto jest w danej chwili w jakimś zagrożeniu, to jest to ważniejsze niż napisanie wiersza. Całe moje życie jest nastawione na to, że właściwie w połowie żyję w sposób bardzo realny, bardzo szczegółowo obserwując życie, a z drugiej strony jestem jak gdyby zagłębiona w tym, co nam dała przeszłość, co nam dało malarstwo, co nam dała sztuka. I staram się w miarę możliwości to łączyć. To się nie zawsze udaje. Jestem też powodowana taką człowieczą ambicją, żeby być wśród ludzi z jednej strony prawych, a z drugiej strony utalentowanych, co nie zawsze idzie w parze.

**Andrzej Franaszek:** W wierszu *Via Condotti* przywołuje pani spotkanie Miłosza i Turowicza w Café Greco w Rzymie, które oczywiście sam Miłosz opisał w wierszu zatytułowanym *Cafè Greco*: „W latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku / w Rzymie przy via Condotti / siedzieliśmy z Turowiczem w Café Greco...”. Cały ten wiersz jest jakby hołdem dla Jerzego Turowicza, który składa Miłosz. W jednym wersie pani wiersza: „A Miłosz wiedział: Taki nigdy nie będę”, zawiera się, tak to rozumiem, cały tamten wiersz, czy to, o czym w nim mowa. Oczywiście Miłosz wiedział, że nigdy nie będzie taki jak Turowicz, a w tym hołdzie Miłosza jest na końcu napisane, że coraz ważniejszy staje się dar mądrości i zwyczajna dobroć, czyli te dary, w które był bogaty Jerzy Turowicz.

A przywołuję te postaci także dlatego, że w pani wierszach, w pani *Błyskach*, w pani felietonach, które pani publi-

kowała w „Więzi”, w ostatniej dekadzie powiedzmy, bardzo często te postaci powracają. Także Zbigniew Herbert. Czym były dla pani te przyjaźnie?

**Julia Hartwig:** Te przyjaźnie dla mnie były wielkim wyróżnieniem. Ja po prostu byłam szczęśliwa, że mogę przebywać z tymi ludźmi, którzy nie tylko nie unikali mnie, ale chętnie przychodzili do naszego domu, żeby być razem z moim mężem Arturem Międzyrzeckim i ze mną. Mieliśmy bardzo gościnny dom. To się oczywiście zupełnie zmieniło po odejściu mojego męża, kiedy zostałam sama. Gościnność pozostała, ale to już nie było to samo. A poza tym tych ludzi już nie ma. Tak że te przyjaźnie były wielkim dla mnie zaszczytem – chociaż przecież nie można mówić, że coś jest zaszczytem, jeżeli jest utrzymany pewien rodzaj równowagi stosunków międzyludzkich; po prostu oni chcieli się z nami przyjaźnić. I ja to uważam za wielkie wyróżnienie.

**Andrzej Franaszek:** Jest jeden spośród *Błysków*, taki... z odcieniem być może gorzkości, że odchodzą weterani pióra, na ich miejsca przyjdą następni, ale oni wtedy poznają, co to jest sytuacja królów osadzonych siłą na tronie. Czy – to oczywiście może za łatwe i zbyt tendencyjne pytanie – ale czy widzi pani jakiś rodzaj, powiedzmy, dewaluacji, to, że nie będzie tak potężnych następców?

**Julia Hartwig:** Nie chcę powiedzieć nic takiego. Moje pokolenie poetyckie odchodzi, ale są przecież poeci na pewno utalentowani, którzy dzisiaj publikują i trzeba mieć nadzieję, że oni dojrzeją i że pojawią się też nowi. W tej chwili nie mogę powiedzieć, że widzę absolutnych następców, ale to może jeszcze nie pora. Są często w kulturze albo w literaturze okresy zapadnięcia, a potem to wszystko się dźwiga. Dla mnie pociechą jest na przykład rozkwit filmu polskiego na nowo, który jest chyba niewątpliwy, jeżeli wierzyć ludziom, którzy to śledzą. To chyba tyle. Dodam jeszcze,

Na sąsiedniej stronie: uczestnicy spotkania proszą Julię Hartwig o autograf. 2009. Fot. Piotr Sztajdel. Archiwum TNN.

### CZĘŚĆ III. W kręgu Bramy

Na sąsiedniej stronie: Julia Hartwig podpisuje okolicznościowy tomik *Powroty* wydany w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”. 2009. Fot. Joanna Zętar. Archiwum TNN.

bo to jest ważne, że ci wszyscy ludzie z mojego pokolenia, o których mówimy, byli bardzo utalentowani, a przy tym przeszli przez doświadczenie ognia i wody: okres okupacji, okres wojny, kiedy trzeba było bardzo się strzec, żeby będąc w pewnym sensie niewolnikiem, zachować godność, żeby właśnie nie stać się niewolnikiem. To był bardzo, bardzo trudny czas.

**Andrzej Franaszek:** Znalazłem jeden z *Błysków* – jeżeli ktoś z państwa nie wie, to *Błyski* są takimi esencjonalnymi zapisami myśli, pewnych wrażeń, czasem obrazów, których już bodaj trzy osobne tomy pani opublikowała – w jednym z nich jest przywołana myśl Jerzego Stempowskiego, której nie wypisałem w całości, więc odrobinę ją sparafrazuję, żeby teraz na państwa oczach nie przerzucać nerwowo tych książek i zakładek, które tu leżą. Mianowicie o psie: „pies kiedy przestaje obserwować rzeczy świata, te rzeczy, które są wokół niego, zaczyna wyc” – i dopisek autorki – „a więc jestem skoligaconą z psem”. Czy to znaczy, że takie zainteresowanie światem ratuje nas od smutku?

**Julia Hartwig:** Ja myślę, że bardzo. Na przykład po chorobie albo w okresie jakiejś chandry, kiedy nie wychodzę kilka dni z domu, to pomimo tego, że nie bardzo mi się chce, wiem, że powinnam wyjść po prostu na ulicę. Bo gdy ja się poddam atakowi jakiegoś trochę irracjonalnego smutku, bo przecież na ogół zawsze jest się czym smucić, to obok płynie normalne życie. Oczywiście nie wyleczy mnie to, ale pozwoli poczuć się tak jak wszyscy ludzie, którzy pracują, chodzą, coś robią. Ja jestem wielką zwolenniczką włączenia się w życie, tylko że nie kompletnego, żeby zostawić sobie znaczną część osobowości, która jest tylko dla nas i która pozwala nam od czasu do czasu, jak to się mówi, tworzyć.

**Andrzej Franaszek:** Nie wiem, czy pani to pamięta, ale z piętnaście lat

temu w Krakowie miała pani swój wieczer autorski i wtedy, w tej właśnie zamierzchłej przeszłości, kiedy miałem jeszcze szczęście być studentem polonistyki, na tym wieczorze z właściwą dla młodości dezynwolturą, brawurą i równocześnie pesymizmem wstałem i zadałem pytanie, dlaczego pani wiersze są pełne rozpacz – teraz bym oczywiście już takiego pytania nie zadał, bo też lepiej, pewnie jeszcze nie doskonałe, ale na pewno lepiej, jestem w stanie zrozumieć, co to naprawdę znaczy rozpacz i czy można o niej mówić. I pani coś odpowiedziała, a potem z pewnym wzruszeniem przeczytałem pani wiersz zaczynający się od słów: „Pewien młody człowiek na moim wieczorze autorskim zadał...”

**Julia Hartwig:** To był pan...

**Andrzej Franaszek:** Gdybym to nie był ja, to proszę nie prostować, bo to jest moja prywatna, że tak powiem, legenda, bardzo się z niej cieszę. Opowiadam to oczywiście także i po to, żeby się pochwalić, ale nie tylko, bo potem ten wiersz rozwija się i pani pisze „Zaprzeczyłam”. Nie będę teraz tego dokładnie przytaczał, w każdym razie punkt wyjścia jest taki, że wręcz przeciwnie – radość, zachwyty, ewentualnie sprzeczność jest moim żywiołem, to jest to, czego bronię. Czy tak właśnie jest?

**Julia Hartwig:** Więc to jest prawda. To jest niewątpliwie jakaś prawda, bo nikt nie pisze czegoś, w co nie wierzy. A więc radość jest jak gdyby u dna istnienia. Nie rozpacz jest u dna istnienia, tylko radość. Natomiast rozpacz się też pojawia, tego nie da się uniknąć. W moich późnych wierszach wyczuwa się wyraźnie tę nutę dosyć, powiedziałabym, traumatyczną.

**Andrzej Franaszek:** „Kochani umarli, nie warto było umierać” – na przykład.

**Julia Hartwig:** Nie potrafię nic więcej o tym powiedzieć, ale czytając czasem recenzje z moich wierszy, znajduję z pewną przyjemnością taką podwój-



ność tego odbioru. Niektórzy piszą, że to są wiersze jak gdyby podtrzymujące na duchu, ale równocześnie, że rozpacz w nich ma swoje miejsce. I mi się zdaje, że to się da świetnie połączyć, bo jesteśmy pełni sprzeczności, nie mówiąc o tym, że okoliczności życia bardzo się zmieniają, raz jest tak, raz inaczej. Ale ta iskra życia, iskra radości podtrzymuje nas, jakoś w końcu przebija się znowu, znowu wracamy do życia.

**Andrzej Franaszek:** W wierszu, w którym pojawia się, powiedzmy, duch pani matki, pada takie zdanie, być może już na końcu tego wiersza, że udziałem jest radość i ból równocześnie, prawda?

**Julia Hartwig:** Właśnie. No właśnie. To jest może najkrótsze sformułowanie.

**Andrzej Franaszek:** Kiedy się czyta pani wiersze – czy w ogóle pani twórczość, bo także poematy prozą, o których pani podobno powiedziała kiedyś, że są pojemniejsze nawet od wierszy – w pewnym sensie widać dążenie do równowagi, miary, przejrzystości, klarowności, co oczywiście nie obcina innych wymiarów, czasem na przykład onirycznej wizji, która potrafi być bardzo niepokojąca, groźna. Ale jest taki zasadniczy ruch, można powiedzieć, dyscypliny artystycznej, też dobrego rzemiosła w takim najgłębszym znaczeniu tego słowa. Małgorzata Baranowska napisała, że czytając pani twórczość, odczuwa spokój i skupienie. Czy taka jest jakby pani ambicja właśnie, takiego rodzaju stany też przywołać w swojej twórczości?

**Julia Hartwig:** Niewątpliwie, jeżeli ktoś tak to odczuwa, to jestem bardzo zadowolona. Bardzo bym tego chciała. Jak ktoś do mnie przychodzi, to nie chciałabym, żeby wyszedł z chaosem i pomieszaniem z mojego domu, tylko żeby wyniósł coś takiego, co go troszkę na duchu podniesie. Chociaż tak naprawdę ja się nie nadaję ani na pielęgniarkę, ani na psychopatologa, ani kogoś takiego, kto pomaga. Po prostu wydaje





mi się, że jest dobrze, jak ludzie mogą nagle dojść do pewnego porozumienia, do takiej prostej harmonii. W końcu jest to możliwe, a i tak jest bardzo dużo przypadków w naszym życiu, które nas niestety tego pozbawiają, więc powinniśmy się starać trzymać, bo jedynie to jest twórcze, bo tylko w tym stanie możemy coś napisać.

**Andrzej Franaszek:** Ale równocześnie pojawiają się u pani takie obrazy o twórczości, która się wiąże z niepokojem, jak ten Henri Rousseau, który namalował tygrysa na swoim obrazie i zaczął krzyczeć z okna o pomoc. I w tym wierszu pojawia się zdanie: „bądźmy też tacy, żeby było nam dane doznać czegoś podobnego, tej nieoczywistości”; zresztą postać tygrysa czasem się w pani wierszach pojawia.

Przeglądając tomy z pani wierszami, z pewnym zaskoczeniem zauważyłem, że w tomie *To wróci*, a następnie w nowym tomie *Jasne niejasne*, opublikowanym w tym roku przez Wydawnictwo a5 – dodajmy, wydawnictwo stworzone i kierowane przez Ryszarda Krynickiego, poprzedniego laureata tej nagrody lubelskiej i z pewnością nie są to takie powinowactwa, że tak powiem, czysto zewnętrzne i przypadkowe, ale także duchowe – jest taki wiersz *Próba*. I koniec tego wiersza jest powtórzony, jest takim zaczerpnięciem właśnie z tego wcześniejszego tomu i ostatnie cztery wersy brzmią tak: „Rzucić się głową w dół / z wysokości wiersza / Osiągnąć tę jedynie bezpieczną / śmiertelną równowagę”. Jeżeli dla Seamus Heaney wiersz jest czymś, co zawsze ratuje przed rozpaczą, przed nihilizmem, na przykład jest taką siatką pod trapezem, która sprawia, że ten skoczek nie może upaść tak naprawdę, to tu jest coś innego. Ten obraz niesie w sobie tajemnicę i niepokój. Czym jest ta jedyna bezpieczna, śmiertelna równowaga?

**Julia Hartwig:** Teraz myślę, że mogłaby nią być sztuka, ale mało kto jest zdolny

do takiego gestu, o którym ja piszę. Równocześnie wierzę, że to byłoby dobre podjąć takie ryzyko. Ale to nie znaczy, że jeżeli nie ma tego u mnie, to ja nie wierzę, że tak powinno być. Co prawda sama nie jestem zwolenniczką takiego skoku, ale on mi się wydaje piękny i jak gdyby warty zachodu.

**Andrzej Franaszek:** Miłosz mówił, że niedługo po nim skończą się ci poeci, którzy byli wychowani jeszcze w świecie natury, potem są już poeci przestrzeni miejskiej, zupełnie innej, i że to jest pewne okaleczenie, bo zamyka nas na mnóstwo doznań, na bogactwo świata. Mam wrażenie, kiedy czytam pani wiersze, a także słucham pani odpowiedzi, w których mówiła pani o dostrzeganiu świata zewnętrznego i świata natury, że takim gestem bardzo ważnym, zarówno na płaszczyźnie artystycznej, jak i tej jeszcze ważniejszej – życiowej, jest gest umiejętności wyjścia poza siebie, odejścia od koncentracji na samym sobie.

**Julia Hartwig:** Absolutnie tak. Zachęcałabym zwłaszcza młodych poetów do tego, żeby nie pisali wyłącznie o sobie, tylko żeby poszukali jakichś spraw, które mogą mieć wymiar poetycki i żeby traktowali wiersz jako pewne zadanie, i żeby się do niego przygotowali. To trzeba sobie przemyśleć, jak to ma być, jak to ma wyglądać. Natomiast takie bezustanne powracanie do psychologii, do autopsychologizowania jest naprawdę zupełnie bez celu – tutaj jestem ostra zawsze.

**Andrzej Franaszek:** Myślę, że jest to bardzo dobra puenta tego spotkania, ale może zrobimy jeszcze jedną rzecz. Jednym z najważniejszych zadań poezji, a może po prostu ludzi w ogóle, którzy tworzą i którzy istnieją na tej ziemi, jest oczywiście próba zatrzymania przeszłości, uratowania czegoś przed zapomnieniem, przed niepamiętaniem. I tak oczywiście dzieje się także w pani twórczości. Czymś takim jest też dzia-

łałość, jak teraz to widzę, Ośrodka „Brama Grodzka”, która chce zatrzymać tę mówioną historię, przywołać pamięć ludzi, którzy odeszli. I bardzo ładnym gestem jest też ten tom wierszy, który się właśnie ukazał.

**Julia Hartwig:** A ja mam właśnie okazję, żeby państwu powiedzieć, że za ten tomik *Powroty*, który „Brama Grodzka” wydała, który otrzymałam jak gdyby w darze, jestem naprawdę głęboko wdzięczna. To jest zbiór wierszy, które się odnoszą tylko do Lublina. Są one z różnych lat, kiedy myślałam o Lublinie i kiedy pisałam na jego temat. Jestem wdzięczna. W ogóle śledzę działalność „Bramy Grodzkiej”, która mnie bardzo porusza, która mi się wydaje czymś najbardziej bezinteresownym, co sobie można wyobrazić. Ta pracowitość, ta jak gdyby dokładność, ta wnikliwość przy wydawanych przez nich książkach, zarówno przy tych, które dotyczyły Czechowicza, jak też tych, które dotyczyły dziejów Żydów lubelskich. To są rzeczy wprost bezcenne. Chciałabym, żeby wszyscy to wiedzieli i żeby to docenili.

**Andrzej Franaszek:** Są takie piękne miejsca w Polsce, na przykład Fundacja Pogranicze w Sejnach.

**Julia Hartwig:** Wspaniała, wspaniała.

**Andrzej Franaszek:** A ten tom, który tutaj kartkuję w tej chwili, a państwo widzieliście, wchodząc do teatru, powstawał w taki sposób, że był drukowany na klasycznej prasie drukarskiej; zecer układa czcionki z kaszty, sprawdza się literówki, odbija wiersze. Jak patrzę na tę czcionkę, to nawet myślę, że ten tomik być może trochę przypomina debiutancki tom Czesława Miłosza *Trzy zimy*, który w nakładzie całych trzystu egzemplarzy został wydrukowany w Wilnie. Może pani zgodziłaby się na zakończenie tego spotkania przeczytać któryś z wierszy z tej książki?

**Julia Hartwig:** Tak.

**Andrzej Franaszek:** Może te wspaniałe *Odwiedziny*, które akurat nie są bardzo lubelskie, ale bardzo przejmujące?

**Julia Hartwig:** Są warszawskie, ale z Czechowiczem związane.

**Andrzej Franaszek:** Ale z Czechowiczem.

**Julia Hartwig:** *Odwiedziny...*<sup>17</sup>.

<sup>17</sup> Wiersz na s. 271.



CZĘŚĆ IV

## Wiersze

Powroty

Inne wiersze lubelskie





Julia Hartwig  
**Powroty\***

**Elegia lubelska**

*Więc urodziłam się na tym skrawku ziemi  
Co mam zrobić żeby poczuć się tutejszą?*

Z tomu *Nie ma odpowiedzi* (2001).

1.

Budzi się w klasztorным hoteliku  
przez okienko szeroki widok na okolicę  
Jest ranek  
ranek lubelski  
Rozległą łąką nie-łąką między bujnymi lipami  
wydeptaną ścieżką na skróty idą do pracy kobiety i mężczyźni  
mijają Zamek i miejsce po synagodze  
potem cerkiew i targowisko  
Lublin  
jeszcze nie kresy ale już kresy  
haftowane ręczniki na stołach święte obrazki na ścianach  
na jednych ikony na innych Jezus o płonącym sercu  
pienia nabożne w różnych językach  
i nieme powietrze w którym zastygł jęk pomordowanych  
wepchnięte w gardła zawodzenie a potem cisza  
wielka i ostateczna cisza z odorem duszącego dymu  
i roznoszonych wiatrem łachmanów

2.

Na cmentarzu matka ojciec i siostra  
Matka osobno pod kaplicą prawosławną samotna  
tak jak musiała czuć się samotna  
porzuciwszy rodziną Moskwę  
jej światła i gwarne promenady

W pobliżu grób Czechowicza  
pochowanego wśród żołnierzy „poległych na polu chwały”  
Zawsze ktoś przynosi tu kwiaty  
bo trwa i nie poległa chwała jego wierszy  
ich słodycz naruszona profetyczną wizją przyszłości

On jeden potrafiłby opłakać to miasto  
on który rzucił na nas czar jego sennej piękności  
potrafiłby uczcić pochody widm które się tu snują  
znaleźć modlitwę na dusz cierpiących upalenie

\* Wiersze z tomu poezji  
wydanego w Ośrodku  
„Brama Grodzka –  
Teatr NN” z okazji  
nadania Julii Hartwig  
honorowego obywa-  
telstwa miasta Lublina  
w 2009 roku. Na mar-  
ginesie podano tytuły  
tomików, z których  
zaczepnięto wiersze do  
*Powrotów*.

## CZĘŚĆ IV. Wiersze

3.

A ja mała wtedy dziewczynka  
chłonąca ten świat ciemny ruchliwy pełen zgiełku  
i okrzyków w niezrozumiałym języku  
które cichną nagle w piątkowe wieczory  
kiedy przez okna połyskują światła zapalonych świec  
a w gęstym mroku Grodzkiej i Szambelańskiej staroświecka latarnia  
rzuca blade ruchliwe blaski na pochyłe ściany domów

4.

Odwróćcie wzrok ode mnie bramy mojego miasta  
bramy miejskie żarłoczne bramy  
przez które uszło życie z tych ciemnych uliczek  
O wieże rodzinnego miasta  
goniłyście mnie po świecie groziły  
nic wam nie jestem winna nieczułe olbrzymy  
które przetrwałyście nie uroniwszy ani jednej łzy  
nad miastem mojego dzieciństwa

Z tomu *Pożegnania*  
(1956).

### **Niepotrzebne skreślić**

Było nas pięcioro  
Skąd przyszło do głowy rodzicom żeby rodić tyle dzieci?  
Nazwiska trojga znalazły się w encyklopedii  
Nie ma jednak pewności czy nie znikną w jej następnych wydaniach  
ustępując miejsca komuś ważniejszemu  
Jeśli jednak same talenty okażą się mało trwałe  
być może pozostanie coś co kiedyś  
zapewniało dobre imię: przyzwoitość  
„bonne souche” mówią Francuzi  
a idzie po prostu o mniej więcej czyste rachunki

Wszystko co w nas najlepsze pochodziło od matki  
Ale ona szybko nas opuściła  
nie mogąc podźwignąć ciężaru cudzoziemskości

Jeśli można tak to nazwać: kochaliśmy się wszyscy  
Ale nasze drogi szybko się rozeszły

Jaki był nasz ojciec – nikt z nas tak naprawdę się nie zastanawiał  
Jego energia przewyższała energię całej naszej piątki  
Wciąż zapracowany nie zajmował się nami zbyt  
ku naszemu zadowoleniu  
Nie sprawialiśmy mu zresztą większych kłopotów  
życie prowincjonalne nie wystawiało nas na zbyt wiele pokus

Był fotografem starej daty  
Zawód ani lepszy ani gorszy od innych

przed rewolucją żył w Moskwie z młodą żoną i małymi dziećmi prawie luksusowo  
w Lublinie zdobył sobie należne mu miejsce i szacunek  
coś na kształt lokalnej sławy

Najczęściej robił zdjęcia rodzinne i portrety  
ale jego temperament sprawił że stał się pierwszym fotograficznym reporterem w swoim mieście  
Potrafił przed wojną zatrzymać pochód pierwszomajowy  
żeby zrobić demonstrantom zdjęcie  
z wysokości rozstawionego na chodniku stołu  
z którego jak strach na wróble wysterczał statyw jego staromodnego aparatu  
nakrytego ciemną płachtą

Kochał teatr i operę  
i pracując w ciemni wygwizdywał melodie ulubionych arii  
Palce miał zawsze brązowe od kwasów  
ale moment ukazania się na papierze obrazu  
który utrwał minioną chwilę  
napęłniał go wyraźnym zadowoleniem

Miał bibliotekę rosyjskich klasyków w oryginale  
i czytał wieczorami leżąc w łóżku  
póki zmęczenie nie zamknęło mu oczu

Niechętnie wysupływał pieniądze na mój nowy fartuszek szkolny  
i robił to tylko wskutek perswazji wychowawczyni klasowej  
Zdarzało mu się jednak wydawać czasem pieniądze na rzeczy najzupełniej zbyteczne  
na kryształowy wazon lub staroświecki zegar

Nieraz odprowadzał mnie do szkoły  
Bywało też że przynosił mi na szkolną pauzę zakupioną w sklepie bułkę z szynką  
polecając doręczenie woźnej która zamiast pilnować porządku  
musiała uganiać się za mną po korytarzach lub po boisku szkolnym.

Nie miał zwyczaju ani czasu na prowadzenie z nami rozmów  
był jednak dumny z naszych postępów w nauce  
Wszyscy z nas mniej więcej wiedzieli czego chcą  
Tylko mój najstarszy brat bardzo piękny  
artysta z temperamentu i playboy w dawnym stylu  
nie mógł się zdecydować co będzie robił dalej  
kiedy zwiodły go talenty malarskie

Mieliśmy więc do czynienia z przyszłym lekarzem przyszłą pielęgniarką  
i młodą mężatką która wydawała się zadowolona ze swego nowego stanu  
nie snując dalszych planów  
Najmłodsze kurczę nie sięgało jeszcze myślami poza gimnazjalne mury i czytelnię  
gdzie równie dostępne były „Wiadomości literackie” „Pion” i „Prosto z mostu”

Dziś myślę, że jeśli pozostawieni własnej samowoli  
nie zrobiliśmy z niej najgorszego użytku



## CZĘŚĆ IV. Wiersze

stało się tak dzięki wyniesionym z domu rodzinnego przekonaniom  
że droga prosta jest najkrótsza  
Dopiero po latach miało się okazać  
że decyzja jest zawsze w rękach tego „co kule nosi”

Wkrótce po śmierci mamy ojciec ożenił się po raz wtóry  
Moja starsza siostra wspomina  
że do jej obowiązków należało poszukiwanie ojcowskiego kapelusza  
który wciąż gubił się w dorożkach załadowanych fotograficznym sprzętem

Czasem zdawało mi się że pod tą rozwianą na wietrze płachtą aparatu  
wzleci kiedyś w niebo gdy nadejdzie jego pora

Ale śmierć dosięgła go dopiero po kilku latach choroby  
którą spędził unieruchomiony w łóżku  
Cios losu jak zawsze celny uderzył go tak żeby najbardziej zabolęło  
bo ruchliwość jego była przysłowiowa

Lubił wspominać Moskwę Kijów i Odessę  
po której ulicach toczyły się zrzucane z wozów ogromne kawony  
będące dla niego symbolem dzieciństwa

Co do mnie – zawsze nie znosiłam fotografii  
Gust do niej przywrócił mi dopiero mój najstarszy brat  
który uczynił z niej dzieło sztuki  
i był jedynym chyba znanym mi człowiekiem  
który nie znał zawiści i nigdy nie powiedział o nikim złego słowa

Z tomu *Bez pożegnania*  
(2004).

### **Przywoływanie**

Wyrwana prosto z gniazda starowierców,  
z rodziny znanej mi tylko ze zdjęcia,  
gdzie widać ich wszystkich siedzących za stołem w ogrodzie,  
jak u Czechowa.

To moi wujowie i ciotki, a ten ponury starzec z siwą brodą  
to mój dziadek.  
Nie znam nawet ich imion, odróżniam tylko Kołę  
którego matka kochała najbardziej  
i do którego podobny jest jeden z moich braci.

Musiała żyć w niej pamięć o nieznanym przodkach,  
o tych nieokielzanych w głuchym fanatyzmie chłopach,  
którzy kryli się w głębi najciemniejszych borów,  
przed prześladowaniami wiary,  
silniejszej niż ukazy cara i potężne prawosławie.  
Ten upór, ta siła musiały tkwić w najtajniejszej głębi jej serca,  
szarpanego nieustanną trwogą o los porzuconej rodziny.

Pewno lepsza była ta Polska od rewolucji, przed którą uciekła  
z małymi dziećmi, za mężem Polakiem.  
Polski obyczaj i polska mowa wypełniały jej dni codzienne i świąteczne,  
noce mijały w szarpiącym ogołoceniu duszy.

W cerkwi gdzie bywała każdej Wielkanocy,  
odnajdywała swój język.  
Potężne jak organy, głębokie basy  
w obłokach kadzidła  
rozbrzmiewały w niekończących się błogosławieństwach i błaganiach.

Znak krzyża od prawego do lewego ramienia  
radość odnalezionnej wspólnoty po wyjściu ze świątyni,  
w rzeźwym podmuchu wiosny pocałunki, uściski  
i niesione z ust do ust Kristus Woskries! Chrystus Zmartwychwstał!

Mała, zaledwie od ziemi odrosła,  
przyprawiana za rękę,  
tam poznawałam pierwszy smak oddalenia od tego co najbliższe  
i drzeć zaczęłam by jej nie utracić.

Ale stało się że odeszła.  
Hardość doprowadziła tę duszę do upadku nadziei tak głębokiego,  
że postanowiła opuścić nas na zawsze.  
Od takich postanowień nie ma już odwrotu.

Kiedy znaleźliśmy ją leżącą na dziedzińcu tamtego ranka,  
wyglądała jakby po prostu idąc potknęła się i upadła.  
O, mamó, jak to się stać mogło?  
Z nas wszystkich ty jedna powinnaś była umieć latać.

## Na cześć moich braci

Dziękowaliśmy Bogu żeśmy się uchronili w czasach klęsk  
rodzina która mogła się siebie doliczyć  
Wyszliśmy z tego i udało się nam żyć dalej  
Jeden brat powrócił po dwóch latach z surowej Północy  
nie do rozpoznania na zdjęciu zrobionym podczas postoju  
w Białej Podlaskiej: widmowa bladość na głowie sowiecka uszatka  
obok niego dwaj współtowarzysze z obozu  
jednego z najcięższych  
Jogła  
Wepchnięto ich do nor wykopanych w ziemi  
i obleczono w niemieckie mundury  
żeby nie budzili współczucia miejscowych  
Osłabł tak że współtowarzysze wywelekali go siłą z legowiska  
i ciągnęli trzymając pod ramiona ku rzece  
gdzie pracowali przy spławianiu drzewa

Z tomu *Zobaczone*  
(1999).

## CZĘŚĆ IV. Wiersze

Nogi zostawały mu w tyle gubił w drodze wypchane słomą chodaki  
Nie pozwalali mu odstać  
Pamięta im to  
Dzięki nim jego opowieść o naturze ludzkiej  
brzmi bardziej krzepiąco niż inne  
Kiedy chorował wynosili go na powierzchnię  
żeby mógł podziwiać zorzę polarną  
Mówili: głupi ten Hartwig ale uszanowali w nim artystę  
Drugiego brata – lekarza – sadzano na odwróconym stołku  
przesłuchując ze zbrodni leczenia rannych z „Parasola”  
Fagas o zatartych rysach zabierał go raz po raz z kliniki na Nowogrodzkiej  
i seanse ciągnęły się z przerwami przez długie miesiące  
Nie przeszkadzało to między jednym przesłuchaniem a drugim  
wzywać go do chorych dostojników  
był bowiem jednym z najlepszych w swoim zawodzie  
a prawość była jedną z przyczyn dla których go dręczyli  
Z własnej już chęci leczył Prymasa Tysiąclecia  
który lubił z nim pogwarzyć w korytarzu  
z daleka od podsłuchu pytając za każdym razem  
Co słyhać panie Walenty  
Z wdzięczności za powrót brata z obozu  
ślubował odbyć pieszą pielgrzymkę do Częstochowy  
Kiedy z niej powrócił powiedziano mu:  
Może pan zapomnieć o kierowaniu instytutem  
Nie przyjął tego jako klęski  
Przybiegał do nas w roku sześćdziesiątym ósmym  
przybiegał w stanie wojennym niepokojąc się czy nas nie wzięto  
Pamiętam jak spotkałam go na warszawskiej Pradze  
podczas okupacji niemieckiej pogroził mi palcem  
zgadując jakieś kurierskie zadanie  
Karmił mnie kiedy chodziłam na uniwersytet podziemny  
bo przyszedłszy kiedyś do mieszkania które mi wyznaczono  
zobaczył goły siennik i łyżkę wetkniętą w garnek z zaschniętą kaszą

Nie umiem nakreślić portretu moich braci

Z tomu *Bez pożegnania*  
(2004).

### **Pamięci W.**

Tak  
miał z pewnością dobrą pamięć i był świetnym diagnostą  
Znakomity lekarz któż to zaprzeczy  
Ale ja chwałę dziś dobrą pamięć  
jaką po sobie pozostawił  
ten dobry człowiek

**Siostra**

Po ucieczce z Rosji  
tak mało mieli w Polsce bliskich  
że wybrali mi na chrzestną moją starszą siostrę  
która gdy dorosła zastępowała mi matkę  
Myślę że nie miała łatwego charakteru  
nie objawiała żadnych talentów  
i z trudem ukończyła gimnazjum

Ponieważ nasz ojciec był osobą powszechnie szanowaną w mieście  
uważano że zdeklasowała się  
wychodząc za mąż za skromnego chłopca bez zawodu  
Wypłacił się naszemu ojcu z nawiązką pielęgnując go w łóżku  
przez długie lata niedołęznej starości

Byli najserdeczniejszymi z ludzi  
żyli pokornie przyjmując swój los  
jako sprawiedliwie odmierzony  
nie wspinając się ku żadnym przywilejom ani zaszczytom

Owdowiała  
chora  
już po siedemdziesiątce  
jedyna z rodziny która pozostała jeszcze w Lublinie  
umarła w szpitalu  
Podobno wzywała mnie w ostatnich chwilach  
Nieprzytomna wodziła dłonią po ścianie  
a kiedy pielęgniarka zapytała ją dlaczego to robi  
odpowiedziała: Tam jest Władzio (to było imię jej męża)  
Nie może tu wejść.

**Koleżanki**

Głos łacinniczki był jakby trochę ostrzejszy,  
kiedy się do nich zwracała.  
(Nigdy po imieniu)  
Miriam była zawsze doskonale przygotowana,  
Reginka słabsza, ale poprawna.  
Trzymały się razem  
i razem wychodziły z klasy przed religią.

Ostatni raz spotkałyśmy się niespodziewanie u wylotu Lubartowskiej,  
na granicy świeżo utworzonego getta.  
Stały tam onieśmiałe jakby przydarzyło im się coś wstydlivego.

Z tomu *Nie ma odpow-  
wiedzi* (2001).

Z tomu *Bez pożegnania*  
(2004).



## CZĘŚĆ IV. Wiersze

Z tomu *Bez pożegnania*  
(2004).

### **W drodze**

Na cmentarzu żydowskim  
na najstarsze drzewa

Kruk  
kantor oniemiały  
nie śpiewa

Nad drzew wierzchołkami  
ciężką jesienną chmurą  
przechodzą tysiącami

Wychodźcie im na spotkanie  
zamknięci w pałacach pomników

Razem przez deszcz siekący  
przez błyskawice  
iść wam dziś trzeba

Ci którzy miejsca swojego nie mają  
którzy sami są ogniem i deszczem  
Teraz się z wami bratają

Bo jeszcze  
nie koniec ich końca  
nie koniec

### **Lublin 1946**

Miasto rodzinne pod niebem  
jak zatopione na dnie jeziora  
oto zapadam znowu w wieczność.  
Kołyszą mnie wzdłuż ulicy tve dzwony  
odlane z gorącego jeszcze armatniego huku.  
Oto przypędziły mnie ku tobie wskazówki słońca  
ale już pora odciąć pępowinę co mnie z tobą wiąże  
gdy znowu na rynku syci a niezadowoleni mieszczanie  
pośród krakania wron, pośród ruin.  
Wyciekają tu ze mnie lata o najczerwieńszej krwi.  
O, pozwól, by wyjechał wielki głośnik przez Twą Bramę Złotą  
i tu, między malarzem malującym rudery  
między gruźliczym dzieckiem i cwaniakiem złodziejskim  
niech tryśnie pieśń odnowienia!  
Niech wali wielkim strumieniem  
aż zaczną prychać pod nią uczniaki  
i zwilgną oczy starych  
a ulicami runie rzeka stokroć czystsza od Bystrzycy.  
Po niej płynąc dziewczęta wic będą kaczeńce ze Sławinka  
a chłopaki grać na organkach.

**Victoria**Z tomu *Bez pożegnania*  
(2004).

Dlaczego nie tańczyłam na Polach Elizejskich  
kiedy tłum wiwatował na cześć końca wojny?  
Dlaczego to nie ja rzuciłam się w ramiona temu marynarzowi  
który schodząc z trapu z płóciennym workiem na ramieniu  
biegł ku mnie przepychając się przez rozgorączkowany tłum  
gdy z wszystkich megafonów dobiegały już  
rozszałałe dźwięki bebopa  
na przemian z Marsylianką i hymnem Boże strzeż Królowej?

Dlaczego nie rozbiłam butelki szampana  
w pobliżu ich obu ubranych jeszcze w angielskie mundury  
i nie przeczuwających że kiedyś stanę u końca ich drogi?

Dlaczego pisane mi było żebym na głównej ulicy Lublina  
na widok wchodzących oddziałów z czerwonymi gwiazdami  
płakała z radości że nie usłyszę już znieprawionego: Raus! Halt!  
i z szarpiącego żalu że jest to cena za utracone marzenie  
o triumfalnym wjeździe bohatera na białym koniu  
i o powrocie tych którzy podwójnie oszukani  
tu już wracać nie chcieli

Stanęliśmy więc – ci co się zachowali –  
na ulicach obróconej w pustynię Warszawy  
i dziś po latach odnajdujemy tam siebie  
trudnych do rozpoznania  
na wyblakłych taśmach starych kronik filmowych

**Odwiedziny**Z tomu *Bez pożegnania*  
(2004).

Na Placu Trzech Krzyży w Warszawie,  
na przeciw kościoła Świętego Aleksandra  
jest Instytut Głuchoniemych.  
Stał kiedyś, dziś j e s t tylko.  
Tam poszłam  
w parę miesięcy po zniszczeniu Warszawy.

Była wczesna wiosna. Pył się unosił  
z pustych wnęk domów,  
nad którymi otworzyło się nieba więcej niż kiedyś.

W Instytucie spodziewałam się odnaleźć towarzyszkę pracy Józefa Czechowicza,  
poety, którego wśród wielu trzeba pamiętać.  
Nam, dorastającym, wiersze jego podały obraz świata  
jak liść młody, jak zwierzę jeszcze gorące od narodzin, pełne trwożnych przecuć.  
Nie trzeba ich stroić. Ani mogiły poety na cmentarzu w Lublinie  
gdzie ma grób na centymetr nie szerszy od innych,  
co zabici od bomby, kamienia, strzału.

## CZĘŚĆ IV. Wiersze

Towarzyszka pracy pedagogicznej Czechowicza (był on bowiem nauczycielem dzieci upośledzonych: ślepych, głuchych i niemych, dla których zarówno kalendarz jak i ważne sprawy życia wraz z posiłkiem mają wolniejszy bieg)  
stała właśnie przed ogrodnikiem w szarym kitlu z gracą  
wydając mu zarządzenia. Z boku widziałam jej zamknięte wargi,  
nieme z wyboru, nieme z przekonania,  
nieme z doświadczenia długich lat. Tylko uskrzydłone dłonie  
złobiły powietrze w arabeskę, której piękno i logika były mi niedostępne.  
Tak żyje człowiek, którego karmią dwa światy,  
jak ksiądz, jak poeta, jak dozorca więzienia.

Najpierw wskazała mi lewą ręką: na boisku bawili się w piłkę chłopcy  
czyści, odziani ubogo; zresztą jak inni chłopcy w ich wieku weseli.  
Ale ich radość nie udzieliła się mojej; był to najsmutniejszy z niemych filmów jakie  
widziałam.

Tam, gdzie prawą ręką podaną mi na pożegnanie już mi nie wskazała,  
tam,  
drogą ku wyjściu, wydeptaną wśród odłamków gruzu, szedł pochód równie  
godny zapamiętywania jak rytmiczne pochody greckich płaskorzeźb.  
I jeśli nie przekaże go ostatni z tego wieku,  
słusznie zwali się w gruz architektura spóldomów,  
bez żalu niech zapanuje nad ziemią.

Z ogrodu, spod drzewek bielonych wapnem, nieśli robotnicy na noszach  
polane wapnem ciała pensjonariuszy tego zakładu.

Jaka była dla nich ta suita wojny?  
Czy bez szmeru walił się świat wśród błyskawic i wstrząsów  
i tryskały w górę płomienne fontanny ziemi i piasku,  
aż dopiero uderzenie śmierci przyniosło im głos pierwszy  
tak oczekiwany?

Kto pobieliał drzewka wapnem – uchronił je od szkody.  
Kto zalał ciała wapnem – nie uchronił ich od rozkładu.  
Z ciał niemych ulatując życie  
nie potrafiło wydobyć okrzyku, jak wybuch ostatni.

Przetrwały mumie faraonów, kąpane w kadzidłach i oleju,  
po fellahach wieść tylko.  
I o tych tylko wieść zostanie.  
Mocniejszym tylko trzeba podjąć ją głosem,  
aby mocniejszym zjeżyły się włosy od niemoty słabych.

### **Pamięci Czechowicza**

I padłeś własnym wierszem powalony  
Pod ruinami miasta ze światem umarłym w sobie  
Czy ten co słowem grozi wierzy aż do końca  
Giń Niniwo i swąd czuć i wałą się mury  
Gdy widzi że się spełnia sen przeczucie wiara  
Chciałby cofnąć swe słowa lecz one gonią go ze światem  
Chciałby schronić się w domu lecz tu właśnie ginie  
Biedne dziecko maligny synu urzeczenia  
Zawczasu twoja sława dziędzicom ogłoszona  
Zawczasu sielskość łąk wobec popielisk zaświadczona  
Zawczasu na grobie własnym zielony złożyłeś laur

Z tomu *Pożegnania*  
(1956).

### **Powrót do domu dzieciństwa**

Wśród ciemnego milczenia sosen – krzyk młodziutkich nawołujących się brzóz  
Wszystko jest jak było. Nic nie jest jak było.  
Przemów do mnie, Boże dziecka. Przemów, niewinna trwogo.  
Nic nie rozumieć. Wciąż inaczej. Od pierwszego krzyku do ostatniego westchnienia.  
A jednak to też było życie. I chwile szczęśliwe wychodzą ku mnie z przeszłości jak  
panny z kagankami oliwy.

Z tomu *Chwila postoju*  
(1980).

### **\*\*\* [Mówi akacja z dzieciństwa...]**

Mówi akacja z dzieciństwa  
nie takie bywały pamiętam twoje młode smutki  
Dla kogo rzucam teraz mój słodki kwiat  
pod balkonem drewnianym na kamiennym podwórku

Z tomu *Czuwanie*  
(1978).





Julia Hartwig

# Inne wiersze lubelskie

## Pozegnanie

Jak postarzały się obie panny Zakrzewskie  
niezmiennie w czerni starannie obute i w czarnych pończoszkach  
Majaczy drewniany ganek naszej lubelskiej kamienicy  
Słońce upiększa brzydkie podwórko  
Kiedy rano idę do gimnazjum młode dziewczęta śmieją się trzepiąc dywany  
tak kijankami tłukły jeszcze niedawno płótno nad Bystrzycą  
Ale niewiele zmienił się pan Józio  
który przyjechał kiedyś do ojca z Hrubieszowa  
i odtąd przez czterdzieści lat przynosił mu zawsze kwiaty na imieniny  
Wielu ludzi nie widziałam od dzieciństwa i nie mogę ich rozpoznać  
niektórzy znają moje losy i przyglądają mi się ciekawie  
Za murem na cmentarzu prawosławnym leży moja matka  
daleko od wszystkich których kochała  
najdalej od tych których kochała najbardziej  
Nosila jeszcze wówczas suknie z białą ryszką  
i włosy zaplecione w wianuszki na uszach  
Dymiły w rękach cieniutkie świece  
w niekończących się pieśniach powracało Hospodi pomiluj  
Cmentarz był miejscem częstych spotkań  
Znajome mojej matki oczyszczały z liści i gałązek  
solidne grobowce swoich mężów  
potem chodziłyśmy na herbatę do popa  
w tajemnicy przed moją babką  
Nikt już nie żyje z grona tamtych ludzi  
dyskretnych dobrze wychowanych i mówiących półgłosem

Z tomu *Czuwanie*  
(1978).

## Jest takie miasto

Jest takie miasto gdzie wszystko jest moje  
ale nic mi nie przynależy nawet własna tożsamość  
roztopiona w perłowej szarości architektury nieba i rzeki  
uhonorowanej melancholijnymi spojrzeniami tych  
którzy poszukując samotności odnajdują swoje człowieczeństwo  
w lekcji płynącej wciąż dalej i dalej wody  
Jest takie miasto do którego niejeden wybrał ucieczkę  
od przykazań dzieciństwa  
by wygrzewać się po prostu na ławce z głową pełną wina  
i śledzić przemijający czas przez oczy zmrużone od słońca  
Jest takie miasto o które żadne inne nie może być zazdrosne

Z tomu *Zobaczone*  
(1999).

## CZĘŚĆ IV. Wiersze

ponieważ znika bez śladu kiedy tylko stracę je z oczu  
jak strofa która przyśni się w nocy  
a rankiem pozostaje z niej tylko pewność że była  
Jak zatarte miejsce w rękopisie

Z tomu *Zobaczone*  
(1999).

### **Żadnych rajów**

Jakże boli mnie to miasto  
zaświatami dzieciństwa  
Bo to prawdziwsze zaświaty  
niż te które są mamidłem przyszłości  
ku której płyniemy na rzece serdecznej krwi  
Żadnych rajów  
niczego co można by nazwać szczęściem  
Wieczne sieroctwo  
pocieszane objęciem miłości

Z tomu *Czuwanie*  
(1978).

### **Powrót z miasta**

Sierpniowy poranek na Madison Avenue parno i mgła  
powietrze opływa ciało jak zmacona woda  
mijają się świeżo przebudzone auta ziewają blaski karoserii  
na wozie asenizacyjnym młodzieniec w skórzanych rękawicach  
z kamienną twarzą męczennika  
Znowu dziewczęta noszą pantofle na greckich koturnach  
jak podczas ostatniej wojny  
ta śmiejąca się pani przypomina naszą niedawno zmarłą przyjaciółkę  
podobna szczupłość i skromny wdzięk  
Mężczyzna w koszuli najpierw zwraca się do niej  
potem powtarza ten sam żart stojącej obok siostrze zakonnej  
gestykulując jakby zakonnica była głuchoniema  
Deszcz pada w mgłę Wracam pociągiem z Nowego Jorku na Long Island  
Mijamy właśnie Queens gdzie jeszcze niedawno mieszkała Hania

Z tomu *Chwila postoju*  
(1980).

### **Zbudzenie w świetle łaski**

Moja matka stoi nad łóżkiem.  
Wstawaj, przespałaś tysiąc dwieście trzydzieści poranków słonecznych  
i nieskończoną ilość mglistych. Czekają na ciebie.  
Ale nie ma nikogo. I jej już nie ma. Nastawiam radio, żeby zagłuszyć  
wspomnienie jej głosu.  
Na trawie widać ślady nocnego szronu.  
Drzewa otrząsnęły się przez noc z ostatnich liści.  
Jak to się dzieje, że jest we mnie radość i ból równocześnie.

### **Ja wspomnień tych się boję**

Z tomu *Obcowanie*  
(1987).

Noc ledwo śmie to spełnić  
sen ledwo to potrafi  
wchodzimy przez próg zgłiszczy przez mury lat wyniosłe  
zaledwie pomyśleli już myśl im się poddaje  
w biegu się uzupełnia przybiera rysy znane  
kochany wciąż cię kocham kochana jestem blisko  
tu leżę a tu tańczę a tu za oknem frunę  
och to jest najłatwiejsze odkąd cię znowu widzę  
już nie żał że mnie wzięto już nie żał że płakałaś  
tak w tajemnicy będziesz ty ze mną a ja z tobą  
ach drżałam czy mnie poznasz bałam się czy usłyszysz  
fruną i są szczęśliwi a ona w kuchni siedzi i matka mówi  
córko od kogo są te kwiaty  
noc ledwo śmie to spełnić  
sen ledwo to potrafi  
zaledwie pomyśleli już myśl im się poddaje  
miasteczko mówi wracam i przeszłość znów się staje  
ja wspomnień tych się boję ja wspomnień tych nie pragnę  
lecz pamięć działa teraz jak dobroć zaraźliwa  
ach jestem znów w dzieciństwie i jestem tam szczęśliwa  
miasteczko Tora cerkiew ja nic już nie rozumiem  
Ach trzymaj mnie bo frunę ja to od ciebie umiem  
bo jestem znowu z tobą i są tu nas tysiące  
czy chciałeś by tu przyszli czy to nie krępujące  
usiądźmy tu w ciemności weź mnie za rękę drogi  
noc ledwo śmie to spełnić  
sen ledwo to potrafi





CZĘŚĆ V

## Varia

Rozmowy

Eseje



Anna Nasiłowska

## Wiara w zadanie\*

Każdy większy wybór wierszy prowokuje do postawienia dwóch pytań: czy pasują dotychczasowe klucze odczytania, stosowane wobec dorobku poety? Czy nie trzeba ich skorygować? Poza tym skoro są wiersze wybrane – to co z odrzuconymi... dlaczego zostały skazane na pominięcie? Nietrudno dowieść, że obie sprawy są ze sobą powiązane. Poeta zawsze świadomie kształtuje swój styl, robi to, pisząc każdy wiersz, potem dobierając poszczególne utwory do tomu, a potem jeszcze raz układając wybór wierszy. Tak jest w wypadku *Wierszy wybranych* Julii Hartwig. Nie ma tu niespodzianki, to jest właśnie ta poetka, a wybór, obejmujący utwory od debiutanckiego tomu *Pożegnania* z 1956 roku po *Jasne niejasne* z 2009, pokazuje takie właśnie artystyczne oblicze poetki, które już znamy. Cechy jej poezji rysują się tu jeszcze wyraźniej, bo pod tym kątem dobierano ten zielnik.

Julia Hartwig jest przede wszystkim poetką niebywale konsekwentną. Utwory z pierwszego tomu, debiutanckiego, nie są zapowiedziami, próbami, ale tym właściwym głosem. Znalazło się ich zresztą w tym wyborze wyjątkowo dużo. Sięgam po Czytelnikowski *Wybór wierszy* Julii Hartwig z 1981 roku, który na mojej półce przemienił się w książkę z odległej epoki, którą można by nazwać epoką książek drukowanych na kwaśnym papierze i dziś jest to książka pożółkła, zagrożona rozpadnięciem się. Zasada była inna, odwrócenie chronologii: na początek tom najświeższy, potem – cofając się, aż do szczupłego działu „Z wierszy dawnych 1946-1956”. Julia Hartwig w 1956 roku

nie była przedstawicielką nowego pokolenia. Rówieśniczka Baczyńskiego, rocznik starsza niż Gajcy, o podobnej do nich biografii, w której znalazło się miejsce na okupacyjną konspirację i tajne komplety na uniwersytecie, szczęśliwie wysłana poza Warszawę przed wybuchem powstania. Kobięcie biografie artystyczne bardzo rzadko układają się według pokoleniowych wzorów, są osobne, mają własną logikę, która u tej poetki rysuje się wyjątkowo wyraźnie. Debiut poprzedzony został długim okresem dojrzewania, co uchroniło ją przed pochopnymi deklaracjami, jakich nie brak w twórczości debiutujących wcześniej, miała czas na dojrzewanie, poznanie z bliska kultury francuskiej i zdobycie dystansu wobec wojennych, romantycznych postaw i socrealizmu. Głos młodej jeszcze poetki od początku bliski jest linii (wymieńmy najbardziej znanych) Apollinaire – Eluard, a u nas stylistycznie przypomina na przykład Adama Ważyka, który już w dwudziestoleciu międzywojennym sięgał po francuską nowoczesność.

Jest to poezja oparta o wzorzec retoryczny. To oczywiście po polsku nie brzmi zbyt pięknie, retoryka kojarzy się z dyscypliną, sztywnością. Czy jednak można w ogóle mówić poza retoryką? Literatura jest układaniem zdań. My jednak jesteśmy w swoim myśleniu mocno anarchistyczni, cała polska krytyka literacka przesiąkła różnymi „rewolucjami”, panuje przekonanie o ciągłej konieczności wynajdowania „nowego języka”, co jest nie tyle dziedzictwem marksizmu, co spadkiem po Awangardzie Krakowskiej. Też – do-

\* „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 4, s. 153-159. Dziękujemy Autorce i Redakcji „Kwartalnika” za zgodę na przedruk.



dajmy – problematyka „nowego języka”, uznanie konieczności rezygnacji z „tonu wysokiego” i prozaizacji poetyckiej, nie wynika z upodobań estetycznych, ale wiąże się wprost z jednym z najpoważniejszych zagadnień etycznych literatury po II wojnie światowej. Żaden ton nie będzie dość wysoki, aby sprostać tragedii, każde piękno – musi być podejrzane, dotychczasowe środki wyrazu – wyczerpały się i okazać się muszą niewystarczające wobec bagażu doświadczenia, jakie naznaczyło ludzi, którzy świadomie przeżyli wojnę. Najwyrazistszą koncepcją jest oczywiście w polskiej literaturze antyestetyzm Różewicza, ale oczywiście sprawa „poezji po Oświęcimiu” dotyka wprost całej świadomości europejskiej, a samo określenie zawdzięczamy Theodorowi W. Adorno i szczególnie ważna jest dla poezji niemieckiego kręgu językowego.

Ta problematyka estetyczno-historyczno-etyczna dotyczy również poezji Hartwig: nawet gdyby jej poezja nie potrafiła tu zająć własnego stanowiska, byłaby po prostu kontekstem dla odczytania jej dzieła. Wyborem Hartwig nie jest po prostu estetyzm. Jest to estetyzm wyraźnie naznaczony bólem świadomości, że odnajdowane są pewne „wyspy ładu” czy miejsca uprzywilejowane. Ból – jest sugerowany, ale obecny nawet w utworach, w których nie zostanie wypowiedziany wprost. Niezwykle charakterystyczne jest, że tak wiele utworów powstawało w podróży. Podróżująca nie zapomina jednak, skąd pochodzi i kim jest, choć nie zawsze wypowiada to wprost. W pierwszym tomie Julii Hartwig jest na przykład, zapewne pochodzący z późnych lat czterdziestych, wiersz *Sare*, przedrukowany w obu większych wyborach, a więc po latach potwierdzony artystycznie: „Jest nad granicą hiszpańską / Wioska Sare, może pół-miasteczko, / Na rynku pod żółtą markizą / Podają cierpkie wino pirenejskie...”

Pierwsze wersy wprowadzają nas w pejzaż. Są tu stare domy, a w nich skrzypiące podłogi, dobre, choć proste jedzenie. „Po kolacji nikt się nie spieszy” – z takich obserwacji składa się cały utwór. Niebanalna zwykłość i harmonia – odbierane są przez kontrast wobec oczekiwania dysharmonii i dramatycznych zdarzeń: „Ulewa słodka i rześista jak krótki potop. / Przenosimy wtedy z werandy trzcinowe krzesła / I już wiadomo: przebiegnie noc, / Rozprostują się liście...”

Co jeszcze zdarzy się w miasteczku Sare? Nic i zarazem bardzo wiele, bo przybysze obserwują niezakłócony wielki spektakl natury i ludzkie krzątanie się – i to jest efekt zaskoczenia. Starzy ludzie, jak co dzień, siedząc na rynku, palą fajki, a zapach miejscowego tytoniu roznosi się po okolicy – taka jest puenta. W dużo późniejszym utworze Hartwig pada formuła „zachwyt i ból jednocześnie” – oba przeciwstawne uczucia są obecne i we wczesnym wierszu *Sare*. Ból niewypowiedziany, oparty na zdziwieniu, stojącym u podstaw całego obrazu miasteczka: więc to możliwe? Wszystko odbywa się tak, jak przed wiekami, miasteczko nie zostało zburzone, jego mieszkańcy nie zostali brutalnie wywleczeni z domów, nie odbyło się wielkie polowanie na ludzi. Czy to zbyt dalekie skojarzenie, gdy przypomnimy w tym miejscu *Elegię na śmierć miasteczek żydowskich* Antoniego Słonimskiego? Nie. I nasze skojarzenia mogą też powędrować ku Różewiczowi, ku wszystkim utworom, jakie usiłowały dać wyraz temu, co się stało u nas.

To nie jest dziwne, że epifania dokonuje się w podróży i ten sposób odczuwania otoczenia, zarysowany w wierszu z debiutanckiego tomu, okaże się trwałym składnikiem poetyckiego świata. W podróżnych wierszach Hartwig sugerowany jest jednak zawsze zakres doświadczeń odmiennych, wizja Polski jako kraju przeoranego przez historię,

naznaczonego nieciągłością, bólem, zachwianiem. Z polskich pejzaży Julia Hartwig wykorzystuje Kościelisko i obrazy plaż nadmorskich, a jeśli pojawiają się migawki z jej rodzinnego miasta, Lublina, to zawsze wśród niełatwych wspomnień. Grób Czechowicza, samotny grób matki na prawosławnym cmentarzu czy obraz dwóch szkolnych koleżanek, które różniły się od całej klasy tylko tym, że nie zostawały na lekcjach religii. Spotkane po raz ostatni na granicy getta wydawały się zakłopotane sytuacją. Zakłopotanie – ostatni zapamiętany gest ofiary, która jeszcze nie wierzy, co może stać się dalej.

Wyobraźmy sobie, jak musiałby zmienić się utwór o Sare, gdyby pojawił się w tym wierszu Kazimierz Dolny... Nie mniej piękny przecież, i też są tu jabłka w chłodnych piwnicach, a podczas nocy sierpniowych czuje się przepych dojrzałego lata. Jedna uwaga nasuwa się poza tekstem, Sare to miasteczko baskijskie i zapewne w latach czterdziestych można je jeszcze było podziwiać jako oazę spokoju. Bomby w Kraju Basków zaczęły wybuchać później... Być może więc dostrzeżenie ładu jest przywilejem podróżnego, który nie wnika głęboko w uśpione emocje, rejestruje gładką powierzchnię, która budzi jego zachwyt przez kontrast z tym, co zna lepiej, od środka.

W traktowaniu Zachodu jako azylu, ziemi szczęśliwszej, na której można odczytać ślady zwykłych ludzkich zatrudnień i ślady artystów, zaznacza się tradycyjna, polska tęsknota, nie inna – niż u Herberta. U Julii Hartwig krąg inspiracji jest jednak odmienny. To przede wszystkim Francja i Stany Zjednoczone, a nie kierunek związany z poszukiwaniem kultury antycznej, a więc Grecja i Włochy. Herbert jest przywiązany do śladów antyku jako oparcia dla wyznaczanych wartości, Julia Hartwig – nie, interesują ją raczej małe dowody powszechnej, ludzkiej krzątaniny, drobne



szaleństwa, ulotne nastroje. Odbija się w nich lokalność, ale zarazem dowodzą one jak bardzo świat zrozumiały i bliiski w ludzkich odruchach, rozmowach, w swojej codzienności i potoczności. Filtr kultury nie wystarczyłby zresztą, by opisywać Amerykę, „nową ziemię”, tygiel narodowości. Jest w *Americanach* niezwykle duch przygody, powiew nowości i swobody.

W wierszu datowanym na 1984 rok, zatytułowanym *Na wyżynach*, poetka z sarkazmem odnosi się do czyjejs wypowiedzi: „Powiedział kiedyś ktoś czytając moje wiersze: / Ach, jak bardzo zazdroścę pani przebywania w takim

Julia Hartwig – zdjęcie ze spaceru po Lublinie. 2006. Fot. Ignacy Tokarczyk. Zbiory prywatne autora.

świecie!”. I tu zaczyna się wyliczenie bied i nieszczęść polskich, typowych dla roku 1985: kolejki na mięso, kłamliwa propaganda, przyjaciele w więzieniu i głodówka w kościele, i wreszcie życie osobiste. Ironiczne powtórzenie: „nad (tym wszystkim) polatam, ach, polatam”, dowodzi zdenerwowania. Wiersze zostały przeczytane jednostronnie, jako idealistyczna, lepsza wersja świata: zapis przyjemności dalekich podróży, kolekcja pięknych widoków, zielnik miłych wspomnień. Inny rodzaj reakcji jednostronnej notuje wiersz *Na wieczorze autorskim ktoś powiedział że moje wiersze są pełne rozpaczy z tomu Nim opatrzy się zieleń*. Poetka odruchowo zaprzecza, choć nie jest to zaprzeczenie bezwzględne. Odpycha ją od sztuki ciemnej jej zbyt łatwy nihilizm, zdolność odnajdywania we wszystkim tego samego Nic. Radość jest w istocie dumną deklaracją niezgody. Końcowa deklaracja wiersza ustanawia jednakże równowagę między nimi: „Sprzeczność jest moim żywiołem, pra-

wem, o które wojuję”. Dwa różne wiersze są polemikami z krańcowo odmiennymi reakcjami na wiersze Hartwig. Ta druga interpretacja, dostrzegająca tragizm, potraktowana jest jednak poważniej. Ktoś czytający strona po stronie grubym tom wyboru wierszy Hartwig może być raz pierwszym z jej rozmówców, raz – drugim, ale moment prawdziwego rozumienia wymaga znalezienia równowagi między ciemną a jasną stroną.

W wierszach Julii Hartwig rysują się dwa różne porządki artystyczne. Pierwszy, starszy, związany jest z retorycznością i francuską starannością intonacyjną, uporządkowaną melodyką frazowania i używany jest zawsze, gdy mowa o Europie, drugi – swingujący, jazzujący, rozkołysany, pojawia się wyłącznie w wierszach amerykańskich, choć nie wszystkich. Deklaracja artystyczna z wiersza *Potrzeba* dotyczy pierwszego kręgu: „Wierzę w zdanie W przystanek który szuka formy / składnej i skromnej jak codzienna mowa / Wszystko we mnie



Julia Hartwig, 2006. Fot. Łukasz Kowalski. Archiwum TNN.



pragnie tej chwili kiedy kształt / obejmuje bezkształtne w którym zawieszona / cierpię łagodnie i trwale na ból niedookreślenia...” – w tym miejscu pojawia się *passus*, który świadczy, że ten stan pozwala na percepcję świata przyrody i zdaje się, że nie powoduje wyłącznie cierpień, pozwala się otworzyć – „Ale zdanie zdanie wiarygodne / sprawia że znowu czuję pod stopami ziemię”.

Ziemia europejska jest surowa, stabilna, ale ziemia amerykańska potrafi lekko się kołysać czy tańczyć. Ziemia Europy wzywa do tego, by wywiązywać się z obowiązków, rozważnie postępować i starannie ważyć słowa. Powściągliwość jest miarą odpowiedzialności, zobowiązania są trudne i wymagają liczenia się z konsekwencjami każdej deklaracji. Główna dykcja poetycka Julii Hartwig, nacechowana poszukiwaniem porządku i równowagi, wynika z próby sprostanania rozlicznym zobowiązaniom. To linia bardzo konsekwentna w jej twórczości, rozwijająca się od późnych lat czterdziestych po utwory najświeższe. Dzięki dystansowi, wielowymiarowości jej utworów, ta twórczość, obejmująca różne okresy, nigdy nie zatraciła rozpoznawalnej jednolitości. Była zaangażowana w sposób tak wyważony i dyskretny, że nic tu nie jest „z minionej epoki”, a wiersze, pochodzące z różnych czasów, przemawiają nietknięte przemijaniem. Tak przynajmniej wykrojony został autoportret artystyczny przy komponowaniu *Wierszy wybranych*.

Jest jednak i inna Julia Hartwig. „Czasami czuję się zamknięta w swojej poezji, a *Błyski* pokazują mnie od innej strony” – mówiła poetka w wywiadzie udzielonym Jarosławowi Mikołajewskiemu („Gazeta Wyborcza” 19.12.2002). Być może przywiązuję do tego zadania nadmierną wagę, ale poszukałam tego, co odrzucone.

W 2002 roku na łamach „Wysokich Obcasów” pojawiły się dwa wiersze nigdy nie zamieszczone w żadnym z to-

mów (a ukazało się ich od tego czasu sporo). To *Oda feministyczna* i *Rady dla tej którą nazwano kobietą*. Nie dlatego, że chciałabym się upomnieć o świadomość feministyczną, zresztą zamieszczony obok wierszy wywiad wyraźnie dystansuje się od udziału we wszelkich ruchach zbiorowych. Dlaczego jednak te dwa spore i ważne wiersze nie zostały [nigdzie] umieszczone? Nie pasowały, nie współbrzmiały z innymi. Dlaczego materia „błysków”, rozdygotana, rezonująca różnymi myślami, potraktowana została jako osobna? Podejrzewam, że wznoszenie ogromnej budowli ma swoją cenę. Wymaga samoograniczenia, choć tak naprawdę „gospodarstwo ducha” jest znacznie bardziej rozległe.

Julia Hartwig w wywiadach przypomina czasem chwilę, gdy ona i Anna Kamińska, obie młode z Lublina, tuż po wojnie postanowiły zaczerpnąć rady Czesława Miłosza na temat twórczości poetyckiej. Powiedział im wtedy, że miłość nie jest dobrym tematem dla poezji<sup>1</sup>. Ach, ileż z samego Miłosza jest w tym zaleceniu, cała jego późniejsza koncepcja wewnętrznego chłodu jako ceny artyzmu! Wyrażona *expresis verbis* wiele lat później, w poemacie *Orfeusz i Eurydyka*, gdzie pada stwierdzenie: „liryczni poeci mają (...) zimne serca”. To byłaby cena za doskonałość sztuki. Dla dwóch młodych poetek było to jednak zalecenie, by dokonały stłumienia. Julia Hartwig do dziś przypomina tę radę z aprobatą. Zapewne pomogła ona wyjść ze stanu naiwnej wiary w ekspresję w momencie, gdy – przed debiutem – było to korzystne. A jednak – stłumienie zostało dokonane.

*Wybór wierszy* Julii Hartwig to imponujący zapis bardzo konsekwentnej drogi poetyckiej. Wznowiono też właśnie jej wczesną pracę o Apollinairze, byłby pewnie czas na wznowienie także drugiej biograficznej książki o Gérardzie de Nervalu z 1972 roku. To czas porządków i podsumowań. Dopiero w dużym wyborze widać, jak rozwiązania artystycz-

<sup>1</sup> Dokładny opis tego wydarzenia – zob. s. 111 i 198 w niniejszym numerze „Scriptores”.



## CZĘŚĆ V. Varia

ne, znalezione przez poetkę na początku drogi, przed sześćdziesięcioma, a może nawet siedemdziesięcioma laty, sprawdzały się w trakcie jej dalszej twórczości, która w latach dziewięćdziesiątych wyraźnie rozkwitła. Sześć tomów przed 1990 rokiem i siedem – późniejszych.

Można by nawet powiedzieć, że poezja Julii Hartwig jest wielkim łukiem, przerzuconym między marzeniami kulturalnymi 1956 roku a czasem dzisiejszym. Coś jednak w polskiej literaturze może być niezależne od zakrętów historycznych, trwałe.

Anna Nasiłowska

# Epoka Julii Hartwig\*

**Dawanie nazw czasowi jest przywilejem wielkich poetów. Epoka Julii Hartwig to wspaniały okres stabilności, narastania, niezakłóconego rozwoju.**

11 kwietnia w „Gazecie Wyborczej” odbyło się spotkanie z Julią Hartwig, pierwsze po okresie poważnej choroby poetki. Przez kilka miesięcy w środowisku literackim krążyły niepokojące wieści. Jednak okazało się, że czas ten nie był ani pusty, ani tragiczny i niedługo spodziewać się można nowego zbioru wierszy. Mieliśmy okazję wysłuchać wielu z nich. Podczas wieczoru Adam Pomorski powiedział, że być może kiedyś będzie się mówiło o epoce Julii Hartwig.

Piękne to marzenie żyć w epoce ożywczej i krystalicznie jasnej poezji, a nie w czasie zasnutym posmoleńskim dymem, lustracyjnymi miazmatami, poszatkowanym na okresy od wyborów do wyborów. Powtarza się pytanie Hölderlina i za nim Heideggera: „I cóż po poecie w czasie marnym?”. Pierwszy do zwątpienia przyznał się poeta, filozof nadał mu precyzyjny sens. U Hölderlina było to rozpoznanie epoki, która utraciła przywilej bliskości wymiaru boskiego. Chrystus, Dionizos, nawet herosi – odeszli.

My jednak nie sięgajmy aż tak daleko. Wystarczy, że nasz czas jest epoką, w której nie zamilkli poeci. Podejrzewano wiele razy, że zostaną wygnani lub zabije ich banal i trywialność otaczającego świata, a jeśli nawet ocaleją, sami przestaną pisać, gdy poczują, że ocierają się o mur obojętności.

Julia Hartwig jest pod wieloma względami poetką wyjątkową. Po pierwsze, od debiutu w 1956 roku jej poezja nie podlega żadnym wstrząsom. Mimo przejścia

przez kilka epok w historii politycznej jej twórczości nie znaczą okresy przełomów czy depresji. To rytm narastania, kumulacji, a nie przekształceń.

Po drugie, mimo urodzenia w tym samym roku co Krzysztof Kamil Baczyński, przejścia przez doświadczenie wojennej konspiracji Hartwig nie jest i nigdy nie była katastrofistką. Dzieje katastrofizmu w polskiej poezji nie skończyły się bowiem wraz z II wojną światową; opisywanie pejzażu po katastrofie, śledzenie skutków wydziedziczenia czy braku zaufania do historycznego wymiaru istnienia, odrzucenie dziejów jako fałszu – to bardzo częste elementy postawy takich poetów jak Tadeusz Różewicz czy Zbigniew Herbert i innych znacznie młodszych cierpiących na awersję wobec dziejów.

Po trzecie, chociaż Hartwig jest głęboko przywiązana do tradycji sztuki nowoczesnej, to jednak nie podejmuje koncepcji poezji jako języka w języku, której owocem są teorie Awangardy Krakowskiej czy powojenny lingwizm sięgający do wizji ludzkiego umysłu zamkniętego w języku i narażonego na uleganie jego niemożliwym do przezwyciężenia aporiom.

W jej poezji brzmi ton nowoczesnej wiary, że najlepsza artystycznie jest prostota. Zdobnictwo, przeładowanie, zawikłanie to według tej estetyki znaki nieporadności i złego gustu. Jedynie klarowność głównej linii dzieła nadaje mu siłę. Analogia z myśleniem plastycznym wydaje się szczególnie uzasadniona nie

\* „Znak” 2011, nr 674/675, s. 98-100. Dziękujemy Autorce i Redakcji „Znaku” za zgodę na przedruk.



Julia Hartwig w Lubartowie. 1938. Zbiory prywatne Julii Hartwig.

tylko z powodu tożsamości estetycznych założeń, lecz także dlatego, że autorka *Jasne niejasne* nigdy nie zatrzymywała się na samej warstwie słów – zawsze pisała obrazowo, odwoływała się do wewnętrznego spojrzenia czytelnika.

Czasami robiła to w sposób dosłowny, jak w wierszu *Raz jeden*, którego strofy rozpoczyna słowo: „spójrz”. Prośba wydaje się prosta, elementarna niczym wskazanie: ten oto. W przywołanym utworze trzeba najpierw spojrzeć okiem mrówki, potem okiem ptaka, nieba, wody, a wreszcie, gdy obiektywne, nieludzkie oko zostanie wyobrażone – spojrzeniem ofiary i jej cierpienia. Wtedy jednak może okazać się ono trudne do zniesienia, bo

tego rodzaju zobiiektywizowane cierpienie odbiera się bezpośrednio.

Hartwig maluje poezją. Słowami tworzy nierealne pejzaże w wyobraźni czytelnika. Technika ta ma długą tradycję zapoczątkowaną Horacjanym *ut pictura poesis*. Podsuwa ona kilka statycznych, typowych rozwiązań. Uchwycić obraz da się przecież przez opis, do którego służą liczne środki artystyczne. Można też wykorzystać ekfrazę często stosowaną przez poetów inspirujących się malarstwem.

U Hartwig nie ma opisów, nie ma ekfraz. Obrazowość jest subtelniejsza. Przypomina malowanie przez sen przy pomocy zmiennych kształtów wyobrażonych chmur. Proces powstawania malarzkiej wizji łatwiej i dokładniej oddać przy pomocy poetyckiego porównania, niż opisać środkami krytycznej analizy, której metody traktują słowa jak gładką powierzchnię. W poezji Hartwig powierzchnia ta nie jest równą taflą, lecz ma głębię. „Pod tą wyspą jest inna wyspa, może jeszcze piękniejsza” – czytamy w prozie poetyckiej *Pod tą wyspą*. A potem nagle pojawia się nieoczekiwane przejście do deklaracji: „Chciałabym cię widzieć naraz ze wszystkich stron, stworze, fragmencie, zawierucho, wspomniały obłądnie jasnego umysłu”.

W jej wierszach odżywa wiara, że piękno nie zniknęło z ludzkiego świata. Nie jest ono jednak widoczne w pierwszej chwili. Jest raczej zadaniem dla uruchomionej poprzez słowo wyobraźni.

Hartwig jest poetką mającą ogromny szacunek dla zdania. Zasadniczą część jej twórczości poetyckiej odznacza się klasyczną starannością uporządkowania intonacji. Jest w tym też obecny element dyscypliny, a nawet samoograniczenia. Stawianie sobie wymagań i samokontrola są tu wyraźnie widoczne. Nie odczuwa się jednak ich negatywnego aspektu stłumienia, lecz pozytywne, budujące skutki. Jedynie wiersze amerykańskie posiadają nieco inny, swingujący, jazzu-

jący, kapryśny rytm. Epoka Julii Hartwig byłaby zapewne czasem świadomego swoich ograniczeń rozsądku, samodoskonalenia i poszukiwania piękna.

*Budować, mieszkać, myśleć* – brzmi tytuł jednego z klasycznych esejów Heideggera, filozofa inspirującego się poezją. Choć jego sztuczne konstrukcje myślowe nie są ani inspiracją, ani kluczem do dzieł Hartwig, to jednak jest jej chyba bliskie nastawienie filozofii egzystencjalnej na tworzenie ludzkiego świata, od-twarzanie go ciągle od nowa. Towarzyszy temu wymóg starannego pisania z odpowiedzialnością i nieuleganie zbyt łatwo rozpaczy, którą potrafiśmy powściągnąć i zrównoważyć.

## O poezji Julii Hartwig

**Czesław Miłosz:** Ktoś powiedział, że każdy wiersz liryczny jest częstką autobiografii, nawet jeżeli nic w nim nie ma z wyznań. Wierszy Julii Hartwig nie umiem czytać inaczej, niż układając z nich autobiograficzną powieść. Osobą, która opowiada, jest kobieta z polskiej inteligencji, mająca za sobą doświadczenia lat wojny, dużo podróży, o znacznej wiedzy o sztuce, wyposażona w znajomość obcych języków, zadomowiona w trzech miastach: Warszawie, Paryżu i Nowym Jorku. Osoba ta jest też poetką, szukając określenia, wybrałbym przymiotnik: wykwintną, przez co chyba rozumiem jej powściągliwość. Jej życie, tak jak ukazuje się w tej poezji, było pełne nieszczęść i klęsk, ale znalazła sposób, żeby mówić o tym jakby okólnie, poprzez nazywanie zjawiających się przed oczami obrazów. Jej głos jest równy, nie ścisza się do szeptu ani nie nasila się do krzyku.

(„Zeszyty Literackie” 2001, nr 1)

**Jerzy Jarzębski:** Jest świetną, głęboką poetką, tłumaczką, głównie literatury

francuskiej i angielskiej. Ale jest także kobietą, której wrodzona szlachetność ducha, obrona etycznej miary jest czymś zwyczajnym, naturalnym, co przystoi jej dobroci, poczuciu humoru. Julia Hartwig jest przede wszystkim Kimś. Jest obecna w naszym życiu literackim nie tylko jako twórca, ale także jako osobowość. Powiedziałbym, że jest osobowością życia literackiego Europy i świata. („Gazeta Wyborcza” 2001, nr 189)

**Stanisław Barańczak:** Krąg problematyki, do którego Julia Hartwig wraca ze szczególną uporczywością, to pytanie o zło i o jego miejsce w ludzkim świecie – ale pytanie zadane w inny sposób niż ten, który w poezji polskiej pojawił się wraz z Miłoszem. To nie metafizyczne pytanie o przyczyny istnienia zła, ale moralistyczne (bez moralizatorstwa: najwyższym trybunałem pozostaje tu zawsze indywidualne sumienie) pytanie o konsekwencje. To nie Miłoszowskie *unde malum*, ale raczej *contra spem spero* Hardy’ego, Mandelstama i Larkina. Czy z tego, że nadzieja jest logicznie „bezzasadna”, a empirycznie „niedostępna” (przynajmniej „mnie”), musi koniecznie wynikać wszechdominacja Beznadziei? – pyta Hardy. Nieszczęście? A kto nam powiedział, że mamy być szczęśliwi? – pyta Mandelstam. Świat bywa szpetny i zły? A czyż ja zasłużyłem na cokolwiek lepszego? – pyta Larkin. „Ależ tak ty również nadajesz się na męczennika / z tym swoim słabym zdrowiem z zadyszka / z delikatnymi przyzwyczajeniami” – już nie pyta, ale z niepowtarzalną czułą ironią w głosie odpowiada naiwnemu interlokutorowi (komuś najbliższemu albo każdemu człowiekowi żyjącemu na planecie) w swoim wierszu z tomu *Czuwanie* (1978) Julia Hartwig.

(„Zeszyty Literackie” 2000, nr 1)





# Julia Hartwig

## notka biograficzna

Julia Hartwig urodziła się 14 sierpnia 1921 roku w Lublinie, w mieście, do którego w 1918 roku uciekli z bolszewickiej Rosji jej rodzice. Matka Maria, z domu Biriukow, była Rosjanką, ojciec Ludwik – Polakiem. W Lublinie ojciec szybko otworzył zakład fotograficzny, który stał się źródłem utrzymania całej rodziny. Zainteresowanie fotografią odziedziczył po nim starszy brat Julii – Edward. Drugi z braci, Walenty, był profesorem medycyny. Oprócz braci Julia miała dwie siostry: Helenę, która została pielęgniarką, i Zofię, która, tak jak ojciec i brat, zajmowała się fotografią i prowadziła z mężem zakład w Lubartowie. Julia była najmłodsza z piątki rodzeństwa.

Poetka uczyła się w Gimnazjum im. Unii Lubelskiej w Lublinie, w którym zdała maturę w 1939 roku. W 1936 roku w szkolnym piśmie „W Słońce” opublikowała swój pierwszy wiersz. W Lublinie Julia Hartwig mieszkała do 1940 roku. Podczas okupacji przeniosła się do Warszawy, gdzie w latach 1940-1944 studiowała polonistykę na tajnym Uniwersytecie Warszawskim. Była też kurierką AK. Zaraz po wojnie kontynuowała studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a następnie znów na Uniwersytecie Warszawskim, przeniesionym po wojnie do Krakowa.

Pierwszą pracę podjęła w Łodzi, w piśmie „Kuznica” – prowadziła m.in. kronikę francuską. Dokonała też kilku przekładów do antologii poezji francuskiej przygotowywanej przez Adama Ważyka. W 1947 roku wyjechała do Paryża. Przebywała tam do 1950 roku, najpierw jako stypendystka rządu francuskiego, a potem urzędniczka w dziale

kultury Ambasady Polskiej w Paryżu. Francja silnie wpłynęła na jej życie, twórczość i postrzeganie świata. Był to również czas jej związku z Ksawerym Pruszyńskim.

Po powrocie z Paryża w 1950 roku, poetka zamieszkała na stałe w Warszawie. Wkrótce ukazał się zbiór jej reportaży *Z niedalekich podróży* (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1954), a dwa lata później debiutancki tom poezji *Pożegnania* (Czytelnik 1956). W latach 1952-1969 opublikowała wiele bajek oraz utworów dla dzieci i młodzieży; niektóre utwory były nadawane jako słuchowiska w Polskim Radiu. Większość z nich Julia Hartwig napisała ze swoim mężem Arturem Międzyrzeckim.

W latach 1970-1974 poetka razem z mężem i córką Danielą przebywała w USA. Była uczestniczką International Writing Program, później wykładowcą Drake University. Prowadziła też wykłady w Kanadzie – w University of Ottawa (1971) i Carleton University (1973). W 1979 roku ponownie gościła w USA, na zaproszenie Departamentu Stanu. Lata spędzone w Stanach Zjednoczonych zostawiły ślad w jej twórczości w postaci *Dziennika amerykańskiego* (PIW 1980), *Wierszy amerykańskich* (Sic! 2002) oraz w dwóch antologiach: *...opiewam nowoczesnego człowieka. Antologia poezji amerykańskiej*. (RePrint/Respublica 1992) oraz *Dzikię brzoskwinie. Antologia poetek amerykańskich* (2003). Pierwszą z nich poetka przygotowała z Arturem Międzyrzeckim.

W okresie PRL-u Julia Hartwig była związana ze środowiskiem występującym przeciwko ówczesnej władzy.

W stanie wojennym jej mieszkanie stało się częstym miejscem spotkań opozycji.

Od 1980 roku opublikowała w różnych wydawnictwach kilkadziesiąt książek, głównie tomików poezji, ale także dzienników, esejów, szkiców, felietonów. Jej wiersze i artykuły ukazywały się także w pismach takich jak: „Odrodzenie”, „Nowa Kultura”, „Świat”, „Nowe Książki”, „Poezja”, „Tygodnik Powszechny”, „Twórczość”, „Kresy”, „Na Głos”, „Zeszyty Literackie”, „Odra”, „Więź”, „Kwartalnik Artystyczny”. Julia Hartwig jest także znaną tłumaczką z języka francuskiego i angielskiego, przekładała na język polski twórczość takich pisarzy jak: Guillaume Apollinaire, Allen Ginsberg, Max Jacob, Blaise Cendrars, Pierre Reverdy, Marianne Moore, William Carlos Williams. Jest też autorką wielu opracowań i wstępów do książek.

Poetka otrzymała wiele prestiżowych nagród: Nagrodę ZAiKS (1976), Nagrodę Fondation d'Hautvilliers „Prix de Traduction” (Francja, 1978), Nagrodę Polskiego PEN Clubu (1979, 1997), Nagrodę Literacką Fundacji im. Jurzy-

kowskiego (USA, 1981), Thornton Wilder Prize (USA, 1986), Nagrodę im. Georga Trakla (Austria, 1991), Nagrodę Ministra Kultury za całokształt twórczości (2001), Nagrodę Wielkiej Fundacji Kultury (2002), Nagrodę Fundacji Władysława i Nelli Turzańskich (2004), Nagrodę Polskiego PEN Clubu im. Jana Parandowskiego (2009), Kamień – nagrodę festiwalu Miasto Poezji (2009), Nagrodę im. Czesława Miłosza (2009), Premio Acerbi za całokształt twórczości (Włochy, 2011). Została także odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski (1997), Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis” (2005), Narodowym Orderem Legii Honorowej (Francja, 2007) i Krzyżem Wielkim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (2011). Była pięciokrotnie nominowana do Nagrody Literackiej Nike za tomy: *Zobaczone* (2000), *Nie ma odpowiedzi* (2003), *Błyski* (2003), *Bez Pożegnania* (2005) i *Jasne niejasne* (2010), do Śląskiego Wawrzynu Literackiego za tom *Jasne niejasne* (2011) oraz do tytułu Mistrza Mowy Polskiej (2011).

# Julia Hartwig – bibliografia

## Tomy poetyckie

*Pożegnania*, Warszawa 1956.  
*Wolne ręce*, Warszawa 1969.  
*Dwoistość*, Warszawa 1971.  
*Czuwanie*, Warszawa 1978.  
*Chwila postoju*, Kraków 1980.  
*Wybór wierszy*, Warszawa 1981.  
*Poezje wybrane*, 1983.  
*Obcowanie*, Warszawa 1987.  
*Czułość*, Kraków 1992.  
*Nim opatrzy się zieleń*, Kraków 1995.  
*Lżejszym głosem. Wiersze z różnych lat*, Warszawa 1998.  
*Zobaczone*, Kraków 1999.  
*Przemija postać świata*, Warszawa 1999.  
*Zawsze od nowa. 100 wierszy*, Warszawa 1999.  
*Wybór wierszy*, seria: „Złota Kolekcja Poezji Polskiej”, Warszawa 2000.  
*Nie ma odpowiedzi*, Warszawa 2001.  
*Pięć wierszy*, Lublin 2002.  
*Wiersze amerykańskie*, Warszawa 2002.  
*Błyski*, Warszawa 2002.  
*Bez pożegnania*, Warszawa 2004.  
*Zwierzenia i błyski*, Warszawa 2004.  
*W objęciach świata*, Warszawa 2004.  
*To wróci*, Warszawa 2007.  
*Przywoływanie*, Lublin 2008.  
*Poezje wybrane*, Kraków 2008.  
*Trzecie błyski*, Warszawa 2008.  
*Jasne niejasne*, Kraków 2009.  
*In Praise of the Unfinished*, tłum. Bogdana i John Carpenter, USA, Knopf 2008.  
*Lampi / Błyski*, tłum. Francesco Groggia, wydanie dwujęzyczne, Włochy, Libri Scheiwiller 2008.  
*Poezje wybrane / Selected poems*, tłum. Bogdana i John Carpenter, wydanie dwujęzyczne, Kraków 2008.  
*[Zobaczone]*, tłum. Biserka Rajcic, Belgrad, Knjizevna Opstina Vrsac 2009.  
*Powroty*, Lublin 2009.  
*Wiersze wybrane*, Kraków 2010.  
*It will return*, USA: Northwestern University Press 2010.

## Szkice

*Dziennik amerykański*, Warszawa 1980.

*Pisane przy oknie*, Warszawa 2004.  
*Podziękowanie za gościńcę. Moja Francja*, Gdańsk 2006.  
*Wybrańcy losu*. Zbigniew Herbert, Jarosław Iwaszkiewicz, Witold Lutosławski, Czesław Miłosz, Ryszard Przybylski, Jan Józef Szczepański, Wistawa Szymborska, Jerzy Turowicz, Anna Turowiczowa, Wiktor Woroszyński, Monika Żeromska, Warszawa 2006.

## Poematy prozą

*Mówiąc nie tylko do siebie*, Warszawa 2003.

## Monografie

*Apollinaire*, Warszawa 1962.  
*Apollinaire*, wyd. 2, Warszawa 1964.  
*Apollinaire*, wyd. 3, Warszawa 1972.  
*Gérard de Nerval*, Warszawa 1972.  
*Apollinaire*, wyd. 4, Warszawa 2010.

## Reportaże, dzienniki podróży, felietony

*Z niedalekich podróży*, [Warszawa] 1954.  
*Zawsze powroty. Dzienniki podróży*, Warszawa 2001.

## Utwory dla dzieci i młodzieży

*Jaś i Małgosia*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], w: Julia Hartwig, Artur Międzyrzecki, Aleksander Rymkiewicz, *Bajki zza kurtyny*, Warszawa 1972.  
*Pierwsze przygody Poziomki*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], Warszawa 1961.  
*Tomcio Paluch*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], Teatr Komedia, 1962.  
*Pan Nobo. Dalsze przygody Poziomki*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], Warszawa 1964.  
*Wielki pościg*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], Warszawa 1969.  
*Zguba Michałka*, Warszawa 1969.

## Tłumaczenia

Elsa Triolet, *Kochankowie z Avignonu i inne opowiadania*, [Warszawa] 1949.

Louis Aragon, *Komuniści*, t. I-V, tłum. zbiorowe, Warszawa 1950-1952.  
Théophile Gautier, syn, *Przygody barona Münchhausena*, Warszawa 1951.  
Jean Marcenac, *Urok szatana*, Warszawa 1951.  
Denis Diderot, *Wybór pism filozoficznych*, [wraz z Julianem Rogozińskim], Warszawa 1953.  
Blaise Cendrars, *Poezje*, [wraz z Adamem Ważykiem], Warszawa 1962.  
Guillaume Apollinaire, *Poeta zamordowany*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], Kraków 1966.  
Claude Roy, *Ładny kwiat*, Warszawa 1968.  
*Ja to ktoś inny. Korespondencja Artura Rimbaud*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], Warszawa 1970.  
Guillaume Apollinaire, *Nowe przekłady*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], Kraków 1973.  
Guillaume Apollinaire, *Listy do Madeleine*, Kraków 1974.  
Guillaume Apollinaire, *Poeta zamordowany*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], wyd. 2, Kraków 1976.  
Blaise Cendrars, *Poezje wybrane*, [wraz z Adamem Ważykiem], Warszawa 1977.  
Marianne Moore, *Wiersze wybrane*, [wraz z Ludmiłą Marjańską], Warszawa 1980.  
*Korespondencja Fryderyka Chopina z George Sand i z jej dziećmi*, Warszawa 1981.  
Max Jacob, *Poematy prozą*, [wraz z Adamem Ważykiem], Kraków–Wrocław 1983.  
Robert Bly, *Jadąc przez Ohio i inne wiersze*, Warszawa 1985.  
Pierre Reverdy, *Poezje wybrane*, Warszawa 1986.  
Théophile Gautier, syn, *Przygody barona Münchhausena*, wyd. 2, Warszawa 1991.  
Guillaume Apollinaire, *Wiersze miłosne*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], Warszawa 1992.



- ...opiewam nowoczesnego człowieka. *Antologia poezji amerykańskiej. Wiersze amerykańskie od Poe-go, Whitmana i Emily Dickinson do poetów dzisiejszych*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], Warszawa 1992.
- Allen Ginsberg, *Znajomi z tego świata. Wiersze z lat 1947-1985*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim, Andrzejem Szubą i Piotrem Sommerem], Kraków 1993.
- Guillaume Apollinaire, *Poeta zamordowany*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], wyd. 3, Kraków 1993.
- Guillaume Apollinaire, *Piosenka niekochanego i inne wiersze*, [wraz z Arturem Międzyrzeckim], Kraków 1994.
- Gottfried August Bürger, *Przypadki barona Münchhausena*, Warszawa 1996.
- Guillaume Apollinaire, *Wiersze i listy miłosne*, Warszawa 1998.
- Dzikie brzoskwinie. Antologia poetek amerykańskich*, [wraz ze Stanisławem Barańczakiem], Warszawa 2003.
- Denis Diderot, *Wybór pism filozoficznych*, [wraz z Julianem Rogozińskim], wyd. 2, Warszawa 2003.
- Eugene Delacroix, *Dzienniki*, [wraz z Joanną Guze], Gdańsk 2003.
- Henri Michaux, *Seans z workiem oraz inne rady i przestrogi*, Warszawa 2004.
- Sylvia Plath, *Poezje wybrane*, [wraz z Janem Rostworowskim i Teresą Truskowską], Kraków 2004.
- William Carols Williams, *Spóźniony śpiewak*, Wrocław 2009.
- Korespondencja Fryderyka Chopina z George Sand i z jej dziećmi*, wyd. 2, Warszawa 2010.

### Publikacje zbiorowe

- Poeci czytają Herberta*, red. Andrzej Franaszek, Kraków 2009.
- Wiek Miłosza. Spotkania poezji i muzyki, Gdańsk 18-25 marca 2011*, Gdańsk 2011.

### Wstępy i przedmowy

- Lublin*, zdjęcia: Edward Hartwig, Warszawa 1956.
- Moja ziemia*, zdjęcia: Edward Hartwig, Warszawa 1962.
- Tematy fotograficzne*, zdjęcia: Edward Hartwig, Warszawa 1978.
- Wierzby*, zdjęcia: Edward Hartwig, Warszawa 1989.

- Żelazowa Wola*, zdjęcia: Edward Hartwig, Ewa Hartwig-Fijałkowska, Warszawa 1993.
- Mój Kazimierz*, zdjęcia: Edward Hartwig, Lublin 1998.
- Lublin i okolice. Wspomnienie*, zdjęcia: Edward Hartwig, Lublin 2004.
- Seweryn Pollak, *Próba oddalenia* [przedmowa], Warszawa 2008.
- Czesław Miłosz, *Wiersze wszystkie* [wstęp], Kraków 2011.

### Publikacje w czasopismach (2008-2011)

- Gdzie jesteście, Telegram jesienny, Zapatrzona* [wiersze], „Zeszyty Literackie” 2008, nr 4, 104.
- Hołd dla Tintoretta* [wiersz], „Kultura” (dodatek do „Dziennika”) 2008, nr 261.
- Lament, Pamiętliwi, Przemówi* [wiersze], „Kwartalnik Artystyczny” 2008, nr 3.
- Nagroda im. Konstantego A. Jeleńskiego. Julia Hartwig o Natalii de Barbaro. Laudacja*, „Zeszyty Literackie” 2008, nr 101.
- Nagroda im. Pawła Hertzta. Julia Hartwig o Joannie Guze. Laudacja*, „Zeszyty Literackie” 2008, nr 101.
- Nie pytać, Sprzeciw, To nieprzyzwolite tak zakłopotać ich w biały dzień* [wiersze], „Zeszyty Literackie” 2008, nr 101.
- O Jehudzie Amichaju* [zapis wypowiedzi ze spotkania prezentującego J. Amichaja w „Zeszytach Literackich” 2007, nr 97 w Domu Literatury w Warszawie 7 maja 2007], „Zeszyty Literackie” 2008, nr 101.
- Odloty, Nieod- niewy- niedo, Profesor* [wiersze], „Zeszyty Literackie” 2008, nr 103.
- Podziękowanie za gościnę* [tekst wygłoszony w trakcie prezentacji książki w Instytucie Kultury Polskiej UW 18 maja 2007], „Zeszyty Literackie” 2008, nr 101.
- Rossini, Reprymenda* [wiersze], „Zeszyty Literackie” 2008, nr 102.
- Stary park* [wiersz], „Więź” 2008, nr 2/3.
- Uciekam uciekam, O pewnym, Jasne niejasne, Moja opowieść jest prawdziwa* [wiersze], „Kwartalnik Artystyczny” 2008, nr 1.
- Albo, Tym którzy* [wiersze], „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 4.

- Do przyjaciół, Być blisko, Piękne tży* [wiersze], „Zeszyty Literackie” 2009, nr 106.
- Do Williama Carlosa Williamsa, Imię, Wymówione* [wiersze], „Zeszyty Literackie” 2009, nr 105.
- Gdzie jest poezja w czasach kryzysu* [rozmowa], „Dziennik” 2009, nr 254.
- Getsemane, Alleluja, Portret Artysty* [wiersze], „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 1.
- Nadstuchujemy* [wiersz], „Więź” 2009, nr 5/6.
- Nie pytać* [wiersz], „Newsweek” 2009, nr 15.
- O Jerzym Andrzejewskim*, „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 4.
- Powrót do Szymborskiej* [o tomie W. Szymborskiej *Tutaj*], „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 1.
- Przypowieść* [wiersz], „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 2.
- Tu i teraz, Wymiar* [wiersze], „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 3.
- Wspomnienie o Witoldzie Lutosławskim*, „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 2.
- Cena, Rozliczanie, Wdzięczność* [wiersze], „Zeszyty Literackie” 2010, nr 110.
- Dwadzieścia lat Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*, „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 1.
- Dwaj* [wiersz], „Twórczość” 2010, nr 8.
- Głos, Dar, Wszystko wszędzie* [wiersze], „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 2.
- Gorzkie żale, Rynek Starego Miasta w Antwerpii, Życzenie, Żałobnicy, Ptaki* [wiersze], „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 1.
- Nadzieja nasza jakże uporczywa, Studium* [wiersze], „Więź” 2010, nr 10.
- Niedosyt (replika), Do samej siebie, Igraszki snu* [wiersze], „Zeszyty Literackie” 2010, nr 109.
- Nieoczekiwane, Radość, Sekrety* [wiersze], „Zeszyty Literackie” 2010, nr 111.
- Niezwykła autobiografia* [o *Kręgach obcości* Michała Głowińskiego], „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 2.
- Próby* [wiersz], „Świąteczna” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 23-24 stycznia 2010.
- Rozpoznawanie, Zacząć, Żebyś...* [wiersze], „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 3.
- Do Zbigniewa Herberta* [wiersz], „Kwartalnik Artystyczny” 2011, nr 1.

*Wybór, Przewaga, Zaprzestano* [wiersze], „Zeszyty Literackie” 2011, nr 114.  
*Z Dziennika*, „Kwartalnik Artystyczny” 2011, nr 1.

### Wywiady

*W człowieku tkwi potrzeba liryzmu*, rozm. K. Masłoń, „Rzeczpospolita” 2001, nr 68.  
*Sztuka patrzenia*, rozm. K. Janowska, P. Mucharski, „Tygodnik Powszechny” 2001, nr 33.  
*Ukryta powaga*, rozm. T. Sobolewski, „Gazeta Wyborcza” 2001, nr 190.  
*Jestem osobna*, rozm. A. Górnicka-Boratyńska, „Gazeta Wyborcza” 2002, nr 23.  
*Poezję mówię wprost*, rozm. J. Mikołajewski, „Gazeta Wyborcza” 2002, nr 221.  
*Błyski, jakich nie było*, rozm. J. Mikołajewski, „Gazeta Wyborcza” 2002, nr 295.  
*Nie ma rady na to*, rozm. K. Myszkowski, „Kwartalnik Artystyczny” 2004, nr 2.  
*Tam gdzie mogę ścigam morze*, rozm. W. Kass, „Topos” 2004, nr 3/4.  
*Przyjaźń panieńska*, rozm. J. Mikołajewski, „Gazeta Wyborcza” 2004, nr 218.  
*Powaga, piękno, żart*, [o tomie *Bez pożegnania*] rozm. J. Mikołajewski, „Gazeta Wyborcza” 2004, nr 261.  
*Największe szczęście, największy ból*, rozm. J. Mikołajewski, „Wysokie Obcasy” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 2005, nr 12.  
*Mistyka rzeczywistości*, rozm. G. Józefczuk, „Gazeta Wyborcza. Lublin” 12 maja 2006.  
*Lublin piękny jak Florencja*, rozm. W. Sulisz, „Dziennik Wschodni” 2006, nr 110.  
*Wiek mnoży wątpliwości*, rozm. B. Marzec, „Rzeczpospolita” 12 sierpnia 2006.  
*Nie stawiam światu horoskopów*, rozm. I.J. Bożek, „Przegląd Polski” 26 stycznia 2007.  
*Żywa i wieczna czułość*, rozm. J. Borowiec, „Tygodnik Powszechny” 2007, nr 9.  
*Nie wolno upolityczniać historii*, rozm. B. Marzec, „Rzeczpospolita” 2007, nr 127.  
*Rozkosze pisania*, rozm. K. Janowska i P. Mucharski, „Gazeta Wyborcza” 2008, nr 26/27.

*Ośmieliłam się otworzyć*, rozm. D. Subbotko, „Duży Format” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 2009, nr 124.  
*Spadłam z nieba*, „Dziennik Wschodni” 2009, nr 213.  
*Gdzie jest poezja w czasach kryzysu*, „Dziennik” 2009, nr 254.  
*Miasto mojego dzieciństwa*, rozm. E. Olechnowicz, „Lublin” (dodatek do „Tygodnika Powszechnego”) 2011, nr 25.  
*Pisarstwo jest moim zadaniem*, „Kultura” (dodatek do „Dziennika”) 2008, nr 261.

### Recenzje

#### Pożegnania

Głowiński M., *Liryka Julii Hartwig*, „Twórczość” 1956, nr 8.  
 Odrowąż-Pieniążek J., *Dorobek poetycki Julii Hartwig*, „Książka dla Ciebie” 1956, nr 13.

#### Wolne ręce

Barańczak S., *Tajemna wiedza snu*, „Odra” 1970, nr 11.  
 Przybylski R., *Ostrze snu*, „Twórczość” 1970, nr 1.

#### Czuwanie

Matuszewski R., *Chwila postoju*, „Polonistyka” 1979, nr 2.  
 Barańczak S., *Światło – cień i ostre kontury*, „Tygodnik Powszechny” 1980, nr 47.  
 Ligęza W., *Poetka milczenia*, „Twórczość” 1980, nr 11.

#### Wybór wierszy

Smolka I., *Tęsknota do symboliki trwałej*, „Nowe Książki” 1981, nr 19.  
 Przybylski R.K., *Potrzeba sensu*, „Twórczość” 1982, nr 5.

#### Obcowanie

Gawłowski R., *Ponieważ jest*, „Nowe Książki” 1988, nr 4.  
 Szymańska A., *W podziw i pokorze*, „Przegląd Powszechny” 1988, nr 2.  
 Grześczak M., *Pętla*, „Twórczość” 1988, nr 4.  
 Józwick K., «*Obcowanie*» *Julii Hartwig*, „Kresy” 1990, nr 1.

#### Czułość

Szymańska A., *Kolekcja*, „Przegląd Powszechny” 1992, nr 12.  
 Brzozowska S., *Lekcja przemijania*, „Opole” 1993, nr 3/6.

Drzewucki J., *Patr przed siebie*, „Twórczość” 1993, nr 4.  
 Franaszek A., «*Miłość do świata i ucieczka od świata*». *Uwagi o nowych wierszach Julii Hartwig* „Na Głos” 1993, nr 11.  
 Józwick K., *Za sprawą zachwycenia*, „Kresy” 1993, nr 16.  
 Kaliszewski W., *Po prostu czułość*, „Przegląd Literacki” 1993, nr 1.  
 Kornhauser J., *Radość patrzenia*, „Dekada Literacka” 1993, nr 2.  
 Stanik S., *Czułość powrotów, czułość obecności*, „Nowe Książki” 1993, nr 8.  
 Sochoń J., *Julia Hartwig czyli czułość*, „Więź” 1993, nr 4.  
 Stala M., *Spokojny blask*, „Tygodnik Powszechny” 1993, nr 9.  
 Stankowska A., *Czuła epopeja*, „Accent” 1993, nr 3.  
 Przybylski R.K., *Sprawa zachwycenia*, „Odra” 1994, nr 3.  
 Szczęsny S., *Czułość, słowo potrzebne, czyli o czytaniu wierszy Julii Hartwig*, „Ogród” 1994, nr 4.

#### Nim opatrzy się zieleń

Kozioł E., *Przemienianie wycia w formę*, „Odra” 1995, nr 11.  
 Smolka I., *Prawo do sprężeczności*, „Kresy” 1995, nr 4.  
 Legeżyńska A., *Julia, sny i zieleń*, „Polonistyka” 1996, nr 1.

#### Zobaczone

Śliwiński P., „Nowe Książki” 1998, nr 11.  
 Biedrzycki K., „Dekada Literacka” 1999, nr 11/12.  
 Czerwińska E., „Tygodnik Powszechny” 1999, nr 27.  
 Dłuski S., „Nowa Okolica Poetów” 1999, nr 4.  
 Drzewucki J., „Magazyn Literacki” 1999, nr 8/9.  
 Drzewucki J., *Patrzyć i widzieć*, „Rzeczpospolita” 1999, nr 189.  
 Legeżyńska A., *Zobaczone przez kobietę*, „Polonistyka” 1999, nr 9.  
 Lisowski K., „Arkusze” 1999, nr 9.  
 Misiak I., „Res Publica Nowa” 1999, nr 11/12.  
 Piechocka E., *Jawa i sen*, „Kwartalnik Artystyczny” 1999, nr 4.  
 Smolka I., *Zobaczone i ofiarowane*, „Więź” 1999, nr 8.  
 Szaruga L., *Ludzkie nieludzkie słowa*, „Tygiel Kultury” 2000, nr 1/3.

Pelczar B., *W kręgu egzystencjalnych pytań tomiku «Zobaczone» Julii Hartwig*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Rzeszowskiego” 2002, z. 1: „Historia Literatury”.

#### **Zawsze od nowa. 100 wierszy**

Szaruga L., *Ludzkie nieludzkie słowa*, „Tygiel Kultury” 2000, nr 1/3.

#### **Przemija postać świata**

Szaruga L., *Ludzkie nieludzkie słowa*, „Tygiel Kultury” 2000, nr 1/3.  
Kresowaty Z., „Akant” 2001, nr 8.

#### **Wybór wierszy**

Bieńkowska K., *Trwać w odświętności*, „Nowe Książki” 2000, nr 11.  
Drzewucki J., „Rzeczpospolita” 2000, nr 244.  
Zubińska L., „Fraza” 2001, nr 3.  
Kozik R., „Gazeta Wyborcza. Kraków” 2010, nr 249.

#### **Zawsze powroty**

Bagłajewski A., „Kresy” 2001, nr 4.  
Cuber M., „Śląsk” 2001, nr 12.  
Nasiłowska A., *Poezja podróż*, „Więź” 2001, nr 7.  
Sobolewska J., „Latarnik” 2001, nr 22.  
Zawada A., *Dziennik artysty z lat chłoności*, „Nowe Książki” 2001, nr 7.  
Iwasiów I., *Jestem przechodniem, jak inni*, „Pogranicza” 2005, nr 5.

#### **Nie ma odpowiedzi**

Franaszek A., *Pamięć obłoków*, „Gazeta Wyborcza” 2001, nr 242.  
Mikołajewski J., *Pułapka uczuć*, „Gazeta Wyborcza” 2001, nr 220.  
Miłosz Cz., „Tygodnik Powszechny” 2001, nr 42.  
Szymańska A., „Kwartalnik Artystyczny” 2001, nr 4.  
Zawada A., *Xenie i elegie*, „Nowe Książki” 2001, nr 11.  
Borkowska G., *Odpowiedź Julii Hartwig*, „Gazeta Wyborcza” 2002, nr 34.  
*Głosy o tomie «Nie ma odpowiedzi»*, [J. Jarzębski, P. Kłoczowski, J. Kott, M. Niemiec, A. Piwkowska, R. Romaniuk, L. Szaruga, J. Szuber, A. Zagajewski], „Zeszyty Literackie” 2002, nr 77.  
Legeżyńska A., *Nie ma odpowiedzi*, „Arkusze” 2002, nr 4.  
Matuszewski R., „Twórczość” 2002, nr 3.

Napiórkowski J., „Nowa Okolica Poetów” 2002, nr 1.  
Szuber J., *Czytając wiersze Julii Hartwig*, „Więź” 2002, nr 8/9.  
Szymańska A., *Nad urwiskiem nadziei*, „Przegląd Powszechny” 2002, nr 9.

#### **Wiersze amerykańskie**

Nasiłowska A., *Ameryka, kraj opowieści*, „Odra” 2002, nr 11.  
Suska D., *Pozwolić światu być*, „Gazeta Wyborcza” 2002, nr 153.  
Szaruga L., „Kwartalnik Artystyczny” 2002, nr 3.  
Szuber J., *Czytając wiersze Julii Hartwig*, „Więź” 2002, nr 8/9.  
Szymańska A., *Nad urwiskiem nadziei*, „Przegląd Powszechny” 2002, nr 9.  
Śliwiński P., „Nowe Książki” 2002, nr 9.  
Gleń A., *Mądrość szeptu*, „Topos” 2004, nr 3/4.

#### **Błyski**

Miłosz Cz., *O «Błyskach»*, „Gazeta Wyborcza” 2002, nr 54.  
Baranowska M., „Res Publica Nowa” 2003, nr 3.  
Drzewucki J., *Wiersz zamiast szaleństwa, błysk tajemnicy*, „Rzeczpospolita” 2003, nr 3.  
Kierc B., „Kwartalnik Artystyczny” 2003, nr 1.  
Kulczycka D., „Pro Libris” 2003, nr 1.  
Mikołajewski J., „Zeszyty Literackie” 2003, nr 2.  
Napiórkowski J., *Smutek królewiat*, „Pracownia” 2003, nr 31.  
Wyka M., „Nowe Książki” 2003, nr 4.  
Małczyński B., *Same szkice*, „Topos” 2004, nr 3/4.

#### **Dziki brzoskwinie.**

##### **Antologia poetek amerykańskich**

Masłoń K., *Kobiece szkiełko i oko*, „Rzeczpospolita” 2003, nr 56.  
Wilczek P., „Nowe Książki” 2003, nr 7/8.

#### **Mówiąc nie tylko do siebie**

Jedlicka L., „Odra” 2003, nr 11.  
Szewc P., „Nowe Książki” 2003, nr 12.  
Latawiec B., *Tajny świat pośredni*, „Pogranicza” 2004, nr 1.

#### **Zwierzenia i błyski**

Baranowska M., „Gazeta Wyborcza” 2004, nr 121.  
Drzewucki J., *Ptaki nas obserwują*, „Rzeczpospolita” 2004, nr 32.

Lektor [T. Fiałkowski], *Dwie książki Julii Hartwig*, „Tygodnik Powszechny” 2004, nr 22.

Łuszczkiewicz P., *Światło i nicność*, „Nowe Książki” 2004, nr 9.

Michałowski P., *Dziennik myśli własnych i cudzych*, „Kwartalnik Artystyczny” 2004, nr 4.

[Recenzja książki Julii Hartwig *Zwierzenia i błyski*], „Lampa” 2004, nr 4-5.

Mackiewicz P., *Procesja zawsze idzie środkiem*, „Kresy” 2005, nr 1/2.

#### **Pisane przy oknie**

Kaliszewski W., *Sztuka patrzenia*, „Nowe Książki” 2004, nr 8.

Lektor [T. Fiałkowski], *Dwie książki Julii Hartwig*, „Tygodnik Powszechny” 2004, nr 22.

Sobolewski T., *Kwestia tonu*, „Więź” 2004, nr 8/9.

#### **Bez pożegnania**

Drzewucki J., *Dokąd się spieszy ksiądz Vivaldi?*, „Rzeczpospolita” 2004, nr 261.

Lektor [T. Fiałkowski], *Czułość zmartwychwstała*, „Tygodnik Powszechny” 2004, nr 48.

Mikołajewski J., *Jak w soczewce*, „Gazeta Wyborcza” 2004, nr 263.

Baranowska M., *Ale stało się*, „Więź” 2005, nr 3.

Dąbrowski T., *Śmierć jest największą poetką*, „Lampa” 2005, nr 3.

Gleń A., *Najpiękniejsze co nieskończone*, „Topos” 2005, nr 1/2.

Mackiewicz P., *To, co jeszcze nieskończone*, „Akcent” 2005, nr 4.

Madejski J., *W hołdzie światu*, „Nowe Książki” 2005, nr 3.

Matuszewski R., *Julii Hartwig dowody na istnienie*, „Twórczość” 2005, nr 8.

Matywiecki P., *Obecności nie można pożegnać*, „Kwartalnik Artystyczny” 2005, nr 1.

Nyczek T., *Żegnając*, „Przekrój” 2005, nr 1.

Telicki M., *Odchodzić znaczy być*, „Odra” 2005, nr 5.

Widera B., *Sandalek Julii*, „Śląsk” 2005, nr 1.

#### **Wybrańcy losu**

K.M. [Krzysztof Myszkowski], *Noty o książkach*, „Kwartalnik Artystyczny” 2006, nr 2.

Lektor [T. Fiałkowski], *Dar spotkania*, „Tygodnik Powszechny” 2006, nr 35.



Radziwon M., *Szczegóły do portretów spisane po latach*, „Gazeta Wyborcza” 2006, nr 113.

### Podziękowanie za gościnę. Moja Francja

Lektor [T. Fiałkowski], *Miłość dojrzała*, „Tygodnik Powszechny” 2007, nr 24.  
Król Z., *Już widziane*, „Zeszyty Literackie” 2007, nr 4.

### To wróci

Drzewucki J., *Śmiertelna równowaga*, „Rzeczpospolita” 2008, nr 28.  
Fraszczak A., *Błyski mroku i zęby tygrysa*, „Gazeta Wyborcza” 2008, nr 11.  
kr, *Głową z wysokości wiersza*, „Gazeta Wyborcza. Łódź”, 22 stycznia 2008.  
Król Z., *Co począć?*, „Książki” (dodatek do „Tygodnika Powszechnego”) 2008, nr 8.  
Ligęza W., *To przychodzi tak niespodziewanie*, „Kwartalnik Artystyczny” 2008, nr 1.  
Morawiec A., *Parnasizm Julii Hartwig*, „Nowe Książki” 2008, nr 3.  
Piwkowska A., *Gospodarstwo poezji*, „Więź” 2008, nr 6.  
Stawowy R., *Zaczynać na nowo*, „Akcent” 2008, nr 3.  
Szaruga L., [w dziale: „Świat poetycki, XXXVIII”], „Zeszyty Literackie” 2008, nr 101.  
G.K. [Grzegorz Kalinowski], *Noty o książkach*, „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 2.

### Jasne niejasne

Mikołajewski J., *Julia Hartwig pokrępa przyjaciół*, „Gazeta Wyborcza”, 26 maja 2008.  
Dąbrowska K., *Pod zieloną wodą*, „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 2.  
Dąbrowski T., *Pochwała jasności*, „Polityka” 2009, nr 22.  
Drzewucki J., „Magazyn Literacki Książki” 2009, nr 2.  
Kępiński P., *Świat nie do opisanania*, „Newsweek” 2009, nr 22.  
Kozik R., *Nowości wydawnicze poleca Ryszard Kozik*, „Gazeta Wyborcza. Kraków” 2009, nr 112.  
Lektor [T. Fiałkowski], *Wiersze gotowe na los*, „Tygodnik Powszechny” 2009, nr 21.  
Łukasiewicz J., *«Być blisko na odległość»*, „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 2.  
Mikołajewski J., *Julia Hartwig pokrępa przyjaciół*, „Gazeta Wyborcza”, 26 maja 2009.

Mizerkiewicz T., *Poezja i duch pryncypialności*, „Nowe Książki” 2009, nr 8.  
msz, *Nowy tomik Julii Hartwig*, „Gazeta Krakowska” 2009, nr 114.  
MW, *Paradoksy Hartwig*, „Dziennik Polski” 2009, nr 118.  
Myszkowski K., *Dobra miara*, „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 2.  
Nasiłowska A., *Jednak klasycyzm*, „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 2.  
Szaruga L., *Pytania Julii Hartwig, notatki krytyczne*, „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 2.  
Szewc P., *Zwyczajna rzecz*, „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 2.  
Szuber J., *Odbite w lustrze: pytania i perła*, „Kwartalnik Artystyczny” 2009, nr 2.  
Śliwiński P., *„Duży Format” (dodatek do „Gazety Wyborczej”)* 2009, nr 18.  
Arno A., *Dziennik lektur II*, „Zeszyty Literackie” 2010, nr 1, 109.  
Drzewucki J., *Śmiertelna równowaga*, „Twórczość” 2010, nr 2.

### Trzecie błyski

Klejnocki J., *Olśnienia i refleksje*, „Polityka” 2008, nr 39.  
Lektor [T. Fiałkowski], *Radość i melancholia*, „Tygodnik Powszechny” 2008, nr 46.  
Lisowski K., *Życie w błyskach*, „Twórczość” 2009, nr 4.  
Widera B., „Śląsk” 2009, nr 4.

### Powroty

K.M. [Krzysztof Myszkowski], *Noty o książkach*, „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 1.

### Opracowania

Kwiatkowski J., *Felieton poetycki*, „Twórczość” 1973, nr 9.  
Mikulski Z., *Hartwiżanka*, „Kamena” 1978, nr 12.  
Szewc P., *Poetyckie «błyski»*, „Odra” 1984, nr 12.  
Bieńkowski Z., *Azyl: poezja i niepoezja*, „Tygodnik Kulturalny” 1988, nr 2.  
Kaliszewski W., *Klasycyzm i Julia Hartwig*, „Więź” 1988, nr 6.  
Stala M., *Nicość*, „Na Głos” 1993, nr 9/10.  
Halkiewicz-Sojak G., *Nad wierszami Julii Hartwig*, „Przegląd Artystyczno-Literacki” 1995, nr 4.  
Kwiatkowski J., *Dwie poezje Julii Hartwig*, w: *Magia poezji*, Kraków 1995.  
Nasiłowska A., *Poezja jako sposób poznania*, „Odra” 1996, nr 5.

Ferenc T., Jankowski Z., *Julia Hartwig*, „Topos” 1997, nr 4.  
Nasiłowska A., *Wejść głównymi drzwiami...*, „Tygodnik Powszechny” 1997, nr 28.  
Łuszczkiewicz P., *Być poetą osobnym*, „Nowe Książki” 1998, nr 11.  
Szewc P., *Julia Hartwig* [biogram], „Nowe Książki” 1998, nr 11.  
Skompaska L., [cykl „Od róż do liter”], „Tygiel Kultury” 1999, nr 7/9.  
Szymańska A., *Niewidzialni mieszkańcy świata*, „Kwartalnik Artystyczny” 2000, nr 4.  
Pelczar B., *W kręgu egzystencjalnych pytań tomiku «Zobaczone» Julii Hartwig*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Rzeszowskiego” 2002, z. 1: „Historia Literatury”.  
Żukrowski T., *Nie trać obrazu: amerykańska miłość Julii Hartwig*, „Gazeta Malarzy i Poetów” 2002, nr 3.  
Abramowicz Z., *Echa literatury chrześcijańskiej w «Błyskach» Julii Hartwig*, w: *Chrześcijańskie dziedzictwo duchowe narodów słowiańskich*, Białystok 2003.  
Dąbrowska E., *«Mowa pełna wahań i zapytań» – o sztuce poetyckiej Julii Hartwig*, „Język Artystyczny” 2003, t. 12.  
Kałuża A., *Julia Hartwig i «Julia Hartwig»*. *Zapisywanie siebie. Poszukiwanie podmiotu autorskiego w poezji Julii Hartwig*, „Język Artystyczny” 2003, t. 12.  
Nikadem-Malinowska E., *Powiedzieć więcej – rozważania o synestetyzmie w poezji Josifa Brodskiego i Julii Hartwig*, „Acta Polono-Ruthenica” 2003, t. 8.  
Prochalska F., *Zaufajcie Hartwig*, „Śląsk” 2003, nr 2.  
*Błyski o Julii Hartwig* – M. Cisło, J. Górzeński, A. Janko, J. Jarzębski, R. Kapuściński, M.B. Kielar, W. Ligęza, R. Lis, P. Matywiecki, A. Michnik, J. Mikołajewski, Cz. Miłosz, J. Napiórkowski, I. Smolka, T. Żukowski, „Topos” 2004, nr 3/4.  
Chomiszczak T., *«...Jedynie ci którzy wrosli w poezję»*. *Julii Hartwig alchemia przekładu*, „Topos” 2004, nr 3/4.  
Dakowicz P., *Zobaczeni. Julii Hartwig spotkania ze zmarłymi*, „Topos” 2004, nr 3/4.  
Kociuba G., *Widzenia, sny, medytacje z morzem w tle, o poezji Julii Hartwig*, „Topos” 2004, nr 3/4.



- Kuczkowski K., *Co to jest poezja? Czytając wiersz Julii Hartwig pt. O tym wszystkim*, „Topos” 2004, nr 3/4.
- Kudyba W., *Bycie i dom*, „Topos” 2004, nr 3/4.
- Małczyński B., «*Same szkice*». *Na marginesie Błysków Julii Hartwig*, „Topos” 2004, nr 3/4.
- Szymańska A., *Patrząc aż do bólu. O szukaniu i znajdowaniu w poematach prozą Julii Hartwig*, „Topos” 2004, nr 3/4.
- Zarębianka Z., *Czas przeszły – na chwilę nieutracony. O poezji Julii Hartwig*, „Topos” 2004, nr 3/4.
- Kałuża A., *Ziemia niczyja. O problemie podmiotu w poezji Julii Hartwig*, „Fa-Art” 2005, nr 4.
- Telicki M., *Związki twórcze Julii Hartwig z kulturą francuską* [materiały z konferencji „Słowa ponad granicami. Literackie świadectwa kontaktów kulturowych”], „Napis” 2005, ser. 11.
- Żuliński L., *Julia Hartwig w krainie sensów*, „Twórczość” 2005, nr 5 [zawiera recenzje książek *Pisane przy oknie* i *Zwierzenia i błyski*].
- Kałuża A., *Wola odróżnienia. O modernistycznej poezji Jarosława Marka Rymkiewicza, Julii Hartwig, Witolda Wirpszy i Krystyny Miłobędzkiej*, Kraków 2008.
- anp, *Julia Hartwig na Polesiu*, „Bywalec” (dodatek do „Dziennika Łódzkiego”) 2008, nr 15.
- Braniecki W., *Błyski Julii Hartwig*, „Głos Wielkopolski” 2008, nr 288.
- Cyz T., *Olśnienia, III*, [cz. I – o wierszu J. Hartwig *Na temat wariacji Diabelliego*], „Zeszyty Literackie” 2008, nr 101.
- Drzewucki J., *Nie piszcie wierszy byle jak*, „Rzeczpospolita” 2008, nr 233.
- Grudzińska-Gross I., *Zobaczone, przeczytane* [o tomie *In Praise of the Unfinished*], „Zeszyty Literackie” 2008, nr 102.
- Kuś M., [Poezje wybrane – seria dwujęzyczna WL], „Znak” 2008, nr 7/8.
- Media nie uciekają od dobrej literatury*, „Gazeta Wyborcza” 2008, nr 224.
- Pawłowska A., *Spojrzenie wstecz z refleksjami o sztuce, artystach i śmierci*, „Dziennik Łódzki” 2008, nr 19.
- Pisarstwo jest moim zadaniem*, „Kultura” (dodatek do „Dziennika”) 2008, nr 261.
- Rakowska K., *Julia Hartwig sama na scenie*, „Co Jest Grane” (dodatek do „Gazety Wyborczej. Łódź”) 2008, nr 15.
- Rokosz B., „Lampa” 2008, nr 1/2.
- Spotkanie z poezją*, „Gazeta Wyborcza. Łódź” 2008, nr 17.
- To było o mnie*, „Gazeta Wyborcza. Łódź” 2008, nr 21.
- Amerykanie doceniają Julię Hartwig*, „Gazeta Wyborcza” 2009, nr 213.
- Gutorow J., *Wyrazy wdzięczności* [o *Spóźnionym śpiewaku* W.C. Williamsa], „Tygodnik Powszechny” 2009, nr 13.
- Julia Hartwig z Nagrodą im. Miłosza*, „Notes Wydawniczy” 2009, nr 9.
- Telicki M., *Poetycka antropologia Julii Hartwig*, Poznań 2009.
- K.M. [Krzysztof Myszkowski], [Apolinaire], „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 4.
- Lada W., *Gdy przeszłość przestaje być ważna*, „Życie Warszawy” 2010, nr 76.
- Nasiłowska A., *Wiara w zadanie*, „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 4.
- Smolka I., *Podziękowanie i dar*, „Twórczość” 2010, nr 8.
- Cyz T., *Planeta Turowicz*, „dwutygodnik” 2010, nr 29 [online], <http://www.dwutygodnik.com/artykul/1084-planeta-turowicz.html> (dostęp: 17 sierpnia 2011).
- Nasiłowska A., *Epoka Julii Hartwig*, „Znak” 2011, nr 7/8.

### Filmy

- Artur Międzyrzeczki i Julia Hartwig*, reż. T. Żukowski, 1993.
- Julia Hartwig*, reż. A.W. Kulik, 1994.
- Porządek rzeczy*, reż. D. Latour, 1996.
- Okruchy codzienności*, reż. E. Rottermund, 2004, premiera TV: 2005.

### Wybrane strony internetowe

- Kwestionariusz Kultury – [www.tvp.pl/kultura/magazyny-kulturalne/kwestionariusz-kultury](http://www.tvp.pl/kultura/magazyny-kulturalne/kwestionariusz-kultury).
- Web of Stories – [www.webofstories.com](http://www.webofstories.com).
- Leksykon „Pamięć Miejsca” – [www.teatrnn.pl/leksykon/juliahartwig](http://www.teatrnn.pl/leksykon/juliahartwig).

Oprac. Anna Piotrowska

# Bibliografia „Scriptores” nr 40\*

\* Bibliografia została podzielona na trzy sekcje: A) źródła cytatów, B) przedruki i C) transkrypcje. Pierwsza sekcja dotyczy zasadniczo pierwszej części „Scriptores” (Przed wojną – wojna – po wojnie), druga i trzecia uwzględniają teksty ze wszystkich części uporządkowane alfabetycznie.

## A) Źródła cytatów

- Araszkiewicz Feliks, *Ruch literacki w Lubelszczyźnie 1918-1938. Cyfry, daty, tytuły, nazwiska*, w: *Antologia współczesnych poetów lubelskich*, red. Ludwik Zalewski, Lublin 1939.
- Bystrzycka Zofia, *A zaczęło się tak*, w: *W stołecznym Lublinie*, red. Maria Bechczyc-Rudnicka, Lublin 1959.
- Chabros Tadeusz, *Kronika wydarzeń w Lublinie 21 VII 1944 – 1 II 1945*, Lublin 1974.
- Chamerska Halina, *Gimnazjum im. Unii Lubelskiej*, nagranie z archiwum Historii Mówionej Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”, 18 marca 2004, [www.tnn.pl/himow\\_fragment.php?idhr=1385](http://www.tnn.pl/himow_fragment.php?idhr=1385) (dostęp: sierpień 2011).
- Chojnowski Zbigniew, *Metamorfozy Anny Kamińskiej*, Olsztyn 1995.
- Czechowicz Józef, *Awangarda idzie dalej*, w: *Wyobraźnia stwarzająca. Szkice literackie*, oprac. Tadeusz Kłak, Lublin 1972.
- Czechowicz Józef, *Listy*, oprac. Tadeusz Kłak, Lublin 1977.
- Dzieci żyją dłużej. Z Piotrem Wojciechowskim rozmawia Jarosław Mikotajewski*, „Książki” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 2005, nr 7.
- Estetyczna wrażliwość. Z Edwardem Hartwigiem rozmawiają Anna i Andrzej Bernatowie*, „Nowe Książki” 1999, nr 12.
- Hartwig Edward, *Pracownia na Narutowicza*, w: *Zaulek Hartwigów*, Lublin 2006.
- Hartwig Julia, *Zawsze powroty. Dziennik podróży*, Warszawa 2001.
- Huszczka Jan, *Dom przy Radziwiłłowskiej*, w: *W stołecznym Lublinie*, red. Maria Bechczyc-Rudnicka, Lublin 1959.
- Jaworski Kazimierz Andrzej, *Na początku był Chełm*, w: *W stołecznym Lublinie*, red. Maria Bechczyc-Rudnicka, Lublin 1959.
- Jaworski Stanisław, *Topielec z rzeki snu*, w: Jerzy Pleśniarowicz, *Ballada*

- o ułanach i inne wiersze z lat 1936-1945*, oprac. Krzysztof Pleśniarowicz, Kraków 1987.
- [Kamińska Anna], *Anna Kamińska. Poetka, pisarka, tłumaczka*, „Sztandar Ludu” 1972, nr 173.
- Kamińska Anna, *List z Lublina*, „Wieś” 1948, nr 27.
- Kamińska Anna, *Notatnik 1973-1979*, Poznań 1987.
- Kamińska Anna, *Poeta Waclaw*, w: *Lublin literacki 1932-1982. Szkice i wspomnienia*, red. Waldemar Michalski, Józef Zięba, Lublin 1984.
- Kłak Tadeusz, *Poezja lubelska 1918-1939*, w: *Lublin literacki. Szkice i wspomnienia*, red. Waldemar Michalski, Józef Zięba, Lublin 1984.
- Kronika Szkolna Gimnazjum im. Jana Hetmana Zamoyskiego*.
- Miazga Zbigniew, *Zdarzyło się: Lublin 1944*, Lublin 2004.
- Mikulski Zygmunt, *Moje dzisiejsze wczoraj*, w: *Lublin literacki 1932-1982. Szkice i wspomnienia*, red. Waldemar Michalski, Józef Zięba, Lublin 1984.
- Mikulski Zygmunt, *Anna Kamińska*, „Kamena” 1986, nr 12.
- Mikulski Zygmunt, *Przeszło Krakowskim*, „Sztandar Ludu” 1985, nr 167.
- Mikulski Zygmunt, *Przyszło z Lipcem*, „Sztandar Ludu” 1983, nr 166.
- Mikulski Zygmunt, *Tamten Lublin*, Lublin 1975.
- Mikułko Anatol, *Pierwsza polska gazeta*, w: *W stołecznym Lublinie*, red. Maria Bechczyc-Rudnicka, Lublin 1959.
- Pięćdziesięciolecie Lubelskiego Towarzystwa Fotograficznego*, z Edwardem Hartwigiem – o Lublinie, fotografii i kilku innych sprawach [rozmawia Dżyzław Toczyński], „Kwartalnik Wojewódzkiego Domu Kultury w Lublinie” 1987, R. XVI.
- Pleśniarowicz Jerzy, *Rozmowa z Józefem Łobodowskim*, „W Słońce” 1937, nr 3(4).

- Pleśniarowicz Jerzy, *Wspomnienia lubelskie*, „Kresy” 1991, nr 8.
- Pleśniarowicz Krzysztof, *Jerzego Pleśniarowicza ślad pozostawiony*, Kraków 1993.
- Pleśniarowicz Krzysztof, *Nota*, w: Jerzy Pleśniarowicz, *Ballada o ułanach i inne wiersze z lat 1936-1945*, oprac. Krzysztof Pleśniarowicz, Kraków 1987.
- Poezja ziemi lubelskiej* (dodatek niedzielny do „Expressu Lubelskiego i Wołyńskiego”) 1939, nr 159.
- Putrament Jerzy, *Niema bitwa*, w: *W stołecznym Lublinie*, red. Maria Bechczyc-Rudnicka, Lublin 1959.
- Radziwon Marek, *Z wierszem trzeba poczekać. Rozmowa z Julią Hartwig, poetką, finalistką NIKE 2003*, „Gazeta Wyborcza” 2003, nr 222.
- Smolarz Jan, *W bibliofilskim kręgu Józefa Czechowicza*, nadbitka z „Rocznika Biblioteki Narodowej”, Warszawa 1986, t. XVII/XVIII.
- Wojciechowski Piotr, *W podróży*, „Więź” 1999, nr 7.
- Wywiad z bratem. Julia Hartwig rozmawia z Edwardem Hartwigiem*, w: *Zaulek Hartwigów*, Lublin 2006.
- Zarębianka Zofia, *Zakorzenienia Anny Kamińskiej*, Kraków 1997.
- Zimmer Bolesław, *Geneza szkoły i jej rozwój 1915-1933*, w: *50 lat Gimnazjum i Liceum im. Jana Zamoyskiego w Lublinie 1915-1965*, red. Bolesław Zimmer, Lublin 1967.

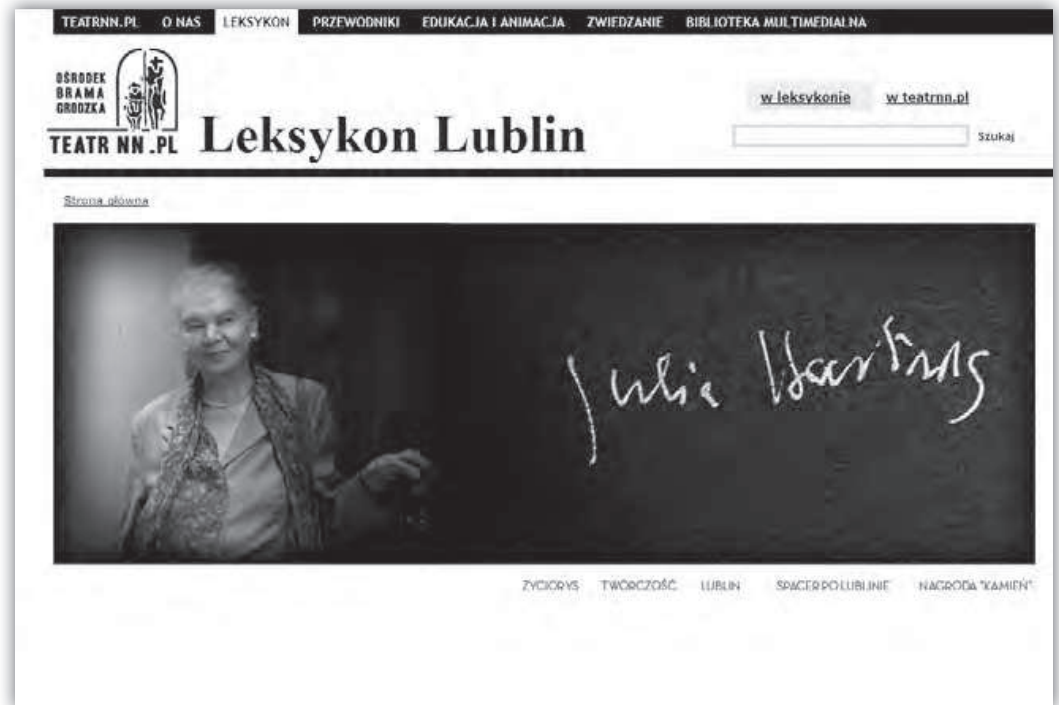
## B) Przedruki

- Ciekawość świata. Z Julią Hartwig rozmawia Agata Koss*, „Kresy” 1997, nr 29.
- Derecki Mirosław, [Wspomnienie o Jerzym Pleśniarowiczu], fragment artykułu *Willa przy ulicy Granicznej*, „Gazeta w Lublinie”, 28 października 1994.
- Grafczyński Przemko Maria, *Kochanek X Muzy. Opowieść rodzinna o Zygmuncie Kałużyńskim*, „Magazyn”

- (dodatek do „Kuriera Lubelskiego”), 24 grudnia 2004.
- Hartwig Julia, *Fotografia udomowiona*, w: *Pisane przy oknie*, Warszawa 2004.
- Hartwig Julia, *Hanka i Anna*, w: *Pisane przy oknie*, Warszawa 2004.
- Hartwig Julia, *Ja wspomnień tych się boję* [wiersz], w: *Obcowanie*, Warszawa 1987.
- Hartwig Julia, *Jest takie miasto, Żadnych rajów* [wiersze], w: *Zobaczone*, Kraków 1999.
- Hartwig Julia, *Lublin niezapomniany*, w: Edward Hartwig, *Lublin i okolice. Wspomnienie*, Lublin 2004.
- Hartwig Julia, *Lublin*, w: *Lublin*, fot. i oprac. Edward Hartwig, Warszawa 1956.
- Hartwig Julia, *Powroty*, Lublin 2009.
- Hartwig Julia, *Pożegnanie, Powrót z miasta* [wiersze], w: *Czuwanie*, Warszawa 1978.
- Hartwig Julia, *Radość z Zaułka*, w: *Zaułek Hartwigów*, Lublin 2006.
- Hartwig Julia, *Samotność w Zagładzie*, w: Anna Langfus, *Skazana na życie*, Warszawa 2008.
- Hartwig Julia, [Wstęp], w: Edward Hartwig, *Wierzby. Album fotograficzny*, Warszawa 1989.
- Hartwig Julia, *Zbudzenie w świetle łaśki* [wiersz], w: *Chwila postoju*, Kraków 1980.
- Hen Józef, *Konfrontacja w Lublinie*, „Przegląd Kulturalny” 1955, nr 29.
- Miasto mojego dzieciństwa. Z Julią Hartwig rozmawia Emilia Olechnowicz*, „Tygodnik Powszechny” 2011, nr 25.
- Mikulski Zygmunt, 492. *Wspomnienia gimnazjalisty*, „Kamena” 1986, nr 19.
- Mikulski Zygmunt, *Hartwiżanka*, „Kamena” 1978, nr 12.
- Mikulski Zygmunt, *Lubelscy filomaci*, „Sztandar Ludu” 1986, nr 195.
- Największe szczęście, największy ból. Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski*, „Wysokie Obcasy” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 2005, nr 12.
- Nasiłowska Anna, *Epoka Julii Hartwig*, „Znak” 2011, nr 674/675.
- Nasiłowska Anna, *Wiara w zadanie*, „Kwartalnik Artystyczny” 2010, nr 4.
- Niechętnie kończę każdy dzień. Z Julią Hartwig rozmawia Kalina Błażejewska*, „Tygodnik Powszechny” 2011, nr 33.
- Ośmieliłam się otworzyć. Z Julią Hartwig rozmawia Dorota Subbotko*, „Duży Format” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 2009, nr 124.
- Poezją mówię wprost. Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski*, „Gazeta Wyborcza” 2002, nr 221.
- Powaga, piękno, żart. Z Julią Hartwig o nowym tomie jej wierszy «Bez pożegnania» rozmawia Jarosław Mikołajewski*, „Gazeta Wyborcza” 2004, nr 261.
- Próchniak Paweł, *Julia Hartwig: wyciekające słowo*, laudacja przygotowana na okoliczność przyznania Julii Hartwig nagrody Kamień, wygłoszona na spotkaniu z poetką w Teatrze im. Juliusza Osterwy, 26 października 2009, [własność autora].
- Przyjaźń panińska. Z Julią Hartwig rozmawia Jarosław Mikołajewski*, „Książki” (dodatek do „Gazety Wyborczej”) 2007, nr 7.
- Sobolewski Tadeusz, *Ukryta powaga. Rozmowa z Julią Hartwig*, „Gazeta Wyborcza” 2001, nr 190.
- Tam gdzie mogę ścigam morze. Z poetką Julią Hartwig – rozmawia Wojciech Kass*, „Topos” 2004, nr 3/4.
- C) Transkrypcje**
- Czy warto być poetką? Spotkanie z Julią Hartwig w Ośrodku „Brama Grodzka – Teatr NN”*, 26 kwietnia 1996, materiały archiwalne Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.
- Hartwig Julia, *Wspomnienie o Annie Kamieńskiej*, wypowiedź na sesji *memoriam – w 20. rocznicę śmierci Anny Kamieńskiej*, 12-13 maja 2006, Muzeum im. Józefa Czechowicza, nagranie: Dominika Jakubiak, materiały archiwalne Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.
- Kamieńska Anna, *Lublin 1944*, fragment audycji radiowej *Lublin słowem malowany* Barbary Jurkiewicz i Krystyny Kotowicz, Radio Lublin, 5 września 1974.
- Obserwuję życie zagłębiona w przeszłości. Spotkanie w Teatrze im. Juliusza Osterwy 26 października 2009*, fragmenty spotkania z Julią Hartwig z okazji wręczenia nagrody Kamień w ramach festiwalu Miasto Poezji 2009, nagranie: Marek Nawratowicz, materiały archiwalne Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.
- Powrót do źródeł. Z Anną Kamieńską rozmawia Maria Brzezińska*, fragment audycji *Powrót do źródeł*, Radio Lublin, 19 października 1981.
- Przywrócona Lublinowi, wypowiedź Julii Hartwig podczas uroczystości nadania Honorowego Obywatelstwa Miasta Lublina, 26 października 2009*, materiały archiwalne Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.
- Świat jest do opisanie. Spotkanie z Julią Hartwig w III Liceum Ogólnokształcącym im. Unii Lubelskiej w Lublinie, 11 maja 2006*, nagranie: Marek Nawratowicz, materiały archiwalne Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”.
- W poszukiwaniu poezji. Spotkanie z Julią Hartwig w kościele św. Ducha w Lublinie w ramach Festiwalu Sztuki „W Kręgu Bramy”*, 2 czerwca 2001, nagranie: Aneta Wójciszyn-Wasil, Radio Lublin.
- Wieczór literacki. Z Julią Hartwig rozmawia Maria Brzezińska*, fragment audycji Marii Brzezińskiej *Wieczór literacki*, Radio Lublin, 31 października 1983.

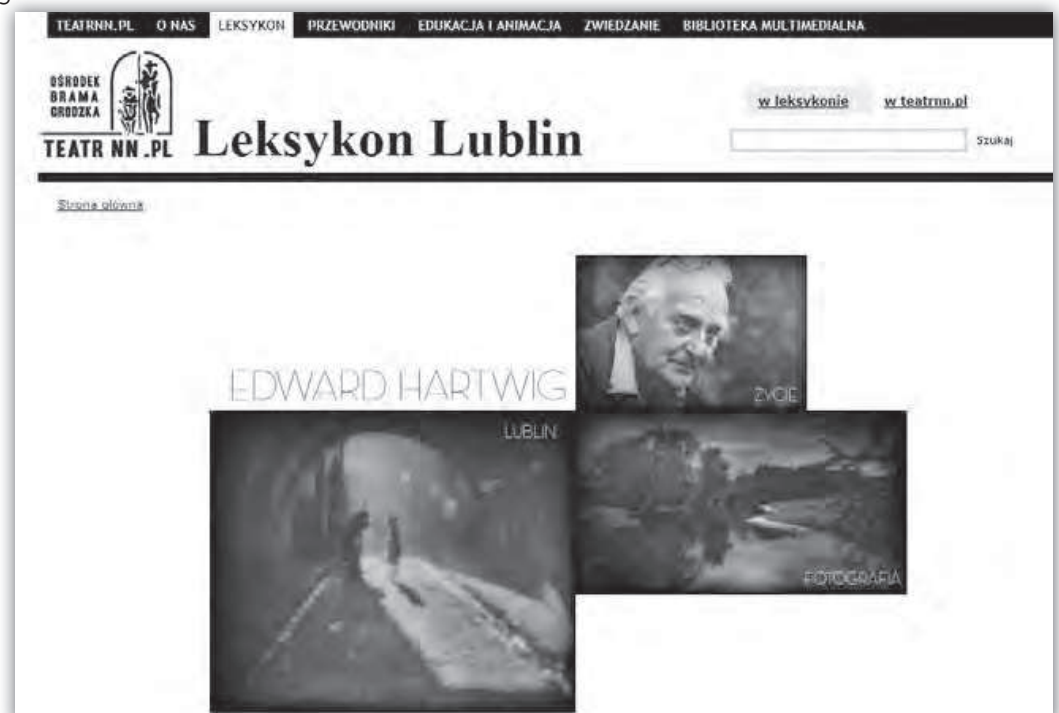
# Polecamy strony internetowe Ośrodka „Brama Grodzka – Teatr NN”:

- o Julii Hartwig



[www.juliahartwig.teatrnn.pl](http://www.juliahartwig.teatrnn.pl)

- o Edwardzie Hartwigu



[www.edwardhartwig.teatrnn.pl](http://www.edwardhartwig.teatrnn.pl)



■ o piśmie „W Słońce”

TEATRNN.PL O NAS LEKSYKON PRZEWODNIKI EDUKACJA I ANIMACJA ZWIĘZANIE BIBLIOTEKA MULTIMEDIALNA


**Leksykon Lublin**

w leksykonie w teatrnn.pl

Szukaj

Strona główna

## „W Słońce” (1928 -1930, 1933, 1936 -1939)

**Słowa kluczowe** **Tematy**

Ogródowa 14, Krakowskie Przedmieście 78, Julia Hartwig, Józef Łobodowski, Paweł Gdula, Józef Czesławowicz, Gimnazjum im. Hełmusa J. Zamojńskiego, drukarnia Narodowa, Bronisław Łudwik Michański, „W słońce”.

Wersja do wydruku  
 Wyślij do znajomego

Hasło:

1 maja 1928 r. w **Gimnazjum Zamojskiego** ukazał się pierwszy numer miesięcznika szkolnego „**W Słońce**”. Był on poświęcony głównie literaturze i sztuce, nauce i życiu szkolnemu.

Założycielem i pierwszym redaktorem pisma był uczeń siódmej klasy **Józef Łobodowski**. Zachęcony na lekcjach przez doktora **Pawła Gdula**, podjął się pracy redakcyjnej.

O okolicznościach powstania pisma wspomina Józef Łobodowski: *O ile sobie przypominam historia zaczęła się w Z klasie. Na lekcjach polskiego odbywały się żywe dyskusje na tematy literackie. Brakło silny romantyczny materiał dyskusyjny było dużo. P. Prof. Gdula wnioskuje z zainteresowań uczniów, doradził aby stworzyć szkolne pismo poświęcone literaturze. (...) Czasopismo przyjęto w innych szkołach z niechęcią i zazdrością; (...) głównym działem w piśmie była „Literatura i Sztuka”, obok tego kąpek radiowy, sportowy i „Życie szkolne”, Dział literacki wypełniałem przeważnie sam. [1]*




Julia Hartwig z Jerzym Plebanowiczem i Julią Dawyng

www.leksykon.teatrnn.pl

■ historia mówiona Julii Hartwig

**Hartwig Julia**

Data urodzenia: 14.08.1921  
Miejsce urodzenia: Lublin



**Biogram:**  
Pisarka, poetka, eseistka. W Lublinie chodziła do szkoły podstawowej przy Katedrze (tzw. "Ćwiczeniówki"), następnie do gimnazjum im. Unii Lubelskiej, które ukończyła w 1939r. W latach 1940-1941 mieszkała w Warszawie, gdzie studiowała na podziemnym Uniwersytecie Warszawskim, była też kurierką AK. Po wojnie wielokrotnie wracała do Lublina, odwiedzając ojca i siostrę. Czuje się związana z Lublinem, głównie przez przeszłość i wspomnienia z dzieciństwa i wczesnej młodości.

**Relacje**

**Data Nagrania:** 02.03.1999  
**Czas nagrania:** - (minut)  
**Nagrywał:** Kubiszyn Marta

[czytaj całą relację >>](#)

**Fragmety relacji:**

- **Życie podwórka** - posłuchaj: 🎧
- **Zakład fotograficzny Hartwigów** - posłuchaj: 🎧
- **Przedwojenne przysmak** - posłuchaj: 🎧
- **Dzieństwo w Lublinie** - posłuchaj: 🎧
- **Adresy lubelskie rodziny Hartwigów** - posłuchaj: 🎧
- **Gimnazjum Państwowe im. Unii Lubelskiej**
- **Kawiarnia Semadeniego** - posłuchaj: 🎧
- **Krakowskie Przedmieście** - posłuchaj: 🎧
- **Postacie z lubelskiej ulicy** - posłuchaj: 🎧
- **Życie kulturalne przed wojną** - posłuchaj: 🎧
- **Ogród Saski** - posłuchaj: 🎧
- **Targ na ulicy Świętoduskiej** - posłuchaj: 🎧
- **Wielokulturowość Lublina** - posłuchaj: 🎧
- **Lublin prawosławny** - posłuchaj: 🎧
- **Dzielnica żydowska** - posłuchaj: 🎧
- **Stare Miasto** - posłuchaj: 🎧

www.historiamowiona.tnn.pl



nr 27  
Lublin

nakład wyczerpany

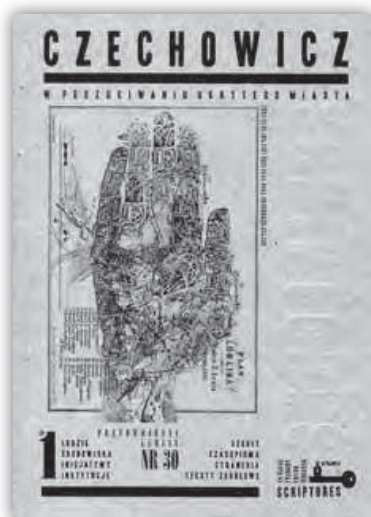


nr 28  
Ścieżkami pamięci

nakład wyczerpany



nr 29  
Rozmowy o kulturze przestrzeni



nr 30  
Czechowicz. W poszukiwaniu ukrytego miasta. Tom I



nr 31  
Czechowicz. W poszukiwaniu ukrytego miasta. Tom II



nr 32  
Czechowicz. W poszukiwaniu ukrytego miasta. Tom III



nr 33  
Panas. Lublin jest księgą. Tom I



nr 35  
Łobodowski

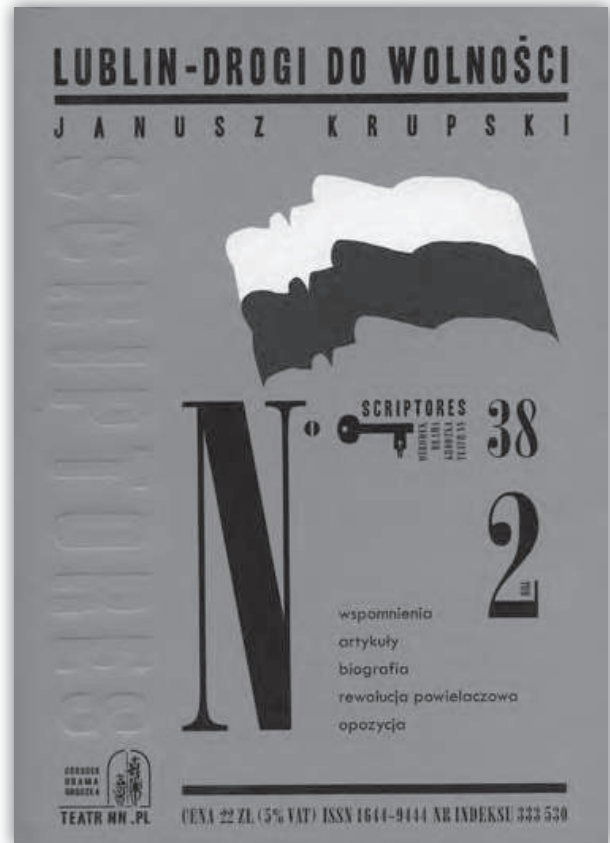


nr 37  
Panas. Lublin jest księgą. Tom II





nr 36  
Siła Wolnego Słowa



nr 38  
Janusz Krupski



nr 39  
Spotkania

Archiwalne numery „Scriptores”  
 dostępne są w siedzibie Ośrodka,  
 można je także zamówić  
 drogą mailową (teatrnn@tnn.lublin.pl)

# KSIĄŻKI W TYGODNIKU

ISSN 2082-0372

Dodatek

„Tygodnika Powszechnego”

*Magazyn  
literacki*

**TYGODNIK  
POWSZECHNY**

TĘ WINIETĘ NAPISAŁ  
LÁSZLÓ KRASZNAHORKAI

NAJLEPSZE PIÓRA

O NAJLEPSZYCH KSIĄŻKACH

NASTĘPNE, **PODWÓJNE** WYDANIE

MAGAZYNU LITERACKIEGO

W ŚRODĘ, 21 WRZEŚNIA,

W „TYGODNIKU

POWSZECHNYM”

[www.tygodnik.onet.pl](http://www.tygodnik.onet.pl) ↗



WYDANIE POPRZEDNIE





Julia Hartwig  
Gorzkie żale

■ Wydawnictwo a5

Najnowszy tom  
na 90-e urodziny  
Poetki



książki **Julii Hartwig**  
można kupić na stronie  
[www.wydawnictwoa5.pl](http://www.wydawnictwoa5.pl)

## Julia Hartwig w Wydawnictwie a5



Julia Hartwig  
Jasne niejasne

■ Wydawnictwo a5



Julia Hartwig  
Wiersze wybrane

■ Wydawnictwo a5